Robert M.

Wegner

Niebo ze stali

Opowieści z meekhańskiego pogranicza

powergraph

Robert M. Wegner

Niebo ze stali

Opowieści z meekhańskiego pogranicza

Warszawa 2013

Robert M. Wegner
Niebo ze stali
Opowieści z meekhańskiego pogranicza
ISBN: 978-83-61187-65-3

Wydawca:
Powergraph
ul. Cegłowska 16/2
01-803 Warszawa
tel. 22 834 18 25
e-mail: powergraph@powergraph.pl
www.powergraph.pl

Copyright © 2012-2013 by Robert M. Wegner
Copyright © 2012-2013 by Powergraph
Copyright © 2012-2013 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

PROJEKT GRAFICZNY: Rafał Kosik
REDAKTOR PROWADZĄCY: Kasia Sienkiewicz-Kosik
REDAKCJA: Michał Cetnarowski, Kasia Sienkiewicz Kosik
KOREKTA: Maria Aleksandrow

Wyłączna dystrybucja:

Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. Sp.j.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 00 / 11

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Spis treści

Prolog

Część I. Smak żelaza

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Część II. Smak krwi

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

INDEKS

¤

Prolog

Chłopiec stoi w mroku i wodzi wzrokiem po około trzydziestu twarzach. Należą do innych dzieci, większość z nich jest w jego wieku. Dni smutku ledwo się skończyły, niemal wszystkie twarze noszą ślady białej farby; tylko kilkoro dziewcząt przewiązało jeszcze włosy na znak żałoby. Nie znały innego sposobu, by okazać uczucia. A teraz to…

Patrzy na nich spokojnie. Pochodzą z różnych klanów i szczepów, ale we wszystkich są najstarsi i przez ostatnie lata stali się przywódcami reszty.

— Straciliśmy większość młodych wojowników — zaczyna i obserwuje, żadna twarz się nie krzywi, w żadnych oczach nie zapala się sprzeciw. — Plemiona będą przez wiele lat słabe, a jednak zrobiły to, co zrobiły.

Zaciska dłonie, aż paznokcie wbijają mu się w skórę.

— Gdybym mógł, zabiłbym ich. Spalił wozy, wyrżnął wszystkie ich konie, żeby patrzyli na to i płakali. Zdrajcy… przeklęci…

Brakuje mu słów, więc spluwa na ziemię i rozciera plwocinę stopą.

— Od dziś będę wojownikiem Klanu Złamanego Kła. — Takie słowa w ustach dziesięcioletniego chłopca mogłyby wywołać uśmiech, gdyby nie jego oczy. — Będę w bitwie nosił ozdoby mojego wuja i jeździł konno. Nazywam się Amureh.

Kiwają głowami. Gdy skacze się głową naprzód z urwistego brzegu do rzeki, nie można zatrzymać się w locie.

— Wuj powiedział, że dostaniemy część ich ziem. A jeśli spróbują na nie wrócić… Będę czekał.

Wyjmuje nóż i głęboko nacina wnętrze prawej dłoni. Zaciska pięść i wygląda to tak, jakby wyciskał krew z powietrza.

— Zostanie blizna. — Jedna z dziewczynek patrzy na niego z uwagą.

— Wiem. I za każdym razem, gdy zacisnę dłoń na broni, będę pamiętał. Rozumiesz?

— Tak.

Część I

Smak żelaza

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Rozdział 1

Głębokie doliny mają to do siebie, że są pokrzywdzone, jeśli chodzi o światło. Cień zalega w nich jeszcze długo po tym, gdy równiny czy płaskowyże wygrzewają się już w promieniach słońca, a wilgoć po porannej rosie, która gdzie indziej znika w kilka chwil, tu potrafi utrzymać się przez wiele godzin. Zwłaszcza przy południowo-wschodnim krańcu takiej doliny, w pobliżu jednego z licznych w tej okolicy strumieni. Ubrania, choćby suszone przez cały dzień i schowane w natłuszczone sakwy, rankiem są wilgotne i drażnią człowieka nieprzyjemnym, lepkim chłodem. Trzeba nieustannie pilnować, by rzemienie, pancerze, buty, pochwy mieczy i szabel, pasy i inne skórzane części ekwipunku były należycie impregnowane, bo nie ma gorszej rzeczy niż kilkudniowy patrol w butach, które zaczynają cię ocierać.

Kenneth nigdy nie wybrałby dla swoich ludzi takiej okolicy na kwatery. Cztery szałasy, postawione chyba jeszcze przed ostatnią wojną z koczownikami, miały charakter aż nadto tymczasowego schronienia, na dodatek zbudowano je w miejscu, gdzie słońce zagląda tylko na kilka godzin w ciągu dnia, co odcisnęło na budowlach swój ślad. Pleśń, porosty i mchy dokonały radosnej inwazji na drewno, część desek znikła,
a z podłogi – jeśli można tak nazwać ubitą glinę – kiełkowały tu i ówdzie chwasty. Gdy więc miesiąc temu żołnierze Szóstej Kompanii dostali rozkaz, by się tu przenieść, nie tyle naprawili, ile odbudowali szałasy, łatając dachy, ubijając na nowo klepiska i utrzymując dzień i noc ogień na paleniskach, by osuszyć ściany, najlepiej jak się dało.

Mimo wszystko wilgoć towarzyszyła im niemal przez cały czas.

I chłód. I irytacja.

Niebo zaczynało się delikatnie różowić, za godzinę szczyty na wschodnich krańcach doliny powinny posmakować słońca, a cały nieboskłon przybierze kolor zimnego błękitu, tak jasnego, jakby był półkulą wypolerowanej

do połysku stali. Dopiero gdy słońce wynurzy się całkiem znad horyzontu, świat przywdzieje normalne barwy – biel śniegowych czap założonych przez szczyty, czernie i szarości skał pod nimi, ciemną zieleń iglastych lasów porastających niższe partie gór i nieśmiałą zieleń wczesnowiosennych traw w dolinach. Kolory dominujące w Olekadach dawały się zliczyć na palcach obu rąk.

Przynajmniej maskując się, nie trzeba zbytnio kombinować.

Kenneth powoli, nie wykonując gwałtowniejszych ruchów, spojrzał w lewo, potem w prawo, dał sygnał. Widział dwóch z trójki pozostałych wartowników, obaj unieśli dłonie w górę.

Wszystko w porządku.

Dowódca ostatni idzie spać, a pierwszy wstaje, ta reguła Górskiej Straży była jedną z tych niepisanych, odwiecznych i niewzruszonych, których przestrzegał konsekwentnie i bez żadnych ustępstw na rzecz zmęczenia czy wygody. Lecz miał i drugą, bardziej osobistą – dowódca trzyma wartę ze swoimi żołnierzami. To była jego zasada, od której ostatnio Varhenn i pozostali dziesiętnicy próbowali go odzwyczaić. Bo to zły nawyk jest – mówił zawsze jego najstarszy podoficer. Jeśli bowiem ktoś naprawdę spróbuje nas podejść nocą, to wartownicy mogą pierwsi dać gardła i kompania zostanie bez dowódcy. Więc Kenneth powinien spędzać noce w szałasie, prawda? Ale porucznik, zazwyczaj skłonny słuchać rad Velergorfa, tym razem przypomniał wszystkim, że ma w sobie trzy czwarte wessyrskiej krwi.

Uparł się.

Bo w Belenden, tysiąc mil na zachód stąd, żaden z jego żołnierzy nie pomyślałby nawet, żeby coś takiego zaproponować. Kenneth razem z nimi stawał na warcie, czaił się w zasadzkach, walczył w pierwszej linii. Z drugiej strony – ta myśl była trochę kwaśna – jak się ma trzydziestu dziewięciu ludzi, to się ma tylko pierwszą linię.

Wokół szałasów rosło trochę krzaków, kolczastych krzewów i małych drzewek. Nie kazał ich wykarczować, bo do ściany lasu mieli ledwo pięćdziesiąt jardów, więc lepiej nie ułatwiać sprawy potencjalnym strzelcom. Poza tym wartownicy mogli się wśród nich przyczaić, zastygnąć nieruchomo, rozpłynąć w tle. Tak jak on teraz, przykucnięty, w płaszczu obwieszonym gałązkami i obsypanym zeszłorocznymi liśćmi, w półmroku przedświtu praktycznie niewidoczny.

Polujemy, pomyślał. Sami nie wiemy na co, ale zastawiamy sidła, mając cichą nadzieję, że to, co się złapie, okaże się zającem, a nie niedźwiedziem. Bo to jest w naszej naturze: gdy nadchodzi niebezpieczeństwo, nie chowamy się w zamkach i za palisadami, jak tutejsza szlachta, tylko zastawiamy pułapkę. Bo na sarny polujesz z nagonką, a na górskiego lwa z przynętą. Bo…

Uniósł lewą dłoń.

Wszystko w porządku.

O nogę opierał mu się ciepły ciężar. Kenwa – drugi w hierarchii psów kompanii – wyglądał, jakby spał, lecz postawione uszy i lekkie drgnięcia mięśni świadczyły, że czuwa. Bergh Maws, odpowiedzialny za psy kompanii, potrafił je układać jak nikt. Zwierzęta były członkami oddziału niemal na takich samych prawach jak ludzie, ciągnęły sanie, tropiły, walczyły, stały na warcie, nawet pobierały żołd. Co miesiąc z kasy pułku kompania dostawała kilka orgów na dodatkową karmę. Kilka orgów to koszt połowy krowy, ale tuzin wielkich, ważących po sto pięćdziesiąt funtów psów poradzi sobie z taką ilością mięsa bez żadnych problemów. Lecz tylko głupiec – i to głupiec pozbawiony wyobraźni – próbowałby oszukiwać, oszczędzając na nich. Źle odżywiony i zaniedbany pies to pies chory. A chory pies to zwierzę ospałe, niemrawe i słabe. Psy Szóstej Kompanii należały do najbardziej zadbanych w pułku i odpłacały niewzruszoną wiernością i posłuszeństwem, co obecnie miało szczególne znaczenie.

Od trzech miesięcy w górach ginęli ludzie.

Zaczęło się w połowie zimy. Ktoś wyszedł z domu i nie wrócił, kilku kupców, którzy wybrali się saniami w krótką podróż po wioskach w północnej części Olekadów, przepadło bez wieści, trzech myśliwych zastawiających sidła na okryte zimowym futrem lisy nie pojawiło się w umówionym miejscu. Na początku nikt nie łączył tych spraw, w górach, w każdych górach, mogły się zdarzyć dziesiątki rzeczy, zdolne wysłać duszę człowieka do Domu Snu. Lawiny, bandyci, górskie lwy, lód na rzece, który nagle pęka pod stopami, pechowy upadek kończący się złamaniem karku. Nic niezwykłego.

Lecz potem znaleziono ludzi Saenoha.

Saenoh Czarna Gęba był jednym z nielicznych bandytów, którzy ośmielali się pokazywać bliżej niż trzydzieści mil od zamku Kehloren. Większość zbójów wobec zwiększenia liczebności Górskiej Straży w tych okolicach

wyniosła się na północ lub południe, ale ten nie. Uparł się, i tyle. Jedni twierdzili, że miał w jednej z pobliskich wiosek kobietę i jakieś dzieci, których nie chciał zostawić w obawie przed zawistnymi sąsiadami, według innych był po prostu głupi. Tak czy inaczej, gdy ci zawistni sąsiedzi dali znać władzom, gdzie ukrywa się banda, do wskazanych jaskiń posłano dwie kompanie Straży.

Kenneth nie brał udziału w tej misji, jego oddział jako jeden z nowych ograniczał się do przepatrywania najbliższej okolicy, zapoznawania z terenem, odnajdywania i uczenia się na pamięć tajnych szlaków i ścieżek. Ale ci, którzy wrócili… plotki o tym, co znaleźli… o ludziach Saenoha, których ktoś ukrzyżował, przybijając do ścian jaskini żelaznymi hufnalami, wbitymi z taką siłą, że nie dało się ich wyjąć ze skały.

Czternastu bandytów. Podobno nie było śladów walki. Podobno dwóch jeszcze żyło. Podobno tropiciele stracili ślad zabójców po kilkudziesięciu krokach, a wojskowy czarodziej nie potrafił nic odczytać.

Plotki i mrożące krew w żyłach opowieści – tylko tyle zostało, bo obie kompanie biorące udział w tej akcji natychmiast wysłano na południe gór, do najbardziej oddalonej od zamku warowni. I podwojono liczbę patroli w okolicy.

Ale to nie pomogło. W ciągu następnych dwóch miesięcy znikło pięć oddziałów Górskiej Straży, kolejnych pięć ostatnio. To nie były duże oddziały, najwyżej kilkunastoosobowe, wysłane w celu sprawdzania stanu górskich szlaków i kontaktowania się z odleglejszymi placówkami, ale w żaden sposób nie dało się wyjaśnić ich zniknięcia oraz faktu, że na razie nie odnaleziono żadnego ciała, choć wszyscy spodziewali się, że wiosenne roztopy wyjaśnią zagadkę.

Pułki Pierwszy, Dziewiąty i Dwudziesty Szósty Górskiej Straży tworzyły tak zwany Regiment Wschodni, od lat oficjalnie nazywany Bękartami Czarnego, i w przeciwieństwie do pozostałych pułków Straży miały nieco inne metody działania. Olekady były długie, lecz stosunkowo wąskie, na mapach wyglądały jak zaciek na ścianie albo stalaktyt zwisający ze sklepienia. Nie dało się ich kontrolować tak, jak okolic Belenden – gdzie funkcjonował jeden pułk, jedna główna siedziba i patrole rozsyłane z niej we wszystkie strony.

Twierdza Kehloren znajdowała się niemal w połowie gór, a żeby mieć pieczę nad ich północnym i południowym krańcem, dowództwo utrzymy-

wało w tamtych okolicach silne warowne obozy. Zimą między nimi a główną siedzibą regimentu krążyły patrole Straży, które najczęściej korzystały z psich zaprzęgów. Przenoszono rozkazy, wieści, leki, transportowano rannych i chorych, których nie dało się wyleczyć na miejscu. Kawer Monel, dowódca regimentu, uważał, że taka aktywność nawet w czasie najsroższej zimy utrzymuje ludzi i zwierzęta w dobrej formie i daje świadectwo, że Górska Straż czuwa.

Ostatnie trzy miesiące – strata ponad stu ludzi i prawie dwustu psów – udowodniły, że w Olekadach pojawiła się nowa siła, z którą należało się liczyć.

Potem nadeszły wieści, szybko potwierdzone, że ktoś wymordował załogi kilku wież strażniczych, którymi miejscowa szlachta tak chętnie ozdabiała granice swoich posiadłości. Obsadę posterunków znajdowano w większości martwą, a tych, którzy przeżyli, zostali straszliwie okaleczeni i zawsze próbowali później popełnić samobójstwo. Pojawiły się też plotki, że w niektórych wioskach i osadach zginęły całe rodziny.

Zniknięcia i mordy, mordy i zniknięcia. Nikt nie miał wątpliwości, że obie te sprawy łączą się, że stoi za nimi ta sama siła, i to nie byle jaka, bo żeby wyprowadzić w pole tropicieli Górskiej Straży, ich psy i wojskowych czarodziejów, trzeba było sporych umiejętności. Nawet miejscowe Szczury rozkładały ręce, choć – jak zaraz po przybyciu na miejsce wyjaśnił Kennethowi jeden z wyższych rangą oficerów – Wywiad Wewnętrzny miał tu zawsze mało ludzi. Okoliczną szlachtę uważano za tak wierną Cesarzowi, że Szczurza Nora nie widziała powodu, by utrzymywać w Olekadach większy garnizon. Wszyscy zatem byli skazani na plotki, podejrzenia i insynuacje. A te zamieniały całą okolicę w stodołę wypełnioną po dach sianem, czekającą na dziecko z krzesiwem.

Szczyty na wschodnim krańcu doliny zaróżowiły się, a niebo przybrało kolor stali z błękitnym połyskiem, znak, że czeka ich kolejny piękny dzień. Kenneth poruszył się lekko, odpowiedział na sygnał swoich ludzi, rozluźnił. Wyglądało na to, że znów nic się nie wydarzy. Sam nie wiedział, czy cieszy go to, czy martwi. Mimo iż mieli już okazję badać ślady napastników, nawet Wilk nie zdołał wiele z nich wyczytać. A czekanie na walkę z czymś, czego się nie zna, jest jedną z najgorszych rzeczy dla żołnierza. To dlatego, gdy miesiąc temu dostał rozkaz, by opuścić twierdzę i zakwaterować kompanię w tych opuszczonych szałasach, przyjął go niemal z ulgą. Miejsce

było kiepskie, ale lepiej, że Szósta będzie działać, że spróbuje przejąć inicjatywę, choćby tylko zastawiając pułapkę z sobą w roli przynęty, niż gdyby miała tkwić w twierdzy i odliczać czas do zniknięcia kolejnego patrolu.

Leżący u stóp porucznika pies zastrzygł uszami i obnażył zęby, nie wydając jednak najmniejszego dźwięku. Zza najbliższego krzaczka wybiegł zając, zatrzymał się, stanął słupka, rozejrzał. Kenneth uśmiechnął się pod nosem. Jeśli nawet zające nas nie wyczuwają, pomyślał, to znaczy, że nas tu nie ma. Że jesteśmy częścią tej polany, tak jak ziemia, krzaki i strumyk. I że jesteśmy cholerną Górską Strażą i żadne kropki na mapie tego nie zmienią.

Kropki na mapie. To był główny powód, dla którego kilkuset żołnierzy od miesiąca zajmowało pozycje wokół twierdzy. Przy każdej kropce – oznaczającej wymordowaną załogę wieży, rodzinę górali czy zaginiony patrol – znajdowała się data. Trzy miesiące temu; dwa; półtora; miesiąc. Im bliżej Kehlorenu postawiono kropkę, tym data była świeższa, a kropek więcej. Ostatnia, sprzed kilku dni, znajdowała się ledwo pięć mil od zamku. To była wieża strażnicza, pięciu ludzi utopionych w beczkach i szósty z wyłupionymi oczami i obciętym językiem. Pięć mil! Godzina szybkiego marszu, pół godziny truchtu. Pod samym nosem Czarnego Kapitana.

Kawer Monel prawie dostał szału, gdy się o tym dowiedział, i na litość Pani, Kenneth wcale mu się nie dziwił. To wyglądało prawie jak prowokacja, prztyczek w nos, tym bardziej że tego, który przeżył, odprowadzono pod wieżę i uwolniono. I rzecz jasna napastnicy nie zostawili żadnych śladów. Porucznik do tej pory pamiętał minę Wilka. Cawe Kaln miał świadomość swoich ograniczeń i przyjmował do wiadomości, że może zgubić trop, ale zawsze istniały ku temu konkretne powody. A to był już trzeci raz, gdy ślad rozpływał się w powietrzu, więc najlepszy tropiciel kompanii zaczynał chodzić sfrustrowany.

Oczywiście istniało proste i logiczne wyjaśnienie. Jeśli bez śladu ginie mniej więcej kompania Straży, jeśli odnalezione ofiary nie stawiały oporu, a napastników nie dało się wytropić, to wszystko wskazywało na używanie magii. A okrucieństwo mordów sugerowało kogoś opętanego przez Moc.

Szósta Kompania miała już do czynienia z szalonymi czarownikami, lecz to, co teraz się działo, wydawało się zbyt… wyrachowane. Nawet te kropki na mapie, gdyby je połączyć według dat, utworzyłyby coś w rodzaju spirali. A w jej centrum znajdował się zamek Kehloren.

Bardziej oczywistego rzucenia wyzwania Górskiej Straży nie można było sobie wyobrazić.

Szarak stał i rozglądał się oczyma jak czarne, szklane paciorki, po czym opadł na cztery łapy i pokicał dalej. Tak, Szósta była naprawdę dobra w przygotowywaniu zasadzek.

I o to właśnie zapytał Kennetha Kawer Monel, gdy miesiąc temu szukał oddziałów, które miałyby otoczyć twierdzę dodatkowym kordonem ochronnym – czy dacie sobie radę na zewnątrz? Spirala jeszcze się nie wyłoniła z kropek na mapie, lecz dowódca Regimentu Wschodniego zapewne już czuł, co się święci. Poza tym istniała stara wojskowa zasada, że jeśli nie wiadomo, co się dzieje, trzeba znaleźć ludziom cokolwiek do roboty, więc kilka kompanii szybko wylądowało w prymitywnych obozowiskach rozrzuconych na krańcach doliny, z bliżej nieokreślonym zadaniem, by „mieć wszystko na oku”.

Ten stary żołnierski żarcik, mówiący, że jak nie wiadomo, co robić, to się bawimy w „manie wszystkiego na oku”, śmieszył chyba tylko tych, którzy przez miesiąc nie musieli nocować w pasterskich szałasach, trzymając podwójne warty i robiąc z siebie przynętę. Kenneth sam nie wiedział, czy liczy na to, że tajemniczy zabójcy ośmielą się zaatakować jego kompanię i strażnicy będą wreszcie mogli spojrzeć im w oczy, czy też ma nadzieję, że kolejna noc upłynie spokojnie. Mordercy nigdy nie uderzyli na oddział większy niż tuzin żołnierzy, nigdy nie zaatakowali wieży z pełną obsadą ani silnie chronionej karawany kupieckiej. Ale, jak nieraz powtarzał Velergorf, nigdy trwa tylko do pierwszego razu.

Z tym że ten pierwszy raz, na który czekali kolejną noc, chyba nie wydarzy się dziś.

Świtało. Nad doliną poniósł się głęboki, dźwięczny głos rogu. Po chwili odpowiedziały mu kolejne. Goszczący w Olekadach Verdanno witali słońce na swój sposób.

Porucznik nie obejrzał się w stronę, skąd dobiegł dźwięk. Już to widział, ruch przypominający budzące się mrowisko. Dziesiątki tysięcy ludzi i zwierząt, karne czworoboki obozów, ze ścianami głębokimi na kilka rzędów pojazdów, olbrzymie tabuny koni wypełniające środek doliny. A to przecież nie wszyscy, ponoć miało do nich dojechać jeszcze kilka tysięcy wozów.

Od jakiegoś czasu nawiedzała porucznika myśl, że Czarny kazał otoczyć dolinę kordonem dodatkowych posterunków także po to, by chronić swoich

gości. Gdyby doszło do mordu na Wozakach… Kenneth obejrzał już sobie ich z bliska. Nie wyglądali na spokojnych i miłujących pokój pasterzy, jak to opisano w cesarskim rozkazie. Nie z tymi swoimi nożami noszonymi na plecach, z wozami o burtach jak zamkowe mury i całą tą bronią, którą zawsze trzymali pod ręką i na widoku. Pośrodku doliny zdążyli już wydeptać kilka okrągłych placów ćwiczebnych, po których dzień i noc pędziły rydwany, szalała ukryta z ciężkimi tarczami piechota, a udające ludzi bele słomy jeżyły się setkami strzał. I wszyscy ci ciemnowłosi, śniadzi przybysze z ledwo skrywaną niecierpliwością popatrywali na wschód. Plotki mówiły, że jedna z kompanii Bękartów znalazła szlak, którym można się dostać na Wyżynę Lytherańską wozem.

Najwyraźniej szaleństwo w tych górach było czymś normalnym.

Kenneth uniósł prawą dłoń i dał sygnał. Jeden z żołnierzy wstał, otrzepał płaszcz z maskowania i przeciągnął się demonstracyjnie. Ten po drugiej stronie szałasów robił w tej chwili to samo. Porucznik i ostatni z wartowników ani drgnęli. Opracowali tę taktykę dwa lata temu, po schwytaniu bandy Benca Wenha, byłego żołnierza i strażnika karawanowego, doświadczonego, odważnego i zadziornego. Znał północne rejony Nowego Rewendath jak własną kieszeń i przez wiele miesięcy wodził Górską Straż za nos, a Szósty Pułk miał za mało ludzi, żeby urządzić na niego prawdziwą obławę, więc trzydziestu wyrzutków, których Benc był hersztem, nie raz i nie dwa wymykało się z zasadzek. Jego banda najczęściej stosowała linię jawnych i ukrytych wartowników, dwóch czy trzech stało na widoku i okrzykiwało się przez noc, a kolejnych dwóch lub trzech maskowało się i trzymało straż w milczeniu. Jeśli komuś udałoby się podejść niespodziewanie i zaatakować pierwszych, ci drudzy mieli dość czasu, by wszcząć alarm.

W trakcie pierwszego starcia kompania dostała po nosie: ledwo zdjęli wartowników, rozległy się przenikliwe gwizdy i zamiast uderzyć na śpiących zbójów, Szóstki trafiły na mur włóczni i toporów. Odskoczyli wtedy, pozycja ludzi Benca nie nadawała się do frontalnego ataku, a Kenneth miał ze sobą tylko dwie dziesiątki. Miesiąc później, już w pełnym składzie, wytropili ich w jednej z jaskiń Wysokich Hal. I czekali do bladego świtu, gdy do trzech wartowników stojących przed kryjówką bandy dołączyło dwóch kolejnych, sprytnie ukrytych wśród pobliskich skał.

Zdjęli wszystkich salwą z kusz i uderzyli na resztę, nim oprzytomniała.

Od tamtego czasu kompania miała żelazną zasadę, że nigdy, przenigdy wszyscy wartownicy nie ujawniają swoich pozycji, dopóki cały oddział nie będzie na nogach.

Zawsze warto uczyć się na cudzych błędach.

Dwóch żołnierzy zaczęło chodzić między szałasami, łomocząc w ściany. Zaczynał się kolejny dzień.

* * *

Siedziba dowódcy regimentu znajdowała się oczywiście w zamku, choć to, że Kawer Monel wybrał sobie komnatę niemal na szczycie najwyższej wieży, zakrawało na kiepski żart. Sto dwadzieścia schodów powodowało, że człowiek docierał do generała zasapany i spocony, a stojąc przed nim, mógł tylko wysłuchać rozkazów i wydyszeć „tak jest”.

I być może właśnie o to chodziło.

Kenneth nauczył się nie spieszyć w drodze na górę. Oczywiście to, że każe czekać Czarnemu Kapitanowi trochę dłużej niż pozostali młodsi oficerowie, z pewnością zostało zauważone, ale generał nigdy nie dał po sobie poznać, że taka postawa mu się nie podoba. W ogóle, jak porucznik zdążył się przekonać, mimo wybuchowego charakteru dowódca Górskiej Straży w Olekadach w sprawach podległych mu oddziałów zawsze był konkretny i zasadniczy.

Mimo wszystko Kenneth dotarł na szczyt wieży lekko zdyszany. Wziął głęboki oddech i zapukał.

— Wejść!

Komnata była kwadratowa, z oknem pośrodku każdej ściany. Wąskie okna przypominały raczej strzelnice niż otwory wpuszczające światło, ściany straszyły byle jak obrobionymi kamieniami, które idealnie pasowały do poczerniałych ze starości desek podłogi. Jedyne wyposażenie stanowiło proste łóżko, kilka szaf, stół i krzesło. I żelazny kosz, stojący na żelaznej płycie i żarzący się węglami, choć aby porządnie ogrzać pomieszczenie, potrzeba by kominka szerokiego na dziesięć stóp. Chłód i wilgoć wręcz promieniowały z murów. Przy tym wnętrzu nawet szałasy nad strumieniem wydawały się przytulne. Cokolwiek mówić, Kawer Monel nie wymagał od swoich ludzi więcej niż od siebie.

— Jest pan, poruczniku.

Generał uniósł głowę znad rozłożonych na stole papierów i obrzucił go uważnym spojrzeniem. Kenneth zdążył się przyzwyczaić do tych spojrzeń, które wyglądały, jakby zaraz za nimi miała polecieć wiązanka na temat długości włosów, niechlujnej brody, niedostatecznego wypolerowania pancerza i butów, czyli wszystkich tych rzeczy, o które upierdliwy oficer mógł ochrzanić młodszego stopniem. Czarny Kapitan miał różne nieprzyjemne nawyki, ale upierdliwy nie był.

— Jak minęła kolejna noc?

— Spokojnie, panie generale.

— Widzę. — Papiery zostały odsunięte w róg stołu, Kawer Monel oparł brodę na dłoniach i uśmiechnął się lekko, co wyglądało, jakby bolał go ząb. — Wie pan, poruczniku, że w gruncie rzeczy nie jest pan najlepszym dowódcą.

Kenneth spojrzał na ścianę za jego plecami, przybrał obojętną minę.

— Obawiam się, że nie rozumiem, panie generale.

— Wydałem rozkaz, by pięć kompanii zajęło stanowiska wokół doliny i miało oko na wszystko. — Uśmiech poszerzył się. — Gdy byłem porucznikiem, też tak to nazywaliśmy. Ale do rzeczy. Cztery z tych kompanii okopały się w miejscach, gdzie kazałem im się zatrzymać. Otoczyły się kordonem wartowników i psów, palą ogniska, wywrzaskują hasła i odzewy dziesięć razy na godzinę i to tak, że aż tu je słyszę. Piąta natomiast wydaje się całe noce spędzać na zasłużonym odpoczynku, cicho i spokojnie. Potrafi pan to wyjaśnić?

— Nasz obóz jest równie dobrze strzeżony, jak pozostałe.

— Wiem o tym, panie poruczniku. Gdyby było inaczej, twoi ludzie robiliby właśnie sto okrążeń wokół zamku w pełnym rynsztunku, a ty siedziałbyś w lochu. — Generał wyprostował się i strzepnął jakiś paproch z blatu. — Wysłałem kilku zaufanych zwiadowców, by was sprawdzili. Niech pan nie robi takiej miny, poruczniku, nie mieliście szans ich dostrzec, to nasz teren. Sądzę, że w Nowym Rewendath wy moglibyście tak podejść moich chłopców, ale tutaj to my znamy wszystkie ścieżki i krzaczki. W każdym razie byli pełni podziwu. Inne kompanie odstraszają niebezpieczeństwo, wy je wabicie. Co byście zrobili, gdyby ci zabójcy złapali przynętę?

— Zabilibyśmy ich.

Kenneth wciąż gapił się w ścianę, ale czuł, jak spojrzenie dowódcy błądzi po jego twarzy.

— Tak. Szybka i zdecydowana odpowiedź, godna oficera Straży.

Kawer Monel wstał i podszedł do znajdującego się za stołem okna. Odwrócił się i przysiadł na wąskim parapecie.

— Właściwie powinienem pana pochwalić, gdyby nie to, że ma pan podkrążone oczy i sprawia wrażenie potwornie zmęczonego. A przemęczony oficer nie jest w stanie dowodzić w czasie walki. Nie potrafi szybko myśleć ani decydować. To źle. Widywałem już oddziały, które nieprzemyślany lub za późno wydany rozkaz posyłał na rzeź.

Porucznik oderwał wzrok od ściany i popatrzył na Czarnego Kapitana, który miał taką minę, jakby właśnie robił komuś żart. Nie patrzył w oczy Kennetha, co było tym bardziej denerwujące. Gdy ktoś taki jak Kawer Monel nie patrzy ci w oczy, to znaczy, że jest źle.

— Trzymanie warty wraz ze swoimi ludźmi czy chodzenie w szpicy na patrolu jest dobre w spokojnych i cywilizowanych prowincjach, jakie macie na zachodzie. Ale nie tu i nie teraz. Zbyt brakuje mi dobrych oficerów.

Porucznik rzeczywiście musiał być zmęczony, dopiero po chwili bowiem jego niepokój wzrósł. Velergorf wspominał Monela jako zimnokrwistego, twardego jak krzemień sukinsyna, który gdy wszystko było w porządku, wrzeszczał na swoich ludzi, wyzywał i klął. Natomiast kiedy zaczynał chwalić, wszyscy chodzili na paluszkach, jakby ktoś włożył im w portki gniazdo os. A on, Kenneth-lyw-Darawyt, chyba właśnie usłyszał coś w rodzaju komplementu. Najwyraźniej Czarny Kapitan zamierzał mu podać rękę, trzymając w dłoni zatrutą igłę.

— Czytałem właśnie po raz kolejny raport pułkownika Gewanra na temat przebiegu służby pana i pańskiej kompanii. I gdybym nie słyszał o pułkowniku naprawdę dobrych rzeczy, zacząłbym sądzić, że mnie okłamuje. Wie pan dlaczego?

— Nie, panie generale.

— Bo zgodnie z tym raportem wysłał mi swój najlepszy oddział.

Cholera, drugi komplement.

— Nadal nie rozumiem, panie generale. Szósty Pułk ma kilka innych, równie zasłużonych kompanii, a my jesteśmy w nim najmłodszym oddziałem.

— I najbardziej znanym. Przynajmniej w okolicach Belenden. Rajdy na tereny aherów, zlikwidowanie grupy przeklętych czarowników, kilka rozbitych dużych band, schwytanie szpiega, odnalezienie zimą zaginionego hrabiego Hendera-sed-Falera, i to podczas zamieci, doszczętne zniszczenie trzystuosobowej bandy Nawera Ta'Klaw, nawet tutaj o tym usłyszałem. Do tego pochwały na piśmie dla większości żołnierzy, prawo noszenia własnego znaku, i tak dalej. W raporcie wasz dowódca opisywał kompanię, jakby była panną na wydaniu. Taką niezbyt urodziwą i z małym posagiem.

Kenneth potrzebował dłuższej chwili, by zrozumieć aluzję.

— Czyli uważa pan, panie generale, że kłamał?

— Oficer Straży innemu oficerowi Straży? — Uśmieszek błądzący na bladych wargach dowódcy pogłębił się. — Nigdy. Powiedzmy, że uważałem, iż nieco koloryzował.

Wygląd generała odpowiadał powszechnym wyobrażeniom o zimnokrwistych sukinsynach wszelkiego autoramentu. Blada cera, krótko ścięte włosy, gładko ogolona twarz, jasnoniebieskie, najczęściej zmrużone oczy. Dlatego gdy się uśmiechał, człowiek miał wrażenie, że zaraz dostanie nożem w bebechy.

— Jesienią wysłałem paru ludzi na zachód, żeby o was popytali i zadali kilka pytań pułkownikowi Gewanrowi. Nic specjalnego, wędrując wzdłuż gór, starali się zebrać informacje o większości kompanii, które mi dosłano. W przypadku Szóstej w zasadzie potwierdzili wszystko, co było w raporcie. Miejscowi ciągle was dobrze wspominają.

Jeśli ten uśmiech miał być przyjazny, to Kenneth wolał nie wiedzieć, jak wygląda taki złośliwy.

— Pułkownik poszerzył nieco opis, który zawarł w oficjalnym raporcie. Podobno starliście się z bojową drużyną Szczurzej Nory.

— Przez pomyłkę, panie generale. Nie ujawnili się nam. A potem była nocna walka…

— … w której każdy, kto nie nosi płaszcza, to wróg. Wiem. Ale to po ich stronie zostało kilku zabitych i rannych. I ktoś w Norze postanowił się na was odegrać?

— Tak słyszałem.

— Więc pułkownik wysłał was tu, żeby ochronić oddział? Zna pan to powiedzonko, ze strumienia do rzeki? Miejscowe. Zresztą nieważne. —

Monel machnął ręką. — Żałuję, że więcej kompanii nie weszło w drogę Szczurom.

— Nie rozumiem — wyrwało się porucznikowi.

— Zeszłego lata wzdłuż gór poszedł rozkaz, że dla wzmocnienia Regimentu Wschodniego każdy pułk ma wysłać tutaj jedną kompanię. Zresztą tak powstała Szósta, nieprawdaż? Kawałek papieru, kilka dziesiątek z różnych miejsc, młody oficer bez konkretnego przydziału, pieczątka i mamy kompanię. Jakich ludzi pan dostał?

— Najlepszych.

O, teraz wyjaśniło się, jak wygląda złośliwy uśmiech Czarnego Kapitana. Ściany komnaty zdawały się pokrywać szronem.

— Andan-key-Treffer – trzykrotnie mianowany do stopnia dziesiętnika, dwa razy zdegradowany, w tym raz za obrazę oficera. Bergh Maws – podejrzenia o nadużycia, czyli kradzież zapasów z kuchni wojskowej. Cawe Kaln – nagana za lekceważący stosunek do przełożonych. Tenh-kea-Dynsah – podejrzenia o kontakty z lokalnymi bandami. Malawe Gryncel – nagana za zniszczenie mienia o znacznej wartości… — Generał zawiesił głos. — Mam wymieniać dalej? Poza tym na palcach obu rąk mogę policzyć tych, którzy mają za sobą więcej niż dziesięć lat służby. Dostał pan kiepski materiał i przekuł go w świetny oddział.

Jeszcze jeden komplement. Czarny Kapitan najwyraźniej zamierzał wysłać Szóstą na samo dno piekła.

Andan rzeczywiście miał paskudny charakter, ale jego poprzedni dowódca był po prostu upierdliwym gnojkiem, Bergh zbyt kochał psy, żeby pozwolić im głodować, zwłaszcza kiedy kwatermistrz w jego poprzednim pułku kantował na ich racjach. Fakt, że kwatermistrz ten trafił potem do lochu, nie wpłynął na wykreślenie nagan z kartoteki dziesiętnika. Tenh miał kilku kuzynów, których inni kuzyni podobno gdzieś zbójowali. Nic niezwykłego, bo właściwie w rodzinie każdego strażnika, gdyby zagłębić się dostatecznie w więzy pokrewieństwa, był ktoś taki, ale chłopak miał też za długi język i za bardzo się tym przechwalał. Malawe wpadł po pijaku do studni, a to, co tam zostawił, wymagało jej dokładnego wyczyszczenia. I tak dalej. Jeśli spojrzeć na każdy przypadek osobno, jego ludzie nie wypadali gorzej niż inni strażnicy. Lecz jeśli zebrać je do kupy, to Czerwone Szóstki miały najwyższą średnią wykroczeń i nagan w zachodniej części Ansar Kirreh.

Generał patrzył na niego i już się nie uśmiechał.

— Dostał pan, poruczniku, odpadki z innych kompanii. Najgorsze, najbardziej krnąbrne dziesiątki. A teraz, jak pan sądzi, jaki materiał dostałem ja?

Kenneth przeniósł spojrzenie na ścianę.

— Nie wiem, panie generale.

— Dobry. — Nie musiał patrzeć, by wiedzieć, że Kawer Monel znów uśmiecha się złośliwie. — Szczerze mówiąc, lepszy, niż myślałem. Z dwudziestu trzech pułków Górskiej Straży wysłano do mnie dwadzieścia trzy kompanie. W większości w niepełnym składzie, więc zamiast ponad dwóch tysięcy ludzi, dostałem ich tysiąc pięciuset. Ale jak na Straż, to i tak spora siła. Tylko że – tak jak w przypadku Szóstej Kompanii – dowódcy oddziałów, którym nakazano się podzielić ludźmi, wybierali tych najmniej wartościowych. Krnąbrnych, mniej rozgarniętych, świeżo zaciągniętych i tak dalej. Ósmy pułk przysłał mi kompanię składającą się z samych rekrutów, osiemdziesięciu trzech młokosów, którzy normalnie powinni przynajmniej jeszcze rok albo dwa ćwiczyć szermierkę i strzelanie, zanim pozwoliłbym im wychodzić na patrole. Dowódca Ósmego po prostu zebrał wszystkich gołowąsów z pułku, utworzył z nich kompanię i wysłał na wschód. Porozmawiam z nim o tym przy najbliższej okazji.

Porucznik usłyszał szelest papierów.

— Mimo wszystko w takiej masie ludzi znalazło się kilku, z którymi nawet ja nie za bardzo wiem, co zrobić — w głosie Czarnego Kapitana nie można było usłyszeć niczego poza prawdziwym zakłopotaniem. — To znaczy, poruczniku lyw-Darawyt, gdybym miał więcej czasu, moje Bękarty zmieniłyby ich w żołnierzy najwyższej próby, ale teraz, gdy w górach giną ludzie, a na dodatek mamy na głowie gości… Proszę mi powiedzieć, dlaczego pełni pan warty z własną kompanią? — rzucił znienacka.

Proszę. W ich rozmowie po raz pierwszy padło „proszę”. Po raz pierwszy, odkąd Kenneth trafił pod dowództwo Czarnego. Najpierw seria komplementów, a teraz „proszę”. Już nie żyjemy, przemknęło mu przez głowę.

— Jest nas tylko czterdziestu — odpowiedział, ostrożnie dobierając słowa, lecz po części zgodnie z prawdą. — Gdy każdy człowiek się liczy, dowódca nie może zajmować uprzywilejowanej pozycji.

— Poza tym dowódca nie zasypia, zanim jego żołnierze nie znajdą noclegu, pierwszy wstaje, ostatni idzie spać, nie je, dopóki jego ludzie są

głodni, i tak dalej. Znam te zasady, poruczniku. Nie są ujęte w regulaminie armii, ale żaden oficer Straży nie może ich lekceważyć, jeśli chce wyjść ze swoimi ludźmi w teren i wrócić. — Papiery zaszeleściły ponownie. — Pan jednak poszerzył te zwyczaje, trzyma wartę, chodzi na szpicy, wyrywa się naprzód wtedy, gdy powinien zostać z tyłu. Odkąd objął pan dowództwo, Szósta straciła tylko kilku ludzi i mam wrażenie, że stara się pan utrzymać ten stan za wszelką cenę. Nawet ryzykując własne życie wtedy, gdy powinien ryzykować życie żołnierzy. Mam rację?

Szczerze mówiąc, Kenneth nigdy nie myślał o tym w ten sposób. Wychodził na szpicę, szedł w niebezpieczne miejsca, stawał w pierwszej linii, bo po prostu nie przyszło mu do głowy, że można inaczej. Uważał się za strażnika i tyle.

— Nie słyszę odpowiedzi.

Porucznik spojrzał wreszcie na dowódcę, w ostatniej chwili powstrzymując się od wzruszenia ramionami.

— Bo nie wiem co odpowiedzieć, panie generale.

— Rozumiem. Niech więc będzie, że ma pan za mało żołnierzy, poruczniku. Szczerze mówiąc, ja również uważam, że cztery dziesiątki to nie kompania. Dlatego postanowiłem przydzielić wam nowych ludzi. Tu jest rozkaz. — Kawer Monel pomachał trzymaną w ręku kartką. — Obejmie pan dowództwo nad Stajennymi. Trzydziestu czterech strażników. Powodzenia.

* * *

Poranne przeciąganie się to dla każdego swoisty rytuał, jakby wykonując te wszystkie ruchy, człowiek stawał się na chwilę kapłanem składającym hołd Opiekunce Snu. Problem z Daghenią polegał na tym, że w takich chwilach była wyjątkowo wierzącą i zaangażowaną kapłanką.

Kailean najpierw omal nie wypadła z łóżka, potem dostała łokciem po żebrach, wreszcie coś walnęło ją w twarz. I wszystko do wtóru przeciągłego „uuuuuch”.

— Czekaj — mruknęła, próbując owinąć się kocem. — Zaraz znajdę szablę i pogadamy.

— Oj, daj spokój — dobiegło z półmroku. — Zaczynamy kolejny piękny dzień. Zaraz przyjdzie tu ten przeklęty Szczur i będzie nas uczył.

I poprawiał, i zmuszał do zapamiętywania mnóstwa niepotrzebnych rzeczy. Pozwól na chwilę przyjemności swojej księżniczce. Uuuuch, ależ miałam sen.

W ostatnim zdaniu czaił się szelmowski, lekko rozmarzony uśmiech. Kailean mimo wszystko poczuła zainteresowanie.

— O naszym Szczurze?

— No co ty? O… Zresztą, nie powiem ci.

— Czekaj no, ty… zarazo, o, już widzę. Wczoraj świetnie ją wyostrzyłam, słowo. To o kim?

— Nie powiem. A żeby mnie ciachnąć, musiałabyś wyleźć z łóżka. Już to widzę.

Miała rację, psiakrew. Każdego ranka wyjście spod koca było wyzwaniem. Kailean przywykła do noclegów w różnych miejscach, w szopach, stajniach, na gołej ziemi, i sądziła, że wie, co to wysysający każdą odrobinę ciepła ziąb, ale zamek Kehloren nauczył ją nowych rzeczy. Te mury były stare, miały prawie czterysta lat i chyba nigdy w swojej historii nie zostały należycie ogrzane.

Dla dziewczyn wybrano komnatę w jednej z przysadzistych, narożnych wież, gdzie dwie zewnętrzne ściany od stuleci pieściły się z wiatrem i deszczem, i chyba przez to przejęły część właściwości jednego i drugiego. Były lodowate i mokre niemal przez cały czas, a w jednym z narożników skraplająca się nocą woda tworzyła małą kałużę. Posadzka w dotyku przypominała zamarzniętą sadzawkę, a z sufitu potrafiła spaść za kołnierz podstępna kropla. Na dodatek wąskie okno wychodziło na północ, więc słońce nigdy tu nie zaglądało, a jedynym źródłem światła było kilka świec i mała lampka. Żadnego kominka, żadnego pieca, nawet kosza z żarem. Zła wentylacja – wyjaśnił Ekkenhard, gdy poprosiły o coś takiego.

Od kilku dni zastanawiały się, czy nie lepiej byłoby im w lochu.

Daghena przeciągnęła się jeszcze raz, znów łokciem trafiając Kailean w żebra. W komnacie znajdowały się dwa pojedyncze łóżka, ale po pierwszej nocy zsunęły je i spały razem, dzieląc się odrobiną ciepła. Sprawdzało się to nieźle, tylko poranki, składające się z poszturchiwania i prób zawładnięcia oboma kocami, były niezmiennie irytujące.

— To która wychodzi i zapala lampę? — Kailean nie zadała sobie trudu wysunięcia głowy spod przykrycia.

— Inra-lon-Weris oczywiście — obcy głos dochodził spod ściany. — Nie do przyjęcia jest, by księżniczka Gee’nera z rodu Frenwelsów wstawała pierwsza, podczas gdy jej dama do towarzystwa wyleguje się w łóżku.

Koce pofrunęły do góry, zanim padło słowo „księżniczka”, a przy słowie „towarzystwa” obie były już na nogach, jedna z szablą, druga z nożem i bransoletką z kilku kamyków powiązanych rzemykiem w rękach. Kobieta siedząca pod ścianą skończyła zdanie, mając przed twarzą dwa ostrza i błyszczący dziwacznie talizman. Nawet nie mrugnęła.

— Ekkenhard uprzedził mnie, że czegoś takiego mogę się spodziewać, ale muszę stwierdzić, że i tak mnie zaskoczyłyście. Noclegi pod gołym niebem z nieprzyjaciółmi mogącymi czaić się gdzieś w ciemnościach, nieprawdaż moje drogie? Warty na wrogim terenie, gdy od was zależy życie towarzyszy. Broń zawsze pod ręką i ciągła czujność, mam rację?

Obca siedziała na krześle z taką godnością, jakby to był tron. Wyprostowana, z siwiejącymi włosami zaczesanymi w malutki kok, w czarnej sukni złamanej tylko bielą kołnierzyka i mankietów. Dłonie złożyła na podołku. W bladej twarzy zwracały uwagę ciemne przenikliwe oczy.

Kailean opuściła szablę.

— A mimo to weszłaś tutaj, a my cię nie usłyszałyśmy. Kim jesteś? Zawodową skrytobójczynią?

Kobieta potrząsnęła głową.

— Nie, moja droga. Jestem kimś groźniejszym, kimś, kto może podejść do ciebie o każdej porze dnia i nocy. Kimś, kto może cię ubierać i rozbierać, dotykać nagą, grzebać w bieliźnie, sprawdzać listy, podać truciznę w jadle i napoju, wykraść każde dokumenty, odkryć każdy sekret. Kimś, kogo nie dostrzegasz, kto porusza się jak cień na samym skraju widzenia, lecz zawsze jest pod ręką. — Uśmiechnęła się, niespodziewanie ładnie i życzliwie. — Jestem zawodową służącą od trzydziestu lat.

Machnęła dłonią w stronę Dagheny.

— Twój nóż, skarbie. Byłabyś tak uprzejma? I to, co trzymasz w drugiej ręce też.

Daghena zawahała się, po czym opuściła broń.

— Dobrze. Muszę wspomnieć Ekkenhardowi, że warunki, jakie wam zapewnił, są bardziej niż skandaliczne. Zimno, ciemno i wilgotno. Pewnie stąd wasze stroje, jak mniemam?

Spojrzały na siebie. Grube koszule, wełniane portki i skarpety. O co jej chodzi?

Ubrana na czarno kobieta wykonała ruch, jakby zamierzała wstać, i zamarła ze sztychem szabli przy piersi.

— Nie przedstawiłaś się… moja droga. — Kailean pozwoliła sobie na złośliwość, ale dla podkreślenia powagi delikatnie poruszyła bronią. — Rzucenie imieniem Szczura to za mało. Zbyt wielu go zna. Weszłaś tu bez zaproszenia, a u nas, na Wschodzie, można dostać za to szablą po łbie. Powiedz mi coś więcej albo zwiążemy cię i poczekamy na naszego opiekuna.

Kobieta opadła na krzesło, ponownie splotła palce na podołku i uśmiechnęła się samymi oczami.

— Ekkenhard chyba was nie docenia. — Przekrzywiła głowę, uważnie mierząc Kailean wzrokiem. — Wspominał coś o dwóch gąskach z prowincji, które idą na rzeź, ale nie jesteście takie naiwne, jak sądzi. Mam rację?

Szabla delikatnie oparła się o jej mostek.

— Dobrze. — Uśmiech z oczu nie zniknął. — Ty jesteś Kailean-ann-Alewan, przybrana córka Wozaków Verdanno, a ona to Daghena Oanyter z rodu Weghein, z plemienia Hearysów. Obie macie za zadanie wcielić się w wozacką księżniczkę i jej towarzyszkę i udać do zamku hrabiego Cywrasa-der-Malega. Waszym zadaniem będzie sprawdzenie, dlaczego większość mordów i zaginięć w Olekadach ma miejsce w pobliżu jego ziem. Ty, drogie dziecko — spojrzała na Daghenę — masz być barbarzyńską księżniczką, bo twoja uroda, całkiem interesująca zresztą, pasuje do tego, jak miejscowi wyobrażają sobie taką osobę. Kailean ma odgrywać Inrę-lon-Weris, Meekhankę czystej krwi, którą księżniczka wynajmuje jako towarzyszkę i nauczycielkę języka. Ponieważ ostatnia wielka karawana ma przybyć dopiero za kilka dni, a Wozacy nie zgodziliby się, by ich księżniczka opuściła obóz, nim wszystko zostanie należycie przygotowane, mamy jeszcze trochę czasu, by nauczyć was ról. Przekonałam cię?

— Tak. — Kailean cofnęła szablę. — Co teraz?

— Teraz wrócicie do łóżka, zanim się przeziębicie.

Usiadły na łóżku, chowając przemarznięte stopy pod kocami, ale wciąż trzymając broń na widoku. Kobieta wydawała się nie zwracać na to uwagi.

— Mam na imię Besara i to musi wam wystarczyć. Możecie do mnie mówić pani Besaro i od tej chwili będę waszą nauczycielką etykiety. Musicie ją poznać w takim stopniu, by wasza… misja nie zakończyła się zaraz za bramą zamku hrabiego.

— Ale…

— Cisza! Ja mówię, wy słuchacie. To lekcja pierwsza i dotyczy ona zwłaszcza ciebie, panno Inro. Jesteś damą do towarzystwa wynajmowaną za pieniądze. Takie osoby nie pyskują, nie odzywają się niepytane i nie rzucają ponurych spojrzeń spode łba. Tak jak ty teraz. Wyprostuj się!

Kailean uniosła głowę.

— Dobrze. Musisz zrozumieć, że wyda się podejrzane, jeśli towarzyszka księżniczki nie będzie miała choć odrobiny ogłady. Nikt nie uwierzy, że członkini królewskiego rodu wynajęła dziewuchę zgarniętą z pastwiska. Nie dokonam cudu i nie zamienię cię w zawodową damę do towarzystwa, mówiącą kilkoma językami, grającą na kilkunastu instrumentach, cytującą filozofów i poetów. Ale mogę cię przygotować do odegrania twojej rólki: Inry-lon-Weris, trzeciej córki kupca, który stracił większość majątku, bo źle zainwestował. Pieniędzy wystarczyło na posagi jedynie dla starszych sióstr, które wydały się już i mają dzieci. Niespodziewanie w zeszłym roku wasz ojciec umarł i zostałaś sama. Siostry niezbyt chętnie przyjęłyby cię pod swój dach, zresztą tobie się do tego nie spieszyło. Zamiast tego pracowałaś jako guwernantka, ucząc dzieci byłego wspólnika ojca. Ekkenhard wspominał, że umiesz czytać i pisać. Miał rację?

— Tak.

— Doskonale. To mały szczegół, ale ważny, jako dama do towarzystwa musisz to umieć. Gdy twój pracodawca zaczął poświęcać ci więcej uwagi, niż powinien, uciekłaś i przyjęłaś propozycję księżniczki. Wozaków znasz dość dobrze, bo dorastałaś w pobliżu Mandellen, a twój ojciec handlował z nimi przez lata. Dlatego gdy księżniczka Gee’nera zaczęła szukać nowej damy do towarzystwa, bo poprzednia nie zdecydowała się na podróż na północ, przyjęłaś tę pracę. Jako sierota bez majątku nie miałaś nic do stracenia, a księżniczka płaci wystarczająco dobrze, byś w kilka miesięcy odłożyła na solidny posag. Nadążasz, czy mówię za szybko?

— Nadążam. — Kailean poprawiła się na łóżku. — Ale po co mi to?

— Bo w zamku hrabiego będziesz miała niezbyt jasny status. Coś między służącą a damą do towarzystwa. Niewykluczone, że część czasu spę-

dzisz z dala od księżniczki. Wolałabym tego uniknąć, ale są spotkania, na które po prostu nie zaprasza się kogoś spoza arystokracji. Wtedy będziesz miała okazję pokręcić się po zamku, a służba zawsze lubi plotki i opowieści. Tak naprawdę — spojrzenie czarnych oczu zrobiło się bardzo poważne — twoja rola jest trudniejsza niż jej. Wozacy są dla tutejszych ludzi całkowitą zagadką, bandą barbarzyńców ze wschodnich stepów. Nawet w czasach gdy karawany Verdanno jeździły jeszcze po Wyżynie Lytherańskiej, nie utrzymywano z nimi bliższych kontaktów, Olekady to prawdziwy mur graniczny. Gdyby Gee'nera zaczęła nagle jeść, trzymając łyżkę palcami stóp, nawet się nie skrzywią, bo wiadomo, że wszyscy barbarzyńcy tak jedzą. Ale dziewczyna z meekhańskiej rodziny to co innego. To ciebie będą podpytywać o księżniczkę, i to zarówno służący, jak i lepiej urodzeni. Z pewnością zostaniesz przedstawiona hrabiemu i niewykluczone, że zechce on porozmawiać z tobą na osobności. Twoja historia musi być prosta, krótka, niemal banalna. Ale masz ją zapamiętać w najdrobniejszych szczegółach, bo pewnie niejeden raz będziesz musiała ją powtórzyć. Każdy błąd może być dla was ostatnim. Jakieś pytania?

— Dlaczego okolice Mandellen?

— Bo stamtąd, jak słyszałam, pochodzicie. To ułatwia sprawę, nie musisz się uczyć nazw wszystkich miasteczek i wiosek, nie musisz zapamiętywać nowych szczegółów. Poza tym mimo wszystko tutejsi czasem ruszają się z gór. Hrabia wysyła ludzi, by kupowali dla niego końskie uprzęże, skóry czy bydło, bo tak jest taniej, niż korzystać z pośrednictwa kupców. Bratanek hrabiego chętnie jeździ na południe, by na Stepach polować na dropie, wilki i inną zwierzynę. Istnieje cień szansy, że on sam – albo ktoś z jego orszaku – widział cię kiedyś w innych okolicznościach. Pamięć ludzka działa wybiórczo, ktoś może zapamiętać twarz, ale nie przypomni sobie, skąd ją zna. Jeśli wspomnisz, że mieszkałaś w okolicach Mandellen, umysł tego kogoś — Besara postukała palcem w skroń — sam dopowie sobie resztę. Nagle zacznie pamiętać, że widział cię na jakiejś ulicy, gdzie towarzyszyłaś ojcu. Tak to działa.

— A jak wyjaśnimy to?

Kailean podniosła prawą dłoń, pokazując zgrubienia od cięciwy na palcach.

— Łucznictwo to żaden problem. Nawet wśród miejscowych dziewcząt to popularna rozrywka, a tutaj niektórzy sądzą, że na Wschodzie każdy

musi zabić co najmniej trzech Se-kohlandczyków, i to zanim będzie mógł usiąść do obiadu. Uczyłaś się strzelać od najmłodszych lat, tak jak twoje siostry, bo takie jest życie na pograniczu. Gorzej wygląda sprawa blizn.

— Blizn?

Cienki palec wskazał na Daghenę.

— Ty masz bliznę po szabli na lewym barku, coś, co wygląda jak ślad po strzale, która przeszyła ci łydkę, i poszarpaną bliznę tuż nad prawym biodrem. Ona — wskazała na Kailean — bliznę na lewym ramieniu, na łydce coś, co wygląda jak rana zadana widłami, na plecach dwa ślady w okolicach prawej nerki oraz bliznę po długim, ale na szczęście płytkim cięciu biegnącym przez prawe udo. Ładnie się zrosła ta rana, i to nawet bez szwów.

Przez chwilę milczały, skonsternowane.

— Wczorajsza kąpiel — Daghena była szybsza. — Ten szczurzy pomiot…

— Obiecał, że nie będzie was podglądał żaden mężczyzna, i dotrzymał słowa. A dzięki temu nie musicie się teraz rozbierać, żebym mogła was obejrzeć.

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem i Kailean nagle nabrała pewności, że gdyby ta niewysoka przecież, drobna kobieta w skromnej sukni kazała, to rzeczywiście stałyby teraz z Daghenąą gołe i pozwalały się oglądać jak klacze na targu.

Bo tak kazał Laskolnyk.

— Macie blizny jak zawodowi żołnierze. Dla jednej czy dwóch mogłabym wymyślić jakąś bajeczkę, o napadzie sprzed lat czy upadku z konia wprost na sterczący z ogrodzenia gwóźdź, ale takiej kolekcji nie zatuszuje żadna wiarygodna historia. Wprowadzimy zatem verdański obyczaj, zgodnie z którym nikt poza najbliższym otoczeniem nie ma prawa zobaczyć księżniczki krwi bez ubrania. Nie wiem, kto z wami pojedzie, Ekkenhard wciąż się jeszcze nad tym zastanawia, ale z pewnością nie będzie to duży orszak, więc hrabia zaproponuje wam kilka służących do posług. Trzymajcie je na dystans, uważajcie, co przy nich mówicie, i nie pozwólcie, by zobaczyły was nago. Kąpiel tylko w towarzystwie Inry, pod osłoną jakichś parawanów. To samo dotyczy ciebie, choć tu ścisłej prywatności nie da się tak łatwo usprawiedliwić, możesz korzystać z wody po kąpieli jej książęcej wysokości. Zrozumiałyście?

Przytaknęły.

— Od teraz wprowadzamy też kilka nowych zasad. Po pierwsze Kailean i Daghena nie istnieją. W tej komnacie przebywają tylko Inra i Gee’nera. Tak macie się do siebie zwracać i tylko na te imiona reagować. Przy czym ty, Inro, masz zachowywać w stosunku do księżniczki pełen szacunku dystans. Może to być szacunek podszyty sympatią, ale żadnego poszturchiwania, przeklinania i głupich odzywek. Ona płaci ci sporo pieniędzy, a jeśli stracisz tę pracę, nie będziesz miała gdzie się podziać, bo jesteś tylko ubogą sierotą. Myśl w ten sposób, bo jeden błąd i możecie zginąć. Pamiętajcie, po co tam idziecie. Jeśli podejrzenia Szczurzej Nory są prawdziwe, wasze życie zależy od jednego niewłaściwego grymasu i uśmiechu. Rozumiecie?

Cholera, Kailean poprawiła się na łóżku, na pewno jesteśmy od niej silniejsze i na dodatek mamy broń, ale to ona tu rządzi. To nie gra żelaza i stali, ale podstępów i sekretów. Zacisnęła dłonie.

To nie nasz świat.

Przytaknęła.

— Po drugie od teraz ubieracie się w — Besara uśmiechnęła się uroczo — odpowiednie stroje. Chodziłyście kiedyś w sukienkach, prawda? Nie, nie… to tylko żarcik, ale koniec z portkami i szytymi na męską modłę koszulami. Dla ciebie, Inro, mam kilka sukienek, skromnych, ale w dobrym guście, dla księżniczki kilka tradycyjnych verdańskich ubiorów, całkiem ładnych. Do tego pończochy, bielizna, trochę kosmetyków. Żadnych szabel, noży, sztyletów.

— Mamy wejść z gołymi rękami między wilki?

— Zdziwisz się, dziecko, ile broni może mieć przy sobie skromna dama do towarzystwa i co można zrobić człowiekowi za pomocą zwykłego lusterka z polerowanej stali. Pokażę wam. Po trzecie — zaklaskała energicznie — koniec z chłodem i wilgocią.

Drzwi otworzyły się i wszedł Ekkenhard z jeszcze jednym mężczyzną. Taszczyli zawieszony na drągu żelazny kosz wypełniony po brzegi wielkimi otoczakami. Nawet siedząc na łóżku, dało się wyczuć bijące od nich gorąco.

— Przyniosą jeszcze jeden i będą je wymieniać kilka razy dziennie. W takich warunkach, jakie mamy tutaj, człowiek wolno myśli i źle zapamiętuje ważne rzeczy. A to bardzo niedobrze, mam rację?

Obie popatrzyły na kosz, czerwonego z wysiłku Szczura i uśmiechnęły się szeroko. Dzień chyba skończy się lepiej niż wszystkie poprzednie.

— Ma pani oczywiście rację, pani Besaro.

* * *

Key’la myknęła w krzaki i przylgnęła do ziemi. Ostra górska trawa drapała nieprzyjemnie nagie ramiona, ale ona nie zwracała na to uwagi. Nee’wa była już blisko i lada moment mogła ją zauważyć. Nigdy jej nie znajdą. Nigdy, nigdy, nigdy!

Wtuliła twarz w kępkę mchu i wstrzymała oddech.

Nigdy!

Siostra wyszła zza drzewa, rozejrzała się z nieco przestraszoną miną, otworzyła usta, lecz po chwili zrezygnowała z nawoływania. Nie ma sensu nawoływać kogoś, kto ucieka, wykrzykując, że już NIGDY nie wróci. Przynajmniej dopóki ten ktoś nie ochłonie i sam nie będzie chciał zostać odnaleziony.

No i oczywiście pozostawała jeszcze sprawa lasu. Drzew, krzaków, kęp trawy wyglądających jak sierść jakichś przyczajonych bestii, cieni, dziwnych szelestów, tajemniczych odgłosów i tego, że grunt – zamiast jak bogowie kazali leżeć płasko – wznosił się, coraz większą stromizną, a drzewa, tylko dzięki jakimś magicznym sztuczkom, rosły pionowo. I tego, że zwyczajnie dyszała po przebiegnięciu ledwo połowy mili, bo nogi nie przywykły do wspinaczki.

Przerażające miejsce.

Key’la patrzyła, jak Nee’wa mija jej kryjówkę i idzie dalej. Nie odezwała się, nawet nie drgnęła, mimo że i twarz siostry, i cała sylwetka wyrażały niemą prośbę. Znajdź się, znajdź się, proszę! Przepraszam!

Nie! Nigdy jej nie wybaczy tego, co powiedziała! Nigdy! I nigdy nie wróci do domu!

Wszystko zaczęło się dziś rano. Obozowiska wciąż się rozrastały, kolejne wozy wjeżdżały do doliny nieprzerwanym strumieniem i zajmowały wyznaczone miejsca. Powstało już osiem wielkich czworoboków, a miały się pojawić jeszcze dwa. Czterdzieści tysięcy wozów, największe zgromadzenie Verdanno w historii. I oby nie ostatnie, powtarzał ojciec, a jego posępna twarz marszczyła się wtedy gniewnie.

Key’la nie bardzo orientowała się w tym wszystkim.

Mieli jechać na wschód, tak wszyscy mówili, a wyruszyli na północ; mieli odebrać Se-kohlandczykom ziemię przodków, piękną, wielką wyżynę, po której wozy Verdanno jeździły przez tysiąc lat, a wjechali między wysokie, strome niczym mury zamku szczyty, które wyglądały, jakby były gotowe zmiażdżyć ich swoim ciężarem. Wielkie wozy bojowe, wydałoby się niezwyciężone na Stepach, tutaj, w obliczu tych gór, stawały się nagle takie… takie kruche. Ludzie w obozach starali się nie patrzeć na otaczające ich wierzchołki, omijali je wzrokiem, skupiali uwagę na najbliższym otoczeniu, sprzątaniu, gotowaniu posiłków, dbaniu o zwierzęta, ćwiczeniach. A wieczorami, gdy słońce chowało się za granie, szybko zamykali się w wozach i szli spać.

Tylko nie Nee’wa. Średnia siostra wymykała się wieczorami na jakieś tajemnicze spotkania, niezauważona, bo Ana’we spędzała te chwile w gronie dorosłych już kobiet i panien na wydaniu, pikując grube, skórzane maty, które miały chronić grzbiety i boki koni w czasie walki, opierzając drzewce strzał, warząc lecznicze maści i driakwie. W trakcie tych spotkań dostojne matrony obserwowały dyskretnie urodę dziewcząt, ich zręczność w pracy, ogładę, grzeczność i skromność. Choć ojciec kręcił na to nosem i powtarzał, że te stare kobyły patrzą raczej na ich stroje i na to, ile złota i srebra dziewczyna na siebie założy; jakby i tak wszyscy nie wiedzieli, jaki majątek mają sąsiedzi.

Mimo wszystko jasne było, że najstarsza z sióstr wystawia się na sprzedaż. Liczba młodych mężczyzn, którzy ostatnio przychodzili do kuźni z byle drobiazgiem do naprawy, była imponująca. Ich sąsiedzi w obozie śmiali się, że córka napędza And’ewersowi klientów. I jako panna na wydaniu sypiała ona teraz na wozie ojca, w specjalnie dla niej przeznaczonej części z osobnym wejściem.

A Nee’wa, korzystając z tego, że w wozie sypialnym zostały we dwie, wymykała się wieczorami i wracała dopiero nad ranem, rozgrzana, zarumieniona i zdyszana. Key’la wreszcie nie wytrzymała i powiedziała jej, że wie o tych nocnych wycieczkach i że jeśli Nee’wa nie zabierze jej ze sobą, wszystko powie ojcu.

„Ty mały szpiclu”. Starsza siostra wysyczała jej to w twarz z taką miną, że przez chwilę myślała, że Druga ją uderzy. „Wołałabym, żebyś to ty umarła, a nie mama!”.

Key’la wypadła wtedy z sypialnego, wymknęła się przez przejście w murze wozów bojowych i pomknęła w stronę lasu. Smyrgnęła między pnie, słysząc, jak siostra biegnie za nią, ale to nie miało znaczenia.

Jak ona mogła?! Jak mogła?!

Zanim się zorientowała, biegła pod górę, wspinając się między drzewami, czepiając korzeni i kęp trawy, coraz wyżej i wyżej. Na ostrym źdźble rozcięła palec, rozdarła tunikę na jakiejś gałęzi, przeciskając się przez krzaki, zostawiła na nich garść włosów. Nieważne.

Jak mogła?! Jak?!

Dopiero teraz, gdy leżała na ziemi – wdychając zapach poszycia, mchu, mokrej ziemi, rozkładających się igieł i liści – poczuła, jak wstrząsa nią szloch. Nee’wa!

Jak mogła?

Key’la zapłakała bezgłośnie, tak jak nauczyła się tego przez długie miesiące po śmierci mamy, jakby obok spała czujnym snem któraś z sióstr.

Ja też bym wolała umrzeć, żeby tylko mama żyła.

Nigdy nie wróci! Nigdy, nigdy!

Z tej części lasu, gdzie zniknęła Nee’wa, dobiegł ją nagle trzask gałęzi i coś jakby stłumiony okrzyk. Dziewczynka przestała płakać, wsłuchała się w nagłą ciszę. Jej siostra pewnie się przewróciła, pomyślała mściwie, dobrze jej tak. Zaraz będzie wracać, brudna i w potarganym ubraniu. I dobrze! A jak ją ojciec tak zobaczy, to będzie miała karę!

Czekała, nasłuchując kroków wracającej siostry, nieruchoma jak przyczajone zwierzątko. Nic. Cisza. Cisza absolutna, umilkły wszelkie ptaki i drobne stworzenia, i nawet wiatr przestał szeleścić w koronach drzew. Las zamarł.

Key’la nagle zorientowała się, że sama stara się nie drgnąć i niemal nie oddycha, jakby ten niewidzialny całun ciszy, który spowił okolicę, i jej spętał członki. Coś się stało, coś złego, co odebrało głos wszelkim żywym stworzeniom. Wyobraźnia podsunęła jej obraz siostry leżącej z rozbitą głową w jakiejś jamie czy wykrocie, i z tym obrazem złość i gniew gdzieś się ulotniły. Trzeba biec po pomoc… Poderwała się, zrobiła dwa kroki w stronę obozu i stanęła, porażona jedną myślą. Nie znajdzie już tego miejsca. Nawet jeśli sprowadzi pomoc, nie odnajdzie tego fragmentu lasu, tych

drzew i krzewów. Las jest wszędzie taki sam. A Nee’wa będzie tam leżeć w jakiejś dziurze, póki nie umrze.

Jak mama.

Key’la odetchnęła głęboko, otrzepała tunikę i ruszyła w ślad za siostrą. Krzyk rozległ się ledwo kilka chwil po tym, jak straciła ją z oczu, nie mogła odejść daleko. Byleby nie wpaść do tej samej jamy. Przeszła przez zarośla i znalazła się na niewielkiej polance, pośrodku której rosła potężna sosna.

To nie jama, zrozumiała.

Było ich trzech, ubranych dziwacznie, w kapturach rzucających głębokie cienie na twarz. Jeden trzymał Nee’wę za ręce, drugi siedział na nogach dziewczyny i wodził dłońmi po jej ciele: piersiach, brzuchu, szyi. Szeptał coś, zbyt cicho, by rozpoznać słowa. Ostatni przyglądał się temu z boku; ręce założone na piersi, nogi szeroko rozstawione. Ten właśnie ją spostrzegł, nie zdziwił się, nie krzyknął ostrzegawczo, tylko oczy błysnęły mu spod kaptura i wykonał krótki gest, a nogi Key’li nagle poderwały się w powietrze, przeleciała w powietrzu dobre dziesięć stóp i walnęła na ziemię obok siostry. Coś spadło jej na plecy, unieruchomiło.

Patrzyła, bo tylko to mogła zrobić, jak ten, który dotykał Nee’wę, sięga pod ubranie i wyciąga nóż. Długi, szary i bez wątpienia ostry. Odwrócił się ku przywódcy i zamarł. Key’la nigdy nie widziała tak nijakiej, bezbarwnej twarzy. Jakby coś spłukało z niej wszystkie kolory. I te oczy, martwe jak u śniętej ryby.

Nagle coś dotknęło jej szyi i poczuła chłód. Nóż, zrozumiała w jednej, przerażająco krótkiej chwili. Taki sam, jaki gładził teraz skórę jej siostry. Zabiją nas – świadomość tego, co zaraz się stanie, paraliżowała jak trucizna krążąca w żyłach. Zabiją, a potem pójdą sobie, jakby nic się nie stało. W szarych oczach stojącego pod drzewem mężczyzny rozsiadła się lodowata obojętność. Wydawał się znudzony tym, co robi, i tym, gdzie jest. Key’la wiedziała, jakiś szósty zmysł podpowiadał jej, że w chwili, gdy odwróci się do nich plecami, znikną z jego pamięci. Tak niewiele znaczyły.

— Przeszkadzacie.

To, że się odezwał, było tak zaskakujące, że z początku nie zrozumiała, co mówi, mimo iż posługiwał się meekhem.

— Jesteśmy blisko, ale wy przeszkadzacie. Ucieknie nam. Ale możemy dokonać wyboru. Jedna umrze, druga nie. Która?

Nee’wa szarpnęła się, zapiszczała. Key’lę ogarnęło paraliżujące odrętwienie. Jak to: umrze? Czym innym jest spodziewać się, a czym innym usłyszeć wyrok, wypowiedziany beznamiętnym, obojętnym tonem.

A potem kilka rzeczy wydarzyło się jednocześnie.

Wężowy splot wyskoczył znad krzewów otaczających polankę, spadł na głowę tego, który się odezwał, i pociągnął go w tył. Mężczyzna nawet nie jęknął, sapnął tylko, zacharczał, wczepił się palcami w dławiącą gardło pętlę, a wtedy coś wyskoczyło zza krzaków, wysoko, jakby wyrzucone katapultą, spadło mu na plecy i szarpnęło pazurami, a gardło zaatakowanego zmieniło się w plujący krwią krater.

Mężczyźni przytrzymujący siostry na ziemi poderwali się, sięgnęli po broń. A stworzenie, które ich zaatakowało, już było między nimi.

Ten, który siedział na plecach Key’li, zachłysnął się nagle, zaświstał dziwacznie, zatoczył do tyłu. Drugi wydał zdumione, pełne niedowierzania stęknięcie, coś wypadło mu z dłoni wprost przed twarz Key’li, nie, to była jego dłoń, odcięta w nadgarstku, palce wolno prostowały się, uwalniając rękojeść długiego noża. Dziewczynka widziała to wyraźnie, dłoń była blada, o długich palcach i równo przyciętych paznokciach, takie szczegóły uderzały w nią, jakby groza filtrowała to, co dzieje się wokół, nie potrafiłaby powiedzieć, jakie ten mężczyzna miał spodnie i ile zrobił kroków, lecz dłoń o równo przyciętych paznokciach zapamięta do końca życia. W następnej chwili obcy zagulgotał, złapał się drugą ręką za szyję i znikł w krzakach.

Ostatni z napastników odskoczył pod stojące pośrodku polanki drzewo, oparł się plecami o pień, jakby zmalał, zwarł w sobie. W obu rękach trzymał noże.

A ten… to, co ich zaatakowało, przepadło. Key’la ośmieliła się unieść głowę, rozejrzeć – nic. Dwa trupy, trzeci napastnik jak wrośnięty w drzewo, cisza. Nie, nie cisza, szelest z lewej, potem z prawej, trzask gałązki, odgłos roztrącanych liści. Mężczyzna pod drzewem sięgnął do kaptura, odrzucił go na plecy. Miał jasne, niemal blade oczy, szare, jakby szpakowate włosy, zwykłą twarz. Nic nadzwyczajnego. A jednak… Key’la może i minęłaby go na jakiejś ulicy, nie oglądając się ani razu, lecz teraz odkryła, że nie może oderwać wzroku. W mężczyźnie było coś nieludzkiego, trzymające broń ręce nawet nie drgnęły, pierś zdawała się nie poruszać, oczy nie strzelały na

boki. Tkwił nieruchomo, jak spętany zaklęciem, jakby trupy plamiące krwią ziemię nie miały z nim nic wspólnego.

A potem odezwał się, a ona nic nie zrozumiała. To było krótkie zdanie, ledwo parę słów rzuconych obojętnym, jakby znudzonym tonem, i to z pewnością nie w meekhu. Ani w żadnym innym języku, z którym Key'la zetknęła się, żyjąc w tym wieloplemiennym kotle, jakim była wschodnia granica.

I nadeszła odpowiedź. Coś śmignęło wokół pnia na wysokości szyi mężczyzny, owinęło się wokół niej, a jego samego przycisnęło do drzewa. Oba noże skoczyły ku pętli, ostrza wślizgnęły się pod linkę, próbowały ją przeciąć, widać było, jak prężą się mięśnie, jak mężczyzna wkłada wszystkie siły w próbę powstrzymania nieuniknionego. A linka przesunęła się nagle w prawo i zaraz w lewo, nabrzmiała czerwienią, pijąc krew z rozciętych tętnic, i nie bacząc na ostrza noży, cięła dalej.

Mężczyzna zacharczał, pochylił się tak mocno w przód, że oderwał szyję od pnia, ale po chwili rzęził już tylko i dygotał, szarpał się, orał butami wilgotną od krwi ziemię. Oba noże wypadły mu z rąk, a on sam zawisł w półprzysiadzie. A linka piłowała dalej, ocierając się o kręgi. A potem z wilgotnym mlaśnięciem jeden jej koniec znikł za drzewem i niedoszły morderca upadł między korzenie.

Cisza.

Taka, jak przed mniej więcej kwadransem. Ani jeden ptak, ani jedno zwierzę nie dawało znaku życia. Las wstrzymał oddech.

Siostry leżały na ziemi, obok nich trzy trupy, po tajemniczym napastniku ani śladu. I nagle gdzieś zaćwierkał ptak, dzięcioł wystukał szybki rytm na korze pobliskiego drzewa. Cisza odeszła.

— Nee'wa…

Siostra spojrzała na nią błędnym wzrokiem, oczy miała jak spodki.

— Key… Key, znalazłam cię.

— Tak… znalazłaś… Dlaczego szepczesz?

— A ty?

— Nie wiem… Chodźmy do obozu…

Wstały powoli, nie patrząc na trupy, wzięły się za ręce. Dłoń Nee'wy była zimna jak lód.

— Wiesz, gdzie jest obóz?

— Wystarczy, że będziemy szły w dół.

— Kto…?

— Nie wiem, Nee. Ale cieszę się, że przyszedł. Chodź. Chodź za mną.

Ruszyły w dół, nie oglądając się za siebie. Gdy tylko wydostały się z polanki, a krzewy odcięły je od widoku okropności, przyspieszyły. Key’la jednak zatrzymała się nagle, odwróciła, szybkim ruchem dotknęła ust i serca.

„Dziękuję”.

Rozdział 2

Stajenni. Kenneth spojrzał jeszcze raz po twarzach swoich dziesiętników i uznał, że jeśli on sam miał taką minę, gdy Kawer Monel wręczał mu rozkaz, to tylko przypadkiem uniknął nagany za lekceważenie starszego stopniem albo niesubordynację. Stajenni – odpadki z odpadków.

Czarny miał rację w dwóch sprawach.

Po pierwsze – oddziały, które przysłano, żeby wzmocnić Regiment Wschodni, były najmniej wartościowe ze wszystkich, jakie dowódcy pułków mieli pod ręką. Niektórzy posuwali się do tego, że formowali kompanie specjalnego przeznaczenia, wybierając po kilka dziesiątek – albo wręcz po kilkudziesięciu żołnierzy – z pułku i wysyłali ich na wschód. Nikt, a już na pewno żaden normalny oficer, dobrowolnie nie pozbędzie się najlepszych ludzi, nie odda ich pod obce dowództwo. Gdyby nie ta nieszczęsna potyczka ze Szczurami, Szósta najpewniej nadal stacjonowałaby w Belenden.

A po drugie, to mimo wszystko byli dobrzy żołnierze. Może trochę bardziej niezdyscyplinowani, bardziej krnąbrni czy też mniej doświadczeni niż średnia w Górskiej Straży, lecz nadal strażnicy. Nie na darmo pierwszy kontrakt w Straży zawierano najczęściej na rok. Na próbę. Po roku odchodziłeś, zostawałeś albo byłeś martwy. Żaden z tych, którzy dotarli w Olekady, nie służył krócej niż rok.

Oczywiście mógł z nimi być ten sam problem, który Kenneth miał na początku ze swoimi ludźmi. Poczucie krzywdy za niesłuszne usunięcie z rodzimego pułku i przeniesienie na obcy teren. Niemniej wszyscy wiedzieli, że będą służyć pod Kawerem Monelem – Czarnym Kapitanem, u boku jego Bękartów. Kenneth nieraz rozmawiał w kantynie z innymi oficerami czy podoficerami i żaden z nich nawet się nie skrzywił, wspominając przeniesienie. Służba w Olekadach to był zaszczyt.

Ale i tak w takiej masie żołnierzy znalazła się garstka, z którą nawet Czarny nie wiedział, co zrobić. To znaczy, jak sam powiedział, zamieniłby

ich w żołnierzy, gdyby dać mu czas, ale czasu nie miał. W zamian za to postanowił dołączyć ich do Szóstek.

Wśród tych trzydziestu czterech strażników była Trzecia Dziesiątka z Ósmej Kompanii Jedenastego Pułku, która utraciła swojego podoficera w drodze na wschód. Utraciła w tak niejasnych okolicznościach, że po trzymiesięcznym śledztwie odstawiono ich na bok, rzecz bez precedensu, bo Górska Straż zazwyczaj wyjaśniała każdą taką sprawę do końca. Ale ta dziesiątka szła w zaparte i nikt – nawet Szczury – nie potrafił dociec, co zaszło. Pozostali mieli na koncie taką liczbę wykroczeń i nagan, że od stryczka dzieliło ich zazwyczaj jedno krzywe spojrzenie na oficera. I większość popełniła te wykroczenia już na miejscu, w Olekadach. Przynajmniej tak wynikało z dokumentów, które Kenneth dostał z dowództwa.

Trzydziestu czterech ludzi i ani jednego podoficera.

Andan pierwszy pokręcił głową.

— Jest pan pewien, panie poruczniku, że nie napluł mu pan do zupy? Albo, no nie wiem… nie zdeptał przypadkiem grządki ulubionych nasturcji?

Andan kiepsko żartował. Mimo to Velergorf klepnął go w ramię, krzywiąc wytatuowaną twarz.

— Dobre. Ale Czarny nie lubi tych… nasrucji, czy jakoś tak. Co do zupy, to nie jestem pewien.

Siedzieli w szałasie, wprost na klepisku. Między nimi leżał rozkaz z pieczęcią Czarnego i sterta papierów. Tutejsza wojskowa biurokracja nie różniła się od tej w innych pułkach i każdy z nowo przybyłych żołnierzy był już wciągnięty w jej tryby. Najczęściej oznaczało to kartkę papieru z imieniem, nazwiskiem, stopniem i krótkim przebiegiem służby. W przypadku niektórych Stajennych kartki zostały już zapisane obustronnie.

Kenneth postanowił, że zanim pójdą po nowych żołnierzy, zapozna dziesiętników z rozkazami. Reszta kompanii w tym czasie rozłożyła się wokół obozu, czyszcząc broń, natłuszczając ekwipunek, ćwicząc i udając, że nagłe zebranie dowódców w ogóle jej nie interesuje.

— Przymknijcie się, to nie jest zabawne. Chcieliśmy posiłków, to je mamy. Tylko że, do cholery, trafiło nam się coś, czego nie życzyłbym najgorszemu wrogowi. Zacznijcie więc myśleć. Proszę.

— Powiedział pan „proszę”? — Bergh uniósł brwi.

— Tak. — Kenneth uśmiechnął się bez śladu wesołości. — Tak jak Czarny do mnie. To żebyście wiedzieli, jak jest źle. Dostaliśmy trzydziestu czterech ludzi, w tym żołnierzy podejrzewanych o zabójstwo podoficera i kilkunastu takich, którzy powinni dawno siedzieć w ciemnicy. Ani jednego dziesiętnika. Który z was odda własnych ludzi zastępcy i przejmie nad nimi kontrolę?

Zapadła cisza. Cała trójka znalazła nagle niesłychanie interesujące rzeczy na klepisku i ścianach szałasu.

— Tak myślałem. Będzie trzeba wyznaczyć podoficerów z tej gromadki, ale nie wcześniej niż za kilka dni, gdy przekonam się, który ma do tego dryg. Na początek brąz z czernią, żeby było wiadomo, kto jest wyższy szarżą.

Kilka kiwnięć głowami potwierdziło słuszność tej decyzji.

— Zgodnie z tym — wskazał na rozkaz takim gestem, jakby to był krowi placek — mamy ich przejąć do wieczora. Jest jeszcze trochę czasu. Kto ma znajomych w Ósmej?

— Ja. — Andan skinął głową. — Dwóch moich znajomych tam służy.

— Dobrze. Popytasz ich o tę dziesiątkę, której podoficerowi nagle i tajemniczo się zmarło.

— Nie zmarło — brodaty dziesiętnik pokręcił głową — tylko zaginęło. W połowie drogi na wschód. Poszedł na patrol ze swoimi ludźmi i znikł, a oni nie potrafią powiedzieć, co się z nim stało. Tyle wiem.

— Więc podpytasz o resztę. Ludzie nie znikają ot, tak sobie, a Straż nie zostawia swoich w górach bez wyjaśnienia, co się z nimi stało. Musi w tym być coś więcej. Varhenn, ty pogadasz z kuzynami, chcę wiedzieć, ile się da, o pozostałych, te papiery wyglądają paskudnie, ale aż tak źle, do cholery, być nie może. Niektórzy z nich mają za sobą po kilkanaście lat służby, dawno by ich wyrzucono albo powieszono, gdyby zarabiali nagany w takim tempie, jak tu.

Odkąd przybyli do Kehlorenu, Velergorf uznał za swój obowiązek nawiązywanie znajomości ze wszystkimi dziesiętnikami, jakich spotkał, ze szczególnym uwzględnieniem tych pochodzących z Bergen. Kuzyni, jak ich nazywał, przyjmowali go ze szczerą radością, a tradycyjne bergeńskie rozrywki, jak rzucanie toporem do celu albo ciskanie pięćdziesięciofuntowym głazem, gromadziły zawsze spory tłumek kibiców. Kenneth dopiero obserwując przegląd kompanii pochodzących z pułków rozrzuconych wzdłuż

całego Wielkiego Grzbietu, dostrzegł, że w niemal każdej znajdowali się żołnierze z charakterystycznymi klanowymi tatuażami na twarzach i wierzchach dłoni. „Lubimy zwiedzać świat”, mruknął zapytany o to Velergorf. I zaraz dodał „Jak jakiś młodzik coś przeskrobie, to najczęstszą karą jest kilkuletnie wygnanie z rodzinnych stron. To co ma robić ktoś bez ziemi i pieniędzy, potrafiący tylko toporem machać? Ma do wyboru wojsko albo zbójowanie. To już taka tradycja, że idzie się do Straży. A potem niektórzy zostają na stałe. Jak ja”.

Kenneth wtedy taktownie nie zapytał, co takiego przeskrobał sam Velergorf. I nadal nie miał takiego zamiaru. Odwrócił się do Bergha.

— Jak psy?

— W porządku, panie poruczniku. — Dziesiętnik wyraźnie się zdziwił. — Cały tuzin.

— Dobrze. Jak przyjdą nowi, dopilnujesz, żeby nauczyły się ich zapachów.

— Tak jest! — Bergh wyglądał na zadowolonego, z psami poradzi sobie bez problemów.

— Zanim postawimy nowe szałasy, musimy rozbić namioty.

— Będą trzymać wartę razem z nami, panie poruczniku? — Andan uniósł brwi. — Teraz, gdy polujemy?

— To strażnicy, jak ty i ja. I albo będziemy ich traktować jak strażników, albo wyprowadzimy w góry i przytrafi nam się mały wypadek, po którym zamelduję o zaginięciu trzydziestu czterech żołnierzy. Poza tym nasze rozkazy nie zostały odwołane, siedzimy tu i mamy na wszystko oko.

Dziesiętnicy pokiwali głowami.

— Bergh, zostajesz w obozie, rozstaw ludzi, potem wyślij kilka patroli z psami po okolicy, do każdego dołącz tropiciela. Czarny chwalił się, że jego Bękarty podchodziły nas nocą. Chcę wiedzieć jak i gdzie. Varhenn i Andan, poszukacie informacji o naszych uzupełnieniach, ja przejrzę resztę papierów. Trzy godziny przed zachodem słońca spotkamy się jeszcze raz, powiecie mi, czego się dowiedzieliście. A potem ich dołączamy.

Trzech mężczyzn zasalutowało jednocześnie.

— Do roboty.

* * *

— Plecy prosto, długie, wolne ruchy, nie zmuszaj ich na razie do układania się wbrew naturze. Każde włosy lubią to robić po swojemu. Nie nachylaj się tak, trzymaj dystans. Jeśli to ty będziesz umiała czesać księżniczkę, to hrabia nie wepchnie wam dodatkowej służącej w tym celu. Ilu ma synów?

— Trzech, Ewensa, Aeryha i Ywrona. Pierwszych dwóch z pierwszą żoną, ostatniego z drugą.

Kailean stała za plecami Dagheny i ją czesała. Dag miała włosy średniej długości, w sam raz na zgrabny warkocz, i przez ostatnie lata chyba nic innego z nimi nie robiła. Taka fryzura dobrze się sprawdza w czasie wściekłego cwału, walki czy noclegu na ziemi, z siodłem pod głową. Kailean sama najczęściej zadowalała się właśnie nią, bo solidnie zapleciony warkocz można nosić wiele dni. Mimo takiego traktowania włosy Dagheny pozostały piękne, smoliście czarne, mocne i jednocześnie jedwabiste w dotyku. W porównaniu z nimi jej własne, cienkie jak babie lato, delikatne i nijakie, mogły budzić jedynie współczucie.

— Który dziedziczy tytuł?

— Aeryh, drugi z braci. Pierworodny stracił nogę w wypadku sześć lat temu, a zgodnie z tutejszą tradycją, kto nie zdoła samodzielnie przejść mili w tysiąc uderzeń serca, nie może dziedziczyć.

— Tysiąc uderzeń serca, czyli…?

— Kwadrans.

— Skąd się wziął ten zwyczaj?

Kościany grzebień zamarł, po czym podjął pracę.

— Nie wiem, pani Besaro.

To była pierwsza rzecz, jaką ustaliły. Jeśli czegoś nie wiesz, mówisz to od razu, nie kręcisz i nie bajdurzysz. To ułatwia pracę, powiedziała ich nauczycielka i stosowała tę zasadę bezwzględnie. Tym bardziej że na początku ustaliła, iż za przyznanie się do niewiedzy nie będzie kary, a za kręcenie – owszem. Na przykład zimna woda do mycia. I brak koszy z gorącymi kamieniami.

Besara skinęła głową i wyjaśniła:

— Kiedy pierwszy cesarz Fregan-ken-Leow tworzył armię, powołał pod broń wszystkich mężczyzn w Starym Meekhanie. Ale do ciężkiej piechoty, elity zdolnej oprzeć się furii świętych legionów Sióstr Wojny, zaprzysięgał

tylko tych, którzy ze stufuntowym obciążeniem potrafili przebyć milę w kwadrans, czyli według tutejszej miary czasu w tysiąc uderzeń serca. Powiedział wtedy: oto najlepsi, najpierwsi synowie miasta. Stąd zwyczaj, że tytuł szlachecki dziedziczy ten z synów, który potrafi powtórzyć ten wyczyn. Oczywiście, jeśli więcej dziedziców jest dobrymi piechurami, decyduje pierwszeństwo urodzenia. Nie przestawaj czesać, niech twoje dłonie same zapamiętują rytm.

Starsza kobieta wstała z krzesła, wzięła ze stołu lampkę i obeszła dziewczyny dookoła. Daghena siedziała sztywno wyprostowana, a tradycyjny strój verdańskiej księżniczki, składający się z szerokiej spódnicy, bluzki ozdobionej kwietnymi wzorami i błękitnego gorsetu, błysnął złotem i srebrem na haftach, guzikach i biżuterii. Kailean widywała nieraz w obozach Verdanno tak ubrane dziewczyny, zwłaszcza te należące do znaczniejszych rodów, i bez oporu przyznała, że jej przyjaciółka wygląda w nim lepiej niż większość rodowitych Wozaczek. Sama musiała zadowolić się skromną, zieloną sukienką z prostym kołnierzem i krótkimi mankietami. Dostała ich kilka, różniących się między sobą tylko kolorem. Od ponurego brązu do zimnego błękitu. Na pewno nikt nie będzie miał wątpliwości, kto jest panią, a kto sługą.

Besara skinęła zadowolona głową i kontynuowała:

— Ta informacja nie jest z tych, które ocalą wam życie, ale ma kluczowe znaczenie, jeśli chodzi o zrozumienie miejscowej arystokracji. Oni są bardziej meekhańscy od samego cesarskiego dworu. Kultywują tradycje i obyczaje, które w centralnych prowincjach odeszły już w niepamięć. A jeden z tych zwyczajów pozbawił pierworodnego syna hrabiego prawa do tytułu. Suknie, które masz nosić, droga Inro, wyglądają niemal tak samo, jak te sprzed trzystu lat. Skromność, prostota, żadnych gorsetów, haftów czy ekstrawaganckich ozdób w stylu koronkowego kołnierzyka. Tak ubierają się tutaj nawet hrabianki, jak przystało na córki, żony i matki meekhańskich wojowników, zdobywców połowy świata. — Nawet gdyby od tego zależało jej życie, Kailean nie potrafiłaby doszukać się w głosie Besary śladu kpiny. — Z tym że ci tutaj, nasi hrabiowie i baronowie, przemienili pamięć o czynach przodków w coś w rodzaju kultu, umacniającego meekhańskie prawo do dominacji nad innymi. I uważają, że wszyscy powinni tak właśnie myśleć. W zamku hrabiego wszędzie wisi broń, tarcze, zbroje, a malowidła przedstawiają wyłącznie sceny batalistyczne. Lecz tutejsza szlachta, mimo że tak mocno podkreśla militarną tradycję Imperium, niezmiernie rzadko

wstępuje do armii. Ma też niewiele okazji, by wykazać się w walce: na wschodzie odgradzają ją od wrogów Olekady, na zachodzie ma Law-Onee, spokojną i nudną prowincję, północną granicę trzyma Górska Straż. Mimo wszystko niedobrze jest, jak by to powiedzieć, nie okazywać należytego podziwu dla ich męstwa. Rozumiecie?

Obie skinęły głowami.

I pomyśleć, że dzień dopiero zbliżał się do wczesnego popołudnia. Sposób, w jaki ta drobna kobieta nimi zawładnęła, mógł być znakomitym przykładem, jak w kwadrans pozbawić kogoś samodzielności i własnej woli. Pani Besara potrafiła przemóc wszelkie obiekcje i protesty kamienną miną i jednym uniesieniem brwi, któremu towarzyszyło krótkie „To wasze życie, mnie tam nie będzie". Na jej rozkaz zmieniały raz po raz stroje, póki nie uznała, że ubrały się w odpowiednie suknie. Odebrała im broń, i to do ostatniego nożyka, po czym kazała zapomnieć, jak się nią włada. W czasie śniadania i obiadu przeszły przyspieszony kurs dobrych manier, do których zaliczało się między innymi nietrzymanie łokci na stole, niesiorbanie, jedzenie małymi kęsami, niemówienie z pełnymi ustami, używanie właściwej łyżki do gorących zup, właściwej do chłodników i właściwej do deserów.

Oraz absolutny, całkowity i bezwzględny zakaz bekania.

No i oczywiście przez cały czas Besara nie tyle mówiła, ile przemawiała, zalewając je potokami informacji, mniej lub bardziej istotnych, lecz zawsze krążących wokół miejscowej arystokracji. Potrafiła, jeśli jej nie przerwały, gadać przez dwie godziny, ucząc je jednocześnie, jak chodzić, siedzieć, mówić, trzymać głowę i co w każdej z tych sytuacji robić z rękami. A właściwie uczyła tego Kailean, bo Daghena miała prostszą rolę: pouśmiechać się, porobić zdziwione miny, pozachwycać potęgą i majestatem rodu hrabiego. Jej nikt nie będzie przesłuchiwał ani nie weźmie na spytki.

— Dobrze, teraz fryzura, ten kosmyk zapleć, dobrze, związ, upnij. Nieźle, włosy z dołu rozczesz jeszcze raz, podepnij na szczycie głowy, wyżej, niech odsłonią szyję. Dobrze, spinki. Jedna tu, druga tu, szpilka do włosów, tak, ta z perłami, zawsze uważałam, że blondynki nie powinny nosić szpil z perłami, bo giną w jasnych lokach, za to komuś z takim odcieniem włosów nie pasuje nic innego. Wyglądają jak gwiazdy na nocnym niebie.

Kailean była gotowa przysiąc, że Daghena lekko się zarumieniła.

Cofnęła się o dwa kroki i, cholera, musiała przyznać, że Dag wygląda… jak prawdziwa księżniczka. Wysoko upięte włosy odsłoniły smukłą szyję,

twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi, małymi ustami i lekko skośnymi oczyma miała ten cudowny wyraz naiwności i dziewczęcego rozmarzenia, który sprawiał, że większość mężczyzn gapiłaby się na nią jak pies na kiełbasę. Nagle poczuła się dwa razy brzydsza, w tej swojej prostej sukience i byle jakiej fryzurze.

— Dobrze. — Besara nareszcie sprawiała wrażenie zadowolonej. — Co prawda możesz wyglądać dziesięć razy lepiej, ale nie przesadzajmy. W końcu jej książęca wysokość jest w podróży i nie ma czasu na fanaberie. Wieczorem jeszcze raz przećwiczysz to uczesanie. Do waszego wyjazdu mamy kilka dni, sądzę, że zdążysz nauczyć się jeszcze czterech lub pięciu takich fryzur. Więcej wam nie będzie potrzebne.

Kailean uniosła dłoń i – sama tym zaskoczona – dygnęła lekko. Nagrodą był szeroki uśmiech.

— Mam pytanie, pani Besaro, dlaczego nie będzie potrzebne?

— A jak myślisz, skarbie, ile czasu tam spędzicie? Miesiąc? Dwa? Sądzisz, że gościnność Cywrasa-der-Malega to zniesie? Będziecie tam pięć do siedmiu dni. Jeszcze nie nadeszła odpowiedź ile konkretnie. Dwór hrabiego zapewnił, że jest zachwycony kaprysem księżniczki, ale jeszcze nie przedstawił wstępnego planu wizyty. Nie sądzę jednak, by miało to potrwać dłużej niż siedem dni. Raczej nie spodziewajcie się balów i przyjęć, może będzie jedno lub dwa polowania i trochę popisywania się bogactwem i znaczeniem. A może nie, wiosna to czas, w którym miejscowi hrabiowie i baronowie doglądają raczej pierwszych robót na polach, wypędzania owiec na hale, i tak dalej. Musicie cały czas pamiętać, że tak naprawdę to prowincjonalna szlachta. Tutejsze ziemie są niezbyt urodzajne, a dzierżawy nie przynoszą wielkich zysków. W centralnych prowincjach, na Stepach czy dalekim Południu co bardziej obrotny kupiec może mieć większy dochód roczny z kilku wypraw handlowych niż nasz hrabia ze wszystkich ziem. Der-Maleg ma na tym punkcie spory kompleks. Już od dawna żaden ze znaczących rodów z centralnych prowincji nie próbował wżenić się w olekadzką arystokrację, a jedyna córka hrabiego musiała w końcu wyjść za tutejszego barona. To rzecz, o której nie wspomina się głośno. Wbrew temu, co głoszą, ich starania o zachowanie czystości krwi są po części wymuszone koniecznością. W całych Olekadach są tylko cztery hrabiowskie rody, skoligacone już do tego stopnia, że dalsze małżeństwa między nimi zakrawają na kazirodztwo. Wszyscy to kuzyni i kuzynki pierwszego, drugiego

i trzeciego stopnia. — Besara uśmiechnęła się miło. — Jeszcze jakieś pytania?

I tak to wyglądało, każde pytanie, choćby o czas, powodowało istny słowotok, w trakcie którego nauczycielka zalewała je masą informacji. Mniej lub bardziej potrzebnych, lecz podawanych z taką swobodą, jakby czytała je z opasłej księgi, a nie wyciągała z zakamarków pamięci. Mimo wszystko Kailean miała dość.

— Pytałam tylko jak długo — wymamrotała. — Nie muszę wiedzieć wszystkiego o każdym z lokalnych hrabiątek. Wychowałam się w tych okolicach. Wiem, jacy są.

Spodziewała się lodowatego spojrzenia i wysoko uniesionych brwi. Zamiast tego Besara lekko przechyliła głowę, wydęła wargi.

— Ekkenhard nie przekazał mi tych informacji — mruknęła takim tonem, że Kailean od razu zrobiło się żal Szczura. — To źle. Mogą cię rozpoznać? Hrabia lub któryś z jego zarządców?

Spojrzały na siebie z Dagheną – jakimi ścieżkami, do licha, krążą myśli tej kobiety? Od razu, w pół uderzenia serca doszła do sedna. Może paplać jak podpita przekupka, ale ani na chwilę nie zapomina o głównym celu ich misji. Kim właściwie jest? Bo że Ekkenhard ją szanuje, widać od razu.

Kailean wzruszyła ramionami.

— Mógł nie wiedzieć — rzuciła krótko. — A ja i tak nie mam zamiaru wysłuchiwać dziesięciu tysięcy plotek za każdym razem, gdy otworzę usta. I nie, nie sądzę, by mnie rozpoznali, gdy wyjeżdżaliśmy stąd, byłam taka. — Wyciągnęła rękę na wysokość ramienia. — Mała, chuda, zabiedzona. Nikt mnie nie pozna.

— Masz ciekawy kolor oczu, moje dziecko. Zielony. To rzadkość nawet wśród meekhańskich dziewcząt. Ale trudno, w tak krótkim czasie nic z tym nie zrobimy. I widzę, że doszłyśmy do miejsca, z którego nie ruszymy bez odrobiny — kolejne wydęcie warg — szczerości. Dobrze, wasza wysokość, Inro, zapraszam do stołu na wczesną kolację.

Ich spojrzenia powędrowały do stojącego na blacie koszyka.

— Tak, moje drogie. Dziś będzie inaczej. Żadnych wojskowych racji z zamkowej kuchni.

Ich nauczycielka rozłożyła na stole biały obrus, kilka talerzyków, komplet sztućców i kryształowych kielichów. Na koniec wyciągnęła butelkę

wina i zawinięte w przetłuszczony pergamin ciasto.

— Nie uwierzycie, co można znaleźć w takim zamku, jeśli człowiek wie, gdzie szukać. Siadajcie.

Usiadły, dziwnie onieśmielone, bo obrus lśnił jedwabnym haftem, a wypolerowane łyżeczki były ze srebra. Na dodatek talerzyki wyglądały jak najprawdziwsza cesarska porcelana. Wydawało się, że blask świec prześwietla je na wylot.

Besara nie sprawiała wrażenia szczególnie przejętej. Raz-dwa nałożyła im po kawałku ciasta i napełniła kielichy.

— Spróbujcie — poleciła.

Ciasto pachniało orzechami i miodem, a smakowało tak, że człowiek miał wrażenie, jakby wszystkie aromaty lata urządziły sobie spotkanie na jego języku. Kailean przełknęła pierwszy kęs i już niosła do ust drugi.

— Mmm, gratulacje dla kucharza…

— Och, dziękuję, starałam się. W tej służbie człowiek uczy się różnych pożytecznych rzeczy.

— Więc jednak służba. Nora?

— Oczywiście. Od trzydziestu lat.

— Zaczynałaś jako niemowlę?

Besara uniosła brwi w taki sposób, że Kailean poczuła się głupio.

— Komplement powinien być jak muśnięcie płatkiem róży, a nie jak walnięcie buzdyganem, droga Inro. W tym drugim przypadku staje się obelgą, bo sugeruje, że ofiara nie potrafi zrozumieć subtelności.

— Ofiara?

— Komplementy służą wabieniu, przekupywaniu i zdobywaniu zaufania. Działają jak pieniądze i klejnoty, obdarowujesz nimi ludzi, by cię lubili. Te płaskie i trywialne są niczym tandetna biżuteria z cyny i kolorowych szkiełek. Dlatego oceniaj swojego rozmówcę po komplementach, jakie ci prawi, to więcej o nim powie niż wieloletnia znajomość.

Kailean sięgnęła po kielich.

— Nie chciałam cię urazić.

— Wiem. Jesteś po prostu niezgrabna. Kobietom trudno jest mówić miłe rzeczy innym przedstawicielkom swojej płci. To naturalne.

— Naturalne?

— Jak wygląda księżniczka Gee’nera?

Kailean rzuciła okiem na Daghenę. W tej strojnej kiecce podkreślającej talię i biust, z perłami we włosach wyglądała…

— Nie najgorzej.

— Widzisz? Nasza księżniczka jest jedną z najpiękniejszych młodych kobiet, jakie w życiu widziałam… a przy tym, gdy się rumieni, wygląda jeszcze lepiej. A ty mówisz: nie najgorzej. Natomiast mężczyźni rozwinęli sztukę komplementów niczym zdolności łowieckie. Niektórzy są w tym prawdziwymi mistrzami. Lecz jeśli mężczyzna, który stoi wyżej od ciebie, jest bogatszy, ma tytuł albo pochodzi ze znaczącego rodu, prawi ci byle jakie komplementy, znaczy to tylko tyle, że cię lekceważy i traktuje jak idiotkę. Twoja sprawa, jak to wykorzystasz.

Kailean westchnęła melodramatycznie.

— Myślałam, że na dziś kończymy lekcje.

— Skończyłyśmy. Trudno uczyć kogoś, kto niemal cały czas ma pełne usta, to trzeci kawałek, prawda, księżniczko?

— Mmmm… tak.

— I drugi naszej Inry?

— Owszem.

— Więc dzięki temu nie przerywacie mi i musicie słuchać, mam rację? Nałóż sobie jeszcze porcję, droga Inro.

Droga Inra stłumiła chęć pokazania języka, ale posłusznie wykonała polecenie. Bo Dag brała kolejną dokładkę, a ciasto znikało w zastraszającym tempie.

— Nie mamy nikogo w zamku, od lat nie widziano potrzeby umieszczania tam szpiega, i to się teraz mści. Miejscowa tradycja sprawia, że służba dziedziczy profesję tak, jak arystokracja tytuły. Kucharz jest synem, wnukiem i prawnukiem kucharza, ogrodnik potomkiem długiej linii ogrodników, pokojówka urodziła się w fartuszku. Znają się, trzymają razem i bardzo trudno wprowadzić między nich nową twarz. Ostatnią szansę mieliśmy, gdy kilka lat temu epidemia ciężkiej grypy zabiła sporo mieszkańców Olekadów, a hrabia musiał ponoć przyjąć kilka nowych osób, bo nie było nikogo, kto przejąłby po nich obowiązki. Ale jak mówiłam, przegapiliśmy ten moment. Więc będziecie same.

— A poza zamkiem?

— Nawet gdyby poza zamkiem stacjonowała armia, nic wam to nie da. Kamienny mur potrafi oddzielać ludzi skuteczniej niż morze. Szanse na ucieczkę? Żadne. Musicie opuścić zamek tak, jak wjechałyście, bramą. Jako księżniczka Gee’nera i Inra-lon-Weris. Oczywiście najlepiej, jeśli będziecie już cokolwiek wiedzieć.

Kailean odsunęła talerzyk, oparła łokcie na stole, ignorując oburzone spojrzenie „księżniczki”.

— Miało być szczerze. Czy Szczurza Nora ma jakieś podejrzenia? Cokolwiek?

Besara pokręciła głową.

— Nie. Nic w tym, co się dzieje, nie ma sensu. Ludzie są mordowani albo znikają. Na mapie miejsca zaginięć i mordów układają się w wielką spiralę, której środek wypada mniej więcej w okolicach Kehlorenu albo zamku hrabiego, zależy jak odczytywać te znaki. A nie mamy pełnego obrazu, bo z pewnością jeszcze nie wszystkie zabójstwa odkryto, w tych górach są doliny, które po zimie dopiero teraz nawiązują kontakt ze światem, a na dodatek podejrzewam, że niektórzy arystokraci nie informują nas o każdym zaginięciu. Nie wiemy też wciąż, co stoi za tymi zniknięciami i mordami. Dlaczego jeden chłopski wóz przejeżdża drogą bezpiecznie, a następny, wędrujący ledwo kwadrans po nim, znika. Dlaczego w ludnej wsi ktoś wchodzi do chaty i morduje wszystkich, łącznie z upośledzonym mężczyzną, z kobietami w ciąży i niemowlętami, a inne rodziny zostawia w spokoju? Dlaczego zabija załogę wieży strażniczej, a jednego wartowników uprowadza i okalecza? Czemu bez śladu przepadają patrole Górskiej Straży? Nie wiemy. Nasze prośby o przysłanie wsparcia z innych prowincji są odrzucane, więc musimy sobie radzić tym, co mamy.

— Czyli?

— Kilku czarodziejów, w tym jeden, który nadaje się tylko do przenoszenia rozkazów, kilkunastu szpiegów rozrzuconych po wsiach i miasteczkach, dwie drużyny bojowe. Zazwyczaj tylu ludzi pracuje w większym mieście, a nie w całej prowincji.

— Czarodzieje coś wykryli? Cokolwiek?

— A wy coś wykryłyście? Cokolwiek? Szczerość za szczerość.

Kailean zerknęła na Daghenę. Ta tylko uniosła brwi.

— Nie wchodziłam do wieży — mruknęła. — A z tym nieszczęśnikiem miałam za krótki kontakt i raczej starałam się go przytrzymać, niż sprawdzać. Może gdybym mogła go teraz…

— On nie żyje. Umarł wczoraj, mimo że pilnowano go cały czas. Poluzował pęta, w czasie karmienia wyrwał strażnikowi łyżkę, włożył sobie trzonek w oczodół i uderzył twarzą o blat. Umarł na miejscu. — Starsza kobieta po raz pierwszy sięgnęła po wino. — Jak widzicie, zdesperowanemu człowiekowi wystarczy uderzenie serca, by rozstać się z życiem. A ty, Inro?

— Nic. Nie znam się na aspektach i innych takich. A wasi czarodzieje? — powtórzyła Kailean.

Kielich powędrował w górę. Nawet pijąc, Besara nie spuszczała z niej oczu.

— Aspekty są poplątane. Wszystkie. I na miejscach zabójstw, i tam, gdzie ludzie po prostu znikali. Nie trzymają się żadnego sensownego wzoru. Nie da się ich dopasować ani do Koła Wenherissa, ani do Monzelskiego Dębu. Ani do innych wzorników. W tej wieży znaleźliśmy ślady Zęba, Czarnego Mchu, Oleju i Strumyka. Te aspekty leżą po przeciwnych stronach Koła, na różnych gałęziach Dębu. Nie słyszałam o ani jednym czarodzieju, który władałby nimi jednocześnie. A gdyby to było dwóch lub trzech magów, ich czary by sobie przeszkadzały, Ząb i Olej znoszą się nawzajem… Poza tym nasi czarodzieje twierdzą, że tych aspektów raczej tam nie używano, lecz je po prostu silnie wzburzono. I jak widzę po waszych minach, nie macie najmniejszego pojęcia, o czym mówię.

Kailean posłała jej uroczy uśmiech, zatrzepotała rzęsami.

— My jesteśmy proste dziewuchy ze Stepów, nauczone tylko z łuku strzelać i szablą obracać. Gdzie nam tam do tych wszystkich czarów, kół i drzew. To meekhańscy czarodzieje wymyślili sobie, że Moc można uwięzić na pergaminach, opisać, zważyć i zmierzyć. Oraz że ponazywanie jej pozwoli ją okiełznać. A gdy ci czarodzieje spotykają na drodze Pomiotnika, szczają ze strachu pod siebie, bo im się wszystkie te aspekty mylą.

— To nie Pomiotnicy mordują, ich smród jest inny. Potrafimy to rozpoznać i wy też, jak sądzę.

— Ale nie rozpoznamy czegoś, czego na oczy nie widziałyśmy. Próżna gadka. Do tej pory kiedy w moim otoczeniu ktoś sięgał po Moc, nie traciłam czasu na rozważania czy to aspekty, przywoływanie duchów, demonów,

czy puszczanie bąków, tylko albo szyłam do tego kogoś z łuku, albo uciekałam. Taki los.

Besara zmarszczyła brwi i Kailean zrozumiała, że po raz pierwszy wyprowadziła ją z równowagi.

— To nie było miłe, dziewczyno. Nie lubię bezczelności.

— A ja lekceważenia. Miało być szczerze, a opowiadasz nam historie o tym, że nic nie wiesz, po czym czekasz, aż zdradzimy ci swoje sekrety.

— Twierdzisz, że coś ukrywam?

— Ja to wiem. Pilnujesz, żebyśmy jadły, ile się da, i raz po raz dolewasz nam wina, choć sama ledwo upiłaś kilka łyczków. Nie przyszłaś porozmawiać, tylko pociągnąć nas za język. Taka już jest natura szpiega, wykradać cudze tajemnice, nie zradzając własnych. Mam rację?

Starsza kobieta uśmiechnęła się. Ładnie, szczerze, otwarcie.

— Znakomicie. I pomyśleć, że Ekkenhard twierdzi, że z was to zwykłe głupie podfruwajki, dobre jedynie do ogrzania łoża.

Kailean nie dała się nabrać ani na uśmiech, ani na podziw w głosie.

— A teraz próbujesz skierować nasz gniew na kogoś innego.

Tym razem Besara uśmiechnęła się samymi oczami.

— Dobrze… Bardzo dobrze. — Nałożyła sobie potężną porcję ciasta i dolała wina. — Lepiej, niż sądziłam. A więc od tej pory ani słowa na temat magii, misji czy też jakichkolwiek tajemnic. Dopóki ciasto się nie skończy, rozmawiamy tylko o mężczyznach i dlaczego są tacy głupi.

Dziewczyny wymieniły spojrzenia, jednocześnie odsunęły talerzyki i uśmiechnęły się szelmowsko.

— A więc słuchamy, pani Besaro.

* * *

— No więc? Coś jeszcze? — Kenneth przyjrzał się uważnie Andanowi, który właśnie dzielił się informacjami wyciągniętymi od znajomych z Ósmej Kompanii. — Twój ziomek nic więcej nie powiedział? Trzecia Dziesiątka wyszła poszukać lepszej drogi i po dwóch dniach wróciła, meldując zaginięcie podoficera. Ósma natychmiast zaczęła poszukiwania. Szukali, szukali i nic nie znaleźli, więc zostawili go w górach i pomaszerowali dalej? Tylko tyle?

— Tylko tyle, panie poruczniku. Ósma wyszła z koszar dość późno, zbliżała się zima, lada dzień wszyscy spodziewali się śnieżyc i takiego mrozu, od którego stuletnie drzewa pękają na pół. Nie mieli wyboru.

Kenneth podrapał się po nosie, potem po brodzie, wciąż nie spuszczając wzroku z Andana. Coś w tej historii nie grało.

— Tego w dokumentach nie było. Czyli decyzja o zostawieniu podoficera Straży w górach należała do dowódcy Ósmej, jak on się nazywa?

— Porucznik Salenw-leh-Mohenn.

— I ten leh-Mohenn pomaszerował w Olekady, porzucając własnego dziesiętnika, może martwego, a może tylko rannego, zamiast przeczesać okolicę w promieniu dwudziestu mil, tak?

— Właśnie tak, panie poruczniku. — Oczy Andana błysnęły.

— Nie rób mi tu takich min, Andan, tylko, do cholery, gadaj, dlaczego to Trzecia siedzi w stajni, a nie dowódca kompanii?

— Bo ci chłopcy strasznie się mieszali w zeznaniach, panie poruczniku. — Brodaty podoficer wykrzywił się ponuro. — Na początku twierdzili, że ten dziesiętnik, Alenth Fansoh się nazywał, więc ten Fansoh wyszedł nad ranem rozejrzeć się po okolicy, w górę jakiegoś strumienia, wydając rozkaz, by na niego czekali, i oni rzeczywiście czekali prawie do południa, a potem zaczęli szukać, szukali cały dzień, aż do późnej nocy, a rankiem następnego dnia wrócili do reszty oddziału po wsparcie.

— Aha…

— Już to, że dziesiętnik poszedł sam, było dziwne, no a potem jednemu z Trzeciej wymsknęło się, że wyszedł nie rano, tylko wieczorem, inny powiedział, że nie w górę, tylko w dół strumienia, jeszcze inny, gdy się spił, wygadał, że szukali tak mocno, że w całej okolicy narobili mnóstwo śladów. Było to na tyle dziwne, że porucznik Salenw-leh-Mohenn zameldował o wszystkim, jak tylko Ósma dotarła na miejsce. Pewnie trochę ze strachu o swoją skórę…

Kenneth lekko zmrużył oczy.

— Jak jeszcze awansujesz o dwa stopnie, Andan, będziesz sobie mógł pozwolić na takie uwagi o oficerach, rozumiesz?

— Tak jest.

— I nie marszcz mi się tu tak, bo wyglądasz, jakbyś miał zatwardzenie. To oczywiste, że sprawa śmierdzi, a dowódca Ósmej musiał jakoś wyjaśnić,

dlaczego nie szukał swojego człowieka. Tylko że jeśli Trzecia miała cały dzień, by ukryć ciało… Albo jeśli Fansoh miał dzień i noc, by zniknąć… Cały pułk by go nie znalazł. Szczury ich przepytywały?

— Przez miesiąc. Ale podobno wtedy ich zeznania były już identyczne, panie poruczniku.

— Świetnie, dziewięciu ludzi mówiących to samo: albo mają idealną pamięć, albo łżą jak norka z pisklęciem w pysku. Varhenn, a ty? Coś słyszałeś o Trzeciej?

Dziesiętnik pokiwał głową.

— Trochę. Ergehenn Alensamn jest dziesiętnikiem w Ósmej. Pochodzi z tego samego klanu, co moja matka, więc nie może, a raczej nie powinien, mnie okłamywać. — Mrugnął porozumiewawczo. — Ten Fansoh był młody, zdolny i zadziorny. Ergehenn go lubił, mówił, że to dobry materiał na oficera. Podobno sam zgłosił się do przeniesienia w Olekady. A mógł zostać, bo na miejscu miał żonę i dziecko, a z ich pułku na wschód szli tylko ochotnicy albo nieżonaci. I Trzecia Dziesiątka za nim przepadała. Cała Ósma była zdziwiona, gdy chłopaki bez protestów zgodziły się przerwać poszukiwania i powędrować dalej. Tylko tyle. Za to sporo się dowiedziałem o reszcie.

— Reszcie…? A, Stajennych. I co?

— Prawie wszyscy trafili tam na skutek działania jednego oficera, młodszego pułkownika Lenwana Omnela z Kwatermistrzostwa Regimentu. Ósma też straciła tak dwóch strażników. Nie na każdym raporcie widnieje jego podpis, bo czasem każe je pisać swoim porucznikom, ale to on wysłał większość ludzi do stajni.

Velergorf rozsiadł się wygodniej, oparł o ścianę, przymknął oczy. Czekał.

— Dobrze. — Kenneth pokiwał głową i wymienił spojrzenia z pozostałą dwójką. Uśmiechnęli się porozumiewawczo. — Świetna robota, Varhenn. A ty, Bergh? Znalazłeś miejsce, gdzie zwiadowcy Czarnego nas podchodzą?

Bergh pokiwał głową.

— Tak jest, panie poruczniku. A raczej Wilk i Azger coś znaleźli — Bergh popatrywał spod oka na Velergorfa, uśmiechnął się półgębkiem i mówił dalej — na skraju lasu, jakieś sto kroków od nas i trochę w górę

strumienia. Dobre są te Bękarty, zostawili niewiele śladów, ale chyba się rozleniwili.

— Bo?

Kenneth też nie spuszczał oka z najstarszego dziesiętnika, Andan szczerzył się otwarcie.

— Bo od kilku dni korzystają z tych samych kryjówek. Zresztą to najlepsze i najbezpieczniejsze miejsca w okolicy, ale mimo wszystko… jakby to powiedzieć… lekceważą nas.

Porucznik pokiwał głową.

— Chłopcy coś wymyślili w tej sprawie?

— Azger zapewnił mnie, że tak. Chce pan wiedzieć co, panie poruczniku?

— A muszę?

— Eee…

— Też tak uważam. Oficer nie powinien się zajmować każdą sprawą, bo nie będzie miał czasu na sen. No dobra, ruszamy do stajni.

Velergorf poruszył się, wyraźnie zaniepokojony, otworzył oczy.

— Coś sobie przypomniałem, panie poruczniku…

— Varhenn, jeśli przypomniałeś sobie dopiero teraz, to najpewniej nie jest to ważne. Chyba że pamięć zaczyna szwankować. Ale w twoim wieku…

Wytatuowany dziesiętnik powiódł wzrokiem od twarzy do twarzy, w oczach błysnęło mu rozbawienie.

— Dobre, panie poruczniku. Nie wiem, czy to ważne, ale kilku oficerów z nowo przybyłych kompanii już się skarżyło na tego Omnela. On ma dostęp do papierów, które każda kompania przyniosła ze sobą, i zdaje się, że nie przepada za nowymi. Najpierw po prostu się czepiał, robił awanturę i odsyłał do dowódców po karę. A potem zaczął się rozkręcać, nie wystarczyło mu już skierowanie sprawy do bezpośredniego dowódcy, sam zaczął wyznaczać kary, a gdy zebrało się ich kilka, wysyłał ludzi do stajni, jako bezużytecznych i krnąbrnych. Jest szczególnie cięty na tych, którzy mają, jak to mówią, ciężką przeszłość. Znam przynajmniej czterech żołnierzy, którzy trafili do stajni za nieoddanie honorów starszemu stopniem.

— To nie jest byle jakie wykroczenie, Varhenn.

— Jeśli oficer przechodzi trzydzieści kroków od ciebie, a ty jesteś odwrócony plecami i go nie widzisz, to jest. Przynajmniej tak uważa większość chłopaków. Podobnie jeśli oficer robi nagle przegląd i wysyła cię do stajni za niedoczyszczone buty, mimo że nie są w gorszym stanie niż buty reszty. On naprawdę wydaje się wybierać tych, którzy mniej lub bardziej coś tam kiedyś przeskrobali. Doszło do tego, że przybyłe z zachodu kompanie unikają jak ognia ludzi z Kwatermistrzostwa, bo i młodszy pułkownik, i podlegli mu porucznicy najwyraźniej znaleźli sobie niezłą zabawę. Nie lubią nowych i pokazują im, kto tu jest najważniejszy.

— Czarny nie interweniował?

— Na jakiej podstawie, panie poruczniku? W papierach wszystko jest w jak najlepszym porządku. Nieoddanie honorów, niedbanie o wyposażenie, niewłaściwy stosunek do starszego stopniem i parę innych takich podobnych „nie”. Gdyby nie to, że spędzamy większość czasu poza twierdzą, do nas też by się pewnie przyczepili.

— Coś jeszcze?

Velergorf spojrzał na niego, mrużąc oczy.

— Tak. Broń. Kazał wszystkim zdać broń, nawet noże i sztylety. I pancerze, hełmy, tarcze. Strażnicy bez broni… niektórzy woleliby dać sobie obciąć coś ważnego. Gdybym awansował jeszcze o kilka stopni, powiedziałbym, co myślę, ale teraz nie mogę pozwolić sobie na uwagę, że ten młodszy pułkownik to kawał gnojka, który uwił sobie ciepłe gniazdko w Kwatermistrzostwie i zabawia się władzą i łamaniem ludzi.

Kenneth westchnął i przymknął oczy.

— A więc należy się cieszyć, że nie jesteś, dajmy na to, pułkownikiem, Varhenn. I jeszcze raz pozwolisz sobie na niemówienie takich uwag, to będziesz biegał trzy razy dookoła doliny w pełnym rynsztunku. Dodatkowo z zapasami na dziesięć dni. Rozumiemy się?

— Tak jest.

— Oczywiście myśleć możesz, co zechcesz. A teraz zbieramy się po resztę… kompanii. Bergh, ty zostaniesz, zajmiesz się tym, o czym nie powinienem wiedzieć, i przypilnujesz porządku. A… i przygotuj miejsce na namioty, szałasy nowi postawią sobie jutro.

— Rozkaz.

Rozdział 3

Najważniejszy magazyn zamku znajdował się w zachodnim skrzydle. Kilka długich budynków o wąskich oknach i drzwiach stanowiło swoistą twierdzę w twierdzy, teoretycznie ostatni punkt oporu w sytuacji, gdyby wróg zdobył mury. Zważywszy, że składowano tam mnóstwo broni, żywności, wody i zapasy leków, rzeczywiście można się było w nich utrzymać przez wiele dni.

Kenneth wraz z dziesiętnikami wszedł do głównego pomieszczenia, gdzie za wielkim biurkiem siedział młody porucznik. Nie nosił płaszcza, tylko skórzaną kurtkę z wąską lamówką przy mankietach i głową wessyrskiego owczarka wytłoczoną na piersi. Psi pysk przecinały dwie czarne krechy. Symbol Bękartów Czarnego.

Na widok wchodzących oficer skinął tylko głową i czekał na oddanie honorów. Mieli z porucznikiem ten sam stopień, ale to on był u siebie. Kenneth wyprostował się i przyłożył prawą pięść do lewej piersi. Bękart uśmiechnął się lekko i nie odrywając tyłka od krzesła, wykonał jakąś parodię salutu.

— Słucham, poruczniku?

— Kenneth-lyw-Darawyt, Szósta Kompania Szóstego Pułku. Przyszedłem po broń i wyposażenie tych żołnierzy.

Położył na biurku listę nazwisk. Kwatermistrz nawet na nią nie spojrzał, wyjął tylko z szufladki kilka piór i z zapałem zaczął je ostrzyć.

— Stajenni, prawda? — rzucił, nie podnosząc wzroku. — Stary musiał być w kiepskim humorze, skoro ich wam przydzielił. Niestety, nie mogę nic wam wydać.

— Dlaczego?

— Zgodnie z regulaminem Regimentu Wschodniego broń i osobiste wyposażenie może odebrać tylko żołnierz, do którego ono należy. Muszą się zjawić po nie sami. Inaczej się nie da.

Mały nożyk błyskał, kawałki pióra zaśmiecały blat. Przez chwilę panowała cisza, ale wreszcie oficer przerwał zabawę i podniósł głowę. Uśmiechnął się uprzejmie, unosząc pytająco brwi.

— Coś jeszcze, poruczniku?

Kenneth wolno nabrał powietrza, równie wolno wypuścił.

— Gdzie jest złożona ich broń? — zapytał cicho. — Żeby się potem nie okazało, że to nie ten magazyn, a ja niepotrzebnie pana niepokoję.

— Och, jest u nas. — Zaostrzone pióro wskazało drzwi po lewej stronie biurka. — Chcecie zerknąć? Nie, nie ma takiej potrzeby. Ostatni regał, na samej górze, żeby szczury nie dobrały się do skórzanych części. Nie żebyśmy jakieś tu mieli, ale ostrożności nigdy dość. Jak tylko Stajenni się zjawią, wydam im wszystko raz-dwa.

Wyszli na dziedziniec, najpierw porucznik, potem obaj dziesiętnicy. Velergorf i Andan rozsądnie milczeli.

— Varhenn! — Kenneth zdziwił się, że potrafi tak warczeć.

— Tak jest!

— Kiedy zamykają te magazyny?

— Za mniej więcej godzinę, panie poruczniku.

Nad twierdzą poniósł się brzmiący spiżem dźwięk dzwonu.

— Za równą godzinę — poprawił dziesiętnik.

— Ten wypierdek się nie przedstawił, zauważyliście.

— Tak.

— Więc za godzinę zastaniemy zamknięte drzwi i będziemy musieli szukać nie wiadomo kogo po kwaterach Bękartów?

— Na to wygląda, panie poruczniku.

— Mimo iż wiedzieli, że Stajenni mają dziś do nas dołączyć…

Chwilę maszerowali przed siebie szybkim krokiem.

— Dlaczego się nie odzywasz?

— Podoficerskie doświadczenie, panie poruczniku. Jak człowiek chce mieć głowę na karku, musi wiedzieć, kiedy trzymać gębę zamkniętą. Zwłaszcza gdy myśli o oficerach Kwatermistrzostwa. Tylko że… przykład idzie z góry, panie poruczniku.

Kenneth zwolnił, rozluźnił się, otworzył zaciśnięte dłonie. Obejrzał się przez ramię i gestem przywołał dziesiętników do siebie.

— Andan, czy rzeczywiście istnieje coś takiego, jak regulamin Regimentu Wschodniego?

— Tak, panie poruczniku. Bękarty mają kilka własnych przywilejów.

— A czy ich prawa stoją wyżej niż regulamin Straży?

— Nie. Nie mogą.

Porucznik pokiwał głową i wskazał na przysadzistą stajnię.

— Dobrze. Na razie siedźcie cicho i zróbcie przegląd tych naszych… uzupełnień.

Stajnie zbudowano pod samym murem. W Kehlorenie zawsze znajdowało się około trzydziestu koni, bo twierdza mimo położenia pośrodku Olekadów była połączona z siecią imperialnych szlaków, a na drodze konie wygrywały z pieszymi. Poza tym sama dolina, strzeżona przez twierdzę, należała do dość dużych, więc dobrze było mieć możliwość szybkiego wysłania ludzi na jej drugi kraniec.

Kenneth wiedział, że większość tutejszych zwierząt należy do rasy anwer, będącej krzyżówką koni pociągowych, pospolitych na niższych terenach, i górskich kuców, używanych na Północy od wieków. Po koniach z nizin Anwery odziedziczyły wzrost i wytrzymałość, a po swoich górskich przodkach gęstą sierść, długie grzywy oraz odporność na chłód i niewygody. I upór, który sprawiał, że górale czuli się z nimi jakoś spowinowaceni. To była jedyna rasa koni, którą Wessyrczycy szczerze lubili.

Mimo wszystko zwierzęta musiały ustąpić w stajniach miejsca ludziom. Gdy otworzyli wrota, większość strażników siedziała już lub leżała w pustych boksach, najwyraźniej szykując się do odpoczynku. Na widok wchodzących żołnierze unieśli głowy, spoglądając na przybyłych z niechęcią, po czym powoli, jakby dźwigali na barkach stufuntowe ciężary, zaczęli się podnosić.

Kenneth stanął w wejściu i czekał, dopóki wszyscy nie wstali. Oczywiście żadna dłoń nawet nie drgnęła do salutu i za plecami już słyszał, jak Andan nabiera tchu. Przerwał mu machnięciem ręki, rozglądając się tylko po Stajennych. Nie musiał pytać, czy ktokolwiek raczył poinformować ich o tym, że dostają nowy przydział, bo tylko kilku było w miarę ubranych.

— Kto was nadzoruje, strażnicy? — rzucił zamiast wstępu.

Przez chwilę panowała cisza.

— Jako przydzieleni do robót porządkowych podlegamy Kwatermistrzostwu — dobiegło z cienia.

— Wystąp, żołnierzu.

W alejkę między boksami wyszedł niski, za to zbudowany jak byk strażnik. W jego ruchach i spojrzeniu było coś, co sugerowało, że jest spięty jak gotowa do strzału kusza.

— Imię i nazwisko, strażniku.

— Fenlo Nur.

— Trzecia Dziesiątka z Ósmej, prawda?

Skinięcie głową i spojrzenie bykiem.

— Porucznik lyw-Darawyt, Szósta Kompania Szóstego Pułku z Belenden. Od teraz wasza nowa kompania. Być może wydaje ci się, że jesteś na samym dnie, ale jeśli jeszcze raz zapomnisz o salutowaniu starszemu stopniem, zapewniam cię, że zatęsknisz za stajnią. To samo dotyczy reszty z was. Zrozumiano?

Kilkadziesiąt dłoni wykonało salut. Jedne wolniej, inne szybciej. Kenneth pokiwał głową i oddał honory, mierząc ludzi wzrokiem. Młodsi i starsi, poznaczeni bliznami i zupełne gołowąsy. I we wszystkich oczach bunt. To dobrze. Nie złamano ich.

Poczuł, jak stojący za jego plecami Andan poruszył się niespokojnie.

— Zaraz minie pierwszy kwadrans, panie poruczniku.

— Wiem. Zdążymy, zapewniam cię.

Coś musiało być w jego tonie, bo dziesiętnik cofnął się o krok i zamilkł.

— Nie wyglądacie dobrze. — Kenneth pokiwał głową. — To skutek tutejszego zaduchu, ale świeże powietrze z pewnością poprawi wasze zdrowie. Za godzinę będziecie poza twierdzą, w obozie kompanii. Ponieważ Kwatermistrzostwo ma mnóstwo obowiązków, więc pewnie po prostu zapomnieli wam o tym powiedzieć, nie mówiąc już o wydaniu broni i ekwipunku. Na szczęście pewien uprzejmy porucznik obiecał, że wszystko dla was przygotuje. Zbierać się!

W stajni wszczął się ruch. Nie była to jeszcze zwykła wojskowa kotłowanina, która charakteryzowała zgrany oddział, ale w kilka chwil wszyscy byli ubrani i przygotowani do drogi.

— Trzecia, wystąp!

Kilku żołnierzy wyszło na środek, Fenlo Nur zawahał się, wreszcie stanął na czele. Kenneth pokiwał głową, zgodnie z raportem Nur był prawą ręką zaginionego dziesiętnika.

— Idziecie pierwsi. Reszta – ty, ty, was czterech i ci – za nimi. Teraz wy…

Ustawienie oddziału w jako takim szyku zajęło kilka chwil i dopiero teraz spostrzegł, co mu nie gra.

— Gdzie wasze płaszcze?

Żołnierze milczeli, kilku opuściło wzrok.

— Nur?

Krępy strażnik popatrzył na niego wyzywająco.

— Dziś kazali nam je zdać. Tak jak wcześniej broń.

— Dzisiaj?

— Tak.

— Rozumiem. Widzisz tę linę? Zabierz ją ze sobą.

Odwracając się, Kenneth złowił spojrzenie Velergorfa. Starszy dziesiętnik zachował kamienną twarz, ale jego oczy przypominały kawałki lodu.

Dotarcie do magazynu zajęło im kilka chwil, ale w tym czasie Kenneth miał nieprzyjemną pewność, że każdy, ale to każdy w zasięgu wzroku śledzi ich rozbawionym spojrzeniem. Jeśli Kwatermistrzostwo chciało się zabawić kosztem Stajennych i jego kompanii, na pewno zadbało o to, by wszyscy wiedzieli.

W pokoju za biurkiem siedział ten sam oficer, a sądząc po leżącym przed nim stosie zaostrzonych piór, zamierzał w najbliższym czasie napisać ośmiotomowy epos o wojnie z koczownikami. Kenneth zatrzymał się przed nim i zasalutował.

— Szósta Kompania po broń i wyposażenie dla trzydziestu czterech ludzi.

Porucznik z Kwatermistrzostwa uniósł głowę, zmierzył spojrzeniem jego i stojących za drzwiami żołnierzy, po czym spokojnie wyjął spod biurka małą klepsydrę.

— Kwadransówka, poruczniku. Od waszego wyjścia obróciłem ją już dwa razy, za chwilę obrócę trzeci. Wtedy będziecie mieli kwadrans na załatwienie wszystkiego, lecz obawiam się, że to za mało czasu. Najlepiej

będzie, jak przyjdziecie jutro, tak po południu, dobrze? Nie powiem dokładnie o której, ale jakoś to załatwimy. Ej! — Poderwał się z krzesła. — Co robisz?

Kenneth właśnie podchodził do drzwi, za którymi był ponoć magazyn. W środku znajdowało się osiem wysokich regałów, nic specjalnego, kilka desek i drągów zbitych solidnie tak, by można na nich pomieścić sporo ciężkich rzeczy, a na każdym pęki strzał i bełtów, oszczepy, włócznie, skrzynki i worki. Ostatni regał tonął w cieniu, na jego szczycie, dobre dziesięć stóp nad ziemią, widniały większe pakunki.

— To te rzeczy? — zapytał spokojnie, a oficer Kwatermistrzostwa wykonał taki ruch, jakby chciał wybiec zza biurka. W ostatniej chwili zrezygnował.

— Tak.

— Gdzie drabina?

Na twarzy biurokraty pojawił się uśmiech.

— Niestety, nie mamy. Akurat zabrano ją do naprawy. — Uśmiech się poszerzył. — No, ale jutro będę ją miał. Na pewno. Dziś już nie dam rady wam pomóc.

Kenneth cofnął się od drzwi, wyprostował, strzepnął jakiś pyłek z płaszcza.

— Czy nie ma sposobu, żeby przedłużył pan czas otwarcia magazynu?

— Żadnego. — Oficer obrócił klepsydrę i z teatralnie zakłopotaną miną wskazał przesypujący się piasek. — Nie wiem, jak jest w Belenden czy gdzie indziej na zachodzie gór, ale tutaj przestrzegamy regulaminów. Za kwadrans zamykam.

— Rozumiem. Proszę sobie jednak wyobrazić, poruczniku bez nazwiska, że w Belenden też przestrzegamy regulaminów. Nur!

W wejściu pojawił się krępy strażnik, niosąc na ramieniu zwój liny.

— Ostatni regał. Przywiąż linę do nogi, na samym dole. Drugi koniec podaj za drzwi. — Kenneth wydawał polecenia, nie spuszczając wzroku z kwatermistrza. Ten miał minę, jakby nagle znalazł się w jakimś dziwacznym śnie. — Na co czekacie? Łapać linę i ciągnąć! Na trzy. Raz. Dwa. Trzy!

Szarpnięcie było potężne, rozległ się trzask pękającego drewna, ostatni regał zadrżał i przechylił się w bok. Oficer Bękartów zamrugał, jakby

dopiero teraz dotarło do niego, że to się dzieje naprawdę.

— Jeszcze! Raz. Dwa. Trzy!

Lina aż jęknęła, po czym nagle zwiotczała, a z wnętrza magazynu dobiegł przerażający rumor.

Kenneth nie odwrócił się, żeby dokładnie zobaczyć, co osiągnęli.

— Strażnicy, macie mniej niż kwadrans, by pobrać swoje rzeczy — rzucił w stronę drzwi. — Jeśli wszystko jest zgodne z regulaminem, nie wątpię, że wasza broń, płaszcze, namioty i sakwy zostały spakowane oddzielnie i opisane jak należy, wystarczy więc, że znajdziecie odpowiedni worek. Żeby uniknąć zamieszania, dziesiętnicy Varhenn Velergorf i Andan-key-Treffer będą wam je podawać. — Spojrzał na podoficerów i musiał przyznać, że byli dobrzy, żadnemu nawet nie drgnęła brew. — Ruszać się!

Podszedł do biurka i z uwagą obejrzał klepsydrę. Małe cacko z kryształu i mosiądzu, z piaskiem specjalnie barwionym przez rzemieślnika na głęboką zieleń. Kosztowała pewnie tyle, ile jego miesięczny żołd. Uniósł wzrok i spojrzał prosto w oczy kwatermistrza, który jakby skurczył się.

— Tak, panie poruczniku, jest pan sam, a tu jest prawie czterdziestu szaleńców, z których większość ma na koncie liczne przestępstwa. Ale oni nie walczą tym — Kenneth trącił klepsydrę, która zakołysała się niebezpiecznie i omal nie spadła z biurka — tylko bronią, która została im odebrana. I właśnie mają wyjść poza twierdzę na akcję bojową, bo Szósta, o czym pan pewnie zapomniał, rozbiła obóz w terenie i jest narażona na atak. Dziesiętniku Velergorf, jak idzie?

— Już piętnaście, panie poruczniku, wszystko ładnie spakowane, tak jak pan mówił.

— Znakomicie. Zostało jeszcze dobrze ponad pół klepsydry, mam rację?

Ostrożne skinienie głową musiało mu wystarczyć za odpowiedź.

— Więc nie musi się pan martwić, że nie zdążymy. Bo nie wyobrażam sobie oficera Straży, któremu nie leżałby na sercu los innych strażników. Oczywiście jako kwatermistrz będzie pan musiał doprowadzić magazyn do porządku, niestety ten sposób pobierania rzeczy wprowadza nieco bałaganu… Dziesiętniku Velergorf, ile regałów się przewróciło?

— Tylko trzy, panie poruczniku.

— Tylko trzy. To nie powinno zająć więcej niż pół nocy. Oczywiście na przyszłość radzę mieć zapasową drabinę i nie skupiać się tylko na klepsy-

drze. — Trącił cacko jeszcze raz i z zamyśloną miną patrzył, jak kołysze się o cal od krawędzi blatu. — Ma pan dużo zaostrzonych piór, jak widzę.

— Ttt… tak.

— Znakomicie. Varhenn?

— Jeszcze dziesięć worków, panie poruczniku. — Z magazynu dobiegł kolejny przerażający rumor. — Czwarty regał się przewrócił, panie poruczniku.

— Ktoś jest ranny?

— Na szczęście nie, panie poruczniku, po prostu musiałem mocniej szarpnąć i…

— Nie tłumacz się, dziesiętniku. Porucznik… jak właściwie brzmi pańskie nazwisko?

Kwatermistrz gapił się na niego wzrokiem kogoś, kto nagle stanął oko w oko z najprawdziwszym szaleńcem.

— Gewsun.

— Porucznik Gewsun na pewno docenia twoje zaangażowanie, bo jak sam słyszałeś, najbardziej zależało mu na czasie, a my bardzo się staramy zabrać nasze rzeczy, nim cały piasek się przesypie. — Kenneth posłał przez biurko zachęcający uśmiech, a oficer Bękartów odsunął się nieznacznie. — O czym zacząłem mówić? Aha, o piórach. Jakiś atrament też się tu znajdzie, mam nadzieję? Jeśli nie, będę musiał zrobić to, co robimy w takich przypadkach w Belenden.

Ręka Gewsuna znikła pod blatem i w mniej niż mgnienie oka postawiła na biurku mały kałamarz. Kenneth z namysłem wybrał jedno z przygotowanych piór i postukał nim o naczynko.

— Jako dowódca kompanii mogę, rzecz jasna, podpisać odbiór wyposażenia, mam rację? Nigdy nie byłem zbyt dobry w szczegółach regulaminu.

— Może pan, poruczniku.

— Doskonale. Dziesiętniku Velergorf?

— Ostatnie trzy worki, panie poruczniku.

— Doskonale.

Kenneth obejrzał się przez ramię, gdzie grupa żołnierzy stała, tuląc do siebie bezkształtne worki z grubego płótna. Większość patrzyła na niego wzrokiem nieróżniącym się od wzroku kwatermistrza i pewnie niektórzy

chętnie wróciliby do stajni. Czarny miał rację, pomyślał, uśmiechając się leciutko, za dużo biorę na głowę, za mało sypiam i w ogóle nie odpoczywam, a potem łatwo mnie wyprowadzić z równowagi i pakuję się w kłopoty. Jak z tymi Szczurami, których kazałem zostawić na środku jeziora. Niektórzy nazywają to talentem do robienia sobie wrogów.

Velergorf wyłonił się z magazynu, trzymając ostatnie worki.

— Dobrze. — Kenneth spojrzał na kwatermistrza. — To gdzie mam podpisać?

* * *

Wyszli z magazynów w milczeniu. Kenneth zatrzymał oddział uniesieniem ręki i powoli odwrócił się do żołnierzy. Patrzyli na niego z mieszaniną zaciekawienia i zdumienia. Jak na jakieś egzotyczne stworzenie.

— Broń — rzucił. — Nie opuścicie twierdzy jak banda pastuchów.

Zakładali skórzane przeszywanice, różnej wielkości kolczugi, lamelki. Hełmy. Oceniał ich najpierw po pancerzach. Tych kilku w lamelkach i ciężkich kolczugach to najpewniej zabijacy z pierwszej linii, żadni tropiciele czy zwiadowcy, za to nieocenieni, gdy trzeba się wedrzeć do bronionej chałupy czy złamać linię wroga. Zresztą widać to było też po ich broni: ciężkich mieczach, berdyszach, korbaczach i morgerszternach. Tasakach szerokich jak męska dłoń, do walki w zwarciu.

Lekkie zbroje nosili przeważnie ci strażnicy, którzy woleli zaufać umiejętności skradania się i szybkim bełtom posyłanym wrogowi z zasadzki. Legenda Górskiej Straży z czasów wojny z Imperium mówiła, że taktyka „strzelaj i uciekaj” doprowadzała do szału wszystkich meekhańskich generałów. Lecz ile by nie gadano o niehonorowej walce, w każdym oddziale co najmniej jedną czwartą żołnierzy stanowili doskonali strzelcy, jeśli chodzi o cierpliwość i celność mogący stawać w szranki z najlepszymi kłusownikami. Tutaj miał przed sobą co najmniej dziesięciu takich tropicieli, lekkie pancerze, lekkie hełmy, kusze wyglądające jak broń skrytobójców z bojowych drużyn Szczurzej Nory, z broni białej co najwyżej kord albo dwa półmiecze. Reszta żołnierzy używała uzbrojenia większej wagi, mniej więcej takiego jak on, kolczuga, hełm, miecz albo topór, czasem tarcza, kusza. Trzon każdej kompanii.

Odszukał Fenlo Nura. Zaskoczyła go skórzana kurtka pokryta plamami w różnych odcieniach brązu, zamaskowana kawałkami materiału kusza, dwa kołczany na bełty oraz kilka długich noży do kompletu. A gotów byłby się założyć, że akurat ten żołnierz będzie nosił ciężki pancerz i dwuręczny topór. Powinien na niego uważać. Wbrew pierwszemu wrażeniu Nur nie był cholerykiem, rzucającym się do walki z pianą na ustach, tylko zimnokrwistym sukinsynem, potrafiącym godzinami czaić się w zasadzce, by potem zabić jednym bełtem. Świetny nabytek, jeśli zdobędzie się jego lojalność.

— Płaszcze — wydał następny rozkaz, świadom, że coraz więcej oczu przygląda się im z każdego zakątka twierdzy.

Zakładali płaszcze, wolniej lub szybciej. Starannie lub byle jak. Ale założyli wszyscy.

Kenneth powiódł wzrokiem po oznaczeniach wyhaftowanych na materiale. Kompania, pułk, kompania, pułk… różna wielkość i kształt cyfr, różne historie, przynajmniej osiem różnych oddziałów. Zrobienie zgranej kompanii z czterech dziesiątek zajęło mu prawie dwa lata. Ile czasu zajmie mu teraz?

— Dziś idziemy do obozu poza Kehlorenem, pełnicie warty i czuwacie jak reszta. A jeśli ktoś będzie tak głupi, by nas zaatakować, walczycie też jak reszta.

Żołnierze patrzyli na niego wprost, niektórzy nawet z czymś w rodzaju sympatii. Większość spojrzeń była jednak demonstracyjnie obojętna. On oceniał ich, oni oceniali jego, szukali słabych punktów, rys w charakterze. Być może niektórym zaimponował przedstawieniem u kwatermistrza, ale na pewno nie tym starszym. Kilku było w wieku Velergorfa.

— Jutro rano odprujecie numery starych kompanii i wyszyjecie sobie takie. — Wskazał własny płaszcz. — Dwie szóstki, ta po lewej w połowie wysokości drugiej.

Jak się spodziewał, niemal wszystkie twarze skamieniały. Już to przechodził – dwa lata temu.

— Sprawdzę osobiście. Możecie nie nosić płaszczy z tym numerem, chyba że ja albo wasz dziesiętnik wyda inny rozkaz, ale numer ma być właściwy. I wyszyty czerwoną nicią.

— Czerwone Szóstki, co?

Nur, oczywiście.

— Tak, strażniku, Czerwone Szóstki. Niektórzy może o nas słyszeli, inni nie. Ci, którzy słyszeli, mogą tę wiedzę włożyć między bajki. Liczy się to, co kompania zrobi, a nie to, co zrobiła. A od teraz… — Kenneth spojrzał Nurowi prosto w oczy i znalazł tam to, czego się spodziewał. Mimo agresywnego tonu i zaciśniętych gniewnie pięści, chłód i spokój — … jesteście jej częścią.

Miał ochotę ugryźć się w język. Takie gadki dobrze wyglądają w bohaterskich eposach, a nie gdy stoi się przed gromadą cynicznych, potrzaskanych przez los zabijaków.

— Wy już mnie oceniliście — kontynuował. — Młody, głupi, trochę szalony i rudy. I nie lubią go w dowództwie, skoro mu nas przydzielili. A teraz ja będę oceniał was. Zrozumiano?

— Tak jest!

Zasalutował, odebrał honory i skierował się do wyjścia. Za nim dreptały uzupełnienia Szóstej Kompanii.

* * *

Ten poranek był inny. Drzwi uderzyły o ścianę tak, że niemal wyleciały z zawiasów, i do środka wparowała Besara.

Kailean przerwała rozczesywanie włosów Dagheny.

Po wyjątkowo kiepskiej nocy była zła i niewyspana. Ich nauczycielka zmusiła ją do założenia odpowiedniego „nocnego ubioru”, czyli długiej do kostek koszuli, wykrochmalonej tak, że ledwo dało się w niej ruszać. Meekhańska dama do towarzystwa nigdy nie poszłaby spać w niczym innym – wyjaśniła krótko. Materiał stroju był sztywny i szorstki, a falbanki przy szyi i rękawach drażniły. Na dodatek przez całą noc koszula podwijała się wysoko i marzły nogi. Oczywiście Dag, jako verdańska księżniczka, mogła spać, w czym chciała. Koło północy Kailean była gotowa ją zamordować, słysząc spokojne pochrapywanie. Dlatego z mściwą satysfakcją obudziła ją godzinę przed świtem i zmusiła do porannej toalety.

— Ojej — mruknęła, gdy znad drzwi posypała się zaprawa — czy to kolejna próba? Czy powinnam teraz pisnąć dziewczęco i zemdleć ze strachu?

Dalsze złośliwości utknęły jej w gardle. Besara wyglądała jak pięć stóp i cztery cale furii. Oczywiście była nienagannie ubrana, a jej fryzura stano-

wiła wzór doskonałości. Ale oczy ciskały błyskawice.

No i oczywiście, niech ją koń kopnie, nie okazała nawet śladu zdziwienia, widząc je na nogach.

— Jutro — warknęła.

— Co, jutro?

— Jutro macie być w zamku hrabiego.

Kailean pokiwała głową i wróciła do czesania. Daghena nawet nie drgnęła.

— Kto o tym zadecydował?

— Sam der-Maleg. Przysłał przed chwilą posłańca. Ponoć jego matka zachorowała, za kilka dni wyjeżdża na północ, prosi więc, by księżniczka raczyła przybyć do jego zamku już jutro, by choć chwilę cieszyć się jej towarzystwem. A Ekkenhard, żeby jego dusza przepadła w Mroku, zgodził się na to.

Dziewczyny wymieniły spojrzenia. Wreszcie Daghena wzruszyła ramionami.

— Dobrze.

— Dobrze? — Kailean miała wrażenie, że po tym pytaniu Besary ściany pokryły się szronem. — On was wysyła na śmierć. Nie przeżyjecie jednego dnia w tym gnieździe węży. Zdemaskują was i zabiją. Albo gorzej.

— Być może. — Koczowniczka uśmiechnęła się lekko i pochyliła głowę. — Zaczesz je go góry, Inro.

Kailean dygnęła.

— Oczywiście, wasza wysokość.

Besara przez chwilę milczała.

— To ma być pokaz dla mnie? Księżniczka i jej dama do towarzystwa przy porannej toalecie? Nie wiecie nic. Nie umiecie się ubierać, wysławiać, zachowywać przy stole, nie macie pojęcia, jak rozmawiać z arystokracją, a jak ze służbą. Nie potrafiłybyście wyciągnąć informacji od małego dziecka. Jesteście…

— Jesteśmy z czaardanu Laskolnyka, pani Besaro. — Kailean skończyła upinać włosy Dag, obejrzała krytycznie swoje dzieło. — I zgodziłyśmy się na to wszystko. Reszta nie ma znaczenia.

— Nie ma znaczenia? — Czarne oczy zmrużyły się groźnie. — Jesteście tak głupie czy tak pyszałkowate?

Kailean westchnęła.

— Ani jedno, ani drugie. Kiedyś, gdy czaardan dopiero powstawał, Laskolnyk polował na bandę Sawrehsa-les-Monoh. Ten bandyta znał prowincję jak nikt, siedział w naszych okolicach od końca wojny, stary zajezdnik, co to najpierw se-kohlandzkie a'keery szarpał, a potem, w czasie pokoju, miejsca sobie nie potrafił znaleźć. Miał wiernych ludzi po wioskach i miasteczkach, znał się z wodzami koczowniczych szczepów, potrafił, jeśli trzeba, znaleźć pomoc po jednej i po drugiej stronie granicy, a gdy dowiedział się, z kim ma do czynienia, znikł. Kha-dar opowiadał mi kiedyś, jak to przez trzy miesiące planował, jak wyciągnąć banitę z kryjówki, zastawiał sidła, podsuwał niby źle chronione karawany. Nie, pani Besaro — Kailean uniosła dłoń i pomachała grzebieniem — chcę dokończyć. To miało być wielkie polowanie, aż tu pewnego dnia przyszła wieść, że les-Monoh opuścił leże i przekrada się w głąb Imperium. Kha-dar poderwał czaardan na nogi, wtedy miał tylko tuzin koni, zwołał po drodze jeszcze kilku jeźdźców i dorwał bandę o pół dnia drogi od Lithrew.

— I po co mi to opowiadasz?

— Bo widziałam to potem wiele razy: podstępy i fortele planowane na wiele dni naprzód nie wychodzą, bo ktoś zgubi drogę albo trochę się spóźni. Więc gdy plany biorą w łeb, wtedy trzeba albo spędzać kolejne dni na obmyślaniu nowych, albo i tak robić to, co się miało do zrobienia… — Zawahała się. — Nie umiem znaleźć odpowiednich słów, pani Besaro…

— Chodzi ci o improwizację?

— Tak. I nie ma co liczyć na to, że świat będzie ci się układał pod stopami, bo gdy stajesz naprzeciw innych, to oni też mają swoje plany i pragnienia.

— No. — Daghena uśmiechnęła się drapieżnie i mimo sukni oraz pięknej fryzury przez chwilę wyglądała jak prawdziwa dzikuska z pogranicza. — A najczęściej pragną zobaczyć własną strzałę w twoich bebechach. U nas, gdy tracimy kogoś z czaardanu, mówimy „taki los", idziemy w *amreh* do rodziny, a potem, jeśli się da, siadamy na konie, żeby go mścić. Szanujemy Eyffrę, ale nie kłaniamy się jej do ziemi, licząc na uśmiech losu. Więc jeśli trzeba szybko zmienić plany, to nie płaczemy i nie użalamy się nad sobą, bo na wojnie tak bywa. A to jest wojna, prawda?

Besara mierzyła obie wzrokiem i widać było, jak uchodzi z niej gniew. Potem, niespodziewanie, dygnęła głęboko.

— Żałuję, że nie mam pół roku, bo oszlifowałabym was jak prawdziwe diamenty. Nasz drugi poranek i znów mnie zaskoczyłyście. Mamy jeden dzień. Nie będziemy już bawić się w plotki o miejscowej arystokracji, tylko nauczę was kilku rzeczy, które być może ocalą wam życie. Jak porozumiewać się bez słów, jak wejść do zamkniętej komnaty, jak przekazać wiadomość. Ale najpierw śniadanie. Wczorajsze ciasto może być?

Nie musiała pytać.

Gdy kończyły wymiatać okruszki, poprawiła się na krześle i zaczęła:

— Czy księżniczka zna język Verdanno? Którykolwiek?

— Znam trochę zwykłą mowę. Przez ostatnie lata Wozacy często handlowali z moim plemieniem.

— Znakomicie. Najprostszym sposobem wydaje się rozmawianie w *anaho*, ale nie zawsze będziecie mogły to robić otwarcie. Poza tym ty, Inro, jesteś z księżniczką dopiero od niedawna, więc biegła znajomość języka Verdanno byłaby podejrzana. No i oczywiście sprawa tego, że czasem trzeba przekazać coś drugiej osobie, nie otwierając ust.

— Może tak? — Kailean wykonała ręką wojskową komendę „zwrot w lewo”.

— Można i tak. Ale po pierwsze ktoś może ten gest rozpoznać, a po drugie w ustach… w dłoniach córki kupca będzie to wyglądało dziwnie. Ech… Wybaczcie kiepski żart, to nerwy. Poza tym to coś musi być ukryte w normalnych ruchach. Splatanie dłoni, poprawianie mankietów, wygładzanie sukni, uniesienie brwi, spojrzenie, pochylenie głowy. Można tak przekazać mnóstwo informacji. I uwaga, te sposoby nie są w żadnym miejscu skodyfikowane, nie istnieje żadna tajemna szczurza księga pod tytułem „Jak rozmawiać, drapiąc się po nosie”. — Besara uśmiechnęła się lekko. — Każda grupa szpiegów sama ustala między sobą kilka takich znaków, najczęściej oznaczających tylko podstawowe informacje, jak „niebezpieczeństwo”, „uważaj”, „wychodzimy”, „uciekamy”, „atak”. Niekiedy trzeba przekazać wiadomość, nawet się nie widząc, a oczywiście nie można napisać listu, więc sposób, w jaki krzesło stoi przy stole, może decydować o waszym życiu lub śmierci.

Oczywiście Daghena nie wytrzymała.

— A ilu szpiegów uciekło albo nie uciekło w porę przez zbyt gorliwe służące?

Ich nauczycielka pokiwała głową.

— Niejeden. Ale tylko ci głupsi, którzy nie potrafili tak dobrać sygnałów, by nikt obcy, nawet przypadkiem, ich nie zniszczył. Macie dzień i noc na wymyślenie kilku znaków tylko dla siebie.

Zamilkła i przez dłuższą chwilę wyglądała, jakby toczyła ze sobą wewnętrzną walkę.

— Byłam zła, gdy tu wchodziłam, nie tylko dlatego, że mamy dużo mniej czasu. — Zmrużyła oczy. — Byłam zła również o to, że tak naprawdę miałam nadzieję, że ktoś odwoła to szaleństwo. Nie powinnam was tam wysyłać i robię to tylko dlatego, że Genno Laskolnyk wybrał was do czaardanu, a to rekomendacja sama w sobie.

— Nie wiedziałam, że nasz kha-dar jest znany także na Północy.

— Droga Inro, wasz kha-dar mówi Cesarzowi po imieniu, odbiera honory od generałów całej meekhańskiej armii, a arystokratom z Rady Pierwszych gra na nosie. A ja jestem Białą Różą Imperium i muszę dzielić ludzi na tych, którym ufam, i tych, którzy zasłużyli na śmierć.

Kailean po raz pierwszy naprawdę usłyszała w jej głosie stal i wiedziała, że to nie żart.

— Więc gdybyś nam nie ufała…

— Nie rozumiesz, dziecko, ja ufam większości ludzi. Kupcy, pasterze, chłopi, rzemieślnicy, żołnierze, szlachta, magowie czy kapłani to na ogół ludzie godni zaufania. Mają swoje mniejsze i większe marzenia i dążą do nich, starając się nie popełniać zbytecznych okropności. Oczywiście mogą cię oszukać, sprzedać wybrakowany towar, zakłusować w lesie, coś ukraść, a nawet kogoś zabić. — Posłała im zimny uśmiech. — W waszym czaardanie też są tacy, co to niejedno mają na sumieniu, prawda? Jednak można im zaufać, jeśli się wie, jakie struny szarpnąć w ich sercach. Ale są też ludzie, których ambicje sięgają dalej i głębiej niż zwykle. Chcą więcej, niż mogą zdobyć. Więcej pieniędzy, władzy, potęgi, więcej wszystkiego, i są gotowi dla tego „więcej” podpalić świat. Żeby zdobyć władzę nad tysiącem ludzi, zamordują dziesięć tysięcy, dla władzy nad dziesięcioma tysiącami poślą w Mrok milion…

— Hrabia taki jest?

— Hrabia? — Przez chwilę Besara wyglądała na szczerze ubawioną. — Nie. Jest lojalny, choć nieco sfrustrowany. Tylko że nikt nie wie, dlaczego zabójcy trzymają się w pobliżu jego ziem, a wy macie spróbować dowiedzieć się, kto stoi za tymi morderstwami i zniknięciami.

Daghena zastukała palcami w blat stołu.

— Ten tytuł, który wymieniłaś… Biała Róża, co znaczy?

— Biała Róża to kwiat w cesarskim ogrodzie — dobiegło od drzwi. Ekkenhard opierał się o futrynę, ręce założył na piersi. — To najwyższy tytuł, jaki może uzyskać szpieg w służbie Imperium. Tytuł ten przysługuje komuś, kto rozbił wielki spisek, przyczynił się do wykrycia niewyobrażalnej zdrady albo służył przez tyle lat, że jego doświadczenie stało się bezcenne. Może go otrzymać każdy Szczur, i to niezależnie, czy jest mężczyzną, czy kobietą, choć kobiety otrzymują go częściej.

— Dlaczego?

— Bo kobiety są lepsze w tej grze. I zazwyczaj potrafią wykaraskać się z sytuacji, w których mężczyzna traci głowę i ginie. To Białe Róże posyłają drużyny bojowe do walki, gdy uznają, że komuś nie można już ufać. — Uśmiechnął się szelmowsko. — A ja przyniosłem kamienie. Wymienić?

Besara zmierzyła go wzrokiem i po chwili uśmiech znikł.

— Już wnoszę — wymamrotał i znikł za drzwiami.

Po chwili wtaszczył nowy kosz wypełniony potrzaskującymi z gorąca kamieniami. Tym razem niósł go sam, posapując z wysiłku i starając się nie oparzyć.

— Wczo…raj, ufff, wczoraj wieczorem delegacja Verdanno odwiedziła Czarnego… O żeby cię! — zaklął, gdy nieopatrznie oparł się o pojemnik.

Ustawił kosz w pobliżu starego i bez zaproszenia dosiadł się do stołu.

— Uff. — Nalał sobie wina. — Niecierpliwią się.

— Nic dziwnego. — Kailean podsunęła mu swój kubek i poczekała, aż go napełni. — Wozy mogłyby już jechać dalej. Nie ma potrzeby, żeby ustawiać je w obozy.

Ekkenhard wypił wino kilkoma długimi łykami, dolał, pokręcił głową.

— Jest. Ktoś zabija tu ludzi. Atakuje nawet Górską Straż i warowne wieże. Widziałaś to przecież. W obozach będą bezpieczniejsi.

— Nic nie widziałam poza pustą wieżą i jednym okaleczonym mężczyzną, który nie mógł nic powiedzieć. — Uniosła naczynie do ust, lekko umoczyła wargi, nie spuszczając z niego oczu. — To żaden dowód.

— A czy inaczej Górska Straż ganiałaby po okolicy jak kot za kocicą w rui? — Odwzajemnił spojrzenie.

— To wszystko pozory, tak naprawdę żołnierze pilnują tylko, żeby wozy nie zawróciły, i obstawiają dokładnie dolinę. Mam rację? Jakieś oddziały wyszły już z twierdzy i zablokowały wszystkie wyjścia?

— Oddzielają Wozaków od miejscowych.

— Których nikt na oczy nie widział. Zamiast tego wokół Verdanno zaciska się pętla. Góry, lasy, wojsko… Duszą się.

Mierzyli się wzrokiem.

— Po co mi właściwie to mówisz?

— Bo przyszedłeś tu pociągnąć mnie za język na temat tego, co oni właściwie myślą, mam rację? — zapytała i nie czekając na odpowiedź, kontynuowała — więc mówię. Nie podoba im się tu. Przywykli do otwartych przestrzeni, do miejsc, gdzie nie ma nic między oczami a horyzontem. I nie to im obiecano. Nie, że zapędzi się ich w dolinę i otoczy wojskiem. Radzę uważać. Nawet najbardziej dzicy watażkowie se-kohlandzkich podjazdów, którzy potrafili napadać niewielkie miasta, nie ośmielili się uderzyć na warowne obozy.

Jeszcze raz uniosła kubek.

— Poza tym mają coraz mniej czasu. Jeśli chcą szybkim atakiem odbić swoją wyżynę, pierwsze wozy muszą wjechać na nią za piętnaście, może dwadzieścia dni. Nie mogą tu siedzieć, przejadając zapasy. Co postanowił generał?

— Pokaże im drogę, oczywiście. Ale za bezpieczeństwo na niej będą odpowiadać sami. Czarny nie pośle żołnierzy, żeby ich osłaniać.

— Oczywiście. Jakoś sobie dadzą radę.

— A wy? Też?

— Jeśli los da. — Kailean uśmiechnęła się znad kubka z winem.

Szczur wyprostował się nagle, pokręcił głową, jakby właśnie przyszła mu do niej jakaś myśl.

— Wyruszycie do hrabiego jutro o świcie. Spakujcie się już dzisiaj, bo to droga na cały dzień. Pojedzie jeden wóz, księżniczka, Inra, woźnica z pomocnikiem. Jako eskorta będzie wam towarzyszyła kompania Górskiej Straży.

Besara chrząknęła.

— Dlaczego Straż, a nie Wozacy?

— Bo za bezpieczeństwo na drogach odpowiada Straż, pani Besaro, a hrabia nie wpuści do zamku kilkudziesięciu uzbrojonych barbarzyńców. Poza tym Verdanno poruszający się poza doliną mogliby spotkać się z jakimiś prowokacjami ze strony różnych gorących głów. Żeby zatem dyplomatycznie uniknąć drażliwej sytuacji, pójdą żołnierze. No i ze względu na to, co dzieje się w górach Czarny woli zaufać swoim ludziom. Mordercy nigdy nie ośmielili się zaatakować więcej niż dwóch dziesiątek strażników, więc powinny dotrzeć na miejsce bezpiecznie. Tam zostaną same, księżniczka i jej dama do towarzystwa. — Popatrzył jeszcze raz na obie dziewczyny. — Po czterech dniach wóz z eskortą powróci, bo potem Cywras-der-Maleg udaje się do matki. Tyle ustalono z posłańcem hrabiego.

— Nie spieszy mu się do niej.

— Oficjalnie dlatego, że rzeka uszkodziła most i hrabia musi czekać, aż go naprawią. Nieoficjalnie stara się zachować twarz. Nie może przyjmować wozackiej księżniczki ze wszystkimi honorami w sytuacji, gdy miejscowi chłopi zaczynają się burzyć, a reszta szlachty też się krzywi na naszych gości. Hrabia jednak nie może uczynić despektu cesarskiemu dworowi, który oficjalnie uznaje ród Frenwelsów za arystokrację wysokiej krwi, więc wybrał drogę pośrednią: wizyta księżniczki Gee’nery będzie krótka i raczej bez fanaberii w stylu wielkich balów i przyjęć. Tyle tylko, by zachować pozory gościnności. Wiem, że nie tego się spodziewaliśmy, ale może dzięki temu będzie wam trochę łatwiej poruszać się po zamku i rozmawiać z ludźmi, bo jeśli wizyta będzie półoficjalna, dadzą wam większą swobodę.

Ukłonił się nisko, najpierw Besarze, potem im.

— Już się raczej nie zobaczymy, nie chcę, żeby zbyt wielu ludzi widziało nas razem.

Daghena uniosła brwi.

— Sądzisz, że hrabia ma tu szpiegów?

— Ja bym ich umieścił, więc zakładam, że hrabia też to zrobił. Dlatego nie pozwalam wam opuszczać tej komnaty. Jeszcze jakieś pytania?

— Co z resztą czaardanu?

— Z tego, co wiem, przebywają w jednym z obozów i trzymają się razem.

— Dobrze. Więc… do widzenia?

— Do widzenia.

Wyszedł.

Chwilę milczały. Wreszcie Daghena sięgnęła po wino.

— Dziwnie się zachowywał, nie sądzisz, droga Inro?

— Zdecydowanie tak, wasza wysokość. Wyglądał na zdenerwowanego i niepewnego. Zupełnie jakby pierwszy raz robił coś takiego…

Spojrzały na Besarę. Bardzo wymownie.

— Jeszcze pół roku temu Ekkenhard był Wolnym Szczurem. Jeździł po Imperium, przenosząc rozkazy i informacje. Myślę, że po raz pierwszy wysyła kogoś w taką misję.

— Czyli bierzemy udział w szaleństwie zaplanowanym przez szczurzego posłańca, który przypadkiem wpadł w tutejsze bagno i nie ma żadnego doświadczenia, tak?

— Tak.

— I wszystko to — Kailean machnęła ręką — jest jedną wielką improwizacją?

Ich nauczycielka uśmiechnęła się szeroko i wyciągnęła przed siebie kubek.

— Właśnie tak, dziewczęta. Witajcie w Wywiadzie Wewnętrznym.

Stuknęły się naczyniami.

* * *

Drzewa szumiały cicho, a ich zielone korony kołysały się łagodnie nad jej głową. Key’la położyła się na plecach i popatrzyła w górę. Jakbym była mrówką wśród trzcin, przemknęło jej przez myśl. Małą i zagubioną. Całe szczęście, że tutaj zgubić się nie sposób – uspokoiła się zaraz. Wystarczy po prostu wstać i iść w dół, a nogi same zaniosą cię na dno doliny, między

obozy. Można co najwyżej wyjść w innym miejscu lasu, niż się do niego weszło.

Leżała na zeszłorocznej trawie, szarej, szorstkiej i ostrej. Choć z ziemi wyłaniały się już nowe źdźbła, a młode paprocie zaczynały walkę o dostęp do światła, i tak większość poszycia nosiła ślady zimy. Opadłe igły, małe gałązki, szyszki, trawa i uschnięte badyle tworzyły miejscami dywan gruby na kilka cali, dominował zapach butwiejącej roślinności, a ziemia nadal tchnęła chłodem.

Nie obchodziło jej to.

Las był taki… spokojny. Łatwo mogła sobie wyobrazić, że szumiał tak tysiąc lat temu, gdy Laal przeprowadzała jej przodków przez Szlak Obłędu, i trzy i pół tysiąca lat temu, gdy bogowie walczyli z Niechcianymi, a niebo płonęło ogniem. A las stał niewzruszony i kwitował to wszystko swoim śpiewem, pochylając się tylko pod pieszczotą wiatru, bo bogowie, demony i ludzie odeszli, a on pozostał. I będzie tak rósł przez następne tysiące lat, gdy już zginie pamięć o wnukach jej wnuków.

Oczywiście jeśli wyjdzie na jaw, że wykradła się z obozu i weszła do lasu sama, bez pozwolenia, to nie tylko wnuków, ale i przyszłego męża nie zobaczy. Uśmiechnęła się, bo sama nie bardzo wiedziała, skąd jej to przyszło do głowy. Pewnie przez Ana’we, która cały wieczór opowiadała siostrom, jak to Baz’da Klennyred przyglądała się jej od samego rana.

Baz’da była babką Kar’dena, a dla tego chłopaka Ana’we była gotowa stroić się przez pół poranka. Ale tak to było z Pierwszą, bliźniacy zawsze podśmiewali się z niej, że patrzy sercem, słucha sercem i myśli sercem. Trzy dni temu płakała na okrągło, bo wydawało jej się, że wpadła w oko starej Sef’lii, a nawet Key’la musiała przyznać, że wnuk Sef’lii wyglądał jak skrzyżowanie prosiaka z chorą owcą. Rzecz jasna Ana’we nawet do głowy nie przyszło, że mogłaby się sprzeciwić decyzji uzgodnionej przez ojca i jedną z matron, więc na zmianę wpadała w czarną rozpacz i szalała ze szczęścia. Gdy Nee’wa rzuciła uwagę, że powinna sama porozmawiać z ojcem w sprawie Kar’dena, najstarsza siostra zrobiła minę, jakby Druga zaproponowała jej przespacerowanie się nago wokół obozu. Key’la do tej pory uśmiechała się, wyobrażając sobie, jakie byłoby zbiegowisko.

Tradycja wymagała, by dziewczyna poddała się woli rodziców. Tradycja… Key’la ostrożnie sięgnęła pod półkożuszek. Właśnie łamała jeden z wynikających z niej zakazów, i co dziwne, zupełnie nie czuła się winna.

Nie tak ją wychowano. Gdy jej rodzina przybyła do Lithrew, była jeszcze maluchem, plączącym się gdzieś pod końskimi brzuchami, a następne kilka lat wychowywała się wśród ludzi mających zupełnie inne zwyczaje. Mówiła po meekhańsku lepiej niż niejeden z dorosłych, który całe życie spędził w obozach, większość poznanych ludzi, to była typowa, wieloplemienna, przygraniczna zbieranina, a z wozackich tradycji przekazano jej tylko te, których znajomość wydawała się ojcu i matce ważna w danej chwili. Jedną z nich było to, że kobieta może walczyć w obronie własnego wozu, strzelać z łuku, kuszy czy dźgać wroga oszczepem, ale nie powozi bojowym rydwanem i nie bierze udziału w bitwach poza obozowiskiem. To były rzeczy zastrzeżone dla chłopców i mężczyzn. Jeśli wróg atakował obóz, kobiety biły się na równi z mężczyznami, ale przede wszystkim powinny być dobrymi żonami i matkami. Tradycja.

I zgodnie z tą tradycją nigdy, przenigdy nie wolno im było nosić *kavayo*. To była broń, która czyniła chłopca mężczyzną, najczęściej wykuwana osobiście lub kupowana za własnoręcznie zarobione pieniądze. Gdy chłopak wchodził w świat dorosłych, lekko nacinał własnym nożem skórę na piersi, by ostrze najpierw posmakowało jego krwi. Wierzono, że wzmacnia to więź między bronią a wojownikiem. Wierzono też, że jeśli dziewczyna będzie nosić przy sobie *kavayo*, to po pewnym czasie stanie się bezpłodna. A bezpłodna kobieta to przekleństwo dla rodu.

Mimo to Key’la czuła pod lewą pachą groźny ciężar. Wykradła *kavayo* z kuźni ojca, gdzie And’ewers zazwyczaj trzymał kilka ukończonych sztuk wśród broni na sprzedaż. Było wątpliwe, by zauważył ubytek, a ona przecież nie mogła wymknąć się do lasu z kuchennym ostrzem za pazuchą. Potrzebowała prawdziwej broni, bo las był niebezpieczny.

W lesie czaili się źli ludzie.

I w lesie był ktoś, kto ocalił jej życie, a to dług, bez którego wyrównania nie mogłaby odjechać. Oczywiście jego spłacenie to nie było byle co, ale teraz chciała przynajmniej przekazać temu komuś, że wie i pamięta. Widziała go przez mniej niż mgnienie oka, w ruchu, ale to wystarczyło, poza tym przyśnił jej się dziś w nocy, jasna skóra, ciemne włosy, błysk oczu, jakby w twarzy przejrzały mu się kawałki letniego nieba. I był chudy… to pamiętała ze swojego snu, każdy mięsień rysował mu się pod skórą, żebra i kręgosłup wydawały się przeświecać na zewnątrz. Chyba też był nagi, choć tu nie miała pewności. I wyglądał na niewiele starszego niż

Key’la, a ważył chyba nawet mniej. Więc powinien być głodny. I zmarznięty.

Nie była pewna tych wspomnień, wysnutych z rzeczywistości i snu, nie była pewna, gdzie jest w nich miejsce na pazury rozrywające gardła i ostrze tnące ciała i kości. Ale wiedziała, że jeśli nie spróbuje spłacić długu, to nigdy już spokojnie nie zaśnie.

Za pazuchą trzymała też zawiniątko z kilkoma kawałkami boczku, dwoma owsianymi plackami i garścią suszonych owoców. Więcej nie ośmieliła się zabrać, w czasie wojennego marszu każdy kęs był ściśle rozliczany, a Ana’we, która sprawowała pieczę nad rodzinnym wozem z zapasami, i tak zapyta o brakujące jedzenie. Key’la zawsze mogła powiedzieć, że poczuła głód, choć to najpewniej poskutkuje zmniejszeniem porcji na kolację. Gorzej było z pledem. Zabrała jeden z tych grubych, wełnianych, jakimi okrywano końskie grzbiety, i miała nadzieję, że nikt ich nie policzy w najbliższym czasie. A potem karawany będą już daleko.

Teraz pled leżał obok niej, a ona wpatrywała się w korony drzew i słuchała lasu. To, co chciała zrobić, było głupie, zrozumiała to już po pierwszej godzinie. Las jest wszędzie taki sam, nieskończona liczba drzew porastająca zbocze góry. Poprzednim razem uciekała z obozu niemal na oślep, byle dalej od siostry, dławiąc się własnym gniewem, a wracała z głową wypełnioną pustką, wciąż czując na plecach oddech tego bandyty. A teraz nie potrafiła znaleźć miejsca, w którym je napadnięto. Nie wiedziała nawet, czy znajduje się we właściwej okolicy. Jeszcze chwilę, a będzie musiała wracać, zanim ojciec wyśle połowę obozu na poszukiwania. Co prawda ostatnio od świtu do nocy kręcił się przy wozach bojowych, bez przerwy coś poprawiając i uzgadniając z woźnicami, więc istniała szansa, że nie zauważył jeszcze zniknięcia najmłodszej córki, ale lepiej nie kusić losu. Zresztą Ana’we i Nee’wa też nie zwracały na nią uwagi, a o braciach to już lepiej nie wspominać. Der’eko, Fen’doryn i Gen’doryn dniami i nocami ćwiczyli jazdę na rydwanach, Eso’bar i Mer’danar spinanie i rozpinanie wozów bojowych oraz obronę obozu, Ruk’hert i Det’mon stawianie muru z tarcz i odpieranie ataków konnicy. Spali poza rodowymi wozami, jedli nie wiadomo co i pojawiali się z rzadka, i żaden nawet się nie uśmiechnął na jej widok. Wojownicy, niech ich kulawy koń ugryzie!

Czasem miała wrażenie, że gdyby nagle znikła, nikt by tego nie zauważył.

Przez to całe łażenie po lesie i szukanie kłopotów zrobiła się głodna. Oderwała kęs placka, przegryzła kawałkiem boczku i od razu zrobiło jej się głupio. To tak próbuje spłacić dług? Robiąc sobie wycieczkę i unikając pracy? Uniosła głowę i rozejrzała się po okolicy – drzewa, paprocie, jakieś badyle, zwalony, Biała Klacz wie kiedy, pień. Tutaj zostawi pled i jedzenie. Jeśli jedyny pożytek z tego podarunku będą miały okoliczne zwierzęta, trudno, las to nie jej dom. Nie potrafi znaleźć nawet miejsca, które odwiedziła wczoraj, nie mówiąc już o pojedynczym człowieku. Przynajmniej spróbowała.

Wstała, położyła pled i zawiniątko z jedzeniem na pniu, chwilę zastanawiała się, czy nie krzyknąć, żeby dać znać, co zrobiła. Jednak wtedy poinformowałaby o tym nie tylko nieznajomego, prawda? Źli ludzie też mogli ją usłyszeć.

Ruszyła w dół, mając nadzieję, że wyjdzie w pobliżu własnego obozu i że nikt jej nie zauważy.

Rozdział 4

Wydał rozkaz, by Velergorf obudził go, gdy słońce zacznie różowić niebo, ale kierowany jakimś szóstym zmysłem otworzył oczy sam, zanim ten się zjawił. Zresztą wytatuowanemu dziesiętnikowi zdarzyło się już raz czy dwa uznać, że słońce wystarczająco różowi niebo dopiero wtedy, gdy stoi im nad głową, więc Kenneth wolał zdać się na instynkt.

Początek nocy był normalny, rozbijanie namiotów dla nowych, rozstawianie wart. Szósta niemal podwoiła liczebność, pozwolił więc sobie na małą modyfikację – dwie linie wartowników, jedna głośna, chodząca wokół obozu i okrzykująca się w ciemności, druga przyczajona. Jeśli Czarny miał obiekcje co do sposobu, w jaki kompania pilnowała okolicy, to teraz powinien być zadowolony. Jeżeli jego zwiadowcy zdążą się wszystkiemu przyjrzeć po tym, co wymyślił dla nich Bergh.

Kenneth wziął pierwszą wartę, tę cichą, po czym położył się spać. Kawer Monel miał w jednym rację – porucznik był przemęczony, a najbliższe dni zapowiadały się wyczerpująco.

Przebudzony, chwilę wsłuchiwał się w odgłosy wewnątrz szałasu. Spał ze swoją dziesiątką, większość stanowili żołnierze, z którymi służył jeszcze, kiedy był podoficerem. Wszyscy oddychali spokojnie, głęboko. Kiedyś, tuż po tym, jak dostał awans, ale jeszcze nie objął Szóstej Kompanii, jego były porucznik podzielił się z nim życiową mądrością. Jeśli żołnierze śpią jak kamień, to albo są śmiertelnie zmęczeni, albo ufają swojemu dowódcy. Te spokojne oddechy przed świtem powinny dobrze o nim świadczyć.

Wstał i wyszedł na zewnątrz, a żaden z jego ludzi nawet nie otworzył oka. Chyba jednak Bergh po prostu dał im wczoraj porządnie w kość, Kenneth uśmiechnął się pod nosem, wciągając pełną piersią lodowate powietrze. Było zimno, o tej porze roku zdarzało się jeszcze, że młoda trawa skrzyła się nad ranem szronem, a obłoki pary z ust zdradzały pozycje wartowników. Ci, na przyczajonych pozycjach, oddychali przez zwoje mate-

riału założone na twarze, za to pozostałych sześciu zlokalizował w kilka chwil. Pozdrowili go uniesieniem ręki i dalej maszerowali wokół obozu, przytupując i wymachując ramionami. Z sąsiedniego szałasu wyszedł Velergorf, skinął głową i spokojnie odszedł w stronę linii wart.

Kenneth sam wprowadził zakaz salutowania w czasie, gdy kompania spodziewa się ataku. To zwiększało jego szanse na przeżycie, zwłaszcza gdy nie nosił płaszcza. Podszedł do stojącego przy drzwiach cebrzyka, przebił palcem cienką jak włos taflę lodu, zacisnął zęby i szybko obmył twarz i szyję. Lodowate krople ściekające wzdłuż pleców przegnały resztki senności. Nie wycierając się, zaczekał na Velergorfa.

— Słońce jeszcze nie różowi nieba, panie poruczniku.

— Jak dla mnie – stoi niemal w zenicie, Varhenn. Co z nowymi?

— Nie rozumiem.

— Widzę tylko starych, Patyka, Malawe, Serha…

— Stali, panie poruczniku, ale tak się złożyło, że warta przed świtem przypadła naszym. Ale dwóch ukrytych to nowi.

— Kto?

— Ten Nur i jeszcze jeden, Myiwe Dyrt się nazywa.

Kenneth zmrużył oczy.

— Fenlo Nur, słyszałeś coś o nim?

— Nie, panie poruczniku, ale wiem, dlaczego pan pyta. Kandydat do brązu.

— Być może. Trzyma Ósmą w kupie i jeśli ktoś zna prawdę o tym, gdzie się podział ich dowódca, to tylko on. Ale nie będę tego drążył. Muszę jednak podzielić ich na dziesiątki i wyznaczyć podoficerów, i to szybko, bo nie da się sprawnie dowodzić taką kupą.

— Może któryś z naszych ich przejmie? Kilku chłopakom należałby się awans.

Oficer uniósł wymownie brwi.

— A to mi akurat nie przyszło do głowy — stwierdził z przekąsem. — To kogo oddasz z własnej dziesiątki? Zdaje się, że Azger jest twoim zastępcą, co? Pozbędziesz się go? Każdy chce mieć dobrego tropiciela w oddziale, prawda? — Po chwili milczenia westchnął przeciągle. — Nie, Varhenn, oni już są krnąbrni. Jeśli wyznaczę im dziesiętników spoza wła-

snego grona, to tak, jakbym im powiedział, że im nie ufam i nie są nic warci. Pójdziesz wtedy z nimi na patrol?

Uśmiechnął się, widząc minę dziesiętnika.

— Zrób pobudkę i szykuj się na wizytę u Czarnego. Chcę, żebyś poszedł ze mną.

— Jeszcze nas nie wezwał.

Kenneth machnął ręką w stronę twierdzy.

— Zakład, że gdy tylko otworzą bramy, wypadnie z nich posłaniec?

— Dziękuję, panie poruczniku, wczoraj przegrałem do Bergha większość miesięcznego żołdu.

Oficer spojrzał na niego, mrużąc oczy.

— A o co się założyliście?

— Że nie uda się panu pobrać wyposażenia, zanim zamkną magazyn.

— Czyli że nie ośmielę się zadrzeć z Kwatermistrzostwem? Przykro mi, dziesiętniku. — Kenneth poklepał się po zarośniętym policzku. — Ten kolor zobowiązuje.

Velergorf uśmiechnął się kwaśno i pomaszerował do pozostałych szałasów. Kenneth otworzył drzwi do swojego, podparł je drewnianym klinem.

— Pobudka!

* * *

Posłaniec przybył dwie godziny po wschodzie słońca, choć nie taki, jakiego się spodziewali.

Z lasu zaczęli wyłaniać się strażnicy, wszyscy w płaszczach, z psim łbem przekreślonym czarnym krzyżem. Nie zaskoczyli ich, bo najwyraźniej nie mieli takiego zamiaru, hałasując po drodze jak stado pędzonych krów. Kenneth rzucił tylko okiem na dwie czarne jedynki, Pierwsza Kompania Pierwszego Pułku, przyboczny oddział dowódcy Regimentu Wschodniego.

Porucznik przerwał czyszczenie kolczugi i wstał, przyglądając się uważnie przybyłym. Była ich pełna setka, wszyscy kompletnie uzbrojeni, a choć na razie trzymali ręce z dala od mieczy i toporów, to sposób, w jaki otoczyli ich szałasy, nie wróżył nic dobrego. Zaczął się rozglądać, bo z tego, co wiedział, ta kompania nie ruszała się dalej niż na dwieście kroków od Czar-

nego. Znalazł go po kilku chwilach, generalski błękit na płaszczu był tak sprany, że ledwo odcinał się od barwy materiału.

Kątem oka zarejestrował, że Szósta podrywa się na nogi. Zasalutował.

Kawer Monel podszedł do niego spokojnie, długim, marszowym krokiem, całkowicie ignorując pozostałych żołnierzy. Popatrzył, oddał salut.

— Jak nowi strażnicy, poruczniku?

— W nocy spisali się dobrze, panie generale. — Kenneth nie miał zamiaru zrobić spocznij, dopóki nie padnie taki rozkaz, więc wpatrywał się teraz nieruchomo w przestrzeń kilka cali nad lewym ramieniem Czarnego.

— Słyszałem, że pobraliście dla nich wyposażenie.

— Oczywiście, panie generale.

— Co do skargi…

— Nie będę się skarżył, panie generale.

Gdzieś z boku ktoś wciągnął powietrze, ktoś inny rozkasłał się gwałtownie. Zapadła cisza.

— Nie będzie się pan skarżył, panie poruczniku?

Kenneth nie wiedział, co go bardziej dziwi, czy to, że Kawer Monel szepcze, czy też to, że ten szept, a zwłaszcza wyduszone przez zęby „skarżył”, słychać w całej okolicy.

— Oczywiście, panie generale. Jestem wdzięczny Kwatermistrzostwu za okazję do sprawdzenia zgrania i pomysłowości kompanii. Jestem też przekonany, że to był tylko test, bo przecież oficer Straży nie może nie znać jej regulaminu…

— Regulamin Regimentu Wschodniego mówi, że magazyny zamykane są na godzinę przed zachodem słońca.

— Oczywiście, panie generale. Czyżbyśmy przekroczyli ten termin? — Tym razem to Czarny wciągnął powietrze i Kenneth poczuł, że zagalopował się nieco i właśnie balansuje nad przepaścią. Szybko dodał — jak mówiłem, porucznik… Gewsun na pewno pamiętał, że zgodnie z regulaminem Górskiej Straży każdy oddział wychodzący do walki ma pobrać wyposażenie w możliwie najkrótszym czasie, bez względu na okoliczności. Ten sprawdzian pomysłowości udowodnił mi, że dostałem dobrych żołnierzy, panie generale.

Kawer Monel wypuścił powietrze i przez chwilę milczał.

— Byłem ciekaw — zaczął wreszcie cicho — jak zamierzasz to rozegrać, chłopcze. Bardzo ciekaw. Kazałem już nawet zrobić więcej miejsca w stajniach i przygotować dla ciebie loch. Uważasz więc, że wychodziłeś do walki?

Porucznik wreszcie spojrzał dowódcy w twarz.

— A nie siedzimy tu, bo w okolicy ktoś zabija ludzi?

W oczach Czarnego Kapitana pojawiło się rozbawienie.

— Tak. Właściwie to tak. Najgorsze jest to, że gdybym cię aresztował i postawił przed sądem, ta linia obrony byłaby nie do ugryzienia. Oddział wychodził z twierdzy, spodziewając się walki, więc żołnierze pobrali wyposażenie, najszybciej jak mogli. Zgodnie z regulaminem. A ty nawet zapytałeś porucznika Gewsuna, czy nie istnieje możliwość przedłużenia wam czasu na pobranie rzeczy, nieprawdaż? Sam tak zeznał. Zrób wreszcie spocznij.

Kenneth odprężył się nieco.

— Cieszę się, że mówi prawdę.

Generał uśmiechnął się. Lekko, bo lekko, ale jednak.

— Tak. Całą prawdę. Pozostaje jeszcze sprawa gróźb.

— Gróźb, panie generale?

— Porucznik Gewsun twierdzi, że za brak atramentu zagroziłeś mu czymś, co robicie w Belenden.

— Yyyy… To dziwne, panie generale… W Belenden po prostu podpisujemy dokumenty później.

Czarny zamknął oczy, mięśnie szczęk zarysowały mu się pod skórą. Odetchnął.

— Dobrze… Gewsun to dobry oficer, zna się na rachunkach i tak dalej… Ale ty… teraz Kwatermistrzostwo poszuka okazji, żeby się odegrać. Twoi ludzie nagminnie nie będą oddawali honorów oficerom albo będą mieli niedoczyszczone pancerze. Nie mówiąc już o tym, że w waszych racjach żywnościowych pojawią się spleśniałe suchary i zjełczała słonina. Nie chcę konfliktów między moimi Bękartami a oddziałami z uzupełnień, tym bardziej że wieść o waszym wyczynie już się rozeszła i inne nowe kompanie mogą wziąć z Szóstej przykład.

— Więc może po prostu usunąć drzazgę, zanim zacznie się jątrzyć?

Czarny zmierzył go od stóp do głów.

— Młodszy pułkownik Lenwan Omnel służy ze mną od piętnastu lat. A zaczynał od zwykłego strażnika. Więcej nie będziemy o nim rozmawiać, rozumie pan, poruczniku?

— Tak jest!

— Dobrze. Mam dla was inne rozkazy. Wczoraj delegacja Wozaków poprosiła mnie o przysługę. Całkiem przypadkiem odkryliśmy szlak wiodący z tej doliny na wschód, wprost na Wyżynę Lytherańską. Verdanno chcieliby poznać ten szlak, w końcu ta wyżyna to ich ojczyzna i niektórzy podobno mają tam rodziny. Dostaniecie mapy i poprowadzicie ich aż do podnóża Olekadów. Oczywiście ta droga jest tylko częściowo dostępna dla wozów, ale na nogach da się ją przebyć, a z tego, co słyszałem, Wozacy nie jeżdżą konno, więc na pewno dobrzy z nich piechurzy. Poradzą sobie w górach.

Kenneth milczał, wpatrując się uważnie w twarz dowódcy. Czekał na znak, ironiczny uśmieszek, mrugnięcie okiem, ślad rozbawienia w głosie. Przypadkiem znaleziono szlak przez góry i przypadkiem czterdzieści tysięcy wozów – z czego jedna piąta to ciężkie, bojowe pojazdy – zawitało w dolinę. I całkiem przypadkiem Verdanno dowiedzieli się o tym szlaku i postanowili odwiedzić dawno niewidzianych krewnych.

Któraś z tych myśli musiała odbić się na jego twarzy, bo Czarny Kapitan uśmiechnął się wreszcie i dodał:

— Niech pan pamięta, poruczniku, że w historii Szóstej Kompanii nie będzie słowa o tym, że jej dowódca postanowił utrzeć nosa kwatermistrzowi i rozwalił pół magazynu, tylko znajdzie się tam opowieść o pomysłowym sprawdzianie, któremu podołali nowi żołnierze kompanii. I tak samo w historii Imperium nie będzie słowa o tajnych negocjacjach z Verdanno i pomocy im udzielonej, za to znajdzie się wzmianka o buncie, który wzniecili niewdzięczni barbarzyńcy, a którego nieliczne siły Górskiej Straży nie zdołały stłumić. Bo nas w całych Olekadach jest cztery tysiące, a ich co najmniej czterdzieści razy więcej. Tak naprawdę historię tworzą ci, którzy zapisują ją na pergaminie. Z tym zresztą związany jest jeszcze jeden rozkaz… Gdyby Wozacy chcieli, jak by to ująć…?, użyć siły, by wydostać się z gór, ustąpicie i wrócicie do Kehlorenu, żeby zdać raport. Zrozumiano?

— Tak jest. Ale — Kenneth zawahał się — jeśli ktoś ich zaatakuje? Tak jak tych nieszczęśników w wieży?

— Ostrzegałem starszyznę Verdanno, ale zdaje się, że mi nie uwierzyli. Teraz to ich sprawa. Coś jeszcze?

— Wyposażenie na tę wyprawę? Mamy zapas żywności tylko na kilka dni, panie generale. Nie mamy lin i haków do wspinaczki ani namiotów dla wszystkich ludzi.

— Haki i liny raczej nie będą konieczne, a gdyby zaszła taka potrzeba, dostarczą ich Wozacy. Będą was też żywić, a jeśli się postaracie, to pewnie całkiem nieźle. Bez namiotów zaś dacie sobie radę, jak sądzę. Coś jeszcze?

— Kiedy ruszamy?

— Oczywiście natychmiast. Spotkacie się ze starszyzną najbliższego obozu już dziś i jutro pokażecie im przynajmniej początek szlaku.

Kawer Monel odwrócił się i skinął na jednego ze swoich podoficerów. Po chwili podał Kennethowi skórzaną tubę.

— Poruczniku, oczywiście nie muszę mówić, że te mapy są cenne. Pokazują szlak przez góry, który nie musi być znany każdemu. Mają do mnie wrócić. Gdyby okoliczności na to nie pozwalały, zniszczycie je. Zrozumiał pan?

— Tak jest, panie generale.

— Dobrze. — Czarny Kapitan niespodziewanie zrobił zafrasowaną minę. — Jeszcze jedno. Kilku moich zwiadowców nabawiło się zeszłej nocy dziwnej przypadłości. Mają swędzące plamy na brzuchach, piersiach, kolanach i dłoniach. Niektórzy też na twarzach. Czy w Szóstej były takie przypadki?

Kenneth wsunął mapy pod pachę, demonstracyjnie podrapał się po głowie.

— Nie słyszałem, ale jeden z moich dziesiętników ma doświadczenie w leczeniu. Bergh!

Podoficer przytruchtał szybko, zasalutował. Z beznamiętną miną wysłuchał opisu dolegliwości.

— Wygląda to jak podrażnienie po wilkomleczu, panie generale.

— Wilkomlecz rośnie dopiero późną wiosną i może podrażnić tylko wtedy, gdy puszcza sok, dziesiętniku. — Dowódca Górskiej Straży patrzył na Bergha z kamienną twarzą. — Mało prawdopodobne, by trafili na tę roślinę.

— Nic innego nie przychodzi mi do głowy, panie generale. Dwie, trzy wizyty w łaźni powinny pomóc. Albo w saunie, pot pomaga oczyścić skórę z trucizny. No i oczywiście powinni wyprać rzeczy, w których leżeli na ziemi, tak na wszelki wypadek.

— Rozumiem, przekażę im te sugestie, dziesiętniku. — Czarny pokiwał głową, nie spuszczając z Bergha oka. — Byli nieostrożni, prawda? Używali tych samych miejsc do obserwacji?

Żaden z nich nawet nie mrugnął. Generał czekał chwilę, po czym machnął ręką.

— W południe macie spotkanie ze starszyzną. Mogą wam się wydać dzikusami niepotrafiącymi budować normalnych domostw, ale większość z nich walczyła z koczownikami, gdy wy jeszcze sikaliście pod siebie. I Sekohlandczycy nie wspominają tej wojny jako łatwego zwycięstwa. Niech pan o tym pamięta, poruczniku. Oni idą na wojnę ze znienawidzonym wrogiem, więc lepiej nie okazywać im lekceważenia. Dlaczego pan się uśmiecha?

Kenneth zaklął w myślach, ten stary skurczybyk zauważał każdy grymas.

— Ostatnią noc spędziłem na klepisku w szałasie, skąd najpierw musieliśmy uprzątnąć owcze bobki, panie generale. Nie będę okazywał lekceważenia ludziom, którzy mają normalne domy, zwłaszcza że jeżdżą one na kołach, i mogą je ze sobą wszędzie zabrać. Gdyby mnie pytano, powiedziałbym raczej, że to dość roztropne, a nie głupie. Ale mam jeszcze jedną prośbę.

— Słucham?

— Potrzebuję czterech patentów podoficerskich. Muszę mieć pełnowartościowe dziesiątki.

— Nowi czy starzy?

— Nowi, panie generale.

Czarny zmrużył oczy, skrzywił się.

— Na pewno ma to sens, tylko że oni — machnął ręką w stronę namiotów — przedwczoraj siedzieli w stajni, wczoraj rozwalili pół magazynu, a dzisiaj mieliby dostać awans? O tym gadaliby w całych górach. Proponuję więc czterech młodszych dziesiętników na czas potrzebny na wykonanie zadania. Po waszym powrocie rozważę przyznanie pełnych stopni na wnio-

sek dowódcy kompanii. Brąz z czernią na razie powinny wystarczyć. Coś jeszcze?

Kenneth i tak zamierzał prosić właśnie o to, więc tylko zasalutował.

— To wszystko, panie generale.

— Aha. I pamiętaj, chłopcze. Trzy słowa.

— Rozumiem, panie generale.

Kawer Monel oddał honory, odwrócił się i pomaszerował w stronę lasu. Jego Pierwsza Kompania wyraźnie się rozluźniła, z oczu żołnierzy znikło napięcie, dłonie przestały nerwowo szukać zajęcia w pobliżu rękojeści broni.

— Oni naprawdę spodziewali się, że trzeba będzie użyć siły, panie poruczniku. — Velergorf wyrósł gdzieś z boku. — Czym sobie zasłużyliśmy na taką opinię?

— Nie mam pojęcia, Varhenn, najmniejszego. — Kenneth wzruszył ramionami. — Bergh, czy gdzieś w pobliżu jest miejsce, którego powinienem unikać? Na przykład takie z pogniecionymi na miazgę korzeniami wilkomlecza?

— Znaleźliśmy trochę takich korzeni, panie poruczniku. Wyglądało to tak, jakby ktoś je zmiażdżył i moczył w wodzie, żeby puściły sok. Ale już je zakopaliśmy, dla bezpieczeństwa.

— Dobra robota, dziesiętniku, bezpieczeństwo przede wszystkim. Varhenn, zrób zbiórkę nowych. Chcę zobaczyć, jak im idzie wyszywanie numerów kompanii.

Po chwili stał przed byłymi Stajennymi. Trzydziestu czterech ludzi, wszyscy w płaszczach z nowymi numerami wyszytymi na lewej piersi. Kenneth uznał, że kilku z nich powinno przejść przyspieszony kurs posługiwania się igłą i nicią.

— Mieliśmy wizytę generała, jak zapewne zauważyliście. Dostaliśmy nowe rozkazy i bynajmniej nie wracacie do stajni. Trzecia Dziesiątka z Ósmej wystąp!

Nikt nawet nie drgnął. Kenneth przymknął oczy i zgrzytnął zębami.

— Była Trzecia Dziesiątka z Ósmej wystąp!

Dziewięciu żołnierzy zrobiło dwa kroki do przodu.

— Dobrze. Od dziś jesteście Piątą Dziesiątką z Szóstej. Reszta ustawić się w trójszeregu.

Dwudziestu pięciu żołnierzy zakotłowało się, po chwili trzy szeregi stały jeden za drugim. Ośmiu, ośmiu i dziewięciu. Kenneth pokiwał głową.

— Szósta, Siódma i Ósma dziesiątka. Tak jak stoicie. — Porucznik przeszedł przed pierwszym szeregiem. — Ty.

Przed drugim.

— Ty.

I przed trzecim.

— I ty. Za mną.

Po chwili stał z boku, w towarzystwie trzech strażników.

— Imię i nazwisko — zwrócił się do pierwszego, chudego jak patyk draba w skórzanym hełmie i skórzanym pancerzu nabijanym żelaznymi płytkami.

— Cerwes Fenl, panie poruczniku.

Drugi miał twarz kogoś, kto był już weteranem, gdy koczownicy najechali Imperium. Nosił lekką kolczugę i – co od razu rzucało się w oczy – łuk. Podobna broń była rzadkością w Górskiej Straży, ale wyświecony skórzany ochraniacz sugerował, że żołnierz potrafił się nim posługiwać.

— Versen-hon-Lawons, panie poruczniku.

— Omne Wenk, panie poruczniku. — Ostatni nie czekał na zaproszenie. Miał zwykłą kolczugę, standardowy hełm i miecz. Gdyby dodać mu tarczę, można by go wziąć za regularnego piechura. Stojąc przed dowódcą, nerwowo przestępował z nogi na nogę i drapał się po jasnej brodzie. Kenneth przez chwilę zastanawiał się, czy źle nie wybrał.

— Od teraz jesteście młodszymi dziesiętnikami — zaczął wreszcie. — Tak jak staliście – w szóstej, siódmej i ósmej dziesiątce. Zanim wyjdziemy z obozu, chcę widzieć brąz z czernią na waszych lamówkach.

Versen-hon-Lawons podniósł rękę.

— Słucham, młodszy dziesiętniku?

— Dlaczego my?

— W waszych dokumentach nie było wprawdzie nic na temat degradacji, ale przy płaszczach macie świeżą biel. Więc albo wam trzem odpruły się lamówki, albo już kiedyś dowodziliście dziesiątkami.

Spojrzał łucznikowi w oczy, szare, ukryte pod siwymi brwiami i spokojne.

— Jeśli jednak nas zdegradowano, to czy warto ryzykować, panie poruczniku?

— Nie wiem. — Kenneth w ostatniej chwili powstrzymał się od lekceważącego wzruszenia ramionami. — Ale potrzebuję podoficerów. Nawet takich, którzy znów odbijają się od dna. Coś jeszcze?

Cholera, zaczynam gadać jak Czarny.

— Nie, panie poruczniku.

— Dobrze, zbierzcie dziesiątki i przygotujcie ludzi do wymarszu. Mamy jakieś dwie godziny na spakowanie się i lepiej, żeby nikt niczego nie zapomniał, bo coś mi mówi, że nieprędko tu wrócimy. Odmaszerować.

Patrzył przez chwilę, jak odchodzą, i ruszył w kierunku, gdzie wciąż wyprężona stała jego nowa piąta dziesiątka. Uśmiechnął się do nich zachęcająco.

— Spocznij!

Szereg rozluźnił się. Kenneth powiódł spojrzeniem po strażnikach, usiłując przypisać imiona, na które natknął się w dokumentach, do konkretnych twarzy. Z mizernym skutkiem. Za kilka dni będzie ich rozpoznawał, na razie jednak byli tylko szeregiem mężczyzn unikających jego wzroku.

Z jednym wyjątkiem.

— Fenlo Nur. — Uśmiechnął się jeszcze szerzej. — Ktoś musiał ustalić z resztą ten żarcik z numerem, prawda? Ale ja nie potrzebuję żartownisiów, gdy idziemy w teren. Co byś powiedział na przeniesienie do innej dziesiątki?

Zaciśnięte pięści, usta w wąską kreskę.

— Rozumiem. Potrafisz zgrać tych żołnierzy, słuchają cię i najwyraźniej stałeś się ich głosem. Obszyj sobie płaszcz brązem i czernią. Od teraz jesteś młodszym dziesiętnikiem.

Och, na Rogi Byka, miło było zobaczyć tego draba mrugającego oczami ze zdziwienia.

— Za dwie godziny mamy spotkanie ze starszyzną Verdanno. Do roboty!

* * *

Spotkanie zaplanowano na uboczu, na małej polanie, do której prowadziła tylko jedna droga, a Kenneth – widząc kilka wozów ustawionych w obronny okrąg – jedynie pokiwał głową. Verdanno wydawali się mieć jakąś obsesję na punkcie warownych obozów i ustawiali swoje pojazdy zawsze tak, jakby w każdej chwili groził im atak.

Velergorf też był tego zdania.

— To musi być w ich głowach — rzucił.

— Co?

— Potrzeba… chęć otoczenia jakiejś przestrzeni, zagarnięcia jej dla siebie, panie poruczniku. Przyglądałem się ich obozom, tym wielkim. Tylko wewnątrz, za murem z wozów, wypuszczają dzieci samopas, kobiety chodzą w pojedynkę, a mężczyźni bez broni. Nie licząc tych ich noży, oczywiście. Gdy tylko opuszczają obóz, od razu się kupią albo uzbrajają. Co o tym sądzisz, młodszy dziesiętniku?

Fenlo Nur wykrzywił tylko szeroką twarz.

— To nie moja sprawa — mruknął. — Bardziej mnie interesują ci w krzakach.

Kenneth uśmiechnął się pod nosem. Czyli dobrze go ocenił. Nur to był tropiciel i zwiadowca, przed którym mało co potrafiło się ukryć.

— Ilu?

— Między piętnastu a dwudziestu, tam i tam. — Skinął w stronę ściany drzew. — Nie są zbyt dobrzy, ale się starają. Idziemy?

Kenneth nawet nie drgnął.

— Nie dosłyszałem pytania, młodszy dziesiętniku.

— Eeee… idziemy, panie poruczniku?

— Zaraz, niech przynajmniej dadzą znać, że nas dostrzegli.

Dali znać, spomiędzy wozów wyłonił się wysoki, śniadoskóry i ciemnowłosy mężczyzna. Verdanno w każdym calu. Kenneth napatrzył się już na Wozaków, ale z daleka, i musiał przyznać, że z bliska widok okazał się zdecydowanie bardziej imponujący. Mężczyzna miał dobrze ponad sześć stóp wzrostu, skurczybyk był wyższy nawet od Velergorfa, a szerokością ramion nie ustępował Nurowi. Ciemna twarz, czarne oczy, dwie blizny na policzku, uważne, ponure spojrzenie, potężne dłonie. Komuś takiemu ustępuje się na ulicy zupełnie bezwiednie. No i strój, skórzane spodnie, skórzana kami-

zelka, szeroki pas. Nic więcej. Najwyraźniej chłód nie robił na nim wrażenia.

— And’ewers Kalevenh — przedstawił się krotko i trudno było ocenić, czy ma chrypkę, czy też zawsze tak mówi. — *En’leyd* obozu New’harr.

— Porucznik Kenneth-lyw-Darawyt, Szósta Kompania Szóstego Pułku z Belenden, moi podoficerowie, dziesiętnik Varhenn Velergorf i młodszy dziesiętnik Fenlo Nur.

Wozak obrzucił ich uważnym spojrzeniem, a Kenneth poczuł się dokładnie tak jak wtedy, gdy pierwszy raz stanął przed Czarnym Kapitanem. Ważony i oceniany.

— Gdzie reszta? — Wozak zachrypiał jeszcze raz, chyba jednak zawsze tak mówił.

— Tu i tam, wokół tej uroczej polanki. Nie muszą nam stać nad głową.

Ciemne spojrzenie omiotło ścianę drzew, po chwili And’ewers wykonał jakiś niezrozumiały gest.

— Dobrze — zachrypiał, odwracając się. — My też się pilnujemy. Chodźcie.

Najwyraźniej nie należał do gadatliwych, bo drogę do wozów przebyli w milczeniu. Velergorf szturchnął lekko porucznika i wzrokiem wskazał tkwiący za pasem mężczyzny nóż. Sądząc po kształcie pochwy, klinga miała długość przynajmniej dwunastu cali, rozszerzała się ku górze i zaginała w przód. *Kavayo*, znak rozpoznawczy wszystkich wozackich mężczyzn. Pierwszy raz widzieli ten nóż z tak bliska i trzeba przyznać, że broń robiła wrażenie.

Pośrodku obozu rozpalono małe ognisko, nad którym bulgotał osmalony kociołek. Velergorf pociągnął nosem i skinął z uznaniem głową.

— Dobra wołowina.

Przechodząc między wozami, ich przewodnik załomotał pięścią o ścianę najbliższego.

Pojawiło się jeszcze trzech mężczyzn i kobieta. Wszyscy wysocy, smagli, czarnowłosi. Można ich było wziąć za rodzeństwo *En’leyd*.

Kenneth zatrzymał się i patrzył, jak wychodzą z wozu. Dwóch mężczyzn, wzorem And’ewersa, nosiło skórzane kamizelki i spodnie oraz krótkie, błyszczące od tłuszczu warkocze, natomiast ostatnia dwójka wyróżniała się zarówno wiekiem – oboje wyglądali na co najmniej dwukrotnie

starszych od reszty – jak i strojem. Mieli na sobie długie, bezkształtne czarne szaty, ozdobione mnóstwem piór, kawałków kości, kamyków i muszelek. Na ten widok Fenlo Nur skrzywił się, ale rozsądnie niczego nie skomentował.

— Siadajcie. — Ich przewodnik wskazał kilka rozrzuconych wokół ogniska mat. — O tak.

I usiadł, podkurczając nogi. Strażnicy poszli w jego ślady, po chwili dołączyła do nich reszta. Przez kilka uderzeń serca panowała niezręczna cisza.

Potężnie zbudowany Verdanno poruszył się pierwszy i wziął na siebie obowiązki gospodarza.

— To jest Emn'klewes Wergoreth, *Boutanu* obozu New'harr. — Tęższy z Wozaków skłonił się minimalnie, błysnął uśmiechem. — Dalej Awe'aweroh Mantoru, *Lamerei* Trzech Fal, oraz Has i Ome.

Najszczuplejszy z mężczyzn, z twarzą poznaczoną bliznami i chmurą gradową w spojrzeniu, i dwójka ubrana w czerń i plemienne ozdóbki również skinęli głowami. Kenneth odkłonił im się, zauważając, że o ile wygląd wszystkich Verdanno mówił o wspólnocie pochodzenia, o tyle starszy mężczyzna i kobieta wyglądali, jakby łączyło ich – jak powiadano na Północy – wspólne łono.

— Tak. — Mężczyzna złowił i odpowiednio zinterpretował jego spojrzenie. — Jesteśmy rodzeństwem. Bliźniętami.

— I to powinno wystarczyć. — And'ewers zaklaskał energicznie. — Zanim zaczniemy rozmawiać, zjemy.

Z jednego z wozów wyszły trzy dziewczyny. Dwie nastolatki, jedna wyraźnie młodsza. Bez słowa podeszły do siedzących, rozdały i napełniły głębokie, drewniane miski. Najmłodsza rozdzieliła owsiane podpłomyki, po czym cała trójka ukłoniła się i wróciła do wozu. Przez następny kwadrans słychać było tylko mlaskanie, siorbanie i skrobanie łyżkami o dna. W mlaskaniu i siorbaniu celował zwłaszcza ubrany w czerń mężczyzna, a wyglądało to tak, jakby postanowił tymi odgłosami przepłoszyć z okolicy całą zwierzynę. Kenneth uśmiechnął się w duchu, łowiąc jego spojrzenie, to była zabawa, sprawdzian, jak żołnierze Imperium zareagują na taki pokaz prostactwa i barbarzyństwa. No cóż, jeśli ktoś jadał najczęściej w towarzystwie wyglądających jak banda zbirów strażników, to raczej nie będzie się przejmował brakiem manier, prawda? Porucznik siorbnął głośno i beknął

bezceremonialnie, ledwo zakrywając usta. Nagrodą był szeroki, szczery uśmiech.

Gulasz się skończył, gospodarz zaklaskał, dziewczęta wyszły z wozu, zabrały naczynia i znikły.

— Znacie drogę na wyżynę? — zaczął ten z największą kolekcją blizn, Awe'jakośtam.

Najwyraźniej teraz, gdy wymogi gościnności zostały spełnione, przechodzili od razu do rzeczy. Porucznik przeniósł spojrzenie z jednej twarzy na drugą, z jednych ciemnych oczu na inne. To by było tyle, jeśli chodzi o rzekome „odwiedzanie" krewnych, upewnił się. W tych oczach tliła się zapowiedź wojny, były spokojne, zdecydowane, groźne. I w jakiś sposób obojętne, ci ludzie podjęli już decyzję i nie było mowy, by zrezygnowali ze swoich planów.

— Chyba — odpowiedział zgodnie z prawdą, a burza, którą dostrzegł w spojrzeniu mężczyzny, przybrała na sile.

— Chyba? — W tym pytaniu było wszystko, łącznie ze zgrzytem noża ocierającego się o okucie pochwy.

— Dostaliśmy mapy, plany i notatki, ale nie przeszliśmy jej sami. Zrobił to inny oddział.

— Więc dlaczego ten inny oddział nas nie poprowadzi?

— Bo to Bękarty Czarnego, a on uważa, że do tego zadania wystarczymy my. Swoje własne oddziały woli mieć pod ręką.

Nie było sensu opowiadać o konflikcie z Kwatermistrzostwem.

— I mamy uważać…

— Czy te mapy są dokładne?

Pytanie zadał gospodarz, i to najwyraźniej wystarczyło, by zamknąć usta temu najbardziej gniewnemu.

— Straż dba o to, by jej mapy były najlepsze. W górach od tego zależy życie. Są dokładne.

— Wóz przejedzie?

— Zgodnie z tym, co jest zaznaczone, przejedzie przez większość drogi. Niemal połowa trasy biegnie starym szlakiem w stronę Awnmort. To mały zamek, jeszcze trzydzieści lat temu był bazą Straży. Potem go opuszczono, bo remont był nieopłacalny, a w tamtej okolicy i tak nie ma sensu trzymać

stałej załogi. Czasem jeszcze z niego korzystamy, a droga mimo że nie jest już używana, zachowała się w dobrym stanie…

Kenneth przerwał, bo w miarę jak mówił, Verdanno pochylali się w przód, zaciskali pięści, spinali. Najwyraźniej te informacje były dla nich na wagę złota.

— Żebyśmy się dobrze zrozumieli — spojrzał w oczy And'ewersowi — stąd, z tego miejsca, do Wyżyny Lytherańskiej jest lotem ptaka jakieś czterdzieści, może czterdzieści pięć mil. Ale szlak kluczy między zboczami, zawraca na północ, potem na południe, w pewnej chwili, zgodnie z mapą, trzeba będzie jechać nawet na zachód. Myślę, że o ile trasa do Awnmort jest dość prosta, o tyle potem zaczną się problemy. W jednym miejscu należy przerzucić most nad wąwozem, według notatek szerokim na prawie osiemdziesiąt stóp, w innym przejście w skałach zwęża się do dwóch jardów, wóz nie przejedzie bez solidnej kamieniarskiej roboty. Będzie też trochę drzew do wykarczowania, chyba że chcecie objeżdżać ładny kawałek lasu, co wydłuży drogę o jakieś dziesięć mil. Tak czy inaczej, to nie wycieczka na jeden dzień.

Wozak potakiwał każdemu jego słowu i wydawał się notować coś w myślach. Spokój i zdecydowanie ani na chwilę nie znikły z jego spojrzenia.

— A na końcu? — zachrypiał. — Jak wygląda zejście na wyżynę?

Kenneth pochylił się, wyjął z dogasającego ogniska nadpalony patyk i zaczął rysować na ziemi.

— To jest wschodnia ściana Olekadów — zrobił pionową kreskę — wysoki na milę skalny mur bez żadnych przełęczy czy przesmyków. Tylko w jednym miejscu jest tam skalna ostroga, długa na pół mili, lekko zakręcająca na południe…

Zaznaczył ją oszczędnym ruchem.

— Szlak, który mamy wam pokazać, kończy się właśnie u szczytu tej ostrogi, długa na kilkaset jardów szczelina w skale prowadzi wprost na jej początek, mniej więcej trzysta stóp nad poziomem gruntu. Ta szczelina to najwęższe gardło na całej trasie, w jednym miejscu ma tylko nieco ponad trzy stopy, a i samo wyjście ze skalnej ściany jest dobrze ukryte. Potem już tylko półmilowy zjazd w dół skalnym grzbietem i jesteście w domu.

Drgnęli na to słowo, jakby kropla roztopionej smoły spadła im na kark. Kenneth pokiwał głową i zmierzył się spojrzeniem z And'ewersem.

— Ile wozów chcecie tamtędy przeprowadzić?

Verdanno miał twarz jak z kamienia, po czym poruszył szczęką, zacisnął zęby, sapnął.

— Wszystkie.

Nie było serii zduszonych jęków ani oburzonych spojrzeń, tylko towarzysząca im i milcząca dotąd kobieta wykonała coś, co chyba było gestem aprobaty, bo uśmiechnęła się przy tym szczerze.

— Oczywiście mówicie nam to, bo i tak sami byśmy się domyślili, mam rację?

Fenlo Nur. Krępy podoficer nie wiedział, kiedy należy zachować milczenie.

— Oczywiście. — Has uśmiechnął się szeroko. — Za to ty jesteś dobry w dotrzymywaniu tajemnic, mam rację?

Kenneth widział, jak dziesiętnik kamienieje. Od czubków palców po oczy, które nagle straciły wyraz.

— Młodszy dziesiętniku… — powiedział to tak spokojnie, jak tylko się dało.

Nur oderwał spojrzenie od starca i przeniósł je na dowódcę. Trzeba przyznać, że porucznik nie spodziewał się zobaczyć w jego twarzy czegoś w rodzaju zagubienia i paniki.

— Młodszy dziesiętniku — powtórzył jeszcze raz — jeśli znów odezwiesz się bez pytania o pozwolenie, osobiście przeniesiesz wszystkie te wozy na plecach, rozumiemy się?

Nur zamrugał i znów był tym żołnierzem, którego Kenneth wczoraj spotkał w stajni, cynicznym i złośliwym, z przyklejonym do ust grymasem kwalifikującym się do raportu o znieważenie oficera.

— Tk jst, pnie pruczniku — wycedził, połykając samogłoski.

Kenneth westchnął.

— Tak lepiej, żołnierzu. Oczywiście jeśli twoje kłopoty z wymową się utrzymają, będziesz musiał wrócić do stajni. Nie mogę pozwolić, by moją dziesiątką dowodził ktoś, kto nie potrafi się poprawnie wysławiać.

Grymas się pogłębił, ale tym razem „tak jest” padło głośno i wyraźnie.

Porucznik odwrócił się ku Wozakom, którzy obserwowali całą scenę z wyraźnym zainteresowaniem.

— Kiedy chcecie wyruszyć?

— Jutro. — And’ewers potarł w zamyśleniu policzek. — Najlepiej skoro świt.

— Przynajmniej jeśli chodzi o początek drogi, nie powinno być zatem problemów. Do Awnmort jest jakieś osiemnaście mil, czyli pierwsze wozy powinny tam dotrzeć wieczorem. Ale po drodze nie ma żadnego miejsca do rozbicia obozu. Zresztą, na większości trasy takiego miejsca nie ma. Nie ma też możliwości zawrócenia wozu albo odciągnięcia go w bok, gdyby na przykład zgubił koło lub złamał oś. Będziecie najczęściej wyciągnięci w sznur, bez możliwości manewru. Na tych odcinkach nie da się wyprzęgać zwierząt i odprowadzać ich na bok, poza tym prawie na całym szlaku nie ma wodopojów ani pastwisk, wszystko, od zapasów paszy po wodę, musicie mieć na wozach. Pierwsza duża przeszkoda, ten wąwóz, o którym wspominałem, jest pięć mil za zamkiem. Jak zamierzacie go przebyć?

— Zbudujemy most.

— A materiały? Kamienie, zaprawa, cegły?

Zaśmiali się nagle wszyscy, nawet ten zachmurzony.

— Meekhańczycy. — Has wyglądał na najbardziej ubawionego. — Kiedyś spróbujecie budować łodzie z kamienia i cegieł. Albo z żelaza. Ale dobrze, będziecie naszymi przewodnikami, więc wam pokażemy, jak należy to robić w drodze.

Kiedy skończył mówić, już się nie śmiał. Za to oczy miał zimne i twarde.

— A teraz opowiedz nam jeszcze o tym, co dzieje się w okolicy i dlaczego powinniśmy trzymać warty dzień i noc.

* * *

Wóz, którym zamierzały dotrzeć do hrabiego, nie wyróżniał się rozmiarami, miał jednak znakomity i świadczący o bogactwie właściciela zaprzęg. Oraz dorównujące mu przepychem wnętrze. Egzotyczne gatunki drewna konkurowały z jedwabiem, batystem i atłasem. Dwie miękkie sofy, mahoniowy stolik, tkana wełna na ścianach, rzeźbione szafki z kryształowymi szybkami, osobna sypialnia.

Besara obejrzała wszystko i rzuciła tylko jeden komentarz:

— Niezbyt krzykliwie, ale za to dużo motywów końskich.

Bo wewnątrz konie były wszędzie, cwałowały po wełnie arrasów, pasły się na obiciach sof, nawet nogi stolika wyglądały jak cztery wyciągnięte w skoku końskie sylwetki. Ktoś najwyraźniej miał monotematyczny gust.

Nic dziwnego, to wóz Verdanno. Sofy, jeśli pominąć miękkie siedziska, zbudowano na wiklinowych szkieletach i przymocowano na stałe do podłogi, podobnie jak stolik; porcelanowe naczynia w szafce tkwiły w osobnych, wyłożonych wełną przegródkach, a małe oliwne lampki przykryto wysokimi szklanymi kloszami, które powinny chronić wnętrze przed przypadkową iskrą. Łóżko w sypialni stanowiło powiększoną wersję łóżek, które Kailean znała z wozów swojej drugiej rodziny.

— Mimo wszystko — Besara sprawiała wrażenie lekko rozczarowanej — spodziewałam się czegoś większego.

— Monstrum długiego na pięćdziesiąt stóp i szerokiego na dwadzieścia, które ma wewnątrz kilka pokoi i osobną kuchnię? — Kailean pokiwała głową. —Też kiedyś czegoś takiego się spodziewałam. Ale karawana może jechać tak szybko, jak jej najwolniejszy wóz, a taki potwór nie ruszyłby w ogóle z miejsca. Verdanno mieli tysiąc lat, żeby znaleźć najlepsze rozmiary, i oto właśnie one. Wasza wysokość.

Wskazała Daghenie miejsce na sofie, sama skromnie stanęła obok.

— Dobrze. — Starsza kobieta obrzuciła je wzrokiem. — Gdybym potrzebowała modelek do obrazu pod tytułem „Dzika księżniczka i jej nauczycielka”, byłybyście idealne. I tak musicie wyglądać przez cały czas. Najważniejsze powinno tkwić w waszych głowach. — Postukała się palcem w skroń. — Powinnyście cały czas myśleć o sobie jak o wozackiej arystokratce i biednej dziewczynie próbującej zarobić na posag. I jednocześnie powinnyście pamiętać, po co tam jedziecie. Nie wiemy, dlaczego do większości zabójstw dochodzi w pobliżu ziem hrabiego, ale jeśli sam hrabia jest w to zamieszany, w zamku nieustannie grozić wam będzie niebezpieczeństwo. Ale ta sprawa już wykroczyła poza lokalne waśnie i dlatego musicie dowiedzieć się na ten temat wszystkiego, czego tylko zdołacie.

Popatrzyła im w oczy. Długo, uważnie.

— Jesteście z czaardanu Laskolnyka, więc znacie niebezpieczeństwo. Tym bardziej że… jeśli jedna czy dwie ploteczki, które słyszałam, są prawdziwe, jest w was coś więcej. Tak, wasza wysokość, nie zapomniałam o tym wisiorku, którym błysnęłaś mi w oczy w czasie naszego pierwszego spotkania i od patrzenia na który czułam gorczycę na języku. — Besara uśmiech-

nęła się delikatnie. — Zauważyłam też, że potajemnie spakowałaś kilka drobiazgów, o których nie powinnam wiedzieć. Ale pamiętajcie, że ta broń ma obosieczne ostrze. Na upartego można udawać, że to barbarzyńskie, plemienne amulety, których pełno na Wschodzie. Nie patrzcie na mnie takim obojętnym wzrokiem, bo to jak przyznanie się do winy. W zamku hrabiego nie ma żadnego czarodzieja, przynajmniej żadnego prawdziwego Mistrza, ale i tak powinnyście uważać ze swoimi talentami. Miejscowa szlachta uważa Wielki Kodeks za rdzeń Imperium, a choć może i krzywdy wam za to nie zrobią, zwłaszcza księżniczce Gee'nerze z rodu Frenwelsów, mogą potraktować takie rzeczy jako obelgę i doskonały pretekst do wyrzucenia was z zamku.

Zawahała się, po czym wzruszyła ramionami.

— Nie umiem się żegnać, jeśli mi pozwolić, będę gadała do wieczora, więc sądzę, że najlepiej będzie, jak już pójdę. Zobaczymy się za kilka dni.

Wyszła z wozu.

Kailean natychmiast zwaliła się na drugą sofę. Wyciągnęła się wygodnie, prostując nogi.

— Uuuch… Niech to szlag, wkrótce zaczną o nas piosenki układać. Czaardan Laskolnyka, banda dziwaków zasługujących na stryczek.

— Czaardan już nie istnieje, pamiętaj, Inro. Z Wozakami przyjechało tutaj kilku jego członków, którzy potrzebowali pieniędzy i wynajęli swoje szable, bo nawet Verdanno przyda się paru jeźdźców. Kocimiętka, Lea, Niiar, Janne, Veria czy Faylen to teraz tylko zwykli zabijacy. Choć wolałabym ich mieć przy sobie.

— Ja też. Twoje duchy coś wykryły?

Daghena parsknęła.

— A według ciebie to sfora psów gończych, które podejmą trop i zaprowadzą mnie do zwierzyny? A jeśli mowa o psach…

— Nie, też nie. Kręci się gdzieś w pobliżu, ale go nie wzywałam. Gdyby znalazł coś naprawdę dziwnego, pewnie sam by przyszedł.

— Pytanie, co jest dziwne dla ducha psa.

Uśmiechnęły się i w tym momencie ktoś zapukał do drzwi.

W mgnieniu oka obie siedziały prosto.

— Wejść. — Daghena przejęła na siebie rolę gospodyni.

Mężczyzna, który stanął w drzwiach, wypełnił je od progu do futryny. Jego kolczuga i hełm wyglądały na takie, co to niejeden cios wzięły na siebie, ale błyszczały, nienagannie wyczyszczone. Podobnie jak okucia pochwy miecza i stalowe godło Górskiej Straży. Z tym że to ostatnie szpecił czarny krzyż.

— Kapitan Gwenre Kohr. Trzecia Kompania Pierwszego Pułku Górskiej Straży — przedstawił się z ukłonem. — Będziemy mieli zaszczyt eskortować waszą wysokość.

— A więc możemy się czuć bezpiecznie, prawda, Inro?

— Oczywiście księżniczko.

— Kiedy spodziewamy się dotrzeć na miejsce, kapitanie?

Oficer oderwał wzrok od wnętrza wozu.

— Grubo przed wieczorem, wasza wysokość. To jakieś dwadzieścia mil, ale droga jest w dobrym stanie, sprawdziliśmy. Jeśli konie podołają, zdążymy przed kolacją.

— Jeśli konie podołają?

— To góry, a nie równina, będą musiały pokonać kilka podjazdów i zjazdów. Jeśli się zmęczą, zrobimy postój.

Dag wydęła wargi.

— Konie podołają, kapitanie. Natomiast gdyby pańscy żołnierze się zmęczyli, proszę dać znak, zrobimy postój.

Strażnik spojrzał na nie z twarzą bez wyrazu.

— Oczywiście. Za chwilę ruszamy. — Ukłonił się sztywno i wyszedł.

Przez chwilę siedziały w milczeniu.

— No proszę — Kailean pokiwała głową — zachowałaś się jak prawdziwa wozacka księżniczka. Wbiłaś mu szpilę, bo źle wyraził się o twoich koniach.

— Nie dlatego.

Uniosła brwi.

— O? A dlaczegóż to, wasza wysokość?

— Bo ubrałam się w kieckę, jakiej nie miałam na sobie nigdy w życiu, pół ranka robiłam fryzurę i się malowałam, a on wolał się gapić na ściany.

Kailean tylko się uśmiechnęła.

A potem wozem szarpnęło i powoli ruszyli. Spojrzały na siebie z powagą. Teraz już nie było odwrotu. Jechały w gniazdo żmij.

* * *

Droga przebiegła bez zakłóceń, z jednym tylko krótkim postojem, żeby napoić zwierzęta i coś zjeść. Obie wykorzystały monotonię podróży, by odespać poprzednie noce, zresztą nie miały nic lepszego do roboty; Kailean pokazała jeszcze Dag kilka verdańskich gestów z niskiej mowy, po czym umościły się na sofach i zapadły w sen. Nim słońce zaczęło się chować za szczyty, dotarli do siedziby hrabiego Cywrasa-der-Malega.

Daghena poprosiła kapitana, by zatrzymali się nieco przed zamkiem. Budowla, mimo że przykucnęła na szczycie góry, wczepiając się murem w skałę i bodąc niebo wysoką wieżą, nie była zbyt imponująca. Dobra warownia, ale kiepska siedziba arystokratycznego rodu. Niezbyt duża i mało reprezentacyjna. Kailean przypomniała sobie dworki i pałacyki, jakie szlachta – i to nawet ta pośledniejszego stanu – stawiała na Wschodzie. Nic dziwnego, że miejscowi hrabiowie mieli kompleksy.

— Niezbyt wielki. — Daghena wpatrywała się w zamek i w wijącą się wokół góry drogę.

Kapitan Straży pokiwał głową.

— Bo to dawna warownia Świątyni Dress. W środku jest bardziej cywilizowana niż na zewnątrz, hrabia ma ponoć nawet łaźnię, ale przyznaję, że nie robi wielkiego wrażenia, wasza wysokość. Ale to jeden z powodów, dla którego nie możemy wam towarzyszyć, w środku nie ma miejsca dla setki żołnierzy. Będziemy tu na was czekać za cztery dni.

— Wracacie do Kehlorenu?

— Nie, będziemy patrolować okolicę.

Kailean spojrzała na oficera ze zdziwieniem.

— Rozkaz… nie, prośba Szczurów. Mamy czekać w pobliżu, i to tak, żeby hrabia o tym wiedział. Pokaz, że Górska Straż czuwa.

— Cieszy mnie to, kapitanie. — Daghena nie odrywała wzroku od warowni. — Proszę więc zawieźć nas do tego orlego gniazda.

Wsiadły do wozu, a konie ruszyły w wędrówkę wokół góry. Kailean wolała nie myśleć o przepaści, która zaczęła otwierać się po ich prawej stronie, w miarę jak pojazd wspinał się coraz wyżej i wyżej. Zamiast tego

zrobiła szybki przegląd rzeczy, które ze sobą zabrały. Trzy skrzynie z ubraniami, szkatułka klejnotów i prezent, który miały wręczyć hrabiemu w imieniu Verdanno, wykonany z alabastru wysoki na dwie stopy posążek klaczy. Zwierzę było śnieżnobiałe i pędziło przed siebie lekkim kłusem, wysoko zadzierając ogon. Za każdym razem, gdy na nie patrzyła, Kailean miała ochotę wyszczerzyć się głupio – na czole klaczy umieszczono żółty diament wielkości ziarna grochu. Starszyzna obozów nie tylko dała im alibi, ale też nie szczędziła kosztów. Wozacy mieli i gest, i poczucie humoru. Po pierwsze ten diament był pewnie wart więcej niż miesięczny dochód ze wszystkich włości hrabiego, a po drugie była to podobizna Laal pod postacią *kamendeeth* – białej klaczy ze złotą gwiazdą na czole. Co prawda Laal od wielu wieków miała swoje miejsce w panteonie, ale jeśli prawdą było to, co mówiła Besara, Cywras-der-Maleg miał własną wizję porządku świata, w którym znajdowało się bardzo mało miejsca na bogów innych niż Wielka Matka. Ale nieprzyjęcie tego podarunku byłoby obrazą córki Baelta'Mathran, obrazą dla gości i odrzuceniem małej fortuny. Rzecz jasna, i to stanowiło sedno żartu, istniała spora szansa, że arystokrata nie zorientuje się, co właściwie otrzymał, bo Laal w takiej postaci czcili niemal wyłącznie Verdanno. W Imperium znano ją bardziej jako Szarowłosą, Panią Stepów, Matkę Koni, Czarną Klacz Zmierzchu. W ten sposób, praktycznie podstępem, stepowa bogini zagarnie dla siebie kawałek miejsca pośrodku Olekadów.

Powiadano, że podstępy i fortele Laal uwielbiała ponad wszystko. Ten na pewno musiał się jej spodobać.

W miarę jak wjeżdżały wyżej, wiatr coraz mocniej napierał na ściany wozu. Kailean spojrzała na Daghenę.

— Lodowate powitanie.

— Nie jest gorzej, niż gdy zimą na Stepach zerwie się północny wicher. — Dag przeglądała się w małym lusterku. — Jak wyglądam?

— Jak verdańska księżniczka. Dzika i trochę próżna. Tak trzymaj.

— Nie o to pytam. Czy sprawiam wrażenie wystarczająco przejętej i oczarowanej wielkością i potęgą meekhańskiej arystokracji? — Otworzyła nieco usta i zamrugała powiekami. — Ojej, te domostwa to kamienne wozy bez kół, ojej, to ubranie to nie niewyprawiona skóra, a to ogień, który płonie wewnątrz domostwa, ojejej…

Kailean uśmiechnęła się do niej wymuszenie.

— Też jesteś zdenerwowana?

— Nie, skąd. Po prostu po raz pierwszy zaczynam się poważnie zastanawiać, co ja tu robię. Powinnam z Kocimiętką i resztą szukać drogi dla karawan, a potem walczyć z Se-kohlandczykami.

Wóz szarpnął i zatrzymał się. Zabrzmiała trąbka, a po chwili przeraźliwy, metaliczny grzechot łańcuchów. Krata w bramie.

— Mamy ostatnią szansę, żeby wyskoczyć i uciec, dziewczyno. Decyduj się, bo jak wjedziemy do środka, będziesz dla mnie tylko księżniczką Gee’nerą.

Wóz ruszył.

— Za późno, droga Inro. Zaczynamy zabawę.

Stukot kopyt po kamieniach, stłumione głosy na zewnątrz, coś jakby krótka kłótnia. Po chwili zapukano w drzwi wozu.

Kailean otworzyła je, wyszła na zewnątrz i skromnie stanęła z boku. Teraz swoją rolę miała odgrywać Daghena.

Dziewczyna stanęła w progu, rozejrzała się po dziedzińcu, uniosła głowę, podziwiając górującą nad nim wieżę. Po chwili spojrzała na witających ją ludzi.

Na ich czele stał starszy mężczyzna średniego wzrostu, w haftowanych złotem aksamitach, po prawej miał dwóch młodszych szlachciców, po lewej dwie kobiety. Między młodszymi mężczyznami nie było żadnego podobieństwa, jasnowłosy z szarymi oczami niemal o dłoń przewyższał drugiego, krępego i ciemnego. Kobiety też różniły się jak noc i dzień, starsza była ciemnowłosa, ciemnooka, smagła i miała w spojrzeniu tę ledwo skrywaną wyniosłość, charakterystyczną dla ludzi przywykłych do wydawania rozkazów. Za to młodsza… Kailean rzuciła na nią okiem, spojrzała na resztę witających i jakby kierowana przemożną siłą, zapatrzyła się znowu. Dziewczyna była skończoną pięknością. Banalne porównania o oczach jak letnie niebo, włosach jak fala złota i ustach jak płatki róż usilnie próbowały dojść do głosu. Jak można być tak… tak cholernie doskonałą? I ta figura, którą prosta w kroju sukienka jeszcze podkreślała. Już wiedziała, kogo będzie bardzo, ale to bardzo nie lubić przez najbliższe dni.

I wtedy dziewczyna spojrzała jej w oczy i uśmiechnęła się. Szczerze, bez śladu wyższości, jakby właśnie spotkała niewidzianą od lat przyjaciółkę.

Paskudne uczucie, które nazywało się – tu Kailean musiała być ze sobą szczera – zawiść, znikło.

Może nie będzie tak źle.

Przez kilka uderzeń serca trwała cisza, coraz bardziej niezręczna. Najwyraźniej to, co zaszło, zanim otworzyły drzwi, miało większe znaczenie. Kailean odszukała wzrokiem dowódcę ich eskorty. Kapitan stał z boku, usta w wąską kreskę, wściekle zmrużone oczy, kamienna twarz. Musiało dojść do jakiegoś starcia między nim a witającymi, bo cała piątka demonstracyjnie go ignorowała.

Wreszcie najstarszy mężczyzna poruszył się lekko.

— Jestem hrabia Cywras-der-Maleg. Zaszczyt to dla mojego domu gościć szlachetną księżniczkę Gee’nerę z rodu Frenwelsów. — Ukłonił się, nieznacznie, formalnie i sztywno. — Rzadko odwiedzają nas goście tak znamienitej krwi.

Za nim powtórzyli ukłon młodsi mężczyźni. Kobiety dygnęły. Kailean rzuciła okiem na oficera, wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę. Czekał.

Daghena, wciąż stojąc w progu, również dygnęła, i to z taką gracją, że Kailean poczuła dumę.

— To ja czuję się zaszczycona, że mogę być gościem tak świetnego rodu, którego sława sięga daleko poza te góry. Mam tylko nadzieję, że moja prośba nie sprawiła panu, hrabio, zbytnich kłopotów.

Mówiła z lekkim, wschodnim akcentem, starannie wymawiając słowa, a na zakończenie uśmiechnęła się uroczo. Besara też byłaby z niej dumna.

Hrabia oddał uśmiech, i to na dodatek wyglądający szczerze.

— Niewielu mamy gości, my mieszkańcy tych srogich okolic, więc każdy jest darem Pani. Niewiele rzeczy sprawiło mi taką radość jak to, że wasza wysokość wyraziła zainteresowanie moim skromnym domem.

Kailean rzuciła okiem na kapitana. Oficer Straży nawet nie mrugnął, widocznie płaskie komplementy i wyćwiczone grzeczności to nie to, na co czekał. I wyglądało na to, że ma zamiar czekać, aż zamek nie rozpadnie się ze starości.

Starszy szlachcic rzucił mu poirytowane spojrzenie.

— Czy wasza wysokość uczyni mi zaszczyt i nazwie mój dom swoim domem — zaczął wreszcie — mój ogień swoim ogniem, mój honor swoim

honorem?

Meekhańskie powitanie gościa. Kailean pamiętała je z dzieciństwa, choć prości dzierżawcy, wśród których się wychowała, w takich sytuacjach mówili tylko „wejdź do domu, ogrzej się przy ogniu, śpij spokojnie”. Jak widać szlachta lubiła pompę, lecz dowódca ich eskorty najwyraźniej na to właśnie czekał, bo dopiero teraz huknął pięścią o lewą pierś, obrócił się na pięcie i ruszył w stronę bramy.

Uśmiechnęła się w myślach. Oczywiście te słowa nie miały żadnej mocy, żadnej władzy nad tym, kto je wypowiadał. Jeśli hrabia postanowi wtrącić je do lochu albo zrzucić w przepaść, zrobi to. Ale teraz, jeśli do tego dojdzie, kapitan Górskiej Straży będzie mógł zaświadczyć, że złamano odwieczne zwyczaje.

— Zaszczytem dla mnie będzie dzielić z tobą dom, ogień i honor, panie. — Daghena dobrze odrobiła lekcję, co zostało nagrodzone kilkoma uśmiechami. Nawet czarnowłosa złagodniała.

— Górska Straż… — Hrabia spojrzał na znikającego w bramie oficera. — Ci ludzie nie mają żadnego pojęcia o manierach.

— Nie rozmawiałam z kapitanem zbyt wiele. — Daghena zrobiła krok i znalazła się na dziedzińcu. — Ale sprawiał wrażenie doświadczonego żołnierza.

— Doświadczonego, wasza wysokość? Pewnie tak. — Arystokrata wykrzywił się dziwnie. — Strażnicy to zazwyczaj ludzie z gminu, prości górale, pasterze, chłopi, czasem nawet zbóje, służbą w armii ratują się od stryczka. Więc i doświadczenia mają własne, czasem bardzo ciekawe. No i oczywiście, jak większość Wessyrczyków, są uparci i nie okazują szacunku nikomu. Nawet moi zbrojni muszą się im tłumaczyć, gdy wędrują po moich własnych ziemiach. Ale nie rozmawiajmy już o tych nieprzyjemnych rzeczach.

Najwyraźniej przypomniał sobie o obowiązkach gospodarza.

— To moi synowie, pierworodny Ewens i trzeci Ywron.

Pierwszy ukłonił się ten jasnowłosy, a Kailean – pamiętając informacje przekazane przez Besarę – rzuciła okiem na jego stopy, ale luźne spodnie i para identycznych butów skutecznie maskowały kalectwo. Jego brat z twarzy i karnacji był podobny do czarnowłosej, więc ona musiała być drugą żoną hrabiego.

— Moja żona, Euheria-der-Maleg — kobieta jeszcze raz dygnęła — i hrabianka Laiwa-son-Baren, stryjeczna kuzynka trzeciego stopnia, a wkrótce, mam nadzieję, również szczęśliwa małżonka mojego drugiego syna, Aeryha, który niestety nie mógł teraz powitać waszej wysokości.

Daghena obracała się lekko, kłaniała i uśmiechała. Istna księżniczka, psiakrew.

— A więc będę z niecierpliwością czekać na spotkanie z nim, hrabio. I proszę, bez waszych wysokości. Wystarczy księżniczko. — Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. — Chciałabym jeszcze przedstawić moją towarzyszkę, pannę Inrę-lon-Weris, dzięki której poznałam tak dobrze meekh.

Niech to szlag, co ona znowu wymyśliła?

Kailean dygnęła niziutko, obrzucana kilkoma ciekawskimi spojrzeniami. Nie tak to planowały, to Daghena miała rzucać się w oczy, aby Kailean mogła mieć większą swobodę ruchu.

— Szlachcianka?

Widać było, że hrabia nie oczekuje twierdzącej odpowiedzi. W jego świecie nie było miejsca na meekhańskie szlachcianki wysługujące się barbarzyńskim księżniczkom.

— Nie, panie hrabio. Wolna Meekhanka czystej krwi, lecz bez tytułu.

Patrzył na nią przez chwilę.

— Co sprawiło, moje dziecko, że taka młoda i ładna dziewczyna znalazła sobie takie zajęcie?

Starał się, pewnie przez wzgląd na księżniczkę, być jowialnym i przyjacielskim, lecz wychodziło to protekcjonalnie i denerwująco. Jesteś Inra-lon-Weris, córka kupca zbierająca na posag, Kailean musiała sobie to powtórzyć, żeby nie odpowiedzieć złośliwym grymasem i jakąś uszczypliwością.

— Mój ojciec znał stryja księżniczki Gee’nery, a kiedy umarł, ja… nie chciałam być dla nikogo ciężarem, więc postanowiłam sama o siebie zadbać.

Chyba udzieliła najlepszej z możliwych odpowiedzi, bo szlachcic ledwo zauważalnie się rozpromienił.

— Prawdziwy meekhański kwiat. Z wierzchu wydaje się taki kruchy, lecz wewnątrz tkwi dumna stal. To takie kobiety jak ona towarzyszyły swoim mężom, gdy ci budowali Imperium.

Skinął jej jeszcze raz głową i nie czekając, aż się ukłoni, przeniósł spojrzenie na Daghenę, Kailean zaś musiała użyć wszystkich sił, by nie skrzywić się z irytacją. Besara miała rację, kiepskie komplementy więcej mówią o ludziach niż otwarte obelgi.

— Czy wasza… przepraszam, czy pani, księżniczko Gee’nero, uczyni nam zaszczyt i zasiądzie z nami do kolacji? Proszę się nie martwić o wóz, służba zaraz go rozładuje.

Służba. Kailean dopiero teraz dostrzegła, że na dziedzińcu byli inni ludzie. Ubrani w proste stroje, niemal idealnie stapiali się z tłem. W kilka chwil naliczyła sześciu służących. Jeśli stali tam od samego początku, to musieli być mistrzami w nierzucaniu się w oczy.

— Oczywiście, panie hrabio. Chciałabym jednak odświeżyć się po podróży.

— Rzecz jasna. Komnaty czekają.

Rozdział 5

Komnaty, nie przesłyszała się, komnaty. Dokładnie trzy. Osobna sypialnia z łożem wielkości chłopskiego wozu, komnata gościnna z oddziałem sof, puf i szezlongów, usytuowanych frontem do olbrzymiego kominka, przed którym leżała gigantyczna niedźwiedzia skóra, i najmniejszy, choć wcale niemały, pokoik dla służby. Czyli dla niej.

Gdy tylko wniesiono ich kufry, Kailean odesłała ludzi hrabiego i wypakowała potrzebne im rzeczy.

— Niebieska czy bordowa suknia, księżniczko?

— Och, Inro, tyle razy ci mówiłam, żebyś mi nie księżniczkowała, gdy jesteśmy same. Od pół roku ze mną jeździsz, więc możesz mi mówić Gee'nero.

— Już o tym rozmawiałyśmy, księżniczko. To nie wypada. — Kailean, nie odrywając wzroku od Dagheny, lekko postukała się palcem w ucho.

„Słuchają?".

Wzruszenie ramionami.

„Być może, uważaj".

— My mamy inne pojęcie o tym, co wypada, a co nie. Jeśli jeździsz z kimś dłużej jednym zaprzęgiem, jeśli sypiacie w jednym wozie, to tytuły nie mają znaczenia. Mój woźnica mówi mi czasem po imieniu.

„Patrzą?".

Właściwie była pewna, że nie, bo Daghena powinna to wyczuć i ostrzegłaby ją od razu. To, jak na nią spojrzała, potwierdziło jej przypuszczenia.

— Ale teraz nie jesteśmy w wozie, księżniczko. No i nie ma szans, bym została twoim woźnicą.

Dag zaśmiała się, bardzo naturalnie, i klapnęła na najbliższej sofie.

— Za to właśnie cię lubię. Zrobisz mi tę fryzurę z perłami?

— Oczywiście, księżniczko.

Jakby umiała robić jakieś inne.

— Ale najpierw bordowa suknia. Perły będą do niej pasować. Kiedy ma być ta kolacja?

— Hrabia der-Maleg powiedział tylko, że kogoś po waszą wysokość przyśle. Ja będę mogła nas rozpakować.

— Nie ma mowy. Idziesz ze mną.

— Ależ księżniczko…

I tak dalej. Ciągnęły rozmowę prowadzoną na użytek podsłuchiwaczy, taką, jaka powinna toczyć się między wozacką księżniczką a jej damą do towarzystwa. Kailean sama się zdziwiła, jak łatwo i szybko weszła w rolę ubogiej dziewczyny z prowincji, która stara się wpoić podstawy dobrych manier i obyczajów trochę dzikiej barbarzyńskiej arystokratce. Ale choć uważała, że ta gra jest nawet zabawna, to cały czas czuła pod skórą niepokój. Dag od razu uznała, że ktoś je podsłuchuje. A jeśli tak, to znaczyło, że hrabia nie jest tak do końca zachwycony ich wizytą albo – jeszcze gorzej – coś podejrzewa. Jeśli rzeczywiście on albo ktoś z jego zamku miał cokolwiek wspólnego z zabójstwami w górach, oczywiste było, że będzie się pilnował, lecz takie szpiegowanie już od pierwszej chwili nie wróżyło dobrze.

Ich komnaty znajdowały się na drugim piętrze głównego budynku, z okien widać było tylko dziedziniec i stajnie po jego przeciwnej stronie. Żadnych szans na ucieczkę, bo do tych pomieszczeń prowadziły tylko jedne drzwi, wychodzące na dodatek na labirynt korytarzy, w którym można się było zgubić. Właściwie hrabia nie potrzebował lochów, żeby je uwięzić. Wystarczyła demonstracyjna gościnność.

Pukanie do drzwi rozległo się, gdy kończyła układać włosy Dagheny.

— Pan hrabia ma zaszczyt zaprosić waszą wysokość na kolację.

W drzwiach stała młoda dziewczyna, na oko piętnastoletnia, w stroju, przy którym sukienki Kailean wyglądały jak szaty cesarzówny. Ciemna szarość, mankiety szerokości tasiemek i brak kołnierzyka. Fartuch nie różnił się odcieniem od reszty. Skromniejsze mogły być tylko stare worki z otworami na ręce i głowę.

— Doskonale, bo zgłodniałam. — Dag uśmiechnęła się do dziewczyny, ale ta nawet nie mrugnęła. — Nie powinnyśmy kazać gospodarzowi czekać. Tak, Inro, to dotyczy również i ciebie. Idziemy.

Dag zadziałała tak, jak to ustaliły po drodze, kiedy umówiły się, że nie pozwolą się rozdzielić przez pierwsze godziny. W paszczy niedźwiedzia lepiej znaleźć się we dwie.

Labirynt okazał się mniej straszny, niż im się początkowo wydawało, choć korytarzy było sporo. Jak uprzedzała je Besara, wszędzie wisiała broń. Miecze, topory, buzdygany i włócznie zasłaniały sporą część ścian, rozwieszone w ilościach sugerujących, że hrabia jest w każdej chwili gotów wystawić armię do walki z dowolnym wrogiem. Pancerzy też by nie zabrakło. Oraz tarcz i hełmów. Przy czym niektóre wyglądały, jakby ze starości przyrosły już do murów. Ród der-Maleg miał trzysta lat, by stworzyć taką kolekcję.

No i obrazy. Przy pierwszych trzech Daghena nawet zwolniła, zaciekawiona, ale następne – a po drodze minęły ich około dwudziestu – już zignorowała. Ileż można oglądać mężczyzn w zbrojach, stojących na tle stosów trupów? Sądząc po tych obrazach, przodkowie hrabiego nie tyle byli żołnierzami Imperium, ile własnymi rękami to Imperium zbudowali, osobiście wygrywając wszystkie ważniejsze bitwy.

Po kilku minutach i kilkunastu zakrętach stanęły przed jasnymi drzwiami.

— Hrabia czeka. — Służąca ukłoniła się i odeszła.

Daghena wyciągnęła rękę do klamki.

— Wasza wysokość — Kailean uprzedziła ją — pozwoli, że ja to zrobię.

Nie czekając na odpowiedź, otworzyła drzwi i weszła do środka.

— Księżniczka Gee’nera z rodu Frenwelsów — oznajmiła, stając z boku.

Odpowiedziało jej szuranie krzeseł. Wokół stołu, mniejszego niż się spodziewała, lecz wystarczającego dla jakichś dwunastu osób, siedział hrabia z żoną, dwaj z jego trzech synów i jasnowłosa piękność. Teraz wszyscy wstawali, witając wchodzącą ukłonami i dygnięciami. Kailean rzuciła okiem na biały obrus, srebro i kryształy odbijające blask tuzina świec, kilkanaście półmisków, trudną do zliczenia ilość karafek i dzbanów. Kolacja zapowiadała się wystawnie. Przy stole znajdowało się jeszcze jedno wolne miejsce, nie sądziła jednak, by i ją uwzględniono przy kolacji. W najlepszym wypadku spędzi wieczór, stojąc za plecami „księżniczki”.

A ta wiedziała, jak zrobić wrażenie. Wyczekała chwilę, aż wszyscy wstaną, i dopiero wtedy pokazała się w drzwiach. Perły błyszczały w blasku świec, podkreślając czerń włosów i oczu, bordowa suknia eksponowała to, co dziewczyna powinna mieć wyeksponowane, a lekki ukłon, jakim odpowiedziała na powitanie, był pełen dumy i godności.

— Księżniczko. — Hrabia już szedł w ich stronę, a radosne iskierki tańczyły mu w oczach. — Widzę, że szlachetny naród Verdanno powierzył w moje ręce swój najcenniejszy klejnot.

— Nie mógł znaleźć lepszych w tych górach. — Daghena obdarzyła go uśmiechem, od którego wosk w świecach zdawał się topić. Gdyby ktoś teraz powiedział Kailean, że Dag jeszcze niedawno robiła sobie odciski na tyłku od siodła i szalała z łukiem po pograniczu, nazwałaby go kłamcą. Sama siebie też nazwałaby kłamczuchą, bo przecież byłą Inrą-lon-Weris, a jej rola sprowadzała się do pilnowania, by „księżniczka” potrafiła porozumiewać się w miarę poprawnie w meekhu i nie próbowała jeść palcami.

Powitania i ukłony trwały jeszcze chwilę i już nabrała przekonania, że zostanie całkowicie zignorowana i będzie musiała stać pod drzwiami przez resztę wieczoru.

— Panno lon-Weris. — Gospodarz przypomniał sobie także o niej. — Nie spodziewaliśmy się, że przyjdziesz.

— Jej wysokość nalegała, panie hrabio.

— Mój meekhański nie jest jeszcze aż tak dobry — akcent Dagheny nagle stał się bardzo wyraźny — i czasem potrzebuję pomocy przy rozmowie.

— Wasza wysokość doskonale posługuje się językiem Imperium. — Żona hrabiego wyrosła jakby spod ziemi obok męża.

— Dziękuję. — Kolejny uśmiech. — Ale, na przykład, nadal nie rozumiem wszystkich tutejszych powiedzonek.

— Powiedzonek?

— Na przykład gdy mówicie „poszedł do Bleawch”, to znaczy, że nie wiadomo, gdzie on jest, a nie, że trzeba go szukać na drodze do tego miasta. Które, jak słyszałam, i tak nie istnieje.

Narzeczona drugiego syna hrabiego uniosła brwi.

— To prawda, nigdy o tym nie myślałam w ten sposób. A jak mówią Verdanno?

— Koń na nim usiadł.

Blondynka zaśmiała się perliście.

— Och, no tak, ale myślałam, że konie nie siadają.

— Oczywiście, że nie. Ale może siadają w Bleawch, mieście, którego nie ma.

Tym razem zaśmiali się wszyscy. Nawet hrabina. Daghena rozejrzała się teatralnie i rzuciła:

— Myślałam, że Aeryh-der-Maleg dołączy do nas. Czy nie będzie go na kolacji?

— Będzie. — Hrabia skinął zdecydowanie głową. — Straże doniosły, że widać już jego orszak. Dlatego zaraz każę dostawić krzesło dla panny lon-Weris.

Zaklaskał, służący w szarościach i brązach oderwali się od ścian i zakrzątnęli przy stole, a po chwili na śnieżnobiałym obrusie znalazło się dodatkowe nakrycie.

— Zapraszam.

Usiedli, u szczytu owalnego stołu hrabia, po jego prawicy księżniczka i jej towarzyszka. Kailean musiała przyznać, że der-Maleg nie był małostkowy, jeśli już uznał, że obecność damy do towarzystwa i tłumaczki jest Gee'nerze niezbędna, nie próbował ich rozdzielić ani podkreślać niższego statusu służącej.

Czyli dostała ten sam przerażający komplet naczyń i sztućców, co Dag. Naliczyła przed sobą cztery łyżeczki, trzy szpikulce do mięs i trzy różne noże. Skromność i prostota najwyraźniej nie dotyczyła zastawy stołowej. Rozejrzała się. Po prawej miała puste miejsce, a na końcu usiadła Laiwason-Baren, potrząsając złotą falą włosów, której wymyślny nieład musiał być efektem wielu godzin pracy.

Po lewicy gospodarza zajęła miejsce jego żona, w dalszej kolejności synowie hrabiego.

Gdy tylko wszyscy zajęli miejsca, Kailean znalazła się pod obstrzałem szarych jak pochmurne niebo oczu. Jeszcze parę dni temu, gdyby ktoś tak się na nią gapił, zawarczałaby i błysnęła szablą. Teraz spuściła skromnie wzrok i zajęła się podziwianiem sreber.

Brzęknęło i jej kielich napełnił się ciemnym karminem.

Nie wiedziała, co ją bardziej zaskoczyło – dźwięk czy to, że hrabia osobiście napełniał jej naczynie. Nawet nie zauważyła, kiedy wstał.

— Starym obyczajem jest — zagaił, wciąż pochylony — aby gospodarz sam napełnił pierwszy kielich szczególnie dostojnym gościom. A przecież na tradycjach i zwyczajach winien opierać się każdy naród i każde państwo. Nieprawdaż?

— Oczywiście, hrabio. — Daghena uśmiechnęła się uroczo. — Człowiek, który nie wie, kim jest i skąd pochodzi, który nie zna obyczajów ani drogi swoich przodków, jest niczym liść pędzony wiatrem. Przeznaczony mu upadek i butwienie w zapomnieniu.

— Pięknie powiedziane. — Laiwa uniosła nieco swój kielich i pochyliła się, by lepiej widzieć rozmówczynię. — To o drodze ma jakieś szczególne znaczenie w ustach księżniczki Wozaków?

Daghena odpowiedziała uśmiechem.

— Nie pierwszy raz słyszę takie pytanie. Lecz o odpowiedź musiałaby pani, hrabianko, poprosić mojego stryja. Zawiłości i in… in…

— Interpretacje?

— Właśnie, i interpretacje mądrości różnych narodów to jego ulubiona rozrywka. Zresztą — machnęła ręką — znajdź pani dwóch mędrców i zapytaj ich o coś, a usłyszysz dwie różne odpowiedzi.

— Zwłaszcza jeśli trafisz na takich, co to za mędrców się mają.

— No tak. Racja.

Hrabia skończył napełnianie kielicha hrabianki i wrócił na miejsce. Kailean spodziewała się, że teraz przyskoczy do nich zastęp służących, ale nie, ci nadal stali pod ścianami. Zamiast tego pierworodny sięgnął po karafkę z rżniętego szkła i ruszył wzdłuż stołu, nalewając najpierw ojcu i macosze, potem bratu, na końcu sobie. Nie siadając, uniósł kielich.

— Ojcze, czy uczynisz mi ten honor i pozwolisz pierwszemu wznieść toast za naszych gości?

Skinięcie głową wystarczyło za odpowiedź.

— Wznoszę toast za księżniczkę Gee’nerę z królewskiego rodu Frenwelsów, która rozświetliła nasz dom blaskiem swojej urody, i za jej towarzyszkę, pannę Inrę-lon-Weris, która daje nam żywy przykład, że odwaga nie znikła z serc córek Imperium. Bo odwagi trzeba, by porzucić dom rodzinny i udać się na wędrówkę w nieznane strony.

Kailean uniosła kryształ do ust, umoczyła wargi i po raz pierwszy zmierzyła się wzrokiem z Ewensem-der-Maleg. Wymienić jednym tchem kogoś królewskiej krwi i jakąś meekhańską sierotę to albo głupota, albo zamierzony policzek. Ten toast był obelgą. Obelgą dla księżniczki i w pewnym sensie także dla niej, bo sugerował, że jest zbyt głupia, by to pojąć. Odstawiła kielich.

— Inra rzeczywiście jest niezwykłą młodą damą — Daghena odezwała się pierwsza. — W porównaniu z nią moja poprzednia nauczycielka i dama do towarzystwa to blade widmo pozbawione temperamentu.

— Poprzednia? — Hrabia również odstawił kielich i skinął na służbę. Dopiero teraz wszczął się ruch. Zaszczękały pokrywki półmisków, zapachniało pieczystym i ciężkimi sosami.

— Tak, pani Emiwa-had-Laweris. Niestety, gdy dowiedziała się o cesarskim rozkazie, odeszła. Ma rodzinę na Wschodzie i nie chciała jej zostawiać.

— Więc panna lon-Weris służy u waszej wysokości…

— Pół roku. Ale żałuję, że nie poznałyśmy się wcześniej.

Najpierw podano zakąski, kawałki marynowanego mięsa, ostre owcze sery i płaty wędzonej ryby. Kailean nie spuszczała wzroku z pierworodnego. Ten odwzajemnił jej spojrzenie i uśmiechnął się drwiąco, zerkając wymownie na Daghenę. Widzisz – mówiło jego spojrzenie – właśnie ją obraziłem, a ona nawet o tym nie wie. Dzikuska.

Na chwilę, dosłownie na mgnienie oka, zapomniała, kim teraz jest, Inrą lon-Weris, sierotą po kupcu, która żeby nie popaść w nędzę, przyjęła pracę u Wozaków. A Inra nie patrzyłaby tak wyzywająco na potomka starego, hrabiowskiego rodu, bo choć była Meekhanką czystej krwi, to jednak jej ojciec w pas kłaniał się każdemu baronowi i hrabiemu.

Opuściła wzrok.

— Cesarski rozkaz dla wszystkich był zaskoczeniem. — Hrabia nabił na mały szpikulec kawałek mięsa i wymachiwał nim jak miniaturową buławą. — Czy naprawdę zagrożenie ze strony Se-kohlandczyków jest aż tak duże? Różne wieści tu do nas docierają. A to, że Yawenyr skonał, a to, że kona, a to znów, że cudownie wyzdrowiał i z wdzięczności Panu Burz ślubował znów poprowadzić swoje hordy na zachód.

— Gdyby rzeczywiście chodziło o kolejny najazd, ojcze, Cesarz nie nakazałby Verdanno zwinąć obozów i powędrować na północ — włączył się do rozmowy Ewens. — Podobno poddani jej wysokości nienawidzą koczowników jak jadowitych węży. Ród królewski z pewnością rozkazałby, żeby walczyli.

Wszyscy spojrzeli na Daghenę. Nawet Laiwa-son-Baren wyciągnęła szyję, by lepiej widzieć.

Dag pochyliła się ku Kailean.

— I co mam im powiedzieć? — szepnęła jej do ucha w ciężko akcentowanym *anaho*. — Jak tam właściwie u Wozaków jest?

Kailean ledwo ją zrozumiała, co było o tyle dobre, że nawet gdyby jakimś cudem znalazł się przy stole ktoś znający język Verdanno, to i tak nie mógłby podsłuchiwać.

— Księżniczka prosi, żebym tłumaczyła, bo nie jest pewna swojej znajomości meekhu. — Zignorowała uporczywe spojrzenie pierworodnego i zwróciła się wprost do jego ojca. — Verdanno nie są niczyimi poddanymi i nigdy nimi nie byli. Ród królewski to przede wszystkim sędziowie i strażnicy praw, więc nie ma takiej władzy, by komukolwiek rozkazywać.

— Dobrze… mów, co tam wiesz, a ja będę coś mamrotać. — Szept „księżniczki” przeszedł w prawdziwe mamrotanie. — Tylko szybko, bo mi się słowa kończą, a nie lubię się powtarzać.

— Ród królewski ma własne stada, wozy, własną straż, lecz rządził tylko w Królewskim Grodzie, największym obozie, jaki kiedykolwiek istniał. Poza nim większość plemiennych karawan wędrowała własnymi drogami.

— I dlatego już nie wędrują?

Za ton, jakim zadał to pytanie, Ewens powinien dostać w twarz. Daghena też tak to odebrała, bo przestała pomrukiwać bez sensu i zapytała towarzyszkę:

— Czy on próbuje mnie obrazić?

— Bez przerwy, wasza wysokość.

Kailean odpowiedziała w *anaho* wystarczająco głośno, by wszyscy usłyszeli. I ciszej zaraz dodała:

— Poszepcz mi jeszcze trochę do ucha, a potem siedź i rób chmurną minę.

Odczekała stosowną chwilę.

— Księżniczka pragnie przypomnieć, że jej lud uległ armii, która później przez kilka lat bezkarnie łupiła połowę Imperium, mimo iż Imperium jest pięćdziesięciokroć rozleglejsze i ma dziesiątki tysięcy żołnierzy na każde zawołanie. Oraz że koczownicy do tej pory płaczą, wspominając wojnę z Verdanno.

Wygłosiła to, patrząc pustym wzrokiem między pierworodnego a jego macochę. Teraz nie była sobą, tylko głosem księżniczki.

Hrabia przyjął to po męsku. To znaczy najpierw lekko poczerwieniał, potem spojrzał na najstarszego syna i wreszcie wstał i skłonił się sztywno.

— Proszę waszą wysokość o wybaczenie. Mój syn nie chciał cię obrazić, ma po prostu zwyczaj skracać swoje myśli w sposób, który czasem sprawia, że jest opacznie rozumiany.

— A co właściwie miał na myśli? — Daghena tak się wczuła w rolę, że ani myślała odpuszczać.

Ewens wstał, pochylając się ciężko do przodu, a Kailean na mniej niż uderzenie serca zobaczyła to coś, co zagościło w głębi jego oczu.

I zrozumiała.

Pierworodny. Dziedzic tytułu i majątku. Ten, któremu należała się ręka najpiękniejszej okolicznej szlachcianki i którego syn miał zostać kolejnym hrabią der-Maleg. Przynajmniej do chwili wypadku sześć lat temu. Bo teraz, ponieważ jego rodzony ojciec hołduje jakimś prastarym przesądom, bzdurnym zwyczajom, jest nikim. To młodszy brat weźmie wszystko, a gdyby przypadkiem Aeryhowi coś się stało, jest jeszcze Ywron, bękart z innej matki, który jako trzeci syn powinien już dawno szukać swojego szczęścia gdzieś w świecie, a siedzi na ojcowiźnie jak sęp czekający na padlinę, ważniejszy teraz niż pierworodny.

Nienawiść. Paląca tak, że oczy mężczyzny z szarych zrobiły się niemal białe. Na mniej niż uderzenie serca.

A gdy już się wyprostował, znów był sobą. Spokojnym, opanowanym potomkiem arystokratycznego rodu, z lekko ironicznym uśmieszkiem przyklejonym do warg.

Tu nie chodzi o nas, zrozumiała jeszcze, tylko o hrabiego. To walka między nimi, ojcem a synem, a Ewens-der-Maleg nie ma nic do barbarzyńskiej księżniczki. Byłby tak samo nieuprzejmy dla każdego gościa, którego hrabia przyjmie w zamku.

— Proszę waszą wysokość o wybaczenie — zaczął z ukłonem. — Miałem na myśli to, że niezależność i swoboda, tak cenione przez wędrujące po stepach ludy, okazały się zgubne w obliczu najazdu wielkiej, zorganizowanej hordy barbarzyńców. Oraz to, że gdyby władza rodu królewskiego, do którego wasza wysokość należy, była silniejsza, nasz wspólny wróg nigdy nie pokonałby Verdanno, którzy słyną ze swej odwagi.

Kailean zauważyła ruch. To kruczowłosa żona hrabiego zabębniła palcami po stole, z wyraźnym znudzeniem wysłuchując przemowy pasierba. Najwyraźniej taka sytuacja nie była tu niczym nowym i pierworodny nieraz sprawdzał cierpliwość ojca.

Ale wybrnął dość zgrabnie.

Daghena pochyliła głowę, przyjmując przeprosiny.

— To brzmi znacznie lepiej. Cieszę się, że rozumiemy się teraz… eee… dokładnie. Dzięki czemu mogę się cieszyć gościnnością tego domu.

Wzięła srebrny szpikulec, nabiła kawałek sera i zanim Kailean zdążyła ją ostrzec, włożyła do ust.

Kozi ser. Wędzony na różne sposoby, czasem o bardzo, ale to bardzo charakterystycznym smaku. Znakomita przekąska, która powodowała, że człowiek nabierał gwałtownej ochoty na coś do jedzenia. Cokolwiek, byle tylko o tym charakterystycznym smaku zapomnieć.

Daghena zachowała się dzielnie. Pogryzła, przełknęła, swobodnym gestem sięgnęła po wino.

— Od czego właściwie zaczęło się to nasze nieporozumienie?

— Zastanawialiśmy się — hrabia nie odrywał wzroku od Ewensa, póki ten z powrotem nie usiadł — co skłoniło Cesarza do wydania rozkazu przeniesienia Verdanno w nasze góry?

Skierował spojrzenie na Daghenę i uśmiechnął się uprzejmie.

— Cesarz nie wydał takiego rozkazu. — „Księżniczka” upiła jeszcze łyk wina, poruszyła kielichem, zapatrzona w taniec karminu na kryształowych ściankach. — Wyraził tylko uprzejmą prośbę, którą starszyzna obozów postanowiła spełnić. Bo, jak zapewne pan wie, hrabio, Verdanno nie otrzymali obywatelstwa Imperium, więc formalne rozkazy nas nie dotyczą.

Przy stole zapadła cisza. A Kailean musiała przyznać, że Dag była w tej grze niespodziewanie, i to w całkowicie wspaniały, niewiarygodny sposób, dobra.

— Rozumiem. — Cywras-der-Maleg chrząknął. — Proszę mi wybaczyć, wasza wysokość, ale jestem po prostu ciekaw, co skłoniło Tron do wyrażenia takiej prośby. To wydarzenie bez precedensu, dziesiątki tysięcy wozów na wiele dni zablokowały jedną z głównych dróg handlowych Wschodu, a słyszałem, że jeszcze nie wszystkie wjechały do doliny. Kupcy ponoszą straty, a gdy kupcy ponoszą straty, stratne jest całe Imperium.

Ostrożne, wyważone zdania gładko wymykały się z ust arystokraty, a Kailean nagle odkryła zalety bycia kimś w rodzaju służącej. Nikt na nią nie patrzył. Wszyscy, łącznie z siedzącą dwa krzesła dalej Laiwą-son-Baren, wodzili wzrokiem od hrabiego do Dagheny.

— No i rzecz jasna — hrabia kontynuował — taka prośba osłabiła wschodnią granicę, bo jak słusznie zauważył mój syn, Verdanno słyną z nienawiści do Se-kohlandczyków, a ich obozy byłyby przez wiele dni niezdobytymi twierdzami.

— Tylko jak długo by się te twierdze utrzymały, hrabio? Obozy, które mieliśmy na południu, były zbyt duże i ludne, by ich skutecznie bronić. Zresztą dwa z nich zostały na miejscu. Derewn’lo i Kalear Większy. Zostały w nich kobiety z małymi dziećmi, starcy i trochę dorosłych wojowników, ktoś bowiem musi pilnować stad i tabunów, póki w Law-Onee nie wyrosną trawy.

Żona hrabiego wydęła wargi.

— Trzeba było je przypędzić razem z wozami.

— Pół miliona sztuk?

Ewens omal nie przelał kielicha, który właśnie napełniał, a hrabia zamarł na mgnienie oka z wpółotwartymi ustami.

— Pół miliona?

— Jesteśmy narodem pasterzy i hodowców, panie hrabio. — Daghena posłała mu łagodny uśmiech. — Bydło i konie są dla nas tym, czym dla meekhańskiej szlachty ziemia.

— Ale Law-Onee nie wykarmi tylu zwierząt. Tutejsze ziemie są ledwo w stanie utrzymać nasze kozy i owce.

— Dlatego też część zwierząt przepędzimy do Wermoh i dalej na zachód. Tamtejsze pastwiska są bardziej urodzajne, a starszyzna już omawiała kwestie związane z ich wydzierżawieniem. Zresztą spodziewamy się,

że gdy minie zamieszanie na Stepach, Cesarz ber-Arlens pozwoli nam wrócić na wschodnie pogranicze.

— A do tego czasu banda starców i kobiet z małymi dziećmi będzie pilnować tego niewyobrażalnego bogactwa? — Ewens odstawił karafkę, ale nie sięgnął po napełniony kielich.

— Pomaga im meekhańska armia.

Och, właśnie powiedziała to, na co wszyscy czekali. Informacja, że meekhańscy żołnierze „strzegą” stad Verdanno, wyjaśniała, jakim kijem pognano Wozaków na północ. Przynajmniej to było proste i zrozumiałe dla wszystkich.

— Nadal jednak nie wiemy, dlaczego Cesarz wyraził taką… prośbę. — Hrabia nie ustępował.

— Och, czy to nie oczywiste, ojcze? — Pierworodny pociągnął z kielicha, po czym zakręcił nim, drwiąco parodiując Daghenę. — Ojciec Wojny zdycha gdzieś w swoim barłogu, nie pozostawiwszy, jeśli są mi znane barbarzyńskie obyczaje, prawego dziedzica. Synowie Wojny szykują się do walki o schedę po nim, więc ten kocioł, zwany Wielkimi Stepami, zacznie wkrótce wrzeć. Istnieje szansa, że będzie wrzał przez wiele lat i wygotuje się sam tak bardzo, że koczownicy przestaną stanowić ciągłe zagrożenie. Zostanie po nich tylko, wybaczcie banalne porównanie, osad na ściankach i trochę krwawej brei na dnie. Chyba że ktoś, wybaczcie kolejny banał, dźgnie ten kocioł włócznią. Wtedy może wybuchnąć nam prosto w twarz.

Daghena obdarzyła go pięknym i bardzo zimnym uśmiechem.

— Żeby dźgnąć coś włócznią, trzeba mieć dość siły i odwagi, by się nią posługiwać. Jedno mogę obiecać, Verdanno nie wjadą na Wielkie Stepy, by rzucić wyzwanie koczownikom, bo taka jest wola Cesarza, którego szanujemy, lecz jak to powiadacie… eee… Lepiej przysypać żar ziemią? Dobrze pamiętam powiedzonko? Lepiej być przezornym, żeby nie prowokować do wojny. Żeby jakieś gorące głowy nie podpaliły całej wschodniej granicy.

Hrabia wziął srebrny szpikulec i zaczął dźgać wyłożone przed nim przystawki. Jakby nabijał wrogów na pikę.

— Więc… proszę wybaczyć szczerość pytania, księżniczko, ale rozkazy ze stolicy były dość ogólnikowe, więc Wozacy nie zostali tu przesiedleni na stałe?

— Tu? — „Księżniczka” uniosła brwi. — W góry? Gdzie nie ma miejsca ani dla ludzi, ani dla zwierząt? Gdzie jedynymi w miarę płaskimi terenami są imperialne drogi, a reszta to tylko skały, drzewa, kamienie i mech? Poza tym, jak już mówiłam, my nie jesteśmy poddanymi meekhańskiego cesarza, by mógł nas przesiedlać wedle woli. My tylko spełniamy jego prośbę, by usunąć się znad granicy i nie prowokować nikogo do głupich czynów. Ale żeby być Verdanno, potrzebujemy otwartych przestrzeni.

Drzwi za plecami Kailean otworzyły się i jeden ze służących zaanonsował:

— Aeryh-der-Maleg, drugi syn Cywresa-der-Malega i Euherii-der-Maleg-seg-Wydram, dziedzic rodu der-Maleg, spadkobierca Wyższych Pól Wschodnich, Kalonwee, Czehran, Małopasu…

Widocznie zgodnie z lokalnym obyczajem przybycie dziedzica wymagało odpowiedniej oprawy, a słuchając długiej listy miasteczek i wsi, Kailean musiała przyznać, że majątek hrabiego jest całkiem spory, choć jak pamiętała, wioska, w której się urodziła, składała się z pięciu chałup i trzech szop. Zapewne kryształowy kielich, który przed nią stał, był wart więcej niż roczny dochód z większości wymienianych właśnie podobnych wioseczek. Ale ich liczba była imponująca.

Spojrzała na pierworodnego. Uśmiechał się uprzejmie, w oczach miał tylko szczere rozbawienie, a dłonie, w których trzymał kielich, nie drżały. Lecz patrząc, jak zaciskał szczęki, mogła się założyć, że gdyby włożyć mu między zęby podkowę, przegryzłby ją na pół.

Daghena obróciła się do wchodzącego. Kailean poszła w jej ślady. Aeryh miał włosy ciut jaśniejsze niż starszy brat, za to oczy odrobinę ciemniejsze. Prosty jak strzała, wysoki, szeroki w ramionach. Mógłby pozować do następnego obrazu w kolekcji hrabiego, jako meekhański zdobywca świata. Choć pewnie już to zrobił.

I nawet był w stosownym stroju. Wysokie buty do jazdy konnej, ciemne spodnie, skórzana przeszywanica, pas obciążony mieczem i okazałym sztyletem. Wszystko znoszone i zakurzone, jakby wszedł do sali wprost z siodła. Kailean przyłapała się na tym, że zerknęła za drzwi, spodziewając się konia w korytarzu. Prawdziwy dziedzic wojowniczej arystokracji, szkolony od dziecka na żołnierza.

— Wasza wysokość — przerwał służącemu litanię wyliczeń i ukłonił się w pas. — Ojcze, matko, najdroższa Laiwo, bracie, bracie. — Kłaniał się

każdemu z osobna, lecz już nie tak uniżenie. — Panno…

Zawiesił na niej wzrok.

— Inra-lon-Weris. — Kailean wstała i dygnęła. — Towarzyszka i tłumaczka jej wysokości.

— Zajeździłem dwa konie, spiesząc się na to spotkanie, ale i tak będę żałował każdej chwili, która mnie ominęła. Więc wybaczcie mi, proszę, podróżny strój.

Zaakcentował to „zajeździłem” i trzasnął po wojskowemu obcasami, aż zabrzęczały stalowe gwiazdki przy główkach ostróg. Kailean przeniosła spojrzenie na jego buty. Gwiazdki były krwistoczerwone.

Wbiła obcas w stopę Dagheny, aż ta podskoczyła i zerwała się z miejsca. I natychmiast nachyliła się do ucha „tłumaczki”.

— Co się stało? — syknęła w *anaho*.

Przy stole już wszczęło się zamieszanie, hrabia również poderwał się z krzesła, podobnie hrabina, oboje patrzyli na swojego gościa, jakby nagle wyrosła mu druga głowa.

Kailean szepnęła tylko:

— Obraził cię.

Dag zareagowała prawidłowo, bez wahania odsunęła krzesło i nie patrząc na nikogo, skierowała się do drzwi. Aeryha minęła z taką miną, jakby był kupą łajna pokrytą warstwą larw.

— Wasza wysokość! Wasza wysokość! — Cywras-der-Maleg próbował za nią pobiec, ale Kailean bezceremonialnie stanęła mu na drodze.

— Proszę o wybaczenie, hrabio — dygnęła — ale gdy księżniczka jest w takim nastroju, lepiej jej nie przeszkadzać. Spróbuję ją jakoś ułagodzić.

I wyszła, zostawiając wszystkich w bezbrzeżnym zdumieniu.

* * *

Gdy tylko dotarły do swoich komnat, Daghena znieruchomiała, jakby nasłuchując.

— No dobrze, powiesz mi, o co właściwie chodzi? Jeśli hrabia poczuje się urażony…

Kailean znów stuknęła palcem w ucho. Jej towarzyszka parsknęła.

— Nie, tym razem na pewno nie. Mam swoje sposoby. Babka i tego mnie uczyła. Więc: dlaczego ryzykujemy wyrzucenie z zamku?

— Bo jej książęca wysokość Gee’nera z rodu Frenwelsów na samą wzmiankę o zajeżdżeniu dwóch koni chlusnęłaby Aeryhowi winem w twarz. A po zademonstrowaniu okrwawionej szpicruty i ostróg rozbiłaby mu kielich na głowie.

Dag zmiękła.

— O tym nie pomyślałam… — Uśmiechnęła się półgębkiem. — Czyli wychodzi na to, że w domu hrabiego obrażono mnie, i to śmiertelnie. Więc co, czekamy na przeprosiny?

— Nie możemy czekać, bo Cywras-der-Maleg prawdopodobnie nie bardzo wie, o co ci chodzi. Za kilka chwil pójdę do hrabiego z twoim żądaniem, by wysłał gońca i zawrócił nasz wóz albo przygotował na rano własny.

— A jeśli się zgodzi?

Kailean pokręciła głową.

— Nie. On hołduje, albo bardzo stara się sprawiać takie wrażenie, starym meekhańskim obyczajom, a nie ma większej hańby niż obrażony gość. Będzie chciał nas zatrzymać. Każe synowi przepraszać, i takie tam. A my damy się przeprosić. Ale dopiero jutro. Na razie grasz wściekłą dzikuskę. Rozbij lustro, potrzaskaj meble, potnij obicia na sofach.

Daghena skrzywiła się ze zniecierpliwieniem.

— A potem?

— Grasz gościa, który ledwo dał się przeprosić i który nie zawsze ma ochotę na towarzystwo gospodarza. To nam da więcej swobody. Mamy jeszcze trzy dni i lepiej ich nie zmarnujmy.

Kwadrans później Kailean wyszła na korytarz, złapała pierwszego napotkanego służącego za rękaw i kazała się prowadzić do Cywrasa-der-Malega.

Najwyraźniej kolacja się skończyła, bo hrabia był już w innej komnacie, pomieszczeniu pełnym półek z księgami i stojącym pośrodku olbrzymim biurkiem z czarnego drewna. Wyglądał tak, jakby się jej nie spodziewał, stojąc twarzą do wąskiego okna, zapatrzony w noc. Na odgłos otwieranych drzwi obrócił się powoli, a widząc, kto wchodzi, uniósł brwi.

— Panno lon-Weris. Co się tam, na imię Jasnej Pani, stało?

Krótko, zwięźle wyjaśniła, o co poszło.

— Więc chodzi o konie? O to, że Aeryh przyznał się, że zajeździł dwa?

— Dla księżniczki to bardzo poważna sprawa. Konie dla Wozaków to…

— Wiem, wiem. — Machnął ręką. — Słyszałem o tym, ale sądziłem, że dwadzieścia lat życia na ziemiach Imperium pozwoliło im nieco złagodzić obyczaje. Czyż nie handlują swoimi końmi? Nie wiedzą, że niektóre z nich trafiają do brutalnych, okrutnych albo bezmyślnych ludzi?

— Wiedzą, panie hrabio. Ale na Wschodzie żaden okrutny albo bezmyślny człowiek nie jest tak głupi, by w obecności Verdanno chwalić się, że katuje swoje konie. Bardzo szybko wszystkich tego nauczyli.

Zmierzył ją uważnie wzrokiem i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że wypadła z roli, a Inra została zastąpiona przez Kailean. Zdradził ją ton i sposób, w jaki odezwała się do arystokraty. Inra nigdy by sobie na coś takiego nie pozwoliła, ale dziewczyna, której kha-darem był sam Laskolnyk, już tak.

— Odważne słowa, panno Inro. Więc mój syn jest leniwy, okrutny albo bezmyślny?

Nie uciekła spojrzeniem w bok, nie zarumieniła się i nie zemdlała. W końcu panna Inra rzuciła siedzenie na garnuszku u rodziny i zdecydowała się powędrować na kraj świata w towarzystwie jeżdżących wozami barbarzyńców. To zobowiązywało.

— Nie, panie hrabio. Sądzę, że pański syn miał dobre intencje, ale źle trafił.

Gospodarz pokiwał głową.

— Może pani uspokoić jej wysokość. Mój syn nie zajeździł żadnego konia na śmierć. Nie mam tylu koni. Proszę wytłumaczyć księżniczce, że to tylko takie miejscowe powiedzenie. Gdy ktoś spóźnia się na ważne spotkanie, to chcąc zmazać złe wrażenie, mówi „Spiesząc tutaj, zajeździłem jednego, dwa czy tuzin koni”. Gdyby Aeryh rzeczywiście zajeżdżał jakiegoś wierzchowca za każdym razem, gdy się spóźnia, moje stajnie od dawna świeciłyby pustkami.

— A ostrogi?

— Co ostrogi? Aaa… wiem. Powiedz, że będę bardziej niż szczęśliwy, mogąc podarować to nieszczęsne zwierzę księżniczce, by w jej służbie nigdy nie zaznało już wędzidła ani siodła. Tylko w ten sposób mogę wynagrodzić jej bezmyślne zachowanie mojego syna. Czy to wystarczy?

To była hojna propozycja, bo Aeryh nie wyglądał na kogoś, kto zadowala się jazdą na koniu innym niż bojowy *kaneya* czystej krwi.

Dygnęła.

— Spróbuję wytłumaczyć wszystko jej wysokości.

— Dobrze. Wina?

— Ja… raczej nie powinnam.

— Ja też nie. — Hrabia uśmiechnął się lekko, kładąc rękę na żołądku. — Zwłaszcza gdy przerwałem kolację w tak nieprzyjemnych okolicznościach. Niestrawność nie da mi zasnąć. Ale jakoś zaryzykuję.

Sięgnął do biurka i wyciągnął niewielki gąsiorek i dwa skórzane kubki.

— Kryształ i srebra są dobre w czasie wykwintnych przyjęć, lecz dla starego żołnierza nie ma jak wino pite tak, jak piliśmy je w czasie wojny.

— Służył pan w armii, panie hrabio? Mój ojciec również.

— O? A gdzie, jeśli można spytać?

— Był młodszym porucznikiem Pierwszej Chorągwi Czwartego Pułku Lotnego.

Arystokrata wręczył jej kubek, wino pachniało żywicą i kwiatami. Było mocne.

— Meekhanka czystej krwi i córka oficera. Znakomite połączenie. Ojciec mówił, dlaczego nie został w wojsku?

— Po wojnie pułk rozwiązano, a on wolał zająć się handlem niż zbójowaniem. No i podobno matka nalegała. Wolała, żeby parał się czymś spokojniejszym.

— I pewnie miała rację. Ja służyłem w Dwunastym Pułku Pieszym. Brałem udział w bitwie o Wielką Bramę, a potem w marszu na południowy wschód, gdy odbijaliśmy miasta i zamki, które Yawenyr obsadził swoimi ludźmi. Trzy bitwy w polu, osiemnaście potyczek, pięć szturmów na mury. Dosłużyłem się młodszego kapitana, ale po wojnie wróciłem do domu. Mój starszy brat poległ i zostałem głową rodu. A w domu czekało mnie to. — Zatoczył łuk ręką. — To nie księgi magiczne ani poezje, ani bohaterskie eposy, lecz księgi zarządcze. Każde miasteczko i wieś, każde stado owiec i kóz, każda droga i wieża strażnicza, każdy młyn i tartak. Niektóre z tych ksiąg mają ponad trzysta lat, odziedziczyliśmy je po Świątyni Dress, ale większość założyliśmy sami.

Kailean rozejrzała się, przytłoczona liczbą woluminów. Było ich ze trzy setki. Hrabia pochwycił jej spojrzenie i roześmiał się nadspodziewanie ciepło.

— Nie, nie muszę zajmować się wszystkimi. Są tu takie, które dotyczą miejsc już bezludnych, wiosek zniszczonych przez wojnę, powódź albo pożar, zerwanych mostów, których nie opłaciło się odbudowywać, stad wybitych przez zarazę albo na mięso. Inne zapełniły się całe, więc historie pewnych miejsc kontynuuję w nowych. W tej chwili używam mniej niż dwudziestu z nich. — Wskazał na półkę najbliżej biurka. — I to nie częściej niż kilka razy w roku, na przykład w czasie strzyży albo wiosną, gdy przychodzą wieści, ilu ludzi zmarło w danej wiosce, ile dzieci się urodziło, i tak dalej. Wiosenne zapisy już uzupełniłem, więc do lata mam spokój z księgami.

— To dużo pracy, panie hrabio.

— Tak. I powinienem mieć do tego zarządcę, ale nie lubię zdawać się w takich sprawach na innych. Tym bardziej nie chciałbym zakładać nowych rejestrów. Mnóstwa nowych… — przerwał, najwyraźniej uznając, że dziewczyna powinna się już wszystkiego domyślić.

Kailean nie zamierzała mu jednak niczego ułatwiać. Zrobiła zdziwioną minę i zamrugała, jakby była czymś niezmiernie zakłopotana.

— Nie bardzo rozumiem, hrabio…

— Och. — Machnął ręką, wylewając nieco trunku. — Nie graj przede mną prostej dziewuchy. Proste dziewuchy żebrzą u rodziny o posag, po czym wychodzą za pierwszego, który je z tym posagiem weźmie. Ty złapałaś życie we własne ręce, zatrudniłaś się u dzikusów, nie zawahałaś się, wyjeżdżając setki mil od domu. To takie dziewczyny jak ty pomagały stworzyć Meekhan taki, jaki jest dzisiaj. Nie te mdłe, głupio rozchichotane idiotki, których teraz pełno w szlacheckich rodach, ale twarde, zaradne i odważne kobiety. Ile Gee’nera ci płaci?

— Dwadzieścia orgów miesięcznie.

Tym razem to on wyglądał na zdziwionego.

— Dwadzieścia orgów? Za to można kupić kilka sztuk bydła.

— Owszem. Ale poprzednia towarzyszka zarabiała dziesięć i nie zdecydowała się towarzyszyć księżniczce w wędrówce.

— Więc na dodatek umiesz się targować, droga Inro.

— Raczej znam swoją wartość, panie hrabio.

Uśmiechnął się.

— No, jak nie robisz miny upośledzonej na umyśle prostaczki, wyglądasz lepiej. Nie będę cię prowadził w mgłę. Mam nadzieję, że sprawa z księżniczką zostanie załatwiona jak należy i nie rozstaniemy się w gniewie, ale teraz chodzi mi o Wozaków. Czy będę musiał zakładać dla nich nowe księgi? Czy zamieszkają w pobliżu moich ziem na dłużej, czy też, jak mówi jej wysokość, za kilka miesięcy, najpóźniej w przyszłym roku, spróbują wrócić na Stepy? — Hrabia zaczął się przechadzać wokół biurka, niemal na nią nie patrząc. — Rozkazy cesarskie były krótkie i proste, „Przyjąć Verdanno w Olekadach, pozwolić założyć obozy, nie przeszkadzać". Tylko tyle. Aż tyle. Nie wiem, czy w stolicy ktoś o tym pomyślał, ale ich jest… ilu? Sto pięćdziesiąt? Dwieście tysięcy? To cały naród. W Olekadach żyje teraz może ze dwa razy więcej ludzi, wiem to, bo jak widzisz — zatrzymał się i wskazał na księgi — staramy się dokładnie znać wartość naszych majątków, a ludzie są ich nieodłączną częścią. Zwiększenie o połowę tej liczby, tu, w górach, to będzie katastrofa. Te ziemie nie napełnią tylu brzuchów, a nawet gdyby napełniły…

Znów zawiesił głos i spojrzał na nią uważnie.

— Z tego, co wiem — zaczęła, ostrożnie dobierając słowa — Wozacy ani myślą zostawać w górach na dłużej. Stada i tabuny są podstawą ich majątku i dobrobytu, a tu nie ma miejsca, żeby je wypasać.

— Mogą je sprzedać.

— Jestem córką kupca, panie hrabio, i wiem, że jeśli rozejdzie się wieść, że Verdanno muszą sprzedać swoje bydło i konie, to cena zwykłej krowy z pięciu orgów spadnie do jednego. Będą zrujnowani. No i oczywiście chodzi o konie. — Uśmiechnęła się. — Oni nie zrezygnują z hodowli koni, bo to tak, jakby mieli sprzedać własne dzieci. Prędzej przestaną mieszkać w wozach i osiądą gdzieś na stałe.

— Ale niektóre z ich wozów wyglądają tak, jakby byli na to przygotowani.

— Obawiam się, że nie rozumiem…

— Wiozą cedrowe i dębowe pnie, deski, beczki smoły, tysiące długich gwoździ, narzędzia ciesielskie. Zupełnie jakby byli gotowi stanąć w szczerym polu i wybudować tam całe miasto.

Ojej… ojejej… Myśl dziewczyno, myśl.

— Widziałam wozy załadowane tymi belkami. — Najlepsze kłamstwo to takie, które zawiera najwięcej prawdy. — I widziałam, jak ich używają, jeszcze w czasie drogi przez Stepy. Gdy karawana trafi na grunt, którego nie może pokonać, Verdanno budują z tych belek drogę. Tak zrobili, gdy wylała jedna z rzeczek i musieliby objeżdżać podmokły teren. Ułożyli pnie na ziemi, przejechali i zabrali je ze sobą. Zaoszczędzili dobre trzy dni drogi. Deski, smoła i narzędzia służą do naprawiania uszkodzonych wozów, karawana tej wielkości zużywa mnóstwo drewna.

Mierzył ją wzrokiem, czujnie, mrużąc oczy.

— To rozsądne wyjaśnienie — wycedził. — Rozsądne i logiczne. Bardzo przemyślane — dodał cicho.

Przyszła pora, by się oburzyć. Zmarszczyła brwi.

— Proszę o wybaczenie, panie hrabio, ale nie rozumiem. Dla mnie to nie do wyobrażenia, by Verdanno mieli nie wrócić na Stepy. Dla kogoś, kto wychował się na równinie, gdzie wiatr pędzi przez setki mil, nie napotykając nawet małego wzniesienia, tutejsze góry są… przytłaczające. Czarne i szare kamienne ściany, które chcą człowieka zgnieść, zmiażdżyć, odbierają wzrokowi ostrość spojrzenia, a piersiom dech. Trzeba albo się tu urodzić, albo być szaleńcem, żeby chcieć w nich mieszkać.

Ostro, za ostro jak na prostą dziewczynę.

— Mocne słowa, panno Inro. — Jej rozmówca w mgnieniu oka był na powrót hrabią der-Maleg, arystokratą od piętnastu pokoleń. Wyprostował się i jakby nieco oddalił, wszystko bez zrobienia nawet małego kroku.

— Ojciec zawsze mi mówił, że nawet przed cesarzem trzeba mówić prawdę. A raczej, że zwłaszcza przed cesarzem trzeba mówić prawdę.

— Córka oficera, prawie zapomniałem. — Skinął głową. — No dobrze, nie wspominajmy już o tym. Więc sądzisz, że nasi goście czują się przytłoczeni górami?

— Nie sądzę, tylko wiem. Byłam z nimi, gdy w nie wjeżdżali. Gdyby nie rozkazy starszyzny, większość wozów zawróciłaby po kilku milach. Verdanno nie są stworzeni do gór, a góry nie są stworzone dla nich. No i jeszcze ci żołnierze… ta Górska Straż… — Zrobiła zachmurzoną minę.

— Górska Straż?

— Zachowują się w dolinie, jakby mieli Wozaków pilnować. Zablokowali wszystkie drogi, zabraniają wychodzenia z obozów nawet po chrust do lasu, zupełnie jakby Verdanno byli więźniami. To dodatkowo ich drażni. A to źle, panie hrabio. W obozach jest mnóstwo młodych, którym nie w smak takie ograniczenia, a ludzie mieszkający na Stepach nie przywykli do zamknięcia. Ktoś może zrobić coś głupiego…

Przerwała, przykładając dłoń do ust jak ktoś, kto właśnie jest o krok od wypaplania wielkiej tajemnicy. Przez chwilę bała się, że robi to nazbyt teatralnie i hrabia przejrzy jej grę.

Zerknęła w jego stronę i trafiła na spokojne, wyrachowane i bardzo uważne spojrzenie. Wpatrywał się w nią długo, wystarczająco długo, by zdążyła się zarumienić i chyba właśnie to była reakcja, na którą czekał.

— Wozacy są niechętni Straży? — zapytał cicho.

Pokręciła głową.

— Nic takiego nie powiedziałam, panie hrabio. Po prostu nie rozumieją, dlaczego żołnierze trzymają ich w dolinie jak w jakiejś pułapce.

Nawet nie mrugnął.

— Nie znam wszystkich rozkazów z Meekhanu, być może generał Monel otrzymał jakieś dodatkowe polecenia, ale powinien uważać. Straż to tylko cztery tysiące ludzi i jeśli Verdanno zechcą siłą dochodzić swoich krzywd, najpewniej nie da rady ich powstrzymać. Jednak na razie nikomu się krzywda nie dzieje, prawda?

— No… nie, panie hrabio.

— Więc może to tylko zwykła nadgorliwość, może generał nie chce, żeby komuś cokolwiek się stało, bo w Olekadach nie wszyscy patrzą przychylnie na Wozaków.

— Mimo cesarskich rozkazów?

Westchnął ciężko i posłał jej wyrozumiały uśmiech.

— Cesarz jest daleko, a ojcowizna blisko. Gdyby na Stepach, w pobliżu obozów Wozaków, pojawiło się nagle jakieś inne plemię koczowników, to czy sądzisz, drogie dziecko, że zostałoby przyjęte z otwartymi ramionami? Natury ludzkiej nie zmienisz, obcy, jeśli jest ich niewielu, mogą być potraktowani przyjaźnie, przyjęci mięsem i chlebem, ugoszczeni. Ci sami przybysze, gdy zjawią się w wielkiej liczbie, zastaną zamknięte bramy i napięte kusze. Bo ludzie tu — dotknął mostka — w sercach, zawsze dzielą świat na

znane i nieznane, na swoich i obcych, na przyjazne i wrogie. A jak widzisz, w tym podziale obce i wrogie znaczy to samo.

Znów ruszył w wędrówkę wzdłuż biurka.

— W górach, także na moich ziemiach, przybycie Verdanno poprzedzały brzydkie plotki. O rugowaniu z ojcowizny, o przymusowych wysiedleniach całych wsi i wyznaczaniu nowych granic dla naszych posiadłości. Nie uwierzyłem w ani jedną z nich, więc pod groźbą ciemnicy zakazałem ich rozpowszechniania. To był mój błąd, bo równie dobrze można próbować zatrzymać pożar, stawiając zaporę ze słomianych bel. Dlatego też ucieszyłem się, gdy księżniczka Gee'nera wyraziła chęć odwiedzenia mojego zamku. To mi pozwoli przynajmniej częściowo dać tym plotkom odpór. Będę mógł ogłosić, że sama wozacka księżniczka zapewniła mnie, iż jej lud nie ma zamiaru się tu osiedlać. Niektórzy i tak będą wiedzieć swoje, ale wiele gorących głów ostygnie. Jest wiosna, chłopi powinni siać, wypędzać stada na hale i robić porządki w chałupach, a nie… — Machnął ręką.

— Ostrzyć siekiery?

— Aż tak źle na razie nie jest. Skąd te przypuszczenia?

— Z tego, że dowódca Górskiej Straży nie pozwolił, by księżniczce towarzyszyła jej własna straż, oraz z tego, że posłał z nami całą kompanię, jakbyśmy wędrowały przez dziki kraj. No i miałyśmy okazję poobserwować żołnierzy. Czy często się zdarza, by wędrowali z napiętymi kuszami, panie hrabio?

Musiał wyczuć w jej głosie ironię, bo spojrzał na nią zimno i znów w mgnieniu oka wyrósł między nimi mur. Znów był hrabią pełną gębą, a ona sierotą bez majątku i przyszłości. Te wszystkie dyrdymały o Meekhance czystej krwi, córce oficera i kobietach, które budowały Imperium, były tak naprawdę kupą nawozu. Bo gdyby nie potrzebował jej do swoich planów — zrozumiała w nagłym przebłysku — nie traciłby czasu na granie roli „ludzkiego hrabiego". No i, co najważniejsze, sukinsyn nawet nie zająknął się o tym, że w górach giną ludzie.

— Nie podoba mi się twój ton, dziewczyno. Sugerujesz, że kłamię?

— Nie, panie hrabio. Raczej że Górska Straż inaczej ocenia sytuację.

— Być może. — Złagodniał nagle, ale tym razem nie dała się nabrać. — Choć ja osobiście sądzę, że nie są pewni własnych sił. Nigdy nie mieli do czynienia z takim… kłopotem, więc starają się dmuchać na zimne. Pewnie gdyby ich przycisnąć, zaczną opowiadać niestworzone historie o niebezpie-

cześtwach czających się w górach. Jednak ich… nadgorliwość nie rozwiązuje mojego głównego problemu. Jaka tak naprawdę jest księżniczka Gee’nera?

Teraz to ona pozwoliła, by w jej głosie pojawił się chłód.

— To znaczy, panie hrabio?

— Och, dziecko. — Machnął ręką z jowialnym uśmiechem na ustach. — Nie udawaj, że nie wiesz, o co mi chodzi. Jesteś z nią od pół roku, większość czasu spędzacie razem, a ona traktuje cię bardziej jak przyjaciółkę niż wynajętą damę do towarzystwa. Mam oczy. To młoda, piękna dziewczyna, zapewne przez wzgląd na swoją pozycję samotna, więc potrzebuje kogoś, komu mogłaby się zwierzyć, wypłakać, porozmawiać. Wydaje mi się, że znalazła w tobie powierniczkę i…

Przerywanie w pół zdania i wymowne spojrzenia najwyraźniej były ulubionym sposobem komunikowania się Cywrasa-der-Malega. Bardzo wygodnym, bo zawsze mógł powiedzieć, że przecież on o nic nie pytał.

— Skoro o tym mowa, to chyba powinnam już wracać do księżniczki, panie hrabio. — Wyprostowała się z godnością. — Na pewno zadaje sobie pytanie, co też mnie zatrzymało. Takie opóźnienie może uznać za dodatkową obelgę.

— Duma i lojalność. Miałem co do ciebie rację, moja droga. Przynosisz zaszczyt wszystkim dzielnym, meekhańskim kobietom. Ale nie zrozum mnie źle, nie chcę, żebyś mi zdradzała tajemnice alkowy księżniczki. Pragnę tylko, by między moimi ludźmi a Wozakami obyło się bez niepotrzebnych zatargów. Dlatego muszę wiedzieć, jakie są wśród nich nastroje, co myśli starszyzna, co zwykli Verdanno, jakie są ich plany. Dlatego pytam o księżniczkę. Kawer Monel robi błąd, izolując ich od reszty mieszkańców gór. Obcy nieznany, to obcy budzący dwa razy większy lęk.

Tak, a obcy znany przestaje być obcym. Ile jeszcze banałów będzie musiała wysłuchać, zanim szlachcic złoży jej konkretną propozycję?

Dygnęła głęboko.

— Za pozwoleniem, panie hrabio, udam się już do jej wysokości i przekażę pańskie przeprosiny. Możliwe, że jutro nie opuścimy zamku.

Zrobił kilka szybkich kroków i złapał ją za rękę. Niezbyt mocno, lecz stanowczo. Przez chwilę Kailean walczyła z Inrą. Ta pierwsza wyrwałaby

się z uścisku, rozbiła mu nos i być może złamała to i owo. Ta druga spojrzała tylko z lekko przerażoną miną.

— Proszę mnie puścić, panie hrabio.

— Najpierw mnie wysłuchaj, dziewczyno. Muszę wiedzieć, co księżniczka wie o prawdziwych planach swojej starszyzny. Wiem, że rodzina królewska nie rządzi u Wozaków, ale z pewnością cieszy się sporym poważaniem. Oni mają jakieś plany, muszą mieć, bo inaczej nie pozwoliliby się zapędzić w pułapkę, jaką jest ta dolina. Przynoszą tu nie tylko tysiące żołądków do napełnienia, ale też własną wiarę, własną magię. Sądzisz, że nie wiem, jak to jest na Wschodzie? Że dzicy szamani i czarownicy igrają tam z siłami, których ludzie nie powinni tykać? Wozacy nie używają aspektowanych czarów, ale potrafią posługiwać się Mocą.

Mówił coraz szybciej, gorączkowym szeptem kogoś, kto dzieli się swoimi obsesjami.

— Ja wiem, że oni nie są głupi, że codziennie ćwiczą, ich rydwany wyjeździły już kilka kręgów pośrodku doliny, łucznicy, tarczownicy, oszczepnicy zamienili okolicę obozów w plac wojskowy. To demonstracja, prawda? Chcą nam pokazać, że są gotowi do walki. Ale to dym w oczy, bo walka już się zaczęła, mam rację? Już wykonali pierwsze ruchy? Ale to nie będzie walka na miecze i topory… Mroczne siły zawisły nad górami, a wszystko zaczęło się tuż przed tym, nim przyszły rozkazy z Meekhanu. Dlatego muszę wiedzieć, czy oni mają z tym coś wspólnego.

Zacisnął palce na jej ręce aż do bólu. Może nieświadomie, a może licząc na to, że dziewczyna zdjęta strachem wyjawi wszystko, co wie. Tylko że Inra niewiele wiedziała.

Kailean pisnęła, wyszarpnęła się z uchwytu i po chwili stała pod drzwiami. Nie ruszył za nią.

— Potrafię być… Będę wdzięczny komuś, kto pomoże mi rozwikłać tę zagadkę. Bardzo wdzięczny, trzysta orgów… pięćset… Tylko wymień sumę.

Sięgnęła do klamki, nie spuszczając go z oczu.

— Nie wiem, o czym pan mówi, hrabio, ale przekażę księżniczce przeprosiny i jutro rano jej odpowiedź. Na wszelki wypadek jednak proszę o przygotowanie powozu do drogi. Oraz o zawiadomienie kapitana Kohra, że będzie nam potrzebna eskorta.

Wyszła.

Rozdział 6

Byli dobrzy. Dobrzy jak ludzie, dla których prowadzenie ogromnych karawan jest częścią życia. I nie miało znaczenia, że ostatnie lata spędzili w obozach, pokolenie woźniców pamiętających wędrówki po wyżynie nie wymarło bowiem, raczej zasklepiło się w swoich marzeniach i wychowało następców. Po dwóch dniach Kenneth mógł ocenić, że dotarcie w tak krótkim czasie ze Stepów tak daleko na północ nie było tylko zasługą znakomitych imperialnych dróg. Wozacy nie zyskali swojego miana dlatego, że jeździli i mieszkali na wozach. Oni na wozach żyli. Rodzili się, dorastali, zakładali rodziny, walczyli i umierali.

Gdy podzielił się tym spostrzeżeniem z Hasem, który z jakichś przyczyn został łącznikiem między kompanią a Verdanno, ten najpierw spojrzał na niego uważnie, a potem wykrzywił się w dziwnym grymasie.

— Naprawdę sądzisz, że szliśmy szybko?

— Przebyliście ponad sto pięćdziesiąt mil w dziesięć dni. Niemal tak szybko, jak samotny wóz, a w armii uczą nas, że im więcej pojazdów, tym kolumna wolniej się przemieszcza.

— Mogliśmy zrobić tę drogę w trzy, no, może w cztery dni. To naprawdę nie było szybko, poruczniku.

Chwilę wędrowali w milczeniu. Kenneth szedł poboczem, czarownik siedział na koźle, obok woźnicy, zapatrzony w drogę.

— Większość czasu nie jechaliśmy, lecz rozbijaliśmy i zwijaliśmy obozy — rzucił wreszcie. — Jazda wozem to trudna sztuka, ale byle chłystek nauczy się jej w kilka dni na tyle, by mógł powozić w karawanie. Ale założenie obozu, kiedy masz pod sobą tysiąc, dwa albo pięć tysięcy wozów… Gdy bojowe muszą od razu stanąć murem na obwodzie, a mieszkalne i te z zapasami utworzyć ulice i place, gdy trzeba znaleźć wewnątrz miejsce dla tysięcy zwierząt, a wroga jazda już siedzi ci na karku, już szarpie, szyje strzałami, podpala wozy, dźga zwierzęta lancami…

Zamilkł. Usta zacisnął w wąziutką kreskę.

— Wóz bojowy ciągną cztery konie, a wystarczy zabić lub chociaż zranić jednego, by wyeliminować pojazd z szyku. Koczownicy szybko się tego nauczyli. Prawda jest taka, że rydwany, które nam towarzyszą, nie służą do wygrywania walnych bitew, lecz do tego, by dać wozom czas na okopanie się. Mają nie dopuścić jazdy w pobliże obozu dopóty, dopóki ten nie powstanie. Więc przez większość drogi ćwiczyliśmy rozstawianie i zwijanie obozów na różne sposoby: Koło, Kwadrat, Rogaty Gród. Dlatego wędrowaliśmy tak długo, żeby się przygotować.

— I jesteście już gotowi?

Has popatrzył na niego chłodno.

— Nie byliśmy gotowi trzydzieści lat temu, i nie byliśmy gotowi w czasie powstania. Ale teraz… uczyliśmy się przez całe pokolenie, od plemion, które jak my walczyły z Se-kohlandczykami, choć przegrały swoje wojny, i od tego jedynego, które z nimi wygrało. Od was.

— Więc, według ciebie, dlaczego wygraliśmy?

— Bo jesteście zbyt uparci, żeby wiedzieć, kiedy przegrywacie. — Czarownik pokiwał głową. — I za każdym razem, gdy wróg zastosuje jakąś nową sztuczkę, wy wymyślacie dwie inne, nawet jeśli są głupie. Ci młodzi, którzy urodzili się w obozach, stali się trochę podobni do was, są uparci, krnąbrni, wiedzą, czego chcą i nie boją się po to sięgać. Zobaczyli… wyrośli między dwoma światami i są teraz innymi ludźmi niż ich rodzice. Czasem mnie to martwi, czasem przeraża, a czasem sprawia, że pękam z dumy.

Szli na czele kolumny, Szósta Kompania otoczyła luźnym kordonem pierwszych kilkanaście wozów. Płaszcze powiewały przybrudzoną bielą, wszystkie psy miały założone obroże, chyba tylko ślepy mógł wątpić, że oto właśnie idą cesarscy żołnierze.

Porucznik zadrżał i otulił się mocniej płaszczem, przerywając pogawędkę z czarownikiem. Po prawej ciągnęła się ściana lasu, niezbyt gęstego, ale mrocznego, iglaste korony tworzyły bowiem szczelne sklepienie nieprzepuszczające promieni słonecznych, więc już kilkanaście jardów za linią drzew wzrok gubił się w cieniach. Po lewej otwierał się widok na rozległą halę, opadającą coraz bardziej stromo, aż jej drugi koniec ginął im z oczu, zapewne urywając się pionowo nad przepaścią. Dalej były skalne ściany flankujące wąską dolinę, która ciągnęła się przez dobre trzy mile, po czym kończyła się nagle, zamykana przez kolejną górę. W Olekadach było mnóstwo takich niegościnnych miejsc, dolin zamkniętych ze wszystkich stron,

kotlin, żlebów, skalnych płaskowyżów, gdzie nie rosły nawet górskie mchy. Ta dolina wyglądała, jakby ktoś wyskrobał ją pomiędzy skałami wąską łyżką i Kenneth mógł się założyć, że nie jest zamieszkana, co zresztą wszystkim pasowało. Lepiej, by wędrówki karawany nie obserwowało zbyt wiele oczu.

I właśnie z tamtej doliny wiał lodowaty wicher, rozpędzając się między górami i dmuchając wprost na karawanę. Kenneth osłonił twarz. Kilkaset jardów przed nimi szlak znikał w wąskim żlebie i – zgodnie z mapą – wiódł nim prawie pięć mil. Trzeba będzie wysłać ludzi górą, by sprawdzili, czy przypadkiem ktoś nie przygotował Wozakom jakiejś niespodzianki.

Omówili to już wczoraj, po południu i wieczorem, gdy Kenneth opowiedział Verdanno o ludziach ginących w górach. Przyjęli wszystko spokojnie, kiwając tylko głowami, jakby dowiadywali się o rzeczach, które zdarzyły się setki mil stąd, i to dawno temu. Trudno było ocenić, czy nie są świadomi zagrożenia, czy też ufni w swoją siłę, lekceważą niebezpieczeństwo. Chyba najtrafniej podsumował to Velergorf, który stwierdził później, że oni po prostu spodziewali się czegoś takiego. Ubrana w czerń i tandetne ozdóbki para plemiennych czarowników, których porucznik zdążył już poznać, na pewno coś wyczuła. Sam Kenneth doskonale pamiętał, jak włosy jeżyły mu się na głowie i drętwiały czubki palców, gdy znaleźli tę cholerną wieżę bez załogi. Tam, gdzie używano czarów, jego żołnierze też robili się nerwowi, a psy wyglądały, jakby właśnie złapały trop niedźwiedzia. Zwłaszcza że – jak głosiła plotka krążąca wśród strażników – czary, jakie towarzyszyły zabójstwom, trudno było przypisać jakiemukolwiek aspektowi.

Nie zapytał jednak o to Hasa, być może dlatego, że ten wyglądał, jakby na takie pytanie czekał. Nie musiał za to pytać, czy Verdanno spodziewają się ataku, bo za sobą, po prawej i lewej, miał na to dowód. Wozom towarzyszyli uzbrojeni wojownicy. Część szła skrajem lasu, niektórzy zapuszczając się głębiej między drzewa, część halą; gdy droga się zwężała, czepiali się burt wozów, podjeżdżając kawałek, jak dzieci robiące dorosłym żart. Tylko że w ich twarzach, postawie i dłoniach ściskających broń nie było nic zabawnego.

Porucznik przyglądał im się uważnie. Jak na barbarzyńców mieli całkiem dobre uzbrojenie, krótkie szable, lekkie topory na długich styliskach, oszczepy, dziryty i włócznie. Niektórzy trzymali w dłoniach, z nonszalancją ludzi przywykłych do tej broni od dziecka, łuki ze strzałami już założonymi

na cięciwy. Większość nosiła stalowe hełmy i skórzane pancerze albo lekkie kolczugi o oczkach drobniejszych niż te używane przez meekhańską armię, za to gęściej splatanych. Na wierzch zakładali dodatkowo pikowane kaftany bez rękawów, składające się z wielu warstw płótna.

— To mądrość Wschodu — powiedział Has, gdy zauważył, jak Kenneth się temu przygląda. — Taki pancerz lepiej powstrzymuje strzałę.

— Dość ciężkie.

Czarownik wzruszył ramionami.

— Nie aż tak, jak się wydaje. Poza tym walczymy albo na wozach, albo na rydwanach. Rzadko biegamy po polu bitwy.

— Bełtu z kuszy nie zatrzyma.

— No, że też Se-kohlandczycy na to nie wpadli. Ale zaraz — zmarszczył brwi — czy oni przypadkiem nie widzieli już kusz w robocie? Wtedy gdy tłukli na miazgę waszą armię?

— Czy nie mówiłeś, że to od nas uczyliście się, jak z nimi walczyć?

— A i owszem. Zapomniałem tylko dodać, że uczyliśmy się głównie na waszych błędach. Tych, których owocami były tysiące trupów najeżonych strzałami.

I tak wyglądała większość rozmów z Hasem. Starzec był złośliwy i irytujący, ale o dziwo, Kennethowi to nie przeszkadzało. Przynajmniej się odzywał, odpowiadał na pytania i, od czasu do czasu, uśmiechał.

— Twoi ludzie wydają się nas nie lubić.

— Bo?

Porucznik obejrzał się na najbliżej idącego Verdanno, uniósł rękę, pomachał. Ciemne oczy wojownika błysnęły ponuro, i to wszystko.

— Widzisz? Nawet nie mrugnął.

— Nie należysz do rodu ani plemienia, nie znasz języka. W obozie, w czasie pokoju, przyjąłby cię posiłkiem, zapewnił miejsce do spania i dach nad głową. Byłby gospodarzem nie gorszym niż meekhański szlachcic. Ale w czasie wojennego marszu każdy obcy to w najlepszym razie uciążliwa przeszkoda. Nie zna cię, jesteś tylko przewodnikiem. No i góry, wielkie, napierające ze wszystkich stron skały, las, w którym nic nie widać dalej niż na dwadzieścia kroków, niewiedza, co jest za następnym zakrętem. Nie dziw im się.

— Więc, jak rozumiem, mam nie wykonywać gwałtownych ruchów?

— Ha, widzisz, a mówiłem And’ewersowi, że jesteś mądrzejszy, niż wyglądasz.

Kenneth skrzywił się w szczerym uśmiechu i wykonał kilka gestów. Druga i Piąta naprzód w lewo, Trzecia i Szósta naprzód w prawo. Dwieście kroków.

Kilkudziesięciu strażników wyprzedziło karawanę truchtem, żeby wspiąć się na ściany żlebu i asekurować wozy z góry. Przy okazji stare i nowe dziesiątki będą miały szansę zrobić sobie małe zawody we wspinaczce.

— Zwolnij, póki nie damy znać, że droga bezpieczna.

Has skinął głową i zamachał, wyciągając w bok suche ramię.

Kenneth nie musiał się oglądać, żeby wiedzieć, że woźnice kolejno przekazują sobie sygnał, a cała kolumna zwalnia, zmniejszając odległości między wozami na góra dwie stopy.

* * *

Gdy pierwsze wozy wjechały na most, ten zaskrzypiał, zastękał, ale ustał. Kenneth zajął miejsce na uboczu, żując kawałek suszonego mięsa, przegryzając sucharami i nie odrywając wzroku od mężczyzny znajdującego się pośrodku konstrukcji, jakieś osiem stóp pod wyłożoną deskami nawierzchnią mostu. Mężczyzna dawał przedstawienie, siedząc na poprzecznej belce. W jednej ręce trzymał flaszkę wina, w drugiej kurzą nogę i właśnie zajadał śniadanie. Majtał przy tym stopami nad trzydziestojardową przepaścią z taką miną, jakby był na wycieczce, a nad głową nie przewalały mu się jeden za drugim ciężkie wozy wyładowane belkami i kłodami.

Nazywał się Ger’serens i był Pierwszym Budowniczym obozu New’harr. To znaczy osobą, na której barkach spoczywało przeprowadzenie karawan przez góry. Podobno studiował kilka lat na imperialnej uczelni inżynieryjnej w samym Meekhanie, dzięki czemu łączył umiejętności meekhańskich budowniczych z tradycyjną wiedzą Verdanno.

Na Wyżynie Lytherańskiej budowniczowie zajmowali się konstruowaniem dróg i przejść przez podmokłe tereny, umacnianiem warownych obozów, gdy karawany zatrzymywały się na dłuższe postoje, kopaniem studni

i budowaniem wodociągów z wydrążonych pni, dzięki czemu obozy nie były całkowicie uzależnione od tras położonych wzdłuż rzek. Oraz budowaniem drewnianych mostów – na rzekach, strumykach, głębokich rozpadlinach, bagnach czy połączonych wąskimi kanałami jeziorkach – i to mostów, które w założeniu miały wytrzymywać nie mniej niż imperialne, kamienne konstrukcje.

Takich mostów jak ten, postawiony w jeden dzień z cedrowych pni, niektórych długich na pięćdziesiąt stóp. Kenneth musiał przyznać, że nie docenił determinacji ani pomysłowości Wozaków; gdy wczoraj rano przyprowadził czoło karawany na skraj wąwozu, gotów był się założyć, że wybuchnie mu za plecami wściekłe zawodzenie i posypią się gromy. Szczelina, którą musieli przebyć, miała nieco ponad osiemdziesiąt stóp szerokości, jakieś sto głębokości i zwężała się stopniowo niczym klepsydra. Jej dnem pędził ku własnemu przeznaczeniu górski strumień. Miał zaledwie dziesięć, może dwanaście jardów szerokości, przypominał jednak pokrytego pianą potwora wypuszczonego po wiekach uwięzienia. Ryk wody słyszeli już z pół mili, a jeśli człowiek stanął na krawędzi wąwozu i uważniej się przyjrzał, mógł dostrzec w kipieli migające fragmenty drzew, strzępy krzaczków, kamienie pchane nurtem w dół, nieomylny znak, że w górze rzeczki właśnie zaczęły się prawdziwe roztopy. Porucznik przywołał Velergorfa i Andana i kazał im zerknąć w dół.

— Jutro będzie trzy stopy wyżej, a pojutrze osiem — ocenił starszy dziesiętnik. — Ciekawe, jak sobie z tym poradzą.

Poradzili sobie sprytnie, opuszczając kilka długich pni i układając je poziomo, dobrych dwadzieścia stóp nad nurtem. Wąwóz na tej wysokości miał nie więcej niż czterdzieści stóp, więc belki trzymały się całkiem solidnie. Potem poszło szybko, a obserwując budowniczego przy pracy, można było dojść do wniosku, że robi coś takiego nie pierwszy i nie drugi raz w życiu.

Sto wozów jadących z przodu karawany załadowano drewnem, przyciętym i ponumerowanym na meekhańską modłę według rodzaju, długości, szerokości i jakości, a Ger’serens chodził tylko między nimi i komenderował – tyle tych, tyle tamtych, tu zaciosać, tam nawiercić otwory, te przyciąć. Niewiarygodne, ale ledwo spojrzał na strumień, już zdawał się mieć w głowie gotowe plany konstrukcji, w pół dnia w wąwozie powstała kratownica składająca się z dziesiątek odpowiednio przyciętych i dopasowa-

nych cedrowych pni, wznosząca się coraz wyżej i wyżej, czepiająca każdego skalnego występu i półki. I widać było, że to przemyślana praca – każdą belkę mocowano tak, by przenosiła część ciężaru w dół i na boki, odciążając sąsiednie, całość zaś powstała przy naprawdę niewielkich poprawkach.

A rankiem następnego dnia, gdy położono już deski i zamontowano barierki, budowniczy siedział pośrodku mostu, tuż pod maksymalnie obciążonymi wozami, które sprawdzały konstrukcję, i popijał wino. A minę miał taką, jakby był królem świata.

— Teraz już wiesz, dlaczego wierzymy, że nam się uda?

Has stanął obok porucznika i patrzył z nieskrywaną dumą widoczną w ciemnych oczach.

— To rozsądne? — Kenneth wskazał budowniczego.

— Stawia życie na swoją pracę, czy to dziwne? Poza tym to meekhański zwyczaj, jak słyszałem: mistrz murarski wchodzi pod most, gdy ten jest sprawdzany.

— Ale meekhańskie mosty tak nie jęczą.

Czarownik wsłuchiwał się w skrzypienie konstrukcji. Wymamrotał coś pod nosem, poruszył palcami. Kenneth skrzywił się, czując mrowienie na karku.

— Drewno śpiewa — mruknął wreszcie Has. — Jest zadowolone z pracy. Belki naprężają się i prostują, docierają do siebie. Za jakiś czas przycichną, ale most zawsze będzie trochę skrzypiał. Użyliśmy dobrego drewna, będzie stał i sto lat bez żadnego remontu. A budowniczy nie siedzi tam tylko dla próżnego popisu. On słucha odgłosów swojego dzieła. To ostatnia chwila, żeby wyczuć fałszywą nutę, pękający albo źle zamocowany dźwigar. Później, gdy ruszą pozostałe wozy, już nic nie da się zrobić.

— Rozumiem. — Porucznik pokiwał głową.

— Gdzie reszta twoich żołnierzy?

— Połowa jest już po drugiej stronie. Sprawdza, czy mapy są dokładne. Dalej powinien być dość stromy podjazd, potem las, w którym trzeba wyciąć przesiekę, i dotrzemy do miejsca zwanego Hewen. To długi na pięć mil, niemal płaski skalny teren usiany kamieniami i głazami. Trzeba będzie je usunąć, żeby zrobić wozom drogę. A potem jest szczelina w skale, coś

w rodzaju żlebu, którym wozy z pewnością nie przejadą. Będziecie musieli kuć.

Czarownik mruknął coś pod nosem.

— Nie dosłyszałem.

— Mówię, że zobaczymy, jak będziemy na miejscu, poruczniku.

— Rozumiem. Wiesz, czarowniku, teraz zacznie się prawdziwa przeprawa. Dzikie góry, przez które nigdy nie przejechał żaden wóz.

— Wiem. My przejedziemy. Musimy.

— Naprawdę? Rozumiem trochę tych młodych, marzą o odzyskaniu ziemi przodków, o wojennej sławie, walce, łupach, krwi wrogów na własnej stali. Ale ty? Co cię tam ciągnie, na tę waszą wyżynę?

Has uniósł brwi i spojrzał na niego z wyraźnym zdziwieniem.

— A jeśli idę za stadem?

— Mam wrażenie, że raczej ciągniesz stado za sobą. To samo widzę u And'ewersa, ten jego chłód w czasie wędrówki. Ale on ma synów i córki, można więc powiedzieć, że chce walczyć o ich przyszłość. A ciebie co tam właściwie pcha?

— Odważne pytanie, poruczniku.

— Raczej rozsądne. Mamy was przeprowadzić, a dobrze jest wiedzieć, czy wszyscy są wystarczająco zdeterminowani.

— Moja determinacja? — Starzec uśmiechnął się nieoczekiwanie. — Moja determinacja to chęć ujrzenia *vilore'de*, dzieci słońca. To takie małe białe kwiatki ze złotym sercem, które nie rosną nigdzie poza naszą wyżyną. Czy to wystarczy?

Kenneth pokiwał głową.

— To dobry powód, by przemierzyć pół świata. — Włożył kawałek suchara do ust i poniewczasie przypomniał sobie o dobrym wychowaniu. — Śniadanie?

Podsunął pod nos czarownika woreczek z prowiantem i z zainteresowaniem obserwował reakcję. Żołnierze twierdzili, że te suchary można nawet polubić, jeśli w okolicy skończyła się trawa, a na drzewach nie ma już kory.

— Hm… Hmm. Niezłe. — Has przeżuwał powoli, z miną kogoś, kto boi się przełknąć, a wstydzi wypluć. — To wasze normalne jedzenie?

Porucznik uśmiechnął się.

— Zwykła wojskowa racja, tak jak to. — Zamachał kawałkiem suszonego mięsa.

Czarownik spojrzał na poskręcany, szarobrązowy wiór.

— Teraz rozumiem, dlaczego pokonaliście koczowników.

— Dlaczego?

— Bo ludziom jedzącym takie rzeczy z pewnością nie zależy na życiu. Od dziś będziecie naszymi gośćmi. Każę przygotować dla twoich żołnierzy dwa gorące posiłki dziennie.

Kenneth spojrzał na most, tłumiąc uśmiech.

Suchary zawsze działały.

* * *

Szlak wiódł niemal cały czas pod górę, choć trzeba przyznać, że Bękarty dobrze się spisały, wybierając drogę, na której nie było podjazdów zbyt stromych dla wozów. Przynajmniej do tej pory.

Trzy mile za mostem, po przebyciu kolejnej hali i przerzuceniu kładki nad szerokim pęknięciem w skale, droga wystrzeliła w górę. Wiodła płytkim żlebem, porośniętym po obu stronach rzadkimi drzewami i krzakami. Sądząc po wygładzonych do połysku kamieniach i warstwie mchów, żleb odprowadzał w dół wodę z topniejących śniegów, zamieniając się okresowo w płytki strumień. Okresowo, czyli mniej więcej o tej porze roku.

Karawana zatrzymała się przy podjeździe, woźnica prowadzącego pojazdu wdał się z czarownikiem w krótką, pełną wymachiwania rąk i szerokich gestów rozmowę. Po czym wzruszył ramionami, sięgnął po lejce i skierował pojazd w górę. Za nim zaczęły wjeżdżać inne wozy, zachowując jednak szerokie, znacznie większe niż wcześniej odstępy.

Kenneth rzucił kilka rozkazów, kompania zajęła pozycję przed czołowym wozem i wokół niego. Dwie dziesiątki potruchtały w górę, zobaczyć, jak teren wygląda dalej. Gdzieś w połowie żlebu podszedł do Hasa, jadącego na pierwszym pojeździe.

— Nie za odważnie? — rzucił.

— Musimy sprawdzić, jak ziemia nosi wozy. Jak pracuje pod kołami, znaleźć słabe miejsca. — Czarownik miał spojrzenie utkwione w trakcie przed sobą. — To najszybszy sposób, jaki znam. Przejechać.

Porucznik uważnie patrzył pod nogi, starając się nie przewrócić. Dno żlebu usiane było większymi i mniejszymi kamieniami, wygładzonymi przez wodę i pokrytymi warstwą zielonkawego, przyschniętego szlamu. W zagłębieniach między nimi rozsiadł się mech. A im wyżej wchodzili, tym bardziej grunt się zmieniał, był wilgotniejszy, pojawiały się małe kałuże, oczka wodne, obok nieśmiało zaszemrała mała struga. Ziemia jeszcze spijała roztopy, ale za kilka dni strumień dotrze na sam dół.

— Mogę ci powiedzieć, gdzie jest pierwsze słabe miejsce. — Kenneth zachwiał się i złapał burty. — Zaczyna się u podnóża i kończy tam, na szczycie.

Zaklął, trafiając stopą w kałużę.

Has tylko się uśmiechnął.

— Ziemia musi poczuć wozy na swoim grzbiecie. Musi posmakować kopyt i kół. I wtedy, dopiero wtedy powie, czy będzie je nosić, czy też spróbuje zrzucić albo pożreć…

— To znaczy sprawdzacie, czy się przewrócicie, czy ugrzęźniecie? To jakiś fragment wozackich mądrości? — Idąc, Kenneth próbował wytrzeć lepkie błoto o mech. — Życiowych prawd tych, co wyrośli na Stepach? No to podzielę się z tobą naszą mądrością. Widzisz to błoto?

Wskazał jasnobrązową maź na swoim bucie.

— Nazywamy je niedźwiedzią sraczką. Kiedy wyschnie, staje się twarde jak kamień, ale gdy namaka przez dłuższy czas, zmienia się w coś o konsystencji smaru do osi. Jeśli roztopy zaczęły się w tym miejscu wcześniej niż zwykle, to właśnie próbujecie wjechać pod górkę po czymś takim.

Przeskoczył na większy kamień, potem na następny. Wyglądało na to, że miał rację, przestrzeń między nimi wypełniało gliniaste błoto. Gdzieniegdzie pokrywała je dodatkowo warstewka wody, znak, że ziemia jest przesiąknięta na wskroś.

Wozy też odczuły zmianę podłoża. Koła zapadały się coraz głębiej w rozmiękłą maź, która w kilka chwil oblepiła je doszczętnie, tak że drewniane obręcze potroiły szerokość. Konie musiały pochylić mocniej w przód szerokie piersi, napiąć mięśnie i nie wiadomo było, co sprawia im większą trudność, ciągnięcie wozu czy wyrywanie kopyt z błocka. Głośno dyszały.

Has nie odezwał się słowem. Przed nimi wznosiło się ostatnie dwieście jardów podjazdu, strumień szumiał już otwarcie, a błoto wypełniało każde

zagłębienie. Dał znak woźnicy, ten popędził konie, które, o dziwo, wykrzesały z siebie dodatkowe siły, bo wóz przyspieszył. I wtedy czarownik dostał to, czego chciał, czyli przekonał się, czy ziemia będzie ich nosić.

Coś trzasnęło przy zaprzęgu, koń po lewej stronie dyszla wyrwał nagle naprzód, ciągnąc resztki rzemieni przywiązanych do chomąta, powożący Wozak w ostatniej chwili puścił lejce, by nie spaść z kozła. Drugi koń zarżał krótko i próbując przeciwstawić się ogromnemu ciężarowi ciągnącemu go w dół, pochylił tak, że prawie zarył chrapami w ziemię. Has zaklął coś po verdańsku i zaparł się na koźle, szarpiąc z całej siły drążek hamulca. Daremnie, hamulec nacisnął na obręcz i zaczął się ślizgać po warstwie oblepiającego ją błota.

Koń zarżał krótko, jakby się dławił, i został pociągnięty w tył, a kopyta nie mogły znaleźć punktu zaczepienia na rozmiękłym gruncie i mokrych kamieniach. Błoto, które oblepiało mu podkowy, działało niczym smar, tak samo jak to na kołach. Odległość między wozem prowadzącym a tym za nim zaczęła się zmniejszać.

Kenneth gwizdnął ostro i wrzasnął:

— Trzymać go!!!

Strażnicy doskoczyli do wozu ze wszystkich stron, wczepili w burty, podparli ramionami. Pojazd zwolnił odrobinę, ale dziesiątki wypełniających go belek ważyły setki, jeśli nie tysiące funtow. Porucznik zerknął w tył, jeszcze dwie stopy, a koła trafią na szeroką połać błota, po którym zjadą jak po lodowej ślizgawce. Zaparł się mocniej.

— Pchaaaać!

To było trochę tak, jakby próbowali powstrzymać sunący lodowiec, gigantyczna masa nieubłaganie staczała się, a oni mogli jedynie odrobinę opóźnić nieuniknione. Kennethowi przemknął przed oczyma obraz stosu potrzaskanych wozów i zakrwawionych ciał, na długie godziny tarasującego wejście na górę. Zaklął szpetnie i wtedy zobaczył, że żołnierz przed nim ma krótką włócznię.

— Lanwe, włócznia, szybko!

Strażnik obejrzał się, nie bardzo rozumiejąc.

— Pod spodem, przez koła! Przekładaj. — Porucznik poślizgnął się i upadł na kolana, lepkie błoto ochlapało mu twarz. — Szybko!

Ciężka włócznia została błyskawicznie przełożona przez obręcze przednich kół, szprychy docisnęły ją do dna wozu, zatrzeszczały, ale nie pękły. Któryś z przytomniejszych żołnierzy zrobił to samo z tylną parą kół, wóz zwolnił, ale wciąż wolno ślizgał się do tyłu. Porucznik poderwał się, zaparł z całych sił, aż zakręciło mu się w głowie, a w ustach poczuł żelazisty posmak. Mimo to wciąż jechał w dół.

— Kamienie pod koła!

Przetoczyli pod koła ciężkie kamienie, osie wbiły je w błoto niemal do połowy, ale pojazd wreszcie stanął.

Kenneth rozejrzał się. Nie tylko on zarył kolanami w ziemię, większość żołnierzy wokół była ubrudzona od stóp do głów, jasnobrązowe zacieki plamiły płaszcze, pancerze i broń. I wszyscy szczerzyli się jak głupi. Udało im się.

Wolno podszedł do kozła, woźnica był już przy koniu, oglądał pierś i kark zwierzęcia, szeptał coś w swoim języku.

— Cholerni koniarze — mruknął Kenneth. — To my zatrzymaliśmy wóz.

Has, wciąż ściskający w ręku drążek hamulca, posłał mu rozbawione spojrzenie.

— Jeśli chcesz, ciebie też mogę poklepać po szyi, pogłaskać i dać kawałek słodkiej marchwi w nagrodę. Poza tym oczywiste jest, że zatrzymałem go ja, używając hamulca. Właściwie wy nam tylko przeszkadzaliście, biorąc — przyjrzał im się z góry — kąpiel błotną.

Kenneth zastanowił się.

— Pewnie masz rację. Powinniśmy chyba przeprosić.

— Przeprosiny przyjęte, wszyscy wiedzą, że nie znacie się na wozach.

Uśmiechnęli się lekko. Porucznik spoważniał pierwszy.

— Będziecie musieli coś zrobić z tą drogą. Z dnia na dzień popłynie tędy więcej wody, będzie bardziej ślisko, a wozy rozmiękczą błoto jeszcze mocniej.

— Wiem. — Czarownik pokiwał głową. — Damy radę.

* * *

Dwa dni. Spędziły w zamku dwa dni i nie wiedziały więcej niż wtedy, gdy siedziały w Kehlorenie po opieką Besary. Cała ta misja z szaleńczej przekształcała się w jakąś farsę.

Słońce już zaszło, robiło się coraz zimniej. Kailean owinęła się szczelniej wełnianą chustą, chowając zziębnięte dłonie pod pachami. Na szczycie wieży wiatr dął bezlitośnie, bez żadnych względów dla kruchych, ludzkich istot. W czasie dzisiejszego obiadu hrabina uraczyła je opowieścią o dwóch strażnikach, których niespełna dwadzieścia dni temu porywista wichura zmiotła ze szczytu wieży i cisnęła o skały. Ponoć wśród służących krążyła już plotka, że ich duchy nadal pełnią służbę, a o północy odgrywają przerażającą pantomimę swojej śmierci, łącznie z rozpaczliwym czepianiem się kamiennych blanków i bezgłośnym krzykiem.

Jak na tak wiekowy zamek, legenda była dość świeża.

Dwa dni i nic. Oczywiście wszyscy zachowywali się nadzwyczaj uprzejmie, grzeczność wylewała się z nich galonami, średni syn hrabiego odegrał nawet przedstawienie w stylu „młody głupiec błagający o wybaczenie”, a koń, którego podarowano Daghenie, kosztował na oko ze sto orgów. Bojowy *kaneya* czystej krwi. Królewski dar.

Lecz ich misja nie posunęła się ani o krok. Czego właściwie Szczury od nich oczekiwały? Że będą za dnia udawać księżniczkę i jej tłumaczkę, a nocą w przebraniu skradać się ciemnymi korytarzami, by zdobyć tajne dokumenty straszliwego Bractwa Śmierci, które uwiło sobie gniazdo w domu hrabiego? Albo lepiej, ubrane w czarne jak noc stroje, z zamaskowanymi twarzami, będą wspinać się po zewnętrznych murach zamku, by uwiesiwszy się parapetu, podsłuchiwać mrocznych narad, w czasie których hrabia lub ktoś z jego rodziny wyjawia szczegóły przerażającego spisku, najlepiej takiego sięgającego samej stolicy, po czym zdrajcy wychodzą, zostawiając na stole pergaminy ze wszystkimi szczegółami zbrodniczego planu. A one wdzierają się oknem, zabierają dowody i umykają po linie uplecionej z podartych prześcieradeł, by przekazać dokumenty Besarze i ocalić życie samego Cesarza.

Uśmiechnęła się do tej wizji. Dobrej do sztuki wystawianej przez uliczną trupę teatralną. Która zresztą byłaby pewnie niezłym sukcesem. Bo ta, w której szpieg błąka się po zamku, nie bardzo wiedząc, co robić, po czym wyjeżdża z pustymi rękoma, raczej nie cieszyłaby się powodzeniem.

Różnica między życiem a teatrem jest taka, że życie jest albo sto razy nudniejsze, albo sto razy ciekawsze.

Miały za sobą dwa beznamiętne obiady, w czasie których gospodarze zachowywali się jak na stypie nielubianego krewnego. Przy czym hrabia zaczął traktować ją z wyniosłą pobłażliwością, skończyły się wzmianki o Meekhance czystej krwi i córce oficera. Najwyraźniej nie lubił, jak mu się odmawia, nawet jeśli chodzi tylko o szpiegowanie pracodawczyni. Z damy do towarzystwa spadła do rangi zwykłej służącej. Ale nie na wiele jej się to zdało, bo i tak nie uzyskała dzięki temu większej swobody ruchów ani nie udało jej się z nikim porozmawiać.

Bo choć w zamku oprócz rodziny Cywrasa-der-Malega znajdowało się jeszcze około dwudziestu zbrojnych – najczęściej ponurych typów o wyglądzie górskich zbójów – i służba, to wszyscy ignorowali ją w sposób doskonały. Mężczyźni i kobiety w szarych strojach kręcili się po labiryncie pomieszczeń, zajęci swoimi sprawami, a jeśli ją spotykali, kłaniali się uprzejmie, odpowiadali zdawkowo na zadane pytanie, po czym szli dalej. Do tego służby było zdumiewająco mało, Kailean oceniała, że w całym zamku mniej niż trzydzieści osób. Może i była to stara twierdza, lecz sądząc po liczbie pokoi, powinno się tu znajdować ze trzy razy więcej ludzi.

Oczywiście rację mogła mieć Besara, twierdząc, że hrabia, jak na arystokratę, jest po prostu biedny, lecz w takim razie można się było spodziewać, że służba na każdym kroku będzie stękać, kwękać i narzekać na nadmiar pracy, i że radośnie wyleje wszystkie żale przy pierwszej nadarzającej się okazji. Nic bardziej mylnego. Gdy drugiego dnia pobytu Kailean zeszła do zamkowej kuchni, gdzie zgodnie z tradycją pokojowi, stajenni, kucharze i reszta spożywali późną kolację, powitała ją głucha cisza. Wszyscy jak jeden mąż przerwali rozmowy i wlepili wzrok w talerze. Wyszła po kwadransie wypełnionym odgłosami żucia podpłomyków i siorbania rzadkiej polewki.

Besara miała rację, miejscowi, nawet służba, nie lubili obcych.

Wychyliła się przez blanki i spojrzała w dół, prosto w trzystułokciową przepaść. To jedyne miejsce, gdzie mogła na chwilę zdjąć maskę, klapa wiodąca na spiralne schody otwierała się z tak przeraźliwym skrzypieniem, że nie było szansy, aby ktoś ją zaskoczył. A potrzebowała chwili bezpiecznej samotności.

Berdeth. Sięgnęła myślą do przyjaciela. *Berdeth*.

Poczuła go z taką intensywnością, jakby cały czas kręcił się wokół. A przecież odkąd wyruszyli ze Stepów, pojawiał się sporadycznie, ledwo na kilka chwil, najdłużej przy tej nieszczęsnej wieży. Nie wzywała go z byle powodu, bo zawsze wydawało jej się to czymś niestosownym. Został z nią, bo go o to poprosiła, był przyjacielem i towarzyszem, więc powinien mieć tyle samo swobody, co i ona. Poza tym i tak przez cały czas czuła go pod skórą, a to wystarczyło.

Gdy tylko pojawił się w pełni, wyłaniając z cieni, wyciągnęła dłoń i położyła ją na jego łbie. Lubił taki dotyk, a ona, gdy wtedy sięgała po własny talent, naprawdę czuła pod palcami jego ciało. Skórę, kości, przyniesiony nie wiadomo skąd brud. Świat duchów wcale nie był takim czystym miejscem, jak niektórzy sądzili.

Chodź, poprosiła. *Chodź*.

Połączyli się od razu, bez żadnych ceregieli. Westchnęła głęboko, nocne szarości nabrały kontrastów, zapachy aromatów, a dźwięki głębi. Od pewnego czasu wiedziała już, że w chwili połączenia ona sama się zmienia. Inaczej patrzy, inaczej mówi, inaczej się porusza. Ma nawet inną mimikę. Ktoś, kto jej nie znał zbyt dobrze, mógłby się nie zorientować od razu, ale młoda dziewczyna próbująca w chwili roztargnienia węszyć wokół siebie, w końcu zaczęłaby zwracać uwagę. Dlatego wolała być w takim momencie sama. Połączenie dusz nie polegało tylko na tym, że dostawała siłę, refleks i wytrzymałość Berdetha. Dawał jej też całą resztę.

— W chwili, gdy zacznę się drapać stopą za uchem, wychodzisz.

Powiedziała to na glos i niemal się roześmiała. To zawsze tak wyglądało, to uczucie euforii i nagłej siły, gdy wydawało się, że może rozbijać kamienne mury pięściami. Musiała wziąć kilka oddechów, by się uspokoić.

W międzyczasie Berdeth przekazał jej kilka obrazów – pełzający po skalnej ścianie widmowy stwór, prześwietlony światłem gwiazd, dwa świstaki w norze, kawałek wybielonego przez wodę kija, smuga cienia pęczniejąca na niebie, mrówki ogryzające do kości szkielet małego gryzonia. Dobór scen zapewne był zupełnie jasny dla ducha psa, dla niej stanowił tylko ciąg chaotycznych obrazków. Oprócz jednej: szeregu wozów wyciągniętych w długą kolumnę na górskiej drodze.

Wyruszyli. Verdanno wyruszyli.

A ona, zamiast być tam z nimi, bawiła się w Szczura.

Obnażyła zęby. W końcu stąd wyjadą, a ona każe Laskolnykowi się wypchać i pojedzie z karawanami. Koń pod siodłem, drżenie napinanej cięciwy, wiatr we włosach, to było to, do czego została stworzona. Nie kiecki, halki, fikuśne fryzury i odgrywanie przestraszonej panienki.

Klapa skrzypnęła, a dźwięk wbił się w jej uszy tysiącem zardzewiałych świdrów. Prawie zawarczała z irytacją.

Ale gdy odwracała się w stronę zejścia, znów była Inrą, lekko zagubioną dziewczyną daleko od domu.

W otworze ukazała się, oświetlona przez małą lampkę, twarz Laiwy-son-Baren. Piękna narzeczona Aeryha i przyszła pani na włościach założyła ciężki płaszcz z kapturem, podbity lisim futrem. Przez chwilę wyglądała na zaskoczoną tym, że szczyt wieży nie jest pusty, ale zaraz obdarzyła Kailean tym swoim rozbrajającym uśmiechem.

— Nie przeszkadzam?

Och, psiakrew, gdy arystokratka od dwudziestu pokoleń pyta dziewczynę z prowincji, czy nie przeszkadza, znaczy to zazwyczaj jedno.

— Nie. I tak miałam już schodzić. Zmarzłam.

— No tak, tutaj można zmarznąć. Sama dobrze o tym wiem.

Weszła na górę, w jednej ręce trzymając lampkę przykrytą szklanym kloszem, w drugiej wełniany pled, i nim Kailean zdążyła zaprotestować, narzuciła go jej na ramiona.

— Zaraz będzie cieplej.

Berdeth wycofał się pod tym dotykiem i pojawiła się Inra. I to ona dygnęła głęboko.

— Dziękuję, panienko.

Laiwa parsknęła kpiąco.

— O, teraz to panienko, a mój przyszły teść do tej pory robi się czerwony, gdy cię wspomina. Stepowa kocica, tak mówi, i wierz mi, to znaczy, że naprawdę poczuł się urażony, że zrobiłaś to, co zrobiłaś.

Kailean owinęła się szczelniej pledem.

— Albo że nie zrobiłam tego, czego nie zrobiłam.

Szlachcianka uniosła pięknie zarysowane brwi.

— Propozycja z tych, które uczciwa dziewczyna musi odrzucić? A stryjostwo wyglądają na tak dobrze dobraną parę.

Minęła dłuższa chwila, nim Kailean zrozumiała aluzję.

— Nie, to nie to… ja…

— Oj, wiem. — Laiwa zaśmiała się szczerze i szturchnęła ją w bok. — Tylko sobie żartuję. Stryj Cywras o niczym innym nie gada, tylko o Wozakach. Więc pewnie chciał, żebyś dla niego szpiegowała księżniczkę. Mam rację? Ma te wszystkie księgi, w których spisuje każdą chałupę i każdego człowieka na swoich włościach, i jakkolwiek by liczył, wychodzi mu, że Wozacy daliby radę nakryć wszystkie jego ziemie czapkami. Bo wiedzą, co to czapki, prawda?

Kailean pokiwała głową.

— Wiedzą — odpowiedziała poważnie i dopiero wtedy dotarło do niej, że to znów żart. — Zazwyczaj zakładają je koniom.

Nagrodą był szeroki, szczery uśmiech. Taki, który widać też w oczach.

— Och… Nie wiesz nawet dziewczyno, jak mi brakuje takiej rozmowy. Bez tytułów, liczenia się z każdym słowem i gestem, bez uważania na niuanse, zwłaszcza tam, gdzie żadnych nie ma. Po prostu stanąć przy kimś i pogadać.

— A żona hrabiego?

— Ze stryjenką Euherią-der-Maleg…? Interesujące. Druga żona w świecie, gdzie drugie żony mają tylko dotrzymywać towarzystwa w łożu, bo ani one, ani ich dzieci nie dziedziczą ziemi i tytułów? Ta sama, która wie, że w chwili, gdy wyjdę za jej pasierba, stanę wyżej w hierarchii? Może tego nie widać, ale jest młodsza od męża o ponad piętnaście lat, to znaczy, że pisany jest jej los wdowy z małym uposażeniem, żyjącej skromnie w jakimś domku w towarzystwie jednej służącej, bo na więcej nie będzie jej stać. No chyba że coś się stanie Aeryhowi…

Kailean powstrzymała się od komentarza na temat wilczych praw rządzących życiem arystokracji. W końcu sama wędrowała ponoć na kraniec świata, bo własna rodzina nie chciała się złożyć na jej posag.

— Mam tutaj trzy własne pokojówki i przyzwoitkę, ale już chyba przekonałaś się, jak zajmująca bywa konwersacja z miejscową służbą. „Tak, panienko”, „Nie, panienko”, „Już idę, panienko”. Można zwariować. Wyrosłam w towarzystwie sióstr i kuzynek, z którymi potrafiłyśmy przegadać całą noc, a tu? Eeech, naprawdę się ucieszyłam, gdy przyszły wieści, że księżniczce będzie towarzyszyć meekhańska… dama do towarzystwa.

— Cóż, mam nadzieję, że nie rozczarowałam panienki.

— Każdy, kto potrafi wyprowadzić mojego przyszłego teścia z równowagi, jest wart swojej wagi w złocie. Tu się odbywa nieustanna sztuka pod tytułem „Stara arystokracja strzegąca ostatnich prawdziwych wartości”. — Laiwa machnęła dłonią, aż lampka zamigotała rozpaczliwie. — Oj, przepraszam. Dlatego do dnia ślubu szukam czasem odrobiny wytchnienia na tej wieży.

— A kiedy ślub?

— Ślub? Za trzy miesiące. Najpierw Aeryh był pół roku gościem w zamku moich rodziców, teraz ja jestem gościem w zamku jego ojca. Jako przyszła pani tych ziem mam okazję zaznajomić się z nimi, a przy okazji poznać teścia i szwagrów. Tutaj często się tak robi.

— Nawet jeśli pannie młodej trzeba potem poszerzać suknię?

— Nie tej pannie młodej, zapewniam cię, dziewczyno.

— A potem? Po ślubie? Wieża nadal będzie stać.

— Ale wtedy na pewno suknie będą poszerzane. Pierwszym moim obowiązkiem będzie wydać na świat następcę rodu. Chłopca, najlepiej jasnowłosego i jasnookiego jak mój mąż. A jeszcze lepiej dwóch lub trzech. Wtedy inne wieże będą mi w głowie.

— Jeśli pan Aeryh nie ustępuje w niczym zamkowi…

Laiwa parsknęła śmiechem, a Kailean do niej dołączyła. Chichotały jak podlotki i minęła dłuższa chwila, nim się uspokoiły.

— Właśnie o tym mówię — powiedziała młoda szlachcianka. — O takiej rozmowie. — Spoważniała. — Zdecydowałyście już, czy przyjmiecie propozycję stryja?

Propozycja. No tak. Dziś rano hrabia poinformował je, że most, którym miał jechać do matki, nie zostanie naprawiony jeszcze przez kilka dni, lecz dzięki łasce Wielkiej Pani jego rodzicielka poczuła się lepiej i nie musi do niej spieszyć. Byłby więc bardziej niż szczęśliwy, gdyby księżniczka zechciała uczynić mu zaszczyt i została jeszcze na jakiś czas. Cztery, może pięć dni. Czy uczyni mu tę grzeczność?

Obie nie miały wątpliwości, że za tym zaproszeniem stoi coś więcej niż tylko nagły atak gościnności. Wozacy się ruszyli, więc Cywras-der-Maleg postanowił, że będzie jeszcze jakiś czas „gościł” ich księżniczkę. Na wszelki wypadek.

— Księżniczka jeszcze się namyśla.

— Oj, przestań. Wiem, że księżniczkujesz jej tylko na pokaz, wystarczy na was popatrzeć, dziewczyny, by było widać, że jesteście blisko. Założę się, że to ty namówiłaś ją, by nie wyjeżdżała po tym nieszczęsnym wybryku Aeryha. Więc, jaka będzie decyzja?

— Jej wysokość Gee'nera najpewniej przyjmie propozycję hrabiego.

— Jej wysokość Gee'nera. — Laiwa parsknęła, kpiąc, naśladując demonstracyjnie staranną wymowę Kailean. — Musisz się pilnować, żeby nie mówić jej po imieniu, co? Ale niech tak będzie. Ja naprawdę się cieszę, że zostajecie.

Uniosła nagle lampkę i zamachała nad głową.

— A to po co?

— No jak to? Teraz to dopiero będą sobie opowiadać o duchach tych nieszczęśników, którzy spadli. Jesteśmy akurat we dwie. Przez następny miesiąc nikt nie zbliży się do wieży.

— Ach, to stąd te historie o duchach?

— Oczywiście. Inaczej nie mogłabym tu przebywać sama.

Klapa skrzypnęła jeszcze raz, w otworze pojawiła się głowa starszej kobiety. Szary strój w ciemnościach ledwo odcinał się od tła.

— Lecz jak widzisz — Laiwa westchnęła ciężko — to nie zawsze działa. Tak, Sainho?

— Przeziębi się pani, panno Laiwo, to nierozsądne i niebezpieczne.

Głos kobiety był idealnie modulowany, perfekcyjnie neutralny – przecież było niedopuszczalne, by służąca ośmielała się łajać swoją panią, ona tylko mówiła czystą prawdę. Spojrzenie ciemnych oczu omiotło szczyt wieży.

— No i można stąd łatwo spaść, jak słyszałam.

Laiwa dramatycznie wywróciła oczami.

— Sainha Gemhel — przedstawiła przybyłą — jest ze mną od chwili, gdy odstawiono mnie od matczynej piersi, strzeże mojego bezpieczeństwa i cnoty. A od kiedy odkryła, że tu właśnie szukam chwili samotności, nie daje mi spokoju.

Sądząc po kamiennej minie służącej, te słowa nie zrobiły na niej najmniejszego wrażenia. Miała swoje obowiązki i tylko to się liczyło.

— Jeśli panienka ma problem z zejściem, pójdę po pomoc.

— Nie, nie trzeba, już idę. — Młoda arystokratka posłała Kailean cierpiętnicze spojrzenie. — Mam nadzieję, że jeszcze porozmawiamy.

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i znikła w otworze.

Kailean powoli wypuściła powietrze. Berdeth szalał w jej wnętrzu i gdyby musiała cokolwiek powiedzieć, najpewniej wydałaby z siebie dzikie warczenie. Duchy… duchy na wieży nie były tylko efektem plotek powstałych pod wpływem wizyt narzeczonej Aeryha. Dostrzegła je. W chwili, gdy głowa służącej wyrosła w otworze prowadzącym na dół, pojawiły się gdzieś na skraju widzenia. Zawsze, gdy łączyła się z psem, zyskiwała taką umiejętność, jakby otwierało ją to na niematerialny świat, którego częścią był Berdeth.

Widmowi mężczyźni wędrowali wzdłuż blanków, rozglądali się, przytupywali. A gdy tylko Laiwa znikła ze swoim kagankiem, nabrali głębi, stali się wyraźniejsi. Kailean musiała przyznać, że takie nocne warty na tej wieży nie miały sensu, okoliczne góry były pogrążone w całkowitych ciemnościach, a wróg podchodzący pod zamek nie oznajmi przecież pochodniami swojej obecności. Nocą w zupełności wystarczała straż przy bramie. Najwyraźniej hrabia uwielbiał podobne próżne gesty, podkreślające wojenne korzenie jego rodu. Oczywiście było to łatwe, dopóki on sam nie musiał wydeptywać kółek na szczycie smaganej wichrem wieży.

Peleryny strażników wydymał wicher, którego ona nie czuła. Kapturami osłaniali twarze przed deszczem lub śniegiem. Poczuła nagłą niestosowność tego podglądania, duchy czasem nie odchodziły do Domu Snu, zostawały w miejscu swojej śmierci i odtwarzały ją raz za razem albo błąkały się w niemej skardze. Podglądanie ich w takich chwilach dla czczej ciekawości uważała za coś paskudnego.

A ona nie weszła na górę tylko po to, by poczochrać Berdetha. Potrzebowała jego obecności, by zrealizować pewien pomysł, a teraz traciła tylko czas.

Zrobiła krok w stronę klapy i stanęła jak wryta. Jeden ze strażników zagrodził jej drogę i spojrzał. Na nią! Prosto w oczy i miała wrażenie, że intensywność jego spojrzenia wypali jej źrenice. Po czym podjął wędrówkę wzdłuż blanków.

Nagle duchy obu mężczyzn zatrzymały się i obróciły w stronę wejścia na schody. Jednocześnie sięgnęły po broń i jednocześnie puściły rękojeści

mieczy. Widma ukłoniły się sztywno, z wahaniem, ten wyższy otworzył usta i rzucił kilka słów. Machnął ręką, wskazując blanki i czającą się za nimi ciemność. Ich głowy skręcały się, śledząc… kogoś, kogo Kailean nie widziała. Sądząc po spojrzeniach, przybysz wszedł na górę i zatrzymał się niemal w miejscu, gdzie teraz stała. Strażnik znów się odezwał – żałowała, że nie umie czytać z ruchu warg – i wskazał na klapę. A potem zesztywniał w pół gestu, z niedomkniętymi ustami. Jego towarzysz zamarł na chwilę i rzucił się w jej stronę, wyciągając miecz. Nie zdążył, klinga zalśniła mgliście, ale nie wysunęła się dalej niż kilka cali z pochwy, a on sam zwalił się na posadzkę.

Kailean widziała, co ich zatrzymało. Widmowe nici, macki cienia wyrastały z podłogi, jakby pod spodem czaiła się amorficzna bestia, która właśnie wyruszyła na żer. W kilka uderzeń serca poprzerastały ciała strażników, owijając się wzdłuż kości, aż przez chwilę ich szkielety wyglądały jak zbudowane z czarnego dymu, po czym ciemność wypełniła ich całkowicie. A potem ten, który się odezwał, ruszył powoli w stronę krawędzi.

Widziała wszystko dokładnie, widziała rozpaczliwą walkę na twarzy mężczyzny, usta otwarte do krzyku, który nie miał jak się wydostać, sztywny krok. I moment, w którym strażnik stanął na parapecie strzelniczym i znikł w dole. Walka drugiego z nich również skazana była na klęskę, bo Moc, z którą musiał się zmierzyć, była zbyt potężna.

Lecz nim zniknął w ciemności, strażnik odwrócił się i spojrzał na nią. Znów prosto w oczy.

Berdeth poruszył się w niej i zaskomlił łagodnie.

— Tak — wyszeptała spierzchniętymi nagle ustami. — Wiem.

Dobrzy ludzie tu umarli, zamordowani czarami, a ich duchy wracały na miejsce śmierci, by się skarżyć. Zabił ich ktoś, kogo znali na tyle, by go wpuścić na dach. A przecież Besara twierdziła, że w zamku nie ma żadnego czarodzieja, nikogo władającego Mocą. Co dziwiło tym bardziej, że nie były to czary byle wiejskiej wiedźmy. Bardzo trudno jest opętać człowieka w taki sposób, by zmusić go do samobójstwa, bo w takim przypadku i ciało, i dusza stają do walki i łatwiej kogoś zabić strumieniem magicznego ognia, niż zmusić, by rzucił się na miecz.

Wieża. Nie ta, na której szczycie teraz stała, lecz ta opuszczona, z kilkoma trupami w beczkach. Na myśl o tym, że ci mężczyźni schodzili na parter sztywnym krokiem, otwierając usta w bezdźwięcznym krzyku, po

czym jeden po drugim zanurzali się w beczkach z wodą, a zabójca kilkoma uderzeniami młota dobijał im nad głowami wieka, ogarnęły ją mdłości. Bo potem co? Zwalniał czar? Żeby posłuchać, jak rozpaczliwie bębnią pięściami o klepki? Jak szarpią się w środku? Żeby pogapić się na taniec beczek kolebiących się na zalanej wodą posadzce, kiedy reszta nieszczęśników czeka na swoją kolej i patrzy, dalej nie mogąc się poruszyć?

Zaklęła. Tak plugawo, że nawet Kocimiętka by się zaczerwienił, i odwracając się na pięcie, walnęła pięścią w kamień. Pewnie tak właśnie było, w końcu morderca przyprowadził ostatniego z nich pod wieżę, każąc mu najpierw wyłupić sobie oczy. W tej chwili bardzo, ale to bardzo pragnęła trzymać szablę w dłoni i mieć przed sobą przeciwnika z krwi i kości. Uśmiechnęła się grymasem przypominającym ostrzegawcze warknięcie i delikatnie dotknęła obolałych kłykci. Chyba nie złamała sobie niczego, choć bolało jak cholera. To dobrze, ból pomagał opanować gniew i przypomnieć sobie nauki Besary. W tej robocie liczy się rozum. Patrzysz i myślisz, a dopiero potem działasz.

Zobaczyła duchy, bo była tym, kim była, i wybrała właśnie to miejsce na zjednoczenie się z Berdethem. Lecz pokazały jej nie tylko chwilę swojej śmierci, ujawniły też słabość wroga. Ktokolwiek to był, nie potrafił kontrolować obu mężczyzn jednocześnie. Najpierw opanował jednego, potem drugiego, do skoku z murów też zmusił ich pojedynczo. Wątpiła, że tylko się bawił. To nie była opuszczona wieża strażnicza, tylko zamek, w każdej chwili ktoś mógł nadejść, zabójca musiał się spieszyć. Strażnicy wyglądali też na lekko zaskoczonych wizytą i wyraźnie chcieli, żeby gość sobie poszedł. Czyli był to ktoś, kogo znali, a kogo jednocześnie nie powinno tu być.

Podstawowe pytanie brzmiało jednak, dlaczego to zrobił. Dlaczego ich zabił, dlaczego zależało mu na tym, by wieża stała pusta. Po tym „wypadku” hrabia zrezygnował z utrzymywania na niej wart.

Dwadzieścia dni temu. W górach już trwały mordy i zniknięcia, lecz to nie przypadek, że w zamku zabija się kogoś za pomocą czarów. Tylko po co? Kto korzysta z wieży nocą? I na widok kogo strażnicy zareagowaliby mieszaniną zdumienia i podszytej obawą niechęci? Czyje towarzystwo mogłoby wpędzić ich w kłopoty, a jednocześnie kogo nie mogliby po prostu skopać ze schodów?

Laiwa-son-Baren, złotowłosa ślicznotka o uśmiechu, który nakazywał ludziom obdarzać ją sympatią i zaufaniem.

Zobaczymy. Jak mówiła Besara – patrz, myśl i potwierdzaj swoje przypuszczenia.

Kailean miała zamiar rozejrzeć się po zamku nocą, korzystając z wyostrzonych przez psa zmysłów. Najpierw jednak musi porozmawiać z Daghenną. Zostało im zbyt mało czasu, by zdać się na szczęśliwy traf, i jeśli chciały cokolwiek osiągnąć, muszą zacząć działać. Laskolnyk powiedział – strzała na wietrze, a strzała wypuszczona na wiatr ma zmusić przeciwnika do działania, do ruchu, do popełnienia błędu.

Niech więc tak będzie.

* * *

Zaburczało jej w brzuchu tak głośno, że Nee'wa parsknęła krótkim, nerwowym śmiechem.

„Bezdenny worek" – jej dłonie zatańczyły w *anaho'la*, a Key'la zrobiła zeza i pokazała siostrze język.

Od czasu wydarzeń w lesie, ledwo kilka dni temu, coś się między nimi zmieniło. Nee'wa przestała być taka nerwowa, przestała też patrzeć na nią gniewnie i powarkiwać. Nie próbowała rozmawiać na temat tego, co tam zaszło, nie przeprosiła jej też za bolesne słowa, które pchnęły wtedy Key'lę do ucieczki między drzewa. Ale słowa nie zawsze są potrzebne, czasem wystarczy spojrzenie, uśmiech, gest. W ciągu tych kilku przerażających chwil, gdy leżały na ziemi przekonane, że umrą, a potem to inni umierali wokół, coś w Drugiej pękło.

Zmieniła się, jakby wyciszyła i spokorniała. Bez żadnego przypominania wykonywała wszelkie obowiązki, a każdą wolną chwilę spędzała na ćwiczeniach z bronią. *Kavayo* może i nie był dla dziewczyn, ale łuk, włócznia czy lekka szabla owszem. I o ile bracia często nabijali się z Pierwszej, która lepiej radziła sobie z chochlą i igłą niż z łukiem, o tyle nawet bliźniacy milczeli, obserwując, jak Nee'wa ćwiczy włócznią walkę z cieniami albo roznosi na strzępy kolejną belę słomy.

Key'la czasem wolałaby siostrę sprzed zmiany.

Ona sama była za mała do wojennego łuku, ten, którego używała, nadawał się tylko do polowania na przepiórki, ale z kijem udającym krótką

włócznię radziła już sobie nie najgorzej. Obserwując jednak średnią siostrę, wiedziała, że wiele jeszcze musi się nauczyć, choć przez ostatnie dni nie miała czasu na ćwiczenia.

Bo w końcu naprawdę wyruszyli w drogę i choć te przerażające góry nadal ich otaczały, to przynajmniej wędrowali, a każdy dzień przybliżał chwilę, gdy dotrą do domu. I na jakiś czas znów byli normalną rodziną, Nee’wa nie znikała już na całe noce, a bracia wrócili do wozów. Zresztą co tu się dziwić, ktoś w końcu musiał powozić. W wędrówkę zabrali sześć pojazdów: kuchenny, dwa sypialne, dwa z zapasami i ostatni, wiozący przenośną kuźnię i wszelkie potrzebne w niej narzędzia. Jednym kierował ojciec, drugim na zmianę Ana’we z Nee’wą, o pozostałe cztery musieli zatroszczyć się Ruk’hert, Det’mon, Eso’bar i Mer’danar, którzy przypomnieli sobie o domu. Przynajmniej gdy po zapadnięciu zmroku siadali do kolacji, przy stole znów było ciasno.

Tylko Pierwszy i bliźniacy prawie nie pokazywali się, chyba żeby wpaść na krótki posiłek i pochwalić się nowymi kolczugami, których w ogóle nie zdejmowali, głupie matołki. Cała trójka miała walczyć na rydwanach, Der’eko jako *Kanewey* Trzeciej Fali Obozu New’harr, Fen i Den jako woźnica i łucznik.

Przez większość drogi bliźniacy narzekali, że brat wymaga od nich dwa razy więcej niż od innych załóg, każe jeździć szybciej, strzelać celniej i ostrzej robić zwroty, milkli tylko wtedy, gdy ojciec proponował im miejsce w załodze wozu bojowego albo pieszym oddziale. Z jakichś niezrozumiałych dla niej powodów wszyscy chłopcy uważali, że walka na rydwanie jest zaszczytniejsza. Ich głupota była czasem porażająca.

Jej brzuch znów wydał z siebie ponure burczenie, a Nee’wa zaśmiała się na cały głos i rzuciła jej kawałek podpłomyka, wydobyty nie wiadomo skąd. Podziękowała za podarek skinieniem głowy i odłożyła go na bok.

— Później zjem — mruknęła. — Teraz mam brudne ręce.

— Dobrze, tylko najpierw przynieś mi kawałek sera, zrobię sobie zatyczki do uszu.

„Zjedź na bok” – łagodnym gestem poprosiła siostrę, żeby się odczepiła.

— Dobrze, ale musisz pamiętać, że jak spadnie na nas lawina, to będzie twoja sprawka.

Key’la uśmiechnęła się i przeplotła ostatnią gałązkę przez wiklinowy płotek. Codziennie po zatrzymaniu karawany robiły z miękkich gałązek

osłony, które miały wieńczyć wozy bojowe. Verdanno też potrafili się uczyć na swoich błędach i tym razem koczownikom nie będzie tak łatwo zarzucić na burty haki i rozerwać ich linię kilkoma końmi. Płotki, które przygotowywały, były mocno przeplecione na dole, a górą rozszerzały się w gęstwinę pionowych witek. Hak, nie znajdując punktu zaczepienia, co najwyżej wyrwie z nich kilka gałązek, a konstrukcję łatwo będzie naprawić. No i załoga wozu bojowego zadba już o to, by atakujący nie miał szansy ponowić rzutu.

To była jedna z niespodzianek, które szykowali na nadchodzącą wojnę.

Wozy zatrzymały się na czas niezbędny, by przygotować kolejny fragment drogi pod koła. Jak na góry, które powinny składać się z twardej skały i kamieni, było tu stanowczo za dużo ziemi, błota i wody. Na dodatek zatrzymywanie się po drodze stanowiło pewien problem. Do tej pory każdy postój zamieniał karawanę w obóz, a przestrzeń otoczona murem wozów od razu stawała się oswojona i bezpieczna. Teraz cały obóz New’harr tkwił rozciągnięty wielomilowym wężem, a obcy, wrogi teren zaczynał się zaraz za drzwiami wozu. Nawet w Lithrew rodzinne wozy tworzyły okrąg wyznaczający bezpieczną przestrzeń. Tutaj było inaczej. I to pomimo tego, że z obu stron chroniła ich linia wartowników, którzy palili ogniska i bez przerwy się okrzykiwali. Nee’wa skończyła pracę i przeciągnęła się.

— Uuuuch. Jeszcze trochę tych gałązek, a sama zmienię się w brzozę i wypuszczę listki. Za chwilę Pierwsza zawoła nas na kolację, więc idź umyć ręce i szykuj się. Dobrze dziś pracowałaś.

No i właśnie o to chodziło. Nee’wa, która ją chwali, Nee’wa, która pozwala zużywać cenną wodę na mycie, Nee’wa, która potrafi czasem ugryźć się w język. Zupełnie jakby ktoś podmienił jej siostrę.

Key’la wymknęła się z wozu w ciemność. Koniom ściągnięto chomąta, wyczesano je i oczywiście nakarmiono i napojono. Rzecz jasna ludzie nie siadali do kolacji, nim nie zadbano o zwierzęta. Stały teraz przywiązane do dyszli, ich szerokie grzbiety okrywały wełniane pledy, a z pysków unosiły się obłoczki pary. Noce w górach były naprawdę zimne.

Podeszła do ostatniego wozu należącego do jej rodziny, załadowanego po dach żelazem, węglem drzewnym, narzędziami kowalskimi i kilkoma surowymi bryłami żelaza. To był wóz, którego z pewnością nikt nie będzie rozładowywał w czasie drogi, nie było czasu na montowanie i uruchamianie

kuźni. A siedzący na koźle Mer’danar też nie miał powodów, by sprawdzać jego zawartość.

Otworzyła tylne drzwi, weszła do środka i przykucnęła, wyciągając przed siebie rękę. Wewnątrz było ciemno, słaby blask okolicznych ognisk nieśmiało wpadał w szczelinę nad drzwiami i przez małe okienko, oczy potrzebowały sporo czasu, by odróżnić od siebie plamy czerni. Jedna z nich poruszyła się i dotknęła dłoni dziewczynki.

Key’la usłyszała węszenie.

Znalazła go na wozie, z którego wzięła wcześniej zostawiony w lesie pled. Chyba tylko sama Pani Stepów wiedziała, jak udało mu się tam dostać. To było w dzień, w którym wyruszali w drogę, być może wykorzystał zamieszanie towarzyszące zwijaniu obozu.

— Mam coś dla ciebie. — Podała mu kawałek podpłomyka. — Po kolacji przyniosę więcej.

Nie wiedziała, czy zrozumiał, ale to w gruncie rzeczy nie miało znaczenia. Od chwili, gdy go znalazła, owiniętego w podarowany pled i drżącego z gorączki, nie wydał z siebie najmniejszego dźwięku. Ani razu. Był taki, jakim zobaczyła go w snach: chudy niczym szkielet obciągnięty skórą, z mięśniami, których każde włókno odznaczało się niczym wyrzeźbione w kamieniu, ze strzechą ciemnych włosów i jasnoniebieskimi oczami. I z twarzą nieruchomą jak maska pośmiertna. Nigdy się nie uśmiechał, nie krzywił, nie marszczył czoła. Zupełnie jakby nie wiedział, co to mimika.

Jadł w dziwny sposób, nie odgryzał kęsów, tylko łamał przyniesione jedzenie na małe kawałki i wkładał pojedynczo do ust. Pił dużo wody. Pozwolił jej się obejrzeć dopiero po dwóch dniach wędrówki, i to tylko dlatego, że był zbyt słaby, żeby zaprotestować. Na plecach miał długą ranę, zaczynającą się od lewej łopatki i kończącą na wysokości pośladka. Rozcięcie jątrzyło się niełądnie, stąd gorączka. Tego samego dnia wieczorem przyniosła do wozu trochę maści, której używano na źle gojące się rany koni, i najpierw obmyła skaleczenie, a potem je dokładnie nasmarowała. Wiedziała, że lek musi go okropnie szczypać, on jednak nie wydał z siebie najmniejszego dźwięku.

Następnego wieczoru powitał ją intensywnym, wręcz natarczywym spojrzeniem, patrzył nieruchomo, niemal nie mrugając, a potem ruchem tak szybkim, że prawie niezauważalnym, złapał ją za przegub. Powoli zbliżył rękę do swojej twarzy, powąchał, dotknął językiem. Wtedy po raz pierwszy

zobaczyła wyraźnie jego lewą dłoń. Nosił na niej misterną konstrukcję z dziesiątków drutów, łączących opinającą nadgarstek bransoletę z kilkoma pierścieniami założonymi między stawami. Czubki palców wieńczyły nakładki w kształcie ptasich szponów. Bransoleta, pierścienie i pazury wyglądały na stalowe, a łączące je druty na miedziane albo złote. Druty biegły wierzchem dłoni tak, że mógł ją swobodnie zaciskać i otwierać.

Miała wrażenie, że starał się być delikatny, lecz gdyby wtedy mocniej zacisnął dłoń, pewnie złamałby jej przedramię. Dobrze, że nosiła długie rękawy, inaczej nigdy nie wytłumaczyłaby się z sińców.

Nie był nagi, choć przepaskę na biodrach i dwa skrzyżowane na piersi i plecach pasy nie sposób nazwać ubiorem. Dziwny, bardzo dziwny strój jak na kogoś spotkanego w górach.

I nie miał żadnej długiej broni, choć w jej wspomnieniach odcisnął się dokładnie obraz szarego ostrza tańczącego wokół mężczyzn, którzy chcieli je skrzywdzić. Może zgubił.

Chłopak wziął od niej placek, zaczął łamać i jeść. Czuła jego spojrzenie.

— Jutro ruszamy dalej — zaczęła. — Mówiłam ci już, że chcemy opuścić te góry, więc jeśli ty też tego chcesz, możesz jechać z nami. Ja i Nee’wa mamy dług, a to znaczy, że cały ród ma dług. A jeśli chcesz tylko odpocząć i potem wrócić do domu, to też możesz, musisz jedynie wiedzieć, że już odjeżdżamy.

Wyciągnęła dłoń.

— Tylko niczego nie zniszcz, dobrze?

Nie odpowiedział, jak zwykle.

— Przyjdę jeszcze przed snem, przyniosę ci jedzenie i wodę. Czekaj.

Wsunął się głębiej w ciemność, nakrył pledem.

Key’la westchnęła ciężko. Byłoby znacznie łatwiej, gdyby w jego spojrzeniu pojawiały się jakiekolwiek emocje. Coś, co sugerowałoby, że rozumie nawet nie tyle jej język, ile choćby intencje. Na razie miała wrażenie, że mówi do dzikiego zwierzęcia.

Niektóre długi trudno się spłaca.

Rozdział 7

Hewen miało swój klimat. Nawet sympatyczny, jeśli ktoś lubił skałę, kamienie i wicher, wiejący z boku z taką prędkością, że człowiek musiał się mocno pochylać, by nie zostać przewróconym. I tak szli, podparci z jednej strony powietrzem, przewiewani na wylot lodowatymi podmuchami, bo nawet płaszcze na niewiele się tu przydawały.

Kenneth zaklął i zabalansował rękoma, gdy wiatr nagle ucichł, pozbawiając go równowagi. Oczywiście wicher zrobił to tylko po to, by po chwili dmuchnąć z podwójną siłą.

Czoło kolumny zostało za nimi, na skraju lasu, a on prowadził połowę kompanii na zwiad, bo mapa nie była aż tak dokładna, by na jej podstawie dało się ustalić położenie szczeliny, której szukali. Na pergaminie oznaczono po prostu drogę z adnotacją „na lewo od szczytu grani". Tylko ile na lewo? Sto jardów, dwieście, pięćset? Tym, którzy znaleźli drogę przez Olekady, widać ani w głowie postało, że będzie nią podążać kilkadziesiąt tysięcy wozów, które muszą mieć z góry przetarty i dokładnie wytyczony szlak. Tym bardziej że na tej grani brakowało miejsca na swobodne manewrowanie wozami.

Bo Hewen można było nazwać granią, choć szeroką, skalistą i wietrzną. Gdy oglądali mapy, obok nazwy widniało kilka zamazanych znaków; Kenneth był gotów postawić roczny żołd, że ktoś napisał tam „cholerne, chędożone Hewen" albo „niech szlag trafi całe to Hewen". Już trzymając mapę pierwszy raz w ręku, powinien nabrać podejrzeń. Na dodatek w przeciwieństwie do większości łagodnych grani, na tej nie rosło nic, nawet górskie mchy, które też przegrały z piekielnym wiatrem, zdmuchującym ze skały najmniejszy nawet fragment gleby. Za to cały teren był upstrzony kamiennymi odłamkami, od takich wielkości ludzkiej głowy, aż do głazów, których kilku mężczyzn nie objęłoby rękoma. Kenneth widywał podobne okolice na północy Belenden, miejsca, które prastare lodowce wygładziły brzuchami, zostawiając po sobie tysiące kamieni.

Kilka mil przed nimi wznosiła się skalna ściana, kryjąca resztę drogi, a jej szczyt nigdy nie zdejmował śnieżnej czapy. Oficer rozejrzał się. Hewen z jednej strony zamykał dziki las, z drugiej skalna ściana. Ktokolwiek przychodził tu dobrowolnie, był szaleńcem albo desperatem.

Takie rozmyślania może i nie miały większego znaczenia, ale przynajmniej odwracały uwagę od wiatru. Porucznik wykorzystał chwilę, gdy wichura nieco przycichła, i ponownie rozejrzał się. Zgodnie z dokumentami okolica była mało zaludniona, lodowate wichry i trudno dostępny teren nie sprzyjały osadnictwu. Co nie znaczyło, że w ogóle nie ma tu ludzi. Hen, daleko, na drugim krańcu lesistej doliny, wznosił się w górę słup siwego dymu. Myśliwi, bandyci, kłusownicy? Nie miało to znaczenia. Jeśli zauważą karawanę, a zauważą na pewno, i tak nie ośmielą się podejść.

Dopiero po przejściu przez skalną szczelinę, która miała się znajdować w ścianie przed nimi, powinni znaleźć się na terenie, który oznaczono jako niezamieszkany. Czyli nie było tam osad, w których poborcy podatkowi ośmieliliby się zjawić nawet w eskorcie wojska.

Przygotowanie tu drogi dla wozów będzie wymagało sporo zachodu. Jeszcze kilka dni temu Kenneth oceniłby czas potrzebny na taką robotę na dobry miesiąc, ale teraz? Ciągle musiał pamiętać, że za nim jedzie nie tylko ileś tam tysięcy wozów, ale też dziesiątki tysięcy rąk do pracy. I dziesiątki tysięcy końskich grzbietów, gotowych dźwigać, przesuwać i usuwać wszelkie przeszkody na drodze. Widział to, gdy przygotowywano podjazd w żlebie, w którym omal nie stracili prowadzącego wozu. W kwadrans żleb zaroił się od ludzi. Z boku pogłębiono koryto strumienia, by skierować wody w jedno miejsce, zasypano kałuże i szczeliny kamieniami, po czym ułożono tysiące belek i desek, po których miały wjechać wozy. Wszystko w mniej niż ćwierć dnia.

Jednak ta armia budowniczych prawdziwą siłę pokazała dopiero później, gdy tego samego dnia zaczęto karczować szeroką na trzydzieści stóp i długą na milę przesiekę przez las. Kilka tysięcy ludzi ustawiło się wzdłuż trasy, na dany znak kilka tysięcy toporów jednocześnie uniosło się i zaczęło rąbać. Pierwsze drzewa padły po kwadransie, i po wstępnym ociosaniu zostały natychmiast odciągnięte na bok, a w tym czasie już następne chwiały się i kładły. Gdy któryś z rębaczy się zmęczył, natychmiast zastępował go inny; łoskot siekier i toporów nie cichł nawet na mgnienie oka. Przez cały dzień las jęczał i płakał odgłosami walących się sosnowych pni,

karczowano drzewa do samej ziemi, wyrywając korzenie siłą poczwórnych zaprzęgów, dziury natychmiast zasypywano i ubijano. Nocą ustawiono tysiące lamp, a Verdanno nie zwolnili nawet na chwilę.

Z góry musiało to wyglądać jak praca oszalałej armii mrówek wycinających sobie drogę przez pas traw. Dlatego też teraz porucznik dawał Wozakom jeden, góra dwa dni na oczyszczenie drogi przez Hewen. Tylko najpierw kompania musiała znaleźć i oznaczyć przejście prowadzące na drugą stronę góry, która zagradzała im drogę. Poza tym, jak stwierdził And'ewers, kolumna zbyt się rozciągnęła, na niektórych odcinkach wozy traciły ze sobą kontakt, a tego chcieli uniknąć. Wozacy zamierzali wykorzystać postój, by podciągnąć tyły.

Tyły… Kenneth wyszczerzył się kwaśno.

Tyły wciąż tkwiły w dolinie Amersen. Gdy usiłował sobie to wyobrazić, ogarniało go ponure rozbawienie, dopiero teraz uwidaczniało się, jak bardzo szalone było to, co Verdanno zamierzali zrobić. Mieli za sobą ponad dwadzieścia pięć mil drogi, a mimo że niemal każdy jard szlaku został zapchany ciężkimi wozami, to łącznie dolinę opuściło ich dopiero ze cztery tysiące. Jedna dziesiąta. A jeszcze nie wprowadzono na trasę luzaków. Kolumna Verdanno przypominała wątłą mackę wypuszczoną przez fantastyczne morskie stworzenie. Kenneth miał pewność, że gdy już jakimś cudem doprowadzą pierwsze wozy na wyżynę, to i tak trzy czwarte verdańskich pojazdów nie opuści jeszcze okolic Kehlorenu.

Szaleństwo. Niemal cudowne w swoim rozmachu.

A on i jego kompania są tego szaleństwa częścią.

I co najgorsze, zgadzają się z argumentami Hasa i innych, że Verdanno muszą przebić się przez Olekady jak najszybciej, bo wkrótce na Wielkich Stepach pojawi się wiosenna trawa w takich ilościach, że zimujące zazwyczaj nad morzem se-kohlandzkie plemiona ruszą w doroczną wędrówkę na północ. Wyżyna Lytherańska pozostawała przez zimę niemal niezamieszkana, plątały się po niej jakieś małe grupki wyrzutków, które z różnych powodów nie powędrowały w cieplejsze rejony Stepów. W czasach swojej świetności Verdanno spędzali zimy w obozach chronionych przed lodowatymi północnymi wichrami ścianą wozów, a i tak trzymali się raczej południowego krańca wyżyny. Ale wiosna, lato i jesień wynagradzały im srogie zimy, dając obfitość traw i wszelkiej paszy dla zwierząt.

Gdy więc zazielenią się Stepy, pojawią się tam plemiona Se-kohlandczyków, zwłaszcza podległe Amanewe Czerwonemu i Kyh Danu Kredo, bo tych dwóch Synów Wojny podzieliło między siebie tereny wydarte Verdanno. Podobno ciągle trwały między nimi przepychanki o te ziemie. Dla Wozaków była to dobra wieść, dawała szansę wykorzystania niesnasek między dowódcami Yawenyra i rozgromienia ich jednego po drugim. Pod warunkiem że zdążą dotrzeć na miejsce przed koczownikami.

Plan był ambitny i straceńczy. Bo jeśli się nie powiedzie, Verdanno, mając za plecami ścianę Olekadów, nie będą mieli się gdzie wycofać.

Szaleństwo podszyte obłędem ze szczyptą desperacji. A mimo to, przechadzając się między wozami, słuchając spokojnych rozmów w dziwnym, pełnym gestów języku, Kenneth nie znajdował w tych ludziach strachu ani – co byłoby równie zrozumiałe, zważywszy na wiek wielu wojowników – głupiej, szczeniackiej brawury. Szli na wojnę, właściwie już na niej byli, ta droga, to przedzieranie się przez lasy i góry, była ich pierwszą bitwą, pierwszym sprawdzianem determinacji i odwagi, i akceptowali wszystko, co wojna ze sobą niosła. No cóż, w końcu mieli się bić o swój dom.

Wychodziło na to, że im po cichu kibicował.

Idący przed nim Fenlo Nur uniósł nagle dłoń z rozpostartymi palcami. Kompania natychmiast rozpadła się na grupki, żołnierze poszukali osłon za głazami, pilnując nawzajem swoich pleców. Wszyscy już trzymali w rękach broń.

Nur nawet nie drgnął, przez dłuższą chwilę tkwił w miejscu jak posąg, po czym obejrzał się na porucznika. Wskazał nieco w lewo, zacisnął pięść, poruszył poziomo. Kenneth skinął głową i kilkoma gestami wydał rozkazy reszcie, Trzecia osłania Piątą, Ósma i Pierwsza za nimi.

Piąta dziesiątka już parła naprzód i trzeba było przyznać, że ci strażnicy znali się na robocie. Poruszali się po dwóch, trzech, przeskakując od głazu do głazu, kryli się sprawnie, nie tracąc się nawzajem z oczu. Trafili mu się nieźli żołnierze.

Trupa znaleźli jakieś sto kroków dalej.

Leżał tuż przy wielkim głazie, na boku, z prawą ręką schowaną pod ciałem, nogami rozrzuconymi na boki i głową odchyloną w tył. Ustalenie przyczyny śmierci nie wymagało specjalnych umiejętności, wystarczył rzut oka na zmiażdżoną czaszkę, której część twarzowa wyglądała jak po ciosie bojowym młotem.

Ciało było całkowicie zmumifikowane, jakby spędziło na tej grani dziesiątki lat. Płócienne portki powiewały wokół obciągniętych skórą piszczeli, a rozchylony barani kubrak odsłaniał potrzaskaną klatkę żeber. Wysuszona skóra na tym, co zostało z twarzy, ściągnęła się, groteskowo wyginając połamaną żuchwę. Perły zębów rozsypały się wokół czerepu.

Porucznik rejestrował to wszystko, rozstawiając jednocześnie ludzi wokół. Właściwie nie było potrzeby zabezpieczania, ale to pozwoli tropicielom dokładniej obejrzeć okolicę. Nawet jeśli trup leżał tu od ostatniej wojny, mieli obowiązek to sprawdzić.

Azger Laweghz i Nur odłożyli broń, zaczęli obchodzić ciało. Kenneth był ciekaw, co spodziewają się znaleźć w terenie, gdzie jest tylko goła skała i polodowcowe głazy, nie mówiąc już o tym, że sądząc po stanie ciała, zabójca pewnie zdążył dochować się prawnuków i umrzeć. Ale się nie wtrącał, okoliczne kamienie, niektóre wyższe od rosłego mężczyzny, dość dobrze osłaniały od wiatru, więc ludzie mogli trochę odpocząć. Poza tym, obserwując Wilka i innych zwiadowców, przekonał się, że niemal zawsze zaczynają od zbadania okolicy, zanim ruszą ciało. Kiedyś uznał, że dopóki oni nie będą mu się wtrącać w dowodzenie, on pozwoli im łazić dookoła każdego trupa, ile będą chcieli.

Nagle Fenlo pochylił się, dotknął ziemi, przywołał starszego tropiciela, wymienili kilka mruknięć i rozeszli się na dwie strony. Krążyli wokół, wpatrując się w skałę, oglądając kamienie i po spirali zbliżając do ciała. Wreszcie Azger bezceremonialnie odsunął je do głazu, rozchylił martwemu szerzej kubrak, podciągnął nogawki portek. Bez słowa wskazał Nurowi zgruchotane kości nóg. Podoficer tylko pokiwał głową, sam dotknął miejsca, gdzie leżał trup. W płytkim zagłębieniu czerniały resztki krwi.

Starszy z tropicieli podniósł się z klęczek i podszedł do oficera.

— Kiepsko, panie poruczniku.

— To sam widzę, Azger. Dużo to on nam nie opowie.

— Opowie tyle, ile może, panie poruczniku.

— Nie popisuj się. Jak długo według was tu leży?

— Jakieś dwa, może trzy miesiące.

Kenneth uniósł brwi.

— Tylko tyle?

— Tylko tyle. Tu rzadko pada, ale gdyby leżał dłużej, deszcze wymyłyby spod niego krew. Zresztą w takim miejscu to wystarczy. Zimą jest tu cały czas sucho, bo ten przeklęty wicher zdmuchuje każdy płatek śniegu, jest też zimno, więc ciało się nie rozkłada. — Tropiciel podrapał się po siwej brodzie. — U mnie w Grew suszyliśmy w takiej okolicy mięso. Wystarczyło kilka dni i…

— Dzięki, Azger, przez ciebie przez następne dziesięć dni nawet nie spojrzę na suszoną wołowinę. Dlaczego nie ruszyły go zwierzęta?

— Tu nie ma zwierząt. Na tych skałach nic nie rośnie, żaden lis czy wilk nie będzie tu szukał ofiary. Ptaki też rzadko przylatują. Poza tym… zwierzęta unikają trupów, od których czuć Moc — Azger mówił spokojnym głosem, ale oczy od czasu do czasu strzelały mu na boki. Tam, gdzie zabijano ludzi za pomocą magii, należało zachować ostrożność.

Kenneth zerknął nad jego ramieniem na Fenlo Nura. Ten nadal klęczał przy trupie, oglądając uważnie jego ręce, nogi, brzuch. Mimo dość obcesowych czynności, dłonie młodszego dziesiętnika poruszały się z zaskakującą delikatnością.

— No to doszliśmy do sedna, strażniku. — Porucznik spojrzał na starszego tropiciela. — Jak zginął?

— Spadł.

To proste stwierdzenie niosło ze sobą tyle implikacji, że głupotą byłoby od razu wyciągać z niego jakieś wnioski. Spadł. I tyle. To przynajmniej wyjaśniało, dlaczego tropiciele byli przekonani, że chodzi o czary.

— Jesteś pewien? Ktoś mógł go zabić i podrzucić tu ciało.

— Mógł — zgodził się bez oporu Azger. — Co prawda nie widzę sensu w taskaniu tu trupa, i to na własnych plecach, bo jeszcze trzy dni temu nie było ani mostu, ani przesieki, więc koniem zabójca pewnie by nie dojechał. Mógł też go tu zagnać, zatłuc na miejscu i zostawić. Ale znam ciekawsze sposoby na pozbycie się ciała.

— Ofiara kłótni między kłusownikami? Bandytami? Przechodzili tędy, porżnęli się, zostawili trupa i poszli dalej?

— Możliwe. — Najwyraźniej strażnik postanowił we wszystkim zgadzać się z dowódcą. — Ale jego kubrak jest trochę wart, buty też. Nie znam zbójów, którzy by zostawili coś takiego. Poza tym on trafił tu w samym

środku zimy. Zły czas dla kłusowników, a i zbóje raczej zimują po odległych wioskach, niż włóczą się po tej pięknej grani.

Kenneth pokiwał głową. Logika Azgera była nie do podważenia.

— A skąd wniosek, że spadł?

— Ma strzaskaną twarz, połamane żebra, zmiażdżone kolana i golenie oraz połamane prawe przedramię. Widziałem już kilku ludzi, którzy mieli pecha runąć w przepaść i uderzyli o ziemię, nie obijając się wcześniej o ścianę. Mieli podobne obrażenia. On spadał twarzą w dół z wysokości co najmniej trzystu stóp, a może i więcej, w ostatniej chwili osłonił twarz prawym ramieniem. Uderzył w ten głaz, pod którym go znaleźliśmy, i to z taką siłą, że krew prysnęła na kilkanaście stóp wokół. Znaleźliśmy ślady. Potem zsunął się w dół, albo zwiał go wiatr, i tak czekał, aż tu przyjdziemy.

Fenlo Nur podszedł do nich powoli. W ręku trzymał kawałek rzemyka.

— Coś jeszcze chcesz dodać do tego, co powiedział Azger, młodszy dziesiętniku?

— Nie, panie poruczniku. Słyszałem, co mówił, i wszystko się zgadza.

Kenneth popatrzył na ciało.

— Więc ktoś uniósł tego nieszczęśnika kilkaset stóp w górę i upuścił? Czarami? Albo otworzył magiczny portal i go z niego wypchnął?

— Strasznie skomplikowany sposób na zabicie człowieka, panie poruczniku.

— Wiem, Azger, wiem. I kosztowny. Takie czary to nie podpalenie komuś włosów czy wywołanie biegunki. Byle wiejski czarodziej tego nie zrobi. No i dlaczego ktokolwiek miałby się posuwać do czegoś takiego?

— Może dlatego. — Dowodzący piątą dziesiątką podał mu rzemyk.

Kenneth obejrzał go, nic niezwykłego, kawałek skórzanej linki używanej do sznurowania kaftana.

— No i?

— Ten węzeł, panie poruczniku. — Nur wskazał zadzierzgnięty na końcu supełek. — To „dzika ósemka”, na wschód od Czaherden, skąd pochodzę, większość strażników jej używa, bo jest prosta i rzemień da się rozwiązać, nawet gdy napęcznieje wodą.

Chwilę przetrawiali tę informację.

— To nasz? Strażnik?

Młodszy dziesiętnik pokiwał głową, szeroką twarz miał jak z kamienia.

— Tak sądzę, panie poruczniku. Ma… — zawahał się. — Ma kilka blizn, jakich mało który chłop potrafi się dorobić. W tym takie od miecza i chyba zębatego tasaka. Jego dwa żebra były już kiedyś połamane i zrosły się, wspomagane czarami, a to coś, na co ani chłopa, ani zbója za bardzo nie stać. No i ma cięciwowe odciski…

Odciski od cięciwy. Niektórzy żołnierze nie używali ani haków, ani „koźlich nóżek” do napinania kusz, tylko tradycyjnie przydeptywali strzemię i szarpali cięciwę rękami. Po kilku latach pojawiały się na ich palcach bardzo charakterystyczne dla zawodowych żołnierzy zgrubienia.

Kenneth spojrzał jeszcze raz na ciało. Od kilku chwil nie był to już tylko jakiś anonimowy trup, tylko jeden z żołnierzy, którzy zimą zaginęli na szlakach. Z tym że z tego, co wiedział, tej zimy żaden z nich nie zaginął w tej okolicy.

— Jego broń? Płaszcz? Manierka? Cokolwiek?

Cokolwiek, co pozwoli potwierdzić podejrzenia.

— Nic nie znaleźliśmy, panie poruczniku. I raczej nic więcej nie znajdziemy. Moim zdaniem wyrzucono go dokładnie tak, jak go znaleźliśmy, w portkach, kaftanie i butach.

— Wyrzucono?

Fenlo Nur pokiwał głową.

— Sam nie skoczył, prawda? Niby skąd? I jeszcze coś, ale chciałbym, żeby Azger najpierw jeszcze ze mną to sprawdził. Możemy?

— Idźcie.

Kenneth patrzył, jak tropiciele pochylają się nad ciałem i myślał. Jeśli to jeden z zaginionych żołnierzy, trzeba natychmiast pchnąć wiadomość do Kehlorenu. To nie jest informacja, którą mógł przekazać dopiero po powrocie, bo tych strażników szukano w całych górach. Mignęła mu przed oczyma wizja magicznych portali otwierających się tu i tam nad dzikimi zakątkami Olekadów i wypadających z nich, krzyczących ludzi. Otrząsnął się.

Reszta kompanii zorientowała się już najwyraźniej, że to nie jest zwykły trup, bo żołnierze zaczęli szeptać, popatrując na zwłoki. Kenneth uciszył ich kilkoma ruchami. Czekał na Azgera i dowódcę Piątej.

— No i? — zapytał, gdy tylko stanęli przed nim.

Starszy tropiciel miał dziwną minę. Zagubioną i bezradną.

— On… — Westchnął ciężko, jakby słowa nie chciały mu przejść przez gardło. — On jest taki… chudy nie tylko dlatego, że wiatr i zimno go zmumifikowały, panie poruczniku… On… cholera… wygląda na to, że on przez wiele dni nie dojadał… może nawet przez miesiąc. Gdy spadał, był chudy jak szczapa. I… ja też sądzę, że to nasz… Jeden z Bękartów…

Kenneth przymknął oczy, powoli nabrał powietrza i wypuścił je.

— Przekażcie reszcie, co znaleźliśmy — rzucił rozkaz. — Niech ludzie mają oczy dookoła głowy. Młodszy dziesiętniku, znajdziesz znów to miejsce?

— Tak, panie poruczniku.

— Twoja dziesiątka pójdzie z Trzecią z powrotem na skraj lasu. Andan!

Brodaty dziesiętnik przytruchtał pospiesznie.

— Na rozkaz.

— To najpewniej jeden z Bękartów. — Wskazał ciało. — Ty i Piąta wracacie po resztę. My zostaniemy tutaj. Ruszacie biegiem, chcę tu mieć całą kompanię, najszybciej jak się da. I niech Has ruszy swój chudy tyłek, potrzebuję kogoś, kto zna się na czarach. Minęło kilka miesięcy, ale może został choć cień, fragment Mocy, smród aspektu. Chcę to wiedzieć. Powiedz też And’ewersowi, że jeśli zależy im na czasie, mogą zacząć usuwać kamienie od linii lasu aż do tego miejsca, resztę trasy wyznaczę, jak zajmiemy się tym nieszczęśnikiem. I niech wyśle jakoś wiadomość do Czarnego. Ciało odeślemy na tyły później.

Dziesiętnik zasalutował.

— Rozkaz!

Kenneth podniósł głos:

— Uwaga. Zostajemy tu na jakiś czas. Oczy dookoła głowy. Skończyła się wycieczka, od teraz jesteśmy na terenie wroga.

Tam, gdzie giną strażnicy, zawsze jest teren wroga.

* * *

Has spokojnie obejrzał ciało, wymienił kilka szeptanych zdań z Azgerem i wrócił do porucznika.

— Leży tu dwa do czterech miesięcy — potwierdził przypuszczenia tropiciela. — To znaczy, że zginął, zanim wyruszyliśmy ze Stepów. Po co mi go pokazujesz?

— Zabito go przy użyciu czarów. Czujesz coś?

— Po tylu dniach? Nie. Poza tym nie użyto przeciw niemu czarów bezpośrednio. Padł ich ofiarą, ale go nie dotknęły, rozumiesz?

— Mniej więcej. A miejsce, z którego go zrzucono?

Czarownik wykonał jakiś wozacki gest, a potem, najwyraźniej przypominając sobie, z kim rozmawia, pokręcił głową.

— Już go nie ma. Portal otworzył się na chwilę i zaraz zamknął. A powietrze nie trzyma zbyt długo takich śladów.

Kenneth zacisnął szczęki, właściwie czego się spodziewał po tylu miesiącach?

— Nic nie znalazłeś?

— Niewiele. Wygląda na to, że jego śmierć nie ma z naszym marszem nic wspólnego…

— A ja mam wrażenie, że nawet popierdywanie świstaków ma z nim coś wspólnego. Odkąd przybyłem w te góry, wszyscy gadają tylko o Verdanno i ich karawanach. Nie mydl mi oczu.

— Masz swoje rozkazy, poruczniku, i po prostu je wykonuj.

— Oczywiście. A więc rozłóżcie się tu obozem na dziesięć albo dwadzieścia dni. Nie wiadomo, kiedy znajdziemy resztę szlaku.

Zderzyli się wzrokiem. Zdawało się, że na dnie czarnych oczu Hasa pełgają małe płomyki. Nagle czarownik skrzywił się i parsknął krótkim śmiechem.

— Teraz rozumiem, czemu Meekhańczycy mówią, że lepiej nie zadzierać z czerwonowłosymi. Jesteś uparty jak pijany muł, przyjacielu. — Pokiwał głową. — Mógłbym stwierdzić, że nie potrzebujemy was, wystarczą wasze mapy.

Kenneth pstryknął palcami.

— Bland! Do mnie.

Strażnik pojawił się w kilka uderzeń serca. Na plecach, oprócz worka z prowiantem, miał przytroczoną skórzaną tubę.

Porucznik wyjął pergaminową płachtę i podał ją Hasowi.

— Czytaj.

Mapa była normalną mapą Górskiej Straży, zaznaczono na niej najważniejsze szczyty, doliny, przełęcze i lasy – oraz szlak, który miał ich zaprowadzić do skalnej ostrogi, wiodącej na wyżynę. Lecz znaczyło to również, że oprócz zwykłych, łatwo rozpoznawalnych symboli znajdowały się na niej dziesiątki ideogramów, dziwnych znaków, tajemniczych bohomazów.

— To mapa Górskiej Straży, a jeśli chcesz wywołać furię meekhańskiego kartografa, rzuć mu te trzy słowa w twarz. A te dopiski, to informacje umożliwiające orientację w terenie. Powiem ci, jak to działa, o tu — Kenneth wskazał na mapie punkt upstrzony serią znaków — to wąwóz i miejsce, w którym zbudowaliście most. Na wąwóz z pewnością byście natrafili, ale stawiając most w najlepszym na pierwszy rzut oka miejscu, milę za nim trafilibyście na skalny kocioł bez wyjścia. Trzeba byłoby się wrócić i budować most gdzie indziej, mając nadzieję, że to właściwa droga. Te znaczki to informacja, gdzie dokładnie należy przebyć wąwóz, by nie wpakować się w ślepą uliczkę.

Przejechał palcem do kolejnego punktu.

— Jesteśmy tu, na Hewen. A tutaj, w tej skalnej ścianie, ma być szczelina, długa na pół mili, prowadząca na drugą stronę góry. Podobno jest wąska i dobrze ukryta między głazami. Chcesz jej sam szukać? Myślę, że za cztery, góra pięć dni znajdziesz. Więc właściwie nie jestem ci potrzebny, podpisz mi tylko dokument, że zrzekacie się przewodnictwa, i wracam do Kehlorenu. Musimy pochować jednego z naszych, który zginął w sprawie niemającej nic wspólnego z Verdanno.

Czarownik przyglądał mu się spokojnie, lekko przekrzywiając głowę.

— Czego właściwie chcesz?

— Czego się dowiedziałeś. — Porucznik wskazał na ciało.

— Niewiele. — Pomarszczona twarz skrzywiła się w dziwnym grymasie, a gest, z jakim Has owinął się w swoją szatę, sprawił, że kościane fetysze zagrzechotały gwałtownie. — On głodował tak bardzo, że prawie z tego głodu oszalał. Tuż przed śmiercią zjadł mały kawałek psiego mięsa. Całymi dniami nie widział słońca, choć nie błądził w ciemnościach. Przez większość czasu było mu gorąco, więc pił wodę, a woda miała dużo siarki i musiała śmierdzieć gnijącymi jajami, czuć to w jego włosach i paznokciach. Pod paznokciami i w zakamarkach ubrania ma czarny pył. I gdziekolwiek był, walczył i zabijał, czuć od niego odór śmierci.

Kenneth pierwszy raz widział go tak poruszonego. Znikł gdzieś złośliwy, ironiczny staruch, a – co porucznik odkrył, czując, jak jeżą mu się włosy i w ustach zbiera ślina – pojawił się potężny plemienny szaman, zbierający właśnie Moc.

— Co się dzieje?

Mrowienie zmalało.

— Nic… nic. — Czarownik pokręcił głową. — Stare legendy i bajki. Nie wiem, gdzie przebywał ani jak się stamtąd wydostał, ale gdyby tego nie zrobił, i tak w ciągu kilku dni umarłby z wycieńczenia. Zadowolony? Zresztą — uśmiechnął się złośliwie — na temat tego trupa nie ze mną powinieneś rozmawiać.

Kenneth przełknął odruchowe „a z kim?”, bo miał cholerną pewność, że w zamian usłyszy tylko jakąś irytującą złośliwość.

— To wszystko?

— Właściwie tak. Jeszcze jedno, on… — starzec niespodziewanie zmiękł — nie poddał się rozpaczy, nie płakał i nie błagał Losu o życie. Był dzielnym człowiekiem.

— Dobrze. Dacie radę odesłać go pod twierdzę? I czy znajdzie się u was jakieś pióro i kawałek papieru? Powinienem napisać raport i wysłać razem z ciałem.

— Jesteśmy ludźmi cywilizowanymi. Znajdzie się nawet atrament. A o niego się nie martw, nosze, czterech biegaczy, kilka zmian, za dwa dni będzie w domu.

— Dobrze. Więc chodź ze mną, obejrzysz tę szczelinę.

— Już ją znaleźliście?

— Jeszcze nie, ale ja umiem czytać mapę.

* * *

Szczelina jak szczelina. Skalna ściana, o którą opierała się grań, miała w tym miejscu pewnie z pół mili wysokości, ale środkiem góry biegło pęknięcie. Zupełnie jakby olbrzym próbował na niej jakość swojego topora. Dobrze ukryte pęknięcie gubiło się w skalnych załomach i nierównościach i trzeba było sporo szczęścia, żeby je w ogóle znaleźć. Albo mieć mapę.

Kenneth badał przejście w towarzystwie Hasa i And’ewersa. Za nimi na całej grani wrzała praca. Wyznaczono trasę, tym razem szeroką na co najmniej cztery wozy, usuwano kamienie i głazy, zasypywano pęknięcia w podłożu.

Potężny przywódca karawany bez wahania wszedł w głąb szczeliny. Rozłożył ramiona, opierając dłonie o skałę.

— Wąsko.

— Mówiłem. — Kenneth zadarł głowę, bruzda rozszerzała się ku górze, na wysokości jakichś dwudziestu stóp miała już dwa razy większą szerokość. — Gdyby wasze wozy potrafiły latać, moglibyście przefrunąć górą. A tak pozostaje kucie. Ta skała jest dość miękka, za dziesięć dni będziecie po drugiej stronie.

Has wydał z siebie dziwny odgłos, na poły prychnięcie, na poły chichot.

— Latać, powiadasz. No, poruczniku, trzeba ci przyznać, że masz tęgi łeb. I jeśli chcesz, zobaczysz latające wozy.

I Kenneth zobaczył.

Najpierw Wozacy oczyścili dno przejścia, usuwając skalny gruz. W międzyczasie robili ramy z drewnianych pni, dwa słupy pionowo, jeden łączący je na szczycie i dwa krzyżujące się pośrodku. Zaczęli je montować od drugiego krańca przejścia. Stawiali taką ramę między ścianami i przykrywali deskami, tworząc wysoki na dziesięć stóp pomost. W niektórych miejscach zadowalali się tylko położeniem poziomej belki wspartej między skałami, w innych układali kilka ram tuż obok siebie, by zwiększyć ich wytrzymałość. Zostawiali tu małą fortunę, bo używali tylko najlepszych gatunków drewna, lecz widać pieniądze nie stanowiły dla nich problemu. Kenneth nawet nie próbował tego liczyć, choć niektórzy jego ludzie tak.

— To cedr — Bergh wykazał się znajomością ciesielki — i to pewnie z zachodniego Ewerenn, bo tylko tam rosną tak duże drzewa. A jedna cedrowa belka kosztuje jakieś dwa orgi.

— Aż dwa?

— To cenne drewno, panie poruczniku. Twarde, niemal bez sęków, odporne na wodę, mróz i wiatr. W mojej okolicy jest cedrowy most, który ma już trzysta lat. Niejeden kamienny tyle nie wytrzyma. A ci tutaj… Na jednym wozie wieźli jakieś dwadzieścia belek, opróżnili ich już ponad setkę. Dwa tysiące cedrowych belek to cztery tysiące orgów. A ten most,

który wcześniej postawili? Poszło niewiele mniej drewna. Nie liczą się z pieniędzmi.

Kilku przysłuchujących się im żołnierzy pokiwało głowami, najwyraźniej zdumionych rozrzutnością Verdanno. Tylko Velergorf wyszczerzył się szeroko.

— Bergh, a ilu jest?

— Kogo?

— No, Wozaków? Ze sto pięćdziesiąt? Dwieście tysięcy?

— Mniej więcej. I co z tego?

— No to ile każdy z nich musiał dołożyć, żeby kupić to drewno? Chłopie, patrzysz na rzekę złota, a widzisz tylko miedziaka w jej nurcie.

— Rzekę złota? Miedziaka?

Velergorf westchnął i przewrócił oczami. Bardzo dramatycznie.

— Mówisz dwadzieścia belek na wozie, czyli czterdzieści orgów, tak? A nie widzisz, że każdy z tych wozów jest ciągnięty przez dwa, a czasem cztery konie? A widziałeś te ich konie? Odpasione, zadbane, silne i zdrowe. Każdy wart tyle co drewno, które ciągnie na wozie. Oni mają ze sto tysięcy koni, albo i więcej, a najgorszy z nich jest wart ze dwadzieścia orgów. A wozy? Solidne, w większości nowe, każdy kupiec dałby za taki wóz co najmniej kilkadziesiąt orgów. A wozy mieszkalne? Meble, piece, przybory kuchenne, dywany, łóżka, koce, garnki… A broń, ubrania, żywność? A te ich wozy bojowe, o połowę szersze, z burtami na dwa cale, ciągnięte przez poczwórne zaprzęgi? A to, czego nam nie pokazali? Złoto i srebro w monetach i biżuterii, przyprawy, wina, magiczne amulety i talizmany, których też za darmo nie rozdają. I to tylko kawałek ich majątku. Policz, a potem powiedz, czy to drewno to przesada.

Przez chwilę Bergh naprawdę wyglądał, jakby próbował liczyć.

— Niech to szlag, miliony… wiele milionów.

— Tak. Prowadzimy przez te góry majątek, który zapełniłby cały cesarski skarbiec, i to tak, że drzwi by się nie domykały. Gdyby mieli obrabiać drewno w trakcie drogi, przeprawa zajęłaby im ze trzy razy więcej czasu; gdyby używali pośledniejszego drewna, most mógłby się zawalić albo to przejście załamałoby się pod którymś wozem i straciliby kolejne dni. Nie, oni nie są rozrzutni, tylko wiedzą, że mają jedną szansę na zdobycie swojej wyżyny, więc nie zamierzają oszczędzać. Gonią za własnym marzeniem.

— Ciekaw jestem jakim.

— Może chcą znów zobaczyć młodych chłopców, jak wiosną wstępują w Krąg Wojowników, między kamienne słupy postawione w Sendi'kah, by po raz pierwszy okrwawić swoje *kavayo*. Albo siąść na kozioł i nie postawić stopy na ziemi, dopóki nie przejedzie się pięćdziesięciu mil, a kołysanie wozu sprawi, że myśli płyną leniwie i tylko uderzenie serca dzieli cię od krain snu. Albo poczuć wiatr we włosach, gdy pędzisz stepem, w jednym ręku trzymasz wodze, w drugim miotacz dzirytów, a obok ciebie sunie jak lawina tysiąc innych rydwanów.

Obejrzeli się na And'ewersa, który skończył mówić. Podszedł w czasie tyrady Velergorfa i najwyraźniej wszystko słyszał.

— To dziwne — dziesiętnik zmrużył oczy — ale ciebie akurat nie podejrzewałbym o takie myśli. Synowie już dorośli, a pragnienie, by wysłać ich rydwanami do bitwy, nie powinno być szczytem marzeń ojca. Córki, przynajmniej dwie, na wydaniu, więc tu też powinieneś raczej wybierać dla nich mężów i czekać na wnuki. Nie wiem, jak to powiedzieć — mlasnął językiem — ale ze wszystkich Verdanno zawsze byłeś najbardziej chłodny, jeśli chodzi o waszą wędrówkę.

— To prawda. — Kowal założył ręce na piersi, potężne muskuły napięły się pod kamizelką. — Nie powinienem się cieszyć, ale…

Przez chwilę jego spojrzenie stało się nieobecne, jakby próbował zebrać myśli, których sam nie był do końca świadom.

— … ale dziś rano przeszedłem na drugą stronę tej góry, spojrzałem na dolinę, którą mamy przebyć, i nagle dotarło do mnie, że… że za kilka dni mogę postawić stopę na wyżynie. W domu. Dzięki wam przebyliśmy już ponad połowę drogi, może nawet dwie trzecie, a nie sądziłem, że w ogóle wyjedziemy spod zamku. I wtedy nagle przypomniałem sobie o tych wszystkich rzeczach, o których wam teraz mówię, i zrozumiałem, że tu — dotknął piersi — tu w środku tęsknię za tym jak za pierwszym oddechem. Więc przyszedłem podziękować.

Kenneth chrząknął.

— Nie lepiej poczekać, aż będziemy na miejscu?

And'ewers uśmiechnął się niespodziewanie łagodnie.

— Nie. Wtedy może być trudniej. I jeszcze jedno, tu gdzie stoicie, zacznie się rampa, po której wozy będą wjeżdżać na górę, więc gdybyście

mogli…

— Już się usuwamy.

— Dobrze. Odesłaliśmy ciało waszego żołnierza razem z pismem do twierdzy. Dotrze tam pewnie jutro wieczorem.

— Dziękuję.

* * *

Przejście przez górę prowadziło na krawędź łagodnej doliny, którą musieli przebyć, by wąwozem między dwoma szczytami wydostać się na kolejną grań. Czerwone Szóstki zostawiły za sobą przesączającą się przez szczelinę karawanę i wyszły dobre dwie mile w przód. Z Kennethem szedł cały oddział, Wozacy nie mogli tu zabłądzić.

Dolina była szeroka na dobre trzy mile, potem jeszcze mila wąwozem, gdzie trzeba będzie pousuwać trochę kamieni i głazów, i kolejna grań, tym razem wąska i ostra jak brzytwa. Ta grań go niepokoiła, bo na mapie oznaczono ją jako wyjątkowo niebezpieczną, ale bardziej martwił się wąwozem i okolicznymi mieszkańcami.

To, że ktoś tu w ogóle przebywa, odkryli nocą, gdy stali u wylotu ze szczeliny i obserwowali światełka zapalające się po przeciwnej stronie doliny. Naliczyli osiem, wszystkie w pobliżu wejścia do wąwozu, co sugerowało, że mogą ich tam czekać kłopoty. W takim miejscu nawet nieliczna grupka napastników mogłaby zatrzymać – albo przynajmniej poważnie opóźnić – pochód Verdanno.

Porucznik nie sądził, by byli to zbóje. Rabusie są trochę jak terytorialne zwierzęta: żeby przeżyć, muszą się trzymać miejsc, które zapewniają im egzystencję, okolic wiosek, szlaków handlowych, nawet miast. Każdy herszt, który poprowadziłby swoją bandę tak daleko od kupców i chłopów, w miejsce, gdzie w promieniu dwudziestu mil nie ma żadnej osady, szybko przestałby być hersztem. Nie, właścicielami ognisk byli najpewniej jacyś „tutejsi”.

„Tutejsi” byli stałym elementem każdych gór. Zapomniane przez bogów i poborców podatkowych doliny, niedostępne płaskowyże, dzikie lasy, oprócz miejscowej fauny obradzały także ludźmi. Ludźmi, którzy czasem nie wiedzieli nawet, co to Imperium Meekhańskie, którzy nieraz latami nie utrzymywali kontaktów ze światem zewnętrznym, mówili dziwnymi narze-

czami, a nawet zupełnie obcymi językami. W miarę jak Imperium umacniało władzę na pograniczu, „tutejsi” albo usuwali się w cień, albo asymilowali, lecz wschodni kraniec Olekadów uchodził za tereny dziksze niż Wielki Grzbiet na północy. Nie było tu nic, co przyciągałoby osadników, więc grupy półdzikich górali miały się całkiem nieźle.

Niekiedy „tutejsi” byli potomkami plemion i ludów mieszkających na tych terenach w czasach, zanim jeszcze powstał Stary Meekhan, kiedy indziej powstawali z band uciekinierów, którzy szukali własnego miejsca na ziemi. Zawsze jednak pozostawali niechętni i nieufni w stosunku do obcych, hołdowali własnym zwyczajom, a bywało, że bezlitośnie zabijali każdego intruza, który wkroczył na ich teren. Kenneth nie wątpił, że jeśli trzeba, Wozacy otworzą sobie drogę siłą, ale prowadzenie karawany wąskim szlakiem z groźbą conocnych ataków grupek desperatów było ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę. Dlatego zabrał całą kompanię – i sporo prezentów. Kilka worków z ostrzami siekier, nożami, kawałkami kolorowych materiałów i szklanymi ozdóbkami. Liczył na połączoną siłę niewypowiedzianej groźby i całkiem realnego przekupstwa. Oczywiście pod warunkiem, że miejscowi w ogóle raczą się pokazać.

Dolinę porastała tylko trawa i wątłe krzaczki. Velergorf pierwszy wskazał wydeptane ślady i kopczyki bobków. Owce i kozy, kolejne potwierdzenie, że w okolicy mieszkali ludzie, i jednocześnie znak, że ludzie ci schowali się na widok żołnierzy. Kenneth rozejrzał się, teoretycznie w tym miejscu trudno byłoby się ukryć, płaski teren i rachityczne krzaki to nie jest idealne miejsce na zasadzkę. Ale gdyby miał całą noc, zamaskowałby tu pełny pułk. Dookoła było cholernie cicho.

— Psy na przód i na boki — rzucił krótko. — Broń do ręki.

Ludzie i tak trzymali dłonie na rękojeściach mieczy, szabel i na trzonkach toporów, ale różnica między człowiekiem trzymającym dłoń na rękojeści a trzymającym miecz w ręce jest czasem taka sama, jak między martwym a takim, którego nikt nie ośmieli się zaatakować. Podobnie sprawa ma się z napiętą kuszą, bełt leżący w rowku bardzo skutecznie przekonuje napastnika, by zrezygnował z ataku.

Kenneth rozejrzał się, obserwując psy. Teraz to one były oczami, uszami i nosami kompanii. Dopóki nic nie wykryją…

Najpierw jeden, a potem pozostałe zwierzęta zatrzymały się, warcząc głucho. Żołnierze natychmiast przykucnęli, ci z kuszami przytulili się do

broni, ci, którzy mieli tarcze, skulili się za nimi. Nie widział niczego podejrzanego w miejscu, które wskazywały psy.

Może poza krzakiem, właśnie przechylającym się na bok, i człowiekiem, który wyrósł z ziemi.

— Nie strzelać!

Mężczyzna wynurzył się z zamaskowanego dołu niecałe trzydzieści jardów od nich. Był niski, czarnowłosy, ubrany w skórzane portki, skórzaną bluzę i fantazyjną futrzaną czapkę. Stanął, otrzepał się niedbale, było coś dziwnie uspokajającego w tym geście, i ruszył ku nim, rozkładając szeroko puste ręce.

— Zachować czujność. — Kenneth ani myślał zaufać temu swojskiemu obrazkowi.

Jeśli czaił się tu jeden, mogła się czaić i setka.

— Zatrzymaj się — zażądał, gdy mężczyźnie zostało jeszcze kilka kroków do pierwszych żołnierzy. Nieznajomy stanął, uniósł wyżej ręce i niepewnie przestąpił z nogi na nogę. Ale wyglądało na to, że przynajmniej rozumie meekh.

— Kim jesteś?

— Sawondeli Ong. Mówiący Ludzi Ziemi. — Miał dziwny akcent. Niski, gardłowy. — A wy kim jesteście?

— Porucznik Kenneth-lyw-Darawyt z Górskiej Straży.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

— Strasznie długie imię jak na tak młodego człowieka.

— Strasznie jesteś dowcipny jak na kogoś, do kogo mierzy tuzin kusz. Dobrze wiesz, co oznacza mój stopień i cała reszta.

— Skąd ta pewność, poruczniku Kenneth-lyw-Darawyt z Górskiej Straży?

— Bo mówisz po meekhańsku, a to znaczy, że wiesz o świecie więcej niż przeciętna bulwa, którą ktoś wyrwał z ziemi.

Mężczyzna uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

— Racja, powinienem udawać, że nie rozumiem cię ani w ząb. Choć pewnie wtedy byłbym martwy.

— Pewnie tak. Czego chcesz?

— Wiedzy. Kim jesteście już wiem, żołnierzami Cesarza, który siedzi na tronie tysiąc mil stąd. Teraz chcę wiedzieć, po co tu przyszliście i kiedy odejdziecie.

— Bo kozy i owce denerwują się w kryjówkach? Każ wyjść reszcie, to porozmawiamy.

— Nie ma reszty. Jestem sam. Na razie.

Kenneth zastanowił się. Wiatr już trzykrotnie zmienił kierunek, a psy nadal wskazywały tylko tego mężczyznę. Czyli prawdopodobnie mówił prawdę.

— Możesz podejść. Porozmawiamy.

Obcy minął ostrożnie żołnierzy i podszedł do porucznika. Dopiero teraz dało się zauważyć, jaki jest niski. Kenneth był średniego wzrostu, ale przybysz sięgał mu ledwo ramienia.

— Usiądźmy — zaproponował.

Teraz przynajmniej nie będzie musiał patrzeć na czubek głowy obcego.

Porucznik wsunął miecz do pochwy i zajęli miejsca wprost na ziemi. Chwilę mierzyli się wzrokiem.

— Słyszeliśmy o żołnierzach Cesarza, ale rzadko widujemy ich tutaj. — Mężczyzna nie spuszczał z niego spojrzenia. — Ostatnich jakieś pół roku temu. Najpierw szli na wschód, wąwozem, po kilku dniach wracali. Nie pokazaliśmy się im.

— Więc czemu pokazałeś się teraz?

— Bo góry mówią o wielkich wydarzeniach. O kopytach stukających po skałach, skałach nieznających takiego dotyku, o turkocie wozów w miejscach, które nigdy nie słyszały takiego dźwięku. Góry są zaskoczone i pełne podziwu.

— A ludzie w nich mieszkający?

— Też. Choć niektórzy żałują, że nie jedzie tylko kilka wozów. Mogliby wtedy zabić ich właścicieli i zabrać wszystkie bogactwa.

— Właściciele tych wozów są wojownikami i jadą na wojnę. Mogliby się ucieszyć z okazji do ćwiczeń.

— Dlatego też wielu jest takich, którzy mówią, że skoro góry są pełne podziwu, to my nie możemy być gorsi. Okażmy szacunek odwadze, oddajmy honor dzielności.

— To mądre słowa. Ale co za nimi stoi?

Czarne oczy uśmiechnęły się nieznacznie.

— Szybkie słowa, celne pytanie. Zupełnie jakbyś był wojownikiem walczącym na miecze. Chcecie przejść przez dolinę i dalej, wąwozem, aż na Przechodni Wierch – albo Orlą Grań, jak wy nazywacie to miejsce – żeby znaleźć drogę przez ścianę Fenroys i wyjść wprost na Demoni Róg.

— Demoni Róg?

— Tam, gdzie zaczyna się wielka równina. Gdzie ziemia jest płaska jak powierzchnia wody w misce.

— Tak. Tam zmierzamy.

— No to mam propozycję.

* * *

— Przepuszczą nas bez walki, ale chcą wykupu za prawo przejścia.

Narada odbywała się w wozie, bo na zewnątrz właśnie się rozpadało. Pierwszy wiosenny deszcz, odkąd wyruszyli z doliny Amersen. Kenneth uznał, że i tak mieli szczęście, o tej porze roku nawet śnieżyca by go nie zaskoczyła.

Siedzieli przy stole: Emn’klewes Wergoreth, krępy *Boutanu* obozu New’harr, Awe’aweroh Mantoru z tym swoim wyglądem zagłodzonego charta i And’ewers. Has i jego siostra nie przybyli. Cała trójka wpatrywała się w porucznika, na zmianę marszcząc brwi i zaciskając usta. Najwyraźniej słowo „wykup” było im nie w smak.

— Wykup. — Pierwszy odezwał się Awe’aweroh, dowódca rydwanów, potwierdzając podejrzenia Kennetha co do swojego wybuchowego charakteru. — Mamy się wykupywać bandzie dzikusów mieszkających w jaskiniach? Ilu ich jest? Dwustu? Trzystu? Próbują tylko wyłudzić od nas trochę rzeczy, nic więcej. A jak damy im ten wykup, uznają nas za słabych i za dzień czy dwa zażądają kolejnego.

— Nie sądzę. W górach przestrzegamy umów, zwłaszcza gdy obie strony mają broń pod ręką. A to jest ich ziemia i mają prawo do pobierania opłaty za jej przebycie. Możecie oczywiście przebić się siłą. Stracicie dwa, może trzy dni i kilkuset ludzi.

Boutanu pokiwał głową.

— Mądre słowa. Jeśli miejscowi złamią umowę, zawsze możemy im dać jeszcze więcej dobra, na przykład trochę naszego żelaza, tak, żeby im bokiem wyszło. Ale wojnę powinniśmy zacząć na wyżynie, a nie w górach. Poza tym najwyraźniej porucznik przychyla się do ich propozycji. Dlaczego?

— Bo widziałem wąwóz za tą doliną. — Kenneth zobrazował rozmiar wąwozu ruchem rąk. — Jest niewiele szerszy niż szczelina, którą tak sprytnie przygotowaliście do drogi. Ludzie, którzy znają trasę na jego szczyt, mogą was mocno opóźnić. A za wąwozem znajduje się Orla Grań, najtrudniejsze miejsce na całym szlaku. Z jednej strony jest tam tak stromo, że jeden krok i człowiek spada w przepaść, z drugiej nieco łagodniej, wóz może i da radę przejechać, ale będzie musiał posuwać się bardzo powoli, mocno przechylony na bok, mały błąd i się przewróci. Nie ma jak manewrować. Dwudziestu ludzi z łukami i kuszami zatrzyma tam armię.

Wymienili spojrzenia, Emn’klewes Wergoreth był spokojny, And’ewers wręcz obojętny, tylko chudy dowódca rydwanów kipiał.

— To czego chcą? — wysyczał wreszcie.

— Dziesięciu wozów mieszkalnych z pełnym wyposażeniem, łóżkami, meblami, naczyniami, i tak dalej. Nie chcą koni, od razu to zaznaczyli, w tej dolinie ledwo wystarcza trawy dla ich owiec i kóz, ale wasze wozy ich oczarowały. Nigdy czegoś takiego nie widzieli. Mówiący Ludzi Ziemi zaproponował taki układ: pięć wozów teraz, pięć, gdy opuścicie dolinę. To uczciwa propozycja.

Nawet Awe’aweroh lekko się uśmiechnął.

— Tylko tyle?

— Każda rzecz ma taką wartość, jaką widzi w niej kupujący.

Porucznik miał rację. Dla wozackiej armii utrata dziesięciu wozów mieszkalnych była błahostką w porównaniu z opóźnieniem, jakie spowodowałaby walka z tubylcami. A dla miejscowych wozy mieszkalne stanowiły dar niebios, cudny i niebywały w swoim bogactwie.

Verdanno myśleli tak samo.

— Dostaną swoje wozy. — *Boutanu* pokiwał głową. — Coś jeszcze, poruczniku?

— Orla Grań. — Kenneth przeszedł do najważniejszej sprawy. — Ją też sobie obejrzałem. Jest nie tylko wąska, ale i stroma, takie siodło — pokazał

dłonią łuk — z ostrym podjazdem w połowie długości. Mocniej obciążony wóz nie podjedzie tam nawet z poczwórnym zaprzęgiem. Za stromo. Większość z nich trzeba będzie rozładować, inaczej te, które wiozą belki albo zapasy, utkną.

— Od kiedy to Górska Straż zna się na wozach?

— Odkąd niektórzy nasi żołnierze służyli jako strażnicy karawan kupieckich. A jeśli tą granią nie przejechałby wyładowanym wozem żaden z naszych kupców, to wam się też nie uda. Wozy trzeba rozładować, część rzeczy przenieść ręcznie i załadować dopiero po drugiej stronie. Inaczej stracicie tu bogowie wiedzą ile pojazdów i czasu. Oczywiście jeżeli pogoda się utrzyma — dodał. — Na razie to lekki deszczyk, jeśli zacznie poważnie padać albo przyjdzie śnieg i prawdziwy wiatr… będzie trzeba czekać.

Milczeli, patrząc na niego gniewnie i Kenneth nagle zrozumiał, że im, synom Stepów, nie bardzo mieści się w głowach, jak teren i pogoda mogą kogokolwiek zatrzymać. Wychowały ich bezkresne równiny, na których i owszem, bywało ciężko, zimą śniegi, a wiosną i jesienią deszcze mogły utrudnić poruszanie się, ale zawsze dobry koń i lekki rydwan albo sanie potrafiły przewieźć człowieka z miejsca na miejsce. Nawet w czasie najmroźniejszych miesięcy, gdy splunięta ślina zamarza w locie, można wędrować z miejsca na miejsce.

Porucznik westchnął ciężko.

— Nie zdajecie sobie sprawy, gdzie się znajdujecie, prawda? Chyba dlatego góry wydają się wam sprzyjać. Bo lubią połączenie odwagi i brawury, nie, nie przerywaj. — Awe’aweroh Mantoru zamknął usta. — To są Olekady. Nie jestem stąd, ani ja, ani moi ludzie, ale wiemy, że jeśli chodzi o surowość, to tylko Wielki Grzbiet może z nimi konkurować. A nawet on przegra z tutejszymi wiatrami. Jak myślicie, dlaczego Świątynia Dress tu właśnie obrała sobie siedzibę? Dlaczego Pani Wiatrów ukochała te góry?

Kenneth zabębnił palcami po blacie, pokiwał głową.

— Olekady to najbardziej wietrzne miejsce na świecie. Większość tutejszych dolin jest długa, wąska i rozciągnięta z południa na północ. Mijaliśmy kilka takich po drodze. Wiatry z południowych Stepów wpadają w te doliny i rozpędzają się w nich, bywa i tak, że kilka dolin, położonych jedna obok drugiej, kieruje je w jedno miejsce, gdzie kumulują się w potężny podmuch, zwany Oddechem Bogini. Słyszałem o całych stadach bydła zdmuchiwanych takim wichrem w przepaść. Ta grań, o której mówię, to

taki właśnie komin i jeśli zacznie wiać, żaden wóz nie ustoi na kołach. A jeśli zacznie naprawdę padać deszcz albo śnieg, woźnice nie dostrzegą nawet zadów własnych koni. To nie Stepy, gdzie możesz przejechać nawet kilka mil na ślepo. W górach jeden zły krok i lecisz w dół.

Zamilkł, popatrzył po ciemnych twarzach. Nic. Równie dobrze mógł gadać do rzeźbionych w drewnie masek.

— Dlatego powtórzę to, co powiedział Człowiek Ziemi. Góry wam sprzyjają. Podoba im się determinacja, z jaką idziecie naprzód. Nikt nigdy tego nie próbował, więc są wyjątkowo łaskawe dla waszej odwagi. Ale nie okazujcie im lekceważenia.

And’ewers wstał, wyciągnął z szafki na burcie gąsiorek i kilka kubków, nalał, rozsunął naczynia po blacie.

— Rozgadałeś się, poruczniku. Powiedziałeś przez ostatnią chwilę więcej niż od początku wędrówki. — Podniósł kubek. — Wypijmy za to.

Kenneth pociągnął, uniósł brwi. Gorzałka, mocna, o posmaku piołunu i dymu.

— Dobre. Wasze?

— Tak. Nasze. Co tak naprawdę chcesz nam powiedzieć?

Porucznik uniósł kubek do ust i przez chwilę delektował się aromatem napitku. Myślał. Verdanno nie poganiali go, patrzyli, *Boutanu* z czymś na kształt uprzejmego zaciekawienia, Awe’aweroh z wyraźną niecierpliwością, And’ewers spokojnie, jakby już znał odpowiedź.

— Wszystko idzie za gładko — Kenneth ubrał wreszcie swój niepokój w słowa. — Za szybko i za równo. Zanim się pojawiliście, góry wrzały, ginęli ludzie, strażnicy, chłopi, kupcy i wszyscy łączyli to z wami, z waszym przybyciem. Każdy w Kehlorenie sądził, że te zabójstwa i plotki mają podburzyć miejscowych przeciw wam, żeby w Olekadach wybuchły zamieszki. Spodziewałem się, że podczas wędrówki będziemy musieli się przebijać przez bandy rozjuszonego chłopstwa albo ci tajemniczy zabójcy uderzą na was, by i wozacka krew spłynęła po kamieniach. A tu nic, nawet góry zdają się nam sprzyjać, żadnych burz, osuwisk, lawin, a każdą przeszkodę pokonujecie z marszu. Za dobrze idzie… I chyba to mnie martwi.

— Lubisz, jak ktoś łamie sobie kości?

— Jak idzie sto tysięcy ludzi, ktoś powinien. Zwłaszcza w górach. Dlatego radzę, żebyście posłuchali mojej sugestii. Rozładujcie wozy, odciążcie

je, zachowajcie ostrożność. Zwolnijcie. Dwa, trzy dni opóźnienia to lepsze niż strata setek wozów i ludzi.

Patrzyli na niego w milczeniu, beznamiętnie. Chyba użył słowa, którego nie chcieli usłyszeć. Opóźnienie.

Wreszcie And’ewers chrząknął, ponownie napełnił kubki.

— Zostawmy wszystko tak, jak jest — rzucił pojednawczym tonem. — Wy szukacie drogi, my wędrujemy tak szybko, jak się da.

Kenneth wypił jednym haustem, stuknął naczyniem o blat i bez słowa wyszedł. Wyglądało na to, że Verdanno niczego nie zrozumieli.

* * *

To, czego najbardziej się obawiał, zdarzyło się dwa dni później. Być może przyczyna tkwiła w tym, o czym wspominał And’ewers, w poczuciu, że zbliżają się do domu, w ekscytacji, rozluźnieniu, chęci przyspieszenia.

Orla Grań nie nosiła takiej nazwy tylko dlatego, że patrząc z boku, przypominała skrzydła zrywającego się do lotu orła. Była też wąska jak obrys tych skrzydeł. Przez cały dzień i całą noc Wozacy pod nadzorem budowniczego przygotowywali ją do przejazdu, usuwano kamienie, zasypywano szczeliny, tam, gdzie kąt nachylenia uniemożliwiał przejazd, z większych głazów, ubitej ziemi i belek usypano coś w rodzaju rampy wyrównującej drogę. Wiatry i deszcze z pewnością rozmyją ją w ciągu kilku miesięcy, ale na razie powinna wystarczyć.

Rankiem drugiego dnia po przebyciu wąwozu pierwsze wozy wyjechały na Orlą Grań. Kenneth przyłapał się na tym, że obserwując przechylone lekko w lewo pojazdy, mozolnie pokonujące kolejne jardy, zaciska pięści i szczęki. Do przebycia była niecała mila, najpierw w dół, w skalne siodło, potem pod górę, następnie łagodny zjazd na halę, prowadzącą wprost do ostatniej przeszkody. Drogę przystosowano dla wozów najlepiej, jak się dało w tak krótkim czasie, i nie sądził, by nawet imperialny korpus inżynieryjny mógł się spisać lepiej. A mimo to czuł, jak niepokój wzbiera mu w piersi i tłucze się pod czaszką. Zresztą nie tylko jemu.

„One wezmą, co ich”, powiedział w czasie wczorajszej narady Velergorf i nie było w tym żadnej skargi ani pretensji, choć dziesiętnik, podobnie jak większość górali, traktował góry jak żywą istotę. Potężną, czasem wrogą, lecz wrogością pozbawioną złośliwości czy perfidii. Góry po prostu nie

wybaczały błędów, domagały się szacunku okazywanego każdym oddechem i myślą, a najmniejszy ślad lekceważenia karały śmiercią. I nie chodziło o jakąś mściwość obrażonego bóstwa, bo niedźwiedź, który walnie łapą natrętną muchę, nie jest mściwy. Jest po prostu niedźwiedziem.

Można mieć szczęście, ale nie można tego szczęścia nadużywać, góry zaś nie robią wyjątków dla nikogo. Żaden Nieśmiertelny nigdy nie przyjął tytułu Pana czy Pani Gór. Ani Setren, ani Anday'ya, ani Dress, ani nikt z ich rodzeństwa. Kapłani mieli wiele pokrętnych wyjaśnień na ten fenomen, lecz dla górali sprawa była jasna. Góry są zbyt dumne i nawet bogowie nie próbują tej dumie rzucić wyzwania.

Czasem tylko robią to głupi ludzie.

Wozy pokonywały grań sprawnie, jeden za drugim, zachowując niewiele większe odstępy niż na reszcie szlaku. Verdanno się spieszyli. Siodło przebyły już dwie setki pojazdów i Kenneth, obserwujący kolumnę z drugiego krańca grani, wyraźnie zobaczył chwilę, która zrodziła nieszczęście. Być może And'ewers stwierdził, że na sprawdzonej trasie mogą narzucić większe tempo, a może po prostu woźnice, mający za sobą półtora dnia czekania, uznali, że trzeba przyspieszyć, przecież już tylko kilka mil dzieliło ich od wyżyny, w każdym razie nagle na przejściu znalazło się więcej wozów. Odległości między nimi zmniejszyły się poza granicę rozsądku i wtedy Velergorf, stojący od dłuższego czasu obok porucznika, sapnął, zmarszczył brwi i rzucił jedno słowo:

— Idzie!

Szedł. Podmuch zebrał się w gardzieli doliny po prawej stronie grani, jeden z tych wiatrów, które wyznawcy Dress nazywali Oddechem Bogini. Dolina miała dobre cztery mile długości i w dalszym krańcu, szerokim na co najmniej dwie mile, zamykała ją łagodna hala. I przez tę halę przelała się, roztrącając poranne mgły, kładąc trawy i gnąc porastające krzaki, fala powietrza. Być może był to wiatr, który narodził się setki mil stąd i wpadając w Olekady, gnając między skalnymi ścianami, rozpędzał się coraz bardziej i bardziej. Dolina zwężała się wyraźnie i wicher z każdym jardem nabierał mocy, w połowie drogi już nie kładł krzaków i traw, nie głaskał ich, lecz żelazną pięścią wciskał w glebę, oporne wyrywał i unosił, pchał przed sobą ścianę mgieł.

Kenneth poderwał się, dopadł najbliższego wozu.

— Szybciej! — ryknął.

Młody Verdanno spojrzał na niego nierozumiejącym wzrokiem, porucznik machnięciem ręki wskazał zbliżającą się bestię. Wozak stracił kilka chwil na gapienie się w głąb doliny, a Kenneth już pędził wzdłuż kolumny, razem z resztą żołnierzy.

— Szybciej! Szybciej! W bok! Zjeżdżajcie w bok!

Ci, którzy zdążą się schronić za grzbietem grani, będą mieli jakąś szansę. Porucznik rzucił okiem w lewo, ściana wichru była już w połowie doliny, mieli tylko czterdzieści, może pięćdziesiąt uderzeń serca, nim do nich dotrze.

Na drugim krańcu grani, przy wyjściu z wąwozu, zagrały rogi, wozy zaczęły stawać i cofać się w zbawczą gardziel, te znajdujące się nieco dalej skręcały w bok i zjeżdżały z wytyczonej trasy, kilka zakolebało się groźnie, dwa przewróciły, roztrzaskując, ich woźnice w ostatniej chwili zeskoczyli z kozłów i już byli przy koniach, już cięli nożami uprzęże, byle uwolnić zwierzęta i odprowadzić je w bezpieczne miejsce.

Ale środek grani – to wąskie siodło ze stromym podjazdem – nie miał szans. Usypana tam rampa była zbyt wysoka, by zjechać, za wąska, by zawrócić, a żaden koń nie cofnie się pod górkę, zaprzężony do wyładowanego wozu. Jeden z woźniców, prowadzący grupę, która minęła właśnie obniżenie, spanikował, zamiast zablokować hamulce, wyskoczyć i odciąć zwierzęta, próbował przyspieszyć. Machnął lejcami, krzyknął, konie pochyliły karki i szarpnęły, jak je tego nauczono. Przez dwa uderzenia serca zwierzęta tkwiły tak, zbite w jedną masę, a każdy mięsień rysował im się pod skórą, i nagle coś trzasnęło głucho, dźwięk przebił się nawet przez narastający ryk wichru, i zaprzęg oddzielił się od wozu.

Przez chwilę, mrugnięcie oka, nie dłużej, wyładowany pakami pojazd stał w miejscu, po czym potoczył się w tył. Uderzył konie zaprzęgu za nim, kwik ranionych zwierząt rozdarł powietrze, teraz już dwa wozy – razem z wierzgającymi i walczącymi o życie zwierzętami – staczały się wzdłuż grani. Wpadły na trzeci, splątały z nim, jeszcze przyspieszyły, i nagle całość zamieniła się w wielki, rozwrzeszczany i rżący twór, staczający się wzdłuż grani i pożerający kolejne ofiary. Najdziwniejsze było to, że przez te kilka chwil, zanim wszystkie wozy znalazły się w obniżeniu siodła, kłębowisko z jakąś niepojętą, demoniczną determinacją trzymało się drogi. A gdy wreszcie utkwiło na dole – dobry tuzin wozów zamienionych w potrzaskany stos desek, osi, kół i okrwawionych ciał – nadszedł Oddech Bogini.

Wicher zbierał siły w drodze przez całą dolinę, a gdy dotarł do grani, musiał pędzić dwa, a może i trzy razy szybciej niż cwałujący koń i niósł ze sobą wszystko, co zagarnął po drodze, kamienie, żwir, trawę, wyszarpnięte z ziemi krzewy. Na oczach Kennetha jeden z Wozaków został uderzony w głowę odłamkiem wielkości małego jabłka, tylko przewrócił oczami i osunął się na koźle. Porucznik i jeszcze jeden z żołnierzy dopadli koni, złapali za wędzidła i szarpiąc brutalnie, odprowadzili zaprzęg niżej, za grzbiet grani. Wóz kołysał się i skrzypiał, szarpany podmuchem, mimo że skały osłaniały go już przed wiatrem, dopiero jakieś sto jardów dalej znaleźli się we w miarę bezpiecznym miejscu, gdzie skupiło się kilkadziesiąt pojazdów, które miały szczęście.

Te, które szczęścia nie miały, przyjęły na siebie całą siłę wichury.

Główny impet Oddechu Bogini trafił w obniżenie grani, w zakrwawione, wypełnione plątaniną wozów i ciał siodło. Kenneth obejrzał się, słysząc ryk wiatru, i od razu wiedział, że nie zapomni tego widoku do końca życia. Wicher przelał, przewalił się nad zatorem, ale większa część jego siły naparła na kłębowisko, jakby sama obecność czegokolwiek na grani prowokowała wiatr do pokazania swojej mocy. To było tak, jakby woda przerywała tamę, całość przez chwilę walczyła, trzeszczała i drgała, rozpędzone powietrze szarpało wszystkim, zagłuszając nawet rżenie koni, a potem jeden z wozów poruszył się i przesunął, załopotał okrywającym jego ładunek płótnem, zgubił kilka pak i z dźwiękiem pękającego drewna, który przebił się przez ryk powietrza, oderwał od reszty i uniósł.

Nagle zator, ten nieszczęsny tuzin wozów, ruszył, jak pchany ręką olbrzyma, pękł na kawałki, rozsypał się po zawietrznej stronie grani, ciężkie pojazdy turlały się w dół zbocza jak zabawki, gubiąc burty, skrzynie i beczki, ciągnąc za sobą okrwawione, zmasakrowane ciała koni i ludzi, a wiatr gonił za nimi i pchał po skale albo podrywał w powietrze, unosił, okręcał, bawił się, by po chwili, niczym znudzone dziecko, cisnąć o ziemię i rzucić się na następną ofiarę. Jakieś dwieście jardów za siodłem grań urywała się nagle, pędziła na dno ćwierćmilowej przepaści i wydawało się, jakby wicher konsekwentnie, jeden po drugim, strącał tamtędy wszystkie wozy, ciała, martwe i żywe, ludzi i konie, jakby gigantyczna miotła zmiatała, czyściła szczyt grani.

A potem, gdy ostatni fragment zatoru znikł już w dole, wiatr nagle ucichł. Ot tak, w trzy uderzenia serca było po wszystkim.

Cisza rozlała się po skałach i przez dłuższą chwilę nikt nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Góry pokazały, że należy im się szacunek, szacunek bezwzględny, niepodlegający dyskusjom, taki, który okazuje się potędze, jakiej nawet bogowie nie potrafią okiełznać.

* * *

Szczelinę znaleźli po całym dniu poszukiwań, kiedy Kenneth zaczął już pod nosem przeklinać, na czym świat stoi. Odszukali ją tylko dzięki pomysłowi Fenlo Nura. Wskazówka na mapie, brzmiąca „sto kroków na lewo od kępy kosodrzewiny", okazała się po prostu śmieszna. Być może pół roku wcześniej przy tej ścianie skalnej znajdowała się tylko jedna kępa kosodrzewiny, ale teraz rosło jej wszędzie pełno. Cała okolica była w wyjątkowo wiosennym nastroju i roślinność wprost eksplodowała wszędzie, gdzie się dało. Zwłaszcza tych cholernych iglastych krzewów pleniło się tu mnóstwo.

Na szczęście nie było potrzeby, aby się spieszyć. Karawana zwolniła.

Kenneth musiał przyznać, że zaimponowała mu reakcja And'ewersa. Kowal był *En'leyd* obozu New'harr, dowodził karawaną w czasie całej drogi i to na nim spoczywała odpowiedzialność za każdy wóz. Porucznik znał ludzi, i to nie tylko w armii, których reakcją na jakiekolwiek kłopoty było natychmiastowe znajdowanie winnych. And'ewers po wypadku wyszedł na grań, ocenił straty i spokojnie zapytał, jak mogą uniknąć tego w przyszłości. Ani przez chwilę nie pokazał, że uważa swoich przewodników za odpowiedzialnych za to nieszczęście. To on dowodził, więc to on był odpowiedzialny.

I przychylił się do wszystkich sugestii strażników. Najniebezpieczniejszym fragmentem drogi było obniżenie grani, to przeklęte siodło, z którego nie dało się uciec. Wozy pokonywały je teraz w grupkach po dziesięć, szybko, jeden za drugim, na wpół rozładowane, a część ich ładunku przenosili na barkach ludzie. Do niektórych pojazdów zaprzęgano dodatkową parę koni, a następna dziesiątka zjeżdżała w dół, dopiero gdy poprzednia znalazła się w bezpiecznym miejscu. Gdyby zauważono kolejny podmuch, powożący mieli po prostu zostawić wozy, zablokować hamulce, odciąć konie i uciec. Jeśli góry zechcą kolejnej ofiary, nie dostaną ciał ani krwi.

W ten sposób Verdanno stracą dwa razy więcej czasu na przebycie grani, ale jest szansa, że nikt już nie zginie. Poza tym mogli sobie na to pozwolić,

Has w ostatniej rozmowie stwierdził, że cały szlak jest tak zapchany ludźmi, końmi i wozami, że można by przesłać list do Kehlorenu, podając go sobie z rąk do rąk. Poza tym, jak sam powiedział, cały czas ulepszano trasę, poszerzano przesieki, wycięte drzewa układano na co bardziej rozmiękłych terenach, zwłaszcza na halach, gdzie grunt zaczął się już poddawać naciskowi tysięcy kopyt i kół, a pośrodku Hewen utworzono olbrzymi plac, chroniony przed wiatrem murem z głazów, kamieni i bojowych wozów, i założono pośrodku obóz, w którym ludzie i zwierzęta mogli trochę odpocząć. Konie miały nie tylko przeciągnąć wozy przez góry, ale też być w pełni sił, kiedy staną już na wyżynie. Tylko ten postój może się przedłużyć, jeśli Szóstki szybko nie znajdą drogi na drugą stronę.

W końcu koło północy po dniu bezowocnych poszukiwań Fenlo Nur zameldował się Kennethowi.

— Mam propozycję, panie poruczniku.

— Jaką?

— Rankiem będzie gęsta mgła, czuję to w kościach.

Porucznik obserwował go spod zmrużonych powiek. Światło pochodni malowało na kanciastej twarzy młodszego dziesiętnika głębokie cienie, maskujące nawet wyraz oczu, ale cała postawa podoficera była zdecydowanie inna niż do tej pory. Nur nie był już taki… obcesowo arogancki, lekceważący i Kenneth musiał sam przed sobą przyznać, że przegapił chwilę, gdy ta zmiana zaszła. Gdyby on sam był trochę bardziej próżny, mógłby uznać, że to wpływ dobrego oficera. Tylko że Nur nadal wyglądał na takiego, co to oficerom przegryza gardła i nie poddaje się żadnym wpływom.

— No i?

— Jeśli tu jest szczelina prowadząca na drugą stronę góry i powieje wiatr ze wschodu…

Kenneth rozejrzał się. Większość kompanii stała tu i tam, z pochodniami w dłoniach, choć w ciemnościach mogli liczyć raczej na szczęście niż wzrok. Wszyscy spali poprzedniej nocy tylko kilka godzin, a zmęczeni ludzie mogą przegapić przejście, choćby było wielkości chałupy.

— Skąd będzie najlepiej widać?

— Myślę, że musimy się cofnąć pod obóz Wozaków, panie poruczniku. Będziemy widzieć ponad milę na obie strony.

— Dobrze. Kompania! Zbierać się!

Tam właśnie rozbili namioty. I czekali na świt w miejscu, skąd rankiem mieli widok na ścianę Zewnętrznych Wierchów. Te góry były wysokie, czarne i popękane. Niegościnne jak gawra z niedźwiedzicą w ciąży. Z drugiej strony, od Wyżyny musiały sprawiać jeszcze gorsze wrażenie. Kenneth wiedział, że na całej wschodniej ścianie Olekadów nie ma ani jednej przełęczy, wąwozu, przesmyku, nic, tylko lekkie wzniesienie terenu i wyrastające z niego nagie skały.

To już z tej strony całość wygląda lepiej, przynajmniej kosodrzewina jakoś się trzyma, pomyślał kwaśno.

Razem z zimnym słońcem pojawiła się mgła, gęsta jak śmietana, najpierw klejąca się do ziemi, a potem wysuwająca pasma w stronę gór. Po kwadransie wał mgły oparł się o skalną ścianę, pogrążając połowę hali w mlecznym oparze.

Kompania obserwowała to w milczeniu.

I nagle, gdy Kenneth już stracił nadzieję, coś dmuchnęło w białą ścianę, mgła zakłębiła się, jakby przedarł się przez nią niewidzialny kształt albo bitewny mag uformował strumień Mocy. Kilku strażników zagwizdało z uznaniem, ktoś podszedł i poklepał Nura po plecach. Kenneth uśmiechnął się lekko i żartobliwie zasalutował. Młodszy dziesiętnik skinął głową i oddał honory, nie spuszczając wzroku z porucznika.

Kenneth zaklaskał:

— Andan! Dwie włócznie, namierz mi tę dziurę. Zostaniesz tu i będziesz nas kierował.

Raz-dwa wbito głęboko w ziemię dwie włócznie, jedną z przodu, drugą dwadzieścia stóp za nią. Linia wyznaczona przez ich wierzchołki pokrywała się z miejscem, z którego dmuchał wiatr. W górach odległości mogły mylić, a zapamiętywanie miejsca na oko kończyło się na ogół szukaniem jakiegoś punktu z dokładnością do kilkudziesięciu jardów w lewo czy w prawo.

— Znaki?

— Jeden dym w lewo, dwa w prawo, żaden, jesteśmy na miejscu.

— Tak jest.

— I Andan… w twoje lewo, nie nasze. I czekaj, aż dotrzemy na miejsce. Idziemy, mgła powinna zaraz opaść.

Na miejscu, kierowani przez unoszące się w górę słupy dymu, znaleźli w końcu przejście.

Szczelina nie była szersza niż dwie stopy i zarośnięta krzakami. Na dodatek kilka jardów w głąb blokował ją zator z kamieni i zamarzniętego śniegu. Zimą musiała tu spaść lawina i warstwa śniegu sięgała jeszcze na wysokość trzech chłopa. Późną jesienią może i rzeczywiście można było tędy przejść, ale teraz? Zapewne w końcu ciepłe wiatry i deszcze roztopią przeszkodę, ale na to potrzeba miesięcy. Kenneth obejrzał dziurę i przywołał najbliższego dziesiętnika.

— Cerwes, do mnie.

Dowódca Szóstej dziesiątki podszedł, rzucił okiem, ściągnął hełm, podrapał się po głowie, gwizdnął. Wąskie pęknięcie rozszerzało się ku górze, ale niechętnie, jakby zrobiono je w skale wyjątkowo wąską klingą. Przy dnie miało trzy stopy szerokości, a wysoko, wysoko, wąziutki pasek nieba sugerował, że tam nie ma wiele więcej. Masa brudnego śniegu i kamieni blokowała je skutecznie.

— Weźmiesz ludzi i pójdziecie górą, sprawdźcie, jak daleko sięga ten śnieg i czy wszędzie jest tak wąsko. Bo tu na pewno nie zbudują sobie pomostu, chyba że na sam szczyt.

— Kto idzie ze mną?

Kenneth zmarszczył brwi. No tak, przyzwyczaił ludzi, że zawsze idą dwie dziesiątki, jedna stara i jedna nowa. Tylko że to od razu zwalało całą odpowiedzialność za zadanie na Andana, Bergha albo Velergorfa jako starszych stopniem. Pora usamodzielniać młodszych podoficerów.

— Potrzebujesz niańki, młodszy dziesiętniku? A może chcesz powiedzieć, że sobie nie poradzisz?

— Nie, panie poruczniku. Tak, panie poruczniku. To znaczy poradzimy sobie, panie poruczniku.

— No to do roboty. Varhenn! Poślij kogoś po And’ewersa i Hasa. I niech Andan zbiera się tutaj.

— Już posłałem, panie poruczniku.

— Dobra. Chwila na odpoczynek.

Chwila ta trwała, dopóki nie wróciła dziesiątka Cerwesa. Raport był krótki – dalej szczelina się rozszerza, nawet do ośmiu stóp, choć jej dno rzadko jest równe. Całość lekko zakręca i dlatego nie widać nic na prze-

strzał, wylot znajduje się kilkaset jardów od ostrogi. Wyżyna nie ma końca. Kenneth przyjął salut i odesłał Szóstą na bok. Teraz czekali.

And’ewers przyjechał rydwanem. Kenneth pierwszy raz widział bojowy pojazd Verdanno z bliska. Szeroko rozstawione koła, burty z gęsto splecionej wikliny, elastyczna podłoga z pasów suszonej skóry. I dwa konie, długonogie i szerokopiersne. Konie przeznaczone do pościgów i szybkich manewrów. Burty osłaniały woźnicę i jego towarzysza aż do pasa, a dla dodatkowej osłony można było na nich powiesić tarcze, lecz mimo to całość sprawiała wrażenie lekkości i zwrotności. Być może najbardziej podkreślały to koła, wysokie na ponad cztery stopy, za to z ośmioma szprychami nie grubszymi niż cal. Aż dziwne, że nie rozleciały się pod ciężarem kowala i jego towarzysza.

And’ewers bezbłędnie wyłowił kilka spojrzeń.

— Nigdy nie widzieliście rydwanu?

— Nie z tak bliska. — Velergorf wyglądał na zafascynowanego. — Gdzie je chowaliście?

— Każdy można rozebrać i załadować na wóz. Całość waży nie więcej niż sto pięćdziesiąt funtów.

— No myślę. Używacie czarów, żeby ta zabawka się nie rozpadła?

— He, he. — Has wyłonił się zza pleców And’ewersa. — Dobre. Utrzymają trzech ludzi w pełnym uzbrojeniu, pędząc cwałem przez step. Mieliśmy mnóstwo czasu, żeby je udoskonalić. Gdzie ta szczelina?

— Tu. — Kenneth wskazał miejsce za swoimi plecami. — Jest gorzej, niż myślałem.

Oględziny dziury w skałach trwały chwilę. Porucznik stwierdził z pewną ulgą, że ani kowal, ani czarownik nie wyglądali na rozczarowanych.

— Wysłałem dziesiątkę, by sprawdziła, czy nic więcej nie blokuje drogi. Trzeba usunąć ten śnieg i kuć. Jeśli Czarny się zgodzi, możemy ściągnąć doświadczonych budowniczych, specjalistów od tuneli…

Przerwał, widząc na twarzy Hasa coś dziwnego. Czarownik miał zamknięte oczy, oddychał głęboko, pełną piersią wciągając hausty powietrza. Prawą rękę wyciągnął przed siebie, a jego palce wykonywały powolny taniec, jakby pieściły niewidzialny klejnot. Odezwał się nagle, ochrypłym szeptem w języku Wozaków, postąpił krok naprzód, po chwili kolejny i wszedł do szczeliny.

Kenneth zrobił ruch, jakby chciał za nim pójść, ale potężne ramię zablokowało mu drogę.

— Nie. — Kowal patrzył na porucznika spokojnie, bez złości. — Niech będzie przez chwilę sam. Czekał na to bardzo długo.

Porucznik też to poczuł, delikatny podmuch, nie tak zimny, jak się można było spodziewać, z wyraźnym zapachem rozmarzającej ziemi.

— Wiatr ze wschodu. — And'ewers zapatrzył się w głąb pęknięcia. — Zbierający zapachy znad wrzosowisk Loa'hey, pędzący przez Równinę Psów, łowiący wilgoć na brzegach Białych Jezior i Berweny. Nigdzie więcej na świecie wiatr nie ma takiego zapachu. On nie czuł go od wielu lat.

— Ty też nie. — Kenneth cofnął się nieco.

— To prawda. Ale moją domeną jest ogień i żelazo, a jego powietrze i woda. Jego to bardziej łapie za serce.

Porucznik obrócił się i skinął na dziesiętników.

— Rozbijemy obóz tam. — Wskazał żołnierzom teren kilkadziesiąt jardów od szczeliny. — A oni niech w spokoju badają przejście.

Kompania ruszyła we wskazanym kierunku.

— Nie musicie się spieszyć.

— Wiem. — Kowal spojrzał na skały, spomiędzy których dochodził głos Hasa. — Dziękuję.

— Nie ma za co. Szósta Kompania zawsze do usług. — Kenneth podążył za swoimi ludźmi. — Rozpalcie ze dwa ogniska, zostajemy tu na jakiś czas.

Uśmiechnął się pod nosem. Udało im się, doprowadzili Verdanno w miejsce, w którym ci mogli poczuć wiatr ze swojej ojczyzny. W takiej chwili nawet gulasz z suszonej wołowiny będzie nieźle smakował.

* * *

Skała jęczała głucho, dudniła i drżała. I to drżała tak, że nawet siedząc kilkadziesiąt jardów od szczeliny, czuli to w kościach. Ome i Has przypuścili zdecydowany szturm na kamień, a wspierająca ich grupa pomniejszych czarowników i czarownic okazała się liczniejsza, niż Kenneth mógł przypuszczać. Przynajmniej kilkunastu ludzi ubranych czasem tak ekstrawagancko, jak Has, a czasem zwyczajnie, kręciło się w pobliżu wejścia do

szczeliny, a zbliżając się do nich, Kenneth zawsze czuł na języku żelazisty posmak i włosy jeżyły mu się na całym ciele. Czarownicy Verdanno korzystali z Mocy w sposób może nie tak widowiskowy, jak się spodziewał, ale bardzo intensywny.

I skuteczny. Do południa wejście miało już dobre osiemnaście stóp szerokości, jęczało i buchało parą, a wozy wywożące z wnętrza skalny gruz ledwo nadążały z pracą.

Powietrze i woda. Tak powiedział And'ewers. Powietrze i woda miały być domeną Hasa i czarownik wykorzystywał je do miażdżenia i kruszenia skał z jakąś ponurą, bezwzględną zaciętością. Nie poszedł, jak Kenneth się tego spodziewał, na drugą stronę góry, by spojrzeć na wyżynę, odmówił swojemu pragnieniu, jakby chciał je wykorzystać jako siłę napędową do walki z kamieniem. Potem zaczął poszerzać przejście. I trzeba przyznać, że robił to w sposób, który mógł wzbudzić podziw każdego meekhańskiego czarodzieja.

Porucznik tylko raz podszedł popatrzeć, jak Has pracuje. Czarownik uwalniał Moc, topiąc śnieg i lód zalegający w przejściu, ale nie pozwalał wodzie uciec, wypłynąć na zewnątrz, tylko zmuszał ją do wędrówki po skalnych ścianach, do wspinania się na skały, wsiąkania w szczeliny i niewidoczne gołym okiem pęknięcia, do penetrowania kamienia. W sumie były to proste sztuczki, które każdy czarodziej korzystający z aspektów związanych z wodą mógł wykonać. Ale potem Has stanął na palcach, rozłożył szeroko ręce i nagle wykonał gest, jakby próbował klasnąć albo łapał nadlatujący pocisk. Dłonie zatrzymał jakiś cal od siebie, ale między skałami rozległ się głuchy dźwięk, a Kenneth miał wrażenie, że ktoś wykręca mu żołądek.

I nagle skalne ściany zazgrzytały, zadudniły głucho i zaczęły się pokrywać warstwą szronu. Lodowy jęzor sięgał stóp czarownika i pełzł na boki i w górę jak malowane na szybie mroźne kwiaty, tylko sto, tysiąc razy szybciej. W niektórych miejscach grubiał, pęczniał zmrożonymi zrębami, dziwacznymi, przestrzennymi naroślami, w innych ściekał w dół stalaktytami. I cały czas towarzyszyły mu jęki i trzaski pękających kamieni.

Has stał bez ruchu, a skały wokół niego pokrywały się szronem, wreszcie zrobił wydech, opadł na pięty i opuścił ręce. Potem odwrócił się i spojrzał na porucznika.

— Uff, dawno — zachrypiał — dawno nie czułem czegoś takiego. Takiej Mocy… na Wschodzie, na Stepach, lepiej było uważać na waszych tropicieli nieprawomyślnych czarowników, na Łowczych Laal, wszędzie węszących za Pomiotnikami. Prawie zapomniałem, jak to jest.

Mówił powoli, z wyraźnie ściśniętym gardłem, ale w oczach tańczyła mu dzika, nieposkromiona radość. Kenneth mimo woli uśmiechnął się szczerze.

— Ktoś jest winien moim ludziom pranie — wskazał na lodowe rzeźby. — Nie musieliśmy wtedy taplać się w błocie.

— Od odrobiny błota jeszcze nikt nie umarł. — Z ust czarownika buchała para. — Dobrze jest zawczasu ocenić, z kim się idzie na szlak.

— Racja. — Porucznik pokiwał głową i zmienił temat. — Plemienne duchy? Czy dzikie? Ale dzikich nie utrzymałbyś tyle lat z dala od rodzimych ziem, mam rację?

Uniesienie brwi, kpiący grymas, ironiczne skrzywienie warg, wszystko to, co Kenneth widział już w wykonaniu Hasa dziesiątki razy.

— No, no. Ktoś tu przeszedł szkolenie u Szczurów? Albo w jakiejś świątyni?

— Albo służył w położonej najbardziej na północ prowincji, tuż obok ziem aherów, a ich szamani wiążą z sobą duchy poprzez krew i ból. Umiem rozpoznawać takie rzeczy. To — Kenneth wskazał na szron — to nie tylko czyste aspekty.

— Skąd wiesz?

— Bo niektóre z tych lodowych rzeźb, które widać, przybrały kształty zwierząt i roślin.

Has obejrzał się gwałtownie przez ramię.

— He, he. Draniu, prawie mnie nabrałeś.

— Prawie? Omal nie skręciłeś sobie karku. Ale to nie tylko czyste aspekty?

— A po co ci ta wiedza? Jeśli za kilka miesięcy staniesz przed sądem, żeby zeznawać w sprawie naszej ucieczki, będziesz musiał kłamać albo przyznać, że widząc działanie nieaspektowanej magii, nie interweniowałeś, a jako oficer Górskiej Straży pewnie masz taki obowiązek. Naprawdę chcesz, żeby jakiś wojskowy włazidup próbował cię za to wysłać do lochu?

Kenneth otworzył usta i zaraz je zamknął. O tym nie pomyślał. Jeśli Imperium będzie chciało zachować pozory, że wtargnięcie Wozaków na Wyżynę Lytherańską odbyło się bez zgody Cesarza, to na pewno oficer dowodzący oddziałem towarzyszącym Verdanno w górach stanie przed sądem. Jako świadek lub podejrzany. Nagle dotarło do niego, dlaczego Czarny przydzielił tę misję oddziałowi spoza Olekadów. Jego Bękarty zostaną z czystym kontem.

W sumie, dlaczego nie? Gdy będzie po wszystkim, Czerwone Szóstki wrócą do Belenden i na wschodniej granicy nie zostanie nikt, kogo można by oskarżać. Rozwiązanie dobre dla każdego.

— Nie — stwierdził więc. — Nie chcę wiedzieć. Właściwie to nic nie widziałem. Co teraz?

— Teraz ocieplimy nieco atmosferę. — Has wyszczerzył się kpiąco i odwrócił ku szczelinie. — Lepiej się trochę cofnijmy.

Sięgnął po Moc. I nie miało znaczenia, czy korzysta z aspektów, czy ujarzmia ją, jak to robili plemienni czarownicy i szamani, uciekając się do pomocy duchów, stworów zza Mroku czy innych, nienazwanych bytów. Najważniejsze, że czynił to skutecznie. Kenneth znów poczuł ciężki, metaliczny posmak w ustach, zakręciło mu się w głowie. A wtedy – w miarę jak szron znikał – ściany zaczęły ciemnieć, lodowe sople kruszyły się i łamały, woda ściekała, i nagle, z głuchym stęknięciem, na pozornie gładkich powierzchniach pojawiły się pęknięcia. Chwila, dwie, i potężne odłamki oddzieliły się od skały i runęły, niemal całkowicie zamykając przejście.

Czarownik pokiwał głową z zadowoleniem. Machnął ręką, woda zaczęła wpełzać na te głazy, szukać szczelin, wsiąkać w nie… Klaśnięcie i lodowe kwiaty porosły wszystko wokół, a głazy wydały z siebie dźwięk, jakby uderzył w nie olbrzymi młot. Najbliższy po prostu rozpadł się na kawałki, ukazując wnętrze poprzerastane lodem.

Has obejrzał się, tym razem bez uśmiechu.

— Będziemy pracować wiele godzin i potrzebuję pełnego skupienia. Lepiej, żebym nie musiał uważać na to, co mam za plecami. Damy sobie radę sami. — Wskazał na zbliżające się wozy.

I tak to trwało. Do końca dnia Verdanno wgryźli się na prawie sto jardów w głąb skały. Czarownicy kruszyli kamień wodą i lodem lub – o czym świadczyły buchające czasem ze szczeliny kłęby pary – ogniem i wodą, a wozy wjeżdżały coraz dalej i wyłaniały się wypełnione urobkiem tak, że

osie niemal łamały się pod ciężarem. Obok szczeliny rosło usypisko kamieni.

A na hali rósł obóz. Przez pół dnia przybyło kolejne tysiąc wozów oraz kilka sporych tabunów koni. Dominowały wśród nich te długonogie zwierzęta, którymi And’ewers pochwalił się przy rydwanie. Najbliżej szczeliny ustawiano wozy bojowe, szerokie, wysokie, niektóre z czymś w rodzaju małej wieży łuczniczej, czyli podwyższenia zwieńczonego blankami, wyrastającego kilka stóp ponad resztę. Rozstawiono dziesiątki wiklinowych tarcz, które w szybkim tempie obrosły setkami strzał i dzirytów. Grupy wojowników, podzielone na wyraźne oddziały, przesuwały się po całej hali, oddając ostatnim ćwiczeniom. Sprawdzano wyposażanie, czyszczono pancerze, oliwiono broń.

Verdanno szykowali się do wojny.

Rozdział 8

Ciemność wcale nie była tak jednorodna, jak to by się mogło wydawać. Różne odcienie szarości malowały w niej tunele, przejścia, wyznaczały miejsca, w których należy skręcić lub gdzie należy się zatrzymać. Kailean pierwszy raz o tej porze opuściła przydzielone im komnaty i przekonała się, że hrabia jednak musi oszczędzać na wszystkim, a najbardziej na świecach i oleju do lamp. Korytarze zamku pogrążyły się w całkowitym mroku, przełamanym tylko jaśniejszymi plamami w miejscach, gdzie światło księżyca wpadało przez niewielkie okna. A przecież można by pomyśleć, że arystokracja, wywodząca początki swego rodu na czas sprzed założenia Imperium, zadba, by rodowa siedziba nieustannie tonęła w świetle. Albo przynajmniej zostawi po małej lampce w każdym korytarzu.

Oczywiście przyjęły propozycję, by zostać dłużej. Nie obyło się przy tym bez wizyty kapitana Górskiej Straży, któremu przekazały pismo do „Bes'ary z królewskiego rodu Frenwelsów". Kailean nadal uśmiechała się na myśl, co ich nauczycielka zrobi na widok takiego tupetu. W liście napisały tylko, że księżniczka jest zauroczona gościnnością hrabiego i postanowiła przedłużyć swoją wizytę, by lepiej poznać obyczaje meekhańskiej szlachty. Czyli między słowami – „patrzą nam na ręce i nic jeszcze nie wiemy".

Kolejne trzy dni wypełniły rozmowy, uczty i przejażdżki po okolicy w małym, dwukołowym powoziku – ostatniej nowince ze stolicy. Kailean widziała już takie „nowinki" na Wschodzie, i to poobijane po wieloletniej służbie, ale obie z Dag były odpowiednio zachwycone tym, jak bardzo ród der-Maleg nadąża za modą. W trakcie tych wycieczek odwiedziły najbliższe miasteczko – którego domy lśniły, świeżo wyczyszczone, a uliczki pozamiatano do czysta – oraz kilka okolicznych wiosek, w których mogły podziwiać olbrzymie stada owiec wypędzanych na hale. Hrabia najwyraźniej należał do tych gospodarzy, którzy lubią pokazać gościom każdą grządkę w ogródku i każdy ul w pasiece.

Nadal jednak nie dowiedziały się niczego istotnego. Żadnych śladów, tropów, wskazówek. Dlaczego w historiach o szpiegach wszystko było takie łatwe? Ktoś zawsze zostawił na wierzchu ważne dokumenty, wygadał się po pijanemu lub, tknięty wyrzutami sumienia, łkając, wydawał wszystkich swoich wspólników. Oczywiście jeśli w historiach tych była kobieta, winowajca zdradzał jej wszystko w trakcie upojnej nocy. Dag stwierdziła wczoraj, że żaden z synów hrabiego jej się nie podoba, ale jeśli drogiej Inrze któryś wpadł w oko, to proszę bardzo. Inra zapytała tylko, czy jej wysokość chce mieć szczotkę do włosów wsadzoną tam, gdzie jeszcze nikt nigdy nie próbował się czesać.

I to zamykało wątek alkowiany.

Ich umiejętności też nie na wiele się zdawały. Daghena może i była plemienną wiedźmą, ale jej duchy nie za bardzo mogły pomóc, gdy chodziło o szpiegowanie. Na dobrą sprawę nie potrafiły nawet sprawdzić, o czym rozmawiają ludzie kilka pięter niżej. W tym zamku bardziej przydałaby się Lea, a nie Dag, i dziewczyna, którą czasem nachodziła ochota na iskanie się zębami.

Mimo wszystko z każdym dniem miały coraz gorsze przeczucia. Coś było bardzo nie w porządku. Cywras-der-Maleg ani nikt z jego rodziny – do cholery, nikt w całym zamku – nawet się nie zająknął o tym, że w górach giną ludzie. Jakby ta sprawa nie istniała. I nikt nie mruknął nawet słowa o tym, że Verdanno wykonali jakiś ruch. A przecież jeśli Wozacy podjęli wędrówkę przez góry, hrabia musiał o tym wiedzieć. Nie przydzielono im też strażników i – co było już naprawdę dziwne – od jakiegoś czasu przestano podsłuchiwać. Przynajmniej tak twierdziła Daghena, a do sprawdzania takich rzeczy jej talenty nadawały się wyśmienicie.

Więc teraz Kailean stała na korytarzu i wpatrywała się w ciemność, w której powoli rozpoznawała szarości jako drzwi, obrazy, wiszącą na ścianach broń, zejście po schodach. Jedynym dobrym elementem przedłużającej się wizyty było to, że dość dobrze poznała mieszkalną część zamku, istniała zatem szansa, że nie zgubi się całkowicie. Zresztą, kiedy towarzyszył jej Berdeth, nie musiała się obawiać. Potrafiłaby wrócić do komnat, kierując się tylko węchem.

W ten sposób pomagała sobie również teraz, szukając dokumentów. Papierów, pergaminów albo chociaż woskowych tabliczek. Jedynym miejscem w zamku, gdzie widziała coś takiego, była osobista komnata hrabiego,

wypełniona księgami. Jeśli der-Maleg był takim formalistą, za jakiego go uważała, to notował w tych księgach wszystko, łącznie z każdym bąkiem wypuszczonym przez najmniejszą owcę. Musiały się tam zatem pojawić także informacje o morderstwach, zniknięciach, podejrzanych osobnikach, niezwykłych wydarzeniach. Cokolwiek, co pozwoliłoby im udowodnić, przede wszystkim sobie, że nie spędziły tu czasu na darmo. Że nie zawiodły Szczurzej Nory, Besary i Laskolnyka.

Kailean wprost na koszulę nocną narzuciła ciemną sukienkę, bo tak mogłaby się ubrać służąca, którą księżniczka wysłała do spiżarni po wino. Oczywiście to wyjaśnienie zadziałałoby, tylko gdyby spotkała kogoś na korytarzu. Natomiast co powie, jeśli ktoś przyłapie ją w komnacie hrabiego… Lepiej, żeby do tego nie doszło.

Dla ludzkich uszu zamek był bardzo cichy. Żadnych kroków, szeptów, skrzypnięć drzwi. Wszyscy grzecznie spali w łóżkach, tylko na murach kilku strażników przechadzało się rytmicznym krokiem. To jednak wiedziała dzięki zmysłom wyczulonym przez Berdetha.

Komnatę, w której hrabia trzymał księgi, znalazła bez problemu. Drzwi nie były zamknięte, co właściwie jej nie zdziwiło. Kto miałby czas i ochotę, by grzebać się w opasłych tomiszczach, zawierających na swoich kartach, ile owiec i kóz hodują w danej wiosce? Szczerze mówiąc, ona też nie miała czasu, by robić to na miejscu. Plan zakładał, że znajdzie jedną, dwie księgi odnoszące się do ostatnich lat i wróci z nimi do Dagheny. To było mniej niebezpieczne niż spędzenie połowy nocy tam, gdzie nie miała prawa przebywać.

Weszła i oparła się plecami o drzwi. Komnata pachniała kurzem, atramentem, starym papierem, winem i męskim potem. Widocznie hrabia mocno się irytował w czasie pracy. Pamiętała, którą półkę jej wskazał jako tę wypełnioną aktualnymi księgami. Oczywiście nie było mowy, by zabrała wszystkie, ale na szczęście mogła odczytać napisy na grzbietach – „Stada z północnych i zachodnich hal”, „Strzyże owiec”, „Wyrąb, składowanie i sprzedaż drzew”, „Drogi – cesarskie i nasze”, „Opłaty z dzierżaw”. Cywras-der-Maleg był naprawdę skrupulatny.

Księgę, która ją najbardziej zainteresowała, znalazła pośrodku regału. Tytuł „Siła żywa – dzierżawcy, pasterze, kupcy, rzemieślnicy, zbrojni” raczej nie pozostawiał wątpliwości, jak cenni byli dla hrabiego ludzie. Podobno w dalekich, południowych krainach, gdzie handlowano niewolni-

kami, niektórzy określali ich mianem „mówiących zwierząt”. Hrabia ze swoją „siłą żywą” wskazywał, że nieobcy mu był ten sposób myślenia.

Wróciła z księgą do komnaty „księżniczki”.

Daghena ustawiła na stoliku kilka świec i wskazała jej miejsce.

— Siadaj i czytaj. Ja kiepsko sobie radzę z meekhańskim.

— Oczywiście, wasza wysokość.

Kailean dygnęła, próbując żartem rozładować napięcie. Dopiero gdy zamknęły się za nią drzwi, poczuła suchość w ustach i jak bardzo trzęsą jej się dłonie. Jednak nie była stworzona do tej roboty.

Księga była gruba na co najmniej pięć cali, obłożona okutymi brązem drewnianymi okładkami, ze skórzanym grzbietem. Widocznie hrabiemu zależało, by przetrwała przez kolejne pokolenia, choć po co jego prapra-prawnukom wiedza o tym, kto umarł w jakiejś wiosce sto lat wcześniej, tego nie sposób pojąć. Otworzyła na pierwszej stronie.

„Aamne Małe – osiemdziesięciu siedmiu ludzi”. Tylko tyle, żadnego wstępu czy tytułu, najwyraźniej księga stanowiła kontynuację długiej linii poprzedniczek.

Poniżej, jak w jakimś wojskowym rejestrze, widniała tabela z wymienioną liczbą chałup, stajni i obór, wielkością pól i pastwisk oraz przypisanych do nich chłopów i pasterzy. Było nawet osobne miejsce dla kogoś, kto nazywał się Harilol Sanwe i pełnił funkcję wioskowego zamawiacza, leczącego choroby zarówno zwierząt, jak i ludzi. I półroczne sprawozdania, ten zmarł, tu urodziło się dziecko, to pole zostawiono odłogiem, ta rodzina wypowiedziała dzierżawę i wyprowadziła się do pobliskiego miasta, tu przyjęto parobka na służbę… Cywras-der-Maleg rzeczywiście potrafił policzyć pracujących dla niego ludzi niemal co do głowy.

Naliczyła osiemnaście obszernych podsumowań, dziewięć lat wstecz. W tym tempie za mniej więcej sześć lat księgę trzeba będzie wymienić na nową.

Przewróciła stronę.

„Czehran – tysiąc pięćset osiemdziesięciu trzech ludzi”.

Czehran musiał być miasteczkiem, o czym świadczyła nie tylko ilość mieszkańców, ale też to, że w tabelkach zamiast obór i stajni figurowały warsztaty, kuźnie, sklepy i składy kupieckie, a ludzie zostali podzieleni na garncarzy, tkaczy, farbiarzy, kowali, bednarzy, strażników miejskich,

a nawet kobiety do towarzystwa, jak to skrupulatnie zapisano. Jeśli te księgi służyły pobieraniu czynszów i opłat, to hrabiemu żaden pieniądz nie śmierdział. Tutaj też odnotowywano zgony, narodziny, wyprowadzki, pojawienie się nowych rąk do pracy, otwarcie kolejnego sklepu. Najwyraźniej Czehran było klejnotem na ziemiach rodu der-Maleg.

Lecz niestety, jednym z nielicznych. Kailean przewertowała szybko księgę, na pierwszy rzut oka osad, miasteczek czy nawet wiosek powyżej dwustu głów hrabia miał ledwo kilkanaście. Kalonwee, Czehran, Małopas, Wetthen Wysokie to największe z nich. Resztę stanowiły wioseczki mniejsze nawet niż Aamne Małe. Do pięćdziesięciu ludzi.

Ostatnich kilkanaście stron wypełniały informacje na temat zbrojnych na służbie hrabiego, takie jak „wieża na Dwóch Zębach – ośmiu ludzi pod dowództwem Fysadera–net-Lewosha”. I informacje poniżej, jeden odszedł, innego przeniesiono do służby w mieście, któryś złamał nogę i został wydalony, przyjęto dwóch nowych.

Widok tych karnych, równiutkich tabelek musiał radować dusze wszystkich wojskowych przodków hrabiego.

Poświęciły kilka kwadransów na przeglądanie księgi, wreszcie Kailean się poddała. To nie miało najmniejszego sensu. Te wszystkie liczby i notatki mówiły wiele o właścicielu pobliskich ziem, ale nic o rozgrywających się tu wydarzeniach.

— Odniosę ją na miejsce. — Sięgnęła, by zamknąć okładkę.

Daghena wsunęła dłoń między strony.

— Czekaj, sprawdzam coś.

— Co?

— Patrz, tu. — Palec „księżniczki” wskazał na jedną z linijek. — Jeśli się nie mylę, to ta grypa sprzed sześciu lat, prawda?

Przewróciła stronę.

— I tu, i tu, i tu, i tutaj też. To wpis z wczesnej wiosny, więcej ludzi umarło, niż urodziło się dzieci, widzisz? Czyli choroba przyszła zimą.

— Besara wspominała o jakiejś grypie czy innej zarazie. I byłabym bardzo zdziwiona, gdyby grypa przyszła w pełni lata.

— Wiem. Czytaj, bo ja ledwo sylabizuję. Tu…

— Zmarł ojciec.

— I tu…

— Dwóch parobków i gospodyni…

— I tu…

— Mistrz ciesielski z najstarszym synem… — Daghena przewracała kolejne strony i wskazywała miejsca w tabelach. — Wójt Starych Dołów… Trzech pasterzy z… dwoje dzieci młynarza… pierworodna córka, ślub odwołano… jeden strażnik z załogi wieży… kapłan Najwyższej Pani… czeladnik szewski… Zabieraj ten palec i mów, o co ci chodzi. Ludzie umierali na jakąś ciężką grypę. Zdarza się, przez Lithrew też trzy lata temu przewaliło się choróbsko, które posłało do Domu Snu ze dwadzieścia dusz. Mała Matti, synek Bengelowej, trójka dzieci rymarza, stara matka Aandursa. Żadna nowina.

Daghena pokiwała głową, sięgnęła po woreczek, w którym trzymała kości babki, zacisnęła go w dłoni.

— To było coś innego — mruknęła. — Zgadałam się o tym z Kocimiętką, choroba zabrała w Lithrew tuzin dzieci i ośmioro dorosłych, z czego sześciu było już jedną nogą na drodze do Domu. Umarły tylko dwie osoby w pełni sił. U nas w plemieniu, gdy pojawia się jakaś zaraza, silni mężczyźni i kobiety najczęściej zdrowieją. Bo choroby zazwyczaj zabijają najpierw starców i dzieci, potem dopiero dorosłych. A ile dzieci naliczyłaś w tej księdze? Ilu starców? Mam wrażenie, że ta grypa zabijała tylko młodych i silnych. Szczury musiały być ślepe, że to przegapiły.

Kailean słuchała jej jednym uchem, przewracając karty i porównując zapisy. Rzeczywiście, wśród tych, którzy zmarli tamtej zimy, przeważali ludzie młodzi lub w pełni sił. Być może Szczurza Nora nie prowadziła takich rejestrów, więc nie miała jak połączyć faktów. Szczury wiedziały tylko, że przez Olekady przewaliła się wyjątkowo zjadliwa choroba, która zabrała więcej ludzi niż zwykłe jesienne i zimowe przeziębienia, zapalenia płuc i gorączki. Ale nie była to epidemia na skalę, która zmusiłaby Wywiad Wewnętrzny do ściągania pomocy z zewnątrz, i na dodatek sama wygasła.

Tyle tylko że była bardzo podejrzana.

Daghena wciąż ściskała woreczek w ręku i gapiła się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. Albo się zamyśliła, albo rozmawiała z babką.

— Kto przyniósł chorobę? — wychrypiała wreszcie takim głosem, że Kailean aż się skuliła. — Kto sprawił, że w tylu różnych miejscach ludzie zaczęli umierać?

Berdeth poruszył się w jej wnętrzu i nagle zobaczyła. Po przeciwnej stronie stołu, trzymając jej przyjaciółkę za rękę, siedziała stara, pomarszczona jak wyschnięte jabłko kobieta. Miała kości policzkowe Dagheny i siwe włosy, a jej usta poruszały się do wtóru słów padających z ust wnuczki.

— Choroby — chrypiała dalej Daghena — nie biorą się z niczego, a ta sama choroba, zabijająca w ten sam sposób w różnych miejscach, musi mieć to samo źródło.

— Ktoś… — Kailean musiała przełknąć ślinę, żeby powiedzieć coś własnym głosem. — … ktoś ją rozniósł. Kupcy, poborcy podatków, wędrowni muzykanci.

— Zimą? Przy zasypanych szlakach, na które wyruszają niechętnie nawet górscy żołnierze? Góry zawsze były miejscem, gdzie zarazy zwalniają albo wygasają.

Och, to było to. Jeszcze nie odpowiedź, ale przynajmniej sensownie zadane pytanie. Kilka lat temu przez te okolice przewaliła się dziwna choroba. Kto ją wywołał i jak rozniósł w środku zimy?

Daghena westchnęła i zawiesiła woreczek na piersi.

— Babka chciała ci się pokazać — stwierdziła wyraźnie zdumiona. — To wielki zaszczyt. Najwyraźniej cię lubi.

Postukała palcem w otwartą stronę.

— I co teraz? Nie wiem, czy dowiedziałyśmy się czegoś ważnego.

— Właśnie coś mi przyszło do głowy. — Kailean sprawdzała ostatnie zapisy. — Patrz, tu powyżej zapisano „zabity przez zbójców”, „zginął przywalony drzewem”, „utonął w stawie”. A to zapisy z tej wiosny. „Poraniony przez niedźwiedzia, zmarł”, „zamarzła na śmierć”, „porwany przez lawinę”. Widzisz? Pomóż mi szukać!

— Czego?

— Zapisków o morderstwach i zaginięciach, które trapią okoliczne ziemie. Patrz — znalazła odpowiednią stronę — tu jest napisane „wieża przy drodze do zamku Kehloren”. I masz na dole – „sześciu ludzi pod dowództwem Oleasa Greha”. I nic więcej, żadnego wpisu, że załoga została zabita. Jakby hrabia był przekonany, że oni żyją i mają się dobrze. Czy on kiedykolwiek wspomniał, że coś dzieje się na jego ziemiach? Nie. Poskarżył się,

że Górska Straż nie zapewnia bezpieczeństwa? Nie. Narzekał na jej dowódcę?

Daghena patrzyła na nią, mrużąc oczy.

— Nigdy. Ani razu. Myślałam, że to też część meekhańskiej tradycji, wiesz, nie mów nic, co mogłoby zmartwić gościa. Ale — zaczęła ostrożnie — chyba nie sądzisz, że on nie wie…?

— Ani on, ani nikt z jego rodziny. Cholera, a pamiętasz pierwszy dzień? Aeryh wracał z jakiejś wycieczki, pamiętasz? Tutaj jest tylko ze dwudziestu zbrojnych, więc jemu towarzyszyło nie więcej jak kilku z nich. Czy hrabia pozwoliłby swojemu dziedzicowi na takie wyprawy, jeśli wiedziałby, że w okolicy nawet oddziały Górskiej Straży nie mogą czuć się pewnie? A Wozacy? Wyruszyli, ile? Sześć, siedem dni temu. Hrabia milczy w tej sprawie, a powinien wiercić ci dziurę w brzuchu. On nie wie. Ten arogancki bękart żyje we własnym świecie i w ogóle nie ma pojęcia, co się wokół niego dzieje.

Spojrzały na siebie. Czy to była podstawa do interwencji Szczurzej Nory? Z pewnością. Ktoś używał potężnych czarów przeciw staremu, arystokratycznemu rodowi. Czarów, które mamiły pamięć, wpływały na posiadaną wiedzę i sprawiały, że hrabia żył całkowicie nieświadomy niebezpieczeństwa.

Jeśli to prawda, to Cywras-der-Maleg był ofiarą. A to, co działo się w górach, mogło być w równym stopniu skierowane przeciw niemu, co służyć odwracaniu uwagi Górskiej Straży.

— Zabieramy księgę do Besary. Niech zdecyduje, co z tym zrobić.

Właściwie nie miały innego wyjścia. Ich wizyta kończyła się pojutrze i raczej nie było szans na ponowne przedłużenie zaproszenia.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie, a Kailean prawie podskoczyła, bo nikogo wcześniej nie usłyszała ani nie poczuła. Ale wstała spokojnie i stanęła przodem do wejścia, zasłaniając księgę.

— Dość późno jak na…

Miała zamiar rzucić jakiś złośliwy komentarz, ale słowa ugrzęzły jej w ustach. W drzwiach stała kobieta ubrana w strój służącej, a jej twarz przez chwilę wyglądała obco, nim wreszcie Kailean ją skojarzyła.

— Sainha Gemhel — przypomniała sobie. — Osobista służąca panienki Laiwy.

Powiedziała to na głos, nie tylko dla potwierdzenia faktu, ale też by ostrzec Daghenę. Od wizji, jaką zaprezentowały jej duchy zamordowanych strażników, ustaliły, że każdy, kto ma bliski kontakt z narzeczoną Aeryha, jest podejrzany. A gdy zjawia się w środku nocy z oczami zmrużonymi w wąziutkie szparki i dłońmi schowanymi za plecami, zmienia się w potencjalnego wroga.

— Ktoś chodził nocą po zamku. — Służąca mówiła dokładnie w ten sam sposób, w jaki odezwała się wtedy, na wieży. Spokojnie, bez emocji, oznajmującym tonem. — Ktoś grzebał w nie swoich sekretach.

Dag oderwała się od stolika, swobodnie podeszła do toaletki. Podniosła ciężkie lusterko z polerowanej stali i przejrzała się demonstracyjnie.

— Zamierzałam pójść do łóżka Inro. Możesz zamknąć drzwi.

— Panienkę trzeba chronić. Także przed tymi, których zdaje się darzyć sympatią. Przysięgałam.

Kobieta opuściła swobodnie ręce, a Kailean poczuła, jak mimowolnie obnaża zęby i marszczy nos. Z dłoni przybyłej kapała ciemność. Wijące się wężowym ruchem smugi spływały w dół i znikały w kamieniach posadzki.

— To ty zabiłaś strażników na wieży?

Służąca zdawała się jej nie słyszeć.

— Tyle cykli się ukrywamy. Tylu wiernych zginęło. Oni są coraz bliżej, ale jest jeszcze szansa.

— Na co?

Nie doczekała się odpowiedzi, tylko nagle coś dotknęło jej stopy i popłynęło wrzącą smołą wzdłuż kości. I w mgnieniu oka Berdeth przejął kontrolę. Skoczyła w górę, odrywając się od atakujących od posadzki smug, opadła na stolik, przykucnęła, zawarczała. Z najwyższą trudnością odzyskała panowanie nad własnym ciałem. Próba rzucenia się i wgryzienia tej kobiecie w gardło raczej nie była dobrym pomysłem.

— Więcej. Jest was więcej.

Dag odwróciła się z dziwnym uśmiechem.

— O wiele więcej, niż myślisz.

Duchy zatańczyły wokół niej, śmiejąc się i ciągnąc za sobą smugi Mocy.

— Zabawimy się, jeśli tego właśnie szukasz — dodała.

Krzyk, który nagle rozdarł nocną ciszę, nie przypominał niczego, co może wydać z siebie ludzkie gardło. Zaraz dołączył do niego kolejny.

Kailean wstała, wskazała na okno.

— Ktokolwiek was ściga, właśnie przybył, moja droga.

* * *

Cztery krótkie sygnały rogu obwieściły koniec pracy. Trzy dni i trzy noce, tyle zajęło Wozakom przebicie się przez górę. Długi prawie na milę tunel wykonali w czasie, jaki zwykłym kopaczom, uzbrojonym w kilofy i łomy, zajęłoby ledwo poszerzenie wejścia. Ale zapłacili za to wysoką cenę.

Has wyglądał jak chodzący trup, skóra pokrywająca jego czaszkę i dłonie stała się półprzezroczysta i lśniła nieprzyjemnym, woskowym połyskiem, oczy zapadły się, zmatowiały, włosy wychodziły garściami.

Gdy Kenneth w końcu go zobaczył, przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć.

— Zamierzałeś się zabić, czarowniku?

Blade wargi wygięły się w parodii uśmiechu. Has zakasłał.

— Trudno… khe, khe.

Zwykły kaszel przeszedł nagle w potężne, suchotnicze rzężenie, które trwało tak długo, aż wydawało się, że czarownik nie odzyska już oddechu. Towarzyszące mu dziewczęta zakrzątnęły się raz-dwa, jedna wyjęła z garnka gorący okład, rozchyliła czarną szatę na piersi mężczyzny – Kenneth zgrzytnął zębami, widząc każde żebro prześwitujące przez skórę – i położyła na mostku parującą ściereczkę, druga nabrała jakiegoś ciemnego płynu do drewnianego kubka i czekała cierpliwie, dopóki atak nie ustanie. Gdy tylko kaszel przycichł, przyłożyła mu naczynie do ust i wbrew słabym protestom, zmusiła do pociągnięcia kilku łyków. Has wyraźnie poczuł się lepiej.

— Widzisz, poruczniku, trudno mi będzie umrzeć, bo te nieustępliwe bestie przemocą trzymają mnie przy życiu.

Jedną z bestii była średnia córka kowala, drugą – młodsza. Has odpoczywał w wozie And’ewersa, który wziął na siebie ciężar postawienia go na nogi. Dziewczęta nie wyglądały na specjalnie przytłoczone obowiązkami.

— Idźcie już. — Czarownik machnął ręką. — Zostawcie mężczyzn męskim sprawom.

— Jak dłubanie w nosie i puszczanie bąków. — Starsza z nich pogroziła leżącemu palcem. — Nie ma mowy. Ome zagroziła, że jeśli spuścimy cię z oka, sprawi, że wyrosną nam ogony.

— Tak. — Młodsza uśmiechnęła się ładnie. — A z ogonami trudno się siedzi na koźle. Ojciec musiałby wypiłowywać otwory w deskach. To kłopot.

Has mrugnął do Kennetha.

— Widzisz, popisują się. Inaczej nie rozmawiałyby przy tobie po meekhańsku.

Obie jednocześnie wzruszyły ramionami.

— To gość — wyjaśniła starsza.

— To niełądnie przy gościu rozmawiać w języku, którego nie rozumie. Poza tym musisz szybko nabrać sił.

— Bo?

— Ome chce z tobą porozmawiać.

Has przestał się uśmiechać, oklapł.

— Ech. Poniosło mnie, to prawda. Przez kilka chwil wydawało mi się, że jestem wszechmocny…

Kenneth wiedział już, co było przyczyną takiego stanu czarownika. To on, jako najbardziej uzdolniony w kontrolowaniu wody i kruszeniu skał, stał się kanałem dla Mocy czerpanej przez resztę szamanów swojego obozu. Meekhańscy czarodzieje rzadko korzystali z takiego rozwiązania, bo aspekty, których używali, musiałyby być pokrewne, takie same albo przynależące do jednej Ścieżki. A trudno zebrać w jednym miejscu grupę magów o zbliżonych talentach. Jednak najważniejszym powodem było to, że przepływająca Moc obciążała organizm czarodzieja jak potężny wysiłek fizyczny. Pękały naczynia krwionośne, odkształcały się stawy, zanikały mięśnie. Po kilku godzinach, a czasem po kilku kwadransach, człowiek wyglądał jak skazaniec z kopalni złota wypuszczony po dziesięcioletnim wyroku.

Każdy czarownik miał własne ograniczenia i jeśli korzystał z ciała jak z tunelu, przez który może przepłynąć Moc czerpana przez innych, ryzykował, że go to zniszczy. Lecz i efektem ubocznym takiego stanu było złudne

poczucie wszechmocy. A to kusiło bardziej niż najmocniejsza używka. Czary, które wcześniej wymagały całkowitej koncentracji, przychodziły łatwo, Moc, czerpana do tej pory z mozołem, zdawała się na wyciągnięcie ręki. Zdarzało się, że ktoś zatracał się całkowicie w takiej sytuacji i korzystał z niej, póki jego kości nie zaczęły się łamać pod ciężarem ciała, a płuca i jama brzuszna nie wypełniły krwią.

Podobno Hasowi brakowało tylko kilkudziesięciu uderzeń serca, nim siostra wyciągnęła go z tunelu siłą. Ome była wściekła. Kenneth niemal z nią nie rozmawiał, ale gdy się niedawno mijali, trawa wokół czarownicy usychała i unosiły się z niej smużki dymu. Nieomylny znak, że ledwo kontroluje wybuch gniewu.

— Zachowałeś się jak głupiec — zaczął. — Co cię opętało?

Has uśmiechnął się słabo.

— Przez ostatnie dwadzieścia lat musiałem tłumić swoje umiejętności. Ukrywać się, nie rzucać w oczy. Imperium ma swój Wielki Kodeks i nawet jeśli na Wschodzie nie przestrzega go zbyt pilnie, to tylko głupiec sprawdzałby, jak daleko można się posunąć w jego naginaniu. Na Stepach wszyscy wiedzą, kto jest czarownikiem i szamanem, ale dopóki nie obnosisz się z umiejętnościami, dopóty zostawiają cię w spokoju. Byłem jak… byłem jak zbyt długo napięty łuk. Gdy wreszcie mogłem sięgnąć po prawdziwą Moc, gdy duchy wody i chłodu zatańczyły dla mnie…

Przerwał, wpatrując się uważnie w twarz oficera, a Kenneth musiał się bardzo starać, by się nie uśmiechnąć.

— Tak — czarownik pokiwał głową — zachowałem się jak głupiec, ale kto nie czuł, nie widział tańca wody i lodu, ten nie zrozumie…

Porucznik westchnął, usiadł przy łóżku i z wahaniem spojrzał na opiekunki Hasa.

— Czy mogłybyście zostawić nas na chwilę samych? Tylko na chwilę.

Wymieniły spojrzenia, jakieś gesty.

— Tylko go nie zagadaj na śmierć.

— Będę mało mówił.

— Nie ciebie miałam na myśli, żołnierzu. — Starsza uśmiechnęła się łobuzersko, po czym obie ukłoniły się i wyszły.

Kenneth poczekał, aż zamkną drzwi.

— Zmieniły się.

— Kto, one? Dorastają. Nee’wę trzeba będzie wkrótce wydać za mąż, bo swoim językiem doprowadza wszystkich do szału, ale w rodzie jest jeszcze Ana’we – Pierwsza, i to ona powinna najpierw założyć ślubny wieniec. Ale ojciec kręci nosem na wesele w czasie bitewnego marszu, i ma rację, dziewczyna może tego samego dnia powitać mężczyznę w łożu i pożegnać go w ziemi.

— Roztrajkotałeś się, Has. Nie o tym mówię. Kiedy je pierwszy raz spotkałem, nie odezwały się ani słowem, nawet na mnie nie spojrzały, a teraz zachowują się, jakbyśmy byli dobrymi znajomymi.

Czarownik popatrzył na niego uważnie, mrużąc powieki.

— Nic nie zauważyłeś? Twoi ludzie też nie?

— Nie zauważyłem czego?

Has mlasnął, wykrzywił się i nagle oczy mu zabłysły.

— Doprowadziliście nas tutaj, przez połowę gór, przez lasy, hale, szczyty i granie. Wy, nikt inny. Twoja kompania. Gdy zaczynaliśmy, byliście po prostu oddziałem żołdaków Cesarza, którym nie bardzo można ufać, bo służą za pieniądze i zasłaniają się rozkazami. Wielu nie wierzyło, że można wam powierzyć los karawany. Gdybyście wtedy weszli między wozy w jednym z obozów, w najlepszym razie wypędzono by was na zewnątrz.

— A w najgorszym?

— Stratowałby was spłoszony tabun koni. Na Wschodzie kilku poborcom podatków zdarzyły się takie nieszczęścia, gdy zbyt głęboko wtykali nosy w nie swoje sprawy. Ale wy jesteście inni, niż wielu myślało, idziecie przodem, wspinacie się na skały, szukacie pułapek i zasadzek, wychodzicie na czoło nawet w nocy, nie skarżycie się, nie oglądacie za siebie. Dziś moglibyście wejść do każdego wozu w każdym obozie, dosiąść się do stołu, a gospodarz bez słowa postawiłby przed wami talerz i osobiście go napełnił. Staliście się naszymi górskimi *Weh’leyd*.

— Nie wiem, co to znaczy, ale mam nadzieję, że nie musimy się wstydzić?

— And’ewers to *En’leyd*. Oko Węża – dowódca karawany w czasie bitewnego marszu. Ale wąż nie posługuje się oczyma do rozpoznania drogi, wąż bada ją językiem, wącha, smakuje szlak, którym ma zamiar pełznąć. *Weh’leyd* to Język Węża. Na wyżynie to oddział wojowników, który

wysuwa się przed główną kolumnę, by sprawdzać okolicę, szukać źródeł i najlepszych pastwisk. Jak równiną idzie dwa tysiące wozów, to nie mogą poruszać się na oślep. Czasem znane źródła wysychają, a pastwiska żyzne zeszłego roku – dziś okazują się jałowe. Karawana to zbyt dużo gąb do wykarmienia, by zdawać się na los. *Weh'leyd* to nasze zmysły w czasie wędrówki. Staliście się częścią karawany.

Machnął wychudzoną dłonią w stronę drzwi wozu.

— Jesteśmy dumnym ludem. Gdy spotkałeś je po raz pierwszy, byłeś obcym mężczyzną w obozie ich ojca. Niewartym słowa. Teraz jesteś dowódcą *Weh'leyd*, z którym znajomość przynosi zaszczyt. Gdybyś zechciał, Nee'wa wzięłaby cię na męża.

Zza drzwi dobiegło oburzone parsknięcie. Uchyliły się, ukazując czerwoną twarz średniej siostry.

— Słyszałam to, czarowniku.

— Wiem o tym. A teraz przestań podsłuchiwać i zajmij się, jak Key'la, czymś pożytecznym.

— Jeszcze zobaczę, jak płaczesz, starcze! — Trzasnęła drzwiami.

— Pierwsza wdała się w matkę, najmłodsza w ojca, a ta odziedziczyła złośliwość i bezczelność chyba po prababce. Pamiętam ją, potrafiła skwasić mleko jednym słowem. Ale nie o tym chciałeś mówić, prawda?

— Nie. — Kenneth nagle poczuł się zakłopotany, a pomysł, który przyszedł mu do głowy dwie godziny temu, teraz wydawał się banalny i głupi. — Pamiętasz, jak opowiadałeś o tych małych białych kwiatkach, które wiosną rozkwitają za górami?

— *Vilore'de*, dzieci słońca. Nie spotkałem ich nigdzie poza naszą wyżyną. — Has uśmiechnął się blado.

— Przeszliśmy dziś na drugą stronę, budowniczy już utwardza drogę i wyrównuje grzbiet ostrogi. — Kenneth zawahał się, sięgając po małą wiklinową skrzynkę, z którą przyszedł. — Zeszliśmy na dół, tak, żeby tylko zobaczyć, jaka ziemia jest na tej waszej wyżynie, żeby poczuć ją pod stopami, i…

— I żeby dotrzeć tam, gdzie nie dotarły inne kompanie?

— Chyba tak. I one tam już rosną, te twoje kwiatki, czarowniku.

Wyjął ostrożnie mały bukiecik. Kwiaty miały żółte środki, a ich główki tonęły w koronie drobnych białych płatków. Pachniały trochę miętą i trochę

rumiankiem.

Has wyciągnął rękę, ostrożnie, jakby bał się, że podarunek zaraz zniknie, dotknął palcami białych płatków, i tak zamarł.

Kenneth delikatnie wsunął mu bukiecik w dłoń.

— Większość moich ludzi sądzi, że zbierałem je, by zbałamucić jakąś waszą ślicznotkę i jeśli kiedykolwiek wyprowadzisz ich z błędu, pożałujesz, że dzisiaj nie umarłeś. And'ewers twierdzi, że nie wypuści cię z wozu przez kilka dni, więc pomyślałem, że zrobię choć tyle.

Czarownik nie uśmiechnął się, tylko delikatnie gładził palcami białe główki. Oczy miał przymknięte.

— Czy wiesz — odezwał się szeptem — że dopiero teraz wierzę, że przejdziemy? Nie, gdy planowaliśmy to szaleństwo, nie, gdy wiązaliśmy sojusze i układy, ani nawet nie, gdy wchodziłem w tunel, a skały kruszyły się pod dotykiem duchów. Tylko teraz, gdy mam je w ręku… wierzę.

Kenneth skinął głową i bez słowa wyszedł.

Zamknął drzwi i oparł się o nie plecami.

— Możemy już wejść?

To była ta młodsza. Starsza siedziała z boku i patrzyła na niego bykiem. No tak, propozycja małżeństwa.

— Na waszym miejscu poczekałbym, póki nie zawoła.

— Ome kazała…

— Jeśli teraz wejdziecie, ogon może okazać się waszym najmniejszym problemem. Poczekałbym.

Zmarszczyła brwi.

— Ale żyje?

Uśmiechnął się, stwierdzając, że podoba mu się poczucie humoru Wozaków.

— Chyba po raz pierwszy od wielu lat.

Kenneth mrugnął do niej, wywołując uśmiech, i ruszył w stronę szczeliny. Jego kompania czekała po drugiej stronie.

* * *

Grzbiet ostrogi był wąski i całkowicie nieprzejezdny, ale Verdanno mieli swoich budowniczych, a ci pokazali już, że urodzili się do pracy z drewnem, kamieniem i ziemią. Na szczycie rozpoczęto układać belki, podpierano je z obu stron pionowymi słupami, pod spód ładowano kamienie i ziemię, a całość przykrywano setkami desek, częściowo wydartych z rozbieranych wozów. Przy konstrukcji pracowało naraz ponad dwa tysiące ludzi i zjazd rósł w oczach.

Kenneth widział pośpiech w ich ruchach, nerwową niecierpliwość, a spojrzenia, jakie rzucali na wschód, na rozległą, lekko pofałdowaną równinę, płonęły. Gdyby mogli, znieśliby swoje wozy na plecach i już wyruszyli. Jedyną osobą odporną na gorączkę wędrówki zdawał się główny budowniczy. Ger’serens chodził wzdłuż powstającej konstrukcji, mierzył, liczył, sprawdzał, poklepywał ją i opukiwał. Porucznik był świadkiem, jak kazał rozbierać spory odcinek powstającej drogi, dosypywać ziemi i ubijać ją ciężkimi młotami. Ale nikt nie narzekał, świadomość, że od tej pracy zależy szybkość i bezpieczeństwo ostatniego etapu podróży, skutecznie kneblowały usta.

Czerwone Szóstki odpoczywały na dole, u stóp ostrogi. Między żołnierzami płonęło kilka ognisk, bulgotały kociołki, a zapachy drażniły nozdrza. Większość strażników ułożyła się po prostu na trawie, wystawiając twarze do słońca, niektórzy spali. Zeszli na wyżynę jako czoło kolumny, a Kenneth dopiero po rozmowie z Hasem zrozumiał, dlaczego odstąpiono im ten zaszczyt. W jakiś sposób, niezauważenie, stali się częścią karawany. Widział to, schodząc w dół, pracujący Wozacy ustępowali mu z drogi, uśmiechali się, pozdrawiali. Sam Ger’serens znalazł czas, by skinąć głową i żartobliwie zasalutować na meekhański sposób. Porucznik oddal salut i uśmiechnął się. Czuł się dobrze, chyba po raz pierwszy, odkąd wyruszyli, a kiedy widział, jak rośnie droga w dół, docierało do niego, że tego dokonali, że przeprowadzili przez góry liczącą dziesiątki tysięcy wozów karawanę, a nawet jeśli jeszcze większa jej część tkwiła wciąż pod Kehlorenem – choć, do cholery, wyobraźnia cofała się przed tym faktem – to i tak zrobili coś, co powinno zostać zapisane w kronikach imperialnej armii.

To, że nie zostanie, bo Imperium będzie chciało zachować pozory, że atak Verdanno na Wyżynę Lytherańską był wynikiem „buntu” i „nieposłuszeństwa”, nie miało znaczenia. Wozacy będą pamiętać, a rozkazy zostały wykonane, najlepiej jak się dało.

No i był piękny, wiosenny dzień, słońce świeciło jasno, a gulasz, czy cokolwiek tam bulgotało w kociołkach, pachniał znakomicie. Miło odpocząć po dobrze wykonanej robocie. Kenneth znalazł sobie miejsce na niewielkim pagórku, klapnął na trawę i rozejrzał się. Andan drzemał ze źdźbłem trawy w ustach, Versen-hon-Lawons trzymał łuk na kolanach i smarował cięciwę tłuszczem, Omne Wenk, Velergorf i Cerwes Fenl wdali się w jakąś dyskusję, której głównym elementem było wymachiwanie rękoma i głupawe gesty. Szczerzyli się przy tym jak idioci. Bergh rzucał psom kawałki mięsa, każdemu po kolei, a zwierzęta łapały je w powietrzu, kłapiąc zębami i śliniąc się obficie. Fenlo mieszał zawzięcie w kociołku. Sielanka.

— Dziesiętnicy, do mnie! Narada!

Wstawali i podchodzili powoli. Omne, Velergorf i Cerwes nie przerywali przy tym pogawędki, a Versen oglądania łuku.

— Siadać.

Usiedli w karnym okręgu, patrząc na dowódcę. Było lepiej niż w chwili, gdy wyruszali spod zamku. Dni ciężkiej wędrówki sprawiły, że kompania bardziej się zgrała; co prawda hon-Lawons nadal trzymał się na uboczu, ale to samo porucznik mógł powiedzieć o Berghu, z którego zazwyczaj każde słowo trzeba było wyciągać wołami i który sprawiał wrażenie, jakby psy były dla niego ważniejsze niż ludzie. Mimo to Kenneth bez wahania powierzyłby mu własne życie.

Zresztą najlepiej zmiany widać było po tym, jak rozłożyła się reszta kompanii, dziesiątki mieszały się ze sobą, jadły ze wspólnych kotłów, gawędziły albo grały w kości. Żołnierze byli wyraźnie rozluźnieni i zadowoleni. Nawet dziesiątka Fenlo Nura, choć siedziała na uboczu, sprawiała wrażenie… mniej spiętej.

— I jak tam osoba obdarowana kwiatkami?

Velergorf i dwójka jego towarzyszy szczerzyli się szeroko, zdradzając, jaki był główny temat ich dyskusji. Kenneth zastanowił się i uśmiechnął złośliwie.

— Blada i śmiertelnie zmęczona — powiedział całą prawdę.

— Ha. Mówiłem. — Cerwes wyszczerzył się jeszcze szerzej.

— Nie zabrałem was tu, by gadać o kwiatkach, dziesiętniku. Zadanie wykonane. Trzeba pomyśleć nad drogą powrotu. I nie — pokręcił głową,

widząc ich miny — nie zbieramy się dzisiaj, i chyba nawet nie jutro. Trzeba odpocząć, zanim wrócimy w góry, i uzupełnić zapasy, choć nie sądzę, by z tym był problem. No i przede wszystkim chcę zobaczyć, jak wozy zjeżdżają z gór. Tylko wtedy będę wiedział, że nam się udało.

Kilka skinięć głowami i mruknięć aprobaty. Najwyraźniej nie tylko on chciał zobaczyć, jak wozy drą kołami trawę u podnóża gór.

— Poza tym trzeba rozważyć, którędy wracamy — kontynuował. — Najprostszą i najbezpieczniejszą drogą byłby powrót szlakiem, którym tu przyszliśmy, zawsze znalazłby się nocleg i ciepłe jedzenie. Ale jest kilka przeszkód. Po pierwsze szlak jest już tak zapchany, że czasem będzie trudno nawet pieszym minąć wozy, myślę zwłaszcza o Orlej Grani, przejściu przez skały za nią, moście i kilku wąskich gardłach. Verdanno nie zatrzymają ruchu całej karawany, żebyśmy mogli się przecisnąć. Poza tym to długa droga, prawie pięćdziesiąt mil. Czekanie, aż nas przepuszczą, może zająć kilka dni.

Popatrzył po twarzach, teraz słuchali go wszyscy, znikły głupawe uśmieszki i nieobecne spojrzenia. Andan nadal żuł źdźbło trawy, Velergorf i Bergh sprawiali wrażenie zamyślonych, ale Kenneth za dobrze ich znał, żeby dać się nabrać. Słuchali i notowali w pamięci. Czwórka nowych podoficerów także nie spuszczała z niego wzroku.

— Po drugie nie możemy wrócić do zamku szlakiem, którym podążają Verdanno, bo oni oficjalnie podnieśli bunt, więc Górska Straż nie może sobie spacerować między wozami jak gdyby nigdy nic.

— I tak nikt w to nie uwierzy, panie poruczniku.

— To prawda, Omne, jasna jak tyłek Pani Lodu. Ale tu nie chodzi o to, w co Ojciec Wojny uwierzy czy nie, ale o to, żeby miał pretekst, by nie wysłać swoich hord na zachód. Jeśli nie będziemy udawać, że Wozacy się zbuntowali, wodzowie koczowników nie będą mogli zrobić nic poza wypowiedzeniem wojny Imperium, nawet gdyby wojny nie chcieli, bo stracą twarz i poparcie wojowników. Właściwie to powinniśmy teraz stać tam na górze i własnymi piersiami blokować Wozakom drogę. Żeby przynieść do Kehlorenu trochę ran i siniaków. Jacyś ochotnicy…? No właśnie. To trzecia rzecz, z powodu której musimy wybrać inną trasę. Będziemy mogli oświadczyć, że po przypadkowym odkryciu przejścia przez góry Verdanno nas zaatakowali, musieliśmy wycofać się w dzikie rejony Olekadów i podążyć do doliny Amersen nieznaną trasą. Zajmie nam to ładnych kilka dni, co

pozwoli większości wozów opuścić okolice zamku. Tak wygląda mój plan, jakieś uwagi?

— Znamy tę nieznaną trasę choć trochę? — Fenlo Nur patrzył nieruchomym, spokojnym spojrzeniem.

— Nie, młodszy dziesiętniku. Nie bardziej niż drogę w tę stronę. Mamy mapę, na której jest zaznaczone Awiroh, dolina Mansenn, za nią Burzowy Wierch i las Wendehab — recytował z pamięci. — Potem kilka mil wzdłuż ściany Oweose i jesteśmy u źródeł Salawii. Rzeczka doprowadzi nas do samej doliny Amersen. To trasa dla pieszego, w dwóch miejscach jest do pokonania pionowa skała, psy trzeba będzie spuszczać w uprzężach na dół, ale jak już mówiłem, nie musimy się spieszyć. Pójdziemy wolno, pozwiedzamy okolicę, będziemy wcześnie zakładać obozy i późno je zwijać. Spacer.

Uniósł dłoń na znak, że mówi ważne rzeczy.

— Ale nawet wtedy musimy uważać. Nie wiemy, co się dzieje w górach, nie mamy łączności z Czarnym ani z innymi oddziałami. And’ewers zapewnia mnie, że nikt nie zaatakował wozów w żadnym miejscu szlaku, więc zabójcy raczej nie ośmielili się tego zrobić…

Versen-hon-Lawons chrząknął, splunął w bok i brzęknął na cięciwie łuku.

— To dużo ludzi, panie poruczniku, mogły ich zniknąć dziesiątki, a w chaosie wędrówki oni by się nie zorientowali.

— Nie. — Fenlo Nur pokręcił głową. — Nawet gdy siedzieliśmy w stajni, słyszeliśmy plotki. Przez ostatni miesiąc zabijano ludzi tak, by ich znaleziono, by wzbudzić strach. Niewiele było zwykłych zniknięć. Jeśli ktoś uderzyłby na nich — wskazał na pracujących na ostrodze Wozaków — chciałby, żeby o tym wiedzieli. Zostawiłby ciała.

— To prawda, Fenlo. Najpewniej zostawiłby. Być może chodzi o liczebność i siłę, Verdanno to prawdziwa armia, a ich czarownicy nie próżnują, wozy są strzeżone także magią. A może zabójcy stracili zainteresowanie albo planują coś innego? Zawsze gdy w okolicy Belenden jakaś banda przycichała, spodziewaliśmy się większych kłopotów. Gdy przycichało kilka band, spodziewaliśmy się olbrzymich kłopotów.

Wszyscy pokiwali głowami.

— Czarny też nie należy do ludzi, którzy pozwalają się bezkarnie okładać po gębie. Najpewniej sam coś kombinuje. W każdym razie dla nas najważniejsze jest to, że idziemy przez wrogi teren. Będziemy zakładać obozy i strzec ich jak pod Kehlorenem, żadnego rozluźnienia. Póki nie dotrzemy do zamku, mamy mieć oczy dookoła głowy.

Spojrzał każdemu w oczy, ale nawet Velergorf wyglądał na śmiertelnie poważnego. Ten bezimienny żołnierz, którego ciało znaleźli, zapadł wszystkim w pamięć.

— I ostania rzecz. — Kenneth podrapał się po brodzie i uśmiechnął bez odrobiny radości. — To ja rozmawiałem z Czarnym, to ja odebrałem mapy i rozkazy. Żaden z was. Pamiętajcie, że przez całą drogę byliście tylko dziesiętnikami wykonującymi rozkazy dowódcy. I to macie zeznać, gdyby ktoś chciał się was czepiać.

Andan wypluł przeżute źdźbło.

— Nie zrobią tego!

— Pewnie nie. Ale jeśli będzie trzeba, Imperium poświęci jednego porucznika, byleby uniknąć wojny. Nie sądzę zresztą, żeby było tak źle, ale czasem człowiek włoży głowę między kamienie, a młyn miele. Bywa.

* * *

Verdanno budowali rampę do zmierzchu, jednak nocą, bezksiężycową i pochmurną, zrobili przerwę. Kenneth nie musiał pytać dlaczego, rozpalenie ognisk, a nawet użycie pochodni, żeby oświetlić sobie miejsce pracy, było jednoznaczne z oznajmieniem swojej obecności wszystkim w promieniu trzydziestu mil. Na ciemnej ścianie Olekadów smuga światła odznaczałaby się jak prześwietlona słońcem szpara w ścianie. Nikt nie zakładał, że wyżyna będzie całkiem wyludniona, zatem na razie Verdanno musieli się maskować, bo rampa urywała się stromą ścianą o wysokości kilkunastu stóp, co nie było żadną przeszkodą dla ludzi, ale stanowiło barierę nie do przejścia dla koni. Kenneth widział już na górze rydwany gotowe do walki, lecz na razie, gdy zapadł zmrok, budowniczowie zeszli na dół, rozłożyli się wprost na ziemi i zasnęli, rozstawiając wokół pierścień wartowników.

Kenneth przyglądał im się, szykowali się do snu. Większość była cholernie młoda, nawet jak na standardy półdzikich, barbarzyńskich plemion Wschodu. Wiedział, że to złudzenie, doświadczeni woźnice, wojownicy,

dowódcy rydwanów i piechoty zjadą na dół później, gdy rampa zostanie ukończona; ci tutaj to w większości młodziki, zbyt nieopierzeni, żeby powierzyć im zaprzęg, ale idealnie nadający się do ciężkiej roboty. Ale i tak młody wiek większości z nich rzucał się w oczy i nie pozostawiał wątpliwości, że cała armia Verdanno jest… niedojrzała. Kenneth zwrócił na to uwagę już w czasie wędrówki, gdy zdarzyło mu się podpatrywać wozackich wojowników. Wiedział mniej więcej, jaka jest średnia wieku jego kompanii, większość żołnierzy miała koło trzydziestki, a niektórzy, jak Velergorf czy Azger, przekroczyli czterdziestkę. Psiakrew, wychodziło na to, że mieli wyjątkowo młodego dowódcę, skrzywił się pod nosem. Praktycznie każdy z nich służył ładnych parę lat i miał za sobą wiele walk i potyczek. A choć byli raczej młodzi, to i tak w porównaniu z Verdanno Kenneth dowodził oddziałem weteranów. U Wozaków, jak zdążył zauważyć, na jednego szpakowatego, pokrytego bliznami wojownika przypadało pięciu, sześciu młodzików, większość miała na oko między piętnaście a dwadzieścia lat. Była widoczna wyraźna luka wiekowa, jakby ktoś wyrwał całe pokolenie z tego narodu.

I to był ich największy problem. Jeśli w pierwszych starciach poniosą zbyt duże straty wśród doświadczonych wojowników, to młodsi nie zdążą się niczego od nich nauczyć i Wozacy zostaną z armią gówniarzy, może i spragnionych walki, bez wątpienia odważnych, lecz niebędącą niczym więcej niż bandą żółtodziobów. W Górskiej Straży – podobnie jak w całej imperialnej armii – obowiązywała niepisana zasada „dwa na jeden”, to znaczy, że oddział, w którym na jednego młodzika nie przypadało przynajmniej dwóch doświadczonych żołnierzy, uważano za niepełnowartościowy. Z punktu widzenia meekhańskich standardów Verdanno nie dysponowali armią, tylko bandą rekrutów.

A mieli zmierzyć się z konnymi a’keerami jednego lub dwóch Synów Wojny, ćwiczonymi bezustannie w międzyplemiennych potyczkach i rajdach wzdłuż granic Imperium. A potem zamierzali umocnić się na Wyżynie Lytherańskiej i wytrzymać kontratak samego Yawenyra lub jego następcy. Przechadzając się pomiędzy leżącymi na ziemi sylwetkami, Kenneth przykucnął i zanurzył dłonie w trawie. Ta ziemia wkrótce spłynie krwią, wozy będą płonąć, ludzie i konie ginąć od żelaza, ognia i czarów. Wozacy wydawali się całkowicie akceptować nadchodzącą wojnę, szli walczyć o swoje miejsce na ziemi i nie mieli żadnych wątpliwości co do słuszności własnych

racji. Wygnańcy wracają, by zbrojnie odebrać ojczystą ziemię. Piękny temat na wspaniałą epopeję.

Tylko że ci, którzy piszą epopeje, rzadko oglądają rozwalone głowy, odcięte kończyny i ciała naszpikowane strzałami, rzadko wąchają smród rozprutych brzuchów i swąd palonego mięsa. A to, co potrafi zrobić z ludzkim ciałem rzucony czar albo demon przywołany na pole bitwy, też nie mieści im się w głowach. Gdyby było inaczej, nie pisaliby o chwale pól bitewnych i bohaterstwie poległych. Dla zawodowych żołnierzy walka była obowiązkiem, i to raczej przykrym, choć gdy już przychodził na nią czas, szli w bój jak drwale do lasu. Robotę trzeba wykonać i tyle. Szukanie sławy i chwały zostawiali bohaterom epopei, tym stworzonym przez ludzi, którzy krew widzieli, tylko gdy zacięli się przy goleniu.

Kenneth wstał i wytarł dłonie o spodnie. Zaczynam się roztkliwiać, pomyślał, a może chodzi o to, że te dzieciaki idą do walki na śmierć i życie, a ja zamierzam sobie zrobić wycieczkę po górach i wrócić do ciepłych koszar.

A najwięcej zyska na tym Imperium. Wystarczyło spojrzeć na mapę – jeśli Se-kohlandczycy przestaną władać Wyżyną Lytherańską, stracą niemal siódmą część terytorium. Na dodatek od północy będą graniczyć z silnym i bitnym narodem, który żywi do nich niechęć. Od zachodu Meekhan, od północy Verdanno. Strategiczna przewaga koczowników, polegająca na tym, że mogą uderzyć na Imperium, mając bezpieczne wszystkie granice, legnie w gruzach. Jeśli przez Olekady przeszły karawany, może też przejść meekhańska armia, która w połączeniu z siłami Wozaków zmusi Ojca Wojny do trzymania w północnych rejonach jego państwa dużych oddziałów, co sprawi, że siły możliwe do użycia w ataku na Imperium na Wschodzie zmniejszą się. A wtedy nie będzie mu pilno do następnej wielkiej wojny.

I znowu – jego myśli zatoczyły koło i wróciły do tych śpiących wokół dzieciaków. Kenneth zgrzytnął zębami, są rzeczy, na które nie ma rady, a jak człowiek za dużo o nich myśli, to wpada w przygnębienie. Lepiej zostawić je takie, jakimi są. Szósta Kompania zrobiła wszystko, by Wozacy bezpiecznie przeszli przez góry, teraz ma wrócić do Kehlorenu, a oni pójdą na spotkanie własnego losu. Ruszył do obozowiska kompanii. Trzeba odpocząć przed dalszą drogą.

Świt następnego dnia wybuchł pracą i gorączkową krzątaniną na ostrodze. Budowniczy nakazał pobudkę, ledwo wschodni widnokrąg zaczął się różowić, ale dzięki temu młoty, topory i piły podjęły pracę, zanim jeszcze słońce wzniosło nad wyżyną swą zaczerwienioną twarz. Widać też było, że po drugiej stronie skalnej szczeliny robota nie ustała na noc, bo wyjeżdżał z niej teraz niekończący się ciąg wozów wypełniony przyciętymi już belkami i deskami oraz kamieniami i ziemią. Zatrzymywały się na końcu rampy, zrzucały ładunek i zawracały, ustępując miejsca następnym.

U podnóża ostrogi również trwała praca, setki łopat gryzły ziemię, ładowały ją do tysięcy worków i przenosiły na koniec kamiennego pomostu. Usypywano wał, który miał przykryć koniec zjazdu, jego boki wzmocniono setkami wbitych w ziemię pali. Ziemna rampa miała już długość prawie pięćdziesięciu jardów i niecałe cztery godziny po południu zetknęła się wreszcie z odcinkiem budowanym od szczytu. Ger’serens był już na miejscu, jakimś drewnianym przyrządem z podziałką ocenił kąt, zadowolony pokiwał głową i uśmiechnął się. Na dany znak położono na usypanej rampie setki desek, zastukały młotki i w kwadrans reszta drogi została ukończona.

Kenneth cofnął się, żeby widzieć rezultat ich pracy. Rampa miała ponad pół mili długości i biegła szczytem ostrogi. W wyższych partiach, gdzie była najwęższa, obudowano ją dodatkowo wysoką na trzy stopy barierką, niżej, gdzie miała już szerokość trzech wozów, zrezygnowano z takich zabezpieczeń. Verdanno ufali swoim woźnicom. Całość była zdumiewająco prosta i łagodna, znikły szczerby i zęby szpecące grzbiet ostrogi, zasypano nagłe obniżenie jej grzbietu w połowie długości. Odnosiło się wrażenie, że można by postawić na koźle zjeżdżającego w dół wozu wypełniony po brzegi kielich, a nie wylałaby się z niego ani kropla.

A jednocześnie – co dla oficera imperialnej armii było równie ważne – całość wydawała się na swój sposób krucha. Wystarczyłoby kilka dzbanów z olejem i kaganek, a ogień, podsycany wiejącym wzdłuż ściany Olekadów wiatrem, strawi wszystko w godzinę czy dwie. Wróg nie będzie miał szansy, żeby wedrzeć się wtedy do Meekhanu. Zresztą nawet gdyby zdobył rampę, to co? Szczeliny w skałach, jary, wąwozy, Orla Grań, szukanie drogi w nieznanym terenie… I wszystko to z Górską Strażą na karku. Czarny i jego Bękarty mieliby niezłą zabawę. Nie, ta droga była równie bezpieczna jak przedtem.

Wozy ruszyły w dół.

Jechały powoli, wyładowane nad miarę drewnem i zapasami, sam budowniczy, zgodnie z tradycją, siedział na koźle pojazdu prowadzącego kolumnę. Rampa trzeszczała, deski uginały się, woźnice z wyczuciem pracowali hamulcami, problemem przy takim zjeździe było to, by wozy nie rozbiły się, pociągnięte w dół przez zbyt wielki ciężar. Konie nie miały właściwie żadnej roboty, oprócz utrzymania pojazdów na szczycie lekko zakręcającej rampy. Całość szła gładko.

Pierwszy wóz dotarł do końca, zwolnił i ostrożnie zjechał na trawę. Przez uderzenie serca zapadła cisza, a potem wybuchł ryk. Stojący u podstawy konstrukcji Wozacy wznosili ręce w górę, śmiali się, krzyczeli, płakali. To była chwila, na którą czekali od Krwawego Marszu, ukoronowanie ich wysiłków, nadziei i marzeń. Po wielu latach pierwszy wóz wjechał na Wyżynę Lytherańską. Kenneth przeniósł wzrok na górę, tam też małe sylwetki wykonywały swój taniec radości, wydawało się, że jeśli człowiek się wysili, to usłyszy, jak ich krzyk przeciska się przez szczelinę, wybucha radością w położonym po drugiej stronie obozie i pędzi wzdłuż całej przebytej drogi, przeskakując z wozu do wozu, aż wreszcie eksploduje rykiem, od którego zadrżą góry, u stóp Kehlorenu. W sumie ta wizja była dość prawdopodobna, więc wychodziło na to, że Kawer Monel dowie się o powodzeniu misji na długo, nim Kenneth złoży mu raport.

Porucznik rozejrzał się po swoich ludziach. Właściwie wszyscy szczerzyli się głupio, w końcu udało im się zrobić coś, czym będą mogli chwalić się dzieciom i wnukom.

— Dobra robota — mruknął.

— Wiemy, panie poruczniku. — Velergorf potarł wytatuowany policzek, poprawił tkwiący za pasem topór. — Kiedy wracamy?

— Myślę, Varhenn. Za trzy, cztery godziny będzie ciemno, nie uśmiecha mi się wędrówka po nocy. Zostaniemy tu do świtu i rankiem ruszymy. Nie spieszy nam się.

— Rozkaz. Sądzi pan, że oni będą chcieli to jakoś uczcić?

— Marzy ci się popijawa? W połowie zadania?

— W tej lepszej połowie, panie poruczniku. Potem to już tylko zimno, wietrznie i wilkowato.

Kenneth uśmiechnął się lekko.

— Wilków ci nie zapewnię, ale o jakąś beczkę wina mogę zapytać.

Nie musiał.

Na dół zjechała przeszło setka wozów, po czym budowniczy ruszył w górę rampy, oznaczając miejsca, które mu się nie podobały. Konstrukcja miała być obciążana przez wiele dni i nocy bez przerwy, nadszedł czas na ostatnie poprawki.

Z wozów, które dotarły na wyżynę, rozładowywano drewno, zwoje lin, owinięte szarym płótnem pakunki. Wkrótce za pomocą sznurów i wbijanych w ziemię palików oznaczono wokół rampy zarys olbrzymiego obozu, którego ściany miały mieć na pierwszy rzut oka ponad pół mili długości. Kenneth pokiwał tylko głową. Wozacy trochę przypominali Meekhańczyków, najpierw trzeba się okopać, a potem dopiero idziemy na wojnę. Z drugiej strony jeśli chcieli w jakikolwiek sposób zapanować nad tysiącami pojazdów, które miały tu zjechać, dobre planowanie było niezbędne.

Porucznik przyglądał się tej dość niefrasobliwej krzątaninie z pewnym zakłopotaniem, w końcu nie wytrzymał i zapytał jednego z pomocników Ger’serensa, czy And’ewers jest tak pewien swojej przewagi, że nie wyśle zwiadowców na wyżynę. Mężczyzna popatrzył lekko zdziwiony, po czym zapytał, jak daleko, zdaniem oficera Imperium, można sięgnąć wzrokiem ze szczytu rampy. Trzydzieści mil? Czterdzieści? Po co zwiad, jeśli ma się oczy? Poza tym Se-kohlandczycy z pewnością są jeszcze daleko.

Strażników najbardziej interesowała zawartość ostatnich dwudziestu wozów. Wyładowano z nich dziesiątki beczek i skrzynek wypełnionych jedzeniem. Peklowana wołowina, owinięte w natłuszczone płótno połcie upieczonego mięsa, wędzony boczek, pęta kiełbasy, tysiące pszennych i owsianych placków, masło, miód, suszone owoce, wielkie kotły wypełnione aromatycznymi sosami… Verdanno zamierzali świętować.

Dziwne to było świętowanie, świętowanie wojenne, z ogniskami ledwo tlącymi się w wykopanych w ziemi dołkach, z muzyką cicho pobrzękującą w tle i wozami ustawionymi w kilka luźnych półokręgów, które miały chronić wszystkich przed wiatrem i wrogimi oczyma. Bo nawet jeśli Wozacy sądzili, że udało im się zaskoczyć koczowników, nie zapominali, że są na wojennej wyprawie i trzeba już mieć się na baczności. A jednak nie było w tym smutku stypy, tylko z trudem tłumiona, dzika radość.

Budowniczy, dziwnie onieśmielony, osobiście zaprosił ich do wspólnego świętowania i Kenneth spędził wieczór i połowę nocy, wędrując od ogniska

do ogniska, napełniając żołądek smakołykami i słuchając wozackich opowieści. Nie żeby cokolwiek rozumiał, język Verdanno zdawał się składać na równi ze słów i gestów, ale tej nocy, gdy w brzuchu przyjemnym ciężarem zalegała późna kolacja, a w głowie szumiało wino, nie przeszkadzało mu to. Większość opowiadaczy snuła wyraźnie humorystyczne historie, bo wśród siedzących wokół ognia Wozaków co i raz wybuchały salwy śmiechu, a on poddał się nastrojowi chwili, który nakazywał zapomnieć o krwi i wojnie i cieszyć się spokojem, rozleniwieniem i dobrym trunkiem. Szósta Kompania rozproszyła się wśród ognisk.

Znaczna część budowniczych wróciła za tunel, by świętować z rodzinami, więc ci, którzy zostali, mieli dla siebie całe wino i jedzenie. I korzystali z tego bez umiaru, dzieląc się szczodrze ze strażnikami. Kenneth obserwował swoich ludzi, siedzieli ramię w ramię z Wozakami, jedli, pili, uśmiechali się w chwilach, gdy ich gospodarze wybuchali śmiechem, żartowali. Dogadał się już z Ger’serensem, o świcie Wozacy mieli poprawić rampę, jego kompania wykorzysta ten moment, by wejść na górę i przekroczyć szczelinę, bo potem wozy pojadą nieprzerwanym strumieniem, dzień i noc. W zasadzie oznaczało to, że powinni już iść spać, ale doświadczenie uczyło, że nie należy wydawać ludziom rozkazów niemożliwych do wykonania. Po dniach spędzonych na przebijaniu się przez góry i nocach pod lekkimi namiotami należała im się chwila wytchnienia. Zresztą, do ciężkiej cholery, zasłużyli sobie na to, na ogniska, gorące żarcie, dobre wino.

Przeszedł jeszcze raz wokół, wydając krótkie rozkazy dziesiętnikom, dotyczące głównie pilnowania, by żaden z żołnierzy nie przesadził z piciem, i rozstawienia wart, i koło północy znalazł sobie miejsce na nocleg. Czarny miał rację, zasady jak ta, że dowódca ostatni idzie spać, ładnie brzmią, ale kończą się tym, że przemęczony oficer bezsensownie posyła ludzi na śmierć. No i trzeba okazać, że się ufa podwładnym.

Ściągnął hełm, odłożył tarczę, odpiął pas z mieczem, przez chwilę myślał też, czy nie zdjąć kolczugi, ale stwierdził, że trzeba już przyzwyczajać się do niewygód. Od jutra znów czeka nas przebijanie się przez góry i noce na ziemi, pomyślał, kładąc się na jednym z opróżnionych wozów i owijając płaszczem.

* * *

Obudziło ją dotknięcie i omal nie krzyknęła, gdy zobaczyła tuż nad sobą jego twarz. Oczy, jak dwie monety, niemal świeciły w ciemnościach, lecz było w nich coś jeszcze.

Niepokój.

Ana'we spała w wozie ojca, Nee'wa znów znikła na noc, więc Key'la miała cały wóz sypialny dla siebie. Dzisiaj wszyscy świętowali, udało im się przebyć góry. Przysłowie mówiło, że drogą, która uniesie na sobie jeden wóz, może przejechać ich tysiąc. A oni dbali, by droga była jak najlepsza.

W całym obozie jedzono i pito, i wyglądało na to, że nikt nie będzie dziś spał. A jutro, skoro świt, wozy zaczną zjeżdżać na dół, na wyżynę, do domu.

Kailean zawsze podśmiewała się, że Verdanno mówią o uczuciach z takim samym zaangażowaniem, jak o zeszłorocznej pogodzie. Ale gdyby kuzynka miała okazję zobaczyć ten obóz, wiedziałaby, że wszelka gadka jest zbędna.

Dom.

Jej też trudno było tak naprawdę ocenić wagę tego słowa, zrozumieć gorączkę w ruchach i spojrzeniach, w gonitwie słów i gestów *av'anaho*, w oddechach dyszących winem, dłoniach zaciśniętych w pięści, sztucznej wesołości i demonstracyjnej beztrosce. Trudno, dopóki nie zobaczyła wczoraj wilgotnych oczu Hasa i nie ujrzała, jak ojciec wybiera z kufra najlepszy strój, którego nie zakładał od czasu śmierci mamy.

Dom.

Miejsce, które należy do człowieka, i do którego człowiek należy.

Tylko że w domu czekała na nich wojna z wrogiem, który niczego nie oddawał bez walki. Więc nim niektórzy pokłonią się strażnikom Domu Snu, składali hołd życiu i drodze, która ich tu przywiodła. Wszyscy jedli i pili, a ci, którzy mieli dość, wymykali się w noc parami i ani matrony pilnujące dziewcząt, ani ich ojcowie i bracia nie próbowali temu przeszkadzać. Ponoć Laal Szarowłosa był córką meekhańskiej Pani, a Baelta'Mathran miała w swoim boskim orszaku wszystko to, co wiązało się z życiem.

Przynajmniej tak twierdzili jej kapłani.

Key'la też mogła świętować, a ojciec, odziany w swój najlepszy strój, pozwolił jej nawet wypić duży kubek nierozcieńczonego wina. Co oczywiście sprawiło, że szybko zakręciło jej się w głowie i postanowiła pójść spać.

Wino musiało też wywołać jakieś przywidzenia, bo zobaczyła w półmroku, jak Ana’we otwiera drzwi swojej części wozu i wpuszcza do środka chłopaka o twarzy Kar’dena.

Zdecydowanie tej nocy w obozie triumfowało życie.

A teraz obudził ją on, jej tajemniczy gość, a w oczach miał niepokój. A potem usłyszała okrzyk, po nim następny i nagle wszędzie pełno było biegających i hałasujących ludzi.

A nad to wszystko wybijał się jeden głos. Krótki, wysoki dźwięk rogu bojowego.

Wojna dotarła do nich, nim skończyła się noc.

Nagle zrozumiała, że jest sama, sióstr nie ma, ojciec pewnie objął przywództwo, bracia właśnie zakładają pancerze i sięgają po broń.

Sięgnęła przez ciemność i objęła go.

— Proszę — szepnęła, czując, jak chude ciało pod jej dotknięciem kamienieje. — Proszę, po prostu mnie przytul.

Chłopak nie wydal żadnego dźwięku, ale objął ją niezgrabnie i poklepał po plecach.

Rozdział 9

Jutro nadeszło szybciej, niż się spodziewał. Nadeszło z drżeniem gruntu i narastającym grzmotem kopyt walących o ziemię. Nadeszło z brzękiem cięciw i świstem strzał oraz przerażającym, budzącym grozę okrzykiem wojennym Se-kohlandczyków.

— *Waraaaaaaa!!! Ag saye waraaaa!!!*

Podeszli ich cicho, od gór, stamtąd, gdzie wartowników było niewielu, a noże i garoty otworzyły im drogę. Musieli prowadzić konie pieszo, trzymając je mocno za uzdy, by żaden nie zarżał, wskoczyli na siodła tuż przed atakiem i runęli na śpiący obóz.

Kenneth poderwał się w chwili, gdy między zaskoczonymi, na wpół przytomnymi ludźmi pojawiły się sylwetki na koniach. Jeźdźcy, którzy mieli lance, kłuli nimi wstających, a łucznicy posyłali strzałę za strzałą, niemal wprost w leżących pod kopytami ich koni Wozaków, pociski, wystrzelone z tak bliska, przeszywały ludzi na wylot i przyszpilały do ziemi.

Zrywając się z posłania, złapał tylko tarczę, miecz, odłożony na bok, złośliwie wymknął się spod palców, Kenneth przyklęknął, by go podnieść i w tej chwili jedna strzała świsnęła mu nad głową, druga zaś prześlizgnęła się po kolczudze. Rękojeść miecza wreszcie przykleiła się do dłoni, porucznik jednym ruchem strzepnął pochwę z ostrza i nagle z półmroku przed nim wyłonił się galopujący jeździec. Lanca mierzyła wprost w brzuch porucznika, który zasłonił się niezręcznie tarczą, a siła uderzenia wyrzuciła go za burtę wozu.

Przez mgnienie oka leciał w powietrzu, jakimś cudem nie upuszczając ani tarczy, ani miecza, a następnie walnął o ziemię z takim impetem, że aż stracił dech. Odruchowo przetoczył się przez plecy, potrząsnął głową, żeby przegonić ciemne plamy sprzed oczu. A koczownik już najeżdżał na niego, pochylony w siodle, lanca uderzyła w dół, podstępnie, na wysokości uda, Kenneth odbił grot mieczem, doskoczył do konnego i z całej siły pchnął tarczą. Szpiczaste umbo wbiło się w nogę napastnika tuż nad brązowym nago-

lennikiem, w miejscu, gdzie nie sięgała kolczuga, jeździec krzyknął, szarpnął wodze, usiłując cofnąć konia, i puścił lancę, sięgając po szablę.

Kenneth nie dał mu szansy. Przykleił się do konia, pociągnął tarczę w dół, mocniej rozrywając nogę przeciwnika, a krzyk rannego przeszedł w wycie. Strażnik pchnął mieczem w górę, trafiając w brzuch, pozycja była niewygodna, nie mógł włożyć pełnej siły w uderzenie, więc kolczuga koczownika wytrzymała, ale cios wypchnął powietrze z jego piersi. Mężczyzna zgiął się w pół, a kolejne uderzenie trafiło go w szyję, tuż pod zapinkę hełmu. Gorąca krew trysnęła porucznikowi na twarz, wyszarpnął miecz i odskoczył, cofnął się kilka kroków, szukając plecami wozu.

Dwóch konnych wyłoniło się z obu stron pojazdu i zwolniło. Ten z prawej miał lancę, ten z lewej łuk i już unosił broń do strzału. Kenneth skulił się za tarczą, boleśnie świadomy, że jest o wiele za mała, strzelec może spokojnie wybrać, gdzie go trafi, a jego towarzysz po prostu dobije rannego. Brzęknęła cięciwa, głowa łucznika odskoczyła w tył z krótkim bełtem tkwiącym pośrodku czoła, drugi koczownik spiął konia i w tej chwili trafiły go dwa pociski. Stęknął, upuścił lancę i zwalił się z konia, a potem spróbował odpełznąć w bok.

Z ciemności wyskoczyły pochylone sylwetki, Kenneth rozpoznał swoją dziesiątkę, kilku ludzi z Drugiej i Czwartej oraz na oko całą Piątą. Jeden z żołnierzy, przebiegając obok, przyszpilił ruszającego się jeszcze koczownika do ziemi. Wokół trwała walka. Fenlo Nur podbiegł do dowódcy z kuszą w ręku. W zębach, niczym knebel, trzymał gruby bełt.

— Czały jestesz… *tfu* — wypluł pocisk — cały pan jest?

— Tak, to nie moja krew.

— Dobrze.

Dziesiętnik oparł kuszę o ziemię, naciągnął, założył bełt. Wokół strażnicy utworzyli luźny krąg. Porucznik rzucił okiem, było ich około trzydziestu, w tym połowa z kuszami, z podoficerów miał tylko Nura.

— Wozy w koło — rzucił.

Krępy dziesiętnik skinął tylko głową. Znajdowali się po zewnętrznej stronie półokręgu ustawionego z kilkunastu wozów, przez kilka chwil mieli spokój, większość napastników szalała nieco dalej, choć sądząc po coraz głośniejszym brzęku stali i rżeniu koni, nie szło im już tak łatwo.

— Bland, Malawe, Gawoh i wy dwaj, dwa wozy z lewej i zamykacie krąg. Maronles, Szpak i wy — Kenneth wskazał kilku żołnierzy pozbawionych kusz — wozy z prawej. Fenlo, bierz kuszników i osłaniacie ich. Na trzy. Raz, dwa…

Ruszyli biegiem, pochyleni, dopadli wozów, szarpnęli. Puste pojazdy potoczyły się lekko i półokrąg zaczął się zamykać. W międzyczasie porucznik znalazł wóz, na którym spał. Pas z pochwą i sztyletem powędrował na miejsce.

I w tym momencie błysnęło światło. Ktoś wrzucił naręcze chrustu w jedno z tlących się leniwie ognisk, płomienie buchnęły na kilka stóp w górę, oświetlając obóz. Koczownicy znajdowali się wszędzie, galopowali po zakrwawionej ziemi, kłuli uciekających w plecy, ścinali szablami, rozwalali toporami głowy. Łuki pracowały rzadziej, w ciemnościach trudno było mierzyć do niewyraźnych celów i chyba właśnie dlatego wpadli na pomysł, by oświetlić sobie okolicę. Tym bardziej że w jednym miejscu Wozacy zbili się w potężną gromadę, uzbrojeni w co który złapał, siekiery, łopaty, ciężkie młoty, drewniane drągi. Wianuszek okrwawionych ciał koni i ludzi świadczył, że próba rozbicia tej kupy frontalnym atakiem nie powiodła się, więc teraz błysnęło drugie i trzecie ognisko, a jeźdźcy sięgnęli po łuki i świsnęły pierwsze strzały.

Verdanno zakłębili się i zaczęli cofać w stronę grupy wozów stojących bliżej rampy, coraz szybciej, coraz bardziej bezładnie. Dzieliło ich od zbawczej osłony jakieś sto kroków i jasne było, że zanim tam dotrą, koczownicy wystrzelają połowę z nich. A jeśli Wozacy rzucą się do ucieczki, zostaną stratowani i wyrżnięci.

— Tam!

Kenneth wskazał Fenlo Nurowi oddaloną o jakieś pięćdziesiąt jardów grupkę konnych łuczników. Podoficer skinął głową, rzucił kilka krótkich rozkazów, jego dziesiątka i tych kilku pozostałych żołnierzy z kuszami wzięła koczowników na cel.

— Teraz! — warknięcie Nura przebiło się przez zgiełk bitwy i kilkanaście kusz szczęknęło jak jedna.

We wskazanej grupie konnych było równo dziesięciu jeźdźców i nagle czterech zwaliło się na ziemię, pięciu zakrzyczało różnymi głosami, zgięło się w siodłach, a ostatni zastygł z otwartymi ustami i na wpół naciągniętym łukiem.

Fenlo Nur nie tracił czasu na podziwianie efektów swojej pracy, oparł kuszę o ziemię, szarpnął cięciwę, pozornie bez wysiłku zaczepił ją o orzech, położył bełt w rowku. Kenneth nigdy w życiu nie widział, by ktoś tak szybko napinał tę broń. Dziesiętnik przytulił łoże do policzka i delikatnie nacisnął spust. Ostatni jeździec wciąż rozglądał się, gdy pocisk trafił go w gardło.

Kenneth zrozumiał. Koczownicy ich nie widzieli. Wozy, które strażnicy ustawili w okrąg, znajdowały się z boku, rozpalone ogniska ułatwiały napastnikom celowanie, ale sprawiały też, że mrok poza kręgiem płomieni był dwa razy gęstszy.

— Strzelajcie dalej — rozkazał. — I wozy bliżej!

Wyskoczył na zewnątrz, w ciemność, gdzie leżały ciała trzech zabitych wcześniej koczowników. O pierwsze prawie się przewrócił, odszukał po omacku twarz, przyklęknął przy trupie, wcisnął ostrze sztyletu pod zapinkę stalowego, zwieńczonego kitą z końskiego włosia hełmu, przeciął. Po chwili miał w ręku trzy hełmy i długą na dwanaście stóp lancę. Wrócił do wozów, w biegu związując kity ze sobą.

Wozy tworzące krąg ustawiono ciaśniej, uzbrojeni w kusze żołnierze słali bełt za bełtem, a Se-kohlandczycy już się zorientowali, skąd są ostrzeliwani, bo o burty zaczęły uderzać strzały. Konni jeszcze nie ruszyli do ataku, strzelali trochę na ślepo, na dodatek porucznik zauważył, jak jeden czy drugi ogląda się przez ramię w stronę rampy, widać nie byli pewni własnych sił. Lecz Kenneth nie zamierzał pozwolić im długo się wahać. Wbił grot lancy w węzeł trzymający razem hełmy, uniósł je w górę, wetknął drugi koniec w szczelinę w dnie najbliższego wozu i potrząsnął.

Hełmy zabrzęczały metalicznym pogłosem, zalśniły w blasku ognia.

— No dobra, trzeba wskazać naszym chłopakom drogę! Szósta! Razem! Szósta!

Żołnierze podjęli okrzyk, waląc do rytmu płazami mieczy i trzonkami toporów o tarcze i burty wozów. Nad zakrwawionym pobojowiskiem poniósł się ryk:

— Szósta! Szósta! Szósta!

Atakujący Wozaków koczownicy odwracali głowy w stronę kręgu wozów, zaczepiali wzrok o powiązane, chwiejące się w powietrzu hełmy i zawracali konie. Trudno o wymowniejsze wyzwanie. Tym bardziej że zza barykady raz po raz wylatywały bełty. Pierwsza grupa nacierających ode-

rwała się od Verdanno i, formując w pełnym galopie luźny szyk, runęła w stronę Straży.

— Czekać!

Nie musiał wydawać tego rozkazu, bo Nur, który objął dowodzenie nad kusznikami, znał się na robocie. Ustawił ich w dwuszeregu, po ośmiu strzelców, i czekał razem z nimi.

A Kenneth widząc, jak Se-kohlandczycy rozpuszczają konie, zrozumiał nagle, co próbują zrobić. Chcieli przeskoczyć górą, nad burtami, i istniało zagrożenie, że im się uda. Pojazdy użyte jako barykada nie były wozami bojowymi, ich burty ledwo sięgały żołnierzom do piersi. Rozpędzony koń mógł przesadzić taką przeszkodę jednym susem.

— Pierwszy, teraz! — Salwa uderzyła w atakujących, dwa konie zaryły chrapami w ziemię, kilka zarżało i wyłamało się z szyku. — Czekać!

Fenlo Nur miał głos jak buhaj w rui i znał się na strzelaniu z kuszy. Pierwszy szereg strzelców cofnął się i zaczął ładować broń, drugi złożył się do strzału.

— Czekać!

Galopowało na nich jakichś trzydziestu jeźdźców, pochyleni nad końskimi karkami i skryci za tarczami, byli cholernie małym celem. Zwłaszcza w ciemnościach rozświetlonych tylko kilkoma ogniskami. Ale kusznicy nie mierzyli w ludzi.

— Czekaaać!

Trzydzieści jardów, luźny szyk atakujących rozpadł się jeszcze bardziej, konie przeszły w cwał.

— Teraz!!!

Osiem kusz szczęknęło jedna za drugą, pięć koni zwaliło się na ziemię, Kenneth widział, jak co najmniej trzy z nich bełty trafiają prosto w głowy, gruchoczą czaszki i zabijają na miejscu. Bo wyszkolony do walki, ogarnięty bojowym szałem rumak nie złamie szyku trafiony nawet kilka razy w pierś i będzie cwałował naprzód jeszcze przez co najmniej sto jardów, nawet jeśli krew zacznie wypełniać mu płuca. Ale zabity na miejscu…

Zakotłowało się, jeźdźcy wylecieli z siodeł, trafione konie zaryły w ziemi, wierzgając na wszystkie strony kopytami, raniąc i okaleczając inne zwierzęta. Koczownicy, którzy nie zdążyli wyhamować, wpadli na ten

młyn i przed wozami wyrósł kłąb ludzkich i końskich ciał. Reszta atakujących odbiła na prawo i lewo, jak woda opływająca skałę.

— Za mną!

Kenneth przeskoczył wóz i wpadł między leżących. Uderzeniem tarczy przewrócił próbującego wstać Se-kohlandczyka, poprawił szerokim ciosem zza głowy, miecz ześlizgnął się po hełmie i rozwalił obojczyk. Tym razem kolczuga nie pomogła, klinga niemal odcięła wojownikowi ramię, porucznik kopniakiem uwolnił miecz i rozejrzał się.

Szósta właśnie kończyła robotę, tych kilku jeźdźców, którzy nie zginęli w czasie upadku, wyrżnięto w mgnieniu oka.

A wokół nagle zaświstały strzały.

— Zbierać lance i do wozów!

Wrócili za osłonę, unosząc kilka zdobycznych lanc. Mogły się przydać, brakowało im długiej broni do walki z konnicą.

Pociski uderzały o burty coraz gęściej, lecz nadal niezbyt celnie, w ciemności ludzkie sylwetki skryte za deskami były ledwo widoczne. W przeciwieństwie do jeźdźców, którzy w świetle ognisk wyraźnie odcinali się na tle rozgwieżdżonego nieba. Kusze podjęły pracę.

Po kilku salwach wśród Se-kohlandczyków zabrzmiały gwizdki. Konni zaczęli się przeformowywać.

Kenneth rzucił okiem w stronę Verdanno i zamrugał, zbita masa pieszych ledwo dotarła do wozów u podnóża rampy. A wydawało mu się, że ich potyczka trwała dobry kwadrans.

— Idą — głos Fenlo był spokojny, napiętą kuszę trzymał opuszczoną. — Teraz uderzą w dwóch miejscach.

Malawe zatknął koniec zdobycznej lancy w ziemię, napluł w dłonie.

— Uparli się, czy co?

— Nasz porucznik ma talent do wkurzania ludzi. — Dziesiętnik spojrzał wymownie na pobrzękujące w powietrzu hełmy.

— A nie, to to wiemy nie od dzisiaj. — Strażnik błysnął w ciemnościach zębami, potrząsnął lancą. — Dzięki temu się nie nudzimy.

Koczownicy zachodzili ich z dwu stron w grupach po trzydziestu. Kenneth rozejrzał się po pobojowisku, nie było tam już właściwie napastników.

Czyżby Wozaków zaatakował tylko mały podjazd, mniej niż sto koni? Dlaczego więc nie uciekają, mając pod bokiem całą armię Verdanno?

— Chcą nas. — Fenlo zdawał się czytać mu w myślach. — Chcą cesarskich żołnierzy, na dowód, że Imperium maczało palce w przejściu Wozaków przez góry. Spróbują wziąć kogoś żywcem, taki jeniec będzie na wagę złota.

Łoskot kopyt zagrzmiał nagle z prawej i lewej, Se-kohlandczycy runęli na barykadę.

Kenneth zrozumiał, że nie zatrzymają ich niskie wozy ani garść lanc, które mieli jego żołnierze.

— Gotuj się! Salwa i pod burty! Wpuszczamy ich!

Kusznicy dopadli pojazdów, pospieszna salwa załomotała o tarcze, zamlaskała mokrymi uderzeniami o końskie piersi i łby, po czym żołnierze przykucnęli przy burtach, chroniąc głowy. Kenneth też. Nagle nad wozem, do którego się przytulił, przeskoczył koń, ciemny kształt na tle nieba zdawał się frunąć w nieskończoność, wyciągnięty w skoku z przednimi nogami ugiętymi tak, że dotykały piersi.

Konni przeskakiwali wozy tylko z jednej strony, atak na drugą był zmyłką, która miała rozproszyć obrońców, i od razu, wpadając do środka, ruszali do ataku z nisko pochylonymi lancami. Na oczach Kennetha jeden ze zrywających się na nogi strażników, nim zdołał się odwrócić, został przyszpilony do burty, inny uniknął pchnięcia lancą, ale wyszkolony koń najechał na niego, obalił i stratował. Zgromadzeni pod wozami po przeciwnej stronie obronnego kręgu żołnierze w kilka uderzeń serca znaleźli się w poważnych kłopotach.

— Ataaaak!!! — wrzasnął, zrywając się na nogi.

Obok Fenlo Nur, który jakimś cudem zdołał w międzyczasie napiąć cięciwę, posłał bełt w plecy najbliższego jeźdźca, odrzucił kuszę i wyciągając kordy, runął na koczowników. Kenneth złapał zdobyczną lancę, doskoczył do pierwszego Se-kohlandczyka. Ten obejrzał się przez ramię, spróbował przerzucić drzewce nad końską głową, ale nie zdążył. Wąski grot trafił go w bok, na wysokości nerki, bez trudu przebił kolczugę i zagłębił się w ciało. Jeździec krzyknął krótko, strasznym głosem, Kenneth naparł mocniej, wepchnął ostrze jeszcze na kilka cali. Puścił lancę, wyszarpnął miecz i skoczył do następnego napastnika.

To była brudna walka. Brutalna i bezlitosna. W ciemnościach, z ostrzami szabel i toporów walącymi z góry, z lancami kłującymi na odległość. Na dodatek pierwszy atak rozproszył strażników, walczyli teraz bez żadnego szyku ani taktyki. Jeden na jednego, czasem jeden na dwóch. Cios mógł nadejść z każdej strony, niewidoczny; w chwili, gdy powalałeś jednego wroga, drugi wbijał ci ostrze w plecy.

Kenneth wpadł między dwa konie, chlasnął po odsłoniętej nodze najbliższego jeźdźca, przy okazji rozrąbując bok zwierzęcia, przyjął na uniesioną tarczę cios toporem wyprowadzony przez drugiego z wojowników i skontrował krótkim sztychem pod pachę. Płytko, ale koczownik i tak wrzasnął i puścił broń. W tym momencie ktoś uczepił się Se-kohlandczyka z drugiej strony i ściągnął go z siodła. Porucznik odwrócił się, jeździec zranionego konia opanował właśnie wierzchowca i najeżdżał na niego, zwierzę błyskało szalonymi oczyma i kłapało zębami.

Oficer też wyszczerzył się w dzikim grymasie. Cholerni koniarze, jak tylko znajdą się w siodłach, mają się za panów świata. Cofnął się pół kroku, unikając ugryzienia. Wydaje im się, że zasrana piechota jest tylko do sprawdzania ostrości broni. A on musi się tu bawić z tym chędożonym bękartem, kiedy jego ludzie walczą rozproszeni po całym obozie i giną, pozbawieni dowódcy.

Jeździec pochylił się i spróbował szybkiego sztychu szablą, głupio, bo miał za krótką broń, ale to była zmyłka, bo gdy tylko Kenneth sparował cios, koń wyrzucił szyję naprzód i zatrzasnął zębiska tuż przed jego twarzą. Cal dalej, a porucznik straciłby nos i policzek.

I w tym momencie coś w nim wybuchło. Odskoczył o dwa kroki, wziął szeroki zamach tarczą i z całej siły, z wściekłością, jakiej starał się do tej pory nie poddawać, walnął w koński łeb krawędzią okucia. Zaraz poprawił na odlew, aż głowa wierzchowca odskoczyła, a zwierzę wydało z siebie coś między rżeniem a kwikiem. Urwał je trzeci cios, po którym oczy konia zamgliły się, nogi rozjechały i zwierzę zwaliło się na ziemię.

Porucznik skoczył, dobił podnoszącego się jeźdźca i runął między inne konie, do swoich żołnierzy.

Pierwszy był Malawe, przyparty do wozu osłaniał się rozpaczliwie przed atakami dwóch Se-kohlandczyków. Szable błyskały w górze i opadały, dzwoniąc po kordach, unoszonych z coraz większym wysiłkiem. Koczownicy uderzali na zmianę, bez przerwy, jeszcze kilka ciosów, a strażnik

spóźni się z obroną. Kenneth dopadł pierwszego konia, nie patrząc na jeźdźca, uderzył nisko, niemal odrąbując prawą przednią nogę wierzchowca, który zarżał głosem przechodzącym w rozpaczliwy kwik i szarpnął się w tył. W tej samej chwili szerokie uderzenie od dołu rozpłatało mu gardło.

Porucznik zignorował upadające zwierzę, ruszył do drugiego napastnika, ten uniósł się w siodle, szabla zadzwoniła o tarczę Kennetha, lecz wtedy miecz strażnika do połowy ostrza pogrążył się w końskim boku. Wierzchowiec zacharczał, czarna krew trysnęła mu chrapami i pyskiem, i zwalił się na bok, przygniatając konnego. Dwa szybkie ciosy i było po wszystkim.

— Za mną!

Malawe odetchnął głęboko, raz, drugi, a potem skinął głową. Dopadli następnego konia we dwóch, pchnięcie w bok zwierzęcia i drugie w szyję jeźdźca, który zdążył wyrwać nogi ze strzemion, ale nie zdążył już zasłonić się tarczą. Kenneth obiegł konające zwierzę i zaatakował następnego koczownika, który właśnie, pochylony w siodle, dźgał szablą jakiś kształt przed kopytami wierzchowca. Porucznik złapał wojownika za rękę, ściągnął z siodła i krótkim, oszczędnym ruchem poderżnął gardło. W tym samym czasie Malawe walnął konia płazem w zad, odpędzając na bok.

Porucznik pochylił się nad leżącym. Patyk osłaniał tarczą siebie i jeszcze jednego żołnierza. Gdy uniósł głowę, w oczach miał pustkę.

— Próbowałem go ochronić, ale tamten był szybszy… próbowałem…

Patyk używał dużej, piechociarskiej tarczy, pod którą, jak żartował sobie Velergorf, mogła znaleźć schronienie cała dziesiątka. Ale tym razem tarcza okazała się za mała. Na ziemi leżał jeden z piątej kompanii, twarz trafiona kopytem nie przypominała ludzkiego oblicza. Kenneth nie potrafił go rozpoznać, nie teraz.

— Gdzie twoja broń?

Patyk zamrugał, wstał, podniósł z ziemi topór.

— Idziemy.

Koczownicy jeszcze nie zauważyli, że coś się dzieje, jeszcze zajęci byli krótkimi starciami w rozproszeniu, podczas których pozycja na końskim grzbiecie dawała zdecydowaną przewagę. Ale też nie szło im tak łatwo, jak się spodziewali, starcia się przedłużały, Górska Straż to nie banda chłopów zgarnięta z pola. Żołnierze walczyli zażarcie, kilka koni biegało już luzem,

paru jeźdźców wycofało się z walki. Mimo wszystko przewaga była po stronie Se-kohlandczyków.

Kenneth, Malawe i Patyk skoczyli ku największej gromadzie, gdzie kilku strażników, ustawionych plecami do wozów, atakowała grupa około dziesięciu koczowników. Walka się przeciągała. Być może chodziło o to, że rzeczywiście starali się wziąć ich żywcem, trup, nawet noszący płaszcz Straży, nie byłby żadnym dowodem. Szable, lance i topory uderzały i kłuły raz po raz, ale piesi bronili się z ponurą determinacją, w milczeniu, szczęk żelaza i ciężkie dyszenie były jedynymi odgłosami unoszącymi się nad walczącymi.

Kenneth w biegu podniósł z ziemi se-kohlandzki topór, kawaleryjską broń z lekkim żeleźcem zamocowanym na długim stylisku, zakręcił i rzucił. Najbliższy jeździec wrzasnął, gdy ostrze trafiło go w plecy tuż powyżej tylnego łęku, ściągnął odruchowo wodze, aż koń przysiadł na zadnich nogach, i przetoczył się przez plecy na ziemię. Jego wierzchowiec szarpnął się w tył, w linii koczowników powstała luka.

Wpadli w nią we trzech.

— Patyk, tarcza!

Tarcza znalazła się nad ich głową, przyjęła kilka potężnych ciosów, ale było za ciasno, by koczownicy mogli ich dosięgnąć. Nagle oba konie zarżały, zakwiczały dziko, jeden zwalił się na pysk, drugi stanął dęba, załomotał kopytami po grzbiecie sąsiedniego wierzchowca. Wszczęło się zamieszanie, które w chwili, gdy jeszcze jeden koń, trafiony w pysk mieczem, wypadł z szeregu, przerodziło się w panikę. Jeźdźcy łamali szyk i zawracali, próbując się oderwać od pieszych. Najstarszy manewr jazdy.

Tylko że cholernie trudny do wykonania w kręgu wozów o średnicy jakichś trzydziestu jardów, gdzie wszędzie leżą trupy ludzi i koni, a zwierzęta mają za mało miejsca, by nabrać prędkości. O skoku przez wozy nie było nawet mowy.

Kenneth zresztą nie zamierzał im na to pozwolić.

— Za mną!

Poszli Malawe, Patyk i ci, którzy jeszcze przed chwilą byli przyciśnięci do wozów. Tym razem sytuacja odwróciła się, to jeźdźcy zostali przyparci do burt, a piechota ich atakowała. I to z bezwzględną skutecznością. Szpak i Dewres, uzbrojeni w ciężkie, dwuręczne topory, doskoczyli do koni i w przyklęku zadali potężne, poziome cięcia na wysokości pęcin. Kwik

ranionych zwierząt wybuchł nad polem walki, na chwilę zagłuszając wszelkie inne odgłosy. A strażnicy wpadli między wierzchowce, ściągali jeźdźców z siodeł, rozwalali głowy, dźgali, cięli i kłuli. W mniej niż dziesięć uderzeń serca było po wszystkim.

Kenneth wytarł twarz z krwi.

— Malawe, Patyk, Dewres i wy, na lewo — rzucił. — Reszta za mną.

Ruszyli wzdłuż linii wozów, atakując po kolei resztę koczowników i odwracając sytuację. Ponad połowa konnych już nie żyła lub była ranna, a większość jego żołnierzy wciąż stała na nogach. Poza tym strażnicy skupili się już, a grupa, którą zebrał Kenneth, parła bezlitośnie naprzód i zabijała Se-kohlandczyków i ich konie. Jednego po drugim.

Gdzieś brzęknęła kusza, potem druga i kolejnych dwóch jeźdźców wyleciało z siodeł. Kenneth obejrzał się, Fenlo Nur zebrał kilku ludzi i właśnie napinali broń. Trochę niepotrzebnie, bo ostatnich trzech koczowników zeskoczyło na ziemię, smyrgnęło pod wozami i znikło w ciemności.

Przez chwilę wszyscy tkwili bez ruchu, ściskając w dłoniach lepiącą się od krwi broń.

Stojący obok Kennetha Patyk oparł tarczę o ziemię, pochylił się, otarł twarz rękawem, rozmazując krew i pot, a minę miał taką, jakby chciał się rozpłakać. Kenneth potrzebował chwili, by przypomnieć sobie, jak Patyk ma naprawdę na imię.

— Dobra robota, Aers — powiedział głośno.

Dla młodego żołnierza była to pierwsza poważna bitwa. Pierwsza, w której widział śmierć tylu przyjaciół i towarzyszy broni. Bo na nogach pozostało jakichś piętnastu strażników. Kilku jeszcze podnosiło się powoli i widać było, że są mniej lub bardziej ranni. Co najmniej dziesięciu leżało bez ruchu.

Kenneth obejrzał się, słysząc tętent. Nadchodziła reszta podjazdu.

Jeźdźcy byli jakieś sto kroków od nich, galopowali wąską linią, by utrudnić życie kusznikom, ale rozpuszczali już konie, gotowi wpaść w krąg wozów i dokończyć dzieła.

— Pod wozy!

W chwili, gdy Kenneth rzucił rozkaz, koczownicy dostali salwę w bok. Oddział zwinął się jak wąż przyszpilony strzałą, spróbował zawrócić, by

stawić czoła niebezpieczeństwu, ale było za późno. Bo w jego linię wbiła się kolumna rydwanów.

Górska Straż była pierwszy raz świadkiem takiego starcia. Rydwany przeciw konnicy. Być może w dzień, w pełnym świetle, gdy obie grupy widziałyby się z daleka, przewaga byłaby po stronie Se-kohlandczyków. Ale teraz rydwany okazały się zabójczo skuteczne.

Każdy ciągnęła para koni okrytych pikowanymi pancerzami, każdy miał dwuosobową załogę – woźnicę i łucznika – chronioną przez wysokie burty, i każdy był prawdziwą machiną wojenną. Strzelcy szyli do konnych, a woźnice, kierując jedną ręką, drugą ciskali krótkie dziryty. Przygotowani do szarży na pieszych koczownicy, bez łuków w rękach, dali się zaskoczyć.

Klin rydwanów przeciął ich kolumnę w pół, rozdzielił się z imponującą precyzją na dwie części i zawrócił. W tym starciu wygrywała masa i siła, podwójny zaprzęg był w stanie przewrócić i stratować wrogiego wierzchowca, strzały i dziryty zbierały obfite żniwo wśród jeźdźców i w kilka chwil zwarty oddział jazdy rozpadł się na pojedyncze grupki, walczące o przetrwanie.

Nagle z drugiego końca pola walki dobiegł ryk:

— Szósta! Szósta! Szósta!

I między konnymi i rydwanami pojawiły się sylwetki pieszych, doskakujące i tnące konie po pęcinach, ściągające jeźdźców na dół, szyjące z kusz. To był ostatni impuls, koczownicy zaczęli zawracać konie i uciekać w stronę równiny. Fenlo Nur stanął obok dowódcy, odchrząknął, splunął na ziemię.

— Nareszcie się zebrali — wycharczał.

— Pewnie coś ich zatrzymało, noc taka piękna, niektórzy woleliby pewnie pooglądać gwiazdy. — Kenneth starał się nie pokazać, jaką odczuł ulgę. Przez chwilę bał się, że garstka przy nim to wszystko, co zostało z kompanii. — Kłopoty z gardłem?

— Jeden suczy syn trafił mnie łokciem w szyję.

— Coś osobistego?

— Nie powiedział. Może chodziło o to, że wbijałem mu kord w brzuch.

— Takie coś potrafi sprawić, że człowiek zapomina o manierach.

— Właśnie.

Nur spojrzał mu w oczy i Kenneth poczuł chłód, to znów był ten spokojny, zimny wzrok mordercy. Z pewnością nie został jego ulubionym porucznikiem.

— To było dobre. — Młodszy dziesiętnik odezwał się pierwszy.

— Co?

— Dowodzenie. Zebrałeś ludzi, pokazałeś im, że nie są sami, poprowadziłeś do walki. Gdybyśmy mieli gorszego dowódcę, nikt nie zostałby żywy. Będą długo opowiadać sobie o tym, jak powaliłeś konia ciosem tarczy.

Cholera, a może jednak?

— Nur.

— Tak jest.

— Za odezwanie się na ty do dowódcy trzymasz podwójne warty przez najbliższe trzy noce. A teraz zajmij się rannymi.

— Tak jest!

Dziesiętnik stanął na baczność i zasalutował. Bez żadnego złośliwego grymasu na ustach.

Dopiero po chwili do Kennetha dotarło, co właściwie usłyszał. Nur widział, jak znokautował konia, i widział, jak zbierał ludzi, formując na powrót oddział. Czyli go obserwował. W czasie walki, wbijając komuś miecz w brzuch. Kim on do cholery był, że nie spuszczał wzroku z dowódcy? Od czasu do czasu słyszało się o takich żołnierzach, zgorzkniałych, żyjących w poczuciu krzywdy, uważających oficerów za zło wcielone i nienawidzących ich serdecznie. Ciekawe, czy gdyby sprawił się dzisiaj gorzej, to dostałby zabłąkanym bełtem?

Wykrzywił się i splunął tak samo siarczyście jak przed chwilą dziesiętnik. To nie był dobry czas na takie rozważania. Trzeba zająć się rannymi i pogrzebać zabitych.

* * *

Usiedli w kręgu, milcząc. Kenneth, Velergorf, Andan z głową obwiązaną szmatą, Bergh z prowizorycznie zszytym barkiem, Cerwes Fenl, którego skórzany pancerz przypominał sito, bo jeden z konnych złapał go na arkan i przeciągnął pięćdziesiąt jardów po ziemi, Versen-hon-Lawons i Omne

Wenk z ręką na temblaku, Fenlo Nur. A za ich plecami reszta kompanii, kilkudziesięciu mężczyzn, każdy z kubkiem w ręku, niemal co drugi mniej lub bardziej poharatany.

Podliczyli już straty. Największe poniosły Pierwsza i Piąta dziesiątka, po czterech ludzi, w pozostałych było po jednym albo dwóch zabitych. Łącznie Szósta Kompania straciła piętnastu żołnierzy; drugie tyle było rannych. To znaczy rannych na tyle, że obniżało to ich sprawność bojową, bo takie drobiazgi, jak nadcięte ucho czy potłuczone żebra się nie liczyły. Stracili też pięć psów.

Milczeli. To był czas żałoby po towarzyszach. Tak się złożyło, że zginęło ośmiu starych i siedmiu nowych strażników, choć istniało jeszcze ryzyko, że proporcje się wyrównają, bo jeden z ludzi Omne Wenka miał ciężką ranę brzucha. Uzdrowiciele Verdanno starali się jak mogli.

And’ewers zrobił więcej, niż nakazywała przyzwoitość. Ranni strażnicy zostali otoczeni opieką nawet przed rannymi Wozakami. Być może miało to coś wspólnego z relacją zdaną przez Ger’serensa. Budowniczy opisał całe starcie, łącznie z tym, jak Velergorf zebrał połowę kompanii i osłaniał odwrót tych, którzy nie zginęli w pierwszym ataku, oraz że reszta strażników ściągnęła na siebie większość sił wroga. *En’leyd* obejrzał prowizoryczny krąg wozów wypełniony trupami koczowników i koni, policzył je i nic nie powiedział. Ale strażnicy mieli pierwszeństwo w opatrywaniu ran oraz opiece uzdrowicieli i czarowników.

Verdanno nie potrafili lub nie lubili dużo gadać, lecz mieli inne sposoby, by wyrazić wdzięczność i uznanie. Przed skromnym obozem Szóstej Kompanii rosła sterta podarunków. Beczułek wina, haftowanych koszul i jedwabnych kamizelek, nowych butów, pasów, broni w wysadzanych złotem i klejnotami pochwach. Co i rusz podchodziło kilka osób, kłaniało się bez słowa i zostawiało swój prezent.

Trudno o lepszy dowód uznania.

A mimo to, sącząc podarowane wino, Kenneth czuł pustkę.

Velergorf powiedział, że to pomoże. Pożegnanie. Bez słów, bez ubierania wspomnień o innych w żałobne kłamstwa, bez oszukiwania się. Ale kłamstwa nie byłyby potrzebne, bo to byli dobrzy ludzie, którzy zasłużyli sobie na tę chwilę ciszy. Kenneth podejrzewał jednak, że wcale nie chodzi o umarłych, lecz o żywych. To oni musieli uporać się ze śmiercią, z tym, że

towarzysze, którzy jeszcze wczoraj śmiali się i żartowali, dziś leżą zawinięci w żałobne płótno.

Ustalili już mniej więcej przebieg starcia. Po pierwszym ataku Velergorf objął dowództwo. Udało mu się skupić przy sobie większość kompanii, dołączyć do zbierającej się gromady Wozaków i odeprzeć dwa ataki, zanim koczownicy wpadli na pomysł z ogniskami i zaczęli rozstrzeliwać obrońców. I tylko dzięki temu, że – jak to ujął – pan porucznik naszczał na gniazdo szerszeni, nie wyrżnęli wszystkich.

Kenneth w czasie walki dowodził swoją dziesiątką, która jak zwykle rozłożyła się w pobliżu, Piątą, trzymającą akurat wartę, i kilkoma innymi żołnierzami. A choć mogło się wydawać, że bitwa trwała pół nocy, nie była dłuższa niż kwadrans. Tyle zajęło Wozakom posłanie na dół setki rydwanów, bo tylko tyle mieli w gotowości. Niezły czas jak na zaskoczenie, które zgotowali im Jeźdźcy Burzy.

Bo zaatakowały ich Błyskawice Kyh Danu Kreda, trzeciego spośród dowódców Ojca Wojny. Verdanno wzięli żywcem kilku jeźdźców i już wiedzieli, że plemiona podległe Danu Kredowi wyruszyły wcześniej niż zwykle i kierowały się wzdłuż Olekadów na północ. Całe sto tysięcy dusz, oczywiście licząc kobiety, starców i małe dzieci. Danu Kredo miał pod sobą jakieś piętnaście tysięcy lekkiej jazdy i trzy tysiące Błyskawic oraz paru naprawdę potężnych Źrebiarzy, ale te wyliczenia były niedokładne, bo wśród Se-kohlandczyków prawo do posiadania konia i łuku miał każdy, bez względu na wiek i płeć. A to znaczyło, że przeciw Wozakom może stanąć trzydzieści albo czterdzieści tysięcy konnych. I tak, Kenneth uśmiechnął się gorzko, koczownicy wiedzieli. Wiedzieli, że przez Olekady przeprawia się właśnie armia Verdanno, że nieskończone, nieogarnione przeciętnym umysłem skarby w koniach, wozach, broni i ubraniach, złocie i srebrze wlewają się przez góry na wyżynę. I dlatego właśnie Kyh Danu Kredo poderwał swoje plemiona wcześniej niż zwykle, by zdobyć to bogactwo dla siebie. Był młody, ambitny, spragniony łupów i wierzył, że jego trzydzieści tysięcy jazdy zdoła ogarnąć jeśli nie wszystkie, to przeważającą większość wozackich bogactw. Bo ani bojowe wozy, ani rydwany nie wydawały mu się straszne. Był pewien, że zanim przybędzie reszta Se-kohlandczyków, zdoła pokonać prawowitych właścicieli wyżyny.

Przynajmniej tak twierdzili jeńcy, a ponieważ przesłuchiwano ich osobno i wszyscy mówili to samo, wieści wyglądały na prawdziwe. Obozo-

wisko u stóp rampy zaatakował tylko jeden a’keer, nie więcej niż sto dwadzieścia koni. Czoło sił Kyh Danu Kreda miały znajdować się trzy dni drogi na południe stąd.

A to oznaczało, porucznik zacisnął dłoń na kubku, aż pobielały mu kłykcie, że wszystko poszło na marne. Większość wozackiej armii tkwiła jeszcze pod Kehlorenem, Verdanno potrzebowali co najmniej dziesięciu dni, żeby przeprawić się przez góry, dziesięciu, a mieli trzy albo i mniej, bo na wieści przyniesione przez niedobitków podjazdu Syn Wojny z pewnością przyspieszy. Otoczy ich przy podnóżu gór, przyciśnie pierścieniem jazdy do Olekadów, nie pozwoli uformować się wielkim karawanom. A to właśnie te karawany, wędrujące bitewne obozy, były podstawą planu Wozaków. Jeśli nie wyruszą, wszystko przepadnie.

Całe to szaleństwo związane z przebijaniem się przez góry nie miało sensu. Wozacy powinni spalić rampę, zawalić wyrwane w trzewiach góry przejście i udać się pod zamek, niszcząc za sobą wybudowane drogi i mosty. A potem wrócić na Stepy.

Dzisiejszej nocy jego ludzie ginęli na darmo.

Nie powinno ich tu być, jego kompania nie powinna mieszać się w politykę Imperium, w zabawy przesuwające na mapie świata całe narody i zmieniające granice. Powinni siedzieć w Belenden i łapać bandytów.

Powiódł wzrokiem po swoich dziesiętnikach. Byli poważni, nieobecni, skupieni na własnych myślach. Nawet Velergorf siedział, wpatrując się w kubek, a wytatuowane czoło przecinała mu pionowa zmarszczka. Stracił w potyczce dwóch żołnierzy, z którymi służył od dziesięciu lat.

— To byli dobrzy ludzie — rzucił wreszcie.

— Dobrzy — zgodziła się reszta.

Najstarszy dziesiętnik uniósł kubek.

— Oby im się wiodło w drodze do Domu Snu i oby Matka łaskawym okiem spojrzała na ich dusze.

Wznieśli naczynia, wypili. Bo takie były stypy wśród żołnierzy Górskiej Straży, krótkie, ciche, intensywne.

Kenneth odłożył kubek.

— Ilu ludzi nie da rady chodzić?

— Ośmiu. — Velergorf miał już wszystkie informacje. — Rozmawiałem z And’ewersem. Proponuje, żebyśmy ich zostawili w obozie, aż staną na

nogi, albo odesłali linią noszowych do zamku. Nasz wybór. Reszta rannych da radę iść, choć niektórzy nie za bardzo nadają się do bitki.

— Dobrze. Wozak mówił, co zmierzają teraz zrobić?

— A jak pan myśli, poruczniku? — rozległ się z boku ochrypły głos.

And'ewers stał kilka kroków za ostatnimi żołnierzami. Wyglądał, jakby zaraz miał wyruszyć do walki, kolczuga o drobnych oczkach połyskiwała srebrzyście, hełm z nosalem ocieniał twarz, a lekki topór na długim stylisku obijał się o biodro. Towarzyszyło mu dwóch ludzi. Jeden wyglądał jak młodsza kopia kowala, dla żartu ubrana i uzbrojona w taki sam sposób, drugi, stojący nieco z boku, jak topielec wyciągnięty właśnie z wody. I to topielec w szarościach imperialnych Szczurów.

— Mój syn, Der'eko — dowódca karawany przedstawił młodego wojownika. — *Kanewey* Pierwszej Fali Obozu New'harr. Jutro poprowadzi swoje rydwany na południe. On i jeszcze osiem innych Fal. Pełne trzy Lawiny pod dowództwem *Lamerei* Awe'aweroh Mantoru.

Młodsza kopia And'ewersa skłoniła się sztywno, patrząc gdzieś nad głowami strażników. Kenneth odpowiedział skinieniem głowy, po czym rzucił dziesiętnikom:

— Przygotujcie ludzi do drogi. — Sam wstał i zaczął się przeciskać do kowala. Obecność Szczura znaczyła, że przyszły jakieś rozkazy.

— Więc spróbujecie — zaczął, gdy stanął przed And'ewersem.

— Oczywiście. Nie po to szliśmy taki kawał drogi. — Z twarzy Wozaka nie dało się wyczytać żadnych emocji. — Poza tym wiele się nie zmieniło, po prostu spotkamy koczowników trochę wcześniej.

Odeszli jeszcze kilka kroków na bok.

— Bez przygotowania i z większością wozów po drugiej stronie gór.

— Tylko co to zmienia?

Czarne oczy And'ewersa patrzyły spokojnie. Kenneth westchnął.

— Masz rację, to nie moja sprawa. Tak przez ciekawość, ile rydwanów wyślecie przeciw Se-kohlandczykom?

— Dziewięć Fal. Jakieś pięć tysięcy, z czego połowa ciężkich. Mniej więcej dwanaście tysięcy ludzi. Do tego Ome z kilkoma uczniami. Podobno wśród Źrebiarzy Danu Kreda jest Fendor Kawe Lahar. Ten sam, którego czary zniszczyły wiele naszych wozów w czasie Krwawego Marszu. Ome ma z nim do pogadania.

To nie wyglądało na zwykłe działania opóźniające, raczej na szykowanie się do dość poważnej bitwy.

— Będziecie chcieli trzymać ich z dala od rampy?

— To oczywiste. Podjąłeś decyzję, co z rannymi?

— Tak. Wolę, żebyście wysłali ich na tyły. Jak zacznie się walka, będziecie mieli dość problemów z własnymi.

— Dobrze.

Żaden z nich nawet nie spojrzał na przestępującego niecierpliwie z nogi na nogę Szczura. Najwyraźniej And’ewers miał takie samo zdanie o Wywiadzie Wewnętrznym, jak większość żołnierzy Górskiej Straży, bo Kenneth był gotów przysiąc, że na dnie jego oczu pojawia się błysk rozbawienia.

— Potrzebujecie czegoś? Żywności? Leków? Ubrań? Broni?

Porucznik wskazał na stosy prezentów otaczające obozowisko.

— Raczej nie. I tak nie damy rady zabrać tego wszystkiego, więc dobrze by było, by nie przynoszono tu więcej rzeczy.

Kowal pokręcił głową.

— Straciliśmy w nocy prawie trzystu ludzi. A wy zabiliście połowę koczowników, mszcząc śmierć wielu z nich…

Kenneth żachnął się gniewnie.

— Nie chodziło nam o zemstę.

— Wiem. Lecz nie musieliście oznajmiać swojej obecności w ten sposób. — And’ewers wskazał na wbitą pośrodku obozu lancę, na której wciąż pobrzękiwały trzy se-kohlandzkie hełmy. — Gdybyście nie ściągnęli na siebie uwagi, zginęłoby więcej naszych. Więc przychodzą rodziny tych, którzy zginęli, i tych, którzy przeżyli. Nie mogę im tego zabronić.

Porucznik westchnął.

— Nie zabierzemy wszystkiego. Nie damy rady.

— Nie zmarnują się i nikt się nie obrazi. — Ciemne oblicze kowala rozjaśniło coś na kształt uśmiechu. — Jesteśmy wędrowcami, którzy rozumieją, że nadmiar może być kłopotem, lecz ważniejsze jest obdarowanie, a nie to, co obdarowany zrobi z prezentem. Jesteśmy też ludźmi praktycznymi. Rzeczy, których nie weźmiecie, trafią do wspólnego skarbca. Więc naprawdę niczego nie potrzebujecie?

— Kilku moich ludzi zainteresowało się waszymi nożami. — Kenneth wskazał na rękojeść *kavayo* wystającą zza pleców syna And’ewersa. — Na pewno się ucieszą z prawdziwej broni, a nie tych zabawek w złoconych pochwach.

— Powiem o tym. Kiedy chcecie wyruszyć?

— Po południu. Jak tylko przygotujemy wszystkich do drogi.

Minęła chwila, nim Wozak zrozumiał.

— Powinni być pochowani w górach?

— Owszem. Źle by się czuli w takim płaskim miejscu. — Kenneth machnął ręką na wschód. — Nigdzie nie można oka zawiesić.

Uśmiechnęli się ze zrozumieniem. Wreszcie And’ewers spojrzał wymownie na stojącego dobrych dziesięć kroków dalej Szczura.

— Twierdzi, że nazywa się Semner-loa-Wajes. Mówi, że jest czarodziejem na usługach Szczurów. Przyszedł do nas kilka kwadransów temu i od razu zażądał kontaktu z wami. Kazałem mu czekać.

— Dlaczego?

— Podobno wyskoczył z portalu dokładnie nad jakimś strumieniem i się skąpał, czary, które chronią obóz, tak działają. I tak miał szczęście, że nie wyrzuciło go nad przepaścią i nie skręcił karku. Musiałem się upewnić, czy mówi prawdę. No i wy wyglądaliście na zajętych.

— Rozumiem. Pogadam z nim.

And’ewers kiwnął głową i razem z synem ruszył w stronę rampy, na której szczycie pojawiły się pierwsze rydwany. Ledwo kowal oddalił się na kilka kroków, Szczur dopadł Kennetha i zaszczękał:

— Cholerrrrny syn górskiej oślicy i parrrrszywego kozła. Powiedział, że jeśli odezwę się do wwwas, zanim on skończy rozzzzmawiać, to zgodnie z jakimś barbarzyńskim zwyczajem położy mmmnie na ziemi i przetoczy mi pppo po głowie wwwyładowany wóz.

Oficer zmierzył go wzrokiem, przemoczone ubranie, jasne włosy lepiące się do głowy, sine wargi, dygot zębów. O tej porze roku woda w górskich strumieniach była szczególnie zimna.

— Porucznik Kenneth-lyw-Darawyt. — Nie miał ochoty wysłuchiwać utyskiwań szpiega. — Masz dla nas rozkazy?

Posłaniec się skrzywił, otarł mokrym rękawem mokre czoło, zatrząsł się, a Kenneth poczuł, jak opuszcza go złość. Ten Szczur był młody, wyglądał na kogoś w jego wieku,
i w zasadzie to nie była jego wina, że był Szczurem. Jeśli czarodziej zostawał posłańcem na usługach Wywiadu Wewnętrznego, to znaczyło tylko, że jego aspekt nie nadawał się do zbyt wielu rzeczy. Czasem los bywał złośliwy, jeśli chodziło o dobór talentów.

— Mam. Zzzaraz…

— Racja. Zaraz. Andan! Dorzuć drewna do tamtego ogniska. I daj jakiś koc. A ty za mną. Ściągaj mokre rzeczy, ogrzej się, jeszcze chwila, a z zimna nie przypomnisz sobie nie tylko, jakie masz dla nas rozkazy, ale i jak się nazywasz. Szybciej.

Szczur rozebrał się do naga, owinął kocem i przyjął kubek z grzanym winem. Cały czas milczał, co nie było dobrym znakiem.

Kenneth przykucnął po drugiej stronie ognia.

— Usiądź. Zaraz się rozgrzejesz. I wybacz And’ewersowi. Ma na głowie kilka innych rzeczy.

— Widziałem — bez szczęku zębów głos Szczura brzmiał lepiej. — Wy też?

— My też.

— Czy… — Szpieg zawahał się, zerknął po kręcących się wokół uzbrojonych ludziach. — Czy koczownicy schwytali któregoś z naszych?

Kenneth spodziewał się tego pytania.

— Nie.

— Na pewno?

— Policzyłem wszystkich — wycedził najbardziej obojętnym tonem, na jaki było go stać, a Szczur szybko opuścił wzrok.

— Dobrze — stwierdził. — Jestem Semner-loa-Wajes. Posłaniec Szczurzej Nory.

— A masz jakieś dokumenty na potwierdzenie swoich słów?

— Są w…

Szczur rzucił okiem na swoje leżące z boku rzeczy i przez chwilę wyglądał na szczerze zdumionego.

— Tak. — Kenneth uśmiechnął się uprzejmie. — Zabrałem ci ubranie, dokumenty i pewnie broń, tak na wszelki wypadek. Każdy może założyć szare szaty i podawać się za Szczura. To gdzie te dokumenty?

Semner-loa-Wajes wskazał wzrokiem niewielką torbę. Kenneth otworzył ją i wyciągnął zalakowaną tubę.

W środku znajdowały się dwa pisma. Jedno z pieczęciami Nory, potwierdzające, że siedzący przed nim nieszczęśnik to naprawdę Semner-loa-Wajes, czarodziej i posłaniec na usługach Wywiadu Wewnętrznego, i drugie z pieczęcią Kawera Monela. Czarny skreślił tylko trzy słowa.

„Słuchajcie go. Powodzenia”.

Tak jak się umówili, trzy słowa.

— Nie zasugerujesz, że dokumenty też można sfałszować?

— Nie. Są prawdziwe. Jakie masz rozkazy?

Szpieg popatrzył na niego podejrzliwie, ale nie skomentował.

— Podobno spotkaliście niedawno Kailean-ann-Alewan i Daghenę Oanyter.

Kenneth przeczesał pamięć.

— Wieża — podpowiedział Semner. — Ludzie, których tam schwytaliście…

Dziewczyna siedząca na okaleczonym nieszczęśniku i trzymająca jego oko w ręku. Pamięć podsunęła obraz szczupłej blondynki z wściekle zielonym spojrzeniem i miną sugerującą, że lepiej z nią nie zadzierać. I drugiej dziewczyny, wysokiej, czarnowłosej, na dobrą sprawę cholernie podobnej do Verdanno.

— Pamiętam. Co z nimi?

— Przedwczoraj w nocy uprowadziły z zamku hrabiego Cywrasa-der-Malega hrabiankę Laiwę-son-Baren, narzeczoną syna hrabiego. W samym zamku doszło do dziwnych wydarzeń, polało się sporo krwi. Obie dziewczyny i ich ofiara kierują się na północny wschód, nie wiemy po co. Ścigają je dwie kompanie Bękartów, ale zanim pościg ruszył, minęło kilka godzin, było niezłe zamieszanie, więc mogły oddalić się na kilkadziesiąt mil.

Szczur mówił cicho, szybko, rzucając na boki urywane spojrzenia. Chyba za bardzo wczuwał się w rolę.

— Na dobrą sprawę między Wyżyną a nimi jesteście teraz tylko wy. Macie je schwytać. Musicie jeszcze wiedzieć — spojrzenia na boki stały się szybsze, a szept bardziej teatralny — że ta ann-Alewan jest w jakiś sposób spowinowacona z Wozakami. Jest ich przybraną córką czy kuzynką, nieważne. Verdanno nie mogą się dowiedzieć, jakie dostaliście rozkazy, bo nie możemy im w tej sprawie ufać. Poza tym, dlaczego te dziewczyny kierują się na Wyżynę? To podejrzane…

Kenneth przyglądał mu się z narastającą fascynacją. Całe ciało posłańca, od przygarbionych ramion po dramatyczny szept, krzyczało: „Właśnie przekazuję wielkie sekrety! Nadstawiajcie ucha!”.

— Długo służysz w Norze?

— Drugi rok.

— I jeszcze się nie nauczyłeś, że tajemnice trzeba przekazywać w sposób możliwie jawny? Udało ci się zwrócić uwagę całej mojej kompanii.

Rzeczywiście, większość żołnierzy pozorowała jakieś działania, zacieśniając krąg wokół dowódcy.

— Jeszcze chwila, a zaczną włazić w ognisko. Dobra, nie czerwień się i nie jąkaj. Wkrótce wyruszymy.

— Rozkaz brzmi – natychmiast — rzucił szpieg.

Kenneth uśmiechnął się złośliwie.

— Rozkaz brzmi „macie je schwytać”. I schwytamy, jeśli to możliwe. Jeżeli kierują się na północny wschód, to muszą przejść przez przełęcz Amoh, a potem Czarny Wierch. Nie ma innej drogi dla konnych.

— Skąd…?

— Kilkadziesiąt mil w kilka godzin mogły przebyć tylko konno. No — Kenneth wstał — dopij wino, rozgrzej się, poczekaj, aż twoje rzeczy wyschną. My ruszamy. Wkrótce.

Wszedł między swoich ludzi, nie oglądając się na Szczura.

Część II

Smak krwi

Rozdział 1

Koń parsknął i zanurzył pysk w strumieniu. Kailean ściągnęła wodze. Wierzchowiec był zbyt zgrzany, a woda za lodowata, żeby to się mogło dobrze skończyć.

— Jeszcze chwila — mruknęła uspokajająco. — Rozbijemy obóz, ostygniesz, wyczeszę cię i wtedy dopiero dam ci się napić. Słowo. Słowo, ty uparty bydlaku!

Szarpnęła wodze jeszcze raz, ostrzej, i wyprowadziła konia na brzeg. Strumyk ciurkał dnem niewielkiej dolinki, zaraz za nim zaczynał się las. Gęstszy niż poprzedni. Jak tak dalej pójdzie, będą musiały wędrować pieszo.

Do tej pory jakoś udawało im się utrzymywać kierunek. Laiwa zdawała się znać w okolicy każde przejście, wskazywała im czasem trasę, jakiej samej z pewnością by nie wybrały, jakiś parów, wąwóz, koryto strumienia, ścieżkę wydeptaną przez zwierzęta, które wyprowadzały je na kolejny odcinek utwardzonej drogi. Lecz im bardziej oddalały się od zamku, tym bardziej ich wędrówka stawała się chaotyczna. Przez ostatnią godzinę wędrowały na północ, zamiast na północny wschód, w pewnej chwili nawet zawróciły w stronę, z której przyjechały. To nie wróżyło dobrze.

Kailean odwróciła się w siodle i spojrzała na arystokratkę, która siedziała ze spuszczoną głową.

— Gdzie teraz?

Blada ręka uniosła się, wskazując północ. Nadal północ.

— Jeszcze z pół mili i będziemy musiały się zatrzymać. Nie zaryzykuję nocnej wędrówki po tym lesie.

— Ścieżka — ochrypły szept był ledwo zrozumiały. — Na lewo.

Kailean podjechała we wskazanym kierunku. Rzeczywiście, kilkanaście kroków dalej drzewa jakby się przerzedzały, a między pożółkłymi, zeszłorocznymi paprociami wiła się wąska ścieżka.

— Jak daleko nas zaprowadzi? Konie potrzebują odpoczynku.

— Milę. Potem szałas smolarzy.

Zagłębiły się w las. Najpierw Kailean, za nią Laiwa, kolumnę zamykała Daghena.

Ależ z nas dziwna trójka, pomyślała Kailean. Trzy różne konie, trzy różne rzędy, trzy różne kobiety. Ledwo uzbrojone, niemające żadnego wyposażenia ani zapasów, wędrujące tuż przed nocą dzikim lasem. Pięknie. Gdyby Laskolnyk wiedział, że tak to się skończy, skopałby nam tyłki.

Lecz w końcu z zamku zabrały tylko to, co najcenniejsze, własne głowy na karku, cała reszta – zwierzęta i ekwipunek – to już była sprawa drugorzędna i dzieło przypadku. Więc teraz jechała na małym górskim koniku, długowłosym i długogrzywym, siedząc w siodle przeznaczonym na znacznie większe zwierzę. Mimo zapięcia popręgu na ostatnią dziurkę miała nieprzyjemne wrażenie, że zaraz okręci się i zawiśnie głową w dół. Ich przewodniczka dosiadała szerokogrzbietego, ciężkiego konia pociągowego, który całe życie służył przy wozie i w którego przypadku chyba tylko wrodzona flegma sprawiała, że nie wierzgał i nie próbował zrzucić jeźdźca. Damskie siodło założone na grzbiet musiało go wprawiać w nieliche zakłopotanie. Najlepiej prezentowała się Dag. Podarowany jej przez Aeryha wierzchowiec szlachetnej krwi wyglądał znakomicie, a stylizowany na wojskowy rząd nadawał mu dumny i bojowy wygląd.

Przynajmniej na razie. Kailean oceniała, że z trójki ich koni ten odpadnie pierwszy. Był stworzony do wyścigów, szarż na wroga, paradowania z grzywą zaplecioną w warkoczyki i przewiązaną aksamitem. Wędrówka po górskich wertepach złamie go wcześniej niż konia roboczego czy jej kuca, który w końcu po to się urodził.

Pochyliła się w siodle.

— Uwaga, gałąź.

I tak miały szczęście, że wyrwały ze stajni te trzy zwierzęta. Z chaosu, rzezi i krwi.

Jak oceniała, po trwającej pół nocy i cały dzień wędrówce oddaliły się od zamku o dobre czterdzieści mil, może trochę więcej. Zostawiły za sobą śmierć i szaleństwo, trupy na murach i dziedzińcu, dziwaczną Moc szalejącą po korytarzach, cienie skaczące po ścianach. I Sainhę Gemhel, która przeciwstawiła napastnikom własne umiejętności i która osłaniała ich ucieczkę, krzycząc:

— Zabierzcie panienkę! Zabierzcie ją do *savhoren*.

Gdyby nie zaatakowano ich wtedy, wszystko mogło się potoczyć inaczej. Być może napastnicy skierowali się ku jedynemu oknu, w którym płonęło światło, a może przyciągnęła ich Moc zgromadzona w tej komnacie, nieważne. Ważne, że nagle szyba rozprysła się na kawałki, wlatując do środka razem z większością futryny, w następnej chwili przeciąg zdmuchnął świece i w ciemnościach nie były już same.

Przez dziurę po oknie wpadło ich dwóch, bogowie wiedzą, jakim cudem wspięli się po murze, i od razu rzucili się na służącą. Gdyby nie Berdeth, z którym była połączona, Kailean najpewniej zobaczyłaby tylko rozmazane cienie, bo intruzi przebyli odległość od okna do Sainhy szybciej, niż wydawało się to możliwe. Dopiero później, wspominając to, co zaszło, stwierdziła, że oni wcale nie poruszali się z jakąś niedostępną dla zwykłych śmiertelników prędkością, lecz najwyraźniej ciągnęli za sobą mgliste smugi, jakby ich ciała parowały, zostawiając w powietrzu cieniste powidoki. Moc Sainhy wyskoczyła im naprzeciw, oplotła się wokół, zgęstniała. To ich spowolniło na tyle, żeby rozpoznać szczegóły, szare stroje, szare kaptury, długie, wąskie ostrza w rękach. Uderzyli w osłonę służącej w chwili, gdy Kailean i Daghena włączyły się do gry.

Do licha, do tej pory, gdy o tym myślała, próbowała znaleźć jakieś sensowne wyjaśnienie, ale najbliższe prawdy było to, że kierował nimi instynkt. W atakujących było coś nieludzkiego, jakaś rysa, skaza w ruchach, w sposobie ułożenia ciała, coś, co wrzeszczało „niebezpieczeństwo”. W krzyku, który usłyszały chwilę przed atakiem, czaiła się śmierć.

Napastnicy przełamywali obronę Sainhy, a smugi jasnych czarów przegryzały się przez jej ciemne pasma jak rozżarzone węgle przez blok lodu. Szare klingi dzieliło już tylko kilka stóp od jej gardła.

Kailean sięgnęła po siłę i szybkość Berdetha, a on poddał się jej bez sprzeciwu. Zeskoczyła ze stolika, złapała za blat, zakręciła się na pięcie i rzuciła meblem w najbliższego napastnika. Stolik ważył jakieś pięćdziesiąt funtów i uderzył mężczyznę w plecy z taką siłą, że ten zrobił dwa kroki do przodu i padł na kolana, a otaczające go jasne pasma przygasły, natychmiast pochłonięte przez ciemność.

Zasyczał – Kailean do tej pory miała ciarki na grzbiecie, wspominając ten odgłos – i próbował się podnieść. A wtedy drugiego z atakujących obsypała garść paciorków.

Daghena zerwała rzemień jednego ze swoich wisiorków, zsunęła kamyki i muszelki na dłoń i cisnęła nimi przed siebie. Zabójca zatańczył, jakby nagle zaatakował go rój szerszeni. Zamiast spaść na ziemię, paciorki przykleiły się do niego, wgryzły w ubranie i ciało, swąd palonego mięsa wypełnił komnatę. Mężczyzna szarpnął się, próbując zerwać je z siebie, okręcił wokół i wtedy Dag doskoczyła i dwa razy walnęła go w głowę lusterkiem w srebrnej oprawie.

Besara miała rację, w toaletce damy znajdowało się mnóstwo przydatnych do obrony przedmiotów.

Drugi z napastników zasyczał raz jeszcze, a potem zacharczał, zarzęził, w miarę jak własny nóż wbijał mu się w gardło. Wygiął się w tył, próbując odsunąć od ostrza, którego nie był w stanie puścić. Kailean spojrzała uważnie, ciemne pasma wniknęły w jego ciało i wypełniły je niemal w całości. Odwróciła wzrok.

Daghena podniosła jeden z noży drugiego z zabójców, przyszpiliła go nim do posadzki, wyrwała klingę z ciała i spokojnie wytarła o szaty zabitego. I ten prosty gest odarł ją z całej „książęcości”, znów była Dagheną Oanyter z plemienia Hearysów, jej towarzyszką z czaardanu. Udawanie dobiegło końca.

Wymieniły dzikie uśmiechy. Taką grę znały dużo lepiej.

Dag rzuciła jej broń i ruszyła do swoich kufrów. W czasie gdy wytrząsała ich zawartość na posadzkę, Kailean przyjrzała się ostrzu. Właściwie wyglądało jak półmiecz albo bardzo krótki kord, klinga długa na piętnaście cali i mały jelec, wszystko w niezwykłym kolorze ciemnej szarości, choć ciężar sugerował, że to zwykła, solidna stal. Na razie musi wystarczyć.

Charkot drugiego zabójcy umilkł, ciało bezwładnie uderzyło o posadzkę, z nożem niemal po rękojeść wepchniętym w gardło.

Kailean spojrzała na Sainhę, kobieta miała kamienną twarz, oczy spokojne, dłonie nieporuszone. Zupełnie jakby to, co zaszło, jej nie dotyczyło. Dag pojawiła się z boku, obwieszona paciorkami, muszelkami, kośćmi i piórami. Wyglądało na to, że zabrała w podróż znacznie więcej niż tylko „parę drobiazgów”.

Gdzieś w zamku ktoś rozkrzyczał się głosem pełnym obłędnego przerażenia.

— Co dalej?

— Chodźcie ze mną, jeśli chcecie żyć — powiedziała służąca.

* * *

Ścieżka wyprowadziła je na niewielką polankę, na której środku stała dziwaczna konstrukcja, coś między niską chatką a przerośniętym szałasem. Kailean zatrzymała się, wciągnęła głęboko powietrze. Zrobiła to tak naturalnie, jakby węch stanowił jej podstawowy zmysł od chwili urodzin. Mech, wilgotna ziemia, butwiejące drewno, słaby zapach lisa. Żadnych ludzi od bardzo długiego czasu.

Dała znać i Daghena wyjechała z krzaków, ciągnąc konia Laiwy za uzdę. Pora na odpoczynek.

Najpierw sprawdziły dokładnie szałas. Dwa posłania, podłoga wyłożona płaskimi kamieniami, wygasłe palenisko. I – Kailean prawie pisnęła z radości – zapas suchego drewna. Na otwartej przestrzeni nie ośmieliłyby się rozpalić ognia, ale wewnątrz budynku, z drewna leżakującego co najmniej od zeszłej jesieni, nie miały żadnych obiekcji.

Zaprzątnęły się koło koni. Tylko we dwie, bo Laiwa od ucieczki z zamku zachowywała się jak osoba, którą ktoś długo i solidnie walił po głowie. Patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem z twarzą, z której znikły wszelkie oznaki życia. Na zadane pytania odpowiadała, jeżeli w ogóle odpowiadała, szeptem, bo te o napastników, kim byli, skąd się wzięli i czego chcieli, wydawały się do niej nie docierać.

Ale prowadziła ich szlakiem, którego same nigdy by nie znalazły.

Miały mało obroku dla koni – ledwo pół worka, który zgarnęły, wyjeżdżając ze stajni – i nic do jedzenia dla siebie. Ludzie wytrzymają kilka dni, żując tylko wczesnowiosenny szczaw, ale potem, zwłaszcza w górach, głód zacznie w błyskawicznym tempie wyciągać z nich siły. Lecz konie nie zajdą daleko z pustymi brzuchami i jeśli nie trafi się okazja zdobycia dla nich owsa, trzeba będzie zwierzęta rozkulbaczyć i wypuścić, mając nadzieję, że trafią w dobre ręce. Dotyczyło to zwłaszcza szlachetnego wierzchowca Dagheny i ciężkiego konia Laiwy, bo górski kucyk, którego dosiadała Kailean, już napełniał żołądek wczesną trawą. Przypomniała sobie żarcik, który mówił, że te konie są spokrewnione z kozami, zeżrą wszystko, wejdą wszędzie, tylko mleka nie dają. Istniała szansa, że oszczędzą na nim paszy.

Gdy skończyły zajmować się wierzchowcami, Kailean wskazała Dag szlachciankę.

— Wprowadź ją do środka, rozpal ogień. Ja spróbuję zastawić kilka sideł.

Doświadczenie nabrane w czasie głodnego i chłodnego dzieciństwa mogło się przydać. Obeszła okolicę, wypatrując śladów po zajęczych ścieżkach, w zapadających ciemnościach nie było to łatwe, musiała się więc kierować węchem. W dwa kwadranse założyła kilkanaście wnyków. Jeśli dopisze im szczęście, będą miały jutro śniadanie.

W szałasie płonął ogień, Daghena siedziała na jednym posłaniu, Laiwa z zamkniętymi oczyma leżała na drugim.

— Śpi?

— Nie sądzę. — Dag pokręciła głową tak energicznie, że kościane wisiorki zagrzechotały głucho. — Zamyka się we własnym umyśle, ale ludzie w jej stanie rzadko zasypiają. Nie wiem, czy jutro zdoła się utrzymać w siodle.

Kailean miała już rzucić „to ją przywiążemy”, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Przywiążą, i co? Tylko Laiwa znała drogę do miejsca, którego szukały.

— Nie masz niczego, co postawiłoby ją na nogi?

— Nie. W domu znalazłabym odpowiednie zioła, poprosiła o pomoc plemienne duchy. Tutejszych roślin nie znam, a miejscowe duchy…

— No?

Daghena posłała jej zmęczony uśmiech.

— Ech, dziewczyno, to tak nie działa, nie rozglądam się i nie macham ręką, wołając „pódź tu ku mnie, pódź”. Czasem potrzeba wielu dni, by jakiś, nawet pomniejszy duch zechciał ci służyć. U miejscowych wyczuwam tylko irytację i gniew.

— Gniew? — Kailean zauważyła, że Dag bada jej twarz, błądząc spojrzeniem od góry do dołu. Wreszcie zapatrzyła jej się w oczy. — Czego się gapisz?

Gniew. To było dobre słowo na uczucia, które kierowały Kailean. Gniew na to, że wszystko poszło nie tak, że musiały przedzierać się przez te góry, że groził im głód, a ubrane były tylko w to, co miały na sobie w chwili ataku na zamek. Koszula nocna i lekka sukienka to za mało jak na tutejszą

wiosnę. I jeszcze Daghena, która gapiła się na nią z dziwnym błyskiem w oku.

Pochyliła się nad nią i obnażyła zęby.

— Czego chcesz, pytam? — wywarczała.

— Babka mnie uczyła — ciemnowłosa dziewczyna opuściła wzrok — by nigdy nie patrzeć nieznanemu psu w oczy, bo one sądzą, że to wyzwanie. Jak długo jesteś połączona z Berdethem?

Gniew napęczniał jak naciskany wrzód.

— Co ci do tego?

— Obserwuję cię od popołudnia. Kailean, jeśli dwie dusze są połączone w jednym ciele, zaczynają się przeplatać, dlatego szamani i wiedźmy mojego plemienia bardzo rzadko i na bardzo krótko zapraszają duchy do środka. Bezpieczniej jest je trzymać w przygotowanych naczyniach. — Podniosła powoli dłoń i zagrzechotała bransoletą z muszelek. — Ty robisz to inaczej, twój pies porusza się swobodnie po świecie duchów, używając ciebie jak… palika, ogniska, punktu orientacyjnego w świecie żywych. Rozumiesz?

Kailean przechyliła głowę i uśmiechnęła się. Właściwie, jak się dobrze zastanowić, nie wszystko zrozumiała, ale słowa, ton, rytmika były uspokajające. Gniew zaczął opadać.

— Ale gdy się łączycie, gdy przez dłuższy czas używasz jego siły i szybkości, wasze dusze się przenikają. To jakbyś wlała do kielicha dwie ciecze, by utworzyły osobne warstwy. Po kilku dniach i tak się wymieszają. Rozumiesz?

Rozumienie było trudne, za to zachciało jej się pić.

— Pić mi się chce.

— Za chwilę. Od kiedy jesteście połączeni?

Musiała się zastanowić.

— Od walki w zamku. Nie, wcześniej, odkąd wyszłam po księgę.

— Czyli prawie całą noc i cały dzień. Przywołałaś go kiedykolwiek na tak długo?

— Nie. Ale teraz… trzeba.

— Kailean. Obserwuję cię przez pół dnia. Bez przerwy wąchasz powietrze, obracasz głowę na każdy szelest, tak szybko, że boję się, że skręcisz

sobie kark, warczysz, szczerzysz zęby, marszczysz nos. Za kilka dni spróbujesz się lizać po tyłku i okolicach. Wypuść go. Natychmiast.

Westchnęła. Może ma sobie jeszcze rękę odgryźć, co? Obnażyła zęby i zawarczała. A potem, gdy dotarło do niej, co próbuje robić, sięgnęła w głąb i przywołała ducha psa.

I w tej chwili świat zaczął się kręcić, aż musiała usiąść na podłodze. Ten dysonans, gdy zalały ją dwa różne, przeciwstawne uczucia, pragnienie wydania z siebie gniewnego warkotu, jednoczesnego ukrycia twarzy w dłoniach i rozpłakania się. Skomlenie, które w rezultacie wyrwało się jej z ust, było zbyt zwierzęce, by mogła dalej lekceważyć słowa Dagheny.

Berdeth? Pojawił się, równie skonfundowany jak ona. Równie zagubiony i zmieszany. Jeśli ona dostała jego odruchy, siłę, szybkość i instynkt, to co dała mu w zamian? Czy dla psa ludzkie wspomnienia i emocje były nieopisanym chaosem niezrozumiałych lęków i dziwacznych radości? W czasie walki wszystko było proste, walka jest zrozumiała nawet dla najlichszych stworzeń, ale potem? Ich dusze przeplotły się ze zdumiewającą łatwością.

— To dlatego, że tyle lat jesteście towarzyszami. — Daghena przykucnęła i objęła ją delikatnie. — Za każdym razem łączycie się łatwiej i szybciej. Ale teraz musisz się rozdzielić.

To przypominało odrywanie zaskorupiałego opatrunku. Jakby próbowała podnieść się za włosy. Bolało jak cholera, ale powoli, kroczek po kroczku, poszło. I nagle znów była sobą, zapachy przestały atakować ze wszystkich stron, las zaszumiał dźwiękami, które zlały się w jedno, kolory stały się mocniejsze, ale kształty straciły ostre kontury.

Westchnęła głęboko i nagle, nie wiedzieć czemu, rozpłakała się.

— To zaraz minie. — Uścisk Dagheny stał się silniejszy. — Babka mi mówiła, że rozdzielanie dwóch dusz, nawet lekko połączonych, przypomina wyrywanie sobie serca.

Coś zimnego dotknęło jej twarzy. Berdeth, był tu, nie odszedł i teraz szturchał ją nosem i próbował zlizywać łzy. Objęła go ostrożnie, przytuliła się.

— Móc dotknąć ducha — w szepcie przyjaciółki pojawił się podziw. — Nie wiesz nawet, jaki to rzadki dar. Moja matka i babka dałyby sobie rękę obciąć, żeby doświadczyć czegoś takiego.

Berdeth powoli wysunął się z jej objęć i znikł. Rozumiała go, ona też potrzebowała czasu, by wylizać własne rany.

Daghena pomogła jej się podnieść i niemal siłą posadziła na pryczy.

— Dziękuję. — Myśli nadal krążyły chaotycznie, słowa nie całkiem chciały się dopasować do pojęć, ale te podstawowe odnajdywała bez trudu.

— Nie ma za co. Na przyszłość pamiętaj, żeby łączyć się z nim nie dłużej niż na pół dnia.

— Wiem… teraz wiem… Kiedy nabrałaś podejrzeń?

— Gdy patrząc na mojego konia, zaczęłaś się ślinić.

— To żaden dowód, nadal się ślinię, myśląc o twoim koniu.

— Czemu nie o tym pociągowym?

— Ma większe kopyta, trudniej byłoby go zagryźć.

Uśmiechnęły się. Żart był kiepski, ale dopóki bawił je tak samo, było dobrze.

Daghena spoważniała pierwsza.

— Musimy podjąć decyzję co dalej, Kailean. Czy mamy ją odprowadzić, gdzie chce, czy zawrócić i oddać w ręce Szczurów.

— Przysięgłyśmy.

Przysięgły. Przebijając się przez zamek, przez chaos i ciemności, prowadzone przez służącą Laiwy, nie wiedziały, że zaprowadzi je to tutaj, do opuszczonego szałasu, z całkowicie pewnym oskarżeniem o zdradę wiszącym nad głową.

To, co działo się w zamku, trudno nazwać szturmem, nie było wrogich tłumów wdzierających się przez wyłamaną bramę, tylko krzyki i jęki, jakieś wycie dobiegające z dolnych kondygnacji, swąd palonej sierści, blask setki słońc wybuchający nagle w jednym z okien. W pierwszym korytarzu uzbroiły się, Kailean w szablę, Daghena w krótką włócznię, choć okazję do użycia broni miały dopiero na schodach prowadzących na wyższe piętro. Dwa cienie wypadły nagle z wnęk w ścianach i zaatakowały, korzystając z półmroku i zaskoczenia. Lecz kogoś wychowanego na pograniczu Wielkich Stepów trudno zaskoczyć.

Szabla, którą Kailean zabrała ze ściany, może i nie była najostrzejsza, ale sztych miała dobry. Dziewczyna odparowała pchnięcie szerokiego noża i skontrowała tak szybko, że dwa dźwięki zlały się w jeden. Jej przeciwnik

zawisł na ostrzu, pozwoliła mu się zsunąć po klindze i kopniakiem posłała na dół. Drugi morderca dołączył chwilę później. Z poirytowaną Dag lepiej nie zadzierać.

Zdawało się, że prowadząca je kobieta w ogóle nie zauważyła starcia. Szła naprzód, mamrocząc pod nosem.

— *Ewelunrech* i *weh'zaav*, przeklęte przez pamięć Einree bezduszne zwierzęta. Za długo, za dużo… trzeba było uciekać… *Kanaloo*, oby zdechł zaraz po wyjściu z łona… nie ma innej drogi… trzeba szukać ocalenia w *savhoren.* Boją się… nadal się boją… Ale gdzie *hel'zaav*… gdzie głowa…

Dotarły do sypialń hrabiowskiej rodziny i od razu skierowały się do komnaty Laiwy. Gdy Sainha otworzyła drzwi, młoda szlachcianka siedziała na łożu, oczy miała nieprzytomne.

Potem było przedzieranie się przez zamek z arystokratką, która szła bezwolnie jak odurzona. Dwa razy napotkały trupy, w obu przypadkach w strojach służących, podziurawione tyloma ciosami, że trudno było uwierzyć, iż ciało ludzkie może ich tyle przyjąć. A zamek informował, że zabijanie jeszcze się nie skończyło, krzyki, jęki, dzikie wrzaski dobiegały z różnych pięter, a nagłe błyski światła, dziwne zapachy, wiatr, który wiał nie wiadomo skąd, drżenie posadzki informowały, że ktoś bawi się Mocą. Najpewniej nie dotarłyby do stajni bez natknięcia się na napastników, gdyby służąca Laiwy nie skręciła w boczny korytarz i nie otworzyła drzwi ukrytych w ścianie.

— Tajne przejście? — Daghena zajrzała do środka i pociągnęła nosem.

Służąca wzruszyła ramionami.

— Nie takie tajne, młodzi panicze często z niego korzystają, można się nim dostać wprost do stajni.

Mówiła prawdę. Tunel między ścianami kończył się za drewnianym przepierzeniem w jednym z pustych boksów. Naoliwione zawiasy świadczyły o tym, że często go używano.

Tylko że ich goście odwiedzili też stajnię. Kailean wiedziała o tym już w połowie schodów, bo powietrze coraz bardziej tchnęło śmiercią. Nie tylko zapachem krwi, ale właśnie śmiercią, odorem rozprutych bebechów, limfy i przede wszystkim przerażenia. Tak właśnie czuła, przerażenie, ten szczególny rodzaj potu pojawiający się na skórze, gdy żywa istota staje w obliczu dławiącego dech niebezpieczeństwa, przed którym nie ma ucieczki. Śmierć ma własny zapach.

Po wejściu do stajni zrozumiała, że śmierć ma też własny kształt, zaklęty w rozdartym brzuchu, jelitach rozwłóczonych po ziemi, płatach skóry ściągniętych z boków i zwisających niczym parodia skrzydeł. I że koński trup może stać na nogach, podwiązany rzemieniami przewleczonymi przez kręgosłup do sufitu. I jakie to robi wrażenie, jeśli zostanie przy okazji dokładnie oświetlony kilkoma oliwnymi lampkami.

Daghena obróciła się gwałtownie i zwymiotowała. Kailean nie odczuwała takich sensacji, Berdeth osłonił ją, odepchnął grozę tego widoku, więc gdy się odezwała, miała niemal normalny głos.

— Dlaczego? Dlaczego tak?

— Dlaczego *Ewelunrech* tak się bawią? Bo szukają swego serca. Bo nikt im nie przeszkodzi. Bo mogą.

— To oni mordują ludzi w górach?

— Tak.

Rozejrzała się. Zwierzę w sąsiednim boksie zostało rozdarte na strzępy, dwie przegrody dalej ktoś powiesił konia, przerzucając sznur przez belkę stropową i podciągając go tylko tyle, żeby przednie nogi wierzchowca nie sięgały ziemi. Lampkę ustawiono tak, by światło padało na wywalony język i świecące białkami oczy. Za następnym przepierzeniem koń był żywy, tylko ktoś ciasno obwiązał mu szczękę, tak że zwierzę nie mogło wydać z siebie najmniejszego dźwięku, po czym oślepił. Daghena wyprostowała się i powiodła wokół błędnym wzrokiem. Płomienie lampek zamigotały, mimo iż chroniły je szklane klosze. Kailean spojrzała uważniej, wokół amuletów i talizmanów, kamyków, muszelek i piór zaczęły się gromadzić cienie.

— Dag, siostro… nie. Nie teraz. Zrób to, co musisz, ale zachowaj siły na spotkanie z nimi.

Podziałało. Nie ma to jak obietnica, że będzie można komuś poderżnąć gardło.

Wskazała na boksy po przeciwnej stronie. Tam zwierzęta stały nietknięte, wyglądało na to, że nikt nawet nie próbował się do nich zbliżyć.

— A te? Dlaczego zostawili je żywe?

— Bo tak. Bo mogą.

Oślepiony koń wydał nagle zduszone sapnięcie i ukląkł, a potem przewrócił się na bok. Daghena starannie wytarła nóż o sierść zwierzęcia, a cie-

nie wokół niektórych jej ozdób przybrały barwę głębokiej czerni.

Kailean zerknęła na Laiwę. Groza i horror otoczenia wydawały się do niej nie docierać.

— Umierają ostatni z jej braci i sióstr — w głosie Sainhy po raz pierwszy pojawiła się jakaś emocja. Głęboki, pełen współczucia smutek. — Wkrótce zostanie sama. Pani na Ukrytym Zamku nie wybaczy żadnej ze swoich córek zdrady. Nawet jej.

— A dlaczego miałaby wybaczyć?

Wyłonił się z ciemności, w których tonął drugi kraniec stajni. Średniego wzrostu, w szarym ubraniu, z kapturem odrzuconym na plecy. Zwykła twarz, jasne tęczówki, jeszcze jaśniejsze włosy.

— Ty — wskazał służącą — umrzesz. Ona — starannie wypielęgnowana dłoń skierowała się ku Daghenie — też. A nasza zaginiona córka i ona pójdą ze mną. Matka ucieszy się z jej oczu.

Kailean zrozumiała, że chodzi o nią. Co, do cholery, wszyscy mają do jej oczu?

— Umrze, tak? Tak po prostu, jakby chodziło o złamanie gałązki?

Daghena skończyła wycierać szarą klingę i wyszła z boksu. Na widok jej uśmiechu Kailean cofnęła się nieco. Czy on tego nie dostrzega?, przemknęło jej przez głowę, tej przetykanej purpurą czerni, która spowija czarnowłosą dziewczynę?

Najwyraźniej nie widział. Jakiekolwiek były jego umiejętności, nie pozwalały mu dostrzec Mocy okiełznywanej przez duchy. Wściekłe duchy.

Skinął tylko głową i skoczył na nią, wyciągając w powietrzu noże, a pasma ciemnej szarości otoczyły go ze wszystkich stron. I był naprawdę szybki, znacznie szybszy niż inni. Ale Dag po prostu wyciągnęła dłoń, a Moc spływając z niej, uderzyła mężczyznę w brzuch falą czerni i czerwieni, aż zgiął się wpół, jakby w locie trafił na sterczący drąg.

Otaczające go szare smugi pomknęły naprzód, ale zostały pożarte przez czerń. Upadł, a Daghena zrobiła kilka kroków i z całej siły kopnęła go w twarz. Jego głowa odskoczyła w tył tak, iż wydawało się, że potylicą uderzył o własne plecy. Dziewczyna jedną ręką złapała go za ubranie na piersi i podniosła, jakby był małym dzieckiem. Uderzyła drugą. Krzyknął krótko, gdy sztych szarego noża wyrósł mu na plecach, i drugi raz, gdy

zakrwawione ostrze wpełzło z powrotem w ciało, i kolejny, gdy w eksplozji krwi wyskoczyło w innym miejscu. Potem już nie krzyczał.

Dag zbliżyła twarz do twarzy trupa.

— Matka będzie musiała poczekać — wysyczała, a wraz z nią zasyczały otaczające ją pasma czerni.

Nóż jeszcze raz pogrążył się w ciele.

— Dag? — Kailean starała się mówić spokojnie.

— No?

— Chyba go już zabiłaś.

— Wiem.

Trup wylądował na ziemi.

— I co teraz?

Sainha przyglądała się dziewczynie z pozbawioną wyrazu miną. Kailean dopiero teraz zauważyła, że mrok spływał z dłoni kobiety i otaczał ją szerokim na kilka stóp kręgiem. Zupełnie jakby stała pośrodku wypełnionej dymem sadzawki. Spojrzenie służącej powędrowało za jej wzrokiem.

— Ty to widzisz. — To nie było pytanie. — Widzisz *soe'guon.*

— Ten cień? Moc, którą zabiłaś strażników na wieży?

Starsza kobieta przymknęła oczy.

— To mój grzech… moja wina… i przekleństwo. To nie tak miało być, ale oni byli za silni, a… ja się bałam… zbliżali się, prowadził ich… *soe'guon* nie ma służyć do walki.

— Do nas przyszłaś, szukając walki.

— Tak. Ale bałam się jeszcze bardziej. Wszyscy umierają… wszyscy, którzy przeszli, bracia i siostry, a wy szukacie… od początku wam nie ufałam… — Uśmiechnęła się, po raz pierwszy. — I miałam rację.

Cienie wokół niej znikły, wsiąkły w dłonie.

— Mam propozycję.

— Jaką?

— Nie wyjdziecie stąd żywe, jest ich zbyt wielu…

Przerwało jej uderzenie o drzwi stajni. Deski wrót zaskrzypiały.

— … i już wiedzą, że tu jesteście. — Wyprostowała się. — Ja ich zatrzymam, a wy zawieziecie panienkę Laiwę tam, gdzie będzie chciała. Ona

wskaże wam drogę.

— A jeśli wolimy zostać i walczyć?

— Wtedy wszystkie umrzemy.

Wrota zadrżały ponownie, a potem wygięły się na zewnątrz, jakby ręka olbrzyma pociągnęła je do siebie.

— Umowa?

Spojrzały na siebie, walka była czymś, co rozumiały.

— Jak się teraz damy zabić — Kailean nie spuszczała wzroku z Dagheny, otaczająca ją czerń była jakby mniej głęboka — to okaże się, że niepotrzebnie paradowałam tyle czasu w brzydkich kieckach.

Czarnowłosa skinęła głową i już, bez zbędnych słów, była przy podarowanym jej przez Aeryha koniu.

— Umowa? — Służąca Laiwy nie zamierzała wypuścić ich bez słowa.

— Gdzie mamy ją zawieźć?

— Do miejsca, w którym będzie bezpieczna, *savhoren*. Ona zna drogę. To cztery dni drogi stąd.

— A potem?

— Rozstaniecie się.

Wrota zatrzęsły się jeszcze raz, uderzone z taką siłą, że jeden z górnych zawiasów wygiął się do środka.

— Cztery dni. — Kailean siodłała górskiego kuca. — Jeśli nie znajdzie tego miejsca w cztery dni, zawracamy i oddamy ją Szczurom. Umowa?

Sainha wpiła się wzrokiem w jej twarz.

— Umowa — potwierdziła po chwili. — Gdy wrota padną, jedźcie.

I tak się stało, wyjechały ze stajni otoczone przez ciemny wir, który porywał i odrzucał na boki rozmazane sylwetki, przemknęły przez otwartą bramę i ruszyły w góry. I choć zakrawało to na cud, nikt ich nie ścigał. Aż wreszcie po połowie nocy i całym dniu wędrówki trafiły tu, do tego zapomnianego przez wszystkich szałasu, bez jedzenia, wody, z kilkoma garściami owsa dla koni. I z irytującym poczuciem, że jadą bez celu, bo choć wydawało się, że Laiwa prowadzi je w znane sobie miejsce, to przez większość czasu zachowywała się jak bezwolna kukła, której jest wszystko jedno.

I teraz właśnie Daghena postanowiła poruszyć temat, którego unikały przez całą drogę.

— Co robimy, Kailean? Wieziemy ją dalej?

— Przysięgałyśmy.

— Obiecałyśmy, a to różnica. I najpierw przysięgłyśmy Laskolnykowi, a nie sądzę, by kha-dar pochwalił nas za to, co robimy. Ona — wskazała na leżącą szlachciankę — jest kluczem do tego, co dzieje się w górach. Ktoś od trzech miesięcy zabija tu ludzi, by ją dopaść. Szczury muszą z nią porozmawiać.

— Porozmawiać? Zaproszą na ciasto i pogaduchy?

— Nie jestem aż tak głupia.

— Wiem, Dag, wiem. Ja też nie. Ale zginęłybyśmy w tej stajni, gdyby nie jej służąca.

— Nie dla nas została.

— Ale została. Obiecałam jej cztery dni. Potem zawrócimy.

— Do tego czasu będzie nas ścigać cała Górska Straż.

— Setki mężczyzn uganiających się za nami po okolicy? Czemu nie?

Kolejny żart nie rozładował atmosfery, ale jej przyjaciółka zrozumiała, że dalsza rozmowa nie ma sensu.

— Cztery dni?

— W tej chwili trzy i pół nocy, Dag. Obiecuję.

— Besara obedrze nas ze skóry, kiedy wrócimy. Eeech, na szeroki zadek Laal, bardzo bym chciała mieć tu resztę naszych.

— Ja też.

* * *

Gdy konie szły galopem, trudno było dostrzec poszczególne szprychy, a gdy przechodziły w cwał, koła rydwanów zamieniały się w rozmazane płaszczyzny. Przy takiej prędkości wydawało się, że załogi bojowych pojazdów powinny odczuwać każdą nierówność, ale Kocimiętka miał już okazję przejechać się rydwanem w czasie ćwiczeń i wiedział, że zrobiona z krzyżujących się, skórzanych pasów elastyczna podłoga pochłania najmniejsze wstrząsy. Ciekawiła go taktyka, którą Verdanno zamierzają zastosować, znał ich opowieści o dwóch poprzednich wojnach z koczownikami, lecz

najważniejszą sprawą było to, czy potrafili wyciągnąć wnioski ze swoich klęsk. Czy usprawnili manewry, jak zmienili rydwany, by mogły mierzyć się z konnicą, czy zdołają przeciwstawić się a'keerom konnych łuczników i ciężko opancerzonych Błyskawic?

Czternastu, tylko tylu jeźdźców z czaardanu Laskolnyka towarzyszyło Wozakom w wędrówce na północ, resztę generał zatrzymał przy sobie. Na odchodnym odciągnął go na bok i powiedział: „Pilnuj ich, Sarden. Ty, Daghena, Lea, Janne i Kailean jedziecie, bo macie talenty, które mogą wam się tam przydać, ale nie pozwól, by coś im się stało. Trzymajcie się razem w miarę możliwości".

W miarę możliwości, psiakrew.

Nawet kha-dar, mimo swoich strategicznych talentów, nie wyobrażał sobie, jak będzie wyglądała wędrówka Wozaków. Liczący prawie trzysta mil marsz na północ, przesączanie się przez górskie drogi pod twierdzę i wreszcie przebijanie się przez najdziksze rejony Olekadów. Kocimiętce udało się doprowadzić tylko do tego, że razem z Dag, Leą i Kailean jechali na czele pierwszej karawany, reszta, po dwóch, trzech jeźdźców, towarzyszyła następnym czterem. Mieli przepatrywać drogę i pełnić rolę gońców, gdyby wozy natknęły się na jakieś przeszkody. W końcu taka była wola Rady Obozów, która im płaciła.

A teraz w wyprawie na południe towarzyszyli mu Niiar, Landeh, Lea, Veria i Janne. Reszta, czyli druga szóstka, jeszcze nie przeszła przez góry, a Kailean i Daghena bawiły się gdzieś w jakieś gierki Szczurów. Ot, cała prawda o planach i strategiach – w każdej chwili mogą wziąć w łeb.

Wjechali na lekkie wzniesienie. Stanął w strzemionach i rozejrzał się. W tym miejscu Wyżyna Lytherańska była chyba jeszcze bardziej płaska niż stepy, które znał, takie wzniesienia stanowiły rzadkość, ale mimo że nie było ono zbyt imponujące, miał teraz widok na kilkanaście mil wokół. Płasko, płasko, płasko, jakaś rzeczka na wschodzie, ściana gór na zachodzie, i to już wszystko. Trawa dopiero przebijała się na powierzchnię gruntu, nie było żadnych zarośli, krzewów czy chaszczy, w których dałoby się ukryć. Nie będzie niespodzianek, jeźdźców wyskakujących znienacka, by posłać kilka strzał i umknąć, czy zamaskowanych dołów, w których konie łamią nogi. Dla armii rydwanów to dobra wiadomość.

Bo, co musiał niechętnie przyznać, Verdanno spisali się znakomicie, w jeden dzień przerzucili przez góry pięć tysięcy rydwanów i trzynaście

tysięcy wojowników. I nie była to dzika horda, tylko prawdziwa armia, podzielona na oddziały, oznaczone kolorami burt i powiewającymi na wysokich tyczkach chorągiewkami, dowodzona przez wyznaczonych do tego ludzi, słuchająca rozkazów. Gdy tak pędzili przez równinę, sprawiali wrażenie, że nic nie zdoła ich zatrzymać.

Ale to wrażenie mogło być dość szybko zweryfikowane. Do cholery, on sam był kawalerzystą i oficerem, a choć przez lata w czaardanie zdążył już odwyknąć od wojskowej dyscypliny i myślenia o taktyce w skali większej niż trzydzieści koni, to teraz, gdy szli do bitwy, stare nawyki zaskakująco łatwo powróciły. Gdyby był na miejscu Syna Wojny i chciał opóźnić wozackie rydwany, posłałby przeciw nim jakiś tysiąc, może dwa tysiące jeźdźców, samych konnych łuczników na śmigłych, szybkich wierzchowcach, i zacząłby szarpać błyskawicznymi atakami. Nagła szarża, zasypanie przeciwnika strzałami i odwrót. Nie rozbije to armii tej wielkości, ale wprowadzi zamieszanie i ją spowolni. Atak na skrzydła i ucieczka, atak i ucieczka. Nie pozwolić się otoczyć, nie przyjąć frontalnego natarcia, trzymać dystans stu, stu pięćdziesięciu jardów, i szyć, bez przerwy szyć strzałami. Pocisk wypuszczony z takiej odległości nie zabije konia, zwłaszcza że wiele z nich chroniły pikowane pancerze, ale może go zranić. A ranne zwierzę będzie się płoszyć, krwawić i słabnąć.

To była taktyka drapieżców – zmęczyć przeciwnika jak wataha wilków męczy stado stepowych bawołów, dopóki nie rozciągnie się ono na całej długości, a słabsze, poranione sztuki nie zaczną odstawać. Bo po kilku godzinach takiej zabawy Wozacy też zaczęliby tracić rydwany, poranione konie zwalniałyby i zostawały w tyle. A Awe’aweroh Mantoru, dowodzący tą ekspedycją, miałby wtedy do wyboru dwie drogi – albo dostosować tempo do osłabionych zaprzęgów, oddając inicjatywę w ręce koczowników, albo porzucić je, jak stado bawołów porzuca sztuki skazane na śmierć. Tak czy inaczej koczownicy coś by na tym zyskali.

— Janne?

Jasnowłosy chłopak skinął głową i przymknął oczy. Wysoko nad nimi krążył stepowy sokół, jeden z pierwszych, które pojawiły się w okolicy po zimie, a który teraz użyczał swoich oczu ptasznikowi. W końcu żadne wzniesienie nie zastąpi takiego pomocnika.

Po dłuższej chwili Janne wypuścił powietrze, sapnął i zmarszczył brwi.

— Nic. To znaczy są tam — wskazał na południe — jakieś pięćdziesiąt, może więcej mil przed nami, widać ciemną plamę, ale między nimi a nami nie ma nic. Nawet małego podjazdu. Chyba że nauczyli się ryć tunele w ziemi.

Cała szóstka popatrzyła po sobie. Tak było od samego ranka, odkąd wyruszyli z rosnącego wokół rampy obozu, żadnych ruchów koczowników, żadnych zagonów, brak nawet pojedynczych jeźdźców. Tylko olbrzymi obóz gdzieś tam przed nimi. A przecież niemożliwe było, by Kyh Danu Kredo, prowadzący na północ swoje plemiona, nie wiedział, co się dzieje. To jego a'keer zaatakował śpiących u podnóża rampy budowniczych, a ci, którzy uszli z potyczki, mieli cały dzień i całą noc, by dotrzeć do sił głównych.

Na to wspomnienie Kocimiętka znów zgrzytnął zębami. Żeby był tam wtedy cały ich czaardan, poszliby za poszarpanym podjazdem i wyłapali albo wybili koczowników do nogi. Ślady, które rankiem zbadali, wskazywały, że udało się uciec nie więcej jak dwudziestu jeźdźcom, z czego część była ranna. Daliby radę ich dopaść i wtedy bierność Syna Wojny można by tłumaczyć tym, że nie wie on jeszcze o powstaniu rampy i przechodzeniu Verdanno przez góry. A co najważniejsze, że nie wie, że Verdanno już wiedzą o tym, że nadciąga.

Wzgórze oblała kolorowa fala. Tak to wyglądało ze szczytu. Tysiące rydwanów, tysiące powiewających na wietrze chorągiewek, burty i końskie pancerze ozdobione różnymi barwami. Karne kolumny średnio po dwadzieścia pojazdów, oddzielone przerwami szerokości dziesięciu jardów. Wyraźne Strugi, Strumienie i Fale, oddziały odpowiednio po dwadzieścia, dwieście i sześćset wozów, łatwo dające się zidentyfikować – lekkie, dwuosobowe, i ciężkie, trzyosobowe rydwany. Wszystko pięknie i równo jak na paradzie. Cokolwiek by mówić o Verdanno, dwadzieścia lat w nieruchomych obozach nie pozbawiło ich umiejętności powożenia.

Kocimiętka nie lekceważył całkowicie rydwanów. Niiar, Janne, Landeh, on sam wreszcie, dali się wcześniej namówić na przejażdżkę w towarzystwie woźnicy i łucznika. Z ciekawości, żeby zobaczyć, co naprawdę potrafią Wozacy. Ćwiczenia w dolinie pod zamkiem wypadały całkiem przekonująco, dobry strzelec z dwustu jardów trafiał w słomianą sylwetkę jeźdźca na koniu, dobry woźnica kierując jedną ręką zaprzęgiem, drugą potrafił rzucić celnie dziryt na połowę tej odległości. Wszystko w pełnym cwale.

Verdanno używali przywiezionego ze Wschodu miotacza dzirytów w kształcie długiego na dwie stopy, wydrążonego kawałka twardego drewna ze stopką na podstawę pocisku. Uśmieszki zeszły kilku kpiarzom z ust, gdy jeden z Wozaków posłał opierzony pocisk na prawie dwieście jardów. Co prawda z lekkiego rozbiegu, ale odległość i tak była imponująca. Łuki i kusze górowały celnością i zasięgiem, lecz ta prosta broń miała nad nimi podstawową przewagę. Można było się nią posługiwać jedną ręką, co pozwalało woźnicy walczyć skutecznie na dystans. Załoga najczęściej nosiła kolczugi lub skórzane pancerze obszyte wieloma warstwami płótna i stalowe hełmy, a w walce oprócz łuków i dzirytów używała szabel, toporów, czasem długich, prostych mieczy. A w rydwanie trzyosobowym oprócz łucznika i woźnicy znajdował się też wojownik uzbrojony w wielką tarczę, dwunastostopową włócznię i pełny ekwipunek ciężkiego piechura, łącznie z kuszą. Kocimiętka obserwował ich, jak ćwiczyli wskakiwanie i zeskakiwanie z pojazdów zatrzymujących się ledwo na chwilę, i miał dziwne przeczucie. Możliwość postawienia muru z tarcz na drodze atakującej jazdy z pewnością była ciekawa, ale Wozacy to nie ćwiczona do obłędu meekhańska piechota, która potrafiła manewrować na polu bitwy nawet w obliczu nacierającego wroga. Na co oni, do ciężkiej cholery, liczyli?

Odszukał wzrokiem znajdujący się pośrodku verdańskiej armii rydwan, nad którym powiewała tyczka zwieńczona ciemnoszarym proporcem z wizerunkiem płonącego wozu. Znak Obozu New’harr, znak tych, co przebyli Krwawy Marsz. *Lamerei* stał obok woźnicy i jakby wyczuwając to spojrzenie, popatrzył na wzgórze. Kocimiętka przekazał mu kilka znaków w mowie niskiej. „Droga wolna”.

„Pilnujcie dalej” musiało mu wystarczyć za całą odpowiedź. Cholerny bękart.

Popędził konia, zjeżdżając ze wzgórza. Verdanno wykorzystywali ich jako zwiad, oczy i uszy oddziału. To oni wjeżdżali na wzgórza, żeby się rozejrzeć, wysuwając się nieraz na milę przed pędzące kolumny, a Janne i Lea od czasu do czasu używali własnych talentów, by przeczesać dalszą okolicę. Nie do końca mu się to podobało, w końcu Wozacy mieli własnych czarowników, jak choćby ta budząca lęk starucha, która nieustannie kręciła się przy Awe’aweroh Mantoru. To oni powinni używać swoich Mocy, by sprawdzać teren przed armią.

Z drugiej strony ich szóstka i tak miała towarzyszyć rydwanom, a sposób, którym posługiwali się Janne i Lea, był nie do wykrycia przez Źrebiarzy. Kto przy zdrowych zmysłach będzie uważał na każdego ptaka w promieniu kilkudziesięciu mil albo sprawdzał, czy w okolicy nie ma dziewczyny wciskającej dłonie w ziemię?

Tak czy inaczej wyglądało na to, że dziś nie zetrą się z wrogiem. Rydwany dałyby radę do zachodu słońca pokonać pięćdziesiąt mil dzielące je od koczowników, zwłaszcza że ci pewnie także posuwali się naprzód, ale wtedy i ludzie, i konie byliby po całodziennym forsownym marszu, a tylko głupiec rozpoczyna walkę, mając zmęczoną armię. I to tuż przed zapadnięciem zmroku. Zwłaszcza że Se-kohlandczycy prowadzili ze sobą całe tabuny luzaków, z których mogli skorzystać ich wojownicy, a Verdanno wiedli zaledwie garstkę zapasowych koni.

Nie, rozsądniej będzie przejechać jeszcze jakieś piętnaście, dwadzieścia mil i wcześnie rozbić obóz, odpocząć, by na długo przed świtem poderwać się do drogi. Jeśli szczęście by im dopisało, mogliby uderzyć na koczowników o wschodzie słońca, zaatakować ich rozespanych i rozleniwionych, wpaść między namioty, rozpędzić – albo lepiej, ukraść – konie, podpalić wozy z zapasami, rozpętać chaos, który sparaliżuje wędrujące plemiona na wiele dni.

Prrrrrr, kobyło, zganił sam siebie w myślach. Znów zaczynasz snuć plany jak dowódca jazdy. To nie jest, mimo łomotu tylu kopyt, kawaleria. Rydwanami nie bardzo można wjeżdżać w głąb obozu, między rozstawione namioty, wozy i tabuny. Za ciasno, za mało miejsca, pojazdy będą przewracać się, grzęznąć, łamać osie. Ich załogi, rozproszone i otoczone przez wrogów, zostaną raz-dwa wyrżnięte. Siłą rydwanu jest walka w ruchu, gdy stanie, zamienia się w pułapkę. Nie, atak na obóz odpada, chyba że…

Z wrażenia aż ściągnął wodze, a jego koń parsknął niezadowolony. Chyba że ma się ze dwa, trzy tysiące ciężkiej piechoty. Chędożone bękarty! Czyżby to właśnie planowali? Zaatakować obóz najlepszej konnicy świata, poza imperialnymi pułkami i czaardanem Laskolnyka oczywiście, piechotą? Zwarte oddziały wdzierające się w głąb obozowiska, opancerzone od stóp do głów i uzbrojone po zęby, mające przeciw sobie koczowników w skórzanych pancerzach, wojłokowych przeszywanicach i z lekkimi szablami? A na zewnątrz pierścień rydwanów, szyjący do wszystkiego, co spróbuje się wydostać. Ciężkozbrojnych było trochę za mało, by zmiażdżyć

jednym atakiem całą liczącą kilkadziesiąt tysięcy głów hordę, ale mogli wydrzeć jej serce, może nawet, jeśli dopisałoby im szczęście, dostać samego Syna Wojny.

Cholera! Czy to możliwe? Czy za tą wyprawą stoi taki właśnie plan?

Czy Verdanno chcą się popisać, czy też tak lekceważą nadciągającego wroga, że uznali, iż to się da zrobić? Ale, na długie nogi Czarnogrzywej, Kyh Danu Kredo może i jest młody, i został Synem Wojny dopiero jakieś dziesięć lat temu, lecz tylko głupiec by go lekceważył. Jeśli przez cały ten czas utrzymał się w siodle, to znaczy, że ten stary skurwiel Yawenyr dobrze wybrał. Tytułu Syna Wojny nie dziedziczyło się, trzeba było na niego zasłużyć bezwzględnością, oddaniem i talentami wojennymi. Na dodatek Danu Kredo miał pod sobą co najmniej piętnaście tysięcy wyszkolonej jazdy, a mógł mieć drugie tyle, po prostu sadzając na koń młodzików, starszych mężczyzn, pastuchów, a nawet kobiety, bo wśród koczowników każdy mógł w kilka chwil zostać wojownikiem. Kocimiętka popędził konia, wyprowadzając swój oddzialik przed rydwany. Wozacy zaczęli zwalniać, ich konie przeszły w lekki kłus. Najwyraźniej informacja, którą przekazał głównodowodzącemu, wywarła taki efekt, jak się spodziewał, Verdanno nie szykowali się dziś do bitwy, chcieli jeszcze przejechać kilkanaście mil i rozbić obóz. Rozsądna decyzja.

Nadal jednak nie było odpowiedzi na najważniejsze pytanie. Dlaczego jest tak spokojnie? Resztki rozbitego podjazdu musiały już dotrzeć do głównego obozu koczowników, Syn Wojny musiał już wiedzieć, że Wozacy przeszli góry i okopują się na wyżynie. Jeśli znał sprawność, z jaką Verdanno zakładali warowne obozy, powinien starać się ze wszystkich sił im w tym przeszkodzić. Tymczasem nadciągał wolnym marszem, w takim tempie, jakby miał przed sobą cały czas świata. Nie wyglądało to na wojenną wyprawę, tylko na zwykłą o tej porze roku wędrówkę na nowe pastwiska.

A może właśnie o to chodziło, że to nie wojenna wyprawa? Rozmawiali o tym w czasie narady, nim rydwany wyruszyły na południe, i to chyba And’ewers poczęstował ich takim stwierdzeniem. Gdy koczownicy walczyli z Verdanno po raz pierwszy, na Wyżynę Lytherańską uderzyła konna armia, lotne zagony szybkie i zwinne, w czasie tłumienia powstania Wozacy również walczyli tylko z jazdą. Ale teraz sytuacja wśród Synów Wojny jest napięta, żaden z nich nie zostawi swoich kobiet i dzieci, stad

bydła i tabunów na Wielkich Stepach bez ochrony. Mogłoby się okazać, że gdy on będzie zajęty walką, sąsiad wyrżnie mu współplemieńców i zagarnie majątek. Wojna wojną, ale Yawenyr od niej nie ozdrowieje. A kiedy umrze, bezpieczniej jest trzymać swoje rodziny i zwierzęta pod bokiem, żeby mieć do czego wrócić.

Oczywiście mogło też być i tak, że Syn Wojny chce, aby Verdanno wjechali na Wyżynę. W końcu jeńcy zeznali, że wyruszył wcześniej, licząc na dobry łup, więc nie powinien próbować ich zatrzymywać za niezdobytą ścianą Olekadów; tempo marszu dyktuje mu chciwość, woli dotrzeć na miejsce dopiero wtedy, gdy większość niewyobrażalnych bogactw znajdzie się w zasięgu ręki. Może więc brak zwiadowców, poprzedzających jego plemiona, to zwykła arogancja, bo wierzy, że i tak zdobędzie każdy obóz. A wtedy nie spodziewa się ataku, Verdanno zaś mają realną szansę rozbić i odepchnąć go jednym, zaskakującym uderzeniem.

Kocimiętka zgrzytnął zębami. Rozważania, wątpliwości, teorie… Psiakrew, gdy w czasie wojny dowodził chorągwią, wszystko było prostsze, przychodziły rozkazy, siadało się na koń i jechało do bitki. Gdy śmigał po Stepach na czele bandy desperatów, też nie myślał wiele o przyszłych dniach, żyło się od łupu do łupu, od napadu do napadu. Inaczej się wtedy smakowało świat, haustami, dławiąc się i wgryzając wściekle w każdą chwilę. W armii odpowiedzialność zdejmowała mu z barków wojskowa hierarchia, w czasie zbójowania własny kodeks, którego się trzymał, i świadomość ulotności życia bandyty. Dziś jesz i pijesz, jutro karmią się tobą padlinożercy. Ale teraz…

Rzucił okiem na Leę, której myszowaty konik podrygiwał w śmiesznym kłusie, na czarniawego Landeha, Niiara zagadującego właśnie do Verii i wciąż skupionego Jannego. Odkąd zginęli jego bracia, nie miał nikogo, kogo mógłby nazwać rodziną, nikogo, czyja śmierć by go obeszła, ale z nimi, z towarzyszami z czaardanu, byli tak blisko, że niemal czytali sobie w myślach.

Lecz nie chodziło tylko o to.

Wszyscy uważali, że jest kimś w rodzaju zastępcy Laskolnyka. Wozacy zapraszali go na narady, wysłuchiwali opinii, podpytywali o plany kha-dara. Czuł, że nawet jeśli źle odpowie albo chociaż podzieli się z nimi niewłaściwą sugestią, to i tak dostosują do niej swoje plany. Ciężar odpowiedzialności był jak skorupa z krępującej ruchy gliny, oblepiająca członki,

wciskająca w ziemię. Czy tak się czuł Laskolnyk? Cały czas zaplątany w intrygi i plany przesuwające po mapie kontynentu całe narody i armie? Kocimiętka westchnął tak ciężko, aż przyciągnął spojrzenie Lei.

— Co? — rzuciła z uśmiechem. — Tyłek odwykł od galopu? Starzejesz się? Mam w sakwach dobrą maść, jeśli chcesz.

Pokiwał głową.

— Tak, właśnie marzę o tym, żebyś posmarowała mi tyłek maścią, którą wozisz ze sobą od chwili, gdy matka odstawiła cię od piersi.

Wszyscy wiedzieli, że Lea ma w swoich sakwach najprzeróżniejsze rzeczy i jeśli nie musi, to nigdy niczego nie wyrzuca. Po czaardanie krążyły legendy o tym, co też można w nich znaleźć i kiedy tam trafiło.

— Dzień, w którym będę cię czymkolwiek smarować, będzie dniem twojego pogrzebu, starcze — odgryzła się. — A ta maść jest najlepsza, sprzedał mi ją sam Hewrast.

— Czy on nie umarł pięć lat temu?

— Pięć? Nie więcej jak dwa, sklerotyku.

— Aha. Dwa… A nie mówił przypadkiem, jak długo można używać tego leku?

— Dobrą maść można używać latami. To jak? Chcesz, czy nie?

Tyłek… Niech będzie, że to tyłek mnie boli.

— No dobra — zgodził się. — A sprawdziłaś ją chociaż?

— Shawlenderowi pomogła.

Shawlender. Kocimiętka spojrzał z góry na konika Lei. Podobno wzięła to imię z języka plemienia swojej matki, choć nie chciała powiedzieć, co znaczy.

— Czyli jemu smarowałaś tyłek, a mnie już nie chcesz?

— On jest od ciebie przystojniejszy. I nie ma cały czas takiej zasępionej miny.

Złowił kilka rozbawionych spojrzeń, które wymieniła reszta. Uśmiechnął się także półgębkiem.

— W takim razie podziękuję. A teraz…

Za nimi rozległy się gwizdki, rydwany zwalniały szybciej, niż się spodziewał.

— Właśnie na to czekałem. Szykujcie się do rozbicia obozu. Lea, ty śpisz z ręką w ziemi, na wszelki wypadek. Starajcie się odpocząć, bo coś mi mówi, że *Lamerei* poderwie rydwany do marszu na długo przed wschodem słońca. To będzie krótka noc, lepiej odpocznijcie.

Lea zrobiła zeza i zasalutowała mu kpiąco.

* * *

Obóz rósł w niesamowitym tempie. Po rampie zjeżdżał nieprzerwany sznur wozów, głównie bojowych, które natychmiast ustawiano na wyznaczonych miejscach. Miały stworzyć największy Rogaty Gród w historii, taki, który oprze się każdemu atakowi i pozwoli reszcie karawan wjechać na Wyżynę.

W ich rodowym wozie odbywała się narada za naradą, a Key'la podawała wino, talerze z jedzeniem, napełniała kubki, sprzątała ze stołu, czasem biegała z jakąś pilną wieścią. I słuchała, słuchała, słuchała. Zarówno Emn'klewes Wergoreth, *Boutanu* całego obozu, jak i ojciec oraz Has zdawali się traktować ją jak powietrze – w końcu czym dla mężczyzn zajętych planowaniem wojny jest dziewięcioletnia dziewczynka, krzątająca się w milczeniu, jak na dobrze wychowane dziecko przystało? Inni, *Sanyeo* – dowódcy ścian, *Den'kaw* – dowódcy oddziałów piechoty, nadzorcy stad i zarządcy zapasów, początkowo wydawali się zdziwieni jej obecnością, lecz po chwili zapominali, że jest w pobliżu. Była czymś w rodzaju ruchomego wyposażenia wozu. Gdy któryś nadstawiał kubek po dolewkę, pewnie myślał, że wino wypełnia go magicznym sposobem.

Elastyczność. To słowo padało najczęściej, rzucane w każdym z trzech rodzajów mowy, choć w każdym znaczyło coś innego. Z tego, co zrozumiała, od chwili nocnego ataku na budowniczych rampy wszystkie plany musiały zostać ułożone od nowa. Pierwotnie zakładano, że obozy będą się formować na dole, jeden za drugim, i od razu wyruszać w drogę. Wszystko zaplanowano w ten sposób, by każda z pięciu wielkich karawan dotarła na miejsce przeznaczenia mniej więcej w tym samym czasie i – jeżeli dobrze zrozumiała – by mogły się nawzajem wspierać w marszu i walce.

Lecz teraz, wraz z wieściami o nadciągających koczownikach, wszystko się zmieniło. Pierwsza karawana, obóz New'harr, ich obóz, nie mogła wyruszyć, nim nie przybędą co najmniej dwie następne, bo musiałaby samotnie stawić czoła Se-kohlandczykom. Zamiast szybkiego marszu, który

pozwoliłby im zająć najważniejsze miejsca na Wyżynie, czekało ich mozolne przebijanie się przez szeregi wroga, krok za krokiem, z kołami wozów po osie uwalanymi we krwi.

To ostatnie zdanie padło z ust ojca, a ona spróbowała to sobie wyobrazić i wcale, ale to wcale jej się to nie podobało.

Na dodatek Der'eko i bliźniacy pojechali na południe, na spotkanie – jak zdążyła się domyślić, choć nikt nie chciał jej tego powiedzieć wprost – nadciągającej armii koczowników. Wyruszyli na wojnę, a wszyscy zachowywali się tak, jakby nic się nie stało. Eso'bar i Mer'danar służyli w załodze wozu bojowego, który jej rodzina wystawiła na tę wyprawę. Ruk'hert i Det'mon, ubrani w ciężkie pancerze, stawali w szyku, ćwicząc pod okiem swojego *Den'kaw*. Ich tarcze i długie włócznie miały wspierać obronę, gdyby koczownicy przedarli się przez zewnętrzną linię wozów. Przynajmniej tak jej to tłumaczyli, lecz obaj nie potrafili kłamać, zresztą zbyt często widziała, jak stu czy dwustu tarczowników tworzy pancerny czworobok. Co niby mieli zamiar zrobić z czymś takim wewnątrz obozu? Możesz mieć dziewięć lat i nie wolno ci nosić *kavayo,* ale to nie znaczy, że jesteś głupia.

Obóz rósł i szykował się do bitwy. Zewnętrzne, bojowe wozy zamiast w równe linie ustawiano w zębatego łamańca, zwanego Rogatym Grodem. Narożniki obozowiska wydłużyły się w szpiczaste wyrostki, z prostych ścian wyrosły w regularnych odstępach trójkątne szańce. Na to wszystko potrzeba było dwa razy więcej wozów niż na prosty mur, lecz w którymkolwiek miejscu koczownicy ośmieliliby się uderzyć, zawsze znaleźliby się pod krzyżowym ostrzałem. Eso'bar wyjaśnił jej to, gdy przyszła z poleceniem od ojca do dowódcy ściany południowej. Zrozumiała to od pierwszego spojrzenia, linia obrony wyglądała jak ostrze piły, każdy, kto zaatakowałby jeden wóz, miałby inne z boku, a niekiedy także za plecami. Sprytne.

Pokręciła się chwilę, oglądając rzędy zaostrzonych pali wbijanych na przedpolu, ryte w ziemi doły, ciężkie machiny montowane za linią wozów. Wszystko wyglądało sprawnie i trochę przerażająco. Uznała, że gdyby była koczowniczką, na sam widok takiego obozu zawróciłaby konia i pojechała do domu.

Rogaty Gród miał jedną wadę. Założenie go i zwinięcie zabierało trzy razy więcej czasu niż każdego innego obozowiska. Dlatego też miała przeczucie, że skoro jej ojciec i *Boutanu* podjęli decyzję o takim właśnie ustawieniu, to koczownicy raczej nie zawrócą.

Czekała ich walka.

A ją, oprócz usługiwania w czasie narad, czekały i inne obowiązki. Wiklinowe płotki, mające chronić burty wozów przed hakami, same się nie zrobią, podobnie jak pikowane osłony na końskie grzbiety. Nee’wa, która wyraźnie zazdrościła, że to nie jej przypadł zaszczyt podawania jedzenia i trunków starszyźnie obozu, tym razem nie była miłą siostrą i zostawiała jej zawsze kilka dodatkowych wiązek wikliny do zaplecenia. Key’la wykorzystywała więc każdą chwilę, by nad nimi popracować.

Tak jak teraz. Ojciec wyszedł na inspekcję pancernych ścian obozu, a ona najpierw posprzątała wóz, a później, siedząc na schodkach, pracowicie splatała giętkie gałązki. Rogaty Gród wymagał tysięcy takich ozdóbek. Wozy bojowe miały wysokie burty, chroniące całkowicie strzelców, ale przez to stawały się bardziej wywrotne. Wiklinowe płotki miały chronić je przed hakami, a ponieważ, jak podsłuchała przypadkiem, koczownicy jeszcze nie widzieli tej sztuczki, powinna to być dla nich przykra niespodzianka. Od jej pracy mogło zależeć czyjeś życie, więc starała się, najlepiej jak umiała.

I – rzecz jasna – był jeszcze on. Chłopiec. Nadal siedział na wozie przewożącym kuźnię, nadal niemal się nie poruszał i nadal nic nie mówił. Ani słóweczka. Patrzył tylko na nią tymi swoimi niesamowitymi oczyma, zjadał i wypijał wszystko, co mu przyniosła, i chyba przez większość czasu spał, choć nigdy go na tym nie przyłapała. Na szczęście teraz nie miała problemu ze zdobywaniem dla niego prowiantu, nawet Ana’we nie zdołałaby się doliczyć, ile ich goście zjedli i wypili. Na dodatek zarówno ojciec, jak i bracia mieli tyle zajęć, że nikt nie myślał o montowaniu kuźni, w końcu trudno, by *En’leyd* całego obozu zajmował się jeszcze podkuwaniem koni. To były dobre okoliczności, dzięki którym on mógł się jeszcze jakiś czas ukrywać. Ale wiedziała, że to nie będzie trwało wiecznie. Poza tym wyjechali z gór. Jeszcze nie miała okazji mu o tym powiedzieć, zresztą ich rozmowy przypominały gadanie do konia, ona otwierała usta, a on tylko patrzył. Mimo wszystko musiała z nim porozmawiać, bo może nie życzył sobie wyjazdu w nieznane.

Na wojnę.

Sama przed sobą nie chciała się przyznać, że to słowo ją przerażało. Wojna. Krótkie, dosadne, ostateczne. Jak jest wojna, to nie ma więcej nic. Trzeba się jej podporządkować całkowicie, bez żadnych wyjątków, ludzie

o niczym innym nie mówią i nie myślą. Widziała to w obozie, wszyscy mężczyźni chodzili z bronią, większość kobiet też. Czujne spojrzenia, precyzyjne ruchy, oszczędność w słowach i gestach. Znikło gdzieś piękno i płynność *av'anaho*, wysoka mowa była zarezerwowana dla występów bajarzy i opowiadania cudownych historii, a nie dla wojskowych komend. Znikły szerokie uśmiechy, żartobliwe pokpiwania, zabawy. Ostatnia noc po drugiej stronie gór, przerwana nagłym atakiem koczowników, sprawiła, że wojna zawisła nad wszystkim, niczym zjawa odziana w zakrwawiony całun.

Rodziny zabitych pochowały ich w płytkich grobach, wplotły żałobne wstążki w końskie grzywy i złożyły Przysięgę Pomsty. Krew Verdanno znów wsiąkała w Wyżynę Lytherańską, a choć starcie zakończyło się zwycięstwem, wszyscy wiedzieli, że to dopiero początek. Nawet bliźniacy, choć dotąd zawsze mieli dla niej czas, przez ostatnie dni zmienili się, stali poważniejsi, bardziej skryci. Gdy odwiedzali rodzinne wozy, ledwo raczyli rzucić okiem na najmłodszą siostrę. A jeśli już otworzyli usta, nagle okazywało się, że znikli gdzieś Fen i Gen, a pojawił się woźnica rydwanu i jego łucznik.

Mówili o wojnie, myśleli o wojnie, żyli wojną. Gdy opowiadali, jak ich Fala idzie pełnym cwałem do ataku, oczy im płonęły, a w głosach pojawiał się dziki zachwyt. Dłonie jednego mimowolnie układały się do chwytania lejców, drugiego do łuku. I wydawało się, że najbardziej żałują, iż to nie oni brali udział w nocnym starciu z koczownikami.

Nie poznawała ich.

Westchnęła, przeplatając szczególnie oporną witkę. Czasem żałowała, że nie została na Stepach wraz z większością starców i małych dzieci. Lecz nie mieli tam żadnych zaufanych krewnych, lata życia w Lithrew nie pozwoliły odnowić więzi rodowych, więc ojciec zdecydował się zabrać ją na wyprawę, mimo że dzieci w jej wieku było w całym obozie ledwie kilkoro. Czuła się jak kulawe źrebię, które tylko obciąża tabun. Dlatego obiecała sobie, że nie będzie płakać ani nie pozwoli, by ktokolwiek wykonywał za nią obowiązki, nawet jeśli wojna, która nad nimi wisiała, powodowała u niej skurcz żołądka i rozpaczliwy łomot serca.

Musiała sama przed sobą przyznać, że była małym, paskudnym tchórzem.

A przecież wychowała się w Lithrew, miasteczku, w którym walka i śmierć majaczyły na horyzoncie dzień i noc. Wystarczyło przejechać kilka mil i znajdowało się po drugiej stronie granicznej rzeki, gdzie każdy mógł cię zastrzelić, bo był twoim wrogiem. Przeżyła też trzy duże ataki na miasto, dwa pierwsze ledwo pamiętała, trzeci, gdy wszyscy walczyli z Błyskawicami i czarami Pomiotników, wyrył się jej w pamięci obrazami całej rodziny z bronią w ręku, nawet mama i siostry miały lekkie kusze i wpatrywały się z zaciętymi minami w cienie wokół wozów, gotowe szyć do każdego, kto spróbowałby ich zaatakować. Ale pamiętała też, że siedząc wtedy w kącie, przykryta dla ochrony kilkoma grubymi matami, czuła się bezpieczniej niż teraz. Bo cała rodzina była razem, nawet jeśli ich nie widziała, wiedziała, że są obok, w sąsiednich wozach, że będą walczyć z napastnikami i z pewnością ich pokonają.

Oddałaby wszystko, by znów poczuć się w ten sposób, a przecież otaczały ją tysiące wozów i dziesiątki tysięcy współplemieńców.

Ale wtedy to był po prostu napad, a teraz trwała wojna. A wojna, jak już zauważyła, zmienia ludzi, zanim ci jeszcze przeleją krew.

Jeszcze raz westchnęła ciężko, zaplatając ostatnie gałązki. Kolejne trzy płotki stały oparte o wóz, każdy szeroki na cztery stopy, wysoki na dwie, zwieńczony gęstwiną sterczących ku górze witek. Całe popołudnie pracy, od której bolały ją podrapane i posiniaczone palce. Przynajmniej miała świadomość, że załoga wozu, na którym je zamontują, będzie bezpieczniejsza, oto cały pożytek z kulawego źrebięcia.

Rozejrzała się uważnie, ojciec raczej nie wróci zbyt prędko, przegląd ustawienia wozów zajmował mu zawsze sporo czasu i jak się orientowała, wiązał się z ostrymi dyskusjami z *Boutanu*. W trakcie wędrówki to jej ojciec był najważniejszy, decydował o szyku wozów, rozmieszczeniu tabunów, prędkości marszu. Teraz stopniowo przekazywał władzę Emn’klewesowi Wergorethowi, którego zadaniem była obrona obozu. To on właśnie zarządził ustawienie Rogatego Grodu, choć ojciec był przeciw, głównie ze względu na to, że Gród nie pozwalał się zwinąć w czasie ataku wroga. Był jak kamienna twierdza: trudna do zdobycia, ale wgryziona w ziemię. Ale taki też był Emn’klewes, solidny i stały jak skała, a doświadczenia, jakie zdobył w czasie wojny i potem, w trakcie obrony wielkich obozów założonych w Imperium, były bezcenne. Ich dyskusje trwały godzinami i kończyły się zazwyczaj jakimś kompromisem, jak na przykład zostawieniem

w kilku miejscach wozów ustawionych w linie proste, by można było łatwo je usunąć i wypuścić karawanę albo rydwany. Mogła jednak być pewna, że zanim osiągną porozumienie, słońce zacznie się chować za górami.

Bracia bawili się w wojowników, Ana'we znów wystawiała się na sprzedaż, próbując zdobyć uznanie babki Kar'dena, Nee'wa ćwiczyła gdzieś strzelanie z łuku. Zupełnie jakby wszyscy zakładali, że rodzinne wozy można zostawić pod jej opieką. Miała jednak dość rozumu, żeby wiedzieć, że to raczej lekceważenie, połączone z przekonaniem, iż jest wystarczająco duża, by nie narobić kłopotów.

Podeszła do wozu z kuźnią i rozejrzawszy się jeszcze raz, wskoczyła do środka.

Czekał. Znów czekał i miała wrażenie, że czeka cały czas. Nigdy nie udało jej się przyłapać go na spaniu, drzemce, czy choćby na jakimś gwałtownym poruszeniu, towarzyszącym nagłemu przebudzeniu. Zawsze siedział nieruchomo, owinięty w pled, i zawsze pierwszym szczegółem, który dostrzegała, były jego oczy. Dwie niebieskie latarenki pod strzechą ciemnych włosów. Nie poruszał się na jej widok, nie wydawał żadnych dźwięków, po prostu siedział i patrzył. Już jej nie obwąchiwał, wystarczyło mu spojrzenie, ale nadal jego twarz pozostawała w całkowitym bezruchu. Zastanawiała się, czy gdyby do środka wszedł ktoś inny, ten spokój byłby równie niewzruszony. Mimo wszystko stalowe szpony, które miał na dłoni, rozrywały gardła, a ona sama widziała, jak skutecznie potrafi się nimi posługiwać.

— Mam coś dla ciebie. — Wręczyła mu dwa podpłomyki i kawałek pieczeni.

Nadal jadł w dziwny sposób, odrywając kawałki pokarmu i wkładając je sobie do ust. A kości, które każdy normalny człowiek ogryzałby zębami, on oskrobywał swoją morderczą rękawicą. A potem miażdżył je w dłoni i wydłubywał ze środka szpik. Czasem kawałki nie większe niż ziarno kaszy. Ale przynajmniej zjadał wszystko, co przyniosła, i z dnia na dzień wydawał się mniej chory. Musiał też załatwiać się nocą, bo inaczej w całym wozie śmierdziałoby już niemiłosiernie. Dzięki Białej Klaczy, że do tej pory nikt go nie odkrył. Przynajmniej tyle.

— I jeszcze to. — Podała mały bukłak.

Ostatnio, w miarę jak spadała gorączka, chłopak pił jakby mniej, zawsze jednak zachowywał się tak samo, ostrożnie wąchał wodę, brał pierwszy łyk

do ust i trzymał go przez chwilę, zanim połknął. Potem powolnymi, długimi haustami wypijał resztę i oddawał jej naczynie. Nigdy nie próbował robić zapasów, a gdy kiedyś zostawiła mu bukłak, wiedząc, że przez dwa dni nie będzie mogła do niego zajrzeć, nie wypił ani kropli, dopóki nie podała mu go do rąk. Tak samo z jedzeniem, jeśli zostawiła jakieś w wozie, nie tknął, póki nie wręczyła mu go osobiście. Zmuszało ją to do częstszych odwiedzin, ale w gruncie rzeczy nie przejmowała się takimi sprawami. Dzięki temu miała się przynajmniej do kogo odezwać.

— Pokaż się.

Od jakiegoś czasu nie protestował już, gdy ściągała z niego okrycie i oglądała ranę. Końska maść spisała się świetnie, rozcięcie goiło się niemal w oczach, znikło brzydkie zaczerwienienie i nieprzyjemny zapach. Szczerze mówiąc, uważała, że całość goi się aż za szybko, w tym tempie za kilka dni zostanie tylko blizna, ale nie znała się na tyle, by ocenić, czy to normalne. Poza tym leki, których używali dla koni, były najlepsze na świecie. To pewnie dlatego.

Okryła go pledem i uśmiechnęła się szczerze.

— Dobrze się goi. Już nie powinno się jątrzyć. Boli, jak się ruszasz?

Oczywiście nie odpowiedział. Popatrzył tylko na nią, przekrzywiając głowę.

— Och… Boli? — Wykonała kilka szerokich ruchów rękami, krzywiąc się dramatycznie. — Boli, jak ruszasz, o tak?

Skoczył ku niej tak szybko, że ledwo zdążyła mrugnąć, i już trzymał ją jedną ręką za dłoń, a drugą, tą nieuzbrojoną, dotykał. Plecy, kark, ramiona. Ze zdumienia nie zdążyła nawet krzyknąć. Dotykał czubkami palców, wyraźnie czuła pięć punktów, gorących jak węgle wyciągnięte z paleniska. I po raz pierwszy na jego twarzy widać było jakąś zmianę. Miał bardzo skupioną, poważną minę, zmarszczone brwi, zmrużone oczy.

— A więc jednak potrafisz robić jakieś grymasy.

Początkowy przestrach minął, jego palce niemal parzyły, lecz wrażenie nie było nieprzyjemne. Gdy tylko ją puścił, wyciągnęła rękę i dotknęła jego piersi, między krzyżującymi się pasami.

— Ty! — stwierdziła dobitnie. — Czy ciebie coś boli? Tam. — Wskazała na jego ramię, gdzie zaczynała się rana.

Odpowiedział. Jego lewa dłoń wykonała kilka skomplikowanych gestów, po czym dotknęła własnej piersi, ust i czoła. Następnie zamachał rękami, dokładnie tak samo, jak przed chwilą ona, lecz nie krzywiąc się ani na jotę, po czym usiadł na swoim miejscu, owijając się pledem.

— To chyba znaczyło, że nie. To dobrze. Blizny lubią ściągać skórę i trzeba ćwiczyć, żeby nie przeszkadzały w poruszaniu się.

Usiadła naprzeciwko.

— My wkrótce będziemy mieli wojnę, wiesz? Właściwie już ją mamy, walczyliśmy z koczownikami i gdyby nie ci górscy żołnierze, którzy z nami szli, byłoby źle. Tak mówi ojciec. A teraz Der’eko, Fen’doryn i Gen’doryn pojechali na południe na spotkanie z resztą koczowników, a my zakładamy tutaj obóz i czekamy na wojnę. To chyba znaczy, że Rada nie spodziewa się, żeby naszym rydwanom udało się powstrzymać Se-kohlandczyków, mam rację? — Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękami. — Boję się, wiesz? Cały czas się boję, myślę, że bałam się, zanim jeszcze wyruszyliśmy, ale nie miałam okazji, żeby o tym pomyśleć. Dopiero przedwczoraj, gdy nas zaatakowali, wiesz? Potrafiłam tylko kulić się pod kocem i popłakiwać ze strachu. Gdyby to mnie napadnięto, przewróciłabym się na ziemię i pozwoliła się zabić. Jestem strasznym tchórzem… Nie dam rady nikogo obronić, nikomu pomóc… to mnie… to mnie trzeba będzie chronić.

Coś gorącego popłynęło jej po twarzy i ze zdumieniem stwierdziła, że płacze. To nie tak miało być, chciała tylko powiedzieć mu, że powinien już iść, i trochę pogadać na koniec. A teraz nagle, jakby ktoś potarł jej powieki sokiem z cebuli, łzy płynęły i nie potrafiła ich już powstrzymać.

— Oni rozmawiają, wiesz? Przy mnie rozmawiają o tym, że ludzie będą walczyć i umierać, co zrobić, jeśli koczownikom uda się złamać nasze linie, gdzie przenieść rannych, gdzie pochować zabitych… Już liczą zabitych, wiesz? A ja mam czasem ochotę rzucić wszystko na ziemię, wybiec z wozu i uciec. Mówią, że jestem za mała, żeby zrozumieć takie rzeczy, jakby trzeba było mieć nie wiem ile lat, żeby zrozumieć, co znaczy człowiek przebity włócznią. Boję się, boję się koczowników, wojny, śmierci, a najbardziej boję się, że gdy ktoś będzie potrzebował mojej pomocy, to zwinę się w kłębek i zacznę piszczeć ze strachu. I że ktoś… Nee’wa, Eso’bar, ojciec, przeze mnie umrze. Wiesz? Hej, to ja tu jestem beksą.

Bo on też płakał, bezgłośnie, z oczyma pełnymi smutku, mrugając co chwilę powiekami, jakby zdziwiony swoją reakcją. Patrzył przy tym na nią

tak bezbronnym, bezbrzeżnie zdumionym wzrokiem, że mimo wszystko się uśmiechnęła.

— No nie, ty też? Ja płaczę, bo się boję, ale ty? Nie chciałabym być na miejscu kogoś, kto spróbuje ci zrobić krzywdę, wiesz? — Pociągnęła nosem i uśmiechnęła się szerzej. — Mam nadzieję, że nie zaraziłam cię tchórzostwem.

Przestał płakać, choć nie bardzo wiedział, co zrobić z łzami wilgocącymi policzki. Wyciągnęła ramię i otarła mu je rękawem.

— Tak lepiej. Dwie beksy siedzące w ciemnym wozie to o jedną za dużo. Dobrze, że nikt nas nie widzi.

Prawie roześmiała się na głos z tej ostatniej myśli. Oczywiście, dobrze, że nikt jej nie widzi w towarzystwie półnagiego, niemego chłopaka, uzbrojonego w dziwaczne szpony, którymi rozrywa ludziom gardła. Jeszcze by sobie pomyślał coś dziwnego.

Nabrała głęboko powietrza i wypuściła powoli, a potem uśmiechnęła się do niego samymi oczami. Po tym płaczu i wypowiedzeniu na głos swoich lęków poczuła się lepiej.

— Dziękuję. Dobrze się z tobą rozmawia, wiesz? Ale my… my jesteśmy już na wyżynie. W domu. To nie jest miejsce, gdzie się spotkaliśmy. Nie wiem, czy powinieneś z nami jechać… ciężko będzie ci wrócić w góry, dopóki nasi będą zjeżdżać po rampie, ale gdy już przestaną, powinieneś odejść… Tak sądzę… tutaj… nie masz nikogo… Dobrze?

Nie odpowiedział, przekrzywił tylko głowę, jakby czegoś nasłuchiwał. Nagle zerwał się, stalowe pazury zazgrzytały, gdy kilka razy zacisnął i rozprostował pięść.

— Co się sta…

Nad obozem wybuchł głęboki dźwięk bitewnego rogu.

Zaczęło się.

Rozdział 2

Korzystając ze światła księżyca, poderwali się do marszu dobre kilka godzin przed wschodem słońca. W półmroku rydwany sunęły przez równinę jak fala czerni pędząca przez świat cieni. Żadnych świateł, lamp, pochodni. Konie szły kłusem, i choć zdawało się to niemożliwe, zachowywały szyk. Kocimiętka uznał, że to odpowiednie tempo, zwierzęta się nie zmęczą, a na obóz koczowników powinni się natknąć tuż przed świtem – i, do licha, raczej im nie groziło, by go przegapili.

Uwzględniając, ilu ludzi wiódł Danu Kredo, obozowisko Se-kohlandczyków powinno być bardzo rozległe, przynajmniej na milę albo półtora. I rzecz jasna będzie strzeżone, lecz tak duża masa ludzi ma równie dużą bezwładność. Nawet jeśli strażnicy ich dostrzegą, to nim alarm dotrze do wszystkich, nim a'keery wskoczą na konie i zajmą pozycję, piechota będzie już atakować główny obóz, a rydwany szturmować jego serce. Bo plany Verdanno wyglądały jednak inaczej, niż się spodziewał.

W verdańskiej armii wszczął się ruch. W ciemnościach Wozacy posługiwali się tak popularnymi na Wschodzie metalowymi, kościanymi lub drewnianymi gwizdkami, choć sygnały, których używali, były całkiem inne od tych stosowanych przez meekhańską jazdę. Teraz jednak wystarczyła seria cichych świstów, by rydwany pośrodku zaczęły zwalniać, a te po bokach przyspieszać, aż całość rozłożyła ciemne skrzydła, niczym gigantyczna, półmilowa bestia. Po kilku chwilach kształt rozdzielił się na trzy mniejsze części i każda z nich zaczęła się oddalać od pozostałych.

Szaleństwo i brawura. Albo odwaga i geniusz militarny. Wszystko zależy od tego, czy ich plan się powiedzie, czy nie.

Verdanno, te dzikie, opętane dzieciaki dowodzone przez garść starców, zamierzali zaatakować obozowisko Se-kohlandczyków rydwanami.

To znaczy, jak się dowiedział na wczorajszej naradzie, mimo wszystko chcieli wjechać do środka i rozpętać tam piekło. Koczownicy obstawiali

swoje obozy wozami, zza których łatwiej się bronić, i po to właśnie była Wozakom piechota – miała uderzyć na wozy, zdobyć je i rozsunąć.

Kyh Danu Kredo zakładał obozy na sposób wojskowy, co pozwalało mu szybko i sprawnie je rozbijać i zwijać. Olbrzymi krąg pojazdów otaczał wnętrze, w którym w wydzielonych miejscach stały namioty poszczególnych plemion i szczepów, a centralną pozycję zajmowali Jeźdźcy Burzy i sam Syn Wojny. Całość podzielono na ćwiartki, które oddzielały od siebie aleje, szerokie na kilkadziesiąt kroków, dzięki czemu jazda mogła swobodnie przemieszczać się wewnątrz. To był klucz do sukcesu Wozaków. Krzyżujące się pośrodku aleje, po zdobyciu barykady z wozów, miały ich zaprowadzić wprost do serca koczowniczej armii.

Jeśli oczywiście koczownicy nie zmienili swoich przyzwyczajeń.

Zabicie Kyh Danu Kreda i zdziesiątkowanie Błyskawic zmusiłoby jego plemiona do wycofania się, między wodzami były zbyt duże niesnaski, by szybko wybrali nowego przywódcę, który i tak musiałby zyskać akceptację Yawenyra, by przybrać tytuł Syna Wojny. Niedźwiedzia można zabić setką strzał – albo jednym, precyzyjnym pchnięciem w żywotny organ. Z tym że wtedy myśliwy powinien znaleźć się bardzo blisko zwierzyny, ale sława jest wprost proporcjonalna do ryzyka.

Do ciężkiej cholery! Musiał przyznać, że ten plan mu się podobał. Miał w sobie coś z dzikiej, kawaleryjskiej fantazji, przypominał czasy wojny, gdy w takich właśnie atakach wykuwała się ostatecznie konna armia Imperium. To było bardzo meekhańskie, obserwować wroga, uczyć się, by w odpowiedniej chwili zdać przed nim egzamin. Po bitwie o Meekhan, gdy gnali zdziesiątkowaną koczowniczą hordę na Wschód, pojedyncze pułki, czasem nawet chorągwie, uderzały na dwu-, trzykrotnie liczniejszego przeciwnika, rozpędzały tabuny koni, odbijały jeńców, miażdżyły szybkimi atakami zaskoczone obozowiska. Koczownicy nagle odkryli, że nie są jedyną armią zdolną do szybkich manewrów, nagłych zwrotów i pojawiania się tam, gdzie nikt ich się nie spodziewa. I Verdanno próbowali tego samego. Tym razem zamierzali uniknąć mozolnej wędrówki pancernych kolosów, jakimi były wielkie karawany, szarpanych, wykrwawianych i kolejno powalanych przez zwinne watahy konnych. Wybrali strategię szybkich ataków i zaskakujących manewrów.

Tak. Mogło się udać. Jeszcze chwila i zajmą pozycje do ataku. Uderzą z trzech stron, czwartą aleję i wyjście z obozu zostawiając wolne, by

koczownicy mieli jak uciec. To też była część planu, dzięki temu unikną walki ze zdesperowanym, przypartym do muru wrogiem, który będzie miał przewagę liczebną. A gdy większa część mieszkańców ucieknie, nikt nie przeszkodzi Wozakom w podpaleniu wszystkiego wokół i wycofaniu się.

Jego szóstka jechała z tyłu. Tak uzgodnili pod koniec narady i szczerze mówiąc, nie kłócił się zbytnio z tą decyzją. Większość młodych Wozaków zmierzała do swojej pierwszej bitwy i będą pamiętać tylko jedno – każdy konny to wróg. Głupio byłoby przebić się przez Olekady i wkroczyć na Wyżynę Lytherańską, żeby zginąć od przypadkowej strzały albo dzirytu. A gdyby… *Lamerei* wziął go pod rękę i odprowadził na bok, gdyby coś poszło nie tak, mają zawrócić i pędzić na północ ile sił w końskich nogach. Obozy muszą wiedzieć.

To było rozsądne i mądre. Poza tym miał ochotę przyjrzeć się tej walce z pewnej odległości.

Rozległy się ciche gwizdy i rydwany, którym towarzyszyli, zaczęły zwalniać, formując jednocześnie kilka długich kolumn, równych jak na paradzie. Pokiwał z uznaniem głową, gdyby zechcieli wskoczyć na siodła, to przy swojej miłości do koni i niemal magicznej więzi, jaka ich łączyła ze zwierzętami, raz-dwa zostaliby najlepszą jazdą świata. Tylko że wtedy najpewniej poszliby drogą większości konnych ludów, a Meekhan trząsłby się pod uderzeniami kopyt ich wierzchowców. Jednak lepiej mieć tych ciemnoskórych drani za sojuszników niż wrogów.

Wjechali na szczyt niewielkiego wzniesienia, przed nimi otworzyło się olbrzymie, szerokie przynajmniej na pięć mil wgłębienie, na środku którego rozsiadł się obóz koczowników. Nic dziwnego, że go wcześniej nie widzieli, był bardzo dobrze ukryty przed niepowołanymi oczami. Rozejrzał się, usiłując dostrzec coś w półmroku. Rydwany z oddziałów po lewej i prawej powinny już zająć swe pozycje.

Obozowisko koczowników było bardziej zwarte, niż się spodziewał, miało jakieś pół mili szerokości. Zza wąskiej obręczy wozów wychylały się szczyty setek namiotów. Całość wyglądała na pogrążoną w głębokim śnie.

Zbliżał się świt, niebo na wschodzie zaróżowiło się wyraźnie i wreszcie dostrzegł resztę rydwanów, wyrównujących głębokie linie w przypisanych im miejscach. Wszystko było gotowe. Wkrótce słońce wypełznie nad horyzont, a światło przepędzi cienie ze świata. To ten czas, kiedy strażnicy są najbardziej rozluźnieni, bo ledwo minuty dzielą ich od końca warty. Lada

chwila cały obóz zacznie się zrywać na nogi, a zrobi to wcześniej, jeśli któryś z wartowników omiecie krawędź niecki półprzytomnym spojrzeniem i zauważy ciemne plamy zwartych oddziałów, które jakimś cudem tam wyrosły.

Kocimiętka patrzył, jak *Lamerei* daje znak i dwa tysiące rydwanów rusza naprzód. W tym samym momencie pozostałe grupy drgnęły i skierowały się ku Se-kohlandczykom. Najpierw powoli, ledwo stępa, porządkując jeszcze szyk, z lekkimi rydwanami na skrzydłach i ciężkimi, niczym twardy rdzeń, skupionymi pośrodku. Piechota, stojąca z tyłu pojazdów, zarzucała tarcze na plecy i trzymając się poręczy, gotowała do szybkiego zeskoczenia. Od nich zależeć będzie powodzenie pierwszej fazy ataku. Zdobyć wozy, wyrwać dziury w pancerzu chroniącym miękkie, żywotne wnętrze, otworzyć drogę rydwanom. A potem liczyć na to, że atak się powiedzie, bo jeśli nie, to nikt ich stamtąd nie zabierze.

Powodzenia, bękarty.

Od centrum niecki powiał lekki wiaterek. Cała szóstka niemal jednocześnie wciągnęła powietrze, smakując je, i niemal jednocześnie wymieniła zaniepokojone spojrzenia.

— Lea…

Nie musiał tego mówić, dziewczyna już zeskoczyła z siodła, już dźgała ziemię sztyletem i wciskała dłonie w powstały otwór.

— Janne?

— Szukam. — Chłopak miał przymknięte oczy. — Ale w pobliżu nie ma żadnych nocnych ptaków.

— Lea?

— Już… już… juuuuż… — wydyszała. — Dwie mile… ciężar wozów… namioty… ludzie… stu? Dwustu… czekają… pusto… pusto… setka koni… pusto… Bele słomy… suchych badyli… smak… ziemnego oleju… To pułapka!

— Niiar, Veria, zatrzymajcie środek! Cwał!!! Janne, Landeh, wy lewe skrzydło! Lea, wskakuj na konia i zatrzymaj prawe. Już! Już! Cwał!!!

Ruszyli. Rydwany znajdowały się w połowie drogi, właśnie przechodziły do lekkiego kłusu, obóz pozostawał cichy i spokojny, ale to nic dziwnego, zważywszy, że był jedną wielką, przeklętą przez bogów pułapką.

Powinni się domyślić w chwili, gdy nie ujrzeli wokół obozu żadnych stad. Ale moment, gdy przybyli, był najlepszy do ataku, więc mało kto zastanawiałby się, co jest nie tak. Dopiero gdy powiał wiatr… Tysiące namiotów, dziesiątki tysięcy ludzi… Na Wschodzie mieli powiedzonko, jak zgubiłeś drogę w stepie, idź za nosem. Na wyprawach rozpalali ogniska z końskiego lub bydlęcego nawozu, małe i dające niewiele dymu, a i tak wiedzieli, że z wiatrem będzie je można wyczuć na setki jardów. Rozległe obozy, gdzie palono tysiące ognisk, dało się wyczuć na wiele mil, i to długo po tym, jak ognie wygaszono. Do tego dochodził zapach ludzi, zwierząt, wyprawionych skór, gotowanego jedzenia. Znał takich, którzy przechwalali się, że potrafią na podstawie tych woni określić nie tylko, gdzie znajduje się obozowisko, ale też jak jest duże.

Ten obóz nie śmierdział niczym. Jakby był martwy.

Więc cwałowali teraz za oddalającymi się Verdanno, wrzeszcząc i wymachując rękami. Cokolwiek przygotowali dla nich koczownicy, na pewno nikt z tych, którzy wjadą do obozowiska, nie będzie tym zachwycony.

Kocimiętka pędził za Leą, choć jego bojowy ogier nie mógł równać się z jej myszowatym konikiem, i czuł podchodzącą do gardła kulę żółci. Wiedział, że Niiar i Veria dopadną środek, mieli do przebycia ledwo pół mili, a Wozacy szli ciągle lekkim kłusem, lecz skrzydła były zbyt daleko. Zbyt daleko nawet dla prędkonogiego demona szybkości, jakiego dosiadała Lea. Jeśli żaden z Verdanno nie obejrzy się w bok, nie dostrzeże cwałujących ku nim jeźdźców i nie skojarzy, że coś jest nie tak, nie zdążą…

Nie zdążą.

Wstrzymał konia, zeskoczył na ziemię i pobiegł dalej. Wielki lew pojawił się tuż przed nim, jak zawsze, gdy było trzeba. A z nim wspomnienia rozległych równin, nieprzeliczonych grzbietów rogatych trawożerców, cieni przycupniętych u stóp rozłożystych drzew.

Przepraszam.

Lew przykucnął na tylnych łapach, sprężył się i skoczył. W tej samej chwili Kocimiętka dał susa do przodu i znów było tak, jakby lecieli ku sobie, na spotkanie niewidzialnej płaszczyzny, która pochłonęła ich, obróciła na nice i wypluła, z tym że teraz miał już cztery potężne łapy, płowe cielsko, płuca jak miechy i wzrok, który wyławiał z otoczenia najdrobniejsze szczegóły.

Bieg. Trzeba biec, żeby zatrzymać konie i ludzi.

Minął pojedynczego jeźdźca, którego zwierzę było naprawdę szybkie, prawie tak szybkie jak on, pojawiła się przelotna myśl, myśl-duma, myśl-ciepło, że to członek stada i że gdyby mieli ścigać się dłużej, to przegrałby pewnie nawet on. Lecz teraz, na krótkim dystansie, był szybszy.

Poczuł to, silny, szybki podmuch wiatru za sobą, myśl-szczęście, myśl-radość, wskoczył w sam środek podmuchu, posłał naprzód swój zapach, zapach polującego, biegnącego drapieżcy. Myśl-rozbawienie – nie tak się poluje… I druga myśl-rozbawienie – tak też nie… po czym wydał z siebie przerażający ryk, tnący noc jak diament.

Dźwięk uderzył w sunącą kolumnę i od razu zwichrzył jej czoło, stępił je, przyhamował. Konie mogły być szkolone do walki z ludźmi i innymi końmi, mogły znieść ciosy szabel i włóczni, wytrzymać deszcz spadających strzał, lecz ten ryk i sunący z wiatrem zapach zagrały na instynktach, które najtrudniej wykorzenić. Niosły ze sobą zapowiedź pazurów drących ciało, kłów zaciskających się na gardle, prutych żywcem wnętrzności. Niosły, zapisane w ciele i krwi, wspomnienia z czasów, nim pierwsi ludzie napotkali pierwsze konie, gdy wielkie koty polowały swobodnie wszędzie tam, gdzie paśli się roślinożercy. Zadziałał odruch – nie biec tam, skąd dochodził ten ryk i ten zapach.

Kolumna złamała szyk, czoło skręciło w prawo, byle dalej od drapieżcy, niektóre zwierzęta próbowały oderwać się od reszty, inne – zawrócić, woźnice usiłowali utrzymać odstępy, lecz na kilka chwil nawet bojowe konie Verdanno, od źrebaka szkolone do walki, wypowiedziały im posłuszeństwo. Instynkt okazał się silniejszy. W kilka uderzeń serca cała precyzyjna konstrukcja rozpadła się i zmieszała.

Ryknął jeszcze raz, trochę dla zabawy, lecz bardziej by ludzie zwrócili się we właściwą stronę. Mało prawdopodobne, żeby dostrzegli jego płową sylwetkę ukrytą w cieniach, lecz konia Lei i jego wrzeszczącą i wymachującą rękoma panią musieli spostrzec. I lepiej, żeby w tym oddziale znalazł się ktoś z głową na karku.

W kilka chwil po tym, jak setki twarzy zwróciły się w stronę cwałującej dziewczyny, rozległy się świdrujące uszy gwizdy i całość zaczęła zwalniać, w biegu porządkując szyk.

Westchnął głęboko, odnalazł mężczyznę siedzącego w kucki pod zalanym słońcem drzewem i skoczył mu na spotkanie.

To była krótka wymiana, ledwo kilkadziesiąt uderzeń serca i powrotowi nie towarzyszył myślowy zamęt, którego najczęściej doświadczał, gdy wymieniali się na dłużej. Czasem, gdy pozostawał kotem przez kilka godzin, myśli-uczucia, myśli-emocje pojawiały się coraz rzadziej, zdolność zapamiętywania i kojarzenia faktów rozmywała się w emocjach i odruchach drapieżcy. Był niemal pewien, że gdyby zbyt długo przebywał w pożyczonym ciele, to on – Sarden Waedronyk, znikłby, a po Stepach wędrowałby co najwyżej wielki kocur, którego czasem nawiedzałyby dziwaczne sny. Teraz niemal od razu odnalazł się w ludzkim ciele, w ludzkim sposobie myślenia i patrzenia na świat. Westchnął głęboko, zrobił kilka kroków, obserwując, jak odległa o dwieście jardów kolumna rydwanów porządkuje szyk i zatrzymuje się. Zdążyli.

Oni tak, lecz Janne i Landeh nie.

Trzeci oddział Wozaków uderzył na obóz z przeciwnej strony. Najpierw nie stało się nic, jakiś odległy krzyk, coś niby szczęk żelaza, krótkie, urwane końskie rżenie. A potem nagle dziki wrzask, tak potężny, że przeleciał nad obozem i dotarł aż do nich, i tętent tysięcy kopyt walących o ziemię w szalonym cwale oraz najdzikszy, najbardziej przerażający odgłos, jaki Kocimiętka słyszał w życiu. Jakby milion wściekłych doboszy uderzyło w milion metalowych balii.

Wsadził palce w usta, zagwizdał krótko, przywołując wierzchowca. Koń boczył się i pokazywał zęby, jak zwykle po zamianie, ale podbiegł. W chwili, gdy Kocimiętka znalazł się w siodle, obóz rozbłysnął światłem.

Nie był to pojedynczy płomień, lecz dziesiątki ogni roznieconych jednocześnie. Lea miała rację, wewnątrz zostały przynajmniej dwie setki ludzi, i teraz ci jeźdźcy robili to, co mieli zamiar zrobić Verdanno, szaleli po obozie, wymachując pochodniami i podpalając wszystko to, co przygotowano dla spodziewanych gości. Bele słomy, wiązki chrustu i faszyny i ułożone przemyślnie, polane olejem ziemnym kłody.

Ci z Wozaków, którzy wdarli się do środka, nie mieli szans. Ogniska, rozpalane w precyzyjnie wybranych punktach, odcinały im drogi ucieczki, zupełnie jakby wewnątrz pełzał ognisty wąż, pożerający własny ogon; nagle, dosłownie w kilka chwil, krąg ognia odgrodził całe centrum i zaczął zagarniać wnętrze. Płomienie mknęły z jednej sterty suszu na następną, karmiły się specjalnie przygotowanymi belami słomy, błyskawicznie przeskakiwały na rowy wypełnione kawałkami drewna i olejem. Tam, gdzie ogień

trafił na szczególnie smakowity kąsek, buchał w górę na dziesiątki stóp, śląc na wszystkie strony snopy iskier.

Nagle nad ryk płomieni wzbiło się rozpaczliwe rżenie wydawane przez setki końskich gardeł. Kocimiętka widział raz pożar stajni i słyszał, jakie dźwięki wydają z siebie płonące żywcem zwierzęta, ale tym razem miał wrażenie, że ktoś złapał go za serce i ścisnął.

Kilku woźniców z powstrzymanego skrzydła wyrwało się naprzód, ale ostre gwizdki osadziły ich w miejscu. Nic nie można było zrobić.

Kocimiętka podjechał do czoła kolumny, odszukał najstarszego Verdanno.

— Kto tu dowodzi?

— On. — Wozak wskazał młodego mężczyznę w kolczudze i stalowym hełmie. Kocimiętka znał go.

— Der’eko. Hej! Popatrz tu!

Pierworodny syn kowala oderwał wzrok od płomieni i przez chwilę wydawało się, że nie wie, na kogo patrzy.

— Sarden… oni… ja…

W Kocimiętce obudził się oficer. Znał takie spojrzenie, widział je u młodych żołnierzy, którzy w pierwszej bitwie tracili przyjaciół.

— Dość! Nie pomożesz im! Czas na żałobę będzie później! Rozumiesz?

Młody *Kanewey* zamrugał, potrząsnął głową i po chwili wyglądał tak jak zwykle przez ostatnie miesiące: niczym młodsza, posępniejsza wersja swojego ojca. Kocimiętka uśmiechnął się w duchu. Szybko się otrząsnął, dobrze, jeszcze będzie z niego dowódca.

— Dobrze, że zatrzymałeś atak.

— Lei prawie nie było widać, ale tę jej beczułkę na nogach rozpoznam wszędzie. — Wozak wskazał nadjeżdżającą dziewczynę. — I jeszcze ten lew…

Jeździec wzruszył ramionami.

— To dzikie tereny, pewnie próbował coś upolować i go spłoszyliście. A teraz wasza kolej na polowanie.

— Nasza?

— Ci, co podpalili obóz, jeszcze z niego nie wyjechali.

Skinięcie głowy, gwizdek. Rydwany ruszyły, otaczając płonące obozowisko.

Lea podjechała stępa, słowem nie komentując faktu, że jej konik wyraźnie nie miał ochoty zbliżać się do Kocimiętki.

— Ilu mogło wjechać do środka?

— Fala? Może mniej. Janne i Landeh powinni powstrzymać choć część. Słyszałaś ten hałas?

— No pewnie. Jakby grad walił o miedziany dach. — Lea zerknęła na płonący obóz, zacisnęła zęby. — Sucze syny, ja bym ich…

— Okazali się sprytniejsi, Lea. Pewnie już są pod górami.

— To ma mi pomóc?

Sięgnęła po łuk, wyciągnęła z kołczanu kilka strzał, jedną założyła na cięciwę, pozostałe złapała dłonią trzymającą majdan.

— Wiem, co mi pomoże, Sarden.

Uśmiechnął się, złapał jej konia za uzdę i przytrzymał.

— Puszczaj.

— Nie, dziewczyno. Oni będą strzelać do każdego, kto jest w siodle. Nie pojedziesz walczyć.

— Puszczaj!

— Nie. To rozkaz. A teraz patrz.

Jakieś dwieście jardów od nich krąg wozów pękł i wypadła z niego grupa jeźdźców. Może ze dwa a’keery. Lea nie wytrzymała, posłała im trzy strzały, bez widocznego rezultatu, a koczownicy już szli galopem, już zwierali szyk, by przebić się przez otaczające obóz rydwany i zniknąć w stepie.

Drogę zagrodziła im pojedyncza Fala. Wozy jechały luźno, w odstępach wystarczająco szerokich, by konni przemknęli między nimi i uciekli. I nagle… tysiąc pijanych doboszy dorwało się do tysiąca metalowych balii. Dźwięk wybuchł bez ostrzeżenia i nawet koń Kocimiętki skulił uszy i parsknął przestraszony.

A rydwanom wyrosły skrzydła. Za każdym pojazdem rozwinęło się kilka łopoczących wstęg, w ostrych kolorach – czerwonym, żółtym, białym, pomarańczowym. Szerokie na dwie stopy, długie na dwadzieścia, zwężające się ku końcom, furkoczące wściekle i trzaskające niczym końcówka bata.

Konie Se-kohlandczyków zaczęły rżeć, hamować, boczyć się i przysiadać na zadach. Żadna siła na świecie nie zmusiłaby ich do zbliżenia się do tej piekielnie hałasującej, wielobarwnej, ruchliwej przeszkody, która nagle zakręciła i owinęła się wokół próbującego uciekać oddziału.

— Nazwaliśmy to Jedwabnym Kręgiem. — Awe'aweroh Mantoru podjechał do nich niezauważenie, co uwzględniając panujący hałas, nie było wielkim wyczynem. — Surowy, barwiony na różne kolory jedwab, łopoczący i furkoczący jak proporzec na szczycie lancy. Kosztowało nas to majątek, ale było warto. Konie są wystarczająco inteligentne, by bać się nowych rzeczy.

— Ludzi by to nie zatrzymało.

— I co to mówi o naszej mądrości? — *Lamerei* wykrzywił się wściekle. — Straciłem tu pół Fali, bo okazałem się głupcem. Patrzcie.

Pędzące po okręgu rydwany zacieśniły szyk, a ich łucznicy zaczęli strzelać. Koczownicy próbowali się bronić, ale jeszcze nikomu nie udała się sztuka celnego strzelania z grzbietu konia, który na zmianę kręci się wkoło i próbuje wierzgać. Metaliczny łoskot był ogłuszający.

— Skąd ten hałas? Nie wierzę, że same proporce…

— Stąd. — Starszy Wozak przesunął coś nogą i między szprychami jego rydwanu pojawiła się stalowa listwa. — Dźwięk to też broń. Nasze konie już się go nie boją, ale jak walczymy z takimi nieprzywykłymi… Sam widzisz.

Wnętrze Jedwabnego Kręgu pustoszało. Ostatni jeźdźcy zeskoczyli wreszcie z koni i napięli łuki. Rydwany złamały szyk i po prostu ich stratowały.

— Surowy jedwab lepi się do strzał. — Awe'aweroh patrzył, jak rydwany zatrzymują się, a ich załogi raz-dwa dobijają rannych. — Może jedna na pięć przebije swobodnie zwisającą płachtę. To dodatkowe zabezpieczenie, gdy jedziemy w szyku. A teraz pojedziemy szybko, bez odpoczynku. Ome jest wściekła i lepiej, żebym szybko dał jej coś do podpalenia. A wy… Możecie jechać z nami. Wasze konie dadzą radę?

Skinęli głowami, a on po prostu zawrócił rydwan i ruszył ku reszcie Wozaków, wydając gwizdkiem komendy. Lea uśmiechnęła się kwaśno i schowała łuk.

— Nie ma za co, wysuszony capie.

* * *

Koń parsknął krótko, rozstawił szerzej nogi i było jasne, że dalej nie pójdzie. Brzuch miał wzdęty, sierść zmatowioną, robił bokami. Daleko mu było do tego dumnego, smukłego jak szlachetny jeleń zwierzęcia, które podarował im syn hrabiego. Trzy dni i trzy noce wędrówki w górach, nieustającej wędrówki coraz dalej na północny wschód, nie powinny aż tak go zeszkapić, ale wykorzystując chwilę nieuwagi Dagheny, nażarł się jakichś podejrzanych chwastów. Okazało się, że zielsko, którym mógł się pożywić górski kucyk, jest zupełnie niestrawne dla bojowego ogiera.

Jego brzuch przypominał teraz bęben, skóra wyglądała, jakby miała pęknąć, wzdęte trzewia najwyraźniej naciskały na płuca, bo ogier dyszał jak po zabójczym cwale. Ślinił się i puszczał bąki.

Rozsiodłały go, przekładając rząd na grzbiet pociągowego zwierzęcia i wyrzucając damskie siodło. Właściwie powinny zostawić chore zwierzę, ale w tym stanie wierzchowiec nie potrafiłby obronić się nawet przed stadem zdziczałych kundli. Nie mogły tego zrobić.

Zresztą nie spowalniał ich zbytnio. Droga zrobiła się wyjątkowo nieprzyjazna dla koni, wąskie skalne półki, leśne ścieżki, którymi wędrowała tylko dzika zwierzyna, szczeliny w skałach, jakieś dziwaczne, ukryte przed ludzkim wzrokiem szlaki, to wszystko sprawiało, że częściej wędrowały pieszo, ciągnąc zwierzęta za uzdy, niż jechały wierzchem. Gdyby nie to, że Laiwa zachowywała się jak bezwolna kukła, od czasu do czasu tylko wskazując im drogę, już dwa dni temu, nim doszło to tego nieprzyjemnego incydentu z zielskiem, rozsiodłałyby i wypuściły konie. Lecz wtedy musiałyby prowadzić szlachciankę pod rękę, pilnując każdego jej kroku, bo po zejściu z końskiego grzbietu dziewczyna albo stała bez ruchu, albo zaczynała się błąkać po okolicy, wędrując bez celu. Jedynie na pytania o drogę ożywiała się trochę, jej twarz nabierała jakiegoś wyrazu, brwi się marszczyły, w oczach pojawiał błysk świadomości. Później znów uciekała do środka, do wnętrza własnej głowy, w bezpieczne miejsce.

Dla Kailean nie było to nic nowego, sama, gdy bandyci zabili jej rodzinę, gdy już zapłaciła im za to krwią i opadły emocje, szukała schronienia w takim miejscu. Nie myśleć, nie czuć, pogrążyć się we śnie na jawie, pić, gdy dadzą ci kubek pod nos, jeść, gdy włożą strawę do ręki, spać z otwartymi oczami. I nie wspominać, wyprzeć z pamięci każdy ślad straty,

bo inaczej człowiek zwinie się w kłębek i będzie wył do nieba, rozdrapując twarz pazurami.

Rodzina And’ewersa otoczyła ją opieką, dała czas na żałobę, a potem stopniowo, krok po kroku, wciągnęła w wir własnego życia. Ale Kailean i tak potrzebowała roku, nim znów się szczerze uśmiechnęła, szczerze, to znaczy, jak mówiła ciotka, twarzą i sercem.

Lecz Laiwa nie miała nikogo, komu mogłaby się wypłakiwać w nocy, ani nikogo, kto robiłby jej głupie kawały, żeby tylko wywołać jakąś reakcję. Zresztą Kailean nie chciałaby zostać jej powierniczką. Ta dziewczyna siedziała w samym środku pajęczyny śmierci i chaosu oplatającej całe te góry, może nie była pająkiem, ale patrzyła obojętnie na to, co się dzieje, mimo że najwyraźniej wiedziała, kto i w co gra. I jak to powstrzymać. Po najbliższym noclegu zostanie im dzień i noc wędrówki, a potem zawrócą i spotkają się ze ścigającymi je żołnierzami.

I niech Szczury się nią zajmą.

Choć wciąż miała nadzieję, że jednak dotrą tam, gdzie Sainha kazała im dostarczyć swoją panią.

Kailean musiała sama przed sobą przyznać, że to jeden z powodów, dla których zdecydowała się kontynuować tę eskapadę, mimo że Laskolnyk zmyje jej za to głowę. Gdyby zaraz po wyjechaniu z zamku złamały dane słowo i wydały dziewczynę Szczurzej Norze, to nigdy, przenigdy nie dowiedziałyby się, o co w tym chodzi. Sainha mówiła o bezpiecznym miejscu, a jakie miejsce może być bezpieczne dla kogoś, na kogo poluje Wywiad Wewnętrzny, Górska Straż i banda dziwacznych indywiduów, posługującymi się niezrozumiałymi Mocami? Jeśli gdziekolwiek kryły się odpowiedzi na pytanie, o co tu chodzi, to tylko tam. A gdyby Szczury dostały Laiwę w łapy wcześniej, niż uciekinierki dotrą w tamto miejsce, to ona, Kailean-ann-Alewan, do końca życia zastanawiałaby się kto, po co, dlaczego i w jakim celu.

Rzecz jasna dane słowo także zobowiązywało, obiecały poświęcić na tę wędrówkę cztery dni, więc lepiej, żeby arystokratka wiedziała, gdzie idą.

Bojowy wierzchowiec rozstawił szerzej nogi, uniósł ogon i pierdnął długo i głośno niczym grzmot. Po czym sapnął z wyraźną ulgą.

— Nie jestem pewna, czy Pani Wiatrów uzna to za pieśń pochwalną, czy za obelgę. — Daghena uśmiechnęła się po raz pierwszy od dwóch dni.

— Więc lepiej ruszajmy. Mam spotkanie z pewnym małym, owłosionym draniem.

Kailean poklepała wierzchowca po szyi, zajrzała w oczy, z których znikł wyraz obłędnego cierpienia.

— No już, mały. Lepiej? Nie słuchaj jej, nie była z chłopem od dłuższego czasu i zaczyna mieć omamy.

— Przyjmę każdego, kto będzie miał przy sobie kawał mięsa.

— Słyszysz? Jedno jej w głowie. A ja jestem po prostu głodna.

Na próbę pociągnęła zwierzę za uzdę, koń sapnął i postąpił krok do przodu.

Były głodne i coraz słabsze. Przez ostatnie dwa dni większość drogi przebyły na własnych nogach; zimne noce, lodowate poranki i ciągła wspinaczka pochłaniały każdą odrobinę sił. Nawet szczawiu nie było zbyt wiele. Pierwszej nocy złapały w sidła jednego chudego zająca, z którego została tylko skóra i kupka na pół przeżutych kosteczek. Drugiej nocy, spędzonej w okolicy niemal pozbawionej roślinności, nie miały nawet tyle szczęścia. Cały następny dzień przewędrowały, wsłuchując się w burczenie własnych kiszek, za to kolejna noc przyniosła prawdziwą niespodziankę. W sidłach znalazły kolejnego zająca i dwa świstaki. Wychudzone co prawda po zimowym śnie, ale dla kogoś, kto zaczyna się zastanawiać, jak smakują uprażone na węglach skórzane elementy siodła, to i tak prawdziwy skarb. Wieczorem zatrzymają się i, niech to wszystkie demony Mroku, rozpalą ognisko. Zaryzykują, ale nie będą jadły surowego mięsa. Czekała je jeszcze jedna noc i jeden dzień wędrówki, a jeśli nie dotrą na miejsce, w połowie następnej nocy zawrócą. Obiecały służącej Laiwy cztery dni i noce, ani kwadransa dłużej.

— Gotowa? — zwróciła się do Dagheny.

— Jak zawsze. W drogę.

One szły, żeby nie obciążać zwierząt, a Laiwa jechała, na zmianę na górskim kucyku i szerokogrzbietym koniu pociągowym. Gdyby nie te konie, musiałyby ją nieść. Było w tym coś znamiennego, dwie proste dziewczyny wędrują pieszo, a jaśnie wielmożna arystokratka siedzi w siodle. I gdyby szlachcianka choć raz otworzyła usta, żeby się poskarżyć, Kailean osobiście zrzuciłaby ją na ziemię. Ale nie, gdziekolwiek chowała się Laiwa, głód, chłód i wyczerpanie zdawały się nie mieć do niej przystępu.

Wędrowały wciąż na północny wschód, ostatnie dwie mile wzdłuż koryta strumienia, który wił się głębokim jarem. Daghena kilka razy próbowała wyciągnąć z Laiwy informację, czy na pewno nie ma innej drogi, bo nie podobał jej się ten szlak. Jar miał ściany wysokie i strome, można było się nim poruszać tylko w przód lub w tył, dla kogoś wychowanego na Stepach to miejsce kojarzyło się ze śmiertelną pułapką. Ale szlachcianka była uparta, więc w końcu wjechały w rozpadlinę i posuwały się w górę strumienia.

Czasem droga zwężała się tu tak, że zarówno one, jak i zwierzęta, musiały iść korytem strumienia, wędrowały więc boso. Stopy można ogrzać, a nie wiedziały, czy dadzą radę rozpalić na tyle duży ogień, by wysuszyć buty. Po kwadransie Dag zaczęła mruczeć pod nosem, szczękając zębami z zimna. Większość pomruków stanowiły obietnice, co zrobi hrabiance, jeśli ta droga nie zaprowadzi ich w jakieś suche i ciepłe miejsce. Najlepiej z dużą ilością gorącego jedzenia.

I wtedy Laiwa przemówiła. Nie zduszonym, martwym szeptem, tylko spokojnie i głośno, jakby wygłaszała mowę na przyjęciu.

— Moja matka miała osiemdziesiąt jeden córek i sześćdziesięciu ośmiu synów.

— Mmmmam nadzieję, żżże zzzabiła za to ttttwojego ojcccca — zaszczękała zębami Daghena.

Dziewczyna wydawała się jej nie słyszeć.

— Odkąd pamiętam, zawsze rywalizowaliśmy o jej miłość, choć zapewniała nas, że żadne nie zajmuje miejsca w jej sercu przed innymi. Ale gdy sięgam pamięcią wstecz, cały czas myślałam tylko o tym, by złowić jej spojrzenie i uśmiech. Była najpiękniejszą osobą, jaką widziałam, miała włosy białe jak śnieg, oczy tak jasne, że wyglądały jak polerowana stal, usta o barwie płatków mlecznej róży…

Gdy Kailean obejrzała się, nagle monolog ucichł i powitało ją spokojne, zaskakująco trzeźwe spojrzenie. Gdziekolwiek Laiwa przebywała, właśnie stamtąd wróciła. Zmierzyły się wzrokiem.

Kailean postanowiła wykorzystać okazję.

— Wielu ludzi umarło przez was.

Trzeźwe spojrzenie znikło, zastąpione doskonale znajomym wyrazem nieobecności. Jakby to krótkie zdanie wepchnęło szlachciankę z powrotem

w miejsce, gdzie się chowała. Dag parsknęła i wyjąkała:

— Rrr… rrr…. rrrada na pszyyyszłość… Pani mmmmówi, mmmy słuchammmmy.

— Zamknij się, jjjjąkałłło.

Ruszyły dalej, ciągnąc konie za uzdy.

* * *

Pies warknął i zamajtał łapami w powietrzu. Dwóch żołnierzy trzymających linę zaczęło ją powoli opuszczać. Zedyr nie miał nic przeciwko wysokości, ale dyndanie sto stóp nad poziomem gruntu zawsze go denerwowało. Linę przerzucono przez gałąź pochylonej nad urwiskiem sosny, żeby pies nie obijał się o skalną ścianę, przez co zwierzę kołysało się teraz, targane podmuchami wiatru. Do końca dnia tylko Bergh będzie mógł podejść do przewodnika stada bez ryzyka szarpnięcia zębami.

Na jednej z hal zostawili za sobą dwadzieścia płaskich kopców. Piętnaście dużych i pięć mniejszych. Poświęcili pół dnia, żeby zrobić to jak należy, by groby były wystarczająco głębokie i przykryte odpowiednio dużymi kamieniami. Każdy z kopców obsypali ziemią i obłożyli darnią, za kilka miesięcy tylko regularne rozłożenie będzie sugerować, że nie są one dziełem natury. Gdy skończyli, Velergorf poprosił o zgodę na odezwanie się. Kenneth westchnął.

— Zazwyczaj o to nie pytasz, mów.

Starszy dziesiętnik stanął w rozkroku, zatknął dłonie za pas z toporem, zapatrzył się nieruchomo przed siebie.

— W Bergen wierzymy, że gdy umiera dobry góral, powinno się go pochować w jaskini albo w grobie tak głębokim, że sięga skały. Ale wierzymy też, że jeśli nie można tego zrobić, to góry i tak upomną się o swoje. Kości tych, którzy zginęli dobrą śmiercią, będą opadać w dół przez wszystkie warstwy ziemi, by wreszcie przytulić się do piersi gór. A potem połączą się z nimi, wtopią w kamienną skórę i staną się ich częścią. Dlatego stąpając po skale, stawiamy stopy na kościach tych, którzy byli przed nami, by potem sami stać się podstawą dla stóp tych, którzy nadejdą po nas. Nosimy góry w kościach za życia i stajemy się nimi po śmierci.

Żołnierze pokiwali głowami. Velergorf przykucnął, delikatnie położył dłoń na najbliższym kopcu.

— Więc może jeszcze nie dziś, ale za kilka miesięcy znów się spotkamy, my i wy, tu albo w Belenden, albo gdziekolwiek indziej, gdzie góry wznoszą się ku niebu.

Strażnicy podchodzili, schylali się i dotykali kopczyków. Słowa nie były już potrzebne.

Ledwo Zedyr zaszurał pazurami po ziemi, został szybko odwiązany i odprowadzony na bok. Reszta psów znajdowała się już na dole, tak jak większość kompanii. To urwisko było drugim, jakie musieli dziś pokonać, lecz dzięki temu zaoszczędzili przynajmniej piętnaście mil.

Kenneth patrzył, jak ostatni żołnierze zsuwają się po linach, odbijając się stopami od skał. Wyszedł z Kehlorenu z siedemdziesięcioma trzema ludźmi i tuzinem zwierząt, wracał z pięćdziesięcioma żołnierzami i paroma psami. Miał nadzieję, że ranni, których Wozacy odesłali na tyły, dotrą do zamku żywi, dla Szóstej liczył się każdy miecz. Właściwie też powinien przeorganizować kompanię, zmniejszając liczbę dziesiątek do sześciu. Ale, do cholery, żaden z jego podoficerów nie zasłużył na zdjęcie brązu z płaszcza, poza tym dziesiątki zgrały się już, a gdy dotrą do Kehlorenu, Czarny powinien dorzucić im jakieś uzupełnienia. Czerwone Szóstki zasłużyły na to, żeby być pełną kompanią dłużej niż kilka dni.

Teraz czekał ich pościg. Mapy, które dostali, obejmowały także ten rejon Olekadów, choć nie były tak szczegółowe, jakby sobie tego życzył. Jednak wiedział, że uciekinierki musiałyby umieć latać, żeby ich wyprzedzić.

To była zaleta ścigania kogoś w górach. Jeśli ten ktoś chciał się ukryć, miał mnóstwo okazji, a odnalezienie jego śladów bywało bardzo trudne. Lecz gdy chciałeś złapać ludzi, którzy poruszali się w określonym kierunku… najczęściej chodziło o to, by znaleźć się w odpowiednim miejscu przed nimi. Szlaki w górach to przełęcze, żleby, szczeliny w skałach, czasem ścieżki dla kozic. Na równinach do każdego miejsca prowadzi sto dróg, w górach dwie albo trzy, zazwyczaj niedostępne dla koni. To ułatwiało zadanie.

Na przełęczy Amoh mieli być jutro w południe, porucznik liczył, że dziewczyny nie dotrą tam wcześniej, mogłyby co prawda pozbyć się koni i spróbować innej trasy, lecz wtedy musiałyby porwaną szlachciankę prowadzić pieszo, w dzikim, niedostępnym terenie, gdzie nie było mowy o szybkim poruszaniu się z więźniem. Nie, raczej nie zaryzykują, jadąc konno mogą przywiązać ją do siodła, co znacznie ułatwi podróż.

Ostatni strażnik znalazł się na dole, odwiązał linę i zaczął ją zwijać.

— Andan, Bergh, bierzecie psy i idziecie przodem. Nie chcę żadnych niespodzianek. Reszta ustawić się dziesiątkami, luźny szyk i naprzód. Znacie rozkazy.

Mieli iść, dopóki pozwoli na to światło, rozbić zaciemniony obóz i poderwać się do marszu godzinę przed świtem. Żadnych ognisk, świateł, pochodni. Kenneth nie chciał, żeby cokolwiek zdradziło ich obecność. Jeśli porywaczki zorientują się, że ktoś jest też przed nimi, mogą zrobić coś głupiego. Na przykład poderżnąć gardło swojej ofierze, ukryć ciało i spróbować zniknąć.

Zgrzytnął zębami. Od chwili otrzymania rozkazu coś mu nie grało. Jakim cudem dziewczyny, które spotkali pod tą nieszczęsną wieżą, wpadły w takie bagno? Powinny w najlepszym razie siedzieć w Kehlorenie, przesłuchiwane przez Szczury. Co prawda rzuciły potężne nazwisko – Laskolnyk – kto o nim nie słyszał?, ale to o niczym nie świadczyło. Jak znał Wywiad Wewnętrzny, gdyby Szczury chciały zatrzymać te dziewczyny, Genno Laskolnyk musiałby osobiście się po nie zgłosić, najlepiej na czele sporej armii. Skąd u licha wzięły się w tym rejonie gór, zamieszane w jakiś napad na zamek i porwanie hrabianki?

Wymruczał kilka przekleństw, aż idący obok Velergorf spojrzał z ukosa. Ale się nie odezwał.

— No już, wyduś to z siebie, Varhenn.

— Co, panie poruczniku?

— Co ci nie pasuje w tej historii.

— Co nie pasuje? — Wytatuowana twarz dziesiętnika zmarszczyła się w udawanym zdumieniu. — Wszystko pasuje, panie poruczniku. To zupełnie oczywiste, że dziewczyny, które zgarnęliśmy pod wieżą pełną trupów, kilka dni później uciekają Szczurom z lochu, napadają na zamek jakiegoś hrabiego i porywają narzeczoną jego syna. Jak tylko je zobaczyłem, pomyślałem sobie, że coś takiego zrobią.

Kenneth uśmiechnął się kwaśno. Myśli dziesiętnika krążyły tymi samymi torami, co jego własne.

— Ja też dziesiętniku, właśnie tak.

— Wiem, panie poruczniku. A wszystko to przy dźwiękach fujarki.

Tak, fujarki – instrumentu szczurołapów. To był taniec Szczurów. Zacisnął zęby. Jego kompania trafiła tu, bo niedawno wplątała się przypadkiem w takie zabawy. Wtedy wyszli z tego z kilkoma tylko zadrapaniami, ale mogło się skończyć rzezią. Wywiad Wewnętrzny nie miałby żadnych oporów, żeby ich poświęcić.

— Będziemy uważać, Varhenn. Bardzo uważać. Przekaż reszcie, że traktujemy te dziewczyny jak gniazdo szerszeni.

Poza tym… psiakrew… widział je… ich wszystkich. Patrzył w oczy całej czwórce, trudno ocenić nieznajomych w tak krótkim czasie, lecz była w nich jakaś solidność… wewnętrzny spokój… To nie banda desperatów, włócząca się po świecie w poszukiwaniu kilku groszy na następny posiłek, tylko ludzie, którzy mają przed sobą cel, a za sobą wparcie. Byli częścią większej całości, a gdy zorientowali się, że mają do czynienia z żołnierzami Imperium, natychmiast zrezygnowali z walki.

Jutro przekonają się, czy sprawa jest tak śmierdząca, jak podejrzewają.

— Zmiana planów, dziesiętniku. Podwójne warty, widoczne i ukryte, psy też mają czuwać. Po jednym na wartę. I do odpoczynku znajdziemy miejsce, gdzie będzie trudno nas podejść.

— Rozkaz.

— I… powiedz reszcie, co podejrzewamy. Niech wiedzą, że Szczury próbują nami znów pogrywać.

— Tak jest, panie poruczniku.

* * *

Miejsce było idealne na obóz. Kępa drzew pośrodku rozległej hali, oznaczonej na mapie jako Pastwiska Denmah. Do lasu mieli z każdej strony ponad pół mili, a szałas stojący pod drzewami sugerował, że łąki często wykorzystywano. Zapewne lada dzień hale zapełnią się zwierzętami, a szałas na najbliższe miesiące stanie się schronieniem pasterzy. Dla Kennetha najważniejsze jednak było to, że do takiego miejsca nawet jego strażnicy nie bardzo potrafiliby się niepostrzeżenie podkraść.

Nie rozbijali namiotów, drzewa i krzewy wystarczająco chroniły przed wiatrem. Porucznik, korzystając z tej osłony, pozwolił nawet na rozpalenie małego ogniska. Kubek gorącej polewki z suszonego mięsa i grochu był wart więcej niż jakiekolwiek schronienie. W górach, jak człowiek dłuższy

czas nie potrafił się rozgrzać od środka, to żaden namiot ani żadne koce mu nie pomagały, zimno wgryzało się w kości i nie odpuszczało, wysysając siły i łamiąc ducha.

Trzymali podwójną linię wart, czterech ludzi na skraju zagajnika i czterech nieco w głębi, przyczajonych i zamaskowanych. Żaden z żołnierzy, nawet Fenlo Nur, ani się nie skrzywił. Gierki Wywiadu Wewnętrznego to było coś, co zmieniało całą okolicę we wrogie terytorium.

Ruszyli przed świtem. Cicho jak nocne zjawy, które spóźniły się ze straszeniem i usiłują uciec przed światłem słońca. Żołnierze poruszali się szybko, z dłońmi na rękojeściach broni, z kuszami w ręku. Polowali.

Kenneth kilkoma ruchami przywołał podoficerów.

— Koło południa powinniśmy być na przełęczy — rzucił. — Rozkaz jest jasny, mamy je schwytać, szlachciance nie może spaść włos z głowy. Nie wiemy nic o tych kobietach, kim są, co potrafią… Wiecie, o czym mówię?

— Czary? — Andan zmarszczył brwi, jakby dopiero teraz o tym pomyślał.

— Nie wiem. Dostarczyliśmy dziewczyny Szczurom, a po kilku dniach mamy je ścigać wiele mil od Kehlorenu, zaplątane w jakieś dziwne wydarzenia. Szczurzy posłaniec nie puścił pary z ust, ale widziałem, jaki jest zdenerwowany. Nie ryzykujemy. Jeśli spróbują uciekać, zastrzelicie ich konie. Jeśli poczujecie smród czarów…

— Je też mamy zastrzelić?

— Nie, Fenlo. Zwiewać. Jak nie będą miały koni, nie uciekną nam. Dopadniemy je później. To rozkaz.

Dziesiętnicy pokiwali głowami.

Przełęcz Amoh była oznaczona na mapach trzema znakami. Pierwszy mówił, że jest wąska, drugi, że okolica należy do bezludnych, a trzeci, częściowo zamazany, wyglądał na informację, że za przełęczą zaczynają się dzikie góry. Oficjalnie tereny te należały do jednego z miejscowych hrabiów, lecz najwyraźniej nie miał on chęci lub sił, by zaprowadzać meekhański ład na tych ziemiach. Osadnicy też nie garnęli się w niegościnne i kamieniste rejony, gdzie każdy kęs czarnego chleba trzeba było opłacić galonem potu. Na takich ziemiach nawet całe lata wolnizny od podatków nie zapewnią dostatku.

Było jasne, że za przełęczą uciekinierki muszą porzucić konie, może uda im się dotrzeć jeszcze na Czarny Wierch, ostrą grań zbudowaną z ciemnego granitu, ale potem czekała je już tylko wędrówka na piechotę. To kolejna rzecz, która nie za bardzo trzymała się kupy w tej całej sprawie. Po co one uciekały w tę stronę i jak, do ciężkiej cholery, znajdowały drogę? Z kilku zdań, które wymienili w czasie spotkania, zorientował się, że były z południa, z Wielkich Stepów. A poruszały się po Olekadach jak po własnym podwórku. Skąd znały okolicę?

Sprawy, w które były zamieszane Szczury, cuchnęły na milę.

Gdy dotarli na przełęcz, okazało się, że cuchną bardziej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

Po pierwsze, co od razu odkryli tropiciele, kobiety już tam były, odpoczęły i odjechały. Musiały dotrzeć na miejsce rankiem, więc najpewniej większość drogi pokonały w nocy. Po ciemku, konno, w górach. Albo – tę myśl rzucił Omne Wenk – znały inną, krótszą drogę, co potwierdzało tylko podejrzenia, że Szczurza Nora nie przekazała im całej prawdy.

Po drugie, rozłożyły tu obóz i odpoczęły ze dwie godziny, a towarzysząca im szlachcianka plątała się po okolicy zupełnie bez kontroli. Wilk, Azger Laweghz i Fenlo Nur badali ślady przez kwadrans i prawie się pokłócili, ale wyglądało na to, że żadna z trzech kobiet nie była wiązana, każda mogła się poruszać swobodnie, jedna z nich, w pantoflach o wąskiej podeszwie i w długiej sukni, oddaliła się nawet za potrzebą dobre sto kroków. Kłóciło się to trochę z informacją o uprowadzeniu.

W resztkach ogniska znaleźli kości małego zająca i dwóch świstaków, diety każdego, kto wybrał się w góry bez zapasów. Dwa konie, jak stwierdził Wilk, zaczęły się już potykać, wyraźnie tracąc siły. Czyli nie miały ani żywności, ani paszy dla zwierząt. To by sugerowało, że ucieczka w góry nie była zaplanowanym porwaniem. Kolejny cios w bajeczkę przekazaną im przez Szczury.

Po trzecie, ktoś za nimi szedł.

Ślad znalazł Fenlo Nur, który odkrył legowisko, gdzie czaiło się co najmniej czterech ludzi – mężczyzn, sądząc po długości kroków i głębokości odcisków stóp – którzy ruszyli w drogę w chwili, gdy kobiety zwinęły obóz. Wcześniej obcy zatrzymali się dobre ćwierć mili przed przełęczą i, jak stwierdził przysadzisty dziesiętnik, nie próbowali podchodzić do ucieki-

nierek. Czterech mężczyzn, śledzących trzy samotne kobiety, lecz niepróbujących ich zaatakować nocą.

— Zbóje? — zapytał Kenneth.

Nur spojrzał na niego dziwnie i pokręcił głową.

— Nie. Coś panu pokażę, panie poruczniku. Chodźmy we dwóch, dobrze?

Poszli. I pokazał.

Wiewiórkę. Pieczołowicie rozkrzyżowaną na ziemi i obdartą żywcem ze skóry. Sądząc po tym, że krew ledwo skrzepła, zwierzątko żyło jeszcze, gdy mężczyźni opuszczali schronienie. To mrówki dokończyły dzieła.

Kenneth oderwał wzrok od małego ciałka.

— Nudzili się?

— Być może. Ale byli tu nocą. Nocą nikt nie schwyta wiewiórki w lesie. Więc złapali ją w dzień, trzymali żywą i zabawiali się, czekając, aż kobiety ruszą dalej.

Porucznik zacisnął zęby. Takie rzeczy nie powinny się przytrafiać właśnie jego kompanii. Jakby wszyscy szaleńcy i degeneraci uparli się, żeby właśnie Czerwonym Szóstkom wchodzić w drogę. Następnego zwykłego bandytę chyba wyściska z radości.

Logika próbowała podpowiedzieć jakieś rozsądne wyjaśnienie.

— Może to jakiś rytuał? Złożenie ofiary dla przebłagania pomniejszego bóstwa albo wezwania demona? Pomiotnicy tak robią.

— Być może, panie poruczniku. — Fenlo Nur przełożył kuszę do drugiej ręki, przykląkł i dźgnął truchełko patykiem. — Ale to musiałoby być bardzo mizerne bóstwo albo bardzo mały demon, żeby zadowolić się takim stworzeniem. Poza tym… nie czuję Mocy.

— O, nie wiedziałem, że jesteś czarownikiem.

— Nie jestem. Ale widziałem, jak przełyka pan ślinę, gdy ten wozacki szaman uwalniał swoje duchy. Gdyby pojawiła się tu emanacja jakiegoś Nieśmiertelnego albo demon wysunął łapę przez Mrok, czulibyśmy to nawet po kilku dniach.

— Więc dlaczego to zrobili?

Dziesiętnik wstał, podciągnął pas, kopnął kilka razy ziemię, przysypując wiewiórkę.

— Myślę, że zrobili to, bo lubią. Lepiej znajdźmy te kobiety, przed nimi.

— Racja. W drogę.

* * *

Zobaczyli je dwie godziny później. Musiały jechać naprawdę wolno, najwyraźniej nie mogły się zdecydować na porzucenie koni, które teraz zadecydowanie je opóźniały. Zwierzęta były przemęczone i – sądząc z tego, jak się poruszały – strasznie zeszkapione. Szły, ciągnięte za uzdy, i tylko jeden niósł na grzbiecie jeźdźca.

Kenneth zatrzymał kompanię na skraju lasu, przed żołnierzami otwierała się długa i wąska dolina, typowa dla Olekadów, z lasem porastającym brzegi i pozbawionym drzew środkiem, przeciętym wzdłuż wąskim strumykiem. Od uciekinierek dzieliło żołnierzy niespełna pół mili.

Porucznik ukrył kompanię wśród drzew i obserwował. Kobiety nie oglądały się, szły przed siebie z pochylonymi głowami, najwyraźniej równie zmęczone jak zwierzęta. Schwytany w sidła zając czy świstak to za mało, by dać człowiekowi siły do długiej i szybkiej wędrówki. Wybrały trasę wiodącą środkiem doliny, w stronę jej północnego krańca, jeszcze dwie mile i dotrą na miejsce. A potem co? Minęły już trasę na Czarny Wierch, jeśli rzeczywiście tam zmierzały, powinny odbić w prawo ćwierć mili wcześniej. Albo zgubiły drogę, albo nie szukały przejścia – jak podejrzewał Wywiad Wewnętrzny – na Wyżynę Lytherańską.

— Dziesiętnicy!

Podeszli. Kenneth nie odrywał wzroku od kobiet.

— Pójdziemy brzegiem lasu, żeby nas nie dostrzegły — zarządził. — Powinniśmy je wyprzedzić, nim przejdą milę. Zaczekamy przy końcu doliny.

Kilka skinięć głowami było jedyną odpowiedzią.

— Jeśli ci, którzy za nimi idą, chcą zachować odległość, muszą kryć się gdzieś w tym lesie. Uważać. Psy na czoło. Znacie rozkazy, mamy ująć kobiety żywcem i tak zrobimy, ale o tym dziwnym towarzystwie nie było mowy. Fenlo i ja sądzimy, że oni mają coś z głowami, więc daję wam wolną rękę. Jeśli na wasz widok się poddadzą, związać, jeśli nie… Po prostu nie pozwólcie im uciec. Ruszamy.

Las był wystarczająco gęsty, by ukryć ich przed wzrokiem ściganych. Biegli truchtem, z bronią w ręku, pamiętając, że nie są sami, psy przemykały przodem, rozciągnięte w szeroki wachlarz, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Wiedziały, że polują na ludzi.

Kenneth biegł skrajem lasu, gdyby któraś z kobiet się obejrzała i miała dużo szczęścia, mogłaby go dostrzec, ale nie chciał ryzykować, że stracą je z oczu. Nie teraz, tuż przed końcem pościgu. Skracali dystans w takim tempie, że jeszcze kwadrans, a wyprzedzą je i odetną drogę. Jakąś milę przed nimi dolina zwężała się raptownie, a ramiona otaczającego ją lasu zbiegały się. To było idealne miejsce na zakończenie pościgu.

Odległość między nimi zmniejszała się regularnie, sześćset jardów, pięćset, trzysta, dwieście, ścigane ani razu się nie obejrzały, nie podniosły nawet głowy. Musiały być naprawdę śmiertelnie zmęczone. Widział już wszystkie szczegóły, siedząca w siodle kobieta była zapewne tą uprowadzoną szlachcianką, lecz ani nikt jej nie związał, ani jej zwierzę nie było specjalnie pilnowane; tak naprawdę wystarczyłby jeden ruch dłoni, by oderwała się od swoich strażniczek i uciekła. Na dodatek to ona w pewnej chwili wysunęła się na czoło i prowadziła całą trójkę.

Porwanie – Kenneth wykrzywił się sarkastycznie – oczywiście. Rzecz jasna nie zwalniało go to z wykonania rozkazu, zatrzymają je i odstawią do Kehlorenu, ale swoje już wiedział. Tam, gdzie kręciły się Szczury, człowiek mógł się spodziewać kłamstw i manipulacji. Gdyby to od niego zależa…

Przegapił ich. Wyrośli nagle wokół kobiet, jakby wyłaniali się spod ziemi, dwóch, czterech, ośmiu, w szarych strojach, z kapturami na twarzach i dłońmi pieszczącymi rękojeści długich noży. Uciekinierki uniosły głowy, dopiero gdy konie wydały z siebie ostrzegawcze parsknięcia. Zatrzymały się, sięgnęły po broń.

Kenneth gwizdnął krótko „Do mnie!”, a kompania w biegu skręciła i wysypała się z lasu. Byli jakieś sto pięćdziesiąt jardów od całej grupki, gdy błysnęły pierwsze ostrza. Jasnowłosa ścięła się z jednym z napastników, jej szabla zamigotała w skomplikowanym młynku, odbijając serię ciosów zadanych oboma rękami. Była dobra, udało jej się nawet zmusić napastnika do cofnięcia się, ale wtedy dołączył drugi i to ona musiała odskoczyć, szukając osłony dla pleców przy końskim boku.

— Strzelać!

Fenlo wyprzedził go już, sadząc długimi susami, nagle zatrzymał się niemal w miejscu, przykląkł, wycelował. Jego kusza szczęknęła metalicznie, a jeden z mężczyzn atakujących dziewczynę zakręcił się na pięcie, zatańczył w dziwacznym, pełnym drgawek tańcu i runął na ziemię.

Nur, ten sukinsyn, nie bał się strzelać, choć mógł trafić jedną z kobiet.

Inni strażnicy mieli więcej rozsądku albo mniej zaufania do swoich umiejętności. Ich bełty dosięgły trzech mężczyzn stojących nieco z boku, przy czym dwóch utrzymało się na nogach, mimo że widać było trafiające ich pociski. Bergh zagwizdał serię szybkich dźwięków i psy runęły naprzód.

Sytuacja się zmieniła. Napastnicy, wszyscy jak jeden mąż – Kenneth miał zapamiętać ten widok na długo – odwrócili się ku atakującym żołnierzom. Na uderzenie serca zamarli i nawet szabla wbijająca się w tułów jednego z nich nie zmieniła tego stuporu, a potem wybuchli ciemnością. I ta ciemność, eksplodująca plamami inkaustu chluśniętego na bibułę, wyskoczyła strażnikom naprzeciw, owinęła się wokół i pożarła.

Kenneth poczuł, że spada.

Uderzył o twardą powierzchnię z wysokości kilku stóp. Zadziałały odruchy nabyte przez lata wspinania się po górach, gdy czasem grunt usuwa się spod stóp. Ugiął nogi, pochylił się w przód i zamortyzował upadek przewrotem. I zaraz poderwał się, i pobiegł do przodu, tam gdzie pośrodku niewielkiego, czarnego jak noc wzniesienia stały trzy konie, trzy kobiety i kilku mężczyzn w szarych strojach.

Wokół niego spadała reszta kompanii. Przestrzeń pękała, wypluwając z siebie sylwetki ludzi i psów. Wszyscy zaskoczeni, lecz nie gorsi od dowódcy, większość lądowała pewnie, niósł ich jeszcze pęd biegu, więc po prostu odzyskiwali równowagę i biegli dalej, zgodnie z rozkazem – pojmać kobiety, zabić atakujących je mężczyzn.

Ktoś krzyknął krótko, boleśnie, gdy nie udało mu się utrzymać na nogach, gdzieś brzęknęła kusza, zwolniona nagłym skurczem dłoni. Ale Szósta szła do ataku, a psy, które nie zwykły się dziwić, były już przy napastnikach i skakały do gardeł.

Błysnęły noże, lecz w tej samej chwili krótki gwizd przyhamował zwierzęta, szczęknęły kolejne kusze, jeden z mężczyzn w szarościach szarpnął głową, z czoła wyrosły mu krótkie lotki, dwóch innych zatoczyło się w tył,

i już strażnicy starli się z obcymi. Na nogach trzymało się tylko trzech z nich i tylko jeden nie był ranny.

Lecz widok kilkudziesięciu atakujących żołnierzy w ogóle ich nie powstrzymał.

Kenneth poczuł na języku słonożelazisty posmak, jakby nagle usta wypełniły mu się krwią, a jeden z jego ludzi wyleciał w powietrze, dobre dziesięć stóp w górę, po czym runął na ziemię z takim impetem, że kusza, którą miał na plecach, poszła w drzazgi. Szary zabójca zakręcił się, jego noże zmieniły się w półprzejrzyste, matowe sfery, gdy odpierał atak dwóch, trzech, a potem czterech żołnierzy jednocześnie. Wydawał się bawić, tańczyć, płynąć, twarz ukryta w cieniu kaptura nie wyrażała żadnych emocji, nawet ironicznego skrzywienia warg, luźny ubiór furkotał, szare klingi noży śpiewały, a Cerah, Wilk, Konus i Omne Wenk nie byli w stanie przebić się przez jego gardę. Jakby bawił się, opędzając się od gromadki dzieci.

A potem Konus krzyknął krótko i wypuścił miecz, cofając się trzy szybkie kroki i ściskając rozrąbane po wewnętrznej stronie przedramię, a Omne przyjął na swoją piechociarską tarczę potężne kopnięcie, które wbiło mu jej górną krawędź w twarz i przewróciło na ziemię.

— Do tyłu!

Ryk Fenlo Nura rozdarł przestrzeń, więc Cerah i Wilk odskoczyli w przeciwne strony, a ich wróg zatrzymał się w pół ruchu i spojrzał w stronę, skąd dobiegł krzyk.

Prosto w kilka kusz mierzących w jego pierś.

Nie było propozycji poddania się. Zresztą, patrząc, jak obcy spina się i rusza w stronę strzelców, Kenneth wiedział, że nie miałoby to sensu. Brzęknęły cięciwy i biegnący zatańczył ostatni raz, w fontannach krwi i kości wyskakujących z pleców razem z ciężkimi pociskami.

Porucznik rozejrzał się, wszyscy napastnicy byli już martwi, żaden nie próbował złożyć broni. Kobiety tkwiły w miejscu, na szczycie niewielkiego wzgórza.

— Krąg. — Zatoczył dłonią koło w powietrzu. — Sprawdzić straty. Czekać.

Żołnierze sprawnie otoczyli wzniesienie.

Kenneth ruszył w stronę kobiet, chowając miecz do pochwy i ignorując broń w ich rękach. Na twarzach obu, jasnej i ciemnej, pojawiło się zasko-

czenie.

— Tak. — Skinął głową blondynce. — Wieża. Choć lepiej wyglądasz, jak nie trzymasz cudzych oczu w ręku.

— Co…

— Nie. — Przerwał im uniesieniem dłoni. — Na razie nic nie mów.

Podszedł do siedzącej na koniu szlachcianki. Spojrzała na niego pustym wzrokiem i wróciła do kontemplacji okolicy. Odwrócił się i rozejrzał.

Niebo miało barwę polerowanej stali, jasnosinej z lekkim błękitnym połyskiem. To nie były chmury, tylko sam firmament bez śladu słońca, sklepienie jaśniało spokojnym, przymglonym blaskiem. W takim świetle nie ma mowy o cieniach. Pod tą kopułą znajdowała się równina naznaczona tysiącem odcieni czerni. Matowa czerń sadzy, głęboka czerń żyznej ziemi, zimna czerń morskich głębin, ostra czerń obsydianu – człowiek widzi różnice, dopiero gdy wszystkie te odcienie ma przed oczami. Daleko, na horyzoncie, majaczyły jakieś wzniesienia, niczym czarne zęby wgryzające się w nieboskłon. Kenneth przykląkł i dotknął gruntu. Twardy, w dotyku przypominał wygładzony granit, i zaskakująco ciepły, jakby pod skałą tętniło gorące źródło.

Velergorf podszedł i przykucnął obok.

— Trzech rannych. Dwóch źle upadło, gdy wskakiwaliśmy tutaj, jeden dostał nożem…

— Konus.

— Tak, panie poruczniku. Już założyliśmy opatrunek. Tamta dwójka to Gessen i Jodła, skręcona kostka i rozbite kolano. Ledwo dają radę chodzić. Wilk i reszta tropicieli ogląda już trupy.

— Dobrze. Wiesz, gdzie jesteśmy?

— Nie… Na Jaja Byka, nie. Nigdy nie słyszałem o takim miejscu. Ale to nie Olekady, gdyby mnie ktoś spytał.

— No, no, Varhenn, jak na to wpadłeś?

Kenneth spojrzał w twarz dziesiętnika. Ukryte w tatuażach oczy były spokojne i czujne. Bez śladu strachu czy choćby niepokoju. Velergorf, sukinsynu, jesteś skałą pod moimi stopami.

— No mów — ponaglił. — Widzę, że coś masz na języku.

— Nie znam tego miejsca, panie poruczniku. Popytałem kilku chłopaków, też nie wiedzą, gdzie nas rzuciło. Ale większość sądzi, że one — wskazał brodą w stronę uciekinierek — mają z tym coś wspólnego.

— Brawo. Widzę, że trafiła mi się kompania rozplotkowanych myślicieli. Zrobisz zbiórkę.

— Tak jest.

Wstali, dziesiętnik ruszył do żołnierzy, Kenneth odwrócił się do kobiet.

Szlachcianka siedziała w siodle, wbijając wzrok w końską grzywę, obojętna aż do katatonii. Za to dziewczyny patrzyły na niego uważnie, ciemne i jasne spojrzenie, ręce już bez broni, na twarzach maska uprzejmego zainteresowania. Coś w stylu: jakie miłe, przypadkowe spotkanie, czy ma pan dla nas jakieś wieści, panie oficerze?

Wyszczerzył się szeroko.

— Porucznik Kenneth-lyw-Darawyt, Szósta Kompania Szóstego Pułku z Belenden — przedstawił się. — Przypominam, gdybyście zapomniały.

Blondynka skinęła głową.

— Kailean-ann-Alewan i Daghena Oanyter. A to — wskazała szlachciankę — panna Laiwa-son-Baren.

— Domyśliłem się. Daleko zaszłyście przez te cztery dni.

— Miałyśmy dobrą przewodniczkę. — Kailean jeszcze raz wskazała pogrążoną w bezruchu hrabiankę.

— Tak myślałem. Głodne?

Pokręciły głowami.

— Nie za bardzo.

— Za to dumne. Dostaliśmy rozkaz, żeby was schwytać i odstawić Szczurom.

Czarnowłosa uśmiechnęła się dziwnie.

— Szczury powinny się zdecydować. My dostałyśmy rozkaz, żeby dowiedzieć się, co się dzieje w górach.

— Coś takiego chodziło mi po głowie. Jak inaczej dziewczyny schwytane pod wieżą trafiłyby do zamku jakiegoś hrabiego? Na razie jednak nie widzę Szczurów w pobliżu, więc nie będę się nimi przejmował. Czy macie coś wspólnego z tym, że znaleźliśmy się właśnie tutaj? I czy wiecie, gdzie to w ogóle jest?

Obie spojrzały na hrabiankę.

— Nie wydaje mi się, by chciała właśnie tutaj trafić. Raczej nie.

— Rozumiem. Nie zrobicie głupstwa, jak was tu zostawię na chwilę same?

Jasnowłosa poklepała konie po szyi.

— Są zbyt zmęczone, żebyśmy dały radę na nich uciec. Poza tym… lepiej trzymać się razem.

— Racja.

Odwrócił się i ruszył ku kompanii. Pięćdziesięciu ludzi stało w dwóch równych szeregach, psy przysiadły z boku. Powiódł wzrokiem po twarzach. Varhenn, Andan, Bergh, Malawe, Sewres, Patyk, Wilk, Bryhle, Pazur, Szpak… Większość znał od lat, a nowi… złapał się na tym, że od kilku dni nie myśli już o nich jak o Stajennych, ciężarze rzuconym mu na barki przez Czarnego, czerwień cyfr na ich płaszczach przestała kłuć w oczy świeżością. Razem przeszli przez góry, razem walczyli i zabijali. Nowi żołnierze wpasowali się w tkankę Szóstej, związali wspólną służbą. Gdziekolwiek się znaleźli, trafili tu jako jedna kompania.

Rzucił okiem na Fenlo Nura. No, może z małymi wyjątkami.

— No dobra, zróbcie spocznij i zbierzcie się w kupę. Bliżej mnie, nie będę się darł na całą tę piękną okolicę.

Kompania złamała szyk, żołnierze ustawili się w luźny półokrąg.

— Sytuacja wygląda tak, że nie wiemy, gdzie jesteśmy. — Kenneth machnął dłonią wokół. — Jeśli któryś z was słyszał o takim miejscu, niech mówi.

Odczekał trzy uderzenia serca.

— Dobrze. Ja też nie. Pamiętam za to, że fala czarów, która nas tu rzuciła, pochodziła od tych szarych bękartów. Wilk, czego się o nich dowiedziałeś?

Szczupły zwiadowca chrząknął, przez chwilę wyglądało na to, że splunie na ziemię.

— Niczego.

Kenneth pochwycił spojrzenie Nura, zdziwione i jakby lekko rozbawione.

— Co to znaczy, niczego?

— Nie wiem, kim są, panie poruczniku. Nie wiem, skąd pochodzą, materiał ich ubrań ma splot, który widzę pierwszy raz w życiu, buty są zrobione z jednego kawałka skóry, której nie potrafię rozpoznać, broń jest dziwna. Metal wypolerowano, ale mimo to pozostał matowy, z tym szarym odcieniem…

Wilk zamilkł, poruszył szczęką, jakby przeżuwał wyjątkowo gorzki owoc.

— I oni… ale tego nie jestem pewien…

— Chodzi mu o to, że to nie są ludzie — wygłosiwszy to stwierdzenie głosem ciężkim jak granitowy głaz, Fenlo Nur stanął w lekkim rozkroku i założył ręce na piersi. Ale jeśli szykował się do kłótni, Kenneth musiał go rozczarować.

— Dlaczego tak sądzisz? — zapytał spokojnie.

Młodszy dziesiętnik uniósł otwartą dłoń.

— Mają dodatkowy staw w palcach. Wszyscy. I brak im włosów na ciele poza głową, brwiami i rzęsami. Żaden nie musiał się golić.

Kenneth uniósł brwi.

— Oglądałeś ich całych?

— Tylko dwóch. Żeby się upewnić. Reszcie sprawdziłem dłonie i stopy. W palcach stóp mają z kolei o jeden staw mniej, choć są one tak samo długie jak u nas. Powiedziałbym też, że coś jest nie tak z ich mięśniami. Jakby były przyczepione do kości w innych miejscach, ale mogę się mylić. Tu potrzeba by medyka, uzdrowiciela albo czarownika, żeby ich obejrzał.

— Wilk?

Góral pokręcił głową.

— Nie wiem, panie poruczniku. Dziesiętnik mówi prawdę, coś z nimi jest nie tak, ale czy to na pewno nie ludzie? U mnie w wiosce jest rodzina, gdzie co drugie dziecko rodzi się z sześcioma palcami. Ale to i tak dobrzy górale. Może gdzieś na świecie są ludzie, którzy mają więcej stawów? Za mało wiemy.

— Dlatego mówię, że tu potrzeba czarownika. — Fenlo Nur energicznie pokiwał głową.

— Kogoś takiego to my akurat nie mamy, dziesiętniku. Co jeszcze znaleźliście?

— Nie mieli zapasów. Żadnego jedzenia ani wody. Tylko ubrania i broń. Powiedziałbym, że jedno i drugie nie za bardzo nadające się w góry.

— Cóż, wygląda na to, że góry nie były ich celem.

— A co, panie poruczniku?

— A jak myślisz? My, Szczury, Bękarty, no i jeszcze oni. I jeden cel.

Wzrok dziesiętnika powędrował na wzgórze.

— Może je grzecznie zapytać?

— Coś mi się wydaje, że jedyna osoba znająca odpowiedź jest jakby nieobecna. Więc na razie nie pytamy. Ale będziemy bardzo pilnować, żeby nam nagle nie znikła. Zrozumiano?

Pokiwali głowami.

— Opatrzyć zadrapania i siniaki, szykujemy się do drogi. Sprawdzić, ile macie żywności i wody. Oszczędzamy. Jesteśmy na terenie wroga, więc oczy i uszy otwarte. Bergh, co mówią psy?

— Nie podoba im się tu, panie poruczniku. Węszą bez przerwy i są podenerwowane.

— Zauważyłem. Każ ludziom wziąć je na smycz. Niech nie biegają swobodnie, póki nie zorientujemy się, gdzie jesteśmy.

— Rozkaz.

Bergh zasalutował.

— Za kwadrans wyruszamy w stronę tamtych wzgórz. — Kenneth wskazał majaczące na horyzoncie czarne zęby. — Trudno ocenić odległość, ale chcę tam być przed zmrokiem.

Obejrzał się na wzniesienie.

— Dobra. Rozejść się.

Kobiety tkwiły w tym samym miejscu, w którym je zostawił. Zdążyły namówić szlachciankę do zejścia na ziemię i rozkulbaczyć konie. Wycierały teraz i gładziły ich boki.

— Dużo przeszłyście.

— Sporo. — Blondynka najwyraźniej była bardziej wygadana. — Gdybym wiedziała, że za nami idą…

— To co?

— Nie wiem… spróbowałabym czegoś. I na pewno nie dałabym się wziąć żywcem. Nie po zamku.

Pokiwał głową. Wciąż miał przed oczami obraz obdartej ze skóry wiewiórki.

— To oni na niego napadli?

— Tak. Szukali jej. — Wskazała siedzącą na ziemi hrabiankę.

— Wiecie dlaczego?

— Cóż. — Tym razem czarnowłosa uśmiechnęła się dziwnie. — Kimkolwiek jest, z pewnością nie pochodzi ze starej arystokracji. Ani ona, ani jej służąca. Zrobiły coś z hrabią i wszystkimi ludźmi w zamku. Coś tu… — Postukała się po skroni. — Oni nie wiedzieli, co się dzieje w górach, nie mieli pojęcia o mordach, zniknięciach, o niczym. To trudne czary.

— Dlaczego to zrobiły?

Pokręciły głowami. Obie jednocześnie.

— Jeszcze nie wiemy. To, co mówiła po drodze, to jakiś bełkot. Ale właśnie tego miałyśmy się dowiedzieć dla Szczurów. Dlaczego większość mordów i zniknięć ma miejsce w pobliżu ziem hrabiego.

— I Kehlorenu.

Kailean pokręciła głową.

— Kehloren nie był ważny. W jego pobliżu dochodziło do zabójstw tylko dlatego, że pod bokiem znajdował się zamek hrabiego. Tak sądzę. Myślę, że oni — wskazała na trupy — próbowali ją znaleźć, wywabić z kryjówki, skłonić do ruchu. A gdy wreszcie znaleźli, uderzyli. Ale kim są i dlaczego na nią polują, nie wiem.

Szlachcianka parsknęła krótkim śmiechem, tak nagle, że aż podskoczyli.

— Bo miłość matki nie zna granic, a każde jej dziecko otoczone jest nią od narodzin do śmierci. Będzie chciała z powrotem przytulić do piersi je wszystkie. Żywe lub martwe. Myślałam — zaczęła szeptać — przez chwilę myślałam, że uciekniemy, że o nas zapomniała.

Umilkła. Jej spojrzenie znów stało się szkliste.

— Widzisz? Przez ostatnie godziny wysłuchujemy tylko tego. Matka i matka.

— Trzeba było wydać ją Szczurom. Od razu.

Twarz Kailean stwardniała.

— Obiecałam.

Kenneth po raz pierwszy przyjrzał im się uważnie. Miały na sobie potargane, ubrudzone sukienki i coś, co najprawdopodobniej było lekkimi pantoflami, nim trudy wędrówki nie zmieniły tego w obszarpane łapcie trzymające się na kilku paskach skóry. Musiały być naprawdę zdeterminowane, skoro tak daleko zaszły.

— Szczerze mówiąc, liczyłyśmy na to, że w miejscu, gdzie trafimy, znajdziemy jakieś odpowiedzi. — Daghena spojrzała mu prosto w oczy. — Coś się wydarzyło w tych górach parę lat temu. Coś, co zabiło kilkuset dorosłych, zdrowych ludzi. I sądzę, że od tego właśnie się zaczęło. A jeśli oddałybyśmy ją Szczurom, nigdy byśmy się nie dowiedziały. Rozumiesz?

— Mniej więcej. Więc ci zabójcy ścigali was od zamku aż tutaj? Przez całe góry?

Popatrzyły po sobie, zdziwione.

— Znaleźliśmy ich ślady w pobliżu waszego ostatniego obozu. Dobrze, że zdołałyście uciec aż tak daleko. — Uśmiechnął się. — Gdyby nie szczęśliwy traf, pewnie was też by zamordowali. Ale nie będziemy o tym teraz rozmawiać.

To niezła linia obrony, jeśli kiedykolwiek staną przed szczurzym Trybunałem. Nie porwanie, lecz ucieczka przed zabójcami i próba ocalenia życia jedynemu świadkowi. Ale niech same sobie to poukładają.

— Wasze konie dadzą radę iść?

— Jeszcze jakiś czas. Ale niezbyt szybko.

— To dobrze, bo ja nie mam zamiaru z nikim się ścigać. Pójdziemy w stronę tamtych wzgórz. Może stamtąd da się rozejrzeć po okolicy. — Omiótł dziewczyny wzrokiem. — Ile macie wzrostu?

W zapasowych rzeczach znaleźli dla nich portki, luźne koszule i skórzane kurtki. Największy problem był z butami, żaden strażnik nie miał tak małych stóp, musiały więc zostać w pantoflach dobrych do chodzenia po pałacu, owiniętych dla wzmocnienia kilkoma skórzanymi paskami. Jedynie hrabiankę zostawili w tym, co miała na sobie, i tak będzie podróżować konno.

Zostawiły sobie broń zabraną z zamku.

— Dobrze. Ruszamy!

Kompania ustawiła się w luźnym szyku, najpierw kilku ludzi z psami, potem trzy dziesiątki, konie i reszta Szóstej zamykająca kolumnę. Teren był

równy, płaski jak toń jeziora w bezwietrzny dzień. Gdzieniegdzie wznosiły się niewielkie pagórki. Nic więcej. Żadnych kamieni, głazów, żwiru, żadnych śladów roślinności, mchów, porostów, traw. Tylko gładka, czarna równina ciągnąca się we wszystkie strony. W takim terenie wzrok mamił i zwodził, trudno było ocenić rzeczywiste odległości, brakowało perspektywy, punktu odniesienia, który ułatwiałby orientację. Czarne wzgórza na horyzoncie były jeszcze zbyt odległe, by dało się określić ich wielkość, jednak w zasięgu ich wzroku nie znajdowało się nic innego, zmierzali więc w tamtą stronę.

Po godzinie marszu Kenneth zorientował się, że Fenlo Nur konsekwentnie przesuwa się w jego stronę. Po kilku chwilach maszerowali ramię w ramię.

— Coś cię dręczy, dziesiętniku?

— W którą stronę idziemy, panie poruczniku?

— To znaczy?

— Północ, wschód, południe? Jaki kierunek?

Kenneth uniósł brwi i posłał mu kwaśny uśmiech.

— Wydaje ci się, że ty jeden masz łeb na karku? Bez słońca albo gwiazd nie ustalimy kierunku, ale jeszcze nie wiemy, czy słońce tu zagląda. Na razie idziemy w miejsce, gdzie będziemy się czuć jak w domu.

— Bo to wzgórza?

— Właśnie. Lepsze do tego, żeby założyć obóz, rozejrzeć się i odpocząć. Miejsce, gdzie nie będziemy wystawieni na atak jak mrówki na podłodze.

— Ale…

— Nur, zamknij się, dobrze? Przychodzisz do mnie niby zaniepokojony czymś dziwnym, a tak naprawdę chcesz, żebym wytłumaczył ci się ze swoich decyzji. A nie przyszło ci dziesiętniku do tego tępego łba, że nie tylko ty masz tutaj prawo oceniać? Sądzisz, że zapomniałem o waszym zaginionym dowódcy? Postawię resztę swoich dni, że maczałeś w tym palce. Prawie się posrałeś ze strachu, gdy wozacki czarownik wspomniał o twoich tajemnicach. — Kenneth nie spojrzał na Nura, ale wyczuł, że tamten spiął się cały. — Wydaje ci się, że jesteś w czymś lepszy od reszty? Mam ludzi, którzy tropią tak samo dobrze jak ty, tak samo dobrze strzelają z kuszy i tak samo dobrze walczą. Jeśli wiesz o tej równinie coś, co może nam pomóc, mów.

Jeśli nie wiesz nic, milcz. Boisz się, że nie trafimy z powrotem w miejsce, skąd wyskoczyliśmy?

Chwilę szli w milczeniu.

— To było pytanie, na które masz odpowiedzieć, Nur.

— Tak, panie poruczniku. Tego się obawiam. Tam, gdzie jest wejście, musi być i wyjście.

— Powiedział lis po wpadnięciu do dziury. Myśl, dziesiętniku. Oni nas tu ściągnęli. Dlaczego?

— Może nie mogli inaczej?

— Może. Ale jeśli wróg pośle cię w jakieś miejsce, ty natychmiast to miejsce opuść. Jeśli na nasz widok nie próbowali uciec, tylko rzucili czar, który nas tu wessał, to znaczy, że coś chcieli przez to osiągnąć. Wyruszyłbym stamtąd, nawet gdyby nic nie było w zasięgu wzroku. Wracaj do swojej dziesiątki i rozglądaj się, jak wszyscy. To rozkaz.

Nur skinął głową, po chwili zasalutował i odszedł.

Kenneth zgrzytnął zębami. Podoficer zaczynał mu działać na nerwy.

Rozdział 3

Drewniana piła wykrawała w cielsku atakującej armii krwawe bruzdy.

Przynajmniej tak to wyglądało z góry, ze szczytu rampy. Rogaty Gród otaczała już szkarłatna wstęga martwych i umierających ciał, koni i ludzi, a każdy atak tylko ją poszerzał. Koczownicy uderzali w różnych miejscach, z różnym impetem, czasem tylko cwałując wzdłuż linii wozów i szyjąc z łuków, czasem rzucając się do frontalnych ataków, by sprawdzić zaciętość i determinację obrońców. Ot, zwykła przepychanka, próba sił.

Wszędzie napotykali zdecydowany opór. Łuki i kusze pracowały bez przerwy, machiny miotające, głównie lekkie balisty, posyłały pociski na setki kroków, ściągając z siodeł tych napastników, którym wydawało się, że są bezpieczni. Trudno było stwierdzić, ilu Wozaków ucierpiało, lecz z pewnością mniej niż Se-kohlandczyków. Wydawało się, że decyzja o postawieniu Rogatego Grodu była słuszna.

Koczownicy przybyli pod wieczór poprzedniego dnia i wypełnili noc wrzaskami, wyciem i płonącymi strzałami przecinającymi niebo jak deszcze spadających gwiazd. Lecz bojowe wozy budowano z desek miesiącami moczonych w solance, aż drewno pociło się kryształkami soli. Trudno było je podpalić, a obrońcy szybko nauczyli się mierzyć w ogniki płonące przy ziemi. Przez całą noc obie strony obmacywały się pociskami, a gdy świt wyzłocił nieboskłon, okazało się, że Se-kohlandczycy wykorzystali ten czas do rozbicia własnego obozu. I dopiero wtedy zaczęli szukać luk w ścianie wozów.

Boutanu i *En’leyd* stali przy szczelinie prowadzącej na rampę, skąd mieli piękny widok na całą wyżynę, rozłożony u stóp Olekadów obóz i otaczającą go armię. Dwadzieścia tysięcy konnych, może trochę więcej, a za nimi olbrzymie obozowisko pełne namiotów, koni, kobiet, starców i dzieci.

Kyh Danu Kredo oszukał wszystkich. Gdy jego a’keer zaatakował budowniczych, plemiona koczowników były już ledwo dwadzieścia mil na północny wschód od rampy, w miejscu, gdzie nikt się ich nie spodziewał.

Syn Wojny musiał ozdobić trasę swojej wędrówki porzuconymi wozami, padłymi zwierzętami i wszystkim, co go opóźniało, by osiągnąć takie tempo. I bogowie wiedzą, jak udało mu się ukryć taką masę ludzi przed wzrokiem obserwatorów stojących na szczycie rampy, ale się udało. A potem postawił wszystko na jeden sztych, nocny atak i zmanipulowane zeznania jeńców osiągnęły wyznaczony cel, rydwany obozów New'harr i Aw'lerr ruszyły na południe, szukając koczowników tam, gdzie ich nie było, i teraz inicjatywa należała do Se-kohlandczyków.

Rogaty Gród mógł się bronić, lecz nie mógł kąsać dalej niż zasięg strzały balisty. A Wozacy – co napełniało ich szczególną goryczą – mogli tylko patrzeć, jak koczownicy nadciągają i spokojnie rozbijają swój obóz. Gdyby mieli choć trzy, cztery Fale, plemiona Danu Kreda nie ośmieliłyby się podejść tak blisko, z obelżywym wprost lekceważeniem, musiałyby rozbić obozowisko dalej, w obawie przed kontratakiem. Minie jeszcze co najmniej dzień, nim zza gór spłynie dość posiłków z innych karawan, by stanowiły realną siłę. A do tego czasu koczownicy otoczą ich obóz kręgiem zasieków, płytkich rowów i pułapek, które zatrzymają rydwany. Rów szeroki na trzy stopy i głęboki na dwie nie jest żadną przeszkodą dla konnicy. Dla rydwanu zaś stanowi barierę nie do przejechania. Nie można go pokonać nawet stępa, załoga musi wysiąść, powoli przeprowadzić konie i przenieść swój pojazd ręcznie. Rzecz trudna do wykonania, gdy ktoś szyje do ciebie z łuku.

Emn'klewes Wergoreth rozejrzał się, przysłaniając dłonią oczy. Słońce wschodziło, oślepiając i jego, i And'ewersa, choć kowal ledwo zmarszczył brwi.

— Mógłbyś choć udawać, że cię razi.

— Gdy godzinami wpatrujesz się w palenisko, czekając, aż żelazo przybierze odpowiednią barwę, oczy się przyzwyczajają.

— To jak określisz tę barwę?

— Za gorące, musi ostygnąć.

Boutanu uśmiechnął się tylko. Od wczoraj – od chwili, gdy zauważono pierwszych jeźdźców – to on sprawował pełną władzę nad Ścianą Wozów. Oko Węża mógł tylko doradzać. Mimo to Emn'klewes zabrał And'ewersa na górę. W końcu nie przebyli gór, by wydać koczownikom bitwę u ich stóp. *En'leyd* musiał ocenić, jak i gdzie należy uderzyć, by przerwać oblężenie. I to zanim przybędzie reszta Se-kohlandczyków. Z siłami jednego

Syna Wojny mieli jeszcze szansę wygrać. Gdy nadejdą kolejni… Wozacy mogliby powrócić do Imperium tylko jako żałośni buntownicy, korzący się przed Cesarzem i błagający o wybaczenie. A Cesarz, chcąc zachować pozory, musiałby ich ukarać. Zresztą gorycz tej myśli była niemal nie do zniesienia – jakie pozory, Meekhan nigdy nie szanował przegranych, zwłaszcza tych, którzy okazali się tchórzliwi i nieudolni.

— Południowa i północna strona. — And’ewers wskazał na prawo i lewo. — Tuż przy górach. Dobry teren dla rydwanów. I nie można kopać głęboko, bo natrafia się na skałę. Dziś wyprostowałbym tam zęby w dwóch albo trzech miejscach. Wozy będzie można szybko rozpiąć i wypuścić atak.

— Oni też o tym wiedzą.

W poprzek ścian Olekadów koczownicy postawili już zasieki z gęsto plecionej wikliny i wykopali rowy, długie na dziesiątki jardów, płytkie, ale ze stromymi ścianami, by zatrzymać wozy i rydwany. Podobnie sprawa miała się z zaostrzonymi palami. Odpierając atak konnicy, trzeba je wbijać co stopę, najwyżej co dwie, nie szerzej niż na końską pierś; rydwan powstrzyma rząd trzy razy rzadszy. Jak wbijesz pale co cztery, pięć stóp, twoja jazda będzie mogła przez nie przenikać jak woda przez sito, tam i z powrotem, a wozy osadzą się niczym piasek. Pętla zaciskała się wokół obozu jak setka jedwabnych nici, każda delikatna, lecz wszystkie razem mogły zdławić go bez najmniejszego problemu.

Kolejny atak nadszedł właśnie wzdłuż gór. Kilkuset jeźdźców uderzyło z tamtej strony, wyjąc, krzycząc i wypuszczając tysiące zapalonych strzał, które niczym maleńkie komety leciały w stronę wozów, ciągnąc za sobą warkocze dymu.

Obóz przyjął je spokojnie na opancerzone boki i odpowiedział salwą z łuków i kusz. Koczownicy zakłębili się, zakrzyczeli jeszcze głośniej i odskoczyli, zostawiając na przedpolu kilkanaście ludzkich i końskich ciał. To było tyle, co nic, zwykła zabawa, by rozproszyć siły obrońców, by ci nie wiedzieli, gdzie nastąpi główny szturm. A jeśli uda się przy okazji coś podpalić, tym lepiej.

— Dobrze, że się nie wahają. — Emn’klewes patrzył na zabite zwierzęta.

— Dobrze.

Tego się obawiali najbardziej. W czasie pierwszej wojny z koczownikami dwa obozy poddały się, bo ich obrońcy nie mieli serca strzelać do

koni. Zwłaszcza gdy koczownicy zrobili z nich żywe tarcze, pędząc przed sobą, dla ochrony przed strzałami, tabuny klaczy ze źrebakami. Jednak młode pokolenie, wyrosłe na pograniczu, nie miało takich oporów. Później odprawią odpowiednie modły, teraz jednak konie były takim samym wrogiem, jak ich jeźdźcy.

And’ewers powiódł wzrokiem wzdłuż sznura ciał leżącego przed wozami.

— Oni się z nami tylko droczą.

Kowal miał rację. Jak na trwające pół dnia i całą noc ataki, straty koczowników były niewielkie, łącznie około czterystu, może pięciuset ludzi i tyle samo koni. Nawet te kilka bezpośrednich ataków, które przywiodły jeźdźców wprost pod szable i topory obrońców, okazało się niezbyt groźne. Kyh Danu Kredo przygotowywał się do poważnego szturmu i do tego czasu musiał czymś zająć obrońców.

— Jak zobaczą, że prostujemy ściany, wzmocnią obronę. — *Boutanu* wrócił do przerwanej rozmowy.

— Wiem. Ale nie chcę wyprowadzić Fal, tylko Węża. Po dwieście wozów z każdej strony. Karawana wzdłuż ściany gór, przebijająca się przez umocnienia. Chroniąca piechotę, która będzie wyrywać pale i zasypywać rowy. I dopiero wtedy wysłać rydwany. Najwyżej dwie Fale z każdej strony. Na boki, otoczyć obóz, uderzyć na tabuny i stada, popędzić zwierzęta na namioty. — And’ewers rozłożył ramiona i zatoczył nimi krąg. Mówił w *anaho*, wysoka mowa, *av’anaho*, nie była przeznaczona do wyłuszczania bitewnych planów. — A gdy skupią się na tych atakach, uderzyć z przodu. Szybko. Też najpierw piechota, tarczownicy usuwają tamtejsze pale i zasieki, wyrównują dziury – żeby zasypać takie rowy, wystarczą worki z ziemią albo deski powiązane ze sobą, przerzucone górą. A po nich idą do ataku rydwany. Siedem, osiem Fal, pełną siłą. I zaraz za nimi piechota, żeby zająć obóz koczowników i od razu wyrwać z jego czołowej ściany część wozów, żeby tą wyrwą posłać im do wsparcia dwa mniejsze Pancerne Węże. Se-kohlandczycy są jak woda, można ich rozbić, ale zawsze będą próbowali zebrać się z powrotem. Lecz jeśli nie będą mieli się gdzie skupić, pójdą w rozsypkę.

— Minie trochę czasu, nim zza gór dotrze tu dziesięć Fal. Będziemy je mieli najwcześniej pojutrze o świcie.

— Wiem. Dlatego zgodziłem się na Rogaty Gród. Twoja głowa w tym, żebyśmy się utrzymali.

Emn’klewes spojrzał na kowala, potem na oblężony obóz i znów na kowala.

— Długo nad tym myślałeś?

And’ewers westchnął i powiedział:

— Jeż i lis.

— Jeż i lis?

— Gdy byłem młody, gdy wędrowaliśmy w karawanie, rozbiliśmy raz obóz nad rzeką. Spotkałem tam młodego lisa, który natknął się na ścieżkę używaną przez jeże. Lis był chudy i bardzo głodny, i bardzo chciał na nie zapolować. Dobrze się bawiłem, obserwując tego młodzika, jak próbuje wąchać, kąsać, przewracać je na grzbiet. Jeże, jak to jeże, zwijały się w kłębek i czekały, aż lis się znudzi. Pierwszego dnia miał nos i pysk pokłuty w stu miejscach. — Tym razem to *av’anaho* tańczyła w dłoniach And’ewersa; to była właściwa historia dla splecenia *anaho* z mową gestów. — Drugiego dnia próbował trącać je łapą, raz jedną, raz drugą, kłuł się, skomlał i piszczał. Ale odkrył, że może potoczyć jeża po ziemi. Trzeciego dnia szedł za jednym kolczastym aż nad rzekę, nie próbował go złapać, tylko patrzył. A czwartego potoczył jeża w dół, po ścieżce, aż do wody, a gdy ten rozwinął się, żeby nie utonąć, i zaczął pływać, lis zanurkował i wgryzł mu się w brzuch. I po kilku dniach nie było już chudego lisa i mnóstwa jeży, tylko tłusty lis i zaledwie kilku kolczastych wędrowców. Dopiero wtedy znów zaczął chudnąć.

— No tak, zjadł większość jeży.

— Nie dlatego. Obrósł tłuszczem tak bardzo, że nie mógł nurkować i przez pewien czas pływające jeże były bezpieczne.

Boutanu zaśmiał się głośno, szczerze. Ale And’ewers mu nie zawtórował, odezwał się tylko w *anaho*:

— Zacząłem o tym myśleć, zanim wyruszyliśmy ze Stepów. Byłem młody w czasie pierwszej wojny, ale pamiętam jedno, nie wygrywa się samą obroną. Obóz, który odeprze atak, nie zwycięży wroga, tylko nauczy go kilku nowych rzeczy. Tak jak jeże uczyły lisa, jak je podejść. Aż w końcu koczownicy znajdą nasz słaby punkt. Spójrz teraz, schwytali nas w miejscu, gdzie nie ma wody. Na razie możemy ją dostarczać rampą,

z drugiej strony gór, ale to ledwo starczy. Pijemy my i zwierzęta, polewamy burty i dachy wozów, tysiąc beczek dziennie musi zjechać na dół, by nas nie złamali pragnieniem. A gdy ściągniemy rydwany z innych obozów, będziemy potrzebowali pięć tysięcy beczek dziennie. Rampa zacznie pracować tylko po to, by wypełnić nasze gardła.

— Potem będzie jeszcze gorzej, przecież wiesz.

— Wiem. Już o tym rozmawialiśmy. Ale nie mamy wyjścia – albo siła, albo wolność wyboru drogi. Naprawdę chciałbyś wjechać na wyżynę w obozach po tysiąc wozów i jedną Falą do osłony? Ale teraz to nieważne. Ważne jest, że nie możemy być jeżem, który czeka, aż lis się znudzi. Ten lis się nie znudzi, bo musi nas pokonać. I w końcu znajdzie na to sposób. Jeśli damy im czas, zbudują własne machiny oblężnicze, zrobią podkop, złożą ofiarę z tysiąca koni i przywołają hordę demonów, której nasi czarownicy nie powstrzymają. Meekhańczycy mówią, że nie można wybudować niezdobytej twierdzy, a wojen nie wygrywa się czekaniem. I ja im wierzę. Musimy uderzać.

— Rada Obozów może nie poprzeć tego planu.

— Rada? A od kiedy to Rada decyduje na polu bitwy? Czy tak mamy postępować? Zwoływać Radę za każdym razem, gdy napotkamy jakieś trudności? Będziemy przed każdą bitwą wysyłać posłów do koczowników, prosząc o czas na zebranie Rady? Obóz New’harr miał otworzyć nam drogę do domu. Sam prosiłeś o ten zaszczyt, pamiętasz? I co teraz? Zamkniemy się w Rogatym Grodzie i będziemy czekać, aż nas złamią? Albo skończą nam się zapasy? Ty jesteś *Boutanu*, ty decydujesz, jak nas bronić. Więc decyduj.

Kowal cedził słowa przez zęby, nie odrywając wzroku od walczącego obozu. Właśnie kolejny a’keer odskakiwał, zostawiając na zdeptanej ziemi kilkanaście trupów.

— Oni wrócą. — Emn’klewes wykonał gest, jakby chciał położyć mu rękę na ramieniu, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

And’ewers sapnął jak poruszony żelazną ręką miech i zacisnął pięści.

— To była moja decyzja — warknął. — To ja ich tam wysłałem. Dwanaście tysięcy ludzi. Zachowałem się jak dziecko.

— To była nasza decyzja — poprawił go *Boutanu*. — Twoja, moja i Awe’aweroha. Gdyby któryś z nas był przeciw, nie wysłalibyśmy ich tam.

Zresztą, jest z nimi Ome, a jej gniewu boją się demony ognia. Gdyby wpadli w kłopoty, zobaczylibyśmy, jak niebo płonie.

— Przyjacielu…

Słowo zawisło między nimi i krępy mężczyzna nie wiedział, czy ma się obrazić, czy poczuć doceniony. *Anaho* miała liczne zalety, a największa z nich kryła się w niedopowiedzeniach.

— Przyjacielu. — Pięści kowala zatrzeszczały. — Patrzysz na krew na śniegu i nie widzisz trupa. Patrzysz na koczowników szykujących się do długiego oblężenia i nie widzisz pewności w ich spokoju. Oni wiedzą, że nasze rydwany są poza obozem, w końcu sami je z niego wywabili, lecz nie okazują żadnego zaniepokojenia. Nie budują dodatkowych umocnień na zewnątrz, nie wysłali konnej armii na południe. Założę się o moje rodowe konie, że Kyh Danu Kredo jest pewien, iż oni przepadli. Zastawił na nich pułapkę, z której nie mają wyjść żywi. I to moja wina. Tylko moja.

* * *

Strzały zaświstały, załomotały gradem o wysokie burty, część przemknęła nad bojowym wozem, ciągnąc za sobą smugi dymu i furkocząc w powietrzu. *Frrrrrr. Frrrrr. Frrrrr.* Płomienie uwieszone grotów nie chciały zgasnąć, namoczone w żywicy kłębki szmat uwiązane za grotami sypały iskrami i paliły się nawet wtedy, gdy strzała spadła nieszkodliwie na ziemię. A nie wszystkie spadały na ziemię, koczownicy zmienili taktykę, część pocisków posyłali wysoko nad pierwszą linią, aż niektóre sięgały wozów mieszkalnych. Sto kroków to za mało, by zapewnić bezpieczeństwo.

Wozy mieszkalne nie były tak ognioodporne jak bojowe, więc większość dachów i burt obłożono mokrymi pledami, a drużyny ochotników, chroniąc się za wiklinowymi tarczami, biegały między nimi i gasiły pociski. Także te wbite w tarcze i własne ciała. Każdy musiał być w jakiś sposób pożyteczny, w oblężonym obozie nie było miejsca dla obiboków i małych tchórzy.

Key’la biegała zygzakiem. Bieganie zygzakiem mogło zmęczyć, ale było dużo rozsądniejsze niż próba skracania sobie drogi. Skracanie drogi skutkowało płonącymi strzałami w tarczy. Albo w tyłku. Tę prawdę wbiła jej do głowy Nee’wa, gdy zmieniały się na posterunku. „Trzymaj tarczę nad głową i nie oddalaj się od wozów” – powtórzyła tyle razy, że wyglądało to

na jakieś zaklęcie. „Twoim ojcem może być *En'leyd* całego obozu, lecz to znaczy tylko tyle, że masz się bardziej starać". Więc wszystkie trzy starały się, zgłaszając na ochotnika do roznoszenia wody i posiłków wśród załóg wozów bojowych. Oraz do przenoszenia informacji.

Key'la miała pod „opieką" *sawo'leyd* – Małego Węża, najmniejszy samodzielny oddział wozów bojowych – dwadzieścia pojazdów. Tyle pozwalało utworzyć czworobok o szerokości pięciu wozów, wewnątrz którego swobodnie mieściły się wszystkie konie. Ojciec kiedyś tłumaczył to chłopcom, a ona przysłuchiwała się, udając, że szyje. Cztery wozy bojowe mogły utworzyć czworobok chroniący jeden *ol*, czyli pole. Ale te wszystkie wozy były ciągnięte przez szesnaście koni, a na jednym *ol* mieściły się najwyżej cztery zwierzęta. Czyli jeden zaprzęg potrzebował jednego pola dla swoich koni. Więc ile najmniej wozów bojowych potrzeba, by mogły chronić skutecznie własne zaprzęgi? Jej bracia byli tak tępi, że ona zdążyła policzyć to z dziesięć razy, zanim jeden z bliźniaków nieśmiało zapytał – szesnaście?

Oczywiście, że tak. Lecz przy szesnastu wozach cała przestrzeń wewnątrz takiego małego obozu jest wypełniona końmi. Nie ma się jak poruszać, a zaprzęganie i wyprzęganie zwierząt to mordęga. Więc najmniejszym samodzielnym oddziałem wozów bojowych jest liczący dwadzieścia pojazdów Mały Wąż pod dowództwem *Hawereh*, czyli „zaskrońca". Dwadzieścia wozów może ustawić czworobok obejmujący dwadzieścia pięć *ol*, na którym zmieszczą się wszystkie konie i będzie dość miejsca dla ludzi. A w Rogatym Grodzie dwadzieścia wozów tworzy dwa zęby, dwa trójkątne szańce, niczym kły szczerzące się na wroga.

Dlatego Key'la musiała biegać zygzakiem. Prosto, zakręt, prosto, zakręt, prosto, zakręt, prosto i z powrotem.

Oczywiście nie chodziło o linię wozów, tylko o strzały. Niektóre leciały tak ostrym łukiem, że spadały ledwo kilkanaście kroków za pojazdami. Gdyby chciała skracać sobie drogę, musiałaby biegać przez ostrzeliwany teren. Trasa wzdłuż linii wozów była bezpieczniejsza, choć i na niej znalazła, ledwo stopę czy dwie od burt, kilka dymiących kikutów strzał. Te musiały spadać niemal pionowo, a wbite w ziemię, płonęły przez chwilę jak małe pochodnie. Dlatego też dostała odpowiednie wyposażenie.

Nosiła wiklinową tarczę, wystarczająco lekką, by mogła z nią biegać, i wystarczająco odporną, by powstrzymać spadający stromym lotem pocisk.

Do tego kubrak z wołowej skóry, bez rękawów, obszyty na zewnątrz pikowanym płótnem. Nee’wa zapowiedziała, że będzie jej w tym gorąco, ale jeśli zdejmie pancerz, to użyje jej głowy jako kowadła, a sama będzie walić młotkiem. Miała rację, było gorąco jak w kuźni. Po przebiegnięciu kilka razy wzdłuż wozów Key’la ledwo mogła się ruszać, pot zlepiał jej włosy i z trudem łapała oddech.

Tarczę trzymała jedną ręką nad głową, drugą przyciskała do piersi dwa bukłaki z rozcieńczonym winem. Na plecach niosła przytwierdzony rzemieniami wiklinowy koszyk z jedzeniem. Całość, pancerz, tarcza i zapasy, ważyła prawie połowę tego, co ona sama. Miała nieodparte wrażenie, że jak pobiega jeszcze trochę, zmieni się w wysuszony na wiór szkielet obciągnięty pomarszczoną skórą.

To była jej trzecia tura dzisiaj. Biegała wzdłuż wysokich burt, wchodziła do środka, zrzucała bukłaki i kosz z jedzeniem i wracała po zapasy dla następnej załogi. Przy pierwszym wozie zostawili jej wózek wypełniony jedzeniem i piciem, była za mała, by go ciągnąć, więc biegała tam i z powrotem. Taki los kulawego źrebięcia.

Koczownicy wypuścili kolejną salwę, furkot nadlatujących pocisków brzmiał niemal jak trzepot skrzydeł małych ptaszków. Przykucnąć, tarcza nad głowę, skulić się. I czekać na właściwą kolejność, najpierw szybki, głuchy stukot o burty wozów bojowych, potem *frrrr*, *frrrr*, *frrrr* strzał mknących ku drugiej linii, i trzecia fala, lecąca wysokim łukiem prosto w niebo, by spadając niemal pionowo, razić obrońców z góry. Te zawsze były ostatnie, więc nauczyła się czekać, póki nie usłyszy ich dźwięku. *Frrrr*, *pac*, *frrrr*, *pac*, *pac*, *pac*, *pac*, pociski wbijały się w miękką ziemię z takim odgłosem, jakby wielki kot walił łapą w worek wypełniony mokrą mąką. Sama nie wiedziała, skąd takie skojarzenie, ale gdy kuliła się pod tarczą, zamykając oczy, widziała go wyraźnie – wielki, tłusty kocur bawiący się workiem z mąką. Przynajmniej był to miły obrazek.

I wtedy kocur walnął łapą w jej tarczę. Zasyczało, zaskwierczało, rozszedł się swąd palonej żywicy i coś ukłuło ją w rękę, którą trzymała osłonę. Prawie krzyknęła i prawie poderwała się na nogi, ale strzały nadal spadały wokół, więc zagryzła wargi, licząc do dziesięciu, i dopiero gdy przez kilka chwil żaden pocisk nie wbił się w ziemię, wstała i obejrzała tarczę. Pośrodku, jak wymierzona okiem łuczniczego mistrza, tkwiła barwiona na zielono strzała. Promień przy wiklinie poczerniał i żarzył się lekko.

Wyrwała pocisk i obejrzała grot, ostry i wyposażony w zadzior, który miał wbić się w drewno i pozwolić, by ogień uwiązany drzewca przeskoczył na nie. Na szczęście z moczoną w wodzie wikliną nie radził sobie zbyt dobrze, wilgotne gałązki stłumiły płomień. Ale i tak czubek grotu drasnął ją w rękę. Można powiedzieć, że przelała pierwszą krew.

To było tyle co nic, ledwo czerwona kropka na rękawie, więc wzruszyła ramionami i pobiegła dalej.

Drzwi najbliższego wozu bojowego zastała otwarte, wskoczyła do środka, rzuciła tarczę w kąt i z westchnieniem zdjęła z ramion ciężki kosz.

Wóz bojowy był dłuższy, szerszy i wyższy od mieszkalnego, a co najważniejsze, nie miał dachu. Podłoga, wysypana wilgotnym piaskiem, znajdowała się dobre trzy stopy wyżej niż w zwykłym pojeździe, a burty – sięgające na wysokość wzrostu dorosłego mężczyzny – przecinały szczeliny strzelnicze. Przymocowano do nich dodatkowo wiklinowe płotki, podziurawione już strzałami, ale w większości całe. Ten wóz nie miał małej wieży, jedyne zadaszenie stanowiła ciężka tarcza oparta o ścianę. Kilka strzał dopalających się na piasku najwyraźniej nie robiło na nikim wrażenia. Key’la poczuła ukłucie zazdrości. Chciałaby się też tak nie bać.

— Jedzenie — powiedziała.

— I picie. Nie zapominaj o piciu.

— Nie ma picia. Wóz wam się palił, więc zużyłam wszystko, żeby go ugasić.

Eso’bar uśmiechnął się, jak zwykle, samymi wargami, uśmiech zawsze omijał jego oczy. Ten wzrok pojawił się u niego w dniu, gdy umarła mama, a ona nadal nie mogła się do niego przyzwyczaić. Jakby patrzył na nią obcy człowiek. Na szczęście Mer’danar zachowywał się w miarę normalnie.

— Nooo, co tak długo? Każesz nam czekać cały dzień na kęs spleśniałego suchara i łyk stęchłej wody, dziewczyno. Wstyd. Czy za każdym razem musisz się zatrzymywać, żeby podziwiać widoki?

— Raczej żeby odetchnąć świeżym powietrzem, Mer. Za każdym razem śmierdzi tu gorzej niż poprzednio. Naprawdę uważasz, że puszczanie bąków uchroni cię przed strzałami?

— Co taka mała koza może wiedzieć o strzałach? Gdyby koczownicy cię zobaczyli, pomyśleliby, że to jakaś żaba ubrała się w pancerz i pomyka między wozami.

— A jak zobaczą ciebie, zdziwią się, czemu to dzieci muszą nas bronić.

Była chyba jedyną osobą, która mogła się tak do niego odzywać. Mer odziedziczył grube kości po ojcu, ale wzrost po jakimś bardzo odległym przodku. Nawet Nee’wa była już od niego wyższa. Z drugiej strony jako jedyny w rodzinie mógł iść w zawody z Der’ekiem i ojcem w liczbie łamanych w ręku podków. Był masywny jak kowadło, zbyt ciężki do załogi rydwanu i za niski, żeby stać w szyku wśród tarczowników. Zostawał mu więc wóz bojowy. Paru głupców podśmiewało się z niego otwarcie, póki raz, dla zabawy, nie pociągnął go zamiast czwórki koni.

No, jak się jest córką Oka Węża, to można przynajmniej zadbać o to, by przydzielili cię do *sawo’leyd*, w którym służą twoi bracia. Oczywiście Ana’we wybrała ten, gdzie znajdował się Kar’den, ale Key’la nie miała do niej o to pretensji, jeśli dziewczyna zaprasza kogoś do własnego wozu, to powinna pilnować, by żadna inna jej go nie ukradła. Ona przynajmniej mogła widywać się z Eso’barem i Mer’danarem.

Który właśnie machnął ręką i uśmiechnął się. W przeciwieństwie do Eso’bara, samymi oczami.

— Twoje szczęście, że żadnemu nawet nie przyjdzie do głowy marnować strzały na takiego pędraka.

— Przynajmniej jednemu przyszło — odezwał się Gew’lant.

Obejrzała się przez ramię. Dowódca wozu stał pod ścianą i oglądał jej tarczę.

— Nieźle — zamruczał. — Przeszła na wylot, jak widzę.

Coś poderwało ją w powietrze, obróciło dwa razy i postawiło z powrotem.

— Trafił cię? Gdzie? Pokaż!

Mer’danar już się nie uśmiechał, oczy miał czujne, taksujące.

— Zostaw ją, Mer, nic jej nie jest.

— Skąd wiesz?

— Bo widzę. — Eso’bar nawet nie ruszył się z miejsca. — To tylko lekkie draśnięcie na lewej ręce.

Zanim zdążyła zaprotestować, miała już podwinięty rękaw i ciężkie, grube palce delikatnie dotykały skaleczenia.

— Przemyłaś?

— To nic takiego.

— Z takiego skaleczenia dostaje się gorączki, potem zgorzeli i gangreny. Nasi uzdrowiciele mają dość pracy, a ty chcesz im jeszcze dodać kolejnej?

Zawstydziła się. O tym nie pomyślała. Nim policzyła do dziesięciu, miała ranę przemytą kwaskowatym winem i obwiązaną szmatką.

— Pokaż ją wieczorem Ana’we. Niech obejrzy i zmieni opatrunek.

— Dobrze. — Prawie skompromitowała się do reszty, pociągając nosem.

— Będą strzelać.

Nie zauważyła, kto to powiedział, ale Mer’danar bez słowa wcisnął ją pod opartą o ścianę tarczę i zajął pozycję. Skuliła się, obserwując wnętrze wozu. Załoga liczyła ośmiu wojowników: byli w niej jej bracia, wiecznie milczący Sel’harr, ponury Mol’hress, o którym wiedziała tylko, że stracił dwóch młodszych braci w starciu przy rampie, chudy jak tyczka Klw’mer, dowodzący wszystkimi Gew’lant i dwóch nowych, których imion jeszcze nie poznała. Wszyscy nosili hełmy przedłużone nakarczkami z kolczej siatki, opadającymi wprost na ramiona. Do tego kolczugi albo skórzane pancerze, miecze, topory, sztylety, łuki i kusze. W kącie wozu stała garść oszczepów, włóczni, gizarm i rohatyn. Nie chciałaby być koczownikiem, który miałby ich zaatakować.

Ale koczownicy nie zamierzali na razie atakować. Tym razem, tkwiąc pod tarczą przy burcie, nie usłyszała furkotu nadlatujących strzał, tylko nagle coś walnęło w deski tuż przy jej głowie, raz, drugi, i zaraz zabębniło gradem, aż skuliła się mocniej i przycisnęła dłonie do uszu.

Frrr, *frrr*, *frrr*, nad wozem przemknęła kolejna garść strzał, jedna czy dwie zasyczały, gubiąc płomień na wiklinowych płotkach.

— Jeszcze nie wychodź — mruknął Mer, zupełnie jakby była głupia.

Pac. *Pacpacpac*. Cztery pociski jeden za drugim wbiły się w piasek na dnie wozu, zafurkotały bezsilnie i zgasły.

— No już. — Mer’danar wyciągnął strzały wbite w podłogę. — Teraz zrobią sobie chwilę przerwy.

Obejrzał uważnie wszystkie pociski, dwa rzucił w kąt, dwa podał Gew’lantowi.

— Część jest tak nadpalona, że nie nadaje się do niczego, może wykorzystamy jeszcze groty. Ale część możemy oddać im z powrotem od razu.

Dowódca wozu cofnął się nieco, napiął łuk i posłał pierwszą strzałę tuż nad wiklinowym płotkiem. Eso’bar przykleił się do szczeliny strzelniczej.

— Bardziej w lewo.

Drugi pocisk pomknął w powietrze.

— Prosto do celu.

— Ech, zabawy… — Mer wykonał kilka gestów w *av’anaho*, mówiących wyraźnie, że jest znudzony. — Oni strzelają do nas, my do nich i tak naprawdę nikt nie liczy na to, że zrobi komukolwiek jakąś poważną szkodę. Chcesz zobaczyć?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, podsadził ją do najbliższej szczeliny.

Nieco po prawej miała drugą ścianę wozów, pięć pojazdów ustawionych w krótką linię zakończoną wozem z wieżyczką strzelniczą. Po lewej otwierało się przedpole usiane zaostrzonymi palami, dołami i płytkimi rowami. A jakieś sto pięćdziesiąt–dwieście kroków dalej przycupnął szeroki płot, który wyglądał, jakby był zbity z desek i obłożony świeżo zdartą skórą. Nawet stąd widziała roje much unoszące się nad takim apetycznym kąskiem.

— Jest ich tam jakaś setka, czają się za osłoną i marnują strzały. Dziś ani razu nie widziałem konnych. Czekają.

— Na co?

— A parszywy kozioł ich wie. Pewnie aż uda im się podpalić wozy mieszkalne, wzniecić panikę i dopiero wtedy uderzą. Całą noc stawiali te umocnienia. Oblegają nas, jakbyśmy byli zasranym miastem. Gdybyśmy mieli…

Wyraźnie ugryzł się w język, nie kończąc. Gdybyśmy mieli rydwany… Gdyby Der’eko i bliźniacy nie znikli na południu razem z pięcioma tysiącami rydwanów i Ome.

— Nie martw się. Są cali.

— Tak. Na pewno.

On ją trzymał, ona wczepiła się palcami w krawędź krzyżowej szczeliny, więc mieli zajęte ręce. W *anaho* łatwiej się kłamie niż w wysokiej mowie.

— Jak chcą mieć pożar, dajcie im go — wyrwała się z pomysłem i zaraz poczuła wstyd. Od kiedy to podszyte tchórzem dziewczynki doradzają wojownikom?

— No pewnie, siostra. — Mer’danar zaśmiał się, na szczęście wcale nie złośliwie. — Podpalimy wozy mieszkalne zamiast koczowników, po co biedacy mają marnować strzały?

— Nie… nie… ja tylko myślałam… już nic…

— No dobra. — Postawił ją na ziemi i szturchnął żartobliwie. — Mów.

— Nie… nie ma co mówić. — Opuściła głowę.

— Ech, baby. — Nie zauważyła, który się odezwał, ale to nie miało znaczenia, bo teraz na pewno wszyscy patrzyli na nią i uśmiechali się z politowaniem. — Jakby one miały bronić obozu, tylko dym i zgliszcza by tu zostały.

Gniew pojawił się nagle, jak ukłucie grotem strzały.

— No właśnie, dym… Pomyślałam, że jak zobaczą dużo dymu wewnątrz obozu, to zaatakują. Wystarczy podpalić trochę słomy i mokrych liści… I będziecie wiedzieli, czy czekają na pożar, czy na coś innego…

Porwała tarczę i wybiegła z wozu.

Lecz zanim dotarła do wózka z zapasami, przeszło jej. Mer miał prawo trochę sobie pożartować, w końcu tkwił na pierwszej linii obrony, narażając życie, podczas gdy ona dostarczała tylko jedzenie i picie do wozów, a na dodatek miała czelność wyrywać się z jakimiś dziwnymi pomysłami. Od kiedy to dziewczynki mówią wojownikom, jak mają walczyć?

Ale teraz przynajmniej wiedziała, co znaczy oblężenie. Oblężenie to chowanie się za płotami obciągniętymi świeżą skórą i strzelanie do obrońców. Wczorajsze ataki konnych trwały aż do wieczora, a noc, jak widać, koczownicy poświęcili na zamknięcie obozu w pierścieniu umocnień, który miał całkowicie odebrać Verdanno swobodę ruchu. Ojciec cały czas naradzał się z *Boutanu* i innymi dowódcami, a ją odesłał do łóżka dopiero grubo po północy, wyglądając zresztą na lekko zaskoczonego, że jeszcze się kręci w pobliżu. A gdy rankiem powiedziała, że chce pomagać dziewczynom, pokiwał tylko głową i machnął w *anaho’la* „Idź. Idź”.

Nawet on przestawał ją zauważać.

Zerknęła w stronę rampy biegnącej w dół i kończącej się pośrodku obozu. Zjeżdżał po niej nieprzerwany strumień wozów i sprowadzano niepoliczalne tabuny koni. Rydwany. Kolejne Fale, ściągnięte z obozów, które tkwiły jeszcze po drugiej stronie skalnej ściany. Pod rampą zebrało się ich już ponad trzy tysiące i wszyscy wiedzieli, że jeszcze trochę, a rozgorzeje

prawdziwa bitwa, nie mało szkodliwe ostrzeliwanie się na oślep, lecz walka twarzą w twarz. Nawet ona wiedziała, że muszą się wyrwać spod gór, ruszyć na wschód, bo inaczej cała wyprawa nie zda się na nic. Stracili już trzy dni, a każdy krok słońca po niebie oddalał ich od osiągnięcia celu. Wszyscy czekali na nadchodzące starcie, wyczuwała to pragnienie w gorączce spojrzeń, tłumionej gwałtowności ruchów, sztucznej wesołości okazywanej przez załogi wozów bojowych.

Kolejna salwa zafurkotała w powietrzu. Przykucnąć, tarcza nad głowę, poczekać.

Zdążyła dostarczyć jedzenie kolejnym dwóm wozom i biegła właśnie z informacją, że załoga dziesiątego potrzebuje więcej bełtów i strzał, gdy drzwiczki wozu jej braci otworzyły się i silna ręka wciągnęła ją do środka.

— No cooo?! — wrzasnęła z oburzeniem i zamajtała nogami, trzymana w powietrzu.

— Postaw ją, Mer. Głupio wygląda. To znaczy głupiej niż zwykle.

Miała wolne ręce, więc pokazała Eso’barowi „śmierdzący osioł”.

— Postanowiliśmy, że przekażemy *Boutanu* twój pomysł. Mer i Sel’harr pójdą teraz do dowódcy. *Hawereh* przekaże go dalej. Chcemy, żebyś wiedziała.

Mer postawił ją delikatnie, uśmiechnął się szeroko i dał jej kuksańca w bok. Już mniej delikatnie. Gdyby nie pancerz, miałaby siniaka.

— Dobry pomysł, żabo. A teraz leć. Wszyscy mamy obowiązki.

* * *

Wędrowali jakieś pół dnia. Trudno było dokładnie ocenić czas pod niebem, które najwyraźniej nie miało zamiaru odziać się w zmierzch, ale nogi, a zwłaszcza stopy, informowały ich, że najwyższa pora odpocząć. Wzgórza zbliżyły się wyraźnie, jeszcze godzina lub dwie i powinni między nie wkroczyć. Kenneth oceniał ich wysokość na kilkaset stóp, dość, żeby z najwyższego ogarnąć wzrokiem kawał okolicy.

Uniósł dłoń.

— Stać! Dziesiętnicy do mnie!

Odszedł z podoficerami na bok.

— Ktoś coś sobie przypomniał? Jakąś legendę o takim miejscu?

Pokręcili tylko głowami.

— Zrobimy krótką przerwę, chcę, żeby ludzie odpoczęli, zanim wejdziemy na wzgórza. Nie wiem, czy tu kiedykolwiek zapada noc, więc rozbijemy obóz na szczycie najbliższego i odpoczniemy dłużej. Oszczędzajcie wodę. Jak na razie nie widziałem jej śladów.

— Jedzenia też nie mamy za wiele, panie poruczniku.

— Jeśli szybko nie znajdziemy wody, jedzenia nam nie zabraknie, Varhenn. Zresztą, jeśli ją znajdziemy, nie zabraknie go również. — Kenneth zawiesił wzrok na wyraźnie zmęczonych koniach. — Bergh, kiedy założymy obóz, wyślesz po okolicy kilka patroli z psami. One prędzej ją wyczują niż my. I nie dzielcie się z nimi własną wodą.

— Ale panie poruczniku…

— Napojone psy nie będą szukać wilgoci, wiesz o tym. Mają być spragnione.

Bergh skrzywił się, ale nie oponował.

— Varhenn, ile mamy wódki?

Nie tylko najstarszy dziesiętnik uniósł brwi w niemym pytaniu.

— Zostało kilka manierek, panie poruczniku. Jeszcze z Kehloren. Nie było aż tak zimno, żeby się rozgrzewać.

— Dobrze. Zbierz je i pilnuj, żeby nikt nie poczuł się zmarznięty. Mam pewien pomysł.

Nikt nie zapytał jaki, co dość dobrze świadczyło o dyscyplinie.

— Niech ludzie nie siedzą i nie myślą o głupotach. Mają zrobić przegląd broni, sprawdzić zapasy, ściągnąć zbędne rzeczy. Tutaj jest cieplej niż w górach, nie chcę, żeby zaczęli mdleć. I przed wyruszeniem wszyscy mają założyć płaszcze.

Kolejna milcząca zgoda. Czy musieli trafić nie wiadomo gdzie, żeby zaczęli zachowywać się jak normalny, zdyscyplinowany oddział…?

— A co potem, panie poruczniku? — rzucił cicho Andan.

Jednak nie.

Kenneth powiódł spojrzeniem po twarzach. Na wszystkich widniało to samo pytanie – co potem?

Uśmiechnął się.

— Wyrwałeś się z pytaniem, więc ściągaj but, dziesiętniku.

— Eeeee…

— Bez gadania, ściągaj.

Andan przez chwilę wyglądał, jakby miał ochotę oponować, ale w końcu stęknął, klapnął na ziemię i rozsznurował ciężki bucior. Podał go dowódcy.

Porucznik obejrzał podeszwę i przejechał po niej opuszką. Podsunął Nurowi palec pod nos.

— Poznajesz?

Coś lepiło się do skóry, połyskując diamentową czernią.

Dziesiętnik popatrzył na pył, przejechał własnym palcem po podeszwie buta. Obejrzał go, powąchał, polizał.

Przez chwilę poruszał ustami, jak znawca win oceniający nowy rocznik.

— Siarka — mruknął — i zgniłe jaja. To samo miejsce?

— Nie wiem. Ale mam takie przeczucie. Wielu ludzi znikło w górach przez ostatnie miesiące. A ci szarzy byli obcy, nie potrafili się poruszać niezauważenie, zapewne zostawiali sporo śladów. Patrole natykały się na nie i próbowały sprawdzić, kto zimą włóczy się po dzikich okolicach. Więc ci, co nas tu wysłali, robili z tymi patrolami to samo, co z nami: wrzucali ich tutaj. W czymś im przeszkadzali, więc ich usuwano.

— Bez walki?

— Nas jest pięćdziesięciu, a w patrolach zimą chodzi nie więcej niż jedna dziesiątka. Psy przy saniach. Poradzilibyśmy sobie, gdyby było nas tylko dziesięciu, gdyby psy były zaprzężone i nie mogły walczyć, gdyby wzięli nas z zaskoczenia? My już szliśmy do ataku, a Bękarty pewnie nie wiedziały, co się dzieje. Może szarzy mieli wtedy dość czasu, żeby ich tu ściągnąć i wrócić?

— Może…

Fenlo Nur splunął ciemną śliną i spojrzał na dowódcę z czymś w rodzaju uznania w oczach. I z ponurym rozbawieniem na dodatek.

— Nie ma wyjścia.

— Jest.

— Jeśli ktoś ma skrzydła.

— Nie wszystkie wyjścia muszą być tak wysoko. Wiem tylko, że na pewno można się stąd wydostać, choć niekoniecznie z powrotem nad Hewen. Poza tym, my mamy coś… kogoś, na kim im zależy. Wyjdziemy

stąd. A gdy wrócimy, dostaniesz naganę na piśmie, za pomijanie stopnia dowódcy, młodszy dziesiętniku.

— Jeśli wrócimy, sam zedrę sobie pas skóry, żeby było na czym ją napisać, panie poruczniku.

Zmierzyli się wzrokiem. Przez chwilę, przez kilkanaście uderzeń serca, rozumieli się bez słów, czytając sobie niemal w głowach. A teraz znów byli po przeciwnych stronach.

Przerwało im krótkie chrząknięcie. Velergorf wziął na siebie rolę tego, kto musi zadać głupie pytanie.

— Przepraszam, panie poruczniku, ale ni w ząb nie rozumiem. Gdzie jesteśmy? Jak wyjdziemy? I czemu młodszy dziesiętnik Nur zlizuje brud z buta Andana?

Reszta podoficerów pokiwała głowami.

— Pamiętasz tego martwego Bękarta, którego znaleźliśmy na Hewen? Miał w zakamarkach ubrania taki sam pył. A wozacki czarownik twierdził, że pił zasiarczoną wodę i przebywał w miejscu, gdzie nie widać słońca, choć nie jest ciemno, i że było mu ciepło. Wypisz, wymaluj – tutaj. Czyli jest tu woda i można się stąd wydostać. Więc najpierw znajdziemy coś do picia, a potem wyjście.

We wszystkich oczach błysnęło to samo pytanie.

— I nie. Nie tysiąc stóp nad ziemią. Wątpię, żeby z całej tej krainy było tylko jedno wyjście, i to nad tak parszywym miejscem. A teraz dodatkowe rozkazy. Jesteśmy tutaj tylko my i być może kamraci tych, co nas tu ściągnęli. Ale wcześniej pewnie trafili tu inni. Rozglądajcie się, szukajcie śladów, może przed nami już ktoś wędrował po tej okolicy.

Velergorf uniósł brwi i machinalnie pogładził ostrze topora.

— Bękarty? Ci wszyscy, którzy przepadli w górach? Setka żołnierzy?

— Setka rozbita na oddziałki po kilku, kilkunastu ludzi. W górach przez całą zimę coś się działo, pamiętasz? W różnych miejscach mordowano różnych ludzi, kupców, chłopów, zbójów. Ale nie było ani jednego przypadku zaatakowania Straży, żadnego wymordowanego patrolu. Patrole po prostu znikały. Przegapiliśmy to, wszyscy zakładali, że żołnierzy napadnięto i wybito, i że zostaną odnalezieni później, ale tak się nie stało. Dlaczego? Bo trafili tutaj. Ci obcy, szarzy — Kenneth odruchowo wskazał za siebie — nie są z Olekadów. Nie umieli się za dobrze maskować, łatwo było ich

wytropić. A zimą większość miejscowych siedzi po wsiach i miastach, szlaki są zawalone śniegiem, przełęcze niedostępne, drogi nieprzejezdne. Więc gdy patrol Górskiej Straży wychodzi z twierdzy i napotyka dziwne ślady, tropy zostawione przez ludzi tam, gdzie nie powinno ich być, co wtedy robi?

Wytatuowany dziesiętnik pokiwał głową i wykrzywił się gorzko.

— Idzie za nimi. My byśmy poszli. Może to ktoś, kto potrzebuje pomocy?

— Właśnie. Potem patrol spotyka grupę obcych i ci obcy wrzucają go tutaj. Wiatr nawieje świeży śnieg, ślady znikają, drużyna Bękartów przepada. Czarny wysyła w teren coraz większe, liczniejsze patrole. Jeśli są zbyt silne, obcy się ukrywają albo uciekają. Jeśli patrol jest mniej liczny i ich zaskoczy albo w czymś przeszkadza, otwierają jakieś przejście, wpychają go tu i robią swoje.

Kenneth przerwał, pozwalając im zrozumieć.

— Więc, oni… cholera. — Bergh szarpnął się za jeden z warkoczyków, w które zaplótł włosy. — Oni z nami nie walczą, tylko… co? Usuwają z drogi? Jak im wejdziemy w paradę, traktują jak śmieci zamiatane pod dywan?

— Nie ci, których tam zostawiliśmy. — Andan błysnął zębami spod brody, ale zaciśnięte w pięści dłonie świadczyły o tym, że też jest wstrząśnięty.

— Tamci nie spodziewali się nas. Tak jak mówiłem, sądzę, że nie byli zbyt dobrzy w poruszaniu się po górach. I chcieli je dorwać. — Wskazał kobiety odpoczywające kawałek dalej. — My byliśmy niespodzianką i już wiemy, dlaczego unikają otwartego starcia ze Strażą. To zabójcy, mordercy, a nie żołnierze. Jeśli nie mają czasu, by posłużyć się swoimi Mocami, giną tak samo jak zwykli ludzie.

Zapadła cisza.

— Jesteśmy w lepszej sytuacji niż Bękarty — kontynuował Kenneth, świadomy, że trzeba wzmocnić morale, bo wiedza, że żaden strażnik z Regimentu Wschodniego nie wyszedł stąd żywy, nie była zbyt budująca. — Jest nas więcej, wiemy, co się dzieje, wiemy, że można stąd wyjść i mamy dość żywności, by to wyjście znaleźć. Teraz musimy poszukać wody. Dziś odpoczniemy między wzgórzami, a jutro ją znajdziemy. Zrozumiano?

Dziesiętnicy zasalutowali.

— Odpocznijcie jeszcze chwilę, ja porozmawiam z naszymi gośćmi.

Ruszył do kobiet.

Siedziały nieco na uboczu, pilnowane przez kilku strażników. Na gest porucznika żołnierze podnieśli się z ziemi i odeszli.

Kenneth od dłuższego czasu dyskretnie obserwował dziewczyny. Nadal nie wyglądały na przerażone uciekinierki, które umierają ze strachu przed karą. Nie żeby nie dawał wiary ich opowieści o działaniach w imieniu Szczurzej Nory, ale ten spokój potwierdzał to, co mówiły. Całą drogę przebyły pieszo i jak na mieszkanki Wielkich Stepów, radziły sobie bardzo dobrze. To znaczy nie jęczały, nie szlochały i nie błagały, by wolno im było odpocząć. Nieźle. Na dodatek, idąc, pogryzały wojskowe racje z takimi minami, jakby to były cesarskie frykasy. Całkiem nieźle.

Albo były naprawdę głodne.

Powitały go dwa spokojne spojrzenia, oczy czarne i zielone. Usiadł przed nimi i zerknął na szlachciankę. Nie zsadziły jej z konia, tkwiła w siodle z pochyloną głową i przymkniętymi oczami, wyglądała na pogrążoną we śnie.

— Nie lepiej, żeby zeszła?

— Nie. Ostatnio straciłyśmy kwadrans, żeby ją wsadzić z powrotem.

— Rozumiem.

Obejrzał zwierzęta. Nawet ktoś taki jak on, nieznający się na wierzchowcach, widział, że wędrówka przez góry im nie posłużyła. Zwłaszcza jednemu. Koń stał z pochylonym łbem, zmatowiała sierść lepiła mu się do boków, wzdęty brzuch i nerwowe drżenia przebiegające przez ciało zmieniły go w obraz nędzy i rozpaczy.

Dwa pozostałe były w niewiele lepszym stanie, ale przynajmniej nie sprawiały wrażenia, że tęsknią do rzeźniczego noża.

— Wyglądają prawie tak jak my. — Czarnowłosa posłała mu zmęczony uśmiech. — Jeden duży, jeden mały i jeden szlachetnej krwi, z którego jest najmniej pożytku.

— Kiedy ostatnio je karmiłyście? Prawdziwym obrokiem, a nie górską trawą?

Wzruszyła ramionami – kiedyś, parę dni temu, w innym życiu.

— Musicie ocenić, jak daleko zajdą.

— Już oceniłyśmy. On — Daghena wskazała na najbardziej zeszkapionego — wytrzyma do wieczora, jeśli będzie tu jakiś wieczór. Ten największy jeszcze dzień, najwyżej dwa. Kuc trzy. Potem staną i będą stały, póki nie padną.

Powiedziała to wszystko obojętnym tonem, jakby rozmawiali o pogodzie. Spojrzał jej w oczy. Wiedziała.

— Będziemy potrzebować mięsa dla psów i ludzi. Inaczej za kilka dni sami zaczniemy padać w miejscu, gdzie staniemy.

— To znaczy gdzie?

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem. I moi ludzie też nie. A wy? Przypomniałyście sobie jakąś legendę? Opowieść o takim miejscu.

— Nie. A… — Zawahała się. — Gdzie właściwie idziemy?

— Szukamy wyjścia.

— A jest jakieś?

— Nie ma wyjścia z mroków koszmaru ani nadziei dla tych, co postawią tu stopę. Ta droga umiera, choć kiedyś płynęły tu rzeki, rosły lasy, a strażnicy strzegli jej przed wszelkim plugastwem. Strażnicy zginęli, rzeki wyschły, lasy skamieniały, plugastwo zrobiło tu sobie szambo. Dusza rozpada się w pył.

Spojrzeli jednocześnie na szlachciankę. Nie podniosła głowy, nawet nie drgnęła, mimo iż mówiła głosem donośnym i czystym.

— Oho, dostaniemy naszą codzienną porcję bełkotu doprawionego szczyptą obłędu — mruknęła Kailean. — Ale jeśli założymy, że ma choć trochę racji… Skąd wiesz, że można stąd wyjść?

Opowiedział im w kilku zdaniach o ciele znalezionym na Hewen i wnioskach, jakie wyciągnęli. Zareagowały inaczej, niż się spodziewał.

— Przeprowadziliście Verdanno?!

Popatrzyły na siebie i wyszczerzyły się radośnie, szeroko. No, przynajmniej nareszcie ktoś dostał jakąś dobrą wiadomość. W kilka chwil wyciągnęły z niego resztę, że przeszli przez góry, że zbudowano już rampę, a wozy zaczęły zjeżdżać w dół.

I że na dole już na nie czekano.

— Bitwa będzie szybciej, niż się spodziewali. Nie mogą zostać pod górami, bo jeśli koczownicy otoczą ich pierścieniem okopów, nigdy się stamtąd nie wyrwą — Daghena oświadczyła to z miną stratega planującego kampanię.

— Wiedzą o tym. Wysłali rydwany na spotkanie nadciągającego Syna Wojny. I schodzą z gór naprawdę szybko. Tyle wiem.

— Widziałeś rodzinę And'ewersa? — Tym razem odezwała się Kailean. I to jakoś tak miękko, z wahaniem.

— Widywałem, czasem. Trzy córki, najstarsza ładna i cicha, średnia ładna i pyskata, najmłodsza ładna i trochę nieśmiała. Synów spotykałem rzadziej. Wiem, że najstarszy pojechał na południe z rydwanami. Wszyscy mają się dobrze, jeśli pytasz.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— Czego dowiedziałyście się w zamku tego… jak mu było…

Zielonooka westchnęła.

— Cywrasa-der-Malega. Niewiele. Hrabia i jego rodzina nie mieli pojęcia, co dzieje się w górach, ktoś namieszał im w głowach, żyli jakby we własnym świecie. Nie wiem, jakie czary mogą coś takiego sprawić. — Zerknęła na towarzyszkę, jednocześnie zdradzając, kto tu jest specjalistą od magii.

— Można to zrobić, tkając czar bardzo długo, powoli i delikatnie. — Daghena podrapała się z zakłopotaniem po nosie. — To magia oplatająca i umysł, i duszę, a jedno i drugie broni się przeciw zbyt mocnemu naciskowi. Rzucający zaklęcie musi być blisko osoby, którą chce kontrolować, i pilnować jej cały czas. Zaklęcie tka się miesiące, jeśli nie lata. No i łatwo je złamać, wystarczy, że czarownik utraci na kilka dni kontakt z ofiarą. Tyle wiem.

— A czary rzuciła ona? — Porucznik wskazał hrabiankę.

— Raczej jej służąca. Dysponowała dziwną Mocą – to nie były aspekty, nie taniec duchów, raczej coś, co wypływało prosto z niej. I posunęła się nawet do mordowania ludzi na zamku, choć nie wiem po co.

Szlachcianka zachichotała tak, że ciarki przeszły im po grzbiecie.

— Jego twarz… taka starsza i taka dziecinna. I te oczy… zadziwione… nie powinien się dziwić, w końcu prowadził ich do mnie. Powinnam go zabić pięć lat temu, ale był taki słodki… niewinny… bez skazy… czysty…

kanaloo… Mój brat… Moja dłoń… spotkaliśmy się na szczycie wieży i wbiłam mu nóż w plecy… za późno… już nas znaleźli… A on wypadł za blanki i zsuwał się po murze… te oczy… zdumione… nie powinien się dziwić… Ona też miała zdziwione oczy… Nie powinna się dziwić. Kazała jej położyć się i zasnąć… im… kazała im… i nikt tam już nie wchodził…

Zamilkła.

— Mając za wskazówki ten bełkot, wiele nie zrozumiemy. — Daghena zgrzytnęła zębami.

Kenneth musiał się z nią zgodzić.

— Racja. Ale być może to ona ma w głowie klucz do naszego powrotu. Więc później spróbujemy innej metody. Gdy zatrzymamy się na dłuższy postój, musicie zdecydować, co z tym koniem. — Wskazał na najbardziej zeszkapionego.

— To bojowy *kaneya* czystej krwi. Wiesz, ile jest wart?

— Kilka posiłków moich ludzi i psów. Czyli jest bezcenny.

* * *

Maszerowały i obserwowały żołnierzy przez cały dzień, jeżeli trwało to cały dzień. Pod tym niebem w kolorze bladej szarości minuty, kwadranse i godziny zlewały się w jeden ciąg i nie sposób było ocenić, ile właściwie czasu minęło. Kailean wiedziała tylko, że gdy wreszcie dano sygnał do zatrzymania się, była pewna, iż zamiast stóp ma dwa krwawiące kikuty.

Dotarli na wzgórza, jeśli można tak nazwać te dziwaczne wzniesienia zbudowane z czarnych skał, i zatrzymali się na szczycie najbliższego. Rudy porucznik od razu rozejrzał się na wszystkie strony. Czarne wzgórza przed nimi, czarna równina za nimi. Niebo ze stali nad głową. Nic więcej.

Przez chwilę oficer sprawiał wrażenie zagubionego. Być może spodziewał się, że zobaczą stąd coś więcej, jakąś wskazówkę, znak na horyzoncie, miejsce, które wabiłoby swoją odmiennością. Nic z tego. Jeśli chodziło o wybór dalszej drogi, najsensowniejsze wydawało się zamknięcie oczu, kilkakrotne okręcenie się na pięcie i marsz w stronę, którą wskaże nos.

Potem dowódca strażników pokiwał głową, rzucił parę rozkazów, a jego żołnierze zaczęli szykować się do odpoczynku. Znów pojawiła się w nim ta twardość, zaczepny upór, który mówił, że póki życia, póty będzie walczył. Na Wschodzie podchodzono do tego troszkę inaczej, wiele koczowniczych

ludów miało wpisany w swoje życie pewien fatalizm, jak spadało na kogoś nieszczęście, mówił „taki los” i starał się żyć dalej, a jak nieszczęścia waliły jedno za drugim, to gdy już nie mógł wytrzymać, siadał wreszcie na ziemi i czekał na otwarcie drogi do Domu Snu. Górale byli inni, Kailean miała wrażenie, że nawet gdyby sama Pani Losu próbowała ich złamać, to i tak robiliby swoje, a ostatkiem sił jeszcze napluli jej na buty. Podobało jej się to.

W sumie sama pochodziła z Olekadów, więc była po trosze góralką, prawda?

Obozowisko rozbili sprawnie, część strażników od razu kładła się na ziemi, owijając w płaszcze, część stanęła na warcie. Kilku odprowadziło szlachetnego wierzchowca na bok. Porucznik zaproponował, że zabiją go poza zasięgiem ich wzroku, ale Daghena chciała przy tym zostać.

Nie powiedziała dlaczego.

Przynajmniej będą mieli jedzenie na kilka dni. Z końskich gnatów i kawałków tłuszczu da się nawet rozpalić małe ognisko, więc część mięsa upieką od razu, część spróbują wysuszyć. Głód na razie im nie groził.

Gorzej z pragnieniem. Żołnierze mieli tyle wody, ile w manierkach, dla ludzi wystarczy to na dzień czy dwa, ale dla zwierząt nie. Jeśli szybko nie znajdą jakiegoś źródła, będą musieli zabić pozostałe konie.

Bardzo chciała wierzyć, że domysły porucznika są prawdą. Już kiedyś jacyś żołnierze Górskiej Straży szli tędy i znaleźli tu wodę. A jeden nawet odkrył drogę wyjścia.

Chyba że odkrył ją sto mil od tego miejsca.

Położyła się, podkładając pożyczony płaszcz pod głowę, przymknęła oczy i przywołała Berdetha. Niemal od razu wyczuła go w pobliżu, choć od czasu ucieczki z zamku tylko raz połączyli się ze sobą. Gdyby jednak nie to, nóż szarego zabójcy wyprułby z niej flaki. Ależ był szybki ten sukinsyn. Potem, zaraz po walce, pies uciekł, a ona nie próbowała go przywoływać. Ale teraz potrzebowała go jak nigdy wcześniej.

Wszedł do jej głowy od razu i od razu przekazał jej swoje wspomnienia. I konsternację. I zagubienie.

Minęła dłuższa chwila, nim zrozumiała, o co chodzi.

Ten świat był martwy. Całkowicie pozbawiony życia. Nic tu nie rosło, nic nie pełzało, nie fruwało ani nie skakało. Tyle to sama widziała – ale ten

świat był też pozbawiony duchów. Berdeth widywał je i wyczuwał, duchy ludzi i zwierząt, duchy uwięzione w miejscu swej śmierci lub wędrujące bez celu. Duchy odgrywające pantomimę ostatnich chwil życia, niepotrafiące zaakceptować końca. Niekiedy widywał nawet duchy rzeczy martwych, kamieni, skał, próchniejących kłód drewna. Z czasem większość z nich rozpływała się w szare plamy, dołączając do wiecznego kołowrotu życia i śmierci. Wszystko to było światem, który Berdeth znał i akceptował, światem nałożonym na świat żywych, którego centrum była ona, Kailean. Lecz teraz ten świat znikł. To, co duch psa widział i wyczuwał, było dokładnie tym samym, co widziała ona: płaską czarną równiną pod szarym niebem, martwą na każdym poziomie.

Tak znalazła ją Daghena.

— Nie powinnaś tego robić.

— Czego? Odpoczywać? Tu nie ma nic, wiesz o tym?

Czarnowłosa pokiwała głową.

— Wiem. Rozglądam się. Tu nie ma nie tylko duchów, ale nawet śladów zwykłej Mocy. Aspektów, dzikich lub nazwanych. Żadnych Źródeł, Prądów, Rzek, Studni, czy jak to tam zwą meekhańscy czarownicy. Rozumiesz? A jednocześnie mam wrażenie, że coś naciska na mnie ze wszystkich stron. Jakbym nurkowała w głębinie. Gdyby znalazł się tu czarodziej władający aspektowaną magią, najpewniej by oszalał. Mnie chroni babka, ale nawet ona jest… zagubiona.

— Co widziałaś?

— Duszę konia… jakby wsiąkła w ziemię. Nawet nie próbowała biec, po prostu zapadła się najpierw po pęciny, potem po brzuch, i w kilka uderzeń serca już jej nie było. Jakby coś przepchnęło ją na drugą stronę.

— To znaczy gdzie?

— Nie wiem. — Daghena usiadła obok. — Przez najbliższe dni tylko konina w jadłospisie — dorzuciła.

— Domyślam się. Powiedz porucznikowi, że nie będę jeść koniny.

— Sama mu powiedz. — Przyjaciółka wyciągnęła się obok. — Verdanno? — Błysnęła domyślnością.

— Tak. Wuj by mnie zabił, gdyby się dowiedział. A reszta by się mnie wyrzekła.

— Pogadaj z nim. Żołnierze mają jeszcze trochę sucharów i tych wiórków, które tysiąc lat temu podobno były krową. Każdy chętnie zamieni się z tobą na porcję świeżego mięsa. A jeśli już mówimy o żołnierzach… — Daghena ściszyła głos. — Co o nich sądzisz?

— Twardzi, zawzięci, nieźle walczą. Można im zaufać. Zdobyli szacunek Verdanno, a to sztuka, która niewielu się udała.

— Skąd wiesz?

— Kilku nosi *kavayo*.

— Phi! Prowadzili karawanę, to pewnie kupili. W czaardanie…

— Nie. Pochwy noży mają wytrawione rodowe znaki. Taką broń możesz albo zdobyć w walce, albo otrzymać w podarunku. Odkąd zamieszkałam u Kalevenhów, wuj nie podarował *kavayo* z rodowymi znakami nikomu. Nawet naszym z czaardanu. A ten porucznik wspomniał tylko, że Wozacy starli się już z koczownikami, choć niektórzy jego ludzie wyglądają, jakby niedawno się bili.

— Czyli nie tylko godni zaufania, ale i skromni? Nic, tylko przebierać…

— A czy wasza książęca wysokość może to robić w ciszy? Spać mi się chce.

— Oczywiście, droga Inro, oczywiście.

Chwilę leżały w milczeniu.

— Kailean?

— Zaraz cię walnę. Czego?

— Właśnie do mnie dotarło, że jak nas nie ma, i Laskolnyka nie ma, to wszystkim dowodzi Kocimiętka.

Kailean chwilę milczała.

— Wiesz, Dag? Jesteśmy, bogowie wiedzą gdzie, w towarzystwie obłąkanej kobiety, bogowie wiedzą skąd, i bandy żołnierzy wyglądających tak, że przestraszyliby przeciętnego demona. Nie wiemy, jak stąd wyjść, nie mamy nic do picia, a jak znajdziemy wyjście, to w najlepszym razie roztrzaskamy się o skały. A ty i tak potrafisz powiedzieć coś, co mnie zmartwi.

Rozdział 4

Mokra słoma, nadgniłe liście, trawa i wilgotne gałęzie palą się wolno, dając imponującą ilość dymu. Tyle że gdy wiatr powiał w stronę gór, środek obozu utonął w siwych kłębach. Zjazd z rampy również.

Na dany znak w kilku miejscach dorzucono do ognia suszu, a płomienie najpierw przygasły, jakby zdziwione szczodrym darem, po czym wystrzeliły jęzorami wysokimi na trzydzieści stóp. To był fragment widowiska, koczownicy muszą zobaczyć żywy ogień, by uwierzyć, że ich ostrzał odniósł pożądany skutek.

Wszystko jest złudzeniem, pomyślała, siedząc na stopniach wozu bojowego braci. To jeden z elementów wojny, o którym mało kto wspomina, przynajmniej w pieśniach sławiących zwycięstwo nad wrogiem. Nabrać go, oszukać, przekonać, że to, co widzi, jest tym, czego pragnie. Że kilkadziesiąt wozów wypełnionych słomą, liśćmi i przywiezionymi zza gór świeżymi gałązkami to wielki pożar trawiący właśnie serce obozu nieprzyjaciół.

Eso’bar stwierdził, że całość będzie musiała się palić co najmniej godzinę, nim Se-kohlandczycy uwierzą, że im się udało. Verdanno byli na to przygotowani, zapas paliwa powinien wystarczyć na pół nocy.

Lecz rzecz jasna tylko ostatni głupiec pozwala hasać żywym płomieniom bez kontroli. Dla tych, którzy widzieli szalejące po stepie pożary, ogień to zbyt niesforne dziecko. Za linią wozów mieszkalnych wykopano kilka głębokich rowów, wypełniono je paliwem i podpalono zaraz po kolejnej salwie, by atakujący byli przekonani, że to ich dzieło.

O północy Eso’bar osobiście przyszedł ją obudzić, by – jak to ujął – „żaba mogła pogapić się na ogień, który roznieciła”. Zanim dotarli na miejsce, mogła się przypatrzeć, jak obóz szykuje się do bitwy, wszędzie widziała zbrojnych, w drodze na linię obrony minęli kilka oddziałów rydwanów wiozących ciężkozbrojną piechotę pod ścianę gór. Obsługa machin tkwiła na stanowiskach, przy części wozów stały okryte grubymi pledami konie. Nawet dziecko zorientowałoby się, co to znaczy.

— Czy to moja wina? — spytała, siadając na schodkach bojowego wozu.

— Co? — Brat spojrzał na nią z góry i niespodziewanie uśmiechnął się ciepło. — Wojna? Masz o sobie za wielkie mniemanie, Key. Musimy się wyrwać spod tych gór, a twój pomysł pozwoli nam odwrócić ich uwagę. Gdy zaatakują, związemy ich walką, a reszta uderzy z boków. Dobrze, że są chmury i nie widać księżyca, zresztą dym dodatkowo ukryje nasze ruchy.

— Taką mamy nadzieję?

Spoważniał, po czym wyciągnął rękę i zmierzwił jej włosy.

— Czasem zapominam, że masz już dziewięć lat, a w czasie wojny to jak trzydzieści.

Popatrzyła na niego, policzyła.

— Nieźle się trzymasz jak na kogoś, kto widział już pięćdziesiąt wędrówek.

Uśmiechnął się znów i przez chwilę miała wrażenie, że wrócił dawny Eso’bar, kpiarz i żartowniś, a radość ponownie zagościła w jego oczach. Ale może to był tylko taniec płomieni w źrenicach.

— Czasem tak się czuję, Key’la — wyszeptał, a ona przeklęła swój głupi język. — Jakbym był starszy od ojca. Jakbym wszystko miał już za sobą, a w ręku tylko garść popiołu.

Wyczuła jego pragnienie i przez chwilę aż dech jej zaparło.

— Jeśli dasz się głupio zabić, Es, będę musiała cię zastąpić w załodze wozu.

— Na pewno byłabyś dobra, siostrzyczko — powiedział cicho. — Jesteś najodważniejszym dzieckiem, jakie znam.

Parsknęła jak kot nadepnięty na ogon, wstała i złapała go za ramię. Spojrzał na nią zdziwiony.

— Nie tylko ty tęsknisz. Nie tylko w tobie jest dziura, którą trzeba zapełnić. Wszyscy płaczemy. Wszyscy… Ojciec od pół roku nie spojrzał na mnie inaczej niż jak na mebel…

Milczał, po czym nagle odwrócił się i wskoczył do wozu.

„Tak, uciekaj”. „Tchórzliwy piesek”.

Powiedziała to wszystko w *anaho’la*, więc oczywiście nie zobaczył, ale gdyby spróbowała wykrzyczeć te słowa w noc, głos na pewno by ją

zawiódł.

Była zmęczona, niewyspana i przerażona. Stała tak przed wozem bojowym, widząc tylko swój rozmigotany cień na deskach, i zaciskała pięści z bezsilnego gniewu. Odważne dziecko? W wojennym obozie nie ma dzieci, a co do odwagi, tylko ona wiedziała, jak bardzo się boi. Eso’bar nie miał prawa z niej kpić tylko dlatego, że była mała i ledwo mogła udźwignąć tarczę.

Westchnęła. Starsi bracia tacy już są, wydaje im się, że to ich problemy są najważniejsze na świecie. Trzeba wracać do łóżka, bo Nee’wa dostanie szału, jak odkryje puste posłanie.

Odwróciła się i zrobiła ledwo dwa kroki, gdy coś wskoczyło jej na plecy, przewróciło i pociągnęło w stronę stojącego obok pojazdu. Pisnęła, a przez głowę przeleciała jej myśl, że gdyby bracia usłyszeli ten pisk, to naśmiewaliby się z niej do końca życia, i już była pod dnem wozu. Jego zewnętrzną burtę przedłużały deski uniemożliwiające prześliźnięcie się pod spodem, więc znalazła się w miejscu w miarę bezpiecznym, z…

Płomienie zatańczyły w niebieskich oczach, uzbrojona w pazury dłoń dotknęła ust w geście, który sama pokazywała mu wiele razy. Cicho…

Zaszumiały lecące pociski. Lecz teraz nie było tak, jak poprzednio, gdy ostrzeliwał ich pojedynczy a’keer. Teraz brzmiało to, jakby nad wozem przelatywał milion ptaków, a potem *pac… pac*, *pac*, *pacpacpacpacpac…* Zerknęła w lewo, w stronę obozu, gdzie ziemia wyglądała, jakby eksplodowała tysiącami wyrastających z niej drzewc, właściwie między pierwszą a drugą linią wozów nie znalazła miejsca, które w kilka chwil nie obrodziłoby strzałami. A ona właśnie tamtędy miała zamiar wracać.

Koczownicy nie używali płonących pocisków, żeby nie zdradzić swojej obecności, podeszli pod linię obrony i zasypali wnętrze obozu deszczem śmierci. Gdyby w środku naprawdę szalał pożar, z którym mieszkańcy walczyliby rozpaczliwie, zabitych i rannych liczono by w setkach. Chaos, śmierć i zamieszanie osłabiłyby obronę i…

— *Uuuuuaaaaa!!! Uuuuaaaa!!! Ag saye waraaaa!!!*

Nie ostrzelali wozów bojowych, tylko od razu poszli do ataku. I to bez koni, jakby byli piechotą szturmującą zamek. Leżąc na ziemi, Key’la usłyszała tysiące stóp depczących ziemię – i tysiące gardeł wyrzucających z siebie dziki wrzask. Za wcześnie – zdążyła pomyśleć, nim pierwsi z nich dotarli do linii obrony. Miało się palić jeszcze przez godzinę albo dłużej.

I wtedy coś walnęło o burtę, i to tak, że cała konstrukcja zatrzeszczała jak uderzona pięścią olbrzyma. Raz, drugi, trzeci, spomiędzy desek, tworzących dno wozu, posypał się piasek, usłyszała krzyki załogi i stukot drabin opieranych o drewno. I zaraz szczęk żelaza. Coś… ktoś zawył i spadł, uderzył o ziemię ledwo stopę od niej, po drugiej stronie drewnianego fartucha chroniącego dół, i został tam, rzężąc i charcząc, a dla niej przez kilka uderzeń serca cały świat skurczył się do tego dźwięku, coraz cichszego i bardziej wilgotnego, i do drapania o drewno, jakby konający ostatkiem sił chciał dostać się do obozu. To nie oni… żaden z naszych… niemożliwe, żeby ktoś z załogi wypadł na zewnątrz…

Przez szczęk stali przebiło się kolejne głuche stuknięcie, jakby nad głową upadał jej wór mokrego piachu, i cichy szept w *anaho*, który jakimś cudem usłyszała.

— Mamooo…

Śmierć jest sprawiedliwa, obdarza łaską obie strony.

Ponad nią jakby rozpętał się huragan. Wozem szarpało, olbrzym walił w burtę raz za razem, a choć pojazd był tak potężny, że musiała go ciągnąć czwórka silnych koni, to wydawało się, że lada chwila rozpadnie się na kawałki. Uderzenia żelaza o żelazo, sapanie, wrzaski, tupot stóp przemieszczających się tam i z powrotem… Wdarli się, zrozumiała, jakimś cudem impet niespodziewanego ataku przeniósł ich przez wysoką burtę i teraz wewnątrz wozu trwa walka na śmierć i życie.

A w obozie strzały wciąż spadały nieprzerwanym gradem. Obróciła się na brzuch i popełzła na czworakach pod dnami wozów. Wszystkie trzęsły się i trzeszczały, atak poszedł wzdłuż całej łamanej linii. Lada moment koczownicy wedrą się do środka.

Minęła jeden i drugi pojazd, kierując się ku miejscu, gdzie wieczorem zostawiła wózek z zapasami.

Pomoc. Potrzebują pomocy.

Złapał ją za nogę, zatrzymał. Po raz pierwszy na twarzy chłopca pojawiło się tak wyraźne uczucie. Nie idź – prosił wzrokiem – nie idź.

Wóz, pod którym była, zatrząsł się nagle od zwycięskiego ryku.

— *Ag saye waraaaa!!! Waraaa!!!! Waraaa!*

I zaraz rozległ się odgłos rąbanych toporami desek.

— Puść. — Szarpnęła się i, o dziwo, puścił od razu. — Muszę iść.

Wózek czekał na nią jakieś piętnaście stóp od linii wozów bojowych, na szczęście już pusty, choć dorobił się własnej kolekcji opierzonych drzewc sterczących w kilkunastu miejscach. Lekka, czterokołowa konstrukcja z solidnym dnem i wysokimi burtami. Rzuciła się szczupakiem pod spód. Stojąc na czworakach, opierała się grzbietem o dno, akurat na tyle, by – gdy zacznie pełznąć – przesuwać pojazd ze sobą. Deski powinny wytrzymać spadającą strzałę.

Po kilku jardach zrozumiała, że nie będzie łatwo. Wózek był cięższy, niż na to wyglądał, właściwie nie dało się nim sterować, a strzały padały wokół jak letni deszcz. *Stuk, stuk, stuk*… Kolejne brzechwy ozdobiły dno i burty. W ten sposób zanim sprowadzi pomoc, koczownicy wyrżną wszystkich.

Głupi pomysł, głupi, głupi, głupi.

Wpadł pod wózek, bezceremonialnie przesuwając ją na bok. Rozejrzał się, na dwa uderzenia serca zastygł bez ruchu, jakby zapadł w sen z otwartymi oczyma, po czym złapał przednią oś i bez jednego stęknięcia uniósł ją w powietrze.

— Co…? Aaaaa…

Zrozumiała, uniesiona pod kątem konstrukcja nadal osłaniała ich przed strzałami, ale w tej pozycji, przygarbieni, niczym starcy niosący wiązkę chrustu, mogli poruszać się szybciej, ciągnąc po ziemi tylko tylne koła. Wsparła plecy o dno.

— Już!

To był dziwny bieg. Oś uwierała ich w plecy, uderzali piętami o deski, pociski padały wokół, stukały o dno i boki ich osłony, a te, które już wbiły się w ziemię, smagały ich po łydkach. Ale dali radę. To znaczy on dał radę, bo ona, prawdę mówiąc, nie podniosłaby wózka nawet na stopę.

Nie unosiła głowy, bo jedna i druga strzała pogłaskały ją po włosach, nie widziała dalej niż na kilka stóp przed sobą, więc prawie dała się zaskoczyć, gdy dotarli do drugiej linii wozów, też upstrzonej pociskami, i już byli w bezpiecznym miejscu.

Między wozami mieszkalnymi zostawiono kilka szczelin nie szerszych niż łokieć, które łatwo zastawić, ale w razie potrzeby to tędy przechodzą posiłki dla pierwszej linii wozów. Chłopak przepchnął ją przez najbliższą, a sam znikł pod dnem wozu. Wypadając po drugiej stronie, Key’la prawie odbiła się od tarczy ciężkozbrojnego piechura.

Dłoń w pancernej rękawicy złapała ją za ramię.

— Co tu robisz?! Wracaj do rodziny!

— Prze… przedarli się.

Puścił ją i pchnął lekko pod ścianę wozu. Rozejrzała się. Obrońców była tu jakaś setka. Większość nosiła długie kolczugi, wielkie tarcze, włócznie, rohatyny, zębate gizarmy, ciężkie topory i krótkie miecze. Powinni wystarczyć.

— Gdzie? — Ten, który ją złapał, pochylił się niżej. — *Den'kaw!!!*

Pojawił się potężny wojownik w hełmie ozdobionym rzędem cwałujących koni.

— Mów! Gdzie się wdarli?

— Tam. — Wskazała za plecy na pole wciąż zakwitające strzałami. — Zdobyli przynajmniej jeden wóz.

— Des?

Jeden z piechurów wyłonił się z sąsiedniej szczeliny.

— Nic. Linia się trzyma. Nadal tylko marnują strzały.

Dowódca piechurów spojrzał na nią z góry.

— Dziecko, atak idzie wzdłuż całego Rogatego Grodu. We wszystkich miejscach naraz. Konni szaleją, próbują przewrócić wozy, nasi kąpią przedpole w ich krwi. A my czekamy na wypadek, gdyby gdzieś rzeczywiście udało im się wedrzeć. Wracaj do rodziców, to nie miejsce dla małych dziewczynek.

Złość uderzyła jej falą gorąca do głowy.

— Wdarli się, przynajmniej do jednego wozu, słyszałam. I rąbią zewnętrzne burty toporami… i uderzyli pieszo… Tam są moi bracia, i zaraz zginą przez takich tępych… głupich… wołów… którzy wolą się kryć za tarczami!

Anaho'la szarpało się jej w dłoniach w rytm słów, które zdawały się wyskakiwać z ust, jak gorące węgle z pieca. Wojownik poczerwieniał i sięgnął ku niej ręką. Nim jednak pancerna dłoń zdołała ją pochwycić, wślizgnęła się znów do szczeliny i wypadła na przedpole.

Wokół nadal świstały strzały. Pochyliła głowę i runęła przed siebie, ku łamiącej się jak zęby piły linii wozów bojowych, tam, gdzie rąbały topory.

Potrzebowali aż pięciu uderzeń serca, żeby za nią pobiec. Tępe woły w ciężkich zbrojach i z wielkimi tarczami. Mimo wszystko Verdanno nie zostawiają swoich dzieci na pewną śmierć.

Dogonili ją ledwo kilka kroków od najbliższego wozu. Trzech zbrojnych. Dwie tarcze znalazły się przed nią, jedna na górze. *Stuk, stuk, stuk*. Kolejna strzała uderzyła w żelazną krawędź tarczy z takim impetem, że drzewce poszło w drzazgi.

— Gdzie biegniesz, głupia?!

To był ten, z którym już rozmawiała. Tym razem jego uchwyt bolał, jakby mężczyzna chciał zmiażdżyć jej kości.

— Słuchaj! — Szarpnęła się, rozrywając rękaw. — Słuchaj!!!

Zza wozów bojowych dobiegał ryk, szczęk stali, wrzaski rannych i konających. Oraz odgłos wyłamywania desek, rąbania drewna.

Zastygli na mgnienie oka, wszyscy trzej.

— Tam nie ma konnych, atakują na piechotę! Z drabinami i czymś, co łamie burty wozów!

Wojownik trzymający tarczę nad ich głowami odwrócił się, zamachał coś jedną ręką w *av'anaho*. Szczeliny w drugiej linii wozów zaczęły wypluwać pancerną piechotę.

Za późno, zrozumiała to, gdy w najbliższym wozie ustał stuk toporów. Walka wciąż trwała, ryki i szczęk broni nie umilkły ani na chwilę, lecz ten wóz, ledwo kilka kroków przed nimi, zrobił się nagle bardzo, ale to bardzo cichy. I prawie w tej samej chwili deszcz strzał osłabł, a ona poczuła, jak ziemia drży. Ten, który ją trzymał, zbladł i wyszeptał:

— Idą.

Złapali ją za ramiona, poderwali się na nogi i rzucili do ucieczki.

Nie wiedziała, co oznacza takie drżenie, do chwili, gdy burta wozu opadła i klapnęła o ziemię, otwierając w szeregu pancernych pojazdów ogromne przejście. I to przejście zaczęło wypluwać konnych.

Wjeżdżali po czterech, pięciu naraz, łomotali kopytami o zakrwawione deski i frunęli w jej stronę. Trzy stopy to żadna wysokość dla dobrego wierzchowca. Widziała ich, jakby płynęli w powietrzu, jak w złym śnie – skórzane pancerze zwierząt, błysk kolczug, szpiczaste hełmy, okrągłe tarcze. Groty lanc wieńczące długie drzewca i szkarłatne proporce, tańczące wokół nich niczym płomienie.

Kopyta uderzyły o ziemię po tej stronie barykady i wszystko przyspieszyło.

Najechali na nich, przewracając i tratując, i cała czwórka poszła w rozsypkę. Ten, który miażdżył jej ramię w stalowym uścisku, gdzieś znikł, odrzucony na bok, i nagle leżała sama pośrodku pola śmierci, wokół pędziły konie, a ich kopyta waliły o ziemię z siłą kowalskich młotów. Ale żaden z jeźdźców nie pochylił lancy i żaden nie złamał szyku, by ją stratować. Czasem dobrze jest być kimś takim małym i nieważnym.

Pawęż zatoczyła krótki łuk i wylądowała obok. Złapała krawędź i nasunęła ją na siebie niczym ciężki koc, skuliła się, podciągając nogi pod szyję, pod wypukłym pancerzem było dość miejsca dla trzech takich chucher. Coś łupnęło z góry, raz i drugi, kopyto – zdążyła pomyśleć, tak walą podkute żelazem kopyta, a ten, który narzucił na nią tarczę, nie jest już chroniony przez warstwy drewna okutego metalem. I nagle do łoskotu kopyt dołączyły inne dźwięki, szczęk stali, krzyki ludzi, kwik ranionych koni… Obie strony dały się zaskoczyć. Verdanno szybkością ataku i sprawnością, z jaką koczownicy uderzyli na obóz, a Se-kohlandczycy tym, że za pierwszą linią obrony nie rozciąga się pogorzelisko, tylko mur z wozów mieszkalnych, skąd szyto do nich jak do słomianych tarcz i skąd wylewał się nieprzerwanie strumień ciężkiej piechoty. I to piechoty, która nie zamierzała uciekać ani opancerzać się tarczami, tylko atakowała zaciekle, dźgając włóczniami, ściągając konnych z siodeł hakami gizarm i rohatyn, tnąc wierzchowce po pęcinach i prując im brzuchy.

Odważyła się wysunąć głowę spod tarczy.

Nie dalej jak trzy kroki od niej leżał strzęp człowieka. Ręce i nogi rozrzucone pod dziwnym kątem, podziurawiona kolczuga, twarz zmiażdżona uderzeniem ciężkiego kopyta. Nie miał tarczy.

Odwróciła wzrok.

Walka trwała wzdłuż całej linii wozów mieszkalnych, lecz najwyraźniej koczownicy zorientowali się już, że ich atak się nie powiedzie, bo przez wyrwy w Rogatym Grodzie nie wlewały się kolejne fale jeźdźców. Część piechoty biła się z nimi na przedpolu, kłując, siekąc i dźgając. Z głębi obozu wciąż napływały posiłki, które tworzyły mur wzdłuż wozów mieszkalnych lub zajmowały pozycje na ich dachach. Kusze i łuki miały swoją chwilę.

Zabrzmiały ostre gwizdy i jeźdźcy zaczęli zawracać konie, sprawnie i bez paniki, która zakorkowałaby wąskie przejścia masą uciekających. Po dwóch, trzech odrywali się od kąśliwej piechoty i rozpędzając wierzchowce do skoku, znikali w wyrwach po zdobytych wozach. Niektórzy zatrzymywali się po kilkunastu krokach, zawracali i przyjmowali na siebie impet kontrataku, żeby ich towarzysze mogli się wycofać. Na oczach Key'li jeden z koczowników rzucił się do szaleńczej szarży i padł przeszyty kilkoma strzałami, a inny zeskoczył z konia, by wesprzeć podnoszącego się z ziemi towarzysza i razem, ramię w ramię, pokuśtykali przez usłane trupami pole.

Kto powiedział, że odwaga ma być przymiotem tylko jednej ze stron?

I w tym momencie jej szczęście się skończyło.

Koń jednego z galopujących do zbawczego wyjścia Se-kohlandczyków zarżał nagle i zaszurał tylnymi nogami po ziemi, jeździec zdążył wyrzucić stopy ze strzemion i zeskoczyć z siodła, nim nieszczęsne zwierzę przewróciło się na bok. Koczownik nawet się nie obejrzał, przetoczył tylko przez ramię i złapał za pierwszą osłonę, która mogła ochronić go przed strzałami.

Tarczę, pod którą leżała.

Pisnęła i zacisnęła kurczowo dłonie na uchwycie, ale był silny jak wół. Poderwał ją razem z pawężą, przez czas krótszy niż machnięcie skrzydeł wróbla widziała jego oczy, ciemne i gniewne, a potem machnął ręką na odlew i uderzył ją otwartą dłonią. Czuła, że upada, a potem, że unosi się w powietrzu i płynie, w głowie miała tylko szum i szelest, lecz gdzieś w oddali, ponad kakofonią pobliskiej bitwy, usłyszała je, długie rogi bojowe prowadzące rydwany do szarży, i coraz bardziej naglące gwizdki koczowników.

Wrócili…

Wiedziałam, że wrócą.

Porywacz przeskoczył przez wóz i poniósł ją w ciemność.

* * *

Rankiem Rogaty Gród już nie istniał.

Wozy rozpinano całą noc, a w tym czasie dwadzieścia Fal spychało koczowników coraz dalej na wschód. Awe'aweroh Mantoru przyprowadził z powrotem przeszło cztery tysiące rydwanów, w samą porę, by uderzyć na wycofujące się po nieudanym szturmie a'keery. Dołączyło do niego pięć

tysięcy rydwanów pozostających w obozie i odwrót koczowników zamienił się w rzeź, zwłaszcza w tych miejscach, gdzie zaatakowali pieszo. Wozakom udało się nawet zamknąć w Jedwabnych Kręgach dwa wielkie, liczące po tysiąc koni oddziały, które wystrzelano do ostatniego człowieka.

Ale to był ich największy sukces tej nocy.

Obóz stracił ponad sto wozów bojowych. Załogi pozostałych były mniej lub bardziej poharatane. Nie udało się wyprowadzić z niego Pancernych Węży, by wspomóc walczące Fale. Nie udało się wystarczająco szybko zmiażdżyć obozowiska Syna Wojny. Se-kohlandczycy stawiali opór na tyle długo, by umknąć, a choć stracili połowę stad i część tabunów, większość ich sił uciekła i rozproszyła się po wyżynie. Wszyscy wiedzieli, że nie miną trzy dni, a Kyh Danu Kredo zbierze ich z powrotem.

Teraz załogi rydwanów naciskały na nich, spychając coraz dalej od gór, lecz unikając walnej bitwy. Syn Wojny nie zginął rozbity, a tylko głupcy wierzą w ucieczkę koczowników.

Emn'klewes Wergoreth stał na zewnątrz linii wozów, ustawianych właśnie w długą kolumnę, i patrzył. Pancerny Wąż podnosił się z leża jak olbrzymia, mityczna bestia, trochę poszarpana, lecz przez to bardziej wściekła i niebezpieczna. Jego obowiązki jako *Boutanu* właśnie się skończyły, teraz pora na Oko Węża.

Zerknął na stojącego kilka kroków dalej And'ewersa. *En'leyd* był przygarbiony, jakby ktoś zarzucił mu na plecy jego własne kowadło. Pięści zaciskał tak, aż wydawało się, że popęka mu skóra na kłykciach. Przyjacielu, pomyślał Emn'klewes, bo żadne słowa nie miały tu sensu, przyjacielu… Żaden z nas nie może być tarczą dla własnych dzieci od ich pierwszego do ostatniego oddechu.

Westchnął cicho i podszedł do kowala.

— Lis się uczy — mruknął. — I to szybciej, niż moglibyśmy tego sobie życzyć.

Przed nimi, na byłym przedpolu, leżał przewrócony taran. Cztery wysokie na dwadzieścia stóp belki powiązane ze sobą z jednej strony i rozstawione jak szkielet wielkiego namiotu. Oraz wiszący pod nimi poziomy drąg z łbem z brązu. Zamkowego muru nie można tym zarysować, ale tej nocy niejedna burta pękła pod ciosami takiej pięści. Na dodatek całość mogła być przenoszona przez zaledwie kilku mężczyzn, jedni niosą podstawę, a drudzy taran i w kilka chwili ustawiają je tam, gdzie chcą.

— Trzeba będzie kopać głębsze rowy. A pale wbijać na większą szerokość, żeby nie mogli do nas tak łatwo podejść. — Kowal nie odrywał wzroku od tarana. — Całość jest mało stabilna, gdyby zarzucić na szczyt linę i solidnie pociągnąć, przewróci się.

— Wiem. Też mam oczy.

— Gdyby nie zaatakowali nocą z takim impetem, nie udałoby się im, Emn.

Akurat on nie potrzebował pocieszenia.

— Nie zdobyli obozu — przypomniał łagodnie. — I nie zdobyliby go, nawet gdyby nasze rydwany nie wróciły.

— Wiem. Rogaty Gród to był jednak dobry pomysł. A co zrobisz z tym?

„To” było rodzajem długiej na trzydzieści stóp, zbitej z desek rampy zaopatrzonej z jednego końca w żelazne szpony, którą koczownicy podciągnęli w kilku miejscach do linii obrony, zarzucili na burty i dostali się po niej do środka. Wyjątkowo skuteczna metoda, tam, gdzie Se-kohlandczykom udało się podciągnąć rampę, zostawał wóz wypełniony trupami.

— Coś wymyślę. Jeż też się uczy. Już więcej nie uśpią naszej czujności.

Zamilkli na chwilę.

— Jeńcy mówią, że Amanewe Czerwony i jego Sahrendey ruszyli już na północ.

— Więc będzie miło ich spotkać. Mam nadzieję, że to my dotrzemy do nich pierwsi.

Tak. We wszystkich obozach wznoszono modły do Laal, by to właśnie ich obdarzyła tą łaską.

— Has rozmawiał z Ome. Nie wygląda na zadowolonego.

— Najwyższy czas, żeby wstał z łóżka. Jego pomocnicy nie na wiele się zdadzą, gdy pojawią się prawdziwi Źrebiarze.

Podszedł do nich goniec. Wyprężył się na meekhański sposób i nie patrząc And’ewersowi w oczy, zameldował:

— Ściana północna gotowa. Łeb też. Południowa porządkuje szyk.

— Niech się pospieszą. Obóz Aw’lerr nie będzie czekał.

— Rozkaz.

Obóz Aw’lerr miał zjechać na wyżynę zaraz po nich. Plany kolejny raz się zmieniły, musieli zrezygnować z utrzymania przyczółka pod rampą,

a obozy miały przechodzić przez góry najszybciej, jak się da, i natychmiast ruszać na wschód. Po drugiej stronie skalnej ściany rosły niebotyczne stosy porzuconych rzeczy, z rodowych wozów wywalano stuletnie meble, porcelanowe zastawy sprowadzone za szczere złoto z odległych o tysiące mil królestw, żeliwne piece i ozdobne łóżka. Wszystko, co obciążało konie. Także każdy wóz, który nie był niezbędny, lądował na dnie przepaści. Pani Wiatrów i same Olekady nigdy nie zostały uczczone ofiarą z większego bogactwa. A koczownicy, jeśli to do nich uśmiechnie się Maycha, nie uszczkną z niego nic.

Tak… Plany się zmieniły. Obóz New’harr miał iść przodem i ściągnąć na siebie całą uwagę. Obóz Aw’lerr miał dołączyć do niego po dwóch dniach, lecz przez ten czas będą skazani na własne siły. Jeśli nadciągną pozostali Synowie Wojny, a same demony Mroku wiedzą, gdzie oni teraz są, będzie ciekawie.

— Coś jeszcze?

Posłaniec zmieszał się wyraźnie.

— Sar’weyro Biały pyta, co z bydłem.

Cały ranek o tym rozmawiali.

— Wybić. Ma czas do południa, potem nas dogoni.

Tak, wybić. Zdobyczne bydło obciążałoby Pancernego Węża. Dziesięć tysięcy sztuk pójdzie pod nóż, a stada padlinożerców wzniosą dziękczynne modły ku niebu. Sar’weyro Biały dowodził Falą, która miała być ariergardą karawany, i już na początek trafiło mu się paskudne zadanie.

Młody goniec wyprężył się jeszcze raz i nadal unikając wzroku kowala, potruchtał z powrotem.

Wszyscy już wiedzieli. Wieść, że *En’leyd* stracił najmłodszą córkę, rozniosła się po obozie, przeskakując między wozami jak pożar. *Av’anaho*, mowa gestów, pozwala krążyć plotkom z zastraszającą szybkością.

Tysiące Wozaków straciło tej nocy synów, ojców i braci, ale w historii małej dziewczynki, która biegając pod gradem strzał, sprowadziła posiłki w zagrożone miejsce, było coś, co z każdą chwilą obrastało legendą. Verdanno zawsze lubili takie opowieści, a *anaho’la* wręcz na nie czekał.

Lecz przy And’ewersie wszyscy zachowywali się z tym pełnym śmiertelnej powagi respektem, który opada człowiekowi na barki jak płaszcz przesiąknięty krwią.

Rozległ się dźwięk rogów, oznajmiający, że środek obozowiska jest gotów do drogi. Pięć tysięcy wozów, w tym tysiąc bojowych, ustawiało się w olbrzymi prostokąt długi na milę, szeroki na ćwierć. Największy Pancerny Wąż w historii świata miał lada moment wyruszyć w wędrówkę.

— Jak daleko chcesz dziś dotrzeć?

— Do Kalero.

— Dwadzieścia mil? Nie za daleko jak na pierwszy dzień? Z dzieciakami, które nigdy nie jeździły w prawdziwej karawanie?

— To ich karawana i muszą się tego nauczyć. A jutro zrobimy dwadzieścia pięć i zatrzymamy się przed Sanawami. Chcę wjechać na wzgórza o świcie, bo nie mam zamiaru przebijać się przez nie nocą z koczownikami na karku, a pojutrze rano, najpóźniej koło południa, być nad rzeką. Za Lassą będzie łatwiej.

Za Lassą. Siedemdziesiąt mil stąd. O tej porze roku pęczniała wodami z topniejących w górach śniegów i przypominała wielką, szarobrązową żmiję, pełznącą leniwie przez wyżynę. Nie było sposobu, by ją ominąć, a najbliższy bród wystarczająco szeroki, by obóz New’harr nie ugrzązł przy nim na miesiąc, znajdował się dokładnie pośrodku wzgórz Sanawami.

Wszyscy liczyli się z tym, że właśnie tam wody Lassy zmienią kolor na czerwony. Bo w ciągu dwóch dni koczownicy zdążą się już zapewne pozbierać.

— Coś jeszcze? — Kowal odwrócił się nagle i spojrzał Emn’klewesowi w oczy. — Przyszedłeś w konkretnej sprawie, czy chciałeś tylko popatrzeć na starego głupca, który nie potrafi upilnować własnej rodziny?

Ten głos. Zardzewiałe żelazo i wypalone węgle. Nic dziwnego, że wszyscy chodzili na paluszkach. *Boutanu* odwzajemnił spojrzenie.

— Myliłeś się.

— Co?

— W sprawie rydwanów. Poradzili sobie i wrócili.

Pięści zatrzeszczały.

— Ona nie jest Falą rydwanów… a ja powinienem…

— Nie! — Przerwał mu krótko, ostro, jak chyba nikt od lat nie ośmielił się przerywać And’ewersowi. — Nie zaczynaj się użalać! *En’leyd* nie ma prawa tego robić. Być może będziesz musiał w czasie marszu zostawić kogoś na pewną śmierć albo posłać Falę do samobójczego ataku. To twój

ciężar, twoja rola. Masz mieć serce z kamienia albo zwołam Radę Obozu i odbiorę ci dowództwo. Ci, co zostali, nie mogą czepiać się twoich kół.

Kowal zrobił krok w jego stronę, pochylił się, zawisł jak waląca się góra.

— Nie prosiłem o ten zaszczyt — wycedził powoli, akcentując każde słowo.

— Wiem. Byłem wśród tych, którzy założyli ci chomąto na szyję. Ale pamiętasz, dlaczego je przyjąłeś?

Twarz And'ewersa pociemniała.

— Bo nie było nikogo innego…

— Tak. Nikogo z twoim doświadczeniem. A twoje dzieci i tak by pojechały. Nie zatrzymałbyś ich. Moje też się wyrywały do drogi, cała szóstka. Zostawiłem w Imperium osiem warsztatów rymarskich, dwanaście sklepów i kontrakt na dziesięć tysięcy orgów na dostawę siodeł do Ósmego Pułku Kawalerii. — Uśmiechnął się nagle, wbrew sobie z pewnym rozrzewnieniem. — Mógłbym zarobić te dziesięć tysięcy, ale dla kogo? Dla durnego starca siedzącego przed wozem i zapijającego się na śmierć, którego spotkałbym w lustrze za kilkanaście lat? A poza tym…

Zawahał się, przykucnął i zagłębił dłonie między korzenie traw.

— Czujesz? — Podsunął kowalowi pod nos uwalane czernią palce. — Ona woła do moich kości. Gdy tylko stanąłem po tej stronie gór… Nie wrócę do sklepów i kontraktów z armią. To moja ziemia.

— Oni — And'ewers wyprostował się powoli i skinął głową na wschód — twierdzą co innego.

— A więc chodźmy i wyprowadźmy ich z błędu.

* * *

Niewola śmierdzi.

Nie strachem, bo strach ma swoje granice i w pewnym momencie zamienia się w mroczny stupor, w którym człowiek nie odczuwa już kolejnych uderzeń i kopnięć, a na widok odsłoniętego ostrza odchyla tylko gardło, czekając na cios.

Nie śmierdzi też krwią i – co jest bardziej upokarzające niż obrzydliwe – moczem. Spędziła połowę nocy i większość poranka przerzucona jak jakiś tobół przez koński grzbiet, twarzą do dołu, z nogami majtającymi w powie-

trzu i łękiem siodła wbijającym się w pęcherz. I w końcu popuściła. Odrobinę, ale jednak.

I nie śmierdzi wyprawioną skórą, końskim potem ani spoconą stopą w skórzanym bucie, która od czasu do czasu boleśnie zahaczała o jej głowę.

Nie, niewola śmierdzi wilgotną wełną, brudnym gałganem oderwanym od jakiejś szmaty, której przeznaczenia lepiej nie dociekać, i owiniętym na jej twarzy tak, że prawie się udusiła. Śmierdzi zaschniętym potem i brudem tak starym, że pamięta chyba chwilę, gdy Laal Szarowłosa otworzyła pierwszym Verdanno drogę na Wyżynę Lytherańską.

Jechali na wschód. Tyle mogła ustalić po kierunku, z jakiego słońce grzało jej plecy. Przez pierwsze godziny pędzili na zmianę galopem i cwałem, z paniką wczepioną w końskie grzywy jak młody kociak w kłębek wełny. Czuła tę panikę, panikę koni, która spływała na nie z jeźdźców, i mimo że była już martwa, serce w niej śpiewało. Wrócili. Der’eko i bliźniacy wrócili razem z resztą rydwanów i starli napastników z powierzchni ziemi. Obóz New’harr okazał się zbyt potężny nawet dla dziesiątków tysięcy koczowników.

Bała się, rzecz jasna, jak każdego małego tchórza strach łapał ją za gardło i tłumił dech, ale i tak miała ochotę śmiać się na głos. Wrócili.

I nieważne, że wcześniej porywacz, wrzeszcząc coś w swoim barbarzyńskim języku, rzucił ją z wściekłością na ziemię i kopnął kilka razy, aż trafiona nerka eksplodowała ogniem. Nieważne, że związał jej brutalnie ręce na plecach, zaciskając rzemienie z siłą zdolną połamać kości, a twarz omotał brudną szmatą. Nieważne, że rzucił ją w krąg swoich towarzyszy, w koło pełne uderzeń pięści, kopnięć i ostrzy, które cięły jej ubranie i skórę. I nieważne też, że umarła jako dziecko wozów, jako Verdanno, w chwili, gdy przerzucił ją przez koński grzbiet i sam wskoczył na siodło.

Ważne, że cokolwiek koczownicy zaplanowali dla Fal, nie udało się i teraz uciekali spod Olekadów jak stado zbitych psów.

W miarę jak noc kładła się spać, ustępując miejsca dniu, jechali coraz wolniej, za to w coraz liczniejszym towarzystwie. Mogła to ocenić po łoskocie kopyt i odległych nawoływaniach, gdy poszczególne grupy jeźdźców odnajdywały się na stepie. Wkrótce z kilkudziesięciu koni zrobiło się co najmniej kilkaset, a okrzyki przycichły do groźnych pomruków. Ojciec miał rację, koczowników można pokonać i rozbić, ale jeśli nie zdziesiątkuje

się ich od razu, zbiorą się znów w kupę, jak krople wody ściekające po ściankach misy. Verdanno wygrali bitwę, lecz z pewnością nie wojnę.

Porywacz nie zwracał na nią większej uwagi, zupełnie jakby była zwykłym tłumokiem wypchanym śmieciami. Od czasu do czasu, gdy już niemal zsuwała się między kopyta, łapał ją brutalnie w pasie i poprawiał. Nie jęczała ani nie szlochała, co zdawało się go lekko irytować, bo przy okazji kilka razy boleśnie ją uszczypnął, a raz szarpnął za związane na plecach ręce, jakby chciał wyłamać barki.

Poza tym całkowicie ją ignorował.

Zatrzymali się, gdy słońce minęło już zenit. Nic nie widziała, kiedy nagle wybuchł wściekły gwar i ze wszystkich stron otoczyły ją gniewne, przekrzykujące się głosy, przerywane dzikimi wrzaskami. A potem, w chwili gdy wydawało jej się, że zaraz w ruch pójdą szable i topory, rozległy się ostre gwizdy i hałas umilkł jak ucięty nożem. Ktoś wziął koczowników w karby, szybko i skutecznie.

Jeździec zeskoczył z siodła i ściągnął ją na ziemię. Zakręciło jej się w głowie i gdyby miała czym, to by zwymiotowała, ale ustała na nogach. Se-kohlanczyk złapał ją za ramię i poprowadził. Słyszała setki, nie, tysiące koni, ale głosy ludzi ograniczyły się do cichego szmeru i rzadkich krótkich komend. Ktokolwiek narzucił im swoją wolę, nie znosił sprzeciwu.

Mężczyzna zatrzymał ją nagłym szarpnięciem, posadził na ziemi i przywiązał do wbitego w ziemię kołka. Po czym znikł. Westchnęła ostrożnie, obite o siodło żebra i brzuch bolały, lecz nacisk na pęcherz odrobinę zelżał, więc istniała szansa, że się nie zsika. Z jakiegoś powodu było to w tej chwili dla niej najważniejsze. Nie zsikać się, nie upokorzyć, mogą mnie zabić, ale nie zobaczą kałuży moczu na moim ubraniu.

Gwar wokół tętnił w swoim rytmie, ktoś krzątał się za jej plecami, najpierw jedna osoba, potem kilka, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Młoty waliły, wbijając w ziemię drewniane kołki, zaszeleścił materiał, zapachniało dymem. Obóz, zrozumiała, rozbijają obóz.

Ta świadomość ścisnęła jej serce. Obóz – spokój i poczucie bezpieczeństwa. Jeśli koczownicy zakładają obóz, to znaczy, że czują się bezpiecznie, że naszym nie udało się ich rozbić…

Naszym… Nie ma już naszych. Ta myśl była jak garść zimnego błota, którą ktoś wrzucił jej za kołnierz, spływała w dół, mrożąc kolejne partie ciała. Jechała na koniu, wbrew własnej woli, ale z pewnością nie zrobiła

wszystkiego, żeby tego uniknąć. Mogła walczyć i dać się zabić, a nie pozwolić, by wrzucili ją na siodło.

Der’eko też – napłynęła myśl – też jechał konno, a przecież nie został wykluczony z rodziny. Ale Pierwszy to *Kanewey* Fali, dowodzi pięcioma setkami rydwanów i jakikolwiek grzech by wziął na barki, zmaże go krwią wrogów. A co ona może zrobić? Wypleść więcej wiklinowych płotków?

Gdzieś z boku wybuchł zgiełk, z początku groźny, potem – co ścisnęło jej serce – coraz bardziej radosny. Okrzyki i śmiechy zbliżały się i nagle ktoś podszedł i zdarł jej szmatę z głowy. Pobrużdżona wiatrami, przecięta krzywo zszytą blizną twarz znalazła się tuż przed nią. Wąskie oczy zmrużyły się.

— No, mała *sawenjo*, patrz. Patrz, co zostaje z głupców, którzy myślą, że koła są lepsze od nóg i kopyt.

Key’la nie zerknęła we wskazanym kierunku, całą uwagę poświęcając mówiącej. Bo to była kobieta, obcisły skórzany strój nie zostawiał co do tego żadnych wątpliwości; stara, z siwymi kudłami zaplecionymi w kilka lichych warkoczyków. Mówiła w meekhu, języku Imperium, choć z potwornym akcentem i dziwacznie przeciągając zgłoski.

— Wiem, że mnie rozumiesz, wy wszyscy mówicie teraz po meekhańsku. Tam. — Kobieta złapała ją za ucho i szarpiąc, zmusiła do obrócenia się we wskazaną stronę. — Jeśli nie popatrzysz, wytnę ci powieki.

Nie żartowała, wąski nóż zaświecił Key’li w oczy. Ale i tak by ich nie zamknęła.

Szeroką uliczką, utworzoną między rozbitymi namiotami, jechały rydwany. A raczej to, co z nich zostało. Konie ciągnęły rozbite burty albo szły same, a złamane dyszle orały ziemię. Czasem rydwan miał tylko jedno koło, a czasem został z niego sam zakrwawiony kosz. Zwierzęta też nie wyglądały lepiej, ich pikowane pancerze jeżyły się drzewcami strzał, niektóre ledwo dreptały, znacząc ziemię krwawymi plamami. Nie trzeba było zdolności jasnowidza, by wiedzieć, że nie dożyją nocy. Duma i szczęście Verdanno konały właśnie w se-kohlandzkim obozie.

Najwięcej radości sprawiały koczownikom dwa ostatnie rydwany, na jednym – przyszpilony dzirytem do wiklinowej burty – siedział młody woźnica. Gdyby nie głowa kołysząca się z boku na bok i olbrzymia plama czerwieni na piersi, można by pomyśleć, że uciął sobie drzemkę. Drugi zaprzęg ciągnął za sobą coś, co jeszcze kilka mil wcześniej musiało być ludzkim

ciałem. Rydwan rozpadł się na kawałki, lecz zaplątany w rzemienie Wozak przejechał chyba przez połowę równiny. Na oczach Key'li kilku wyrostków doskoczyło do trupa i zaczęło okładać go kijami, przy wtórze wrzasków podnieconej tłuszczy.

Tak, zrozumiała, rozglądając się po obozie, właśnie tłuszczy. W pobliżu było niewielu wojowników, otaczający zdobyczne rydwany tłum tworzyły głównie kobiety i dzieci w różnym wieku oraz grupki starców o twarzach jak garbowana, źle natłuszczona skóra. Wojownicy, w tym i jej porywacz, byli w polu, walcząc – jak widać skutecznie – z wozackimi Falami. Eso'bar miał rację, rydwany nigdy nie pokonają jazdy.

Nie oderwała wzroku od ostatniej pary koni i czegoś, co musiało być kiedyś jej rodakiem, może nawet widziała go w czasie ćwiczeń, jak szczęśliwy niczym dziecko ciska oszczep w belę słomy. Z pewnością nie tak to sobie wyobrażałeś, prawda?

Jej spojrzenie musiało przyciągnąć uwagę wyrostków okładających ciało, bo nagle jeden, po nim drugi, a po chwili reszta oderwała się od tego zajęcia i zamarła w pół ruchu, wpatrując się w nią wzrokiem młodych wilków, którym pod nos podsunięto związaną kozę. Kolumna zdobycznych rydwanów oddaliła się w głąb obozu, wywołując kolejne fale radości. Nie ma to jak dowody zwycięstwa.

Ciężki kij pofrunął w powietrzu i uderzył ją w ramię. Chłopcy zaśmiali się krótko, szczekliwie i obrzucili pytającym wzrokiem siwowłosą kobietę. Ta przez chwilę miała minę, jakby coś rozważała. Oceniła wyrostków, gromadzący się za ich plecami tłumek, wartość więźnia. Wreszcie splunęła siarczyście na ziemię i mruknęła:

— Trudno. Gdybyś była parę lat starsza, pewnie mój syn miałby pretensje, że mu łupu nie upilnowałam, ale wtedy nie przywiązałby cię w tym miejscu. Jak nie będziesz się za bardzo rzucać i piszczeć, szybko się znudzą i raz-dwa skończą. Baw się dobrze, mała *sawenjo*.

I znikła w namiocie.

Key'la została sama.

Chłopcy stali i patrzyli na nią, uśmiechając się szeroko. Pięciu, policzyła, a każdy na oko trzy–cztery lata starszy od niej. Za młodzi, by walczyć w siodle, ale za rok albo dwa z pewnością znajdzie się dla nich miejsce w jakimś a'keerze. Dobrze, żeby wcześniej posmakowali krwi.

Ruszyli, poszturchując się okrwawionymi kijami i dodając sobie nawzajem odwagi. Okładanie trupa wleczonego przez zaprzęg, bogowie wiedzą ile mil po stepie, a zatłuczenie żywej dziewczynki to jednak dwie różne sprawy. Pałki kołysały się jakby niepewnie, twarze wykrzywiały w zbyt sztucznych uśmiechach. Wystarczyło jednak, że spojrzała im w oczy, by zrozumieć, że nic ich nie powstrzyma. Tu chodziło właśnie o odwagę, a żaden nie miał jej wystarczająco, by zrezygnować. Nie można okazać wahania przed własnymi współplemieńcami.

Patrzyła na nich spokojnie, zdumiona własną obojętnością. Stara kobieta miała rację, jak szybko się znudzą, użyją noży, które mieli przy pasach, i będzie po wszystkim. Siedziała na ziemi, rzemień, którym ją przywiązano do kołka, miał najwyżej stopę luzu, za mało, by się poderwać czy unikać ciosów. Przesunęła się tylko nieco, żeby kołek nie wbił się jej w kręgosłup, głupia ostrożność, ale cóż, jak się jest małym tchórzem, to boi się nawet odrobiny bólu. Przynajmniej nogi miała wolne. W sumie, dlaczego nie? Jak się ma gromadę starszych braci, to dziewczyna uczy się kilku sztuczek. A rozzłoszczeni… Podobno ostrze wnikające w serce jest jak lodowy pocałunek przynoszący ukojenie. Zacisnęła zęby.

Najmłodszy z nich wysunął się przed resztę, uśmiechając się szeroko. Tak. To zazwyczaj są najmłodsi, ci, którzy muszą się wykazać. Skoczył nagle do przodu z dzikim okrzykiem, próbując kopnąć ją w pierś. Przewróciła się na plecy, podciągając kolana pod brodę, a chłopak wylądował nad nią niemal okrakiem. Przez czas, w jaki spadająca kropla pokonuje w locie swoją długość, widziała w jego oczach przerażanie. Wiedział, co będzie.

Kopnęła obiema nogami w górę z taką siłą, że aż stopy poderwały mu się z ziemi. Trafiła idealnie, tam, gdzie żaden chłopak nigdy nie chciałby zostać trafiony, a efekt przerósł najśmielsze oczekiwania. Napastnik kwiknął, obrócił się w powietrzu i gruchnął na ziemię już zwinięty w kłębek, wydając z siebie coś pomiędzy skomleniem a zdławionym szlochem.

Usiadła z powrotem i w tej samej chwili spadły na nią ciosy. Pozostała czwórka nie bawiła się w popisowe kopnięcia i wyskoki. Po prostu otoczyli ją ze wszystkich stron i zaczęli okładać pałkami. *Łup, łup, łup, łup*… Dostała w ramię, w łopatkę, w bark, w udo i w drugie udo, a każdy z ciosów był jak kopnięcie konia. Uderzenie i rozchodząca się fala bólu, która zawsze, nie wiedzieć czemu, wędrowała w kierunku żołądka. Przewróciła

się na bok, podkuliła nogi, szarpnęła rzemień w daremnej próbie osłonięcia głowy. Nie zakrzyczy.

Tylko że oni – nie wiedzieć czy nauczeni krwawym doświadczeniem, czy przypadkowo – nie bili po głowie. Za to po chwili opanowali gniew i uderzali powoli, z namysłem, bardzo precyzyjnie, a każdemu razowi towarzyszyły pochwalne okrzyki gapiów. *Łup* – ramię, *łup* – goleń, *łup* – łokieć… Fale gorąca pulsowały po każdym trafieniu, nagle któryś z ciosów trafił w nerkę, a wtedy wyrwały się na zewnątrz krótkim, strasznym krzykiem, którego nie była w stanie kontrolować. Jakby to nie ona krzyknęła. I zaraz zadławiła się kwaśną flegmą, bo żołądek szarpnął się ostrym skurczem i zwymiotowała.

Jak przez grubą warstwę wełny usłyszała okrzyki i śmiechy, ktoś nadepnął jej na głowę i wepchnął w to, co przed chwilą wyrzuciła z siebie. Śmiech.

Po chwili chłopak zdjął nogę i postawił przed jej twarzą. Wciąż się śmiejąc, usiłował zgarnąć piętą wymiociny i wepchnąć jej w usta. Skórzany mokasyn, przykrótkie spodnie, goła łydka.

Błąd.

Wystrzeliła głową do przodu i zacisnęła zęby na śniadej skórze. Z całej siły, jakby była wygłodzoną kuną dopadającą kury. Poczuła opór i nagle usta wypełniło jej słone ciepło.

Młody koczownik zawył, walnął ją na oślep kijem, ale tylko szarpnęła się mocniej i głębiej wbiła zęby. Śmiech ucichł i przez chwilę wyglądało na to, że nikt nie wie, co zrobić. A potem poczuła uderzenie w głowę i świat eksplodował wszystkimi gwiazdami. I kolejne, w potylicę, po którym bezwiednie otworzyła usta, a ugryziony chłopak odkuśtykał poza zasięg jej zębów, pojękując przy każdym kroku. Wtedy ciosy zaczęły spadać jak grad, jakby znalazła się w kręgu nie trzech, lecz trzydziestu prześladowców, którzy na dodatek mieli po kilka kończyn. Nogi, ręce, brzuch, pierś. Tym razem byle jak, byle szybciej i mocniej. I głowa. I jeszcze raz głowa.

Po kolejnym uderzeniu ogarnęło ją dziwaczne uczucie, jakby leciała w powietrzu, rzucona ręką olbrzyma.

Tak, pomyślała wraz z uciekającą świadomością. To teraz.

I nagle ziemia zadrżała, a otaczający ją tłum zakrzyczał dziko, ale już nie triumfalnie. Coś ogromnego wpadło na chłopców, którzy rozpierzchli się

jak stado kuropatw, bat rozwinął się i trzasnął, raz, drugi, trzeci, a każdemu trzaśnięciu towarzyszył okrzyk bólu.

A potem świsnęła stal i nie była już przywiązana do wbitego w ziemię kołka, co nie miało znaczenia, bo i tak nie czuła własnego ciała. A raczej czuła, ale tak, jakby ktoś urwał jej głowę i przyszył do worka wypełnionego kawałkami mięsa i kości.

Podniesiono ją za ramię i znów znalazła się na końskim grzbiecie. Z tej pozycji trudno coś zauważyć, zwłaszcza kiedy wzrok ucieka i wszystko rozmywa się w szare plamy, lecz gdy go skupiała, widziała wyraźnie gniew, wrogość i pogardę na twarzach otaczających ją ludzi. Nikt jednak nie patrzył na nią, celem tych spojrzeń był jeździec, który ją uwolnił.

W niektórych dłoniach pojawiła się broń, oszczepy, noże, toporki. Niearty-kułowane okrzyki zamieniły się w wyraźne groźby, nie rozumiała języka, ale słowa dały się rozróżnić. Jeździec parsknął coś, odwarknął i zakręcił koniem, trzaskając batem w powietrzu. Jego koń… Pani Stepów, dopiero teraz zauważyła, jaki był wielki, w porównaniu z nim poprzedni wydawał się mułem, a jego właściciel – rozmazany wzrok zaczepił o stopę w zdobionym srebrem strzemieniu – był równie ogromny. To stąd ten strach, zrozumiała.

Bo choć na twarzach tłuszczy była nienawiść i pogarda, to w oczach większości czaił się lęk. Tuż obok niej ktoś zakrzyczał z bólu. Przekręciła głowę, wierzchowiec, czarny jak najciemniejsza noc, ucapił zębami za ramię jednego z jej prześladowców i wyglądało to tak, jakby wilczyca trzymała w pysku młode. Jedno zaciśnięcie szczęk, a chłopak zostanie kaleką do końca życia. Jeździec zaśmiał się i rzucił kilka słów, a koń potrząsnął łbem i puścił swoją ofiarę. Nie widziała, dokąd chłopak uciekł.

I znów zaczęli się kręcić w kółko, znów było trzaskanie z bata i pogardliwe warknięcia. Prowokował ich, zrozumiała, sam w tłumie, tylko z batem w ręce, prowokował ich do ataku, a oni nie mieli odwagi…

Zza najbliższego namiotu wyjechało kolejne zwierzę. Siwek, równie ogromny co ten kary. Gdyby miała porównywać, powiedziałaby, że był o piędź wyższy w kłębie od koni, które Verdanno zaprzęgali do rydwanów. A jego jeździec… Gdyby zsiadł, przenosiłby wszystkich koczowników o głowę. Nawet na tym koniu wyglądał jak dorosły dosiadający kuca. Miał ciemną cerę, skośne oczy i twarz przeciętą kilkoma białymi smugami. Włosy strzygł krótko, a czarna broda i wąsy nadawały jego obliczu dziki

wygląd. Spod skórzanego pancerza wystawała pikowana przeszywanica, nie miał hełmu ani żadnej broni. Tyle zdążyła zauważyć, ogarnięta dziwną jasnością umysłu. Jej ciało znajdowało się gdzieś daleko, pulsujący tępym bólem tobół połamanych kości, za to myśli galopowały dziko przed siebie.

Białe smugi na twarzy… Wróg, przy którym Se-kohlandczycy są niemal dobrymi sąsiadami. Podsłuchane nocne rozmowy, gniew ojca, ból w głosie mamy… Opowieści, którymi straszyli ją bliźniacy, zanim ojciec nie dowiedział się o tym i nie sprał ich. Amanewe Czerwony… jego rzeźnicy ozdabiają twarze w ten sposób…

Puść mnie! Puść mnie! Puuuuść!!!

Gdyby jej ciało nie było tak rozpaczliwie, boleśnie odległe, mogłaby szarpnąć się i spaść z konia.

Potem pojawiło się jeszcze trzech konnych, wszyscy wielcy i umalowani jak do bitwy. Wymienili kilka zdań, jej jeździec jakby się tłumaczył, wreszcie ten na siwym ogierze machnął ręką i nagle rozwinęły się jeszcze cztery baty. Nawet nie musieli nimi trzaskać, a tłum umilkł i wycofał się między namioty.

Pięciu konnych sformowało luźny klin i wywiozło ją z obozu.

* * *

Wodę wyczuły konie. Nie psy, lecz konie właśnie, i to w chwili, gdy zapadła już decyzja, że na najbliższym postoju pod nóż pójdzie pociągowy. Zwierzę męczyło się strasznie, być może miało to związek z tym, że wokół panował wciąż ten sam upał, a ono miało zimową okrywę. Pół dnia wcześniej, albo coś koło tego, zdjęły z niego siodło i przesadziły hrabiankę na kuca, ale niewiele to pomogło. Koń szedł resztką sił.

Grunt ciągle był taki sam, czarna skała pokryta – jeśli ktoś się dobrze przyjrzał – warstewką pyłu. Nawet pochodzący z gór strażnicy nie potrafili powiedzieć, jaki to kamień, ale tak naprawdę nie miało to znaczenia. Wzgórza, przez które wędrowali, zmieniły się, nabrały charakteru, skacząc w niebo coraz bardziej stromymi ścianami, odgradzając się od sąsiadów coraz głębszymi żlebami i wąwozami, co zmuszało ich do wybierania drogi dostępnej dla koni. Ze spojrzeń, jakimi żołnierze obrzucali zwierzęta, widać było, że uważają je raczej za przeszkodę niż pomoc w szybkiej wędrówce.

Wędrówce – dokąd? To było pytanie, którego nikt nie zadawał. Rudy porucznik od czasu do czasu zwoływał swoich podoficerów, naradzał się krótko i wskazywał kierunek. I tyle. Kailean obawiała się, że jak to czasem zdarzało się ludziom wędrującym po Stepach, mogą zacząć krążyć w kółko. Tu nie było żadnych znaków orientacyjnych, słońca, gwiazd, widniejących na horyzoncie innych szczytów, nic. Szli i szukali śladów zaginionych żołnierzy lub innych ludzi, którzy mogli tędy kiedyś wędrować. Od jakiegoś czasu kompania posuwała się coraz szerszym frontem, czujki po bokach oddaliły się już na dobre dwieście jardów, strażnicy czesali okolicę w nadziei znalezienia czegokolwiek, co powie im, gdzie są.

Oraz wody, oczywiście.

I właśnie wtedy, gdy Kenneth dał rozkaz do zatrzymania się na kolejny odpoczynek, szerokogrzbiety koń pociągowy parsknął, zarżał krótko i wyrwał do przodu. Dwóch żołnierzy próbowało zagrodzić mu drogę, roztrącił ich masywną piersią i pobiegł ciężkim kłusem, kierując się w głąb szczeliny w skale, która ciemniała kilkadziesiąt jardów przed nimi. Najpewniej przegapiliby ją, gdyby nie reakcja zwierzęcia. Kuc, z którego właśnie ściągnęły szlachciankę, wciągnął głośno powietrze i ruszył za towarzyszem. A Kailean już wiedziała, co znaczy ta nagła energia.

— Zostawcie je! — wrzasnęła, biegnąc za koniem. — Pewnie znalazły wodę.

Znalazły. Sto kroków w głębi szczeliny, w ciemnościach tak absolutnych, że człowiek nie widział nawet własnego palca przytkniętego do nosa, szemrał strumień. W świetle pochodni skalna ściana płakała wilgocią. Woda spływała gdzieś z góry, sączyła się po kamieniu i zalewała dno jaskini kilkucalową warstewką. Oba konie stały w niej i piły długimi łykami.

Kailean podeszła do sadzawki, zanurzyła dłoń i uniosła mały łyk do ust. Opowieść porucznika nabierała cech prawdopodobieństwa, woda miała lekki posmak siarki i była obrzydliwie ciepła. Ale nadawała się do picia.

Rozłożyli obóz wokół wejścia do jaskini. Ludzie i zwierzęta ugasili pragnienie, żołnierze solidarnie zrobili zrzutkę dla obu koni. Kilka funtów pokruszonych sucharów to najlepszy posiłek, jaki jadły przez ostatnie dni.

Oficer podszedł do dziewczyn z dziwnym błyskiem w oczach.

— Bergh jest rozczarowany. Gotów był się założyć, że to jego psy znajdą dla nas wodę.

Kailean westchnęła dramatycznie.

— Ale nie zrobi niczego głupiego? Nie ma sensu podcinać sobie żył z powodu takiego drobnego niepowodzenia.

Porucznik spojrzał pytająco na Daghenę.

— Wozackie poczucie humoru. Zawsze tak reaguje, gdy jest szczęśliwa. Konie jeszcze nam potowarzyszą.

— Jakiś czas. A ona — wskazał na Laiwę — coś mówiła?

— Nie, milczy. Zaraz spróbujemy dać jej pić. Wiecie już, że ta jaskinia została zrobiona przez ludzi?

— Wiemy — potwierdził. — Dno za równe, ściana, po której spływa woda, gładziutka, w głębi coś, co wygląda jak zawalony tunel.

— Spróbujecie go odblokować?

— Nie. Może zawał ma kilka stóp, a może kilka mil. Nie zostanę tu na miesiąc, żeby się o tym przekonać. Musimy iść dalej.

— To znaczy gdzie? Prosto, aż zatoczymy krąg i znajdziemy własne ślady? Albo zgubimy drogę i nie znajdując innego źródła, umrzemy z pragnienia?

Kenneth obdarzył Kailean spokojnym spojrzeniem.

— To są wzgórza, a nie równina. Utrzymujemy kierunek, obserwując kształty i położenie szczytów. Liczymy je, zapisujemy, notujemy ilość żlebów, wąwozów, grani. Robimy mapę. Nie idziemy w koło i zawsze będziemy mogli tu wrócić. A jak robicie to na Stepach?

— Patrzymy na słońce, gwiazdy i skąd nadlatują strzały.

— Też dobry sposób. Dajcie jej pić, zanim padnie.

Kailean napełniła po brzegi kubek i przyłożyła go do warg szlachcianki. Ta odsunęła gwałtownie głowę, gapiąc się w naczynie. Po czym wyciągnęła palec, zamoczyła w wodzie i patrzyła, jak krople powoli skapują do środka.

— Gdy jest pełny, kropla spada, inna wypływa… nie wierzyłyśmy w to… to jakaś przenośnia… mówiła… Potem stałam pod niebem jak oczy i wiedziałam… ktoś odszedł, bo my weszliśmy… musi być równowaga… tylko ci, którzy nie mają duszy w ciele, mogą bez przeszkód przejść obie granice…

— Ona…

— Cicho — Daghena przerwała porucznikowi gniewnym syknięciem i pochyliła się ku hrabiance. — Ilu was przeszło? Ilu na tę stronę?

— Dwustu siedemnastu. Z mego Domu wszyscy, którzy uwierzyli. Czy dobrze zrobiliśmy, matko? — Laiwa, uwięziona we wspomnieniach, nie odrywała wzroku od palca zawieszonego nad kubkiem. — To była jedyna szansa, powiedziała Sainha, *guon-we* zatrząsł się i pękł, teraz albo nigdy… Rozrzuciło nas, ale sądziliśmy, że tak będzie lepiej. Zgodziłam się, by moi *wezure'h* żyli jak prawdziwi ludzie… wolni… mogli wybierać… mieć dzieci… a przecież wysłałaś za nami pościg… czy nasz grzech był tak wielki? Powinnam go zabić, gdy odchodziłam, małego *kanaloo*… znał mój… nasz zapach… znał ślady naszego *se'guon*… tropił jednego po drugim… coraz bliżej… Za późno go zabiłam.

Plemienna czarownica odezwała się ochrypłym szeptem.

— Z ciałem, prawda? Przechodziliście z ciałami. Dusza za duszę. Młodzi i zdrowi, więc młodzi i zdrowi odchodzili. Dlaczego?

Nieobecny uśmiech wykrzywił usta Laiwy.

— Marzenie, matko. Mieliśmy marzenie… Myślałaś, że wszyscy zapomnieli? O niebie jak jasne oczy, o prawie do własnego ciała, spojrzeniu, które nie grzęźnie we mgle.

— Matka cię kocha.

Szlachcianka wzdrygnęła się.

— Wiem… dlatego kazałaś zabić Moahi, bo brakowało mu pół cala na ścianie piękna… Kazałaś przebić srebrną szpilą brzuch Laery, bo nasienie posiał w nim ktoś spoza Domu. Chciałaś, żebym spółkowała z Derenem, chciałaś, żeby Sainha przeszła do Domu Traw… chciałaś, żeby mój *kanaloo* nauczył się zabijać, zanim skończy cztery lata. Pamiętasz?

Przez cały czas, gdy mówiła, jej wzrok nie odrywał się od palca i zawieszonej na nim kropli wody. Daghena nie przerywała maskarady.

— To wszystko z miłości.

— Miłości… wierzyłam w twoją miłość… Ocalone Dzieci powinny być ci zawsze wdzięczne za tę miłość, prawda? Ale nie wiesz, że my też mamy marzenia… własne legendy… szeptane nocą pod przykryciem… Nawet jeśli karzesz tych, których przyłapiesz na ich opowiadaniu… I wiesz co… one okazały się prawdą… to miejsce istnieje, żyłam w nim… patrzyłam na tych ludzi… śmiałam się i płakałam z nimi… bój się ich… bój się ludzi, którzy widzą…

— Strach nie ma znaczenia, córko. Liczy się prawda. Co zrobiłaś ze swoim bratem?

— Zabiłam. Gdy był blisko, zwabiłam go na wieżę i wbiłam nóż w plecy. Ale wcześniej… ci strażnicy… Sainha mówiła, że nie było wyboru. Oni nie zeszliby z góry, a *kanaloo* musiał zginąć, to było jedyne miejsce, gdzie mogłam go spotkać bez świadków. Ależ się ucieszył. Widziałam to w jego oczach… lecz musiał umrzeć. Przecież prowadził *ewelunrech* i *weh'zaav* naszym śladem. Od jednego *wezure'h* do następnego, coraz bliżej. Powinnam uciekać, ale sądziłam, że w zamku będziemy bezpieczne. Że mury i zbrojni nas obronią. Dlatego Sainha… ja… my… ona była taka młoda… ale nie miałyśmy czasu… i myślę teraz, matko, że w ogóle się od ciebie nie różnię.

Porucznik otworzył usta, jakby chciał o coś zapytać.

— Naprawdę, córko? — Daghena gestem nakazała mu ciszę. — A co ja bym, według ciebie, zrobiła?

— Nie… nie wiem… ja, my… czar był gotowy… od wielu miesięcy, a gdy ona przyjechała… nowi ludzie w zamku, nowe twarze… zaburzenie… pomyślałam… hrabia będzie lepiej strzegł przyszłej synowej niż zwykłej służącej. Zamieniłam się z nią… wystarczyło podmienić twarze we wspomnieniach… przykro mi… Ty byś się nie zawahała, matko.

— Za długo siedziałaś w jednym miejscu.

— Przeszło pięć lat… to długo? Niektórzy z nas założyli rodziny i dochowali się dzieci. A ty… dobry czas wybrałaś na polowanie… zima… Zanim wieści się rozniosły, połowa już nie żyła. Ale gdybym wiedziała, że poślesz *weh'zaav*… uciekłabym.

Zacięła się.

— Ja… przepraszam… czy… czy mi wybaczysz… ja znów będę dobrą córką… obiecuję… wybaczysz mi… proszę… wybaczysz…? Proszę… Ja…

Kropla oderwała się od palca i spadła do kubka.

Laiwa westchnęła, ukryła twarz w dłoniach i zapłakała. Daghena wstała i ruchem głowy kazała im odejść na bok.

Stanęli w pełnym napięcia trójkącie. Porucznik mierzył je takim wzrokiem, jakby był przekonany, że ukrywają przed nim wielkie sekrety, z kluczem do opuszczenia tej krainy na czele. Ale milczał.

Kailean też milczała, bo Daghena miała taką minę, jakby właśnie zawzięcie biła się z myślami. Gapiła się nieobecnym wzrokiem w jakiś punkt na ziemi i przygryzała wargi.

— Jest taka magia… — zaczęła wreszcie z wahaniem. — Takie czary, babka niewiele o nich wie, słyszała od swojej babki, która słyszała od swojej, i tak dalej… znacie ten łańcuch. Gdy naczynie jest pełne, to jeśli wpadnie do niego jedna kropla, inna musi wypłynąć. U nas w plemieniu mówiło się bukłak i wino albo kubek i krew. Nikt nie wie, skąd się właściwie wzięło to powiedzonko, sądzimy, że odnosi się do pewnej równowagi i do tego, że nadmiar jest szkodliwy. W każdym razie w czarach chodzi o to, że jeśli w jednym miejscu pojawia się jakieś ciało, to inne musi je opuścić, zamieniają się miejscami… jak wiesz kto, Kailean.

— Wiem.

Oficer chrząknął.

— Ja nie wiem, ale za to wiem, że niektórzy czarodzieje potrafią przenosić się na wielkie odległości i nikt stamtąd nie znika.

Czarnowłosa uśmiechnęła się enigmatycznie.

— Bo są w tym samym miejscu Wszechrzeczy. W tym samym królestwie. Jak przenosisz się dalej, musi być równowaga. Ciało za ciało. Ale musi też być zgoda… Rozumiesz, Kailean? Musi być zgoda obu stron. On nie dałby rady zamieniać się z lwem, gdyby lew nie akceptował tego na swój sposób. Ale ciało to nic w porównaniu z duszą, to ona nas kotwiczy w świecie. Myślę, że dałoby się przenieść ciało bez wymiany z innym, lecz duszę… Babka zawsze mówiła, że ciało jest jak pchła, a duch jak ogier. Taka różnica. Co innego, gdy umieramy, wtedy łańcuch łączący nas ze światem pęka i dusza może powędrować za Mrok, do Domu Snu. Ale żeby przenieść z innego miejsca Wszechrzeczy jakąś duszę w ciele, trzeba zapłacić śmiercią, zabrać duszę stamtąd, wyrwać ją z ciała, to działa jak… jak żuraw przy studni… jedno idzie w górę, drugie w dół, zamieniają się miejscami. Sześć lat temu wyszarpnięto dusze z dwustu siedemnastu osób z terenu, na który trafili oni, uciekinierzy z innego miejsca, innego królestwa. Ta zaraza sprzed kilku lat… pamiętasz? W okolicach zamku umarło więcej ludzi niż zwykle. Panowała normalna zimowa grypa albo inne choróbsko… ludzie umierali i tak… jednego dnia umarło dwieście siedemnaście osób, ale w wielu miastach, miasteczkach i wioskach jednocześnie, więc to się rozłożyło, mało kto zwrócił uwagę. Była wczesna wiosna, szlaki

w Olekadach jeszcze nieprzejezdne, wieści rozchodziły się z opóźnieniem. Zanim wszystkie dotarły do hrabiego, epidemia już wygasła, nikt zresztą zapewne nie podawał dokładnej daty tych śmierci. Zaczyna się wiosna, pora wypędzania owiec na pastwiska, orania i siania. Zmarłych pogrzebano, życie toczyło się dalej…

Kenneth też wyglądał, jakby coś sobie układał w głowie.

— A oni? Ci nowi? Nie znają języka, obyczajów, są dziwnie ubrani… — zapytał wreszcie.

Daghena wzruszyła ramionami.

— Gdyby ktoś taki pojawił się w Lithrew, uznalibyśmy go za przybysza z dalekich stron, któremu przytrafiło się nieszczęście. Może napadli go bandyci, może pomieszało mu się w głowie, może dotknęła go Pani Losu? Tak czy inaczej nikt by go nie skrzywdził. A jak to jest w górach?

Porucznik uśmiechnął się kwaśno.

— Zajęlibyśmy się nim. Dostałby jedzenie i kąt do spania. Gość, nieważne jak dziwny, to rzecz święta.

— Właśnie, nawet u arystokracji. Ponoć ta niby zaraza zabiła kilku ludzi z najbliższej służby hrabiego. Czyli niektórzy z uciekinierów trafili w pobliże zamku. Cudna piękność ze służącą, mówiąca w obcym języku, szlochająca pod bramą… Kto by nie wpuścił? No chyba żeby piękność była brudną, paskudną wieśniaczką z gromadą bachorów uczepionych spódnicy. — Kailean też się skrzywiła. — Przyjęli ją, trochę z litości, a może trochę z ciekawości, dali dach nad głową i pozwolili zostać. A jej służąca plotła swoje czary. W zamku nie było czarodzieja ani kapłana, nikogo, kto by się zorientował, co się dzieje. Po kilku dniach już wszyscy mieszkańcy uważali, że nieznajome powinny zostać pod ich opieką, aż nauczą się języka i będą mogły opowiedzieć swoją historię. Po miesiącu zostały częścią służby, po pół roku zapomniano o ich dziwnym pojawieniu się i sądzono, że przyjęto je do pracy w miejsce tych, którzy umarli.

— Częścią służby? Nie narzeczoną syna hrabiego?

— Nie — zaprzeczyła Dag. — Ile mogła wtedy mieć lat? Czternaście, piętnaście? Aeryh też był zbyt młody. Zresztą, jak mogłaby podszyć się pod prawdziwą hrabiankę? Jak oszukać sąsiadów, dalszą rodzinę, innych arystokratów? Tu cała szlachta się zna. Jej opiekunka musiałaby rzucić czar na połowę gór, nawet bogowie tego nie potrafią. Natomiast dwoma służącymi, które przyjechały z innej prowincji, nikt się nie zainteresował.

Porucznik nie wyglądał na przekonanego.

— Ale zarządca ziem powinien zauważyć, że nagle pojawiło się więcej ludzi. Dwieście głów znikąd. Sama mówiłaś, że hrabia był bardzo drobiazgowy w tych sprawach.

— Poręczne — mruknęła Kailean.

— Co?

— Poręczne. Podatek od każdej dorosłej pary rąk w chałupie. Płacony od wszystkich, którzy ukończyli dwanaście lat. Że niby ma nie być darmozjadów i każdy musi na siebie zapracować. Ludziom jest on nie w smak, bo jak masz w rodzinie stuletnią ślepą babkę, to musisz albo za nią płacić, albo posłać do lasu między wilki. Zresztą jak znam życie, wójtowie i starostowie wiosek nie zawsze mówią prawdę zarządcom baronów. Jeśli w małej osadzie pojawił się jakiś nieznający języka włóczęga, to niekoniecznie od razu to zgłaszano. Bo poręczne trzeba zapłacić nawet od kogoś, z kogo nie ma żadnego pożytku. Więc hrabia nie musiał wiedzieć wszystkiego o swoich ziemiach i ludziach. Potem, po roku albo dwóch, gdy nowi przyuczyli się języka i jakiejś pożytecznej roboty, może i ich zgłaszano. Ludzie z innych prowincji szukają też swojego szczęścia w Olekadach, nikogo tam nie dziwi pojawienie się jakiegoś parobka czy dziewczyny chodzącej za służbą. A potem… zaczęły się zabójstwa. Ktoś zaczął polować na tych uciekinierów.

Kenneth przypatrywał jej się uważnie.

— Zginęło lub przepadło więcej ludzi niż dwie setki.

— W zamku też nie wszyscy byli obcy, a ci szarzy mordercy zabijali jak popadnie. Strażników, służbę, konie. — Kailean podrapała się po głowie, przygryzła wargę. — Myślę, że jeśli napotkali swoją ofiarę w towarzystwie innych ludzi, to wyrzynali wszystkich, jak leci. Bo lubią, bo po to ich stworzono, bo wszystko im jedno, mężczyzna, kobieta w ciąży, dziecko, koń, pies… Ale zabijali tylko wtedy, gdy sądzili, że ci ludzie są jakoś związani z celem ich łowów. Dlatego wyrżnęli bandę zbójów, bo ich herszt przyjął do siebie jednego z nowych, dlatego w wiosce wchodzili tylko do jednej chałupy, bo któryś z uciekinierów wżenił się w miejscową rodzinę, albo zabili tylko jednego kupca na drodze, mimo iż tego dnia przejeżdżało nią kilku innych. Wiedzieli. I cały czas zbliżali się do zamku, po spirali, coraz bardziej zacieśniając pętlę. Szukali. Zapewne umiejętności jej służącej pozwalały jakoś zmylić tropy…

— Tej, która zginęła w zamku?

— Tak, poruczniku, tej samej. Na czym skończyłam? Ona potrafiła jakoś je ukryć, ale i tak czuły, co się święci. Nie uciekły, co było głupie, może uważały, że ucieczka nic nie da, może wiedziały więcej o tym, co naprawdę potrafią ich wrogowie, lecz zdecydowały się na desperacki krok. Podszyły się pod narzeczoną syna hrabiego, przejęły jej… skórę, że tak powiem. Namieszały w głowie hrabiemu, jego rodzinie i służbie, w końcu trzymały ich pod czarem wiele lat… Może liczyły, że tak będzie bezpieczniej? Nie wiem.

Oficer przestał wreszcie przypatrywać się dziewczynom takim wzrokiem, jakby się zastanawiał, czy nie przypiec im pięt.

— To się zgadza z tym, o czym wam wspomniałem — odezwał się w końcu. — W górach ginęły patrole Straży, ale nie znajdywano żadnych ciał. Czyli szarzy unikali walki, jeśli w pobliżu nie było tych, których ścigali. Jeśli jednak jakiś oddział zanadto się zbliżył, wrzucali go tutaj.

— A żaden z obcych nie mógł wstąpić do Straży?

— Nie. Jeśli sytuacja nie jest wyjątkowa, zawsze sprawdza się ochotnika na wszystkie strony. Skąd pochodzi, gdzie ma rodzinę, czy nie jest… jakby to ująć, zgniłym jajem. No i chodzi o to, żeby rekrutować ludzi z miejscowych, znających okolicę. Ktoś, kto mieszkał w górach dopiero od kilku lat, nie miał szans na pobór, chyba żeby wybuchła wojna. Są też jeszcze wojskowi czarownicy. Może nie najlepsi, ale wyczuleni na dziwne rzeczy. Pewnie tamci woleli ich unikać.

— Mam! — Daghena uśmiechnęła się szeroko. — Wiem, czemu mieszały w głowie hrabiemu tak, że nie wiedział o morderstwach w górach. Ha! Najprostsze rzeczy najtrudniej zauważyć.

Kailean i porucznik spojrzeli na nią jednocześnie.

— Magia — rzuciła, jakby to wszystko wyjaśniało. — No co tak patrzycie? Co robi przestraszony, ale dość bogaty człowiek, gdy wokół zaczyna dochodzić do dziwnych zabójstw związanych z Mocą? Wzywa kogoś, kto się na tym zna, wysyła posłańców do najbliższej gildii albo ściąga pomoc ze świątyni. Pewnie się bały, że gdyby w zamku pojawił się ktoś z tytułem mistrza magii – lub jakiś wysokiej rangi kapłan – to ta ich maskarada od razu by się wydała. Nawet gdyby nadal ukrywały się jako służące. Więc podszyły się pod hrabiankę, żeby lepiej o nie dbano, bo w razie ataku hrabia wszystkimi siłami broniłby przecież swojej przyszłej synowej, a nie jakichś

służek, i jednocześnie musiały mu zamieszać w pamięci, by nie ściągnął do zamku czarownika albo kapłana.

— A wszyscy w okolicy zapewne podziwiali spokój i opanowanie Cywrasa-der-Malega, który ani słowem się nie zająknął o zabójstwach, za to spokojnie objeżdżał swoje posiadłości i jakby nigdy nic, szykował je na początek wiosny. Prawdziwy meekhański arystokrata o charakterze wykutym ze stali. — Kailean pokiwała głową.

— A prawdziwa hrabianka?

— Cóż, ona wspomniała coś, że jest jej przykro, poruczniku. Więc prawdziwa Laiwa-son-Baren zapewne nie żyje.

Zapadła cisza. Oficer spojrzał na ich jeńca beznamiętnie i z zaskakującym spokojem. Kailean czasem widywała takie spojrzenie u Laskolnyka, a ludzie, na których tak patrzył, nie mieli łatwego życia.

— Ci, którzy ją ścigali, zadali sobie sporo trudu, prawda?

— Tak.

— I zapewne nadal będą chcieli ją schwytać, nie sądzicie?

Kailean wymieniła spojrzenie z Daghenę. O tym nie pomyślały. Nikt nie powiedział, że ci zabójcy, którzy zginęli, gdy ich tu wciągnięto, byli jedynymi w górach.

— Możliwe. — Dag zgodziła się ostrożnie.

— To dobrze.

Zaskoczył obie, salutując im krótko.

— Ktokolwiek was uczył, powinien być dumny. Gdyby Szczury miały więcej takich kobiet, Imperium byłoby bezpieczne. Cholera. — Uśmiechnął się nagle z zakłopotaniem. — Jak to zabrzmiało?

— Okropnie — wyszczerzyła się Daghena.

— Paskudnie — zgodziła się z nią Kailean. — Ale możemy to dostać na piśmie? Dla jednej takiej służącej, która może to przeczyta, zanim każe obedrzeć nas ze skóry.

Rozdział 5

— Przeżyje?

— Już pytałeś. Nie wiem. Ma połamane żebra, rozbitą głowę, może wstrząs mózgu. Uszkodzone nerki. Nogi wyglądają, jakby przegalopował po nich tabun koni. Nie odzyskała przytomności od wczoraj. Pół dnia, cała noc… Czasem to dobrze, czasem źle.

— Wyleczysz ją?

— Nie wiem. Jest silna, ale… Może Jastrząb by dał radę.

Parsknięcie.

— Idziemy do bitwy, kobieto, a ja mam prosić szamana, by trwonił siły na wozackie szczenię? Będzie miał dość zajęć.

Cisza.

— Więc jej los…

— Jej los jest w ręku Pani Stepów. Niepotrzebnie ją stamtąd zabrałem.

— Naprawdę? Wkrótce ta ziemia spłynie taką ilością krwi, że ptaki pomyślą, iż ktoś rozwinął sto tysięcy bel szkarłatnego jedwabiu.

— Ptaki nie myślą, *maneya*.

— Podobnie jak ludzie idący się mordować. Okazałeś litość temu dziecku…

Parsknięcie.

— Litość? Naprawdę sądzisz, że okazałem jej litość? Nie wiedziałem nawet, kogo wrzucam na koński grzbiet. Zabrałbym ją, nawet gdyby była bitym psem, byleby podrażnić tych *amneyho*.

— Naprawdę?

Cisza.

— Zajmij się nią.

Szelest odsuwanej zasłony. Błysk światła pod przymkniętymi powiekami.

Coś chłodnego dotknęło jej głowy, przesunęło się po twarzy.

— Ocknęłaś się już, prawda? Mam nadzieję, że mnie rozumiesz. Na razie się przygotuj i nie krzycz.

Przygotuj się? Na c-cooo…!

Ciało wróciło. Nadal było workiem pełnym potrzaskanych kości i potłuczonego mięsa, ale nagle znalazło się tuż obok. Czuła je, każde stłuczenie, każdą ranę. Nogi pulsowały tępym bólem, ręce też, brzuch i plecy stały się jednym wielkim ogniskiem cierpienia, miała wrażenie, że ktoś pod skórą umieścił jej rozpalone do białości kamienie. Głowa tętniła, a w rytm tego tętnienia pod powiekami zapalały się i gasły małe słońca.

Przez kilka chwil nie mogła złapać tchu, a jej umysł rozpaczliwie szukał miejsca, które by nie bolało. Próbowała nabrać powietrza i poczuła, że ktoś wbija jej noże między żebra.

— Nie krzycz. Masz połamane żebra i krzyk nie pomoże. Tu. — Wilgotny chłód dotknął jej twarzy. — Skup się na tym. Tylko na tym.

Okład. Szmatka moczona w zimnej wodzie. Skupiła na tym dotknięciu całą swoją uwagę.

— Dobrze. A teraz licz bicie serca. Czujesz je?

Czy czuje? Każde uderzenie odbijało się w niej falą cierpienia.

— Nie, nie myśl o bólu, tylko licz. I skup się na sercu, zmuś je, żeby zwolniło. I licz. Do ilu potrafisz.

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć…

— Dobrze. Teraz dam ci coś do picia. Będzie bardzo gorzkie i wstrętne, ale nie wolno ci wypluć. Otwórz usta.

Rozchyliła wargi.

… dziesięć, jedenaście, dwanaście…

— Więc jednak mnie rozumiesz. Powiedzieli, że pewnie znasz meekh i jak widzę, mieli rację. Dobrze, teraz uważaj, po kropelce.

Miała rację. To była najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek próbowała. Oleiste krople smakowały zgnilizną, stepowym pyłem i zestarzałym końskim potem. Oraz goryczą, która wykrzywia usta i porywa żołądek do szalonego tańca.

— Nie. Musisz to wytrzymać. Jeśli zwymiotujesz, nie będzie więcej leków. Dziesięć kropel i zaraz dam ci popić.

Po ostatniej kropli kobieta przyłożyła Key’li do ust kubek z mlekiem.

— Sprawi, że lek się szybciej wchłonie, ale nie możesz zwymiotować. Licz. Jeszcze raz, najdalej jak potrafisz.

Zaczęło jej się kręcić w głowie, a liczby nie chciały przyjść. Żołądek walczył z miksturą, całość dwa razy podeszła jej do gardła, lecz gdy w końcu doliczyła do pięćdziesięciu i wzięła kilka głębszych oddechów, mdłości jakby zelżały. Dopiero po chwili zrozumiała. Odetchnęła jeszcze raz, ostrożnie, lecz sztylety nie wbiły się między żebra. Ból pozostał, oczywiście, tępy i zadomowiony, lecz już dawał się wytrzymać. Na próbę poruszyła nogą, kończyna była ciężka, jakby miała ją owiniętą wieloma warstwami świeżo zdartej skóry. I bolała, oczywiście, że bolała, ale mogła ten ból znieść.

Otworzyła oczy. To znaczy jedno, bo drugie nie bardzo chciało się rozchylić. Znajdowała się w namiocie, innym niż ten, przed którym przywiązał ją koczownik. Tamten miał okrągłą podstawę, ten to konstrukcja zbudowana na bazie kwadratu, z wysokimi ścianami i ciężkim, rzeźbionym słupem pośrodku. Dostrzegła mnóstwo pakunków, worków, wiklinowych koszy i stert futer.

— Dopiero się rozbijamy. — Klęcząca obok kobieta zdawała się czytać jej w myślach. — Mamy za sobą długą drogę, prawie sześćset mil, więc trochę czasu upłynie, nim rozbijemy porządny obóz i rozłożymy wszystkie rzeczy.

Spojrzała na mówiącą i zdziwiła się, widząc jasne włosy, usianą piegami twarz i niebieskie oczy.

— Tak, jestem Meekhanką. Czystej krwi. Zdziwiona? Pierwsza reakcja na lek jest niezła. Za chwilę sprawdzę drugą, dobrze?

— Dd… dobrze. Jak…

— Zwyczajnie. Wielka wojna, najazd na klasztor, rzeź, grabież, ogień. I garść nowicjuszek pognana w wielkiej kolumnie niewolników na Wschód.

Kobieta mówiła spokojnie, bez śladu emocji, jakby opowiadała zasłyszaną kiedyś historię. Key’la przyjrzała się jej i stwierdziła, że trzydzieści lat, na które ją oceniła, to za mało. Uśmiechnięte oczy i gładka cera odejmowały mówiącej wieku.

— Byłam łupem wojennym Se-kohlandczyków, zanim podarowano mnie, w ramach zapłaty za przelaną krew, Glyndoi. Plemiona Sahrendey, do

których należy ten lud, straciły w czasie wojny większość swojej młodzieży. Yawenyr dał im tysiące niewolników, żeby uspokoić nastroje i ułagodzić starszyznę. To były czasy, gdy Złoty Namiot chwiał się nad jego głową i Ojciec Wojny potrzebował spokoju w państwie.

Tak. To były te nazwy, na dźwięk których w oczach ojca zapalał się ogień. Glyndoi. Sahrendey.

— Ci niewolnicy… zabili ich?

— Skąd to pytanie? — Kobieta przechyliła głowę i uśmiechnęła się, ujmując sobie kolejnych kilka lat. — Wybacz, nie przedstawiłam się. Mam na imię Tsaeran. Tsaeran-kor-Lamery. To rzadkie imię, wiem, ale moja matka uznała, że w rodzinie nie będzie kolejnej Isawy albo Kamii. A ty jak się nazywasz?

— Key'la.

— Ładnie. I odpowiadając na twoje pytanie, nie. Nie zabili ich. Zdziwisz się, ale spora część odeszła za wykupem. Zwłaszcza w pierwszych latach po wojnie, gdy niewolników było tak wielu, że za jednego konia można było dostać trzech.

— A ty?

— Ja? — Tsaeran przez chwilę mrużyła oczy. — Widzisz, klasztor, z którego mnie porwano, był poświęcony Wielkiej Matce. I miał surową regułę. Cnota, skromność i czystość przede wszystkim. Dziewczyna, która przeszła jako niewolnica tysiąc mil po Wielkich Stepach, w oczach przełożonych traciła te atrybuty. Nikt się o mnie nie upomniał. A ja szybko odkryłam, że ci barbarzyńcy mają dusze i serca po tej samej stronie co my, więc zostałam, żeby nauczać ich o miłosierdziu i łasce Pani. Nie, żeby słuchali, Laal Szarowłosa jest dla nich jedyną prawdziwą boginią, ale nadal mam nadzieję, że któryś cokolwiek zrozumie. Poza tym zawsze umiałam przyrządzać leki, nastawiać kości i opatrywać rany, więc jestem kimś w rodzaju znachorki.

— To znaczy *maneya*?

— Więc podsłuchiwałaś. Nie. *Maneya* znaczy niewolnica. Ale nie tak, jak Meekhańczycy to rozumieją, *maneya* to niewolnica, która stała się częścią rodu. Nie na tyle bliską, by nauczyć ją języka, ale kimś, kogo nie można na przykład sprzedać bez jego zgody ani wychłostać z nudów.

Key'la uśmiechnęła się. Mimo wszystko.

— Nie znasz ich języka?

— Sahrendey nie uczą obcych własnego języka. Niektórzy posługują się meekhem, se-kohlandzkim większym czy anawijskim, ale ich własny język jest tylko dla członków rodu i szczepu.

— To może być ci trudno nauczać o Wielkiej Matce.

Znachorka spojrzała na nią z powagą.

— Nie mówiłam, że jest łatwo. I… Dziecko, żyję z nimi dwadzieścia lat, więc oczywiście rozumiem większość, ale żaden z nich nie odezwie się do mnie w mowie plemion, a ja muszę udawać, że jestem całkiem głupia, bo mogę stracić własny język. Oni oczywiście domyślają się, ile rozumiem, ale nie drążą tematu. To takie… rozsądne podejście do tradycji.

Uśmiechnęła się ciepło.

— No i pogadałyśmy wystarczająco długo, żeby lek zadziałał. Lepiej się czujesz?

Ból… jeszcze zelżał. Był w pobliżu, jak ten, który pozostaje w mięśniach po całym dniu ciężkich ćwiczeń. Ale w porównaniu z tym sprzed kwadransa jakby go nie było.

— Jak długo?

— Do wieczora. A jeśli będziesz miała szczęście, to do północy, ludzie różnie reagują. Nie mogę obiecać, że zdobędę dla ciebie kolejną dawkę. Szykujemy się do bitwy, więc leki są na wagę złota.

— My?

— Tak. My.

— Przeciw nam.

— Zdziwiona? Po co wróciliście? Źle wam było za Amerthą, w Imperium? Po co wam ta wojna?

Zaskoczył ją gniew ukryty w tym pytaniu. Co ta kobieta w ogóle wie o tych sprawach?

— Moi rodzice się tutaj urodzili.

— Zdziwisz się skarbie, ale większość młodych Sahrendey też. Od dwudziestu lat połowa Wyżyny Lytherańskiej należy do nich. Latem wypasają tu stada i rozbijają obozy, zimą przenoszą się na południe, na ten skrawek Stepów, który im pozostał. Oni nie mają dokąd pójść, dziecko. Niepotrzebnie wróciliście.

Key’la aż uniosła się na łokciu.

— To nasza ziemia.

— Naprawdę? Mówisz tak, jakby prawo do posiadania ziemi przysługiwało ludziom z urodzenia. Jakby było granitowym fundamentem, na którym zbudowano ten świat. Nie bądź niemądra. Ile masz lat? Dziesięć? Ziemia to dobro takie samo jak złoto, konie czy biżuteria. Można ją zdobyć albo stracić. Sahrendey stracili większość swoich ziem, gdy przybyli tu Sekohlandczycy. Zostali pokonani, bo Ojciec Wojny przywiódł więcej wojowników i potrafił lepiej nimi dowodzić. Niektóre ludy Sahrendey zniszczono, innym zaproponowano przyłączenie się do Wolnych Plemion i wspólne przelewanie krwi. Większość się zgodziła, choć musiała oddać najlepsze pastwiska nowym panom Wielkich Stepów. W zamian za nie dostali kawałek Wyżyny i niektórzy już nazywają ją domem. A wy? Skąd przybyliście, zanim wasze wozy zaczęły ją orać kołami? Jakie ludy i plemiona stąd wygnaliście? Pamiętacie choć ich nazwy? Czym się od nich różnicie?

Key’la czuła, jak gniew eksploduje jej w piersi. Spróbowała zerwać się z posłania, ale kobieta niespodziewanie położyła jej dłoń na czole.

— Nie wstawaj. Dobrze… nie masz gorączki… mimo zdenerwowania.

— Co? Zabieraj rękę!

Dłoń się cofnęła, a znachorka posłała Key’li szczery uśmiech.

— Już, już. Wybacz. Musiałam cię zdenerwować, żeby sprawdzić, jak reagujesz na lek. Czasem przy silnych emocjach pojawia się gorączka, człowiek zaczyna się pocić, a potem traci się przytomność i umiera. Ty znosisz go doskonale. Zresztą zgodziłaś się na drugą próbę, pamiętasz?

Dziewczynka opadła na posłanie, nagły ruch kosztował ją więcej, niż sądziła, odezwał się ból w dole pleców, a żołądek skręcił się w dziki węzeł. Teraz czuła się bardzo, ale to bardzo słabo.

— Nie żeby cokolwiek z tego, co powiedziałam, mijało się z prawdą. Ale Nasza Pani nie ocenia ludzi według jakichś fundamentalnych reguł, tylko po tym, co noszą w sercach. Czujesz senność?

Nie miała już siły odpowiedzieć, więc tylko skinęła głową.

— A zatem śpij. Zajrzę wieczorem. A jeśli obudzisz się wcześniej, nie wychodź z namiotu. Na zewnątrz każdy może cię skrzywdzić. I…

Reszta utonęła w wirze światła i szumie wiatru, który w jakiś sposób wdarł się do namiotu. Zasnęła.

* * *

Obudziła się sama, w ciszy tak głębokiej, jakby znalazła się na dnie bezdennego jeziora. Sądząc po szkarłatnej prędze, liżącej ścianę namiotu naprzeciw wejścia, słońce tuliło się już do horyzontu, ale jej opiekunki nadal nie było.

Chwilę leżała nieruchomo, wpatrując się w sufit, opuchlizna nad lewym okiem wyraźnie się zmniejszyła i mogła je już otworzyć. Lek nadal działał, bo ból nie odbierał jej zmysłów, a może po prostu trochę do niego przywykła. Odetchnęła na próbę nieco głębiej. Zakłuło.

Odrzuciła przykrycie i ostrożnie usiadła, a potem wstała. Musieli ją rozebrać, bo była golusieńka, nie licząc bandaży owijających żebra, ale to nawet lepiej, bo mogła się dokładnie obejrzeć. Bolało, a jakże, najgorzej było z lewą nogą, bo leżała wtedy na prawym boku, więc w lewą trafiło najwięcej ciosów. I w lewy bok. I w lewą nerkę… Kolejne miejsca na ciele przypominały o sobie tępym pulsowaniem. Nieważne. W tej chwili najgorzej wyglądało kolano, przypominało worek wypełniony wodą, a udo wydawało się pokryte czarnym tatuażem. Brzuch i żebra przybrały interesujący niebieskozielony odcień. Bolało od samego patrzenia.

— Jeśli powiem, że żałuję, iż cię stamtąd zabrałem, to uznasz mnie za potwora?

Pisnęła i rzuciła się na legowisko, podciągając grubo tkany pled po samą szyję. Zakręciło jej się w głowie, a ból w piersi prawie odebrał oddech.

— Nie myślałem wtedy o niczym szczególnym. To były trudne negocjacje, nie… nie negocjacje, tak naprawdę przyjechaliśmy po rozkazy, po rozkazy od parszywego wypierdka, syna złodzieja kóz, który go z jedną z nich spłodził. Ale musimy go słuchać, bo zgodnie z przymierzem sprzed lat Syn Wojny wywodzący się z prawdziwych Se-kohlandczyków może rozkazywać Synowi Wojny, który pochodzi z innego plemienia. I jego wojownikom. W ten sposób nasze plemiona straciły wszystkich młodych w bitwie o Meekhan, posłano ich do pierwszego ataku, między wzgórza i sady. Ta garstka, która wróciła, opowiadała o pancernych szeregach ciężkiej piechoty stojących na szczytach wzgórz, które w żaden sposób nie dały się wciągnąć w pułapkę. I o tym, że przez pierwszy dzień bitwy a’keery Se-kohlandczyków nie ruszyły się z miejsca. Nic się od tamtej pory nie zmieniło. Nadal mówią przysięga albo krew. Wybierajcie.

Dopiero teraz odnalazła go wzrokiem. Siedział między dwoma stertami tobołów, sam podobny do niezgrabnej, byle jak rzuconej kupy niepotrzebnych rzeczy. Wyglądał tak samo jak ten, którego dojrzała, gdy wisiała w siodle. Krótko ścięte włosy, czarna broda, ciemna cera, dzikie oczy. Mówił w meekhu, języku, którym posługiwała się od zawsze, choć miał dziwaczny, ale jakoś znajomy akcent.

I był potężny. Gdy wstał, zdawał się sięgać głową pod sam płócienny sufit. Chyba nawet wyższy od jej ojca, choć tak samo szeroki w barach.

— Zabrałem cię — stanął przy rzeźbionym słupie, a twarz wykrzywił mu dziwny grymas — bo kazali nam przyjechać do ich obozu bez broni i odebrać rozkazy, jakbyśmy byli bandą niewolników. A rozkazy wydawał kozi bękart, który ledwo zeszłej nocy dostał lanie od bandy *sawenji* i musiał uciekać przed nimi ponad sześćdziesiąt mil na wschód.

Skrzywił się.

— Teraz twierdzi, że zrobił to specjalnie, że taki miał plan, a jego ucieczka to zaplanowana pułapka. Ciekawy manewr, po którym zostawia się połowę obozu i stad w ręku wroga… Nic nie powiesz? Tsaeran twierdzi, że mówisz płynnie jej językiem. Byłaś tam… Ale nie sądzę, żebyś znała się na strategii, hę? Danu Kredo próbował zagarnąć jak najwięcej dla siebie, jak ten przygłupi kundel, co uczepił się nogi wołu i myśli, że zwierz jest jego. A teraz wół się ruszył i idzie na nas.

Posłał jej uśmiech, od którego poczuła skurcz żołądka. I nie chodziło o ból obitych trzewi.

— Tak, ruszyli już, cały obóz, pięć tysięcy wozów, ze trzy tysiące rydwanów. Przepuścimy wasz obóz przez wzgórza, a potem poczekamy, aż zbliżycie się do rzeki. Bo między rzeką a wzgórzami rydwany i wozy będą uwięzione. Wiesz, dlaczego to zrobimy? Bo choć łatwo dałoby się was zatrzymać u podnóża Olekadów, to przecież nie odmawia się gościom przynoszącym bogate dary. Wasze wozy, konie, złoto i srebro będą nasze. A potem zajmiemy się następną bandą, która zjedzie z gór, i następną, i następną. — Pochylił się nagle do przodu i wydyszał — całe życie czekałem, żeby stanąć pośrodku waszego obozu i powiedzieć, jak nazwała mnie matka…

Wyciągnął skądś małą skrzynkę i zwalił się na nią, aż zatrzeszczała.

— Zabrałem cię — kontynuował — bo mogłem wyładować swój gniew, splunąć im do miski, podrażnić. Bo dobrze widzieć na ich twarzach szacu-

nek.

— To nie był szacunek — wymruczała w pled.

— Co powiedziałaś?

— To nie był szacunek — powiedziała głośniej — tylko strach. Bawi cię strach kobiet i dzieci?

Nie wiedziała, dlaczego w ogóle z nim rozmawia.

— Te dzieci ćwiczą celność strzał na starych niewolnikach przywiązanych do słupów, a kobiety szyją z łuków i ciskają oszczepy lepiej niż niejeden mężczyzna. I byli tam też inni, starzy wojownicy, nawet kilku w pełni sił, wiesz o tym. Jak sądzisz, dlaczego pozwolili wyrwać sobie zakrwawioną zdobycz spomiędzy zębów? — Uśmiechnął się bez śladu radości w oczach. — Tak, chodzi o strach. Nauczyliśmy ich go, i nauczyliśmy też, że sami go nie znamy. Ciesz się z tego strachu, bo dzięki niemu jeszcze żyjesz.

Nie umknęło jej to „jeszcze”. Nie pozwolił jej na odpowiedź.

— My też znamy taką zabawę, wiesz? — kontynuował. — Gdy trafia się wyjątkowo krnąbrny niewolnik albo jeniec, z którym będą same problemy…

— Mordujecie go.

— Dajemy mu szansę. I nie przerywaj mi więcej.

— Bo co — nie wytrzymała — zwiążesz mnie i pobijesz?

— To byłby zbędny trud. — Uśmiechnął się znów lodowato. — Po prostu zakażę Tsaeran przychodzić do ciebie i podawać jakiekolwiek leki. Życie na Stepach to nie zabawa za murem z wozów, pod opieką imperialnych armii. Taki niewolnik, któremu dajemy szansę, może wybierać. Zabijemy go albo sprzedamy innemu plemieniu, lub też przywiążemy za kostkę do wbitego w ziemię kołka i każemy się zmierzyć z trzema młodymi wojownikami. Każdy, on też, ma pałkę lub długi kij. Jeśli więzień wygra, dostaje konia, nóż i zapas żywności na dziesięć dni. Jeśli przegra, też jest wolny.

Przechylił głowę, mierząc ją wzrokiem.

— Gdyby dali ci kij i pozwolili walczyć, nie wtrąciłbym się. Ale teraz żałuję, że to zrobiłem.

Nie znalazła żadnej błyskotliwej odpowiedzi, zresztą, on najwyraźniej jej nie oczekiwał.

— Nasza Pani z pewnością znajdzie sposób, by zajrzeć w głąb twojego serca, *amenray*. I pozna twoje motywy.

Z tymi słowami jej opiekunka odsunęła zasłonę i wkroczyła do namiotu. Mężczyzna i kobieta wymienili spojrzenia i Key'la musiała przyznać, że nie było to spojrzenie pana na sługę. Szczerze mówiąc, to on wyglądał na zmieszanego.

— Lepiej żeby twoja bogini się nie wtrącała.

— Ona rzadko się wtrąca. Jak inaczej moglibyśmy zachować wolność wyboru? Mówiłeś, że ona cię nie obchodzi.

To drugie „ona" odnosiło się do Key'li.

— Bo nie obchodzi. Chciałem tylko sprawdzić, czy nadal umiesz leczyć. Będziemy tego wkrótce potrzebować.

— I to bardziej niż myślisz, jeśli opowieści ludzi Kyh Danu Kreda są prawdziwe. Opowiadają, że jej rodacy bili się jak stado demonów.

— Plotki już się rozeszły?

— Wraz z płaczem świeżych wdów. Mówią o trzech tysiącach zabitych zeszłej nocy. Ale to się może zmienić, bo jeszcze nie wszyscy zebrali się w kupę. Przyszedłeś tu dręczyć to dziecko?

— Przyszedłem zobaczyć, co wyciągnąłem spod kopyt mojego konia.

— I żałujesz?

— Tak. Ten, który ją porwał, to Henwe Ger Lowesa. Dowódca a'keeru spokrewniony z samym Danu Kredem. Już zdążył mu się poskarżyć. — Wstał gwałtownie, wyrastając na swoje siedem stóp. — Jak dowiedzą się, gdzie jest, będę musiał mu ją oddać. Więc jak widzisz, mój żal ma podstawy. Zawsze żałuję zbędnego wysiłku.

— Więc ją wydaj. — Znachorka stanęła w lekkim rozkroku, choć żeby spojrzeć mu w twarz, musiała zadrzeć głowę.

— Prędzej konie zaczną latać, niż z własnej woli oddam coś tym śmierdzącym synom sparszywiałych owiec. Ale na wszelki wypadek nie marnuj już na nią więcej leków. Szkoda ich.

Wyszedł z namiotu, zginając się niemal wpół. Zostały same.

— Nie przejmuj się tym, co mówił. Ma lepsze serce, niż to się wydaje, choć nosi w nim jakąś bliznę, której nie potrafię zaleczyć. Zresztą jak oni wszyscy. No już, wstawaj. I nie rumień się, jak myślisz, kto cię rozebrał?

Powoli — podała jej rękę — powoli, dobrze. Co my tu mamy po tych kilku godzinach?

Ostrożnie dotykała jej nogi, szczególną uwagę poświęcając kolanu.

— Co za oni?

— Ooo? Masz jeszcze siły, żeby mówić? I czujesz się na tyle dobrze, żeby czuć ciekawość. Doskonale. Oni. Zwą ich Wilkami albo Widmowymi Wilkami, bo idąc do bitwy, malują twarze na biało, wyglądają wtedy jak upiory i Se-kohlandczycy boją się ich bardziej niż demonów Mroku.

— Przecież oni też są Se-kohlandczykami.

Tsaeran zaśmiała się cicho.

— Dobrze ci radzę, nie powtarzaj tego nikomu w tym obozie. Mogliby się poczuć bardzo urażeni. Oni to Sahrendey, choć nazwa ta obejmuje takie plemiona, jak Glyndoi, Sarakai, Mandehii, Kawoinowie czy Wehris. A ile wśród tych plemion jest szczepów i klanów, tego nikt nie zliczył. Na przykład ten to Klan Złamanego Kła z Glyndoi. Ci, których nazywacie Se-kohlandczykami, podbili ludy Sahrendey jeszcze przed wojną z Imperium, a nawet przed wojną z Wozakami, czasem zbrojnie, wyrzynając krnąbrne plemiona, częściej – co świadczy o mądrości i rozwadze – dyplomatycznie, oferując sojusze i przymierza. Sahrendey rozumieli, że… Boli? A tu?

Jej palce były zimne jak lód, a miejsca, które dotknęła, zdawały się tracić czucie. Stopniowo kolano przestawało dokuczać.

— Czary?

— Nie. Maść. — Uzdrowicielka wyciągnęła zza paska mały dzbanuszek, wetknęła w niego palec i roztarła maź po pozostałych. — Jak widzisz, sprawę posłuszeństwa pewnej krnąbrnej niewolnicy mamy już rozwiązaną. O czym mówiłam?

— Że ich podbili.

— Właśnie, podbili. Można podbić ogniem i mieczem, a można traktatami i fałszywymi sojuszami. Sahrendey rozumieli, że lepszy kiepski sojusz niż porządna rzeź, jednak wiedzą już, że nie najlepiej na tym wyszli. Teraz są dowodzeni przez Amanewe Czerwonego, wodza z ich ludu, któremu jednak jako jedynemu z Synów Wojny nie wolno mieć oddziałów Jeźdźców Burzy. Mają własne prawa i czczą Panią Stepów jak ich przodkowie, ale muszą też kłaniać się Panu Burz, który jest bogiem Se-kohlandczyków. Są niby częścią Wolnych Plemion, ale na wojnie muszą podporządkowywać

się wodzom Yawenyra, nigdy odwrotnie. Są posyłani do najkrwawszych ataków, ale dostają najmniejszą część łupów. Jak widzisz, dużo tych ale. Boli? — Nacisnęła lekko brzuch dziewczynki. — A tu? Sikałaś już?

Dopiero teraz Key'la poczuła, jak pełny ma pęcherz.

Tsaeran wyciągnęła z kąta gliniane naczynie z pokrywką.

— No co? Przecież nie jesteśmy barbarzyńcami. A ty nie powinnaś wychodzić z namiotu. Siadaj, ja się odwrócę. I powiedz, jeśli będzie cię bolało. Widzisz — zacmokała lekko — Sahrendey naprawdę nie lubią koczowników, ha, ha, wiem, że też są koczownikami, ale jakoś inaczej o nich myślę. Przy czym „nie lubią" to dość mizerne określenie. Zwłaszcza po bitwie o Meekhan, gdzie zginęła większość naszych wojowników, inni Synowie Wojny napadali ziemie i stada Sahrendey, porywali kobiety i dzieci, szarpali pomniejsze obozowiska, a Yawenyr patrzył na to z uśmiechem. On lubi, gdy jego psy walczą między sobą, bo wtedy nie myślą o zajęciu miejsca pana. Poza tym pilnował, żeby żaden zbytnio nie urósł w siłę. Ale wszystko zmieniło się jakieś dziesięć, piętnaście lat temu, gdy pierwsze Wilki zaczęły jeździć po Stepach. Skończyłaś?

— Tak. — Key'la wstała.

— Jest krew w moczu?

Zawartość naczynia nie wyglądała ciekawie, ale krwi nie było.

— Nie ma.

— To dobrze. Bardzo dobrze. Obserwuj się przez najbliższe dni i jakby się pojawiła, natychmiast daj znać. A teraz chodź no tu, obejrzę ci żebra.

Zdejmowanie bandaża okazało się bardziej bolesne, niż Key'la się spodziewała.

— Ooo… — Uzdrowicielka pokręciła głową. — A tu jest tak źle, jak myślałam. Złamane co najmniej trzy. Lek wkrótce przestanie działać, a ja wolę ci nie podawać następnej porcji, bo w najlepszym przypadku zaczniesz wymiotować. Nie przeszkadza ci, że tak bez przerwy gadam? Dawno nie miałam okazji porozmawiać z kimś, kto mówi meekhem tak dobrze jak ty.

— To czy nie powinnaś więcej słuchać?

Kobieta zaśmiała się.

— O tak. Dlatego nie będę miała nic przeciwko, jeśli to ty będziesz więcej mówić. — Maść z dzbanuszka powędrowała na żebra, otulając je war-

stewką lodu. — Ale dopóki mnie słuchasz, mniej myślisz o bólu, prawda?

— Sztuczki znachorki?

— Mądrość wieków, moje dziecko. Mądrość wieków. Chcesz posłuchać o Wilkach, gdy będę ci bandażować pierś?

— Dlaczego mam chcieć o nich słuchać?

— Bo to, kim się stali, ocaliło ci życie.

Tylko skinęła głową.

— Wilki to nowe pokolenie. Nie należą do jednego plemienia, tylko do kilku, jeżdżą i walczą konno jak nikt na tych ziemiach od tysiąca lat, niektórzy mówią, że sama Pani Laal daje im błogosławieństwo, a gdy idą do ataku, w tumanach kurzu wzniecanych kopytami ich koni widać Białą Klacz. Inni mówią, że to po prostu banda szaleńców, rozmiłowanych w walce i nieobawiających się śmierci. Ale w pięć lat nauczyli plemiona Se-kohlandczyków, że nie należy ich lekceważyć. W następne pięć nauczyli ich strachu. Idąc na wojnę, malują na twarzach białe smugi i zdarzało się już, że na widok tych malunków najlepsi se-kohlandzcy wojownicy zawracali konie i uciekali.

Bandaż zaciskał się ciasno, Key’la miała wrażenie, że nie da rady odetchnąć.

— Ilu… — wystękała. — Ilu ich jest?

Tsaeran wzruszyła ramionami i dokończyła bandażowanie.

— Kilka tysięcy. Trudno powiedzieć, bo w oddziałach, hm… można by powiedzieć chorągwiach Wilków walczą i mężczyźni, i kobiety. Wspiera ich ze dwadzieścia tysięcy konnych łuczników, ale od jakiegoś czasu to Wilki stały się główną siłą Sahrendey, konnicą, która może jak równy z równym stawać do walki z Błyskawicami i której wszyscy się boją. I dzięki temu żyjesz. Gdyby z tego obozu próbował cię wywieźć zwykły wojownik, zostałby rozerwany na strzępy. Ale teraz wszyscy obawiają się, że Yawenyr wykorzysta okazję i rzuci ich do pierwszego ataku na wasze obozy.

To ją zmroziło.

— Ojciec Wojny? On tu jest?

— Dwa dni drogi stąd. Razem z ośmioma tysiącami Jeźdźców Burzy, całą swoją osobistą gwardią. Kaileo Hynu Lawyo z dwudziestoma tysiącami konnych znajduje się jakieś pięć dni drogi stąd, ale idzie wolno, bo

podobnie jak Danu Kredo prowadzi kobiety, dzieci i wszystkie stada. Zawyr Heru Lom ciągnie z południowego wschodu, ale jak słyszałam, prowadzi tylko dziesięć tysięcy jeźdźców, resztę zostawił w obozach w centralnej części Stepów, bo obawia się ataku ze strony Sowynenna Dyrniha, który nie odmówił wprost wyprawy na północ, lecz nadal zwleka z wyruszeniem. Nie wysłał nawet symbolicznych posiłków. Jak widać, gdy Ojciec Wojny stoi nad grobem, niektórzy Synowie robią się krnąbrni. A ty jesteś w obozie utworzonym przez plemiona Sahrendey i to, co zbiera po wyżynie Kyh Danu Kredo. Razem jakieś trzydzieści pięć–czterdzieści tysięcy wojowników. Za dwa dni dołączy Yawenyr, a za kilka następnych reszta i stanie tu z osiemdziesiąt tysięcy konnych, w tym z piętnaście tysięcy Błyskawic. Wasze obozy będą padać jeden po drugim. Pokaż głowę.

Opuchlizna nad lewym okiem nadal bolała, ale Key’la nie jęknęłaby nawet, gdyby przypalano ranę żywym ogniem. W głowie szumiało jej od nadmiaru wieści i ich wagi. Wiedzieli… wszyscy koczownicy wiedzieli o planach Verdanno. Cała wędrówka na północ i przebijanie się przez góry były niepotrzebne.

— Równie dobrze mogliśmy wyruszyć na Wyżynę przez Stepy — wyszeptała.

Uzdrowicielka odwróciła jej twarz do siebie i uśmiechnęła się pokrzepiająco.

— Dziecko. O tym, że zamierzacie wrócić, wiedzieliśmy od miesięcy. Nie można wybudować dziesięciu tysięcy wozów bojowych i dwa razy tyle rydwanów i udawać, że to tylko zabawa. Prawie wszyscy w waszych obozach żyli tym powrotem, młodzi i starzy, rozmawiali o nim, przechwalali się, opowiadali o dawnych walkach. Sądzisz, że Yawenyr nie umieścił wśród was swoich oczu i uszu? Nawet stary i umierający jest sprytny jak lis i podstępny jak żmija. Zresztą jak na starca pukającego już do bram Domu Snu nieźle się trzyma, skoro jedzie teraz tutaj ze swoją gwardią, hę? Gdybyście wyruszyli przez step, ani jeden wóz nie wjechałby na tę wyżynę. Poszliście przez góry, plan szaleńczy i desperacki, ale dzięki niemu przynajmniej umrzecie w domu, a nie gdzieś po drodze.

Key’la poczuła się, jakby dostała w twarz.

— Skąd wiesz… skąd wiesz, że umrzemy?

— Bo prawie dwadzieścia lat jestem uzdrowicielką w Klanie Złamanego Kła i widziałam wiele wojen i wojenek między koczownikami. I wiem, że

ani odwaga, ani mur z bojowych wozów, ani najbardziej szaleńcze szarże rydwanów nie wystarczą przeciw takiej sile, jaka tu stanie.

— Ty chcesz, żebyśmy przegrali, tak? Mam rację?

W jasnych oczach kobiety zagościł smutek.

— Sądzisz, że tego chcę? Że modlę się o to do Łaskawej Pani? Dwadzieścia lat jestem uzdrowicielką w Klanie Złamanego Kła, widziałam, jak większość z Wilków zmienia się z dzieci w dorosłych, zmienia szybko, czasem w ciągu jednego dnia, bo takie jest życie w tej krainie. Zszywałam ich rany, odbierałam ich dzieci i płakałam na ich pogrzebach. Stali się moją rodziną. A teraz… teraz Ojciec Wojny pośle Sahrendey pod wozackie miecze i topory, żeby stępili je własnymi ciałami, zanim rzuci do walki plemiona prawdziwych Se-kohlandczyków. Wierz mi, wolałabym, żebyście nie wracali. Nigdy. Ale skoro wróciliście, nie każ mi życzyć wam powodzenia. Bo powodzenie Verdanno to śmierć mojej rodziny. I niepowodzenie również.

Pod wpływem tego wzroku wszystkie gorzkie oskarżenia utknęły Key’li w gardle.

— Więc dlaczego mnie opatrujesz?

— A co innego może zrobić człowiek na widok skatowanego dziecka?

Dziewczynka uśmiechnęła się szeroko, świadoma, jak gorzki i cyniczny jest ten uśmiech.

— Gdy leżałam na ziemi, a oni mnie bili, ludzie wokół krzyczeli i śmiali się.

— Nie mówiłam o ludziach, tylko o człowieku. Ludzie to potwór o kamiennym sercu i stu gębach złaknionych krwi. Usiądź już, dobrze? Nie tak sobie wyobrażałaś tę wojnę, prawda?

Key’la opadła na posłanie i otuliła się pledem.

— Nie. Nie tak. W obozach… — zawahała się, próbując odnaleźć właściwe słowa. — W drodze na północ… wszyscy opowiadali o wojnie… Mówili o tym, jak nasze rydwany rozpędzą koczowników, jak na sam ich widok zawrócą konie i uciekną, krzycząc ze strachu. Mówili, że… że to już nie będzie rzeź bezbronnych karawan, jak w czasie Krwawego Marszu, ani walka z każdym plemieniem z osobna. Że teraz nie ma już plemion, są tylko Verdanno. Że jesteśmy silni… że… — nagle głos odmówił jej posłuszeństwa, oczy zapiekły, a gdzieś w piersi wezbrała fala bezbrzeżnego

smutku. — Moi bracia… mówili… przechwalali się, że podarują mi dziesięć zdobycznych… koni! A teraz nie wiem nawet, czy żyyyyją…!

Rozpłakała się. Coś, do czego nie mógł jej zmusić ani porywacz, ani banda wyrostków z kijami, ani budzący grozę „wybawca”, udało się tej jasnowłosej uzdrowicielce. Może dlatego, że tamci chcieli zobaczyć jej strach, a nawet mały tchórz ma dość dumy, by nie dawać satysfakcji wrogom, Tsaeran zaś nie chciała niczego poza porozmawianiem w rodzinnym języku.

— Cicho. — Kobieta objęła ją i przytuliła. — Już dobrze. To nie twoja wina, nie powinni cię zabierać na wojnę. Ale płacz, jeśli chcesz. Płacz to deszcz, który wymywa zaschniętą krew z naszych ran. Płacz.

Meekhanka tuliła ją, kołysząc łagodnie i nucąc pod nosem spokojną melodię.

Minęło trochę czasu, zanim Key’la się uspokoiła. Czerwona pręga na ścianie znikła, w namiocie zrobiło się ciemno.

— Już? Lepiej?

Było lepiej. Na tyle, że gdy się odezwała, głos jej nie drżał.

— Przepraszam.

— Nie ma za co. Sama czasem płaczę, gdy mnie bezsilność przyciśnie. To pomaga.

— My… nie płaczemy przy obcych.

— Skąd ja to znam. Sahrendey też nie płaczą publicznie. Dlaczego właściwie tak się nie lubicie?

— Co?

— Widziałam twoją minę, gdy rozmawiałaś z *amenray*. Wyglądało, jakbyś nie wiedziała, czy uciekać, czy rzucić mu się do gardła. A słyszałam, że potrafisz gryźć. — Błysnęła zębami. — W obozie opowiadają sobie o dziewczynce, która przegryzła ścięgno jednemu z tych kozich bobków.

Pokręciła głową.

— Nie zdążyłam, wyrwał się.

Cichy śmiech wypełnił ciemność. Był tak zaraźliwy, że po chwili Key’la wbrew sobie dołączyła do uzdrowicielki.

— Widzisz. Potrafisz się śmiać. To dobrze. Bolało coś?

— Tylko żebra.

— Czyli je masz. Powiesz mi, dlaczego Sahrendey tak was nie lubią?

— Oni nas?

— Tak. Choć nie tak, jak Se-kohlandczyków. Bardziej wami gardzą. Nie mówią wprost dlaczego, a ja nie podpytuję, bo musiałabym się zdradzić, że znam ich język, ale na wspomnienie Verdanno spluwają i rozcierają ślinę stopą, a to największa obelga, jaką może wyrazić Sahrendey. A wy? Czym wam zawinili?

Key'la przypomniała sobie, jaką minę miał ojciec za każdym razem, gdy wspominano Amanewe Czerwonego i jego lud. I nie tylko on. Nie było tych razów wiele, jakby nikt nie chciał rozmawiać o takich rzeczach, ale kiedyś, gdy była mała, bliźniacy opowiedzieli jej o brodatych potworach z twarzami malowanymi na biało, które przychodzą i mordują małe dzieci. Przestraszyli ją tak, że płakała przez całą noc. Kiedy ojciec się o tym dowiedział, po raz pierwszy i jedyny sprał ich rzemieniem, a mama – też po raz pierwszy i jedyny – zaśpiewała jej pewną smutną kołysankę, której słów dokładnie nie zapamiętała, ale która opowiadała o dzieciach idących spać w ciemnej ziemi dalekiego kraju. Poza tym nie wiedziała nic, to był sekret, którym starsze pokolenie niechętnie dzieliło się z młodszym.

— Nie wiem. Ale nienawidzą ich bardziej niż samego Ojca Wojny, choć nigdy z nimi nie walczyli. Przynajmniej o tym nie słyszałam.

— Ja też nie. Ale teraz, najpóźniej za dwa dni, będą walczyć. Wy i Sahrendey.

Och. Dwa dni.

— Tak. Dwa dni. Jesteśmy w pobliżu rzeki, wy nazywaliście ją Lassą, koczownicy mówią na nią Alesa. Ten obóz, z którego cię porwano, wyruszył spod gór i jest już pod wzgórzami. Podsłuchałam, jak o tym rozmawiają wojownicy. Jeśli utrzyma takie tempo, to jutro przejdzie wzgórza, a pojutrze stanie nad rzeką i wpadnie w pułapkę, bo oprócz plemion Danu Kreda będziemy tu i my, i Błyskawice z samym Yawenyrem na czele.

Przytuliła ją mocniej.

— Znów będę musiała zszywać im rany i wyciągać groty z ciał, leczyć poparzenia i odmrożenia od magii, a jeśli jakiemuś czarownikowi przyjdzie do głowy przywołać demony, to będę próbować leczyć rany, które nie powinny zostać zadane żadnemu człowiekowi. Będę patrzeć, jak umierają, i płakać na ich pogrzebach. Powiedz mi… co sądzisz o kobiecie, która płacze na pogrzebie wrogów swojej ojczyzny?

— Takiej, która nie może odwrócić się od pobitego dziecka? Okropna jest. I… boli!

Uzdrowicielka puściła ją i odsunęła się nieco.

— Przepraszam. Pójdę już. Powinnaś odpocząć. Nie martw się, do tego namiotu nikt nie zajrzy. A teraz połóż się i śpij.

Wyszła, nie oglądając się, a Key’la leżała dłuższy czas w ciemnościach. Ból powracał, tępy w żebrach i głowie, rwący w kolanie. Ale to nie było ważne. Liczyło się tylko, że obóz New’harr wyruszył i zmierza ku rzece. I nie wie, że czeka go tu walka nie z jednym Synem Wojny, lecz z dwoma i z samym Yawenyrem. Jak daleko mogą być? Trzydzieści, czterdzieści mil? Ile czasu… Ta myśl była bluźniercza, ale przecież i tak nie miała nic do stracenia. Ile czasu zajęłoby jej dotarcie do nich konno?

I gdzie trzymają tutaj konie?

* * *

Następnego dnia znaleźli drogę.

Biegła szczytem wzgórz i składała się z kwadratowych płyt szerokich na jakieś dwie stopy. Kenneth zarządził, by kompania zrobiła postój, a sam z Velergorfem i Nurem wdrapał się na szczyt, na którym zwiadowcy odkryli pozostałości kamiennego szlaku. Ścieżka lekko zakręcała, dostosowując się do kształtu wzgórza, co jasno dowodziło, że jej budowniczowie nie byli Meekhańczykami. Inżynierowie Imperium zbudowaliby drogę równą jak napięta cięciwa, w razie potrzeby przebijając się przez wzniesienia i zasypując doliny. Lecz jeśli chodzi o dokładność roboty, twórcy tego traktu z pewnością nie musieli się wstydzić. Płyty ułożono pieczołowicie jedna przy drugiej, tak że w szczeliny ledwo wchodził czubek noża. Perfekcyjna robota.

Porucznik przejechał dłonią po jednej z płyt, zerknął na czarny pył lepiący się do skóry.

— Ten sam, co wszędzie.

— Tak jest, panie poruczniku.

— Varhenn, jesteśmy tu sami, ja i dwóch najbardziej niezdyscyplinowanych podoficerów, jakich znam. Nie odgrywaj komedii. Co o tym sądzisz?

— Drogę ktoś musiał zbudować. I zazwyczaj drogi dokądś prowadzą.

— Brawo, dziesiętniku. Sam bym na to nie wpadł.

Kenneth wstał, obrzucając wzrokiem trakt przed sobą. Droga skręcała łagodnie, kilkaset jardów dalej znikała, ale mógł dostrzec, jak pojawia się na następnym wzgórzu i sunie dalej.

— Zwiad!

Trzech strażników, stojących do tej pory z boku, zasalutowało sprężyście.

— Pobiegnijcie do końca wzgórza i sprawdźcie, dlaczego urywa się ten szlak.

— Tak jest!

Potruchtali.

— Fenlo, odwróć się i powiedz mi, jak to wygląda z tyłu.

Dziwne, ale dziesiętnik posłusznie zrobił w tył zwrot.

— Kamienne płyty idą grzbietem, urywają się, na następnym wzniesieniu widać coś w rodzaju reszty tej drogi, jest bardziej poharatana, za nim… za wzniesieniem, znaczy się, jest kolejne, szlak ciągnie się tam także, dalej nie widzę, nie jestem pewien…

— Ile mil do tyłu go widzisz?

— Jakieś trzy, cztery? Nie więcej… panie poruczniku.

— A z przodu?

Tym razem Nur wzruszył ramionami, ale odwrócił się ponownie i zaczął opisywać to, co Kenneth miał przed oczyma.

— Wzgórze, droga się urywa, biegnie następnym wzgórzem, urywa się, potem następnym, widać coś jakby zakręt, przeskakuje na sąsiednie, idzie dalej… potem jeszcze dalej… — Fenlo Nur zawahał się, wreszcie dodał — stąd widzę dobre dwanaście, może więcej mil.

— Aha. Ja też. Varhenn, pokaż mapę.

Kenneth dostał do ręki zwój pergaminu, na którym rysowali mapę. Położył go na ziemi, zaznaczył najdalsze widoczne fragmenty drogi. Mapa składała się z białej plamy i wąskiego, rysowanego odręcznie szlaku z zaznaczonymi co bardziej charakterystycznymi punktami.

— Patrzcie, stąd mniej więcej przyszliśmy, to ta równina, na którą nas wyrzucili. Patrzcie tu — wskazał kilka znaków — tu weszliśmy między wzgórza, najpierw były łagodne, potem robiły się coraz bardziej strome,

teraz niektóre mają nawet pionowe ściany. A to droga. Biegnie zakrętami, ale w jednym kierunku. Od równiny, gdzieś tam. Rozumiecie?

— Nooo… trochę, panie poruczniku. — Velergorf podrapał się po policzku, jakby zaswędziały go tatuaże. — Droga wiodła skądś na tę równinę?

— Owszem. I im bliżej równiny, tym jest bardziej zniszczona. Wzgórza też. Ta czarna skała wygląda jak nadtopiona, jakby coś wypaliło w tym świecie dziurę o średnicy dziesiątek, może setek mil. Nad tamtym miejscem — wskazał kierunek, z którego przyszli — zapłonęło kiedyś żywe słońce, swym żarem topiąc wszystko jak wosk. Cokolwiek tam było, znikło bez śladu.

Nawet młodszy dziesiętnik wyglądał na wstrząśniętego.

— Kto dysponuje taką Mocą?

— Bóg, demon, ktoś z innego świata? Nie wiem. Ktokolwiek tu żył – budowniczowie podziemnych tuneli i nadziemnych dróg – nie miał najmniejszych szans. Zniszczono ich.

— To musiało być dawno. — Velergorf pokręcił w zdumieniu głową.

— Może sto lat temu, a może dziesięć tysięcy. Odkąd tu jesteśmy, nie poczułem tchnienia wiatru ani kropli deszczu na twarzy. Czarny pył zalega taką samą warstwą i na szczytach wzgórz, i w dolinach… Może to znaczy, że tu nigdy nie wieje ani nie pada.

— Kiedyś padało — mruknął Fenlo Nur.

Spojrzeli na niego, oczekując wyjaśnień.

— Tę drogę zbudowano na szczycie wzgórza. Tak się buduje, gdy okolica jest deszczowa. Woda spływa w dół i trasa jest sucha nawet w największą ulewę. Powierzchnia płyt jest lekko wypukła, żeby woda spływała na boki. W mojej okolicy jest kilka przedimperialnych szlaków, które wiodą szczytami wzniesień właśnie z powodu deszczów. Używamy ich do tej pory.

Zwiadowcy przytruchtali z powrotem.

— Mówcie. — Kenneth wstał i zwinął mapę.

— Droga urywa się jak nożem uciął, panie poruczniku. Na dole nic nie widać.

— A czego się spodziewałeś, Malawe?

— Nie wiem. — Strażnik miał zakłopotaną minę. — Jakichś głazów, kamieni, kupy gruzu.

— Po moście? A jeśli zbudowali go z drewna? Co zostałoby z drewnianego mostu, gdyby wionął na niego żar topiący skały?

Pokiwali głowami i więcej się nie odezwali.

* * *

Szli wzdłuż kamiennego traktu. Wędrowali najczęściej dołem, dolinami, jarami i wąwozami, niekiedy nadkładając sporo drogi, bo trasa dołem była trudniejsza i niezbyt przyjazna, ale wbrew pozorom szybsza, gdyż kamienny trakt powyżej wiódł od wąwozu do wąwozu, od przełęczy do przełęczy, a po mostach, które kiedyś łączyły jego odcinki, nie pozostał żaden ślad.

Okolica się nie zmieniała, czarne skały, czarny pył pod stopami, stalowe niebo nad głową. Żadnych cieni, żadnych przebłysków słońca, najmniejszej sugestii, że coś takiego jak słońce w ogóle tu istnieje.

Kenneth obserwował swoich ludzi. Szli z ponurą zawziętością, ale coraz rzadziej się odzywali, nie było żartów, głupich zaczepek, w czasie postojów gry w kości czy zwykłych opowiastek. Szli, póki nie padał rozkaz postoju, potem mechanicznie robili przegląd broni, jedli trochę suszonej koniny, popijali śmierdzącą wodą, kładli się spać albo obejmowali wartę. Zauważył, że większość nie zasypiała. Człowiek potrzebuje nocy do spania; jeśli wokół panuje wieczny, nieprzerwany dzień, można się zdrzemnąć, ale prawdziwy, głęboki sen, dający odpoczynek, nie nadchodzi. Większość leżała z otwartymi oczyma, inni zapadali w krótkie półsny, z których co chwilę wybudzali się gwałtownie. Niewyspani, zamieniali się w kukły, wykonujące wszystkie czynności w jakimś transie, wartownicy rozglądali się niewidzącymi oczyma, zwiadowcy ruszali się jak marionetki prowadzone przez nieudolnego lalkarza, wszyscy maszerowali niczym oddział żywych trupów.

Trzeciego dnia… Dnia? Cholera, porucznik dawno stracił rachubę czasu, nie wiedział, czy wędrują tu trzy dni, cztery czy może pięć, czy jest ranek, południe czy środek nocy. Ale – trzeciego dnia, tak przyjął, trzeciego dnia postanowił wreszcie coś z tym zrobić.

Zarządził dla połowy kompanii dziesięciomilowy bieg dnem najszerszego jaru, który do tej pory minęli, trasa była prosta, ściany gładkie i tylko zwiadowcy zapewniali, że z jaru jest wyjście wprost na kolejny odcinek kamiennej drogi. Zanim ruszyli, same parzyste dziesiątki, ogłosił, że zwycięska dostanie w nagrodę dwie pełne manierki wódki. Liczyło się przybycie na miejsce ostatniego strażnika.

Gdy reszta oddziału, eskortująca konie i kobiety, dotarła na miejsce, większość żołnierzy spała już snem sprawiedliwych. Szósta stała na warcie, odebrała nagrodę i obiecała, że podzieli się z Drugą, która ponoć przegrała wyścig o włos. Kenneth zostawił dziewczyny w obozie i zarządził szybki, pięciomilowy bieg dla nieparzystych dziesiątek. Dwie i pół mili w głąb jaru i z powrotem. Nagroda jak poprzednio.

Siódma miała najwięcej szczęścia albo najlepszych biegaczy.

Po raz pierwszy od wielu godzin cała kompania spała jak zabita, a rankiem Kenneth miał z powrotem pełnowartościowy oddział. Następny umowny wieczór spędzili na zawodach w przeciąganiu liny, zapasach i wyścigach. Nawet psy wzięły udział w zabawie. Jeśli cokolwiek w tej krainie miało uszy, to słysząc dzikie wrzaski siłujących się ludzi i szczekanie psów, zapewne uznało, że należy trzymać się z dala od tych demonicznych bestii.

Wciąż szli wzdłuż kamiennej drogi i wciąż na coś czekali. Ruch, atak, próbę odbicia lub zabicia hrabianki. Jeśli wnioski, które wyciągnęli z opowieści Laiwy i dziewczyn, były właściwe, ta wędrówka powinna wreszcie mieć swój kres.

* * *

Noc minęła spokojnie. To znaczy spokojnie jak na stan, w którym się znajdowała. Ból powrócił, ale nie tak wściekły jak poprzednio, czasem udawało jej się zasnąć, czasem budziła się nagle, zwłaszcza gdy próbowała przewrócić się na bok.

Dręczyło ją pragnienie. Oprócz kilku łyków mleka nie miała w ustach niczego od kolacji, którą zjadła tuż przed porwaniem. Nie pomyślała o tym, żeby poprosić Tsaeran o coś do picia, a pobieżne przeszukanie namiotu zakończyła w chwili, gdy walnęła się spuchniętym kolanem o jakąś pakę i omal nie zemdlała.

Po tym wydarzeniu przeleżała prawie do świtu i zasnęła w chwili, gdy zmęczenie wygrało z cierpieniem.

Obudziło ją delikatne dotknięcie. Uzdrowicielka siedziała obok i wpatrywała się w twarz Key'li z dziwną miną.

— Szukają cię.

Przez chwilę szalona nadzieja zatańczyła jej w piersi, ale zgasła, gdy zrozumiała, co właściwie widzi w oczach Meekhanki. Troskę.

— Se-kohlandczycy? — domyśliła się.

— Tak. Kyh Danu Kredo zażądał, żebyśmy cię wydali. Ale wszyscy posłowie, którzy wczoraj byli w jego obozie, wyjechali na zachód, na spotkanie waszych rydwanów, a nikt nie wie, który z nich właściwie cię zabrał.

— Jak to nikt? Na pewno ktoś…

— Ciii. — Tsaeran położyła palec na ustach i uśmiechnęła się szelmowsko. — Nikt w TYM obozie tego nie wie. Zapewniam cię. A przed bitwą Danu Kredo nie zaryzykuje zaczepki z tak nieistotnego powodu. Ale potem — troska wróciła — gdy twoi ludzie przeleją krew naszych… Może się okazać, że niechęć do tych kozich smarków jest mniejsza niż do Wozaków. Przed jutrzejszym dniem powinnam cię przenieść do mojego namiotu, i to tak, żeby nikt nie widział. Potem niech szukają. Chcesz pić?

Nie czekając na odpowiedź, z bukłaka nalała do maleńkiego kubeczka odrobinę wody, po czym wetknęła w nią kawałek słomki.

— Pij przez to. To jedyny sposób, żebyś piła małymi łykami. Następną porcję dam ci za chwilę.

Key'la wysączyła całą wodę w mgnieniu oka, mając wrażenie, że było jej tyle co w naparstku. Oblizała wargi.

— Jeszcze.

— Poczekamy chwilę. Nadal nie podoba mi się twój brzuch. Zwłaszcza te siniaki z lewej strony. Sikałaś znów?

— Nie mam czym.

— Widziałam ludzi z takimi brzuchami, którzy opijali się wodą, a po chwili umierali, wyrzygując krwawą flegmę. Ci, którzy powstrzymywali się od picia, czasem żyli dłużej. Sądzę, że tych pierwszych zabijały skurcze przy wymiotach, które pogłębiały obrażenia trzewi. Dlatego wolałam zaczekać z podaniem ci wody.

— Mogłaś mi powiedzieć. — Key’la nie odrywała wzroku od kubka, w którym znów znalazło się odrobinę płynu.

— I okręcić wszystkie twoje myśli wokół pragnienia? Ciekawy pomysł. Mdli cię? Czujesz skręt kiszek?

— Nie.

— No to pij. Przez słomkę.

Napełniła kubek jeszcze kilka razy, za każdym nalewając odrobinę więcej wody, aż w końcu mały bukłak został opróżniony. Key’la poczuła się odrobinę lepiej. Na tyle, że ból znów stał się najważniejszą częścią jej życia.

Powtórzyły wczorajsze oględziny i nacieranie maścią. Część siniaków przybrała niebieskozielony odcień, za to opuchlizna na kolanie jakby się zmniejszyła.

— Dobrze. — Uzdrowicielka wyglądała na zadowoloną. — Jaki to ból, gdy próbujesz chodzić?

— Jakby… skrzypiący.

— Skrzypiący? Dobre. Przyniosę później maść, która zmniejszy opuchliznę, i zabandażujemy kolano. Za jakiś czas powinno być jak nowe.

— Nie można wcześniej?

— Nie. Mam swoje zajęcia, a taka maść sama się nie zrobi. Głodna?

Pytanie. W kilku kęsach pochłonęła porcję zimnej papki o smaku suszonej wołowiny i oblizała wargi, wypatrując reszty. Meekhanka nie spuszczała z niej wzroku.

— Co wymyśliłaś? — rzuciła nagle, nakładając jej kolejną łyżkę.

Key’la zamarła w pół ruchu. To aż tak widać?

— Nic.

Niebieskie oczy zmrużyły się kpiąco.

— Nic? Wczoraj była w tobie jedna wielka dziura. O tu. — Dotknęła piersi dziewczynki na wysokości serca. — Przywieźli cię na koniu, więc jeśli dobrze rozumiem wasze zwyczaje, nie należysz już do Verdanno. Ale byłaś twarda. Nie płakałaś nawet wtedy, kiedy bili cię i kopali, ani wtedy, gdy rozmawiałaś z moim *amenray*. Łzy popłynęły, dopiero gdy wspomniałaś braci. Mogłaś myśleć tylko o tym, że być może ktoś z twojej rodziny zginął, a ty i tak nie możesz wrócić i przekonać się, co z nimi. To, co cię

najbardziej dręczyło, to wcale nie złamania i siniaki, tylko rany ducha. A teraz? Masz iskierki w tych czarnych ślepiach, wrócił ci apetyt i aż się rwiesz do… Powiesz mi do czego? Dlaczego nagle spieszy ci się do wyleczenia kolana? Dokąd się wybierasz?

Key’la odebrała z jej rąk kolejną porcję papki i zaczęła jeść, demonstracyjnie wpatrując się w miskę.

— Nie chcesz, nie mów. Ale ten namiot należy do Amureha Womreysa z Klanu Złamanego Kła, dowódcy Wilków, i nikt tu nie wejdzie bez jego pozwolenia. Jeśli go opuścisz, znajdziesz się poza jego ochroną.

— Nie potrzebuję jego ochrony.

— To dobrze, bo on nie jest zainteresowany, by ci jej udzielać. Widziałam to w jego oczach, tak samo czarnych i dzikich jak twoje. I lepiej…

Zasłona pełniąca funkcję drzwi uchyliła się, szarpnięta wściekle. Do namiotu weszła wysoka kobieta o najpiękniejszych włosach, jakie Key’la widziała w życiu. To pierwsze rzucało się w oczy. Sięgały poniżej pośladków, były gęste i błyszczały jak barwiony na czarno jedwab. Dopiero potem uwagę przyciągały mroczne, podkreślone ciemnym tuszem oczy, wargi, które musiały być czymś pociągnięte, bo takiej czerwieni nie mają naturalne usta, i kilkadziesiąt małych kółek w uszach. Prawdziwa dzikuska. Żadna kobieta Verdanno nie umalowałaby się tak, nie ozdobiła taką ilością kolczyków ani nie zapuściła takich włosów.

Na jej widok uzdrowicielka zerwała się na nogi.

— *Ueneya*. — Ukłoniła się lekko, ale z wyraźnym szacunkiem.

Kobieta zignorowała ją całkowicie, stała po prostu przez chwilę w wejściu i wpatrywała się w Key’lę. A dziewczynka, choć bardzo starała się wyglądać godnie, czuła, jak z każdym uderzeniem serca opuszcza ją pewność siebie. Oczy kobiety były tak beznamiętne, jakby miała przed sobą kawałek drewna. Trudno rzucić wyzywające spojrzenie komuś, kto patrzy na ciebie jak na przedmiot.

— Widzę, że karmisz ją naszym mięsem i poisz naszą wodą.

To zdanie, rzucone w ciężko akcentowanym meekhańskim, miało gorzki posmak. Jakby Key’la nie istniała albo była bezrozumnym zwierzątkiem.

— *Amenray* zabronił mi używania leków, ale nic nie mówił o pożywieniu.

— A ty po raz pierwszy w życiu go posłuchałaś, *maneya*? A zapach maści i ziół, który unosi się w tym namiocie, po prostu przywlokłaś ze sobą.

— Tak właśnie się stało, *ueneya*.

Czerwone wargi wykrzywił kwaśny uśmiech.

— Jesteś najbardziej nieposłuszną niewolnicą, jaka chodzi po tym obozie. Ale mój mąż bardzo cię lubi, a ja zbyt cenię twoje umiejętności, by karać za byle drobiazg. Nie okłamuj mnie jednak w żywe oczy, bo sprawdzę, która z nas jest dla niego ważniejsza.

Meekhanka pochyliła się w głębszym ukłonie.

— Wybacz, pani. Bez tych leków ona mogłaby umrzeć, a nie sądzę, by *amenray* tego chciał. Nie po tym, jak ją tu przywiózł.

Czarnowłosa uśmiechnęła się szerzej, mniej złośliwie.

— Tak lepiej. To kłamstewko ma pozory prawdy. Choć nie sądzę, aby umarła, to nie zdołam ci udowodnić, że łżesz. Ale nie lekceważ mnie więcej, Tsaeran.

Kolejny ukłon.

— Nie lekceważę. Ale nie pozwolę… — Drobne dłonie zacisnęły się w pięści. — Nie mogę pozwolić… nie chcę…

— Wiem. Zna twoją słabość. Gdyby ci pozwolić, każdy kulawy pies i sparszywiały kot trafiałby do twojego namiotu. Zamiast marnować czas, lepiej idź szykować leki i narzędzia. Twoje umiejętności wkrótce będą potrzebne.

— Ale…

Wysoka kobieta rzuciła kilka słów w jakimś miejscowym narzeczu, a uzdrowicielka pobladła nagle, zgięła w ukłonie i nie oglądając za siebie, wyszła.

Zostały same.

— Wiesz, co jej powiedziałam?

Key’la mimowolnie wykonała gest w *anaho’la*. „Nie wiem”.

— Odpowiadaj słowami!

— Nie wiem.

— Wiesz, kim jestem?

— Nie wiem.

— Nazywam się Saonra Womreys. Jestem żoną tego, który cię tu przywiózł. Nie przyznał mi się do tego od razu, dopiero wczoraj wieczorem przed opuszczeniem obozu powiedział, że jesteś w naszym namiocie. Mężczyźni… — Umalowana twarz wykrzywiła się w dziwacznym grymasie. — Ulegają emocjom, a potem mówią, wiesz, skarbie, mam na boku jakieś dziecko. Sam nie wiem, jak do tego doszło.

Grymas przerodził się w szalony uśmiech.

— Całymi miesiącami uczyłam się na pamięć tysięcy imion, a on pilnował, żebym żadnego nie pominęła. Wielu z nas uczy się ich, żeby pamiętać, kim byliśmy, bo nawet psie truchło zasługuje, by pamiętać jego imię.

Powiedziała to tak szybko i z taką pasją w głosie, że Key'la z początku nie była pewna, czy dobrze ją zrozumiała. Tym bardziej że meekh kobiety był nie najlepszy, niezgrabny i sztywny. Ale właśnie ze względu na tę pasję nie odważyła się odezwać.

— A teraz on robi coś takiego. Przywozi do naszego namiotu wozackie szczenię, które wyrwał z paszczy stepowych ścierwojadów. A ja widzę, jak krwawi w nim serce.

Uśmiech znikł.

— Widzisz, mała dziewczynko. On złożył kiedyś przysięgę, że za to, co zrobiliście, będzie wami pogardzał. Za zdradę, której się dopuściliście, i tchórzostwo, które okazaliście. Że jeśli spróbujecie wrócić, podpali wasze wozy i będzie grzał się przy ich ogniu. Takie przysięgi łatwo składać, gdy rany są świeże, ale z czasem nawet blizny przestają swędzieć. Nowi wrogowie, nowe walki, wiara, że nigdy nie zdobędziecie się na odwagę, by wrócić.

Key'la nie wytrzymała.

— To nasza ziemia.

— Nie! To była wasza ziemia, dopóki jej nie porzuciliście, a z nią całej swojej przyszłości. Dopóki nie zdradziliście. Znaleźliście sobie nowe ziemie, pod opieką Meekhanu, za tarczami jego żołnierzy. To my zostaliśmy tutaj, i musieliśmy walczyć o każdy dzień. On… i inni… i ja… — Kobieta zacisnęła pięści. — Rany się zabliźniły. Gdyby nie ty… gdyby nie ona…

Zrobiła krok w przód, a dziewczynka zawiesiła wzrok na długim nożu kołyszącym się w pochwie przy jej pasku. Ona jest szalona – tylko o tym

mogła myśleć. Byłoby wyjątkową złośliwością losu, gdyby teraz zginęła z ręki tej dziwacznej kobiety.

Dzieląca je odległość zmniejszyła się o kolejny krok i Key'la również zacisnęła pięści. Nie cofnie się. Nie okaże strachu.

— Gdybyś była… — czarnowłosa syczała przez zęby. — Gdybyś była kimś takim jak tamten, Amureh nie zmarnowałby na ciebie nawet śliny. Ale nie, ty musisz być małym dzieckiem, związanym i tłuczonym pałkami, ale tak dzielnym, by kopać i gryźć.

Dzielnym? Miała ochotę się roześmiać. Ona? Największy tchórz, jaki kiedykolwiek jechał w karawanie?

— Wiesz, co usłyszała ode mnie nasza *maneya*? Wiesz, co zrobił mój mąż? Nie wiesz, co zrobił. — Znów ten dziwny akcent i słowa wyrzucane jak pociski. — Wziął swój *maleyh* i pojechał na zachód, między wzgórza. Wasz obóz zbliża się do nich i rydwany wędrują po grzbietach wzgórz jak chrząszcze po padlinie. Ścieramy się, my i oni, a krew ścieka w jary i doliny.

Zacisnęła jeszcze mocniej pięści.

— Mój mąż szuka zapomnienia w niepotrzebnej walce. Przysłał nawet łup, chcesz zobaczyć?

Warknęła coś krótko, a klapa namiotu odchyliła się i weszły dwie kobiety wlokące za sobą ciało. Tsaeran szła obok i próbowała w ruchu opatrywać rannego.

Na kolejną komendę Saonry rzuciły mężczyznę na ziemię i wyszły. Żadna się nawet nie obejrzała.

— Mógłby leżeć na środku obozu i nikt nie rzuciłby w niego kamieniem ani nie dotknął go kijem. Po prostu zdechłby, a potem wyciągnęlibyśmy jego ścierwo w step i zostawili, żeby kruki i dzikie psy miały uciechę. Ale mój mąż zażyczył sobie, żebym utrzymała go przy życiu, bo może powie coś o waszych planach.

Key'la nie odrywała wzroku od mężczyzny. Verdanno, łucznik z rydwanu, zgubił gdzieś hełm, choć zyskał drugi, bo skrzepła krew pozlepiała mu już włosy w twardą skorupę. Pikowaną przeszywanicę, nałożoną dodatkowo na kolczugę, miał w strzępach, sama kolczuga przecięta była tak głęboko, że widziała spodni pancerz i błyskającą w czerwonej ranie kość. Oddychał ciężko, twarz miał zmiażdżoną jak po uderzeniu bojowym mło-

tem, zarówno nos jak i usta wyglądały niczym olbrzymie, opite krwią kleszcze.

— Mówić to on raczej nie będzie, ale kto go tam wie. Jesteście jak wszy, trudno was zabić. — Czarnowłosa przez chwilę wyglądała, jakby chciała splunąć. — Powiedz mi, mała *sawenjo*, czy mam rozkazać go opatrzyć, czy pozwolić, by tu zdechł?

— Już kazałaś.

— O tak. Kazałam. Bo jestem dobrą żoną głupiego mężczyzny, który myśli, że rozwalenie kilku łbów może zaleczyć rozdrapaną ranę. Więc posłucham mojego męża… a wy dopilnujcie, żeby przeżył.

Odwróciła się i wyszła z namiotu.

Uzdrowicielka natychmiast dopadła rannego.

— Pomóż mi.

Następny kwadrans wypełniło szarpanie się z ciężkim ciałem, zdejmowanie pancerza, obmywanie ran, a uwzględniając, że był typowym Wozakiem, czyli miał powyżej sześciu stóp wzrostu i ważył jakieś dwieście funtów, cudem było, że tak szybko się uwinęły. Na szczęście mężczyzna nadal pozostawał nieprzytomny, więc nie rzucał się, nie jęczał i nie machał rękami. Tsaeran ograniczała się do krótkich komend, „potrzymaj”, „przyciągnij”, „obróć”, „uważaj”. Widać było, że ma wprawę w zdejmowaniu pancerzy z ciężko rannych. Odezwała się pełnym zdaniem, dopiero gdy ułożyły go na posłaniu i obandażowały większość ran.

— Ona nie jest złą osobą.

Key’la, zajęta zmywaniem krwi z twarzy rannego, nie odpowiedziała.

— Nie jest zła. — Uzdrowicielka badała olbrzymie sińce na brzuchu wojownika. — Tylko przestraszona. Jej mąż pojechał na wojnę, której nie byłoby, gdybyście nie wrócili. Wiele razy ruszała z nim do walki i nie znam lepszej łuczniczki, na dwieście kroków trafia w pełnym cwale w cel wielkości głowy. Chce być przy nim, dołączyć własny łuk do jego topora, ale nie może. Sahrendey wierzą, że dusza wroga zabitego w walce może wejść w ciało nienarodzonego, by się mścić. Więc są takie momenty w życiu ich kobiet, gdy trzymają się z dala od pól bitewnych.

Mężczyzna jęknął, zacharczał pod jej dotykiem. Próbował się poruszyć. Uzdrowicielka pokręciła głową, wyraźnie zmartwiona.

— Dlatego nie jest zadowolona, że kazał go tu przywieźć, i dlatego kazała umieścić go w tym namiocie. — Wskazała na rzeźbiony słup. — Duchy przodków rodu, wędrujące w ziemi, nie dopuszczą, by duch tego mężczyzny zagroził dziecku. Ale najbardziej boi się, że on może zginąć. Że nie wróci. Że trafi go strzała albo oszczep, że stratują go konie albo padnie od miecza. Bądź wyrozumiała dla strachu ciężarnej kobiety.

Ranny wyglądał kiepsko. Nie udało im się usunąć skrzepu zlepiającego mu włosy, twarz nadal przypominała kawał mięsa, a rana na piersi krwawiła tak, że bandaże zdążyły już przybrać barwę jasnego karminu. Key'la słuchała wywodu Meekhanki, ale jej myśli krążyły wokół łucznika. Kim był, z jakiego rodu, ile miał lat?

— Słyszysz mnie?

— Tak. — Pokiwała głową. — Nie jest zła. Tak naprawdę otaczają mnie sami dobrzy ludzie. Jej mąż też nie jest zły, tylko z nudów pojechał zabijać moich krewnych, a jak mu rozkażą, wyda mnie w ręce Se-kohlandczyków. Właściwie mam szczęście.

Spojrzała na uzdrowicielkę, spodziewając się zmieszania albo rozdrażnienia. Dorośli często tak reagowali, gdy okazywała się bardziej wygadana, niż przystoi dziewięcioletniej dziewczynce.

Napotkała jednak wzrok, w którym rozbawienie mieszało się ze smutkiem.

— To są dobrzy ludzie. Uczciwi wobec sąsiadów, wierni wobec przyjaciół, unikają zbędnych okrucieństw i dotrzymują danego słowa. Cóż więcej trzeba, by być dobrym człowiekiem? A jacy są twoi bliscy? Nie… nie mów, przecież obie to wiemy. A jednak przysięgi złożone wiele lat temu pchną ich do wojny, której by nie było, gdybyście nie wrócili. Mimo obietnic spalenia waszych wozów, w głębi ducha chyba liczyli na to, że już się tu nie pojawicie.

— Co im takiego zrobiliśmy? Co takiego właściwie zrobiliśmy?

Uzdrowicielka pokręciła głową.

— Nie wiem. Nawet między sobą rzadko o tym rozmawiają, i nigdy przy niewolnicy. Ale jak już ci mówiłam, Sahrendey gardzą wami i woleliby, żebyście nigdy nie weszli im w drogę. Dopiero zaczynają być rozgniewani, żar ich gniewu dopiero wydostaje się spod grubej skorupy popiołu, ale wierz mi, gdy już wybuchnie, niebo zapłonie. A wy? Dlaczego ich nie lubicie?

Key’la wbiła wzrok w leżącego.

— Nie wiem — wyszeptała. — Nie powiedzieli mi… nie mówi się takich rzeczy dzieciom. Mama… miała mi opowiedzieć o Krwawym Marszu, jak skończę dwanaście lat. Ale teraz… nie wiem…

Śmiech Meekhanki był cichy i szczery, lecz zabarwiony odrobiną goryczy.

— Widzisz? Dwie niemające pojęcia o co chodzi dziewczyny próbują ocenić, czy ta wojna ma sens. W oczach Wielkiej Matki żadna wojna nie ma sensu, ale ona rozumie, że czasem trzeba się bić. To dość swobodna interpretacja Trzeciej Księgi Życia i moja przełożona w klasztorze zmyłaby mi za nią głowę, ale czasem tak to wygląda. Gdy człowiek wyjdzie zza murów albo gdy go stamtąd wywloką, zaczyna patrzeć na świat inaczej. Czasem dobrzy ludzie walczą z innymi dobrymi ludźmi, więc…

Na zewnątrz załomotały kopyta, wybuchły okrzyki. Uzdrowicielka poderwała się, jednym susem znalazła się przy wyjściu.

— Przywieźli naszych rannych. Muszę iść. Pilnuj go, ale nie dawaj nic do picia, ma uszkodzone jelita.

I znikła za zasłoną.

Key’la została sama z mężczyzną. Oddychał ciężko, z miazgi, gdzie znajdował się kiedyś jego nos, wydostawały się krwawe banieczki. Bandaż na piersi zrobił się lepki.

Przez dłuższą chwilę siedziała przy nim nieruchomo, dopiero teraz wyraźnie odczuwając własne rany. Zapomniała o nich, zajęta opieką nad wojownikiem, ale one nie znikły. Trudno. W porównaniu z jego stanem wywinęła się kilkoma zadrapaniami. Pogładziła go delikatnie po głowie, po czym ostrożnie położyła się obok i przytuliła, nie zważając, że brudzi ubranie krwią. Zapłakała, cicho, jak w rodzinnym wozie.

Dobrzy ludzie zabijają dobrych ludzi.

Nie tak wygląda świat w opowieściach bardów.

Zasnęła.

Rozdział 6

Obudził ją jęk i nagłe poruszenie. Ranny próbował wstać. Zerwała się, napotykając rozgorączkowane, pełne zagubienia spojrzenie człowieka, który nie wie, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Przykucnęła natychmiast, mimo protestu obolałych mięśni i ostrzegawczego zawrotu głowy.

— Nie ruszaj się. Leż, bo sobie zrobisz krzywdę.

Zareagował na *anaho*, wlepiając w nią zdumiony wzrok.

— Jesteś ciężko ranny. Nie próbuj mówić.

Nie posłuchał, spróbował, a oczy pociemniały mu z bólu i jęknął tak, że prawie stanęło jej serce.

— Mówiłam. Leż spokojnie, bo będzie gorzej. Wiem coś o tym.

Prześlizgnął się wzrokiem po jej sińcach i znieruchomiał.

— Dobrze. Staraj się oddychać płytko. — Nieśmiertelne w takich sytuacjach „wszystko będzie dobrze” nie chciało jej przejść przez gardło. — Możesz mówić w *av’anaho*?

Uniósł lekko prawą rękę.

„Mogę”. „Kim jesteś?”.

Dłoń mu drżała, ale znaki dawały się zrozumieć.

— Key’la. Key’la Kalevenh.

„Córka *En’leyd*”.

— Tak.

Wydawało się, że w jego oczach dostrzega rozbawienie.

„Ojciec się zdenerwował”. „Bracia też”. „Widziałem, jak walczą”.

Av’anaho nie było stworzone do długich opowieści, ale czasem kilka słów wystarczy. Jak walczą… Zamrugała.

— Żyją.

„Mocno żyją”. „Walczą mocno”. „Inni też”. „Kundle uciekają”. „Wygrywamy”.

Odwróciła wzrok, żeby nie wyczytał w jej twarzy niemego oskarżenia. Wygrywamy? To co tutaj robisz, wojowniku?

Domyślił się jednak, o co jej chodzi, bo najpierw delikatnie dotknął jej ręki, a potem, gdy spojrzała na jego dłoń, ta zatańczyła.

„Zrobiliśmy błąd”. „Za daleko pojechaliśmy”. „Było ciemno”. „Zasadzka”.

— Wiesz, kto cię schwytał?

Musiał wyczuć napięcie w jej głosie, bo zamarł.

„Nie”, padło po chwili.

— Glyndoi.

Dłoń zamarła i przez chwilę leżała nieruchomo. Przeniosła wzrok na jego twarz, zapuchnięte oczy wyglądały jak studnie.

— Oni już tu są, razem z resztą Sahrendey. Będą mieli ze czterdzieści tysięcy konnych. Yawenyr podobno znajduje się ledwo dzień drogi stąd z całą swoją gwardią, Kaileo Hynu Lawyo jest jakieś trzy dni za nim. Zawyr Heru Lom też już tu spieszy. Oni wiedzą, czekają na nasz obóz. Cofają się, żeby wciągnąć go w pułapkę. Między wzgórzami a rzeką nie będzie już gdzie uciekać. A potem zajmą się pozostałymi karawanami. Jedną po drugiej — powtórzyła to, co usłyszała od uzdrowicielki, najlepiej jak umiała. — Nie wygrywacie. Idziecie na rzeź.

Jego dłoń zadrżała i pokazała kilka znaków.

„Mordercy”. „Zdrajcy”. Potem był znak, którego nie rozpoznała, więc z pewnością należał do tych, których nie powinno się pokazywać małym dziewczynkom.

Wreszcie uspokoił się i widać było, że dużo by dał, żeby móc mówić. I że bardzo cierpi, fale bólu raz po raz mgliły mu wzrok. Ale nie rezygnował.

„Trzeba ostrzec”. „Muszę…”.

Key’la popatrzyła na niego z góry.

— Nic nie musisz, wojowniku. I niczego nie dasz rady zrobić, bo wkrótce umrzesz.

Zdumiała się, jak łatwo te słowa przeszły jej przez gardło. Umrzesz. Wiedziała, że ma rację, bo Tsaeran, uzdrowicielka, która przygarniała każdego psa w plemieniu, nie dała mu żadnych leków. Ani maści, ani wywarów. Najpewniej po dokładniejszym badaniu stwierdziła, że mężczyzna i tak skona.

— Jak chcesz kogokolwiek ostrzec, skoro ledwo możesz się ruszać?

Dłoń leżącego drżała, jakby targały nią bezwiedne skurcze.

„Ty". „Ty musisz". Nawet te proste gesty były dziwnie niepewne.

— Tak. — Skinęła głową. — Ja muszę. Znaleźć konia i pojechać. Nie jestem już Verdanno, ale znam swoje obowiązki. Jednak mogę to zrobić dopiero po zmierzchu. Ukraść konia, mieć nadzieję, że mnie nie zrzuci, i pojechać na zachód, modląc się, by trafić na obóz.

Spojrzała mu w oczy. Patrzył przytomnie, zatrważająco przytomnie jak na kogoś, kto jedną nogą był już w drodze na sąd Białej Klaczy.

„Wybacz".

— Nie ma czego. Do zmierzchu zostało trochę czasu. Zanim odejdziesz, opowiesz mi, co zrobili Sahrendey?

„Jesteś za młoda".

Uśmiechnęła się i dotknęła palcem kilku sińców.

„Naprawdę, wojowniku?".

Uciekł wzrokiem w bok, jakby nagle zrozumiał, że nie ma przed sobą zwykłej dziewczynki.

„Wybacz". „Opowiem".

* * *

Umarł zaraz po tym, jak skończył opowiadać. Mowa niska, wyrosła z języka gestów, którymi woźnice przekazywali sobie wieści w czasie wędrówek gigantycznych karawan, nie nadawała się zbytnio do takich historii. Nabrzmiałych gniewem, nienawiścią i pogardą. Człowiek mówiący normalnie ma całą gamę narzędzi, żeby przekazać to, co naprawdę chce powiedzieć. Gesty, mimikę, intonację. Wypowiadane słowa mają często znaczenie drugorzędne. Ale w *av'anaho*, którym posługuje się ktoś ze zmiażdżoną twarzą, niemogący się na dodatek ruszać, są tylko słowa. Takie, które wypalają ci w sercu rany głębokie jak grzechy świata.

Wyślizgnęła się z namiotu, ledwo zaszło słońce. Łucznik, którego imienia nie poznała, zmarł jakąś godzinę wcześniej, tak, jakby łaska Pani Stepów zstąpiła na niego. Po prostu zamknął oczy, westchnął i jego pierś już się nie poruszyła. Key'la zmówiła krótką modlitwę nad ciałem, przykryła zmasakrowaną twarz kawałkiem materiału i czekała. Uzdrowicielka nie pojawiała się. Może ta ciężarna zabroniła jej przychodzić, a może rannych w walce było tak wielu, że musiała się nimi cały czas zajmować. Dziewczynka miała nadzieję, że jest ich naprawdę wielu, a jeszcze więcej martwych i konających, których czarne dusze zostaną stratowane przez Klacz.

Mordercy.

Ubrała się w swoje rzeczy, a przeszukawszy kilka pak, znalazła wreszcie coś w rodzaju luźnej szaty, sięgającej do kolan i wyposażonej w kaptur. W obozie musiały być straże, jeśli ją zaczepią, odezwie się do nich po meekhańsku, może uznają ją za jedną z niewolnic. O bieganiu nie było mowy, opuchlizna na kolanie zmalała, lecz nogę nadal miała sztywną, a gdy próbowała ją zgiąć, odzywał się paskudny ból. Z resztą obrażeń nie było lepiej, kilka razy zakręciło jej się w głowie, a nagłe kłucie w dole pleców przypomniało, że ma nerki. Ale było coś, co działało jak najlepszy lek przeciwbólowy.

Nienawiść i gniew.

Mordercy i zdrajcy.

„Zawarliśmy przymierze", mówił Wozak w *av'anaho*.

„Przed Krwawym Marszem".

„Z nimi".

„Wiedzieliśmy, że jesteśmy zbyt słabi".

„Że potrzebujemy konnicy".

„Wsparcie dla naszych kół".

„Oni…".

„Przed pierwszą wojną…".

„Przed przybyciem Se-kohlandczyków".

„Byliśmy przyjaciółmi".

„Handlowaliśmy".

„Razem świętowaliśmy".

„Mieszaliśmy krew".

„Przyjaciele”.

Niewiarygodne, ile pogardy można wyrazić samymi oczami.

Zanim wyszła z namiotu, z kilku rzeczy ułożyła na swoim posłaniu podłużny tłumok i przykryła go pledem. Może się uda, a może da jej to tylko kilka uderzeń serca więcej. Nieważne. Jeśli kiedyś jeszcze spotka uzdrowicielkę, wywarczy jej w twarz, co sądzi o „dobrych ludziach”.

Nocne powietrze było chłodne, orzeźwiające, kilka wdechów przegnało zawroty głowy i rozjaśniło myśli. Rozejrzała się i odetchnęła z ulgą. Ten namiot znajdował się niemal na skraju obozowiska. Tylko kilka innych dzieliło go od otwartego terenu.

Obóz Glyndoi znajdował się na krawędzi olbrzymiej niecki, o kształcie podłużnego naczynia, w którym mama często podawała pieczoną gęś. Na to wspomnienie zakłuło ją w piersi i jednocześnie zaburczało w brzuchu. Teren lekko opadał, przechodził w gładką równinę o średnicy kilku mil, a potem odbijał w górę linią pofałdowanych wzgórz, odcinających się czarnymi grzbietami od nocnego nieba. Odszukała wzrokiem kilka znajomych gwiazd, tak, wzgórza były na zachodzie. Tam musiała jechać.

Wzięła jeszcze głębszy oddech. Powietrze pachniało dymem, wilgotną skórą i końmi. Ciche parsknięcia dobiegały gdzieś z przodu, od strony otwartej przestrzeni. To w końcu oczywiste, nikt nie trzyma wierzchowców między namiotami. Przymknęła oczy, zbierając się na odwagę i łajając za własne tchórzostwo. Miała wrażenie, że zza każdego z okolicznych namiotów przypatrują jej się złe oczy.

No, już – ponagliła własne nogi – naprzód. I nie skradaj się, idź, jakbyś miała coś do załatwienia.

Opowieść umierającego wojownika parzyła ją w środku ponurym żarem. Gdy tylko przymykała oczy, widziała drżącą dłoń kreślącą w powietrzu kolejne znaki.

„Przyjaciele”.

„Ze wszystkich plemion konnych ufaliśmy najbardziej im”.

„Gdy Yawenyr…”.

„… atakował Imperium”.

„Powiedział”.

„Dajcie zakładników”.

„Gwarancję uległości”.

„Byliśmy pobici”.

„Pokonani nie… odmawiają”.

„Daliśmy”.

„Tylko prosiliśmy”.

„Niech zakładników…”.

„… wezmą Sahrendey”.

„Oni są blisko”.

„Myśleliśmy… przyjaciele”.

„Myśleliśmy… prawie bracia”.

„Wiele krwi… zmieszaliśmy przez lata”.

„Yawenyr podbił ich…”.

„… przyłączył do swojej hordy”.

„Ale… przyjaciele… zaufanie”.

Pierwszych kilka kroków zrobiła ostrożnie, jakby stąpała po cienkim lodzie. Potem poszło łatwiej. Minęła dwa namioty i kryjąc się pod ścianą ostatniego, obejrzała teren przed sobą. Wąski sierp księżyca wisiał na niebie, ale było dość światła, by mogła się zorientować w terenie. Niecka naprawdę była duża, Key’la nie umiała dokładnie ocenić odległości, ale do wzgórz było ładnych kilka mil. Bez konia kuśtykałaby tam do świtu.

Na szczęście parę sporych, ruchomych plam w ciemności wskazywało miejsca, gdzie koczownicy zgromadzili swoje tabuny. Jutro te konie wezmą udział w bitwie. Chyba że ktoś zawiadomi nadciągający obóz o pułapce.

„…zaufanie”.

„Osiem tysięcy dzieci”.

„Po jednym na ród”.

„Zamieszkało pod namiotami”.

„Miały dwa, trzy… sześć lat”.

„Wojna z Imperium…”.

„… pięć krwawych lat…”.

„… my czekaliśmy…”.

„Słuchaliśmy”.

„Wojownicy Sahrendey…”.

„… pojechali na zachód”.

„Walczyć za nie swoją sprawę”.

„A my mówiliśmy ich wodzom…”.

„Porzućcie koczowników…”.

„… wy i my, siodła, rydwany…”.

„… bojowe wozy”.

„Pokonamy ich, przepędzimy”.

„Oni słuchali chętnie”.

„Mówili: dobry plan”.

„Mówili: pojedziemy z wami”.

„Jak tylko nasze sokoły wrócą…”.

„… wypędzimy (nie znała tego znaku)”.

„Nie wrócili… Imperium…”.

„… usypało z ich kości wzgórze”.

„Yawenyr… usłyszał plotki o naszych planach”.

„Powiedział im… udowodnijcie wierność”.

„Zabijcie zakładników”.

„Oni… tchórzliwe psy…”.

„… łaszące się do nóg pana…”.

„Wykopali doły… wypełnili je…”.

„… ciałami naszych dzieci…”.

„Ośmioma tysiącami ciał”.

Dobrzy ludzie. Chciało jej się krzyczeć. Wrzeszczeć i płakać jednocześnie. Dobrzy ludzie… I ci, bezwiednie powtórzyła niezrozumiały gest w *av’anaho*, ośmielali się spluwać na wspomnienie Verdanno. Ale przecież tak to działa, wyrządzisz komuś straszliwą krzywdę, to starasz się odebrać mu godność i honor, bo wtedy łatwiej jest spojrzeć sobie w oczy.

Czekała, wpatrzona w ciemność. Wzrok przyzwyczaił się, rozróżniała już poszczególne zwierzęta w tabunach. Nigdzie jednak nie spostrzegła wartowników, więc albo Glyndoi czuli się bardzo pewnie, albo strażnicy znajdowali się za końmi. To by znaczyło, że musi wybrać naprawdę dobrego wierzchowca i liczyć na szczęście.

Kilkadziesiąt szybkich kroków wyniosło ją poza linię namiotów, kuśtykała kulawym truchtem, zaciskając zęby i powstrzymując jęki, gdy tylko

stawała na lewą nogę. Konie powitały ją podenerwowanymi parsknięciami, więc stanęła na chwilę nieruchomo, by mogły poczuć jej zapach i ocenić, czy stanowi zagrożenie. Miała nadzieję, że noc i dzień w namiocie Glyndoi i ukradziona szata zmylą zwierzęta. Oceniała je, wszystkie wyglądały na dobrze odżywione i szybkie, na dodatek były duże, większe niż konie Sekohlandczyków. Ale i Glyndoi są więksi niż zwykli koczownicy, być może miało z tym coś wspólnego mieszanie krwi, o którym wspomniał konający łucznik.

Tym większa była ich wina.

Odwróciła się, żeby rzucić okiem na obozowisko, i zaparło jej dech. Tysiące namiotów. Zajmowały całą krawędź niecki, rozciągając się na milę w obie strony i najpewniej ciągnąc się też za wzniesieniem. Naprawdę byli tu wszyscy Sahrendey. Co do jednego.

Gdyby miała jakąś magiczną moc, postarałaby się, by wszyscy już tu pozostali.

Ostrzegło ją to, że konie zaczęły parskać, mimo iż się nie poruszyła. Ale było już za późno. Ciemna ręka zakryła jej usta, a w uszy wgryzł się ponury szept:

— Tak myślałem, że jeśli ktokolwiek będzie próbował nocą uciec z obozu, to będziesz właśnie ty.

Mówiący miał okropny akcent, a jego głos słyszała pierwszy raz w życiu, ale w sposobie, w jaki to powiedział, było coś osobistego. Następne zdanie wyjaśniło wszystko.

— Syn mojego druha będzie utykał do końca życia, bo moja własna matka nie upilnowała niewolnicy. Ale jak już pokonamy wasz obóz, zdobędę dość koni i złota, by opłacić mu pomoc najlepszych czarowników.

Czyli jednak przegryzłam to ścięgno – zdążyła pomyśleć, zanim uderzył ją w głowę, i zapadła w ciemność.

* * *

Czekali aż do świtu, nim zaczęli, ale wtedy poświęcili jej mnóstwo czasu. Najpierw dali jej pić i nakarmili do syta, przemocą wlewając zimną polewkę i gorzko pachnącą wodę w usta. Starannie wybrali miejsce: na skraju obozowiska Sahrendey, na szczycie niewielkiego wzniesienia, z którego roztaczał się doskonały widok na całą dolinę. Starannie rozstawili ste-

laż. Trzy długie tyczki, związane z jednej strony i rozstawione w trójkąt niczym szkielet najprymitywniejszego namiotu. Tylko że teraz nie miały wisieć na nim zwierzęce skóry.

Key'la nie potrafiła rozpoznać przeznaczenia pęku rzemieni zakończonych hakami, który jej oprawcy wyciągnęli, gdy konstrukcja była już gotowa, i chyba trochę ich tym rozczarowała. Więc szybko rzucili ją twarzą do ziemi, przycisnęli, a potem… jeden z nich pochylił się i zaczął szybkimi, nadzwyczaj sprawnymi ruchami wbijać jej haki w plecy. Krzyknęła, zaskoczona, gdy pierwsze ostrze przebiło skórę i wyszło na zewnątrz, ale zaraz zacisnęła zęby. Nie. Nie będzie szlochać i płakać.

Wbili jej cztery ostrza w plecy, na wysokości łopatek, odwrócili i wbili następne cztery na piersi. Postawili ją na odwróconym cebrze pośrodku rusztowania, przerzucili pęk rzemieni przez szczyt tyczek i – a wtedy wiedziała już, co zrobią, choć wyobraźnia cofała się przed oczywistością – wykopali jej podporę spod stóp.

Szarpnięcie było miękkie, mniej bolesne, niż się spodziewała, a uczucie unoszenia się w powietrzu na tyle niezwykle, że prawie mogła zignorować ból.

Jeden z Se-kohlandczyków szturchnął ją, aż zakręciła się wokół własnej osi. Zacisnęła usta. Nie będzie krzyczeć.

Zaśmiali się tylko.

— Widzisz, *sawenjo* — odezwał się ten, który ją porwał. — Cała sztuczka polega na tym, żeby powiesić zwierzę tak, by jak najdłużej żyło. Widziałem raz, jak silny niewolnik dopiero po dziesięciu dniach przestał się ruszać, choć ptaki już po pięciu ucztowały na jego twarzy. Tobie daję trzy dni. Zostawię tu nawet ludzi, żebyś przedwcześnie nie nakarmiła wron swoimi oczami. Będziesz miała piękny widok.

Wskazał panoramę niecki. Grzbiety wzgórz, które miała teraz nieco po lewej, oświetlało już słońce, po prawej odległy o dwieście jardów obóz Sahrendey budził się do życia. Jeszcze jej nie zauważyli albo nie obchodziło ich, kogo Se-kohlandczycy wieszają o świcie. Dlaczego niby miałoby ich to obchodzić?

Za obozowiskiem koczowników niecka opadała łagodnie ku niebieszczącej się rzece. Szeroko rozlana, ciemna i spokojna.

— Twoi są już między wzgórzami, szli wczoraj przez cały dzień, potem rozbili obóz i wkrótce znów ruszą, prosto na ten bród. Bo to jedyny bród

w okolicy, który przepuści taką karawanę. Już moglibyśmy ich zniszczyć, ale Ojciec Wojny przysłał rozkaz, by czekać z atakiem na jego przybycie. Chce osobiście dowodzić. Będziesz więc miała piękny widok na całą bitwę.

Koczownik mówił chrapliwie, zerkając co chwilę na obozowisko Sahrendey. Było jasne, że mógł wybrać sto innych miejsc, i że czeka na ich reakcję. Stała się zabawką, przedmiotem, który wyrywali sobie z rąk, byleby tylko dokuczyć pogardzanemu przeciwnikowi.

— Za to, co zrobiłaś jego synowi, mój druh chciałby cię zakopać żywcem w mrowisku. Nie mówię nie. — Uśmiechnął się oszczędnie, z wystudiowanym okrucieństwem. — Ale pomyślałem, że zrobimy to dopiero wtedy, gdy zostaniesz nad tą rzeką jako ostatnia ze swego parszywego plemienia, gdy już zobaczysz, jak spalimy wszystkie wasze wozy i zabijemy wszystkich twoich krewnych. Wtedy, jeśli będziesz jeszcze żyła, znajdziemy jakieś mrowisko.

Najwyraźniej bardzo, ale to bardzo chciał zobaczyć w jej oczach strach. Więc uśmiechnęła się tylko. Nee’wa uczyła ją od wielu lat, co to znaczy ostry język.

— Było dużo ochotników?

Zmarszczył brwi, zaskoczony.

— Oszalałaś ze strachu?

— Nie. — Pokręciła głową. — Pytam, czy do pilnowania mnie było wielu chętnych? Bo ci, którzy będą pilnować, nie pójdą do bitwy. I nie spotkają moich braci.

Przestał się uśmiechać, lecz ostrym warknięciem powstrzymał jednego ze swoich ludzi, który właśnie zamierzał się na nią rzemieniem.

— Dobrze. Bardzo dobrze. Nim umrzesz, każę ci wyrwać język i nakarmię nim swojego psa. Może zacznie głośniej szczekać. A teraz czekaj. Nim minie południe, powinnaś zobaczyć pierwsze wozy. Wpuścimy je tu, pozwolimy zobaczyć rzekę, a potem wszystkie spalimy. I wtedy znajdę dla ciebie mrowisko.

Ruszył i znikł za jej plecami. Jeden z jego ludzi został, chwilę przypatrywał się dziewczynie z namysłem, po czym usiadł, oparł plecami o jedną z tyczek i zamknął oczy.

Słońce w pełnej chwale wyszło nad horyzont.

* * *

Ten „dzień” obfitował w niespodzianki. Najpierw w jednym z jarów znaleźli coś, co wyglądało jak ruiny. Szereg kwadratowych podestów, nie wyższych niż na stopę, wystawało z gruntu. Musieli zejść na dno, by to sprawdzić. Kwadraty miały boki o długości od dziesięciu do przeszło czterdziestu stóp. Zbudowano je z tego samego kamienia co i drogę, lecz jeśli kiedykolwiek coś na nich postawiono, nie został po tym żaden ślad. Po godzinnych oględzinach Kenneth zarządził kontynuowanie wędrówki.

Potem, w czasie pierwszego postoju, zauważyli ruch na niebie. Trzy ciemne punkty przemierzały przestworza tuż nad horyzontem, daleko przed nimi. Trudno było ocenić zarówno odległość, jak i rozmiar stworzeń. Równie dobrze mogły to być wielkie ptaki, jak i latające miasta.

Punkty robiły się coraz mniejsze, w miarę jak się od nich oddalały, po czym znikły w bladej szarości. Od tej chwili nakazał wszystkim obserwację nieboskłonu.

Następnie, tuż przed kolejnym dłuższym odpoczynkiem, znaleźli ciała.

Cała kompania zgromadziła się wokół czterech trupów, tkwiących w szczelinie pod skalnym nawisem, zastygłych na wieczność w dramatycznych pozach. Przegapiliby je, gdyby nie psy, lecz nawet one nie odważyły się podejść do zwłok, tylko zatrzymały dobre dwadzieścia kroków od szczeliny i skomląc, wskazały ją ludziom.

Cztery ciała. Całkowicie zmumifikowane, lecz poza tym zachowane w doskonałym stanie. Nie licząc połamanych kości, ran i broni, która nawet po śmierci tkwiła w tych ranach.

Trzy z ciał należały do ludzi, jeśliby ktoś się uparł, by tak nazywać tych szarych zabójców. Wilk, Nur i Azger jednogłośnie stwierdzili, że jeśli to nie bracia, to przynajmniej bliscy kuzyni morderców szalejących po Olekadach. Zwłoki były zbyt stare, by mieć całkowitą pewność, ale szare stroje i szare ostrza w dłoniach zdradzały przynależność do jednej bandy. Ale czwarty trup, ten, który zapłacił im za swoją śmierć tą samą monetą…

Porucznik kazał go wyciągnąć ze szczeliny, by mieć pewność, że oczy ich nie mylą. Zabity miał prawie siedem stóp wzrostu i z całą pewnością nie był człowiekiem. Po pierwsze twarz, szeroka, z dziwnie zwierzęcymi rysami, płaskim nosem, a raczej nozdrzami, szeroko rozstawionymi oczyma i mocno zarysowanymi szczękami, w których wyróżniały się masywne kły.

Po drugie włosy, krótkie, sztywne i grube. Po trzecie ręce. Cztery ramiona, po dwa z każdej strony ciała, zakończone normalnymi, pięciopalczastymi dłońmi, choć kciuki były odrobinę za długie.

Kenneth kazał dokładnie obejrzeć ciało, szukając… psiakrew, śladów maskarady, jakiejś konstrukcji, która przytrzymywałaby sztuczne ręce przy tułowiu, albo czegoś w tym stylu. Nic z tego, musiał przełknąć fakt, że zabity miał więcej kończyn niż ludzie, choć ubierał się dość normalnie, nosił zwykłe spodnie, rodzaj luźnego kubraka bez rękawów i buty ze skórzaną podeszwą.

Przy pasie miał pochwy od dwóch długich szabel albo broni, która szable przypominała, bo ich pióra rozszerzały się na trzy cale, a rękojeści były zdecydowanie dwuręczne. Jedno z takich ostrzy tkwiło w czaszce napastnika, który wbił czterorękiemu nóż w brzuch, drugie leżało pod skalną ścianą, złamane wpół. Stworzenie zabił cios w pierś tak silny, że sztych długiego noża wyszedł mu plecami, choć sądząc po ułożeniu ciał, jego morderca skonał w tej samej chwili ze zmiażdżonym gardłem. Ostatni zabójca miał rozrąbany bok, co jasno mówiło, jak zginął.

Wszyscy nosili ślady zażartej walki, każdy z trupów odniósł w niej przynajmniej kilka ran, co świadczyło o tym, że najpewniej bardzo chcieli się pozabijać. Nie wiadomo było tylko, czy wynik starcia ich usatysfakcjonował.

Sprawdzali ciała przez dłuższy czas, ale nawet połączone siły najlepszych tropicieli kompanii nie mogły zdziałać cudów. Na przykład odpowiedzieć, kim był ten czwororęki olbrzym i kiedy zginął. Te trupy mogły tu leżeć całe wieki. Dwie rzeczy były pewne: to, że martwa kraina miała swoich gospodarzy i była kiedyś polem bitwy, a rozpętane w czasie tego starcia Moce obróciły ją w pustynię. I to, że szarzy zabójcy byli jakoś z nią związani.

Kenneth nabrał co do tego pewności, gdy pokazali ciała dziewczynom.

Kailean tylko wzruszyła ramionami, a Daghena wyglądała, jakby próbowała sobie coś przypomnieć, ale po chwili machnęła ręką. Lecz ich więzień… Na początku Laiwa nie podnosiła w ogóle wzroku, zamknięta w klatce obojętności, ale kiedy postawili ją tuż przed rozciągniętym na ziemi ciałem, zamarła. Porucznik pierwszy raz w życiu widział, żeby ktoś tak całkowicie skamieniał. Jakby zamieniono ją w posąg.

A kiedy się odezwała, z jej ust popłynęła modlitwa. To nie był meekh ani żaden język, który potrafiłby zidentyfikować, ale jeśli to nie była modlitwa, Kenneth gotów był zjeść własną tarczę. Tylko modlitwy mają taką rytmikę, i to niezależnie od tego, w jakim języku są wznoszone. Tylko w modlitwie, szczerej modlitwie, potrafią się tak pochylać ramiona i skłaniać głowy, i tylko takiej modlitwie mogą towarzyszyć łzy. Nikt nie będzie płakał, recytując poezję erotyczną albo przeklinając.

Potem, tak samo nagle, jak się ożywiła, Laiwa znikła. Po prostu. Ukryła się we własnej głowie tak głęboko, że na powierzchni nie pozostał nawet ślad. Jakby w siodle siedział trup. Gdyby nie pozostałości łez na policzkach, można by całe zajście wziąć za wymysł, halucynację przemęczonego umysłu.

Od dwóch dni… dwóch umownych dni, nie udało im się też znaleźć kolejnego źródła wody.

Dzień wcześniej zabili drugiego konia.

Na następnym postoju będą musieli zabić kuca.

Droga, której starali się trzymać, zdawała się wieść donikąd.

* * *

Kocimiętka westchnął, zaklął i otarł pot z czoła. Sanawami. Właściwie powinien spodziewać się, jak te wzgórza będą wyglądać. Verdanno opisywali je dość dokładnie, opowiadając o nich jako o grzbietach wielkich ryb, płynących tuż pod powierzchnią wody. I mniej więcej tak właśnie wyglądały.

Olbrzymie, długie na dwie, czasem trzy i szerokie na pół mili wzniesienia, przecinające Wyżynę Lytherańską z północy na południe. Nie były wysokie, miały po sto, sto pięćdziesiąt jardów, jednak w tej dość płaskiej krainie i tak prezentowały się okazale. Nie stanowiły żadnej przeszkody dla wozów, konie radziły sobie z łatwością, lecz wymusiły zmianę szyku. Pancerny Wąż rozciągnął się na boki, skurczył, podciągnął tyły, zmieniając niemal w kwadrat. To oczywiście miało swój sens, gdyby karawana pozostawała rozciągniętą na milę kolumną, jej czoło – chowając się za wzgórzami – traciłoby co chwilę kontakt z zadkiem. Teraz on sam mógł przynajmniej, stojąc na szczycie wzgórza, ocenić ogrom przedsięwzięcia, którego podjęli się ci szaleńcy. Pięć tysięcy wozów, jakieś trzydzieści tysięcy ludzi i tyle

samo koni. I wszystko to w wędrówce przez środek tej przeklętej wyżyny, prosto na hordę koczowników.

Stanął w strzemionach i rozejrzał się. Pojazdy płynęły leniwą rzeką, trzymając całkiem nieźle szyk, choć And’ewers ciągle wyglądał na niezadowolonego. Kocimiętka uważał, że jeśli uwzględnić, iż ledwo co piąty woźnica ma doświadczenie w powożeniu w karawanie, to i tak radzą sobie doskonale. Wbrew temu, co sobie wyobrażał, wewnątrz ochronnego kordonu, utworzonego z wozów bojowych, nie było wcale tak ciasno. Wozy mieszkalne i transportowe podróżowały w liczących około stu pojazdów grupach, mających własnego dowódcę i ścisłe miejsce w formacji. Każda taka grupa jechała w kolumnie szerokiej na pięć i długiej na dwadzieścia pojazdów, a jej woźnice mieli za zadanie tylko trzymać się swoich. Pomiędzy tymi mniejszymi karawanami pozostawało dużo miejsca, szerokimi alejami jeździły rydwany, czasem pojedynczo, czasem w sporych grupach, choć zdecydowana ich większość tworzyła kilkumilowy kordon ochronny wokół wędrującego obozu. Ten szyk zapewniał całości ruchliwość i zdolność do błyskawicznego okopywania się. Tak jak wczoraj wieczorem, gdy w ledwo dwa kwadranse pochód zamienił się z gigantycznej karawany w olbrzymi warowny obóz. Zewnętrzne ściany, składające się z trzech szeregów pancernych wozów, ścieśniły szyk, tworząc mur, mniejsze grupy wozów utworzyły własne ochronne formacje, w których wnętrzu znaleźli schronienie zarówno ludzie, jak i zwierzęta. Całość wyglądała jak miasto, z dzielnicami i oddzielającymi je ulicami. Bardzo porządnie i po wojskowemu.

Rankiem w mniej niż dwa kwadranse wszyscy zwinęli się i byli gotowi do drogi, Kocimiętka uznał, że taka sprawność zawstydziłaby nawet meekhańską armię.

A And’ewers i tak wyglądał na niezadowolonego.

Minął ich oddział rydwanów, wracający – sądząc po stanie, w jakim znajdowały się konie – z dalekiego zwiadu. Woźnice pozdrowili go, unosząc dłonie, któryś zagwizdał. Odmachnął im, pokazując jeden z obelżywych gestów, których się ostatnio nauczył. Odpowiedziały mu gwizdy i śmiechy. Szczeniaki. Mają za sobą jedną bitwę i kilka starć, ale to nadal banda dzieciaków bawiących się w wojnę.

Po nocnej eskapadzie na południe, kiedy on i reszta czaardanu zapobiegli masakrze, stali się w obozie czymś w rodzaju honorowych gości albo

maskotek. Każdy wóz stał przed nimi otworem, mężczyźni pozdrawiali ich jak równych sobie, a młode kobiety uśmiechały się zalotnie i pokazywały, gdzie będą nocować. Niiar, Landeh, Janne, zresztą na kopyta Laal, on sam, przyjęli niejedno zaproszenie. Dlaczegóż by nie? Co robiły Lea i Veria, nie wiedział, ale nie wyglądały na niezadowolone. Dlaczegóż by więc – powtarzał sobie w duchu – dlaczegóż do cholery, nie? W końcu jedziemy przez te cholerne wzgórza ku tej cholernej bitwie. Mamy trzy tysiące rydwanów, tysiąc wozów bojowych i trzydzieści tysięcy ludzi, a przeciw nam stanie… Oprócz sił Kyh Danu Kreda, który już pewnie zebrał większość swoich rzeźników, pewnie będą tam też Sahrendey.

Zeszłego wieczoru Verdanno starli się z kilkoma podjazdami, w których walczyli brodaci barbarzyńcy o twarzach pomalowanych w białe smugi. Podobno zaczęli się tak ozdabiać do bitwy dopiero ostatnimi laty, ale na Wschodzie nikt nie miał wątpliwości, kim byli. Białe Wilki, elita Sahrendey. Wieść o tym już się rozeszła i w całym obozie dawało się wyczuć paskudne napięcie.

Kocimiętka nie miał pojęcia, o co w tym chodzi, po prostu na wspomnienie o plemionach Amanewe Czerwonego w oczach Verdanno pojawiał się dziwny błysk. Był na wojnie i widział już coś takiego w spojrzeniach ludzi, dla których nie liczyło się nic poza zemstą i cudzą śmiercią. Wiedział też, że dobrze mieć w oddziale kilku takich desperatów, którzy bez wahania rzucą się do najbardziej szaleńczego ataku albo z radością zostaną na straconej pozycji, byleby tylko ujrzeć jeszcze raz krew wroga na własnym ostrzu. Ale cała armia z takim wzrokiem to zapowiedź nie bitwy, lecz rzezi. Nie będzie brania jeńców ani paktowania, nie będzie szansy na rozejm czy zawieszenie broni. Nie, żeby na coś takiego liczył, ale jak dowodzić, gdy twoi ludzie chcą tylko poczuć smak cudzej krwi w ustach? Na wieść, że Wilki są w pobliżu, kilka oddziałów rydwanów wbrew rozkazom wyrwało się do przodu i już nie wróciło. Nikt nie miał wątpliwości, jaki los je spotkał, ale to nie był największy problem. Jeśli już teraz Verdanno mieli kłopot z utrzymaniem dyscypliny, to co stanie się później? Gdy zobaczą szeregi znienawidzonych wrogów, wrzeszczących i prowokujących ich, czy się oprą? Gdy zobaczą, jak wróg zawraca i ucieka, nawet jeśli dla każdego, kto zachowa zimny umysł, będzie jasne, że to pułapka, czy posłuchają rozkazów i zostaną na miejscu? Nienawiść i pogarda dla wroga jest dobra w pieśniach i eposach, ale na polu bitwy to obosieczna broń. Wojnę należy toczyć tak, jak nauczyli tego wszystkich swoich sąsiadów Meekhańczycy,

na zimno i z wyrachowaniem, kalkulując każdy krok i nie pozwalając, by o wyniku walki decydował bojowy szał. A później niech już sobie poeci dopisują, co chcą. A teraz to, co płonęło w oczach Wozaków, wróżyło źle. Ktokolwiek będzie nimi dowodził, będzie miał kłopot.

Dowodzenie też go zresztą martwiło. Jako były oficer lubił proste i konkretne struktury, jeden dowódca, jego zastępcy, a pod nimi coraz szersze szeregi podwładnych. Trójkąt, na którego szczycie jest wódz – generał, herszt, Ojciec Wojny, jak zwał, tak zwał – a na dole ciury czyszczące koniom kopyta. Tu było trzech dowódców, jeden od marszu, drugi od obrony i trzeci, od rydwanów, o niezbyt jasnej pozycji. Co zrobią, gdy wróg uderzy w chwili, gdy obóz będzie w trakcie okopywania? Kto w takiej chwili dowodzi?

Źle jest komplikować sobie życie nad miarę.

Zgrzytnął zębami.

Na dodatek And’ewers nie wypuszczał ich na zewnątrz. A wewnątrz karawany nie bardzo mogli pomóc. Janne wspominał o wielkiej masie ludzi, koni i namiotów gdzieś nad rzeką za wzgórzami, lecz jego talent miał swoje ograniczenia i nie pozwalał na sięgnięcie do umysłów ptaków oddalonych dalej niż kilka mil. Podobnie Lea, potwierdzała, że obóz wędruje w stronę wroga, ale z takiej odległości nie potrafiła określić, czy jest tam pięć, dziesięć czy pięćdziesiąt tysięcy konnych. Jego ludzie powinni pojechać naprzód, godzina, dwie szybkiej jazdy i zbliżyliby się na tyle, by dowiedzieć się więcej. Podjazdów koczowników nie obawiał się zbytnio, nie pierwszy raz w kilka koni bawiłby się z nimi w kotka i myszkę. Ale kowal pozostawał nieugięty. Jeśli pojedziecie, mówił bardzo rozsądnie, będę musiał przekazać wszystkim patrolom, że wyjechaliście na zewnątrz. Teraz sprawa jest jasna, widzą konnych, strzelają i szarżują, ale gdy wy opuścicie karawanę, moi woźnice i łucznicy zaczną się wahać. A to kosztuje. Będę niepotrzebnie tracił ludzi.

Niepotrzebnie. To było słowo, które mówiło wszystko. And’ewersa nie obchodziło, kto jest przed nim. Nie potrzebował tych wieści; choćby nad tą rzeką czekał na niego Ojciec Wojny ze wszystkimi siłami wolnych plemion, *En’leyd* nie zawróci ani nie zwolni. Być może nie miał wyjścia, karawana tej wielkości mogła się tu przeprawić tylko przez jeden dostatecznie rozległy bród, innymi przeciskałaby się pewnie przez miesiąc, a być może chodziło o coś innego.

Key’la.

Nie znaleziono ciała, choć szukano dokładnie, i wszyscy wiedzieli, że została porwana i najpewniej już nie żyje. Wśród Wozaków krążyły fantastyczne opowieści na jej temat i Kocimiętka wcale im się nie dziwił, ludzie potrzebują symboli, bo choć w czasie obrony poległy setki wojowników, to opowieść o małej dziewczynce, która ocaliła obóz i zapłaciła za to najwyższą cenę, chwytała za serca, a dłoniom kazała szukać broni. Podobno na ochotnika zgłosiła się do roznoszenia zapasów wzdłuż pierwszej linii obrony i biegała pod gradem strzał, mając za osłonę tylko małą tarczę; podobno została ranna, ale nie zrezygnowała z obowiązków; podobno to ona wymyśliła sztuczkę z fałszywym pożarem i podobno w czasie szturmu przebiegła przez pole śmierci, a łaska Pani Stepów uchroniła ją przed wrogimi pociskami. Podobno zmusiła dowódcę piechoty, by złamał rozkazy i rzucił ludzi do kontrataku. A, do cholery, minęły tylko dwa dni. Za pięć dziewczynka stanie się awenderi samej Laal, wcieleniem kawałka duszy bogini, która osobiście interweniowała, by ocalić wiernych wyznawców.

Skrzywił się i ruszył naprzód, zjeżdżając ze wzgórza. To prawda, takie opowieści są dobre dla armii, rozgrzewają krew i każą zapomnieć o własnym strachu. I, na Czarnogrzywą, on sam przyłapywał się na tym, że gdy ich słuchał, coś łapało go za gardło. Jak każdy z czaardanu znał rodzinę And’ewersa z Lithrew, nieraz podkuwał u niego konia, niejeden gąsiorek osuszył z jego starszymi synami i samym kowalem. Czasem nawet przyniósł małej kilka ciastek albo jakiś drobiażdżek, bo jak na dziecko w swoim wieku była bystra i dawała się lubić. Ale jeśli nawet taki stary, cyniczny sukinsyn jak Sarden Waedronyk, zwany Kocimiętką, pozwala sobie na wzruszenie, to co można powiedzieć o tych tysiącach gołowąsów idących do bitwy?

Der’eko, jeden z jej braci, wyprowadzał swoje rydwany dalej niż jakikolwiek inny *Kanewey* i wracał z tuzinami se-kohlandzkich trupów przywiązanymi za wozami. Wymieniał tylko zranione konie, wyrywał strzały z burt rydwanów i wracał polować dalej. Na tyczce przymocowanej do burty zatknął pęk zdobycznych hełmów, bogowie wiedzą, skąd mu to przyszło do głowy, inni to skopiowali, a teraz jego Fala, idąc do ataku, do łoskotu kopyt dokładała wściekły brzęk obijającego się o siebie żelaza. Wykuwał własną legendę i widać już było, że jego woźnice pojadą za nim w ogień.

Co zresztą powiedzieć o samym *En'leyd*, którego wszyscy synowie wykpili się jak na razie kilkoma powierzchownymi ranami, a najmłodsza córka została porwana i zakatowana przez odwiecznego wroga? Kto ich prowadził do bitwy, doświadczony dowódca czy ojciec szukający zemsty i odkupienia?

I gdzie, do ciężkiej cholery, był Laskolnyk?

* * *

Mimo wszystko wędrówka dała im w kość. Niektóre wozy odpadły, złamały osie lub uszkodziły koła, a w takich wypadkach And'ewers był bezwzględny. Konie wyprzęgano, niezbędne rzeczy przenoszono na inne pojazdy, a resztę palono, choćby to był najpiękniejszy z rodowych wehikułów o ścianach z rzeźbionego drewna i szybach z kryształu. Jeśli jakiś koń doznał w walce kontuzji lub rany, która go spowalniała, odprawiano krótki obrzęd i powierzano go „łasce Laal", czyli zostawiano na pastwę losu. Tu Wozacy okazywali się pragmatyczni, skoro Pani Stepów dopuszczała, by na jej ziemiach żyły wilki, lisy, a czasem nawet górskie lwy, to znaczy, że taki był jej zamiar i jeśli porzucone zwierzę padnie ofiarą drapieżników, to z jej woli. Kocimiętka podziwiał ich też za to, że mimo własnych zwyczajów, walcząc z konnicą, nie wahali się. Ich strzały i oszczepy położyły już tysiące wierzchowców koczowników, a jedyną reakcją były krótkie modlitwy odmawiane co wieczór po zatrzymaniu się.

Tak jak wczoraj wieczorem, gdy rozbijano obóz między wzgórzami. Główna karawana rozsiadła się na szczycie największego z nich, zalegając tam niczym zmęczony, dyszący ciężko zwierz, a na grzbietach sąsiednich wzniesień rozstawiono mniejsze obozy, które miały strzec głównych sił przed niespodziewanym atakiem. Kocimiętka uważał, że to zbytek ostrożności, jeśli koczownicy wpuścili ich tak głęboko, to nie po to, by ryzykować starcie w terenie, na którym łatwiejsza jest obrona niż atak. Obozowisko na szczycie wzgórza trzeba atakować pod górkę, przyjmując grad pocisków i kontrataki rydwanów. Nie, jeśli teren, ku któremu zmierzali, był taki, jakim go opisywano, czyli stanowił szeroką na kilka mil nieckę, zamkniętą z trzech stron wzgórzami, a z czwartej rzeką, gdzie wszystko widać jak na dłoni, to dowódca se-kohlandzkiej jazdy powinien przyjąć bitwę właśnie tam.

Poza tym… O tym nikt głośno nie mówił, ale każdy, kto miał oczy i rozum, widział, że beczki z wodą wysychały w tempie błyskawicznym. To dlatego tak wielkie karawany nigdy wcześniej nie poruszały się po Wyżynie. Między Olekadami a Lassą nie było strumyków, studni ani źródeł, które mogłyby zapewnić im dość wody. Trzydzieści tysięcy ludzi, trzydzieści tysięcy zwierząt, trudna wędrówka, ciągłe potyczki i starcia, w których zwierzęta dają z siebie wszystko. Konie Verdanno należały do bardzo odpornych na głód i pragnienie, ale to znaczyło jedynie tyle, że mogły wytrzymać nieco więcej niż zwykłe, zwłaszcza że pracowały ciężej niż zwykłe. Każdy wypijał od ośmiu do piętnastu galonów wody dziennie, szczególnie konie bojowe, zaprzęgane do rydwanów i odbywające dalekie rajdy. Sześćdziesięciogalonową beczkę zaprzęg rydwanu osuszał w dwa dni. A takich zaprzęgów były tysiące. Tak wielkie karawany muszą się poruszać małymi skokami, od wodopoju do wodopoju, narzucając bezwzględny reżim w sprawie wody, można nieco przedłużyć ich życie, ale tylko o kilka dni. Coś za coś, siła w zamian za uzależnienie od pragnienia.

Tak naprawdę przebicie się do rzeki było dla Wozaków sprawą życia lub śmierci, obliczyli zapasy wody tak, że albo uzupełnią je nad Lassą, albo zginą. I nawet jeśli koczownicy nie dysponowali tak szczegółową wiedzą, to mieli przecież rozum i doświadczenie. Wiedzieli, że ich zadaniem jest tylko nie dopuścić wozów do wody. Nawet nie musieliby staczać bitwy, wystarczyło przetrzymać Verdanno kilka dni w oblężeniu.

Kocimiętka siedział już na koniu razem z resztą swoich. Nie, pomyślał, obserwując zwijanie obozowiska i ustawianie się w szyku. Ta bitwa się odbędzie. Za bardzo wszyscy jej pragną. Czują, że to już wkrótce, i nie mogą się doczekać.

Zeszłego wieczoru potwierdziło się ostatecznie, że z koczownikami Danu Kreda są Sahrendey, więc obóz będzie musiał walczyć z dwoma Synami Wojny naraz. Ale to zupełnie im nie przeszkadzało, co więcej, pragnęli tego. Część rydwanów pojechała już naprzód i znikła za grzbietem najbliższych wzgórz, część rozciągnęła się w linię chroniącą karawanę, lecz większość zajęła pozycję wewnątrz Pancernego Węża. Głębokie kolumny ustawiały się między wozami mieszkalnymi, gotowe do nagłego wypadu.

Szykowano się do bitwy i niech Laal spojrzy na nich łaskawym okiem.

Popędził konia w stronę wozu And’ewersa. *En’leyd* kazał go wezwać z samego rana, a wezwaniom dowódcy karawany się nie odmawia. Poza

tym oficjalnie płacił im za usługi, nieprawdaż? Niiar, Landeh, Janne, Lea i Veria pokłusowali za Kocimiętką. Nie musiał wydawać żadnych rozkazów, wszyscy uzbroili się jak do bitwy, pancerze, hełmy, miecze, szable, topory i łuki. Całą piątka wiedziała równie dobrze jak on, że jeszcze dziś czeka ich prawdziwa walka.

Kowal przyjął go w jadącym wozie, gdzie naradzał się jeszcze z Awe'awerohem Mantoru, który na widok Kocimiętki skinął lekko głową i posłał mu coś na kształt uśmiechu. *Lamerei* był w pełnym bojowym rynsztunku, nie zdjął nawet hełmu, a co najdziwniejsze, przyjmował rozkazy And'ewersa, potakując co chwila i rzucając po kilka słów. To był uspokajający widok, najwyraźniej przed bitwą hierarchia dowodzenia przyjmowała odpowiedni kształt.

Po chwili dowódca Fal skłonił się lekko i opuścił toczący się wóz, niemal od razu wskakując na jadący obok rydwan. Woźnica strzelił lejcami i znikli w tumanie kurzu.

— Gorąco i sucho — skwitował ten widok kowal, wskazując Kocimiętce miejsce naprzeciw siebie. — Dawniej wiosny były tutaj bardzie mokre.

And'ewers przeszedł na meekh tak naturalnie, jakby kontynuował przerwaną przed chwilą rozmowę.

— Zeszłego roku mieliśmy długie lato i gorącą jesień, teraz mamy wczesną i upalną wiosnę, zdarza się. — Jeździec przytaknął. — Po co nas wezwałeś?

Zmierzyli się wzrokiem. Kocimiętka lubił kowala, bo chłop potrafił wypić, a jak przyszło komuś w mordę dać, to nieszczęśnik od razu nakrywał się nogami. Ale teraz siedział przed nim *En'leyd*, Oko Węża, jak mówili Verdanno, ktoś, kto miał na głowie całą armię. W byłym bandycie budził się żołnierz i oficer. Przyjął mniej swobodną postawę.

— Podziękowałem wam już za wykrycie pułapki? – zapytał kowal.

— Pewnie tak. Nie wracajmy do tego.

— Dobrze. Nie wracajmy. — And'ewers pokiwał głową. — Wiesz, gdzie jest Laskolnyk?

To pytanie go zaskoczyło. Nie wypowiadał swoich obaw głośno, ale do tej pory miał cichą nadzieję, że przynajmniej dowódcy karawany orientują

się w planach kha-dara. W końcu zaufali mu na tyle, że wzięli udział w tym całym szaleństwie.

— Nie. A wy? Też nie?

— Nie. Od miesiąca nie dał znaku życia. Ale robimy, co musimy. Więc dzisiaj stanę przeciw dwóm Synom Wojny i będę próbował ich powstrzymać. Powstrzymać, nie pokonać, bo nie wierzę w możliwość pokonania ich tym, co mam.

Po raz pierwszy powiedział to głośno.

— Nie pokonam ich — kontynuował po chwili — ale mogę zatrzymać.

— Ile czasu?

— Kilka dni… może dłużej. Wystarczająco, by reszta zdążyła zejść z gór. Plany się zmieniły…

Tak. Tak bywa na wojnie. Możesz mieć najpiękniejsze plany kampanii, ale przeciwnik nigdy nie robi tego, czego oczekujesz. Kocimiętka pamiętał to z czasów wojny, bitwy o Meekhan, a nawet Długiego Pościgu. Sytuacja na polu bitwy zmieniała się wtedy z godziny na godzinę, wroga nigdy nie było tam, gdzie się go spodziewano, własne oddziały spóźniały się lub przybywały za wcześnie, jeden zerwany most mógł przesądzić o wyniku całego starcia. Jedynie ci, którzy znali wojnę tylko z opasłych ksiąg poświęconych wojskowości, uważali ją za coś, co można zaplanować i kontrolować. Rzecz jasna, jak się pisało księgi po wojnie, to każdą decyzję dowódców dawało się uzasadnić, wyjaśnić i umotywować.

Uśmiechnął się tylko.

— Jak długo planujemy się utrzymać?

— Kilka dni. Dłużej, jeśli przebijemy się do rzeki. Nie zaryzykuję przeprawy z koczownikami na karku, ale Lassa powinna osłonić nas choć z jednej strony.

— I dostarczyć wody?

— Tak. I dostarczyć wody.

Wymienili spojrzenia. Obaj byli zbyt starzy, żeby się oszukiwać.

— A jak nie dotrzecie do rzeki?

— Trzy dni. Jeśli będziemy oszczędzać, pięć. Koniom, które nie będą musiały ciągnąć wozów, zmniejszymy racje. A ludzie wytrzymają dłużej niż

zwierzęta. Obóz Aw’lerr powinien już zejść z gór, za dwa dni na Wyżynie będzie Saro’deh, za pięć, sześć reszta. Musimy się utrzymać do tej pory.

Choć ten plan wyglądał na rozsądny – bo logiczne wydawało się, by zatrzymać siły obu Synów Wojny w tym miejscu, i tym samym dać reszcie Wozaków czas na sforsowanie gór – to Kocimiętka miał przeczucie, że chodzi o coś innego. Za duża była zaciekłość, z jaką Verdanno szli do tej bitwy. No i za łatwo koczownicy wpuścili ich tak głęboko na Wyżynę. Przebyli już prawie siedemdziesiąt mil, a jedyny opór, na jaki natrafiali, to małe patrole i niezbyt liczne oddziały, z którymi rydwany radziły sobie bez większych kłopotów. Przez ostatnie dwa dni straty Fal nie sięgnęły stu załóg. Każdy, kto miał oczy, a w głowie zamiast garści krowiego łajna rozum, widział, że to wciąganie w pułapkę. Być może koczownicy taki właśnie mieli plan, wciągać obozy pojedynczo w głąb Wyżyny i likwidować je jeden po drugim, po kolei. Być może liczyli na pragnienie i kłopoty z wodą; jeśli wiosna okaże się równie upalna jak poprzednie lato, Se-kohlandczycy będą musieli tylko cofać się, zatruwając źródła i trzymając Verdanno z dala od większych rzek. Być może chodziło o jeszcze coś innego.

Maycha powinna się nazywać Panią Przypuszczeń i Domysłów, a nie Panią Wojny.

Ale cóż, obóz New’harr nie miał innego wyjścia. Zawrócenie oznaczałoby oddanie inicjatywy w ręce koczowników. I wędrówkę sześćdziesiąt mil na zachód z kurczącymi się w oczach zapasami wody.

— Może spadnie deszcz? — rzucił Sarden, choć sam w to nie wierzył.

— Taaaak. — Kowal przeciągnął sylabę, po raz pierwszy patrząc na niego z jawną kpiną. — Może.

Jak ktoś ma czarowników, którzy czerpią swą Moc z duchów tej ziemi, to wie, czy niebo zapłacze.

— Ale nie po to cię wezwałem. — And’ewers spochmurniał. — Jedziemy do bitwy, która was nie dotyczy. Pomagaliście karawanie w Imperium i w górach, pojechaliście z rydwanami na południe, nie musicie jechać dalej.

Kocimiętka pozwolił sobie na kwaśny uśmiech.

— Chcecie nas zostawić? W stepie pełnym koczowników? Nie przeżyjemy godziny.

— To mówi ktoś, kto wczoraj pchał się na czoło, zapewniając, że wywiedzie w pole samego Ojca Wojny, jeśli by tu był?

— To było wczoraj. Dziś jesteśmy bliżej wroga.

— Ledwo ruszyliśmy się z miejsca.

— Może, ale…

Kowal uniósł dłoń.

— Chcę, żebyście znaleźli Laskolnyka. I powiedzieli mu, że gdy będzie źle, zrobimy Martwy Kwiat. Będzie wiedział, co to znaczy.

To kończyło głupie przegadywanie się. Oczywiście pozostawało jeszcze jedno pytanie.

— Ta wasza wyżyna to kawał ziemi. Skąd wiesz, że on tu jest?

— Bo obiecał.

No tak. Obiecał. Wiara, jaką Wozacy pokładali w Laskolnyka, była wręcz mistyczna. I w gruncie rzeczy nie różniła się od tej, którą miał Kocimiętka, w końcu inaczej by go tu nie było.

— Obiecał nam pomoc — powiedział And’ewers. — Obiecał konnicę, która wesprze nasze koła. Najemników, wolne czaardany, zabijaków, którzy będą walczyć za nasze złoto. Dziesięć, piętnaście tysięcy szabel, dzięki którym zwiększą się nasze szanse. Nie jesteśmy tak szaleni, jak sądzisz. Nawet teraz możemy pokonać koczowników, wyprzeć ich na południe, ale za jaką cenę? Tracąc połowę naszej młodzieży? Mamy być jak ten szaleniec, który chcąc się pozbyć szczurów z wozu, spalił go doszczętnie? Chcemy odzyskać nasz dom i go utrzymać, a tego nie zrobimy bez konnicy. Bez najemników. Nikomu innemu na całych Stepach nie udałoby się zebrać takiej siły w ciągu dziesięciu czy dwudziestu dni, ale jeśli Szary Wilk zawyje, wataha zbiegnie się od razu. Ludzie pójdą za Laskolnykiem, przecież wiesz.

Wiem – Kocimiętka skinął głową – gdyby kha-dar rzucił hasło, wieść pomknęłaby przez przygraniczne prowincje jak pożar po suchym stepie. Pojechać pod dowództwem Genno Laskolnyka przeciw koczownikom? I jeszcze dostać za to wozackie złoto? W kilka dni zebrałoby się z dziesięć, a w kilkanaście ze dwadzieścia tysięcy ludzi, czaardany, najemnicy, wojownicy plemion zaprzyjaźnionych z Imperium, nawet cesarski rozkaz by ich nie powstrzymał. Pod warunkiem że Cesarz nie popiera tych planów, prawda? To takie proste. Jeśli plany się powiodą, Imperium pogratuluje Verdanno i wyśle ambasadorów; jeśli nie, Meekhan nie odpowiada za bunt

Wozaków i najemne bandy, które ci opłacili. A Laskolnyk? Toż on nie pełni żadnej funkcji w cesarstwie, jest tylko znudzonym byłym wojskowym bawiącym się w stepowego watażkę.

Kocimiętka poczuł, jak szeroki uśmiech wykrzywia mu twarz. Jeśli chodzi o intrygi i podstępy, mało kto może dorównać imperialnej dyplomacji.

— Obiecał nam konnicę. — Kowal podrapał się po policzku, ignorując minę kawalerzysty. — Na wieść, że przechodzimy góry, miał ją wprowadzić od południa, przez Stepy na Wyżynę. Mieliśmy się spotkać u podnóża gór, ale koczownicy pokrzyżowali nam plany. To przede wszystkim dlatego posłałem rydwany na południe, żeby się z nim połączyć.

Spojrzenie kowala stało się natarczywe.

— Nie powiedział ci o tym, prawda, Sarden?

— Powiedział, że się spotkamy, to wszystko.

Dla byłego żołnierza takie rzeczy są oczywiste. Laskolnyk to generał. A generałowie nie tłumaczą swoich planów każdemu porucznikowi, którego mają pod sobą. Zwłaszcza takiemu, którego wysyłają na teren wroga i który mógłby zostać złapany. Kocimiętka zauważył tę przemianę dowódcy już kilka miesięcy temu. Im bliżej wiosny, tym mniej było w Laskolnyku kha-dara, a więcej oficera. Genno stał się bardziej skryty, nie wyjaśniał swoich decyzji, wydawał rozkazy, a oni wykonywali je, nie pytając o nic. Czaardan płynnie zmienił się z bandy stepowych zabijaków w oddział wojskowy. No cóż, jemu osobiście akurat to odpowiadało.

— Jeśli masz do swojego kha-dara aż takie zaufanie…

— Nie mniejsze niż ktoś, kto sprowadził tu całą swoją rodzinę.

Błąd. Cholera, cholera, cholera! Niech najbardziej parszywy z wszystkich demonów Mroku nasra na mój bezmyślny jęzor!

And’ewers nie zmienił wyrazu twarzy. Zatrzeszczało tylko, gdy powoli rozprostował palce.

— Poszukacie go? Dla nas? — głos kowala był spokojny, jakby rozmawiali o wczorajszej pogodzie. — Jeśli poślę na tyły rydwany, nie ujadą kilku mil. Wiem, że koczownicy mają tam swoje patrole. Ale ty i twoi ludzie… Has i Ome twierdzą, że potraficie je ominąć. Pojedziecie?

Głupie pytanie.

Wyruszyli bez słowa. Niiar poprawił tylko tarczę na plecach, Landeh otworzył manierkę i wylał kilka kropel wina na grzywę swojego konia, na

szczęście. Lea skrzywiła się i odcięła toboły wiszące po bokach siodła. Walnęły o ziemię i tak zostały.

Znaleźć Laskolnyka. Z ich talentami nie powinno to być aż tak trudne, jeśli kha-dar rzeczywiście prowadził na Wyżynę kilkanaście tysięcy koni, Janne powinien wypatrzyć go ptasimi oczyma, a Lea wyczuć. Co prawda sytuacja w ciągu ostatnich dni zmieniała się kilka razy, więc mógł po prostu nie wiedzieć, co się dzieje, ale to, że nie próbował do tej pory skontaktować się z Wozakami, nie wróżyło dobrze. Zgodnie z pierwotnymi planami Verdanno powinni właśnie umacniać pod górami wielki obóz, spod którego powoli ruszałaby pierwsza karawana. Tymczasem obóz New’harr był już siedemdziesiąt mil od Olekadów i szedł na spotkanie dwóch Synów Wojny.

Cholera jasna, potrzebowali Laskolnyka, nawet jeśli prowadziłby tylko pięćdziesiąt koni.

Minęli ostatnie wozy i ruszyli w wędrówkę po wzgórzach. Landeh uniósł wyżej zdobyczną lancę z kawałkiem czarnej szmaty na szczycie. Dopóki w pobliżu znajdują się rydwany pełne gorącogłowych szczeniaków, lepiej być widocznym z daleka. I mieć nadzieję, że szczeniaki pamiętają, że dzisiaj ten sygnał znaczy – najpierw pytaj, potem szarżuj.

Rozdział 7

Nie bolało tak bardzo, jak się spodziewała. Ból był, oczywiście, ale nie odbierał zmysłów ani nie paraliżował woli. Dawał się wytrzymać. Kilka miejsc – tam, gdzie wbito haki – pulsowało tępo, czuła, jak strużki krwi spływają jej po plecach i piersi, ale w gruncie rzeczy to było nic. Na dobrą sprawę mogła podnieść ręce i dotknąć tych ran. Mogłaby, gdyby była jedną z tych na wpół mitycznych bohaterek z opowieści Verdanno, złapać pęk rzemieni, na którym wisiała, i podciągnąć się w górę. Podciągnąć się jedną ręką, drugą wyciągnąć haki, opuścić się bezszelestnie na ziemię, udusić strażnika i uciec.

Tak.

Te myśli najdobitniej świadczyły o tym, że odpływa w obłęd, ale dzięki nim zrozumiała, na czym polega ta tortura.

Nie dało się uciec w ciemność, ból był, ale nie na tyle silny, by pozbawić przytomności, zabrać ofiarę w krainę spokoju. Stały, monotonny, jednolity… Lecz nie on stanowił główną torturę.

Oddychanie. Ostrza przebiły w kilku miejscach mięśnie i gdy nabierała mocniej powietrza, zagłębiały się bardziej, rozrywały ciało, a ból rósł. Więc oddychała płytko i powoli, jednak co jakiś czas musiała spróbować zaczerpnąć tchu głębiej, mimo iż kolejne strumyki krwi spływały po ciele.

Żeby o tym nie myśleć, rozglądała się na boki.

Gdy słońce wzeszło wyżej, zrozumiała, dlaczego zadali sobie tyle trudu i powiesili ją w tym miejscu. Nie tylko dlatego, by miała widok na całą nieckę i by podrażnić Sahrendey. Przede wszystkim jednak dlatego, by wszyscy, także koczownicy Danu Kreda, widzieli, co dzielny wojownik zrobił z krnąbrną niewolnicą i w jaki wspaniały sposób upokorzył nielubianych sprzymierzeńców.

Po prawej miała obóz Sahrendey. W świetle dziennym mogła w pełni ocenić jego wielkość, namioty ciągnęły się na przestrzeni co najmniej mili i znikały za grzbietem wzgórza. To było całe ruchome miasto. Gdzieś za nią

znajdowało się obozowisko plemion Kyh Danu Kreda, nie mogła obrócić głowy, by mu się przyjrzeć, lecz sądząc po odgłosach i odległym gwarze, równie wielkie. Przed sobą widziała panoramę całej niecki, łącznie z fragmentem rzeki, i jeśli dobrze rozróżniała kierunki, karawana powinna pojawić się na wzgórzach po jej lewej stronie. Jakieś sześć, siedem mil równego terenu, na którym to Verdanno będą na dole, a koczownicy nieco wyżej.

Śmiertelna pułapka dla wozów i rydwanów.

Musiała zrobić głębszy wdech, zabolało.

Zagryzła wargi.

Nie będzie płakać.

Następną godzinę wytrzymała, obserwując zabawy wrogów. Niechęć między plemionami wywodzącymi się z rdzennych Se-kohlandczyków a tymi, które zostały przez nich podbite, była większa, niż sądziła. Obie strony spędziły poranek na prowokowaniu się i szukaniu zaczepki, jakby fakt, że zbliżają się jej rodacy, stanowił tylko drobną uciążliwość.

Dopiero teraz zauważyła, że obozowisko Sahrendey otacza szeroki na kilka stóp pas starannie skoszonej trawy, za którym wędrują uzbrojeni w łuki i włócznie strażnicy. Wojownicy Danu Kreda demonstracyjnie podjeżdżali do tego miejsca, niektórzy powoli, inni galopem, jakby mieli zamiar naruszyć teren Sahrendey. I w ostatnim momencie, gdy łuki strażników już się napinały, zawracali konie i z dzikim śmiechem cwałowali wzdłuż wyznaczonej przez ściętą trawę linii. Inni zatrzymywali konie tak, że ich przednie kopyta ryły w ziemi tuż przy zakreślonej granicy, wzbijając w powietrze kępy trawy. Cal dalej i poleje się krew.

Ale żaden nie ośmielił się posunąć o ten cal. Nie przy obozie zajmowanym przez Wilki. Zresztą sami Glyndoi nie pozostawali dłużni Se-kohlandczykom. Któryś ze strażników obozowiska „przypadkiem” wypuścił strzałę tak, że wbiła się piędź od kopyt jednego z koni koczowników, wierzchowiec spłoszył się i szarpnął w tył, drobiąc nogami i potrząsając łbem. Odpowiedzią była salwa śmiechu i wyzywające gwizdy spomiędzy namiotów. Jeździec spłoszonego zwierzęcia krzyknął coś rozgniewany, wyszarpnął szablę z pochwy i spiął konia, gotów do przekroczenia granicy. Śmiech i gwizdy momentalnie umilkły, łuki napięły się mocniej, twarze skamieniały.

Rozległ się krótki, przeszywający uszy gwizd, a koczownik w końcu ściągnął wodze i z warknięciem, które mogło być tylko przekleństwem,

schował broń. Po kolejnych kilku gwizdach on i jego towarzysze zawrócili i znikli za grzbietem wzgórza.

Key’la odetchnęła. Nie mogła już wytrzymać, czuła, jak haki rozrywają ledwo zasklepione rany i gęsta krew znów płynie. Żeby nie jęknąć, mocniej zagryzła zęby.

Trzy dni? Nie wytrzyma do wieczora.

Lecz jedna rzecz Se-kohlandczykom z pewnością nie wyszła. Glyndoi zachowywali się, jakby nie istniała, jakby dwieście jardów od ich obozu wisiał zwykły kawałek mięsa. Nawet jeśli wśród jeźdźców, którzy na chwilę ukazali się pomiędzy namiotami, był jej wybawca, nie dał znaku, że jej los cokolwiek go obchodzi.

Och… przeklęci mordercy. Jak ktoś ma na rękach krew ośmiu tysięcy dzieci, to śmierć kolejnego jest dla niego równie nieważna jak zeszłoroczny deszcz. Ale i tak wiele by dała, żeby spojrzeć mu w oczy, a potem… O czym to wspominała uzdrowicielka? Splunąć pod nogi i rozetrzeć plwocinę stopą? Teraz byłoby trudno, ale nawet samo splunięcie powinien zrozumieć. Po co wróciliście, pytali. Teraz rozumiała, co czaiło się w głębi ich oczu. I jego, i tej szalonej kobiety.

Strach.

Strach przed sprawiedliwą zemstą i karą.

Oddech i ból. Krew w ustach.

* * *

Nie brakowało jej rozrywek. Przed południem pojawiło się kilku chłopców, w tym jeden z jej prześladowców. Chciała zapytać, jak tam noga jego towarzysza, lecz zabrakło jej tchu.

Chłopcy stali i patrzyli, spróbował trącić ją kijem, lecz strażnik osadził go na miejscu krótkim warknięciem. Tym razem nie miała być rozrywką dla nudzących się młokosów. Stali więc tylko i patrzyli, aż wreszcie nad obozem Se-kohlandczyków zabrzmiała kakofonia piszczałek, trąb i małych bębenków. Z początku nie zrozumiała, o co chodzi, nie pomógł jej nawet widok pilnującego jej koczownika, który poderwał się na nogi i oddał trzy głębokie ukłony w stronę obozu. Dopiero gdy przegalopował przed nią oddział konnicy w błyszczących kolczugach, z hełmami ozdobionymi kitami z końskiego włosia i tarczami, na których oprócz znaku błyskawicy

widoczny był czarny jastrząb, pojęła. To byli Jeźdźcy Burzy należący do samego Yawenyra. Więc uzdrowicielka nie kłamała, Ojciec Wojny przybył, by osobiście dowodzić w bitwie przeciw pierwszemu z obozów Verdanno.

Strażnik musiał dostrzec coś na jej twarzy, bo zaśmiał się i rzucił kilka słów w swoim języku, przejeżdżając wymownym ruchem palcem po gardle.

Wdech.

* * *

Ból.

Ból przy każdym oddechu, przy każdym poruszeniu. Ból, gdy zrywał się wiatr i nią kołysał, i gdy wiatru nie było. Ból, gdy strażnik opierał się nagłym ruchem o tyczkę, i gdy wstawał, by rozprostować kości.

Najbardziej bała się, że nie wytrzyma i zacznie szlochać, błagać o litość. To znaczy była to ostatnia myśl, która trzymała ją po tej stronie, jedyna, której się uczepiła i która nie pozwalała jej poddać się do reszty. Już wkrótce… nadjadą wozy… wielkie jak domy wozy bojowe i szybkie jak śmierć rydwany, i koczownicy zrozumieją, że łaska Pani Stepów jest po stronie tych, którzy przychodzą mścić swoje dzieci. A ona zobaczy ciała czarnobrodych morderców zaścielające całą okolicę i ich namioty stratowane kopytami i zmiażdżone kołami…

Tak będzie…

Tak właśnie będzie…

Ból.

* * *

Krzyki. Mimo wszystko musiała na chwilę stracić przytomność, bo krzyk ją zaskoczył. Odetchnęła głębiej i jęknęła, wbrew obietnicy, ale strażnik nie zwrócił na to uwagi. Zbyt był zajęty przypatrywaniem się wściekłej awanturze, jaka wybuchła przy granicy obozowiska Sahrendey.

Stała tam spora grupa koczowników, a na ziemi leżały trzy ciała. Naprzeciw nich tkwił ten, który wcześniej ją wyratował. Kto inny wyrastałby o głowę nad koczowników i miał przy sobie niską, jasnowłosą niewolnicę? Se-kohlandczycy krzyczeli coś i wygrażali rękami, lecz czarnobrody olbrzym pozostał niewzruszony. Być może pewności siebie dodawał

mu fakt, że za plecami, na skraju namiotów, tkwiło kilkunastu łuczników, którzy wyglądali, jakby strzały parzyły ich w palce. Wysłuchiwał przez chwilę wrzasków, po czym zwrócił się z jakimś pytaniem do uzdrowicielki. Ta wzruszyła ramionami i wymownym ruchem popukała się w skroń.

Oboje odwrócili się bez słowa i ruszyli między namioty, a łuki ubezpieczających ich wartowników zaczęły się napinać, bo za nimi ruszyli Se-kohlandczycy. W tym momencie w grupę koczowników wjechało kilku jeźdźców w długich kolczugach, ze znakami Ojca Wojny na tarczach. Wystarczyło jedno warknięcie i jeden gest, a wszyscy spokornieli i znikli, zabierając ciała.

Pozostał tylko ten, który ruszył w jej stronę.

— Wygodnie ci? — zapytał, gdy dotarł na miejsce.

Jej porywacz i kat. Tym razem nosił skórzany pancerz i hełm z kolczym nakarczkiem. Patrzył na nią z ciekawością, jak na nieznane zwierzę.

— Próbowałem ich przekonać, że to głupie. Że nie miałaś dość czasu, by się mścić. Ale niektórym nie da się przemówić do głowy.

Nie zrozumiała.

— Jakąś… godzinę temu znaleźliśmy pierwsze ciało. Zaczęliśmy szukać innych i trafiliśmy na jeszcze dwa. To ci chłopcy, których już spotkałaś. Szaman stwierdził, że ich dusze wyrwano z ciał wczoraj przed północą, czyli zanim cię schwytałem. Ale ty weszłaś między konie od strony obozu tych *gabealeo*, więc nie miałabyś dość czasu, by zabić. Szaman nie potrafił jednak znaleźć zabójcy, więc rodziny chłopców poszły do tamtych — skinął głową w stronę namiotów Sahrendey — oskarżając ich o tę krew. Głupie to, bo nawet Glyndoi nie zabijają w ten sposób. Jednemu z chłopców wyrwano serce, drugiemu obcięto głowę, trzeciego uduszono.

Wpatrywał się w jej twarz, czekając na reakcję, więc nabrała głębiej powietrza i uciekła w ból. Czasem się przydaje.

Parsknął.

— Gdyby prawdą było, że to Wilki weszły do naszego obozu i wyszły stamtąd żywe, wszyscy wartownicy zawiśliby obok ciebie. Ale dlaczego oni mieliby zabijać tych młokosów? Żeby cię mścić? Gardzą wami. Nienawidzą chyba bardziej niż nas. Nie. To coś innego, ale teraz nie mam czasu na przyjemności… Za godzinę albo dwie będą tu wasze wozy. Jeśli jednak

przeżyjesz do końca bitwy, porozmawiamy. Ja i rodziny tych chłopców musimy ci zadać kilka pytań.

Uśmiechnął się. Jakby wściekły pies obnażał zęby.

— A żebyś się nie czuła samotna, wieczorem przyślę tu jeszcze jednego strażnika. Dwóch doświadczonych wojowników to nie to samo co samotny chłopak, prawda?

Zignorowała go, koncentrując się na hakach. Tylko na nich. Jeszcze raz nabrała powietrza, a świeża krew popłynęła w dół.

Dwóch doświadczonych wojowników? Nawet czterech albo ośmiu może nie wystarczyć.

Wiedziała już, oczywiście że tak, wiedziała, kto po nią idzie.

Widziała już, jak on walczy, i to nawet wtedy, gdy jest ranny. A teraz? Ile mil przebiegłeś po wyżynie? Ile trupów zostawiłeś za sobą? Trupów, których nikt nie zliczył, bo ostatnio ludzie zabijają się wszędzie. Mam nadzieję, że wiedziałeś, iż nie należy zabijać tych, którzy jeżdżą rydwanami.

Och… braciszku, powinieneś wrócić w góry, tam, gdzie twój dom.

Zamknęła oczy i nie otwierała ich, póki nie usłyszała, jak mężczyzna odchodzi.

* * *

Powiedział dwie godziny, lecz wydawało się, że nie minęła nawet jedna, gdy zobaczyła pierwsze wozy. Daleko po lewej, nad wzgórzami pojawiła się chmura kurzu. Najpierw niewielka, urosła w kilka chwil i wypluła z siebie rydwany.

Z tej odległości wyglądały jak zabawki, ledwo punkty na tle nieba, ale to musiały być rydwany, bo żadne inne wozy nie zdołałyby się poruszać z taką prędkością. Pomknęły w dół, ciągnąc za sobą rosnące w niebo smugi kurzawy, i zatrzymały się w połowie drogi. Gdy kurz opadł, Key’la mogła je policzyć; około trzydziestu pojazdów, ustawionych w równiuteńką linię, wyglądało wyjątkowo mizernie wobec rozległości niecki. Ale nie, na szczycie wzgórza zaczęły się pojawiać następne, po dwa, trzy, pięć, dumne wozy z proporcami powiewającymi na wietrze.

Coś chwyciło ją za gardło. Czy za chwilę zostaną z nich żałosne resztki, pokazywane w obozach koczowników ku uciesze gawiedzi? Jak wspaniale

rydwany wyglądały w czasie ćwiczeń przy obozach w Imperium. Ale teraz? Nawet takie dziecko jak ona wie, że to nie jest najlepszy wybór. Koła przeciw kopytom. Opancerzone burty i pikowane pancerze na końskich grzbietach przeciw szybkości i zwrotności oraz tysiącom strzał. Mogą się opierać przez jakiś czas, lecz w końcu pociski powalą je, jeden po drugim.

Powinniśmy złamać przysięgę i jeździć konno, pomyślała nagle. Jak Sekohlandczycy, jak Meekhańczycy, jak Sahrendey i sama Szarowłosa wie ile jeszcze innych ludów. Oni mogą i Pani Stepów traktuje ich jak własne dzieci, przyjmuje ofiary i wysłuchuje modlitw. A przecież konie po to zostały stworzone, by jeździli na nich ludzie. Laal Szarowłosa, która podarowała ludziom te zwierzęta, sama kiedyś, pod postacią Białej Klaczy, pozwoliła dosiąść się zwykłemu człowiekowi. Odrzucając rolę, jaką wyznaczyła bogini koniom, obrażamy ją i okazujemy lekceważenie.

Te myśli były dziwnie jasne i spokojne, jakby nie należały do niej. Czy to znaczyło, że umiera? Odetchnęła głębiej – bolało, krew płynęła, więc chyba jeszcze żyła.

Nie płacz!

Rydwany stały na wzgórzu, jakby czekając na ruch koczowników. Ktokolwiek dowodził wozami, czy to *Felano*, czy *Kanewey*, musiał mieć piękny widok na pole przyszłej bitwy. Owalna niecka otoczona niewielkimi wzniesieniami, zamknięta linią rzeki, tylko namioty koczowników szpeciły oddalone wzgórza niczym pleśń na chlebie. Dowódca tego oddziału nie mógł widzieć ich wszystkich, ale jeśli nie był głupcem, musiał zakładać, że za wzniesieniami, ukryte przed jego oczyma, znajdują się większe siły.

Mimo to wydał rozkaz i rydwany ruszyły.

Utworzyły szyk bojowy, zwany Pestką w Wiśni, twardy, zwarty rdzeń osłaniany po bokach przez dwie luźne kolumny. Och, bardzo lubiła patrzeć, jak Eso’bar ćwiczy ze swoimi rydwanami wszystkie możliwe szyki, zarówno dla małych grupek, jak i dla całej Fali. Sądząc po liczbie wozów, przed sobą miała Strumień, dwieście rydwanów, w sam raz na silny zwiad.

Nad wzniesieniami po przeciwnej stronie niecki pojawiły się kolejne tumany kurzu, z których po chwili wyłoniły się następne rydwany. Przybywało ich z każdą chwilą. Czyli jechała tu cała Fala, około sześciuset pojazdów. A to by znaczyło…

Wiatr zakołysał nią nagle, haki wbiły się głębiej. Boli, boli, boli!

Nie! Skup się! Nie płacz…

To… by znaczyło… że karawana jest blisko… Jak to tłumaczył jej Eso’bar? Strumień lub mniej to siły obmacujące, sprawdzające. Fala to siła łamiąca, młot karawany. Nie wysyła się Fali na zwiad.

Przekręciła głowę w lewo, nad wzgórzami wciąż unosiła się chmura kurzu. Byli tam! Byli…

Złowiła spojrzenie swojego strażnika i zadrżała. W oczach koczownika rozsiadło się ponure, syte zadowolenie. Se-kohlandczycy wiedzieli, że obóz Verdanno musi tędy przejechać, a Ojciec Wojny był już na miejscu ze swoją gwardią. Wszystko wyglądało tak, jak to sobie zaplanowali; stado stepowych wilków śliniło się na widok przyszłego łupu.

Opuściła wzrok, a on zaśmiał się krótko, gardłowo i wykonał jakiś gest, którego oczywista obelżywość była jasna nawet dla niej. Potem trącił ją trzonkiem oszczepu, a gdy zakołysała się, zagryzając zęby, wskazał na zachód, rzucił kilka słów i znów szturchnął ją drzewcem. Sens był jasny – wkrótce wszyscy będziecie tak wisieć.

Spojrzała we wskazanym kierunku. Pierwsze wozy bojowe, tworzące czoło Pancernego Węża, pojawiły się właśnie na szczytach. Szły szeroko, bardzo szeroko, linią długą na ponad pół mili. A potem zaczęła wyjeżdżać karawana.

Wóz za wozem, karne jak na paradzie kolumny pojazdów mieszkalnych i transportowych, szerokie aleje między nimi wypełnione rydwanami i tabunami zapasowych koni. Z tej odległości wszystko wyglądało jak armia żuków i mrówek, ale ta ilość! Gdy wędrowali w Olekady, a potem przez góry czy w obozie u ich stóp, nawet nie wyobrażała sobie, jak będzie wyglądać taki przemarsz. Tysiące wozów, dziesiątki tysięcy koni i ludzi!

W kilka minut pojazdy zapełniły połowę największego wzgórza, a wciąż nie było widać drugiego końca karawany. Zza szczytu wyjeżdżały kolejne kolumny, flankowane potrójnym szeregiem wielkich jak domy wozów bojowych i osłaniane kolejnymi setkami rydwanów. To było prawdziwe, olbrzymie wędrowne miasto i wydawało się, że nawet bogowie go nie powstrzymają. Że jeśli Verdanno zechcą, pojadą po prostu przed siebie, miażdżąc wszelki opór samą masą.

Koczownik zamarł na kilka chwil z na wpół otwartymi ustami. Zaśmiałaby się, gdyby tak nie bolało. Tego się nie spodziewałeś, prawda? Zanim będziecie mogli nas wieszać na hakach, usypiemy z waszych trupów całe góry.

Na sygnał, którego nie usłyszała, zza wzniesienia po jej lewej wypadła jazda. Pięciuset? Ośmiuset? Tysiąc konnych? Trudno było to ocenić, zwłaszcza że szli galopem w dość luźnym szyku. Żadnych kolczug i lanc, tylko skórzane albo pikowane pancerze, łuki i krótkie oszczepy. Lekkozbrojni, którzy mieli za zadanie spowolnić karawanę i upuścić jej pierwszej krwi.

Jej strażnik parsknął wściekle i wskazując obóz Sahrendey, wywarczał kilka słów.

Oczywiście. Dlaczego nie oni?

* * *

Stali na szczycie wzniesienia – kilkudziesięciu mężczyzn, szczelnie owiniętych szarymi płaszczami, by nie zdradził ich błysk kolczug, otaczało luźnym kordonem starca pośrodku. Wszyscy patrzyli na nadciągającą karawanę. Była olbrzymia, gigantyczna. Tylko ci, którzy pamiętali pierwszą wojnę z Wozakami, mogli znaleźć dla niej porównanie, choć nawet wtedy obozy wroga nie były tak karne i zdyscyplinowane. Lecz takich weteranów było mało, większość zginęła na ziemiach Imperium.

Kyh Danu Kredo czekał. Rozkazy wydano i były jasne, a teraz, niczym najnędzniejszy z niewolników, musiał pokornie tkwić na zewnątrz kręgu gwardzistów, dopóki Ojciec nie przypomni sobie o jego istnieniu. Więc czekał, patrząc, jak jego lekkozbrojni idą do pierwszego ataku. Nie miał już nikogo więcej, w chwili pojawienia się Yawenyra Jeźdźcy Burzy spod jego komendy przeszli do oddziałów Ojca Wojny. Ich a’keery rozdzielano właśnie między Skrzydła, najwyraźniej stary śmierdziel nie ufał Błyskawicom, które przez ostatnie lata były utrzymywane przez jego Syna.

Uśmiechnął się w myślach. Sam zrobiłby podobnie, dodatkowo wyznaczając nowych dowódców, a starych umieszczając pod strażą na tyłach. Yawenyr mógł być wiekowy jak świat, mógł od wielu miesięcy, jak opowiadali ludzie, być na wpół trupem, ale umysł miał wciąż żywy. Jeszcze nikomu nie udało się przewidzieć, jaki wykona następny ruch.

Wieść o tym, że nadciąga osobiście, była jak kubeł lodowatej wody. Wszyscy spodziewali się, że wyśle swoich Jeźdźców Burzy na północ pod dowództwem Kaileo Hynu Lawyo, bo temu z Synów ponoć ufał najbardziej, ale nie, on zjawia się osobiście. I to nie niesiony w lektyce, lecz sie-

dząc w siodle, na czele kolumny pancernych, jak za czasów wojny z Imperium. Podobno też wszędzie woził ze sobą młodą niewolnicę, która ogrzewała mu łoże. Jakże by inaczej, Kyh Danu Kredo uśmiechnął się kwaśno w myślach. Tylko w myślach.

Na zewnątrz zachowywał spokój. Jak do tej pory Ojciec nie spotkał się z nim osobiście, przysłał tylko gońca z rozkazami, które właśnie wykonywano. Dlatego Skrzydło lekkiej jazdy Danu Kreda, tysiąc jeźdźców, pędziło teraz na spotkanie tych parszywych, śmierdzących, zawszonych miłośników koni. I tyle. „Pomacajcie ich, Pan Wielkich Stepów, Władca Złotego Namiotu, chce zobaczyć, czego się nauczyli”. Tyle usłyszał od posłańców, Ojciec przemówił. Takie traktowanie nie wróżyło dobrze, ale żeby Kyh Danu Kredo, Biały Sokół, Władca Ośmiu Plemion, Syn Wojny znany na całych Stepach miał okazywać niepokój? Prędzej rozbierze się do naga i pokaże Taniec Młodej Nałożnicy.

Kazali mu przyjść bez broni i stanąć w takim miejscu, by każdy widział pustą pochwę szabli i miejsce przy pasie, w którym powinien wisieć sztylet. On mógł tak potraktować posłańców od psożernych Sahrendey, ale żeby jemu kazać czekać jak ostatniemu niewolnikowi?! Dla wszystkich w obozie będzie jasne, że Ojciec Wojny nie spogląda już łaskawie na Kyh Danu Kreda. Już widział płomyki, które zapalają się w oczach Sale Mozo Leury czy Certa z Białej Owcy. Ich klany były najsilniejsze i każdy z osobna uważał, że to on powinien uklęknąć przed Yawenyrem i odebrać od niego Synowski Pas.

Gdyby mógł, wyszczerzyłby się jak wilk. Jeszcze nie dziś, sucze pomioty. Gdyby chciał mojej głowy, tkwiłaby już na szczycie lancy.

Jeden z gwardzistów skinął na niego dłonią. Skinął! Jakby wzywał najprostszego pastucha.

Stłumił gniew.

— Mój Synu. Cieszę się ze spotkania.

Ten głos. Ostatni raz widzieli się cztery lata temu, cztery lata wypełnione układaniem planów, knuciem i szukaniem sojuszy na czas, gdy Yawenyr już odejdzie, by stanąć przed obliczem Pana Burz. Cztery lata… Ojciec Wojny zachowywał się wtedy jak starzec, który ledwo potrafi wyszeptać kilka słów, trzęsie się jak w febrze i ślini, wlepiając zamglony wzrok w przestrzeń. Przez te cztery lata Danu Kredo regularnie płacił daninę na rzecz Złotego Namiotu, choć ostatnie trzy razy pozwolił sobie na sprawdzenie

jego siły, przysyłając coraz mniej złota, koni i niewolników. Brak reakcji był odpowiedzią, jakiej potrzebował.

Lecz gdyby wtedy usłyszał taki głos, podwoiłby podarki.

To nie był głos mężczyzny mającego już ponad dziewięćdziesiąt lat, tylko kogoś o połowę młodszego. W szarych oczach nie widniał nawet ślad tego zagubienia, które pojawia się u starców, próbujących sobie przypomnieć, kim są i co robią.

Przez ostatnie lata ten… przekleństwo umknęło spomiędzy myśli, by stojący przed nim mężczyzna niczego nie wyczuł. Przez ostatnie lata Ojciec Wojny oszukiwał wszystkich. I dzięki temu miał spokój, bo żaden z Synów nie posłał mu w podarunku zatrutego mięsa ani niewolnicy wyszkolonej w sztuce skrytobójstwa, gdyż wszyscy oczekiwali, że lada dzień nad Złotym Namiotem pojawi się Złamana Strzała.

Kyh Danu Kredo mimowolnie poczuł podziw. Olbrzymi i przygniatający do ziemi, bardziej niż to uważne spojrzenie.

Przyklęknął i pochylił głowę.

— Ojcze. To radość widzieć cię w tak dobrym zdrowiu.

— Galleg postanowił, że nim wezwie mnie przed swoje oblicze, muszę jeszcze dokończyć kilka spraw. Jedną z nich są oni. — Starzec wskazał odległą karawanę, do której zbliżało się właśnie Skrzydło konnych łuczników. — Trzeba pilnować, by na tym świecie nie zostawiać ważnych rzeczy, bo inaczej dusza nie zazna spokoju w Domu Snu.

„Ważne rzeczy”. To zabrzmiało jak groźba.

— Wstań.

Syn Wojny podniósł się, po raz pierwszy patrząc otwarcie na Yawenyra. Starcza twarz, przeorana nieskończoną liczbą zmarszczek, siwe włosy podtrzymywane wytartą wełnianą opaską, prosta kolczuga, której ciężar powinien łamać kruche kości. A jednak w ruchach i spojrzeniu władcy wszystkich se-kohlandzkich ludów nie było kruchości.

— Plemiona, które ci powierzyłem, poniosły spore straty. Jak to się stało?

„Które ci powierzyłem…”. Bogowie.

Danu Kredo zdał krótką relację ze swojego marszu na północ, pułapki, jaką zastawił, by wyciągnąć z obozu Verdanno i zniszczyć rydwany, oraz oblężenia. Bez zbędnych słów i bez kłamstw, bo ci, którzy próbowali okła-

mywać Ojca Wojny, kończyli, wisząc na hakach, a kruki i wrony wydziobywały im języki z ust. Yawenyr przerywał tylko po to, by zadawać krótkie pytania.

— Jesteś pewien, że sami podpalili coś, by zmusić cię do głównego szturmu?

— Tak. Ci, którzy wyszli z obozu, mówią, że za pierwszą linią wozów znajdowała się druga. Umocniona. I mnóstwo piechoty. To był podstęp. A potem z południa wróciły rydwany, a z obozu wyjechały następne.

— Jaka piechota?

— Ciężkozbrojna, wielkie pawęże, piki, rohatyny, ciężkie kolczugi. Jak imperialna.

— Pułapki? Rowy, pale?

— Były, oczywiście, ale… — zająknął się, bo coraz bardziej przypominało to żałosne tłumaczenie i szukanie wymówek. — Oni… piechota wyszła z obozu pod osłoną ciężkich wozów i przygotowała drogi, którymi rydwany…

— Wiem… widzę to. Nauczyli się sporo od Meekhańczyków. Poprzednio prawie w ogóle nie używali piechoty w otwartym polu. Rydwany?

— Szybkie, dobrze dowodzone, robią dużo hałasu.

— Jak?

— Wtykają metalową listwę między szprychy. Ten dźwięk jest… jeden wóz jest głośny, ale setkę słychać na milę. Ich konie są przyzwyczajone, nasze nie. Niektóre się płoszą, trudno utrzymać szyk. I te proporce. Rozwijają za sobą jedwabne wstęgi, czerwone, żółte, niebieskie. A potem one łopoczą w czasie galopu, rydwan wydaje się większy, konie nie chcą szarżować…

— Strzały grzęzną.

— Tak, Ojcze. Grzęzną.

— Sprytne. Choć drogie. Widzisz, chłopcze, oni znają konie. Znają jak nikt na świecie. Wiedzą, że konie są mądre, a mądre zwierzęta boją się rzeczy nowych, nieznanych. Ale i nasze wierzchowce szybko przyzwyczają się do tych sztuczek, więc to nie problem. Problemem są ludzie. Jacy byli?

Zamrugał, zaskoczony.

— W walce, jacy byli w walce? — powtórzył Yawenyr. — W czasie pierwszej wojny byli dzicy i odważni, ale niezbyt zdyscyplinowani. Ich rydwany dawały się odciągać od obozów i tam ginęły. Ich wojownicy bardziej cenili popisy i pojedynki niż utrzymanie szyku. A teraz?

Spojrzenie szarych oczu przewiercało go na wylot.

— Teraz nie, Ojcze. Walczą jak imperialna armia.

Pomarszczone wargi rozciągnęły się w uśmiechu, który wyglądał jak pęknięcie w spieczonej ziemi.

— Nowe pokolenie. W Meekhanie wszyscy są jak gąbki, szybko nasiąkają imperialnymi zwyczajami i sposobem myślenia. Ale to się da zmienić, wystarczy ich dostatecznie rozwścieczyć.

Kyh Danu Kredo dostrzegł swoją szansę.

— Można to łatwo zrobić, Ojcze. Są tu Sahrendey, a po tym, co zrobili z zakładnikami, Verdanno rzucą im się do gardła…

Przerwał, bo Yawenyr popatrzył na niego wzrokiem wilka obserwującego zdechłą mysz.

— Synu mój… — znów ten ton — … czyżbyś traktował mnie jak ślepca, niedostrzegającego, że trawa jest zielona? Pchałeś się do walki z nimi, wbrew moim rozkazom. Nie pozwoliłem atakować ich u podnóża gór. Mogli się wystraszyć i zawrócić, a ja chcę ich mieć tutaj wszystkich, co do ostatniego. Czy liczyłeś na to, że obłowisz się najlepszymi łupami, a potem wycofasz?

Jak odpowiedzieć na to pytanie, by nie zamajtać nogami w powietrzu?

— Panie mój, czyżbyś nie pragnął, by twoi Synowie byli silni, odważni i chciwi zwycięstw?

Kyh Danu Kredo nie zauważył jej. Nie wiedział, kiedy podeszła, a teraz włączyła się do rozmowy. Miała bladą, owalną twarz okoloną jasnymi lokami i oczy w kolorze wieczornego nieba, największe, jakie widział. Usta czerwone jak krew. Mimo wszystko poczuł mrowienie w lędźwiach. Więc Yawenyr naprawdę trzymał piękne niewolnice.

Takie, którym wolno wtrącić się do rozmowy między nim a jednym z jego Synów. Czyżbym tak nisko upadł?

— Oczywiście, najmilsza. — Yawenyr znów się uśmiechnął, lecz inaczej. — Lecz nieposłuszne dzieci należy karać. Jednak kara nie będzie

dotkliwa, bo mój syn, Kyh Danu Kredo, zachował się tak, jak ja sam bym kiedyś postąpił.

Nadzieja miała smak młodego wina, uderzała do głowy i burzyła krew.

— Dlatego też odstępuję mu zaszczyt pierwszego ataku na tę karawanę. Ma dość sił, by ją zatrzymać, a ja będę patrzył. Może Verdanno zaskoczą nas jeszcze kilkoma sztuczkami, kto wie? Lepiej sprawdzić. I nie korzystaj ze Źrebiarzy, niech oni pierwsi zdradzą, co potrafią ich czarownicy.

Wino zmieniło się w ocet. Pierwszy atak… Posyła nas do pierwszego ataku, wiedząc, że już mamy duże straty. Bez Jeźdźców Burzy i szamanów, tylko lekka jazda przeciw pancernym wozom. Nim dzień się skończy, stracę połowę zbrojnych. A potem co? Wsadzić na konie pastuchów i kobiety?

Koczownik spojrzał w oczy Ojca Wojny i pojął, że tak. Jeśli będzie trzeba, do ataku pójdą wszyscy, którzy w jego obozie są zdolni napiąć łuk.

— Sahrendey zaatakują po was, jutro rano, gdy Wozacy będą już zmęczeni. Zmęczeni ludzie łatwiej poddają się gniewowi. I jutro zdobędziemy ten obóz, a potem zniszczymy pozostałe. Jeden po drugim. A teraz popatrzmy, co potrafią nasi goście.

Kilka mil od nich od karawany oderwał się oddział rydwanów i pomknął na spotkanie lekkiej jazdy.

* * *

Koczownicy zaczęli strzelać z odległości ponad trzystu jardów, a ich pociski pomknęły ku nim deszczem, tysiąc posłańców śmierci na szarych piórach. A po salwie natychmiast zawrócili. Tak jak Verdanno się spodziewali, była to lekka jazda, szybka i zwrotna. I nieźle wyszkolona, sądząc po sprawności, z jaką zrobili zwrot.

Fala przyjęła strzały spokojnie, z tej odległości pikowane pancerze koni, kolczugi załóg i solidne burty rydwanów minimalizowały straty. Sami odpowiedzieli ostrzałem, też nie spodziewając się większych rezultatów. Mimo wszystko kilkanaście se-kohlandzkich koni zarżało i spróbowało się wyłamać z szyku, a paru jeźdźców zachwiało się w siodłach. Tyle, co nic, ale konni poszli nagle w rozsypkę i zaczęli uciekać.

Der’eko włożył piszczałkę w usta.

„Wolniej!”. „Równaj!”.

Dowódcy Strug i Strumieni powtórzyli sygnał. Rydwany zwolniły i wyrównały. Po chwili od konnych dzieliło ich już ponad ćwierć mili.

„Stać!”.

Zatrzymali się. Dziewięć szeregów rydwanów, trzy, przerwa, trzy, przerwa i ostatnie trzy. Trzy Strumienie po dwieście wozów każdy. Szyk szeroki na trzysta jardów, głęboki na sto pięćdziesiąt. Der’eko rozejrzał się na boki, między skrajnymi końmi pierwszego szeregu można by przeciągnąć napiętą linę, a żaden zaprzęg nie wysunąłby się przed nią o pół łba. Jego Fala.

Konnica odsadziła się na prawie pół mili, a dowodzący koczownikami zorientował się już, że podstęp nie wyszedł, bo jego oddział też zwolnił i stanął. Młody *Kanewey* rozejrzał się. Dolina – jeśli mógł to miejsce tak nazwać – w której mieli stoczyć bitwę, miała dobrze ponad cztery mile szerokości, a od rzeki, majaczącej daleko przed nimi szarą wstęgą, dzieliło ich jakieś siedem mil. Podejście do Lassy było szerokie i łagodne, lecz flankowały je wzniesienia, upstrzone namiotami Se-kohlandczyków, niczym padła krowa muszymi larwami. Jak wszyscy się spodziewali, drogę do brodu trzeba będzie wycinać przez ciała wrogów.

W końcu po to tutaj przyjechali.

Złapał przymocowaną do burty tyczkę i potrząsnął. Kilka stalowych hełmów zabrzęczało głośno. Brzęk powtórzył się wzdłuż szeregów, a choć jeszcze nie wszystkie wozy mogły poszczycić się takim trofeum, to i tak hałas był imponujący. Brzmiał jak wyzwanie. Chodźcie i spróbujcie nam je zabrać!

Konni zawrócili i pomknęli naprzód, tym razem formując półksiężyc. Sztuczka dla naiwnych.

„Naprzód!”. „Szeroko!”.

Ruszyli, rozluźniając szyk pierwszego szeregu. Po chwili szli galopem.

„Pierwszy skrzydła!”.

„Objęcie!”.

Łucznicy szarpnęli za linki mocujące proporce i kolorowe wstęgi rozwinęły się za czołowymi rydwanami. W tej chwili szerokość Fali wynosiła dobre czterysta jardów i stale się zwiększała, w miarę jak odstępy między wozami rosły. Po chwili jednak rydwany z drugiego i trzeciego rzędu wypełniły je i naprzeciw atakującym koczownikom sunęła już prawdziwa fala koni i rydwanów, ciągnących za sobą łopoczące i furkoczące w powie-

trzu wstęgi jedwabiu. A półksiężyc jeźdźców, jeśli rzeczywiście chciał ją otoczyć, musiał rozciągnąć się jeszcze bardziej, zmieniając w żałośnie cienki półokrąg. Do tego dochodziła różnica wielkości, konie Verdanno były masywniejsze, hodowane od pokoleń ze względu na siłę i szybkość, koczownicy zaś, poza najlepszymi oddziałami, dosiadali stepowych koników, odpornych i wytrzymałych, ale wyglądających trochę jak przerośnięte muły. Se-kohlandczykom musiało się wydawać, że suną na ruchomą ścianę kopyt, szerokich piersi i spienionych pysków.

Nie wytrzymali. Wystrzelili, raz, drugi i trzeci, i rozdzielając się na dwie części, spróbowali okrążyć Falę, by zasypać ją strzałami z flanki. Jednak w chwili, gdy ich pierwsze konie minęły czoło nacierających i skręciły, by zamknąć Wozaków w potrzasku, uderzyły w nich dwa młoty. Dwa pozostałe Strumienie, ukryte do tej pory za ścianą rydwanów i łopoczących proporców, przeformowały się w zwarte kolumny o szerokości czterech wozów i wpadły wprost na jadących w luźnym szyku koczowników.

To było krótkie i brutalne starcie, gdy strzelano do siebie z odległości mniejszej niż kilka kroków, a wygrywał ten, kto szybciej wyceluje. Tyle że Verdanno byli na nie lepiej przygotowani. Ich łucznicy mieli na cięciwach ciężkie strzały przeznaczone do przebijania pancerzy, a woźnice trzymali dziryty założone na miotacze. Ta krótka wymiana pocisków zdziesiątkowała czoło nacierających koczowników, zmiatając ludzi z siodeł i powalając konie.

Ale nie udało im się otoczyć i zamknąć jeźdźców w Jedwabnym Kręgu. W chwili, gdy czoło ataku się załamało, wszyscy pozostali poszli w rozsypkę. Prysnęli na boki, puszczając konie w cwał i rozpraszając się maksymalnie, nie przestawali przy tym szyć z łuków. Der’eko zagwizdał.

„Stać!”.

Załogi rydwanów, gotowe już puścić się w pogoń, wstrzymały konie. Pościg nie miał sensu, konie zawsze będą szybsze niż koła. Można mieć w bliskim starciu przewagę opancerzenia i siły, lecz nie doścignie się lekkiej jazdy. Jeszcze tylko łucznicy wysłali za uciekającymi po kilka strzał, po czym zeskoczyli z wozów i spokojnie zajęli się rannymi wrogami. *Kavayo* posmakowały świeżej krwi, a tyczki przy niektórych rydwanach wzbogaciły się o nowe ozdoby.

Kanewey patrzył, jak koczownicy opuszczają pole starcia, nie wyglądało na to, by mieli zamiar wrócić. Rozejrzał się, na oko miał kilkunastu zabi-

tych ludzi oraz kilka zniszczonych rydwanów, złamane osie i ciężko ranne konie wykluczały je z dalszej walki. Se-kohlandczycy zostawili na ziemi około osiemdziesięciu ciał, a zapewne drugie tyle odjechało rannych. Bez wątpienia w tym starciu wygrały lepsze pancerze i fakt, że udało im się zaskoczyć konnicę. Oraz to – obejrzał się przez ramię – że karawana niestrudzenie podążała przed siebie i była już jakieś pół mili za nimi. Nie miał złudzeń, że czekają ich walki, w których konnica pokaże swoją prawdziwą wartość. Na miejscu dowódcy jazdy też wolałby się teraz wycofać i nie ryzykować poważnego starcia tuż pod bokiem głównych sił nieprzyjaciela.

Spojrzał na niebo. Słońca nie było widać, ale do zmroku zostało jeszcze dobrych kilka godzin. Powinno im się udać dotrzeć do rzeki.

* * *

Starzec na wzgórzu uśmiechnął się i pokiwał głową. Wyglądał na zadowolonego, jakby klęska własnego oddziału była czymś, na co liczył.

— Zdyscyplinowani, lepiej opancerzeni niż ostatnio, lepiej wyszkoleni. I walczą jak armia, a nie jak plemię. Widziałeś?

Kyh Danu Kredo nie odrywał wzroku od ciał leżących na ziemi. Z tej odległości wyglądały jak ciemne kropki na jasnozielonym kobiercu. Nadciągająca karawana połknęła je, a żaden z wozów nie zwolnił ani nie spróbował zmienić drogi.

— Widziałem, Ojcze.

— A jakie mają słabości?

— Są wolniejsi niż my, mniej zwrotni. Mają mniej strzelców.

— Dobrze, mój Synu. Coś jeszcze?

Zmyślanie byłoby jak kłamstwo, a na końcu każdego kłamstwa tkwił pęk rzemieni zakończony hakami.

— Nie wiem.

— Nie byłeś Synem Wojny trzydzieści lat temu, więc możesz nie widzieć. Koń ze zranioną jedną nogą nie pobiegnie. A rydwan jest jak żywe stworzenie o ośmiu nogach i dwóch kołach. Zrań jedną z kończyn, a będziesz miał kalekie zwierzę. To się nie zmieniło. Nawet oni — Yawenyr wskazał na nadciągające wozy — mimo że mieli tysiąc lat na doskonalenie swoich rydwanów, nie zrobią z nich nic więcej. Nie użyją pełnych kół, bo te

są za ciężkie, ani nie założą koniom dłuższych i grubszych pancerzy, bo zwierzęta padłyby ze zmęczenia po mili galopu.

Uśmiechnął się nagle zimno.

— Trzydzieści lat temu okazałem im łaskę, a oni odpłacili mi buntem i zdradą, a potem uciekli, chowając się za plecami meekhańskich żołnierzy. A teraz wrócili, pewni, że jestem słaby, a wierność moich Synów się chwieje. I okazują mi lekceważenie, licząc na to, że pokonają nas rydwanami i murem z wozów. — Błysnął zębami w dzikim grymasie. — Mają teraz jakieś trzy, może trzy i pół tysiąca rydwanów. Widzisz?

— Tak, Ojcze.

— Nim zapadnie zmrok, mają stracić ich tysiąc. Jesteś za to osobiście odpowiedzialny. Jeśli tak się nie stanie, jutro rano będę miał nowego Syna. Rozumiesz?

— Tak, Ojcze.

— Ruszaj. I nie pozwól, by doszli do rzeki.

Yawenyr zawinął się w płaszcz i ruszył w stronę swojego obozu.

* * *

Och! To było piękne. Pięknem tańca śmierci oglądanego z daleka, pięknem wspaniale tkanego gobelinu, który można by powiesić w wozie, ku zazdrości sąsiadów. Manewry jazdy i rydwanów, wymiana strzał, odwrót, który miał oderwać Falę od karawany, szybki atak, zakończony zmiażdżeniem skrzydeł konnicy i rozproszeniem oddziału… Z tej odległości wyglądało to jak jakiś obrzęd, misterium ku czci Maychy, w którym ranni i zabici dobrowolnie przelewają krew, by oddać cześć Pani Wojny. Key’la przez chwilę zapomniała o bólu.

Przypomniało jej go brutalne uderzenie w plecy, od którego aż się zakręciła. Rzemienie napięły się, krzyknęła zaskoczona.

Ktoś zaśmiał się krótko i uderzył jeszcze raz. Mocniej. Tym razem wytrzymała, zaciskając zęby. Siła ciosu obróciła nią tak, że zobaczyła to, co miała teraz za sobą. Namioty. Tysiące namiotów, a między nimi szerokie przejścia wypełnione wsiadającymi na koń koczownikami. Wszyscy w pełnym uzbrojeniu. Obozowisko plemion Kyh Danu Kreda szykowało się do bitwy.

Ten, który ją uderzył, poczuł się urażony tym, że to nie na niego patrzy, bo walnął ją na odlew, aż zakręciła się wokół osi w drugą stronę i znów znalazła naprzeciw mężczyzny i namiotów.

Mimo że zaciskała szczęki z całej siły, krzyknęła.

Ocalenie nadeszło z najmniej oczekiwanej strony. Jej strażnik, gapiący się jak zahipnotyzowany na pole bitwy, zorientował się w końcu, co się dzieje, doskoczył do prześladowcy, odepchnął go i warknął coś krótko. Odepchnięty zarechotał i wyszczerzył pieńki zębów. Był stary, ale uzbrojony po zęby – we włócznię, topór i kilka długich noży. Na skórzany pancerz narzucił cuchnącą baranicę.

Nie wyglądał na urażonego atakiem, wskazał tylko na Key'lę i wypluł z siebie kilka słów, a potem podszedł do jednej z tyczek i usiadł, opierając się z takim impetem, że wyraźnie poczuła ten wstrząs. Tym razem nie jęknęła.

Drugi strażnik. To musiał być drugi strażnik, który miał ją pilnować na wypadek ataku tajemniczego mordercy.

Oby przyszedł jak najprędzej.

Ból i cierpienie musiały jakoś wpłynąć na jej umysł, bo przez chwilę wydawało jej się, że w oczach pierwszego z koczowników dostrzega cień współczucia. Chyba nawet Se-kohlandczycy nie wieszali tak dzieci. Ale chwila minęła, a strażnik wrócił na swoje miejsce, nie patrząc na nią więcej i zupełnie ignorując swojego towarzysza.

Za nią rozległ się świergot metalowych gwizdków i kilka tysięcy koczowników pomknęło w dół, na spotkanie nadciągającej karawany. Bitwa dopiero się zaczynała.

Rozdział 8

Koczownicy ruszyli z prawego wzniesienia, więc tam zapewne znajdował się ich główny obóz. Z początku wyglądali jak szarobrązowa fala mknąca w dół, lecz szybko rozdzielili się na kilka oddziałów. Co najmniej pięć Skrzydeł, ocenił Der'eko i obejrzał się. Jego Fala nadal jechała na czele karawany, zdążyli już wymienić ranne konie i uzupełnić straty, lecz tym razem, zgodnie z rozkazami *En'leyd*, nie wolno im było rzucać się na wroga.

En'leyd. Nie ojciec, tylko Oko Węża. To on dowodził karawaną w czasie wojennego marszu i nawet Awe'aweroh Mantoru, *Lamerei* wszystkich sześciu Fal, nie próbował z nim dyskutować. Tak powinno być w czasie wojny. A rozkazy dowódcy były jasne, rydwanom nie wolno oddalać się bardziej niż na milę od Pancernego Węża. Najważniejszym celem jest dotarcie do rzeki. Przypomniał sobie żarcik, który krążył między załogami: „Dlaczego nasze oddziały noszą nazwę Struga, Strumień i Fala? Bo dwadzieścia zaprzęgów osuszy strużkę, dwieście małą rzeczkę, a sześćset wypije morze".

To była prawda, podobnie jak to, że potrzebowali wody. Zapasów mieli na jeden dzień, potem… Niepojone zwierzęta nie pobiegną zbyt daleko.

Obejrzał się za siebie, szukając wzrokiem rydwanu *Lamerei*. Awe'aweroh Mantoru jechał z nimi na czele swojego przybocznego Strumienia, bo chciał osobiście dowodzić w nadchodzącym starciu.

Pochwyciwszy jego spojrzenie, dowódca Fal zamachał ręką.

„Stać!". „Czekamy na resztę".

Anaho'la przydawało się czasem w bitwie bardziej niż gwizdki i piszczałki.

Czekamy na resztę. Wiemy, że te pięć Skrzydeł to nie wszystko, co Sekohlandczycy przygotowali. Oprócz sił Kyh Danu Kreda, który ma jeszcze co najmniej drugie tyle lekkiej jazdy, nie licząc Błyskawic, są tam przecież także Sahrendey. Piętnaście, dwadzieścia tysięcy konnych. Nie mógł oce-

nić, bo Se-kohlandczycy kryjący się za wzgórzami pozostawali dla nich niewidoczni.

Wzniesienie osłaniające nieckę po lewej stronie Der’eka należało do Wozaków. Jadący jego szczytem Strumień miał widok na całe pole bitwy oraz na to, co pozostawało niewidoczne dla głównych sił Verdanno. Ale prawej strony doliny nie udało im się zdobyć, koczownicy stawiali tam zdecydowany opór, nie dopuszczając rydwanów do własnych obozów. W krótkich starciach Wozacy stracili już kilkadziesiąt załóg. Mieli za mało sił, by zdobyć wzgórza po obu stronach niecki oraz rozsiadające się na nich obozy, lecz nie taki był ich główny cel. Gdy dotrą do rzeki, okopią się i zmienią w twierdzę. Zatrzymają tu koczowników dość długo, by pozostałe obozy zdążyły zejść z gór, a gdy za trzy, cztery dni na zachodzie pojawią się kolejne karawany, zmiażdżą najeźdźców i rozpędzą na cztery wiatry.

Na razie ich problemem było te parę tysięcy konnych.

W środku karawany, za potrójną linią wozów bojowych tworzących czoło Pancernego Węża, trwały przetasowania. Jej boczne ściany także się przygotowywały, w kilku miejscach pancerne wehikuły przerzedziły się i z trzech rzędów został jeden, a po ich wewnętrznej stronie gromadziły się rydwany. Oczywiście mądry *En’leyd* musiał zakładać, że koczownicy byli dowodzeni przez doświadczonego wodza, a więc takiego, który nie pcha się do bitwy na czele swojej hordy, lecz wykorzystując teren, stoi gdzieś na wzgórzu i obserwuje te wszystkie manewry. Ale nie mieli wyjścia i musieli się przegrupować.

Grzbiet prawego wzniesienia był dla Wozaków niedostępny i należało się spodziewać, że za nim właśnie Syn Wojny zgromadził swoje główne siły uderzeniowe, Jeźdźców Burzy i Źrebiarzy. Dlatego obóz New’harr odbijał stopniowo w lewo, zwiększając odległość od tego wzniesienia. Będą mieli więcej czasu na reakcję, gdy Kyh Danu Kredo przeprowadzi prawdziwy atak.

Bo ta konnica, którą widzieli, z pewnością nie miała rozbić karawany. To trochę tak, jakby próbować zatrzymać wolno sunącą, błotną lawinę za pomocą kilku garści kamyków. Nie, oni mieli ją spowolnić przy podejściu do brodu, dać czas tym na wzgórzach na umocnienie się, poszarpać boki, wyrwać z pancernych ścian tyle wozów, ile się da.

Przynajmniej tak by to wyglądało, gdyby nie było Fal. To rydwany miały stanowić ochronny kokon, wewnątrz którego będzie się poruszała reszta.

Strzelcy wozów bojowych mogli upuścić trochę krwi jeździe, lecz to śmigłe rydwany są żywą tarczą obozu. Oraz ciała ich załóg. Der’eko rozejrzał się na boki, wymieniając spojrzenia ze swoimi ludźmi. Trzecia Fala, jako jedna z dwóch w obozie, nie miała ciężkich rydwanów przewożących piechotę, za to dostawała najlepsze konie i najsprawniejszych woźniców. Wszyscy wiedzieli, że jeśli przyjdzie szarżować na Błyskawice, to właśnie oni pójdą w pierwszej linii, i byli z tego cholernie dumni. W bezpośredniej walce zdobyli już ponad dwieście trofeów, a zawieszali na tyczkach hełmy tylko tych koczowników, których sami zabili. Niestety, nie wszyscy Se-kohlandczycy używali hełmów z dobrej stali, najczęściej mieli skórzane albo po prostu grubo pikowane czapy. Dlatego załogi Trzeciej Fali tak rwały się do walki z Jeźdźcami Burzy.

Albo Wilkami Sahrendey. Ci podobno używali dobrych, stalowych hełmów.

Zagradzająca im drogę jazda nadal się dzieliła, w tej chwili widzieli już kilkanaście oddziałów, każdy w sile co najmniej trzech a’keerów. Czyli, jak można było przewidzieć, zamierzali ich tylko poszarpać.

Odległość między Falą a koczownikami spadła do trzech czwartych mili.

Pierwsze grupy konnych, na oko nie więcej niż jedno Skrzydło, wyrywały się do przodu.

Gwizdki i piszczałki przyniosły kolejne rozkazy.

„Stać!”. „Czekać!”.

Obóz New’harr nadal kierował się na lewą stronę niecki, bliżej wzniesienia, które kontrolowali. Kiedy zajmą odpowiednią pozycję, każdy atakujący z prawej strony oddział będzie musiał najpierw przebyć jakieś trzy mile, w którym to czasie pozostanie widoczny jak na dłoni.

To był lepszy teren dla konnicy niż dla wozów. Wzgórza wokół niecki umożliwiały skryte obejścia i nagłe ataki z flanki. Jednak susza, która nawiedziła te okolice, dawała obrońcom szansę, że zdążą je wykryć, bo każda większa liczba konnych wzbiłaby w niebo taką kurzawę, że zdradziliby swoje zamiary na godzinę przed atakiem. Pani Stepów zdawała się sprzyjać Wozakom.

Pędzący z naprzeciwka konni łucznicy byli już ćwierć mili od rydwanów Trzeciej Fali i z galopu przechodzili w cwał. Skrzydło podzieliło się na kilka a’keerów, z których dwa wysforowały się do przodu, a po chwili płynnie skręciły i pędząc wzdłuż czoła karawany, zasypały ją strzałami.

„Czekać!”.

Z jakichś trzystu jardów koczownicy nie mogli zbyt wiele zdziałać, lekkie pociski nie miały dość mocy, by przebić grubo pikowane pledy chroniące grzbiety koni Verdanno ani zaszkodzić załogom rydwanów. Der’eko spod zmrużonych powiek obserwował nadlatujące strzały. I… już!

Pochylił głowę, nadstawiając czaszę hełmu w stronę pocisków, które mgnienie oka później zaświstały wokół, wbijając się w ziemię, pancerze koni, wiklinowe burty, ciała. Ktoś krzyknął, gdy dostał w twarz, głupiec, który gapił się śmierci w oczy o uderzenie serca za długo. Nawet wśród dobrych załóg zawsze znajdzie się ktoś taki. Jakiś koń zarżał, nie wiadomo – zraniony czy przestraszony, i koniec.

Kanewey rozejrzał się, linia jego oddziału nie zachwiała się nawet na stopę. Wciąż jechali na czele karawany, rozciągnięci na prawie ćwierć mili, po prawej stronie mając Pierwszą Falę. Pełne trzy Strumienie, jeden za drugim, w luźnym szyku, by nie ułatwiać roboty wrogim łucznikom.

A koczownicy zawracali już i pędzili z powrotem, ustępując miejsca kolejnemu oddziałowi. I znów, galop, cwał, a w odległości jakichś trzystu jardów – salwa. I znów piszczałki przekazujące rozkaz wzdłuż czoła karawany: „Czekać!”, i ponowne spoglądanie na nadlatujące pociski, by w ostatniej chwili pochylić głowę przed wyrokiem Pani Wojny.

I kolejne a’keery idące do ataku.

Nie było sensu wyrywać się do przodu ani marnować strzał. To Skrzydło Se-kohlandczyków chciało ich tylko zmęczyć i sprowokować do głupiego kontrataku. Jeśli koczownicy nie mają czegoś innego w ręku, to za jakieś trzy, cztery godziny karawana dotrze do rzeki, zdobędzie wzgórza wokół podejścia do brodu i rozsiądzie się na nich, zmieniając wzniesienia w twierdzę otoczoną potrójnym rzędem pancernych wozów ustawionych w Rogaty Gród albo inny trudny do złamania szyk. Takie ostrzeliwanie z dużej odległości nie było bardziej uciążliwe niż solidny deszcz, który zmieniłby ziemię w błocko i opóźnił wozy.

I… już!

Ktokolwiek dowodził Se-kohlandczykami, musiał dojść do tego samego wniosku, co i Der’eko, bo nagle atakujące oddziały – w sile jakichś pięciu a’keerów – nie zawróciły, lecz po oddaniu salwy runęły w ich stronę, szyjąc raz za razem, jakby łucznicy brali udział w zawodach polegających na jak najszybszym opróżnieniu kołczanów. Pięć, sześć strzał w dziesięć uderzeń

serca, cztery, pięć pocisków jednocześnie w powietrzu. Grad śmierci pędzący naprzeciw rydwanom.

Za plecami usłyszał gwizdek Awe'aweroha Mantoru: „Pierwsza Fala!", „Naprzód!", „Naprzód!", „Naprzód!".

Tak, to wymagało odpowiedzi, nie mogli pozwolić, by koczownicy się rozzuchwalili.

Jadąca po jego prawej stronie Fala wyrwała przed karawanę, na spotkanie jazdy, która teraz wyraźnie próbowała obejść ich i uderzyć na flankę wędrującego obozu. Taka była rola rydwanów – nie dopuścić do ostrzeliwania boków karawany, nie pozwolić na ranienie koni ciągnących wozy bojowe. Potrójna linia ciężkich pojazdów była dość odporna na taki atak, ale nawet ona po jakimś czasie zaczęłaby się łamać. To był słaby punkt każdej karawany. Zwierzęta ciągnące przednie wozy, oprócz pikowanych pancerzy, miały także naczółki i końskie napierśniki, te z ariergardy były osłaniane przez wozy, natomiast najwrażliwsze na atak pozostawały właśnie konie zaprzęgnięte do bocznych pojazdów. Nie sposób założyć na zwierzę pancerza tak grubego, by chronił koński bok przed każdą strzałą, a jednocześnie wymagać od niego, by ciągnęło wielki wóz bojowy z całą załogą. Jednostka z poranionym zaprzęgiem musi zjechać na bok, by nie blokować drogi reszcie pojazdów. Wyrwę po niej zatyka wóz z drugiego albo trzeciego szeregu, a załoga unieruchomionego wozu ma radzić sobie sama. Najczęściej, jeśli sytuacja jest beznadziejna, porzuca wehikuł, wyprzęgając zdrowe konie, zabiera, co się da, a resztę oblewa olejem i podpala. Mówi się wtedy, że idąca bitewnym marszem karawana krwawi wozami.

Rydwany były właśnie po to, by nie dopuścić do takiego krwotoku.

Karawana jechała w swoim tempie, nawet wtedy gdy tumany kurzu zasłoniły wszystkim widok na pole starcia. Pierwsza Fala, całe sześćset rydwanów, nie powinna mieć problemów z kilkoma wyrywającymi się do przodu a'keerami.

Gdy karawana połknęła kolejne trzysta jardów, z tumanów kurzu wypadły ze dwie setki konnych i spróbowały obejść wędrujący obóz z lewej. *Lamerei* czuwał.

„Trzecia!". „Naprzód!".

Trzecia Fala mknęła już w stronę jazdy, szyjąc strzałami nie wolniej niż łucznicy koczowników. Der'eko wiedział, że w tej samej chwili w bocznych ścianach karawany utworzyły się przejścia, którymi wylewają się zza

muru pancernych wozów kolejne Strumienie, mające za zadanie przechwycić tych koczowników, którzy przejadą przez jego wozy. Bo nie miał wątpliwości, że ten atak idzie na główny obóz, w końcu zatrzymanie karawany było podstawowym celem lekkiej konnicy. Dopiero gdy zmusi się ją do stanięcia i okopania się, będzie można zacząć regularne oblężenie.

Odległość między rydwanami a jazdą zmniejszała się błyskawicznie, strzały leciały po coraz bardziej płaskich parabolach, uderzały z coraz większym impetem, niektórzy woźnice już przełożyli lejce w jedną dłoń, drugą ujmując miotacze dzirytów, Der'eko włożył piszczałkę w usta.

„Pierwszy i Drugi!".

„Grzebień!".

Dwa pierwsze Strumienie wystrzeliły naprzód, w kilka chwil dzieląc się na poszczególne Strugi. Każdy pododdział wyciągnął się w kolumnę szeroką na dwa wozy, długą na dziesięć i – zachowując poczwórną szerokość zaprzęgu między sobą a sąsiadami – runął na wroga. Trzeci Strumień zwolnił nieco, wyciągając się w szeroką, równą linię.

W Imperium ćwiczyli to setki razy. „Grzebień" – grupa dwudziestu kolumn pędzących na przeciwnika, miał złamać, przeczesać jego szyk. Konie atakowanych koczowników zachowają się wtedy tak, jak zachowałoby się każde rozsądne stworzenie: wybiorą jedyną niezastawioną drogę, wjadą w puste przestrzenie między rydwanami, a tam już przewaga będzie po stronie tych, którzy są lepiej opancerzeni i uzbrojeni. Na końcu ci Se-kohlandczycy, którzy przeżyją, wpadną na ostatni Strumień, który zajmie się nimi do czasu, aż reszta rydwanów zrobi zwrot.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby koczownicy raczyli się zachować tak, jak powinni. Ale nie, widząc, jak atakująca Fala przyjmuje nieznany im szyk, błyskawicznie rozdzielili się na dwie grupy i zawrócili. W chwili, gdy rzucali się do ucieczki, od szarżujących rydwanów dzieliło ich ledwo pięćdziesiąt jardów, lecz Der'eko widział już, że nie zdążą, lekkie i zwinne koniki Se-kohlandczyków może i nie dorównywały wielkością i siłą koniom Verdanno, ale były naprawdę szybkie. Mimo wszystko odległość była idealna dla dzirytów. Woźnice kilku najbliższych Strug bez żadnego rozkazu posłali za uciekającymi równą salwę. Długie na prawie sześć stóp, giętkie pociski, przypominające trochę przerośnięte strzały, były z tej odległości skuteczniejsze od swoich mniejszych sióstr. Przykryty chmurą prawie stu dzirytów a'keer zakłębił się, złamał szyk i rozprysnął na wszystkie

strony, zostawiając na ziemi kilkanaście ciał. Der’eko uśmiechnął się kwaśno i zagwizdał.

„Stać!”.

„Pozycja, równaj!”.

„Grzebień” zmienił się w linię, a ci, którzy gotowali się już do opuszczenia rydwanów po zdobyczne hełmy, zatrzymali się. Nie było czasu na szukanie trofeów, tym bardziej że kurz podniesiony kopytami tysięcy koni ograniczał widoczność do stu jardów. Der’eko ledwo dostrzegał krańce swojej Fali.

Rozejrzał się po najbliższych rydwanach. Starcie z koczownikami trwało kilkadziesiąt uderzeń serca, lecz miało swoją cenę. Pancerze niemal wszystkich koni ozdabiały strzały, także kosze rydwanów dorobiły się niezłej kolekcji podobnych prezentów. Spośród najbliższych załóg kilkunastu ludzi zostało trafionych, lecz w większości przypadków kolczugi ocaliły im skórę. Jak w poprzednim starciu stal wygrała z pikowanymi i skórzanymi pancerzami używanymi przez konnych.

„Naprzód!”.

„Pięść!”.

„Pięść” – zwarty szyk kolumnowy szerokości Strugi, używany głównie do szybkiego przemieszczania się, bo atakowanie w takiej formacji, gdy konie prawie wjeżdżają na poprzedzający je rydwan, równało się raczej samobójstwu. Jeden przewracający się zaprzęg mógł tu pociągnąć za sobą inne. Ale w ten sposób najlepiej dawało się szybko i sprawnie zająć nową pozycję, bez obawy, że szeroko rozłożona Fala zderzy się z inną.

Der’eko poprowadził swój oddział w lewo, na wzniesienie flankujące nieckę, skąd powinien mieć lepszy widok. Na razie nad polem bitwy nie rozległ się dźwięk rogów, którymi karawana wzywałaby swoje rydwany do bezpośredniej obrony, zresztą nie spodziewał się go, wewnątrz obozu były jeszcze cztery inne Fale dowodzone przez samego *Lamerei*, a Awe’aweroh Mantoru nie urodził się w kupie końskiego łajna. Popędził zaprzęg lekko pod górkę, czując, jak od strony rzeki zrywa się wiatr. Dobrze, będzie lepszy widok.

Zawrócili, ustawiając się w trzy luźne linie i porządkując szyk w chwili, gdy wiatr zakręcił tumanami kurzu unoszącymi się nad polem bitwy i pognał je w stronę karawany.

Pani Szarowłosa!

Piszczałka w usta.

„Naprzód!”.

„Trzy ostrza!”.

* * *

Strażnicy dali jej spokój, bez reszty zajęci oglądaniem widowiska rozgrywającego się w niecce. Także na granicy obozowiska Sahrendey zamarł ruch, setki koczowników wbijających pale w ziemię przerwało pracę i gapiło się w milczeniu na bitwę.

Najpierw na próbne ataki i ostrzeliwanie czoła wędrującego obozu, potem na kontratak rydwanów. Nawet gdy kurz podniesiony kopytami tysięcy koni przesłonił niemal całkowicie widok – tylko karawana, monstrualny czworobok, który właśnie zsunął się ze wzgórza, była wciąż rozpoznawalna – nie ruszyli się z miejsca. Lecz w kurzawie rozciągającej się dobrą milę od pierwszych wozów bojowych naprawdę niewiele dawało się dostrzec. Czasem na skraju pojawiały się cienie większych oddziałów, czasem pojedynczy jeźdźcy, gdzieniegdzie błysnęło żelazo. Raz, tylko raz Key’la dostrzegła wyraźnie oddział pędzących rydwanów, ciągnący za sobą, niczym skrzydła, wstęgi jedwabiu. I tyle.

W pewnej chwili, a od tego widoku serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, z chmury kurzu wyrwał się duży oddział konnicy, pędzący na złamanie karku w ich stronę. Ale nie, to nie była ucieczka, po chwili konni zatrzymali się, wyrównali szyk i zawrócili, szybko nabierając prędkości.

Potem z prawej strony wyjechała zwarta kolumna rydwanów, kierująca się na wzniesienie. Tam zatrzymała się i z budzącą podziw precyzją zawróciła, ustawiając się od razu w trzy szerokie linie. Prawie się uśmiechnęła na ten widok: koczownicy uciekają z pola bitwy cwałem i ledwo starczy im odwagi, by wrócić, a jej lud spokojnie i bez pośpiechu szykuje się do ataku, który zmiecie Se-kohlandczyków z powierzchni ziemi.

Poczuła łagodny podmuch na twarzy, wiatr przypomniał sobie, od czego jest.

Przez chwilę zapomniała o bólu. Haki, rany, to, że wisi jak kawał mięsa u rzeźnika, nie miało żadnego znaczenia, bo oto jej prześladowcy widzieli pełną potęgę gniewu Verdanno. Gniewu innego niż dotychczasowy, zim-

nego i bezwzględnego niczym rzeka lodu sunąca nieubłaganie przed siebie, gniewu, który zrodziła dawna wojna, upokorzenie, wygnanie z ziemi przodków, a przede wszystkim zbrodnia sprzed lat. To nie jakieś dzikusy wracają, by walczyć o plemienne terytorium, lecz prawi gospodarze łomocą do drzwi uzurpatorów, by wystawić im rachunek za krzywdy.

A potem wiatr przegnał kurz na zachód, a jej pierś ścisnął ból nowego rodzaju. Najpierw dłuższą chwilę patrzyła tylko nic nierozumiejącym wzrokiem na odległe o pół mili od sunącej karawany pobojowisko, a potem jęknęła cicho, cichuteńko, żeby nikt tego nie usłyszał.

Bo pół mili od karawany dogorywała cała Fala. Nawet takie dziecko jak ona rozumiało, co tam właśnie zaszło, że koczownicy wykorzystali tumany kurzu, by oślepić kontratakujących obrońców, a potem na Falę uderzyło cztery, pięć tysięcy konnych jednocześnie, miażdżąc ją w błyskawicznym ataku. Choćby nie wiedzieć jak dzielne i odważne były załogi rydwanów, to przy przewadze dziesięć do jednego musiały ulec. Nie widziała szczegółów, nie z takiej odległości, ale na polu zostało jeszcze kilkadziesiąt rydwanów, które nie tworzyły już Strumieni ani nawet Strug, tylko skupiały się w żałośnie nieliczne, kilkuzaprzęgowe grupki, próbujące jeszcze nawiązywać walkę z konnicą, która wyraźnie z nich drwiła. Z daleka wyglądało to tak, jakby rozproszone na sztuki stado bydła próbowało opierać się atakowi wielotysięcznej watahy. Wilki wtedy unikają bezpośrednich starć, uciekają przed rogami zdesperowanych krów i byków, ale raz za razem doskakują do boków przetrzebionego stada, szarpią za nogi, powalają kolejne zwierzęta.

Na jej oczach grupa kilkudziesięciu konnych dopadła sześć rydwanów, otoczyła je ze wszystkich stron, zasypała strzałami i zanim Verdanno zdążyli trzy razy napiąć łuki, odskoczyła. Z sześciu wozów został tylko jeden.

Starszy z jej strażników zaśmiał się gardłowo i poklepał młodszego po plecach. A potem spojrzał na nią i powoli, jakby się nad czymś zastanawiał, szturchnął ją trzonkiem włóczni. Uśmiechnął się szerzej i wyszeptał coś w swoim języku, wskazując pole bitwy.

Patrz – zdawał się mówić, patrz, co z was zostanie.

* * *

Gyr’konwes, zwany Tyczką, zatrzymał kulejący zaprzęg i wyskoczył z kosza. Nie musiał podchodzić do zwierząt, by wiedzieć, że już po nich.

Konnica, która przed chwilą rozbiła jego Strugę, oddalała się, widocznie nikomu nie chciało się zawrócić wierzchowca, by zająć się załogą ostatniego rydwanu.

Koczownicy zmienili strategię i osiągnęli to, czego Wozacy się obawiali – przewagę liczebną. Pierwsza Fala spodziewała się, że jedzie przepłoszyć z drogi karawany kilka a'keerów, nie więcej niż tysiąc konnych, bo reszta będzie nadal czekać na okazję do bezpośredniego ataku na wędrujący obóz, lecz wpadła w sprytną pułapkę. Syn Wojny zignorował karawanę i wykorzystał kurz podniesiony tysiącami kopyt, by rzucić do walki resztę swoich jeźdźców przeciw rydwanom, a Verdanno nagle znaleźli się w kręgu pięciu tysięcy Se-kohlandczyków. Dowodzący Falą Ken'sor Gewalor rozkazał utworzyć Młyn z Brązu, olbrzymie, potrójne koło, w którym rydwany pędzą jeden za drugim z rozwiniętymi jedwabnymi proporcami, a łopot jedwabnych flag i łoskot tyrkaczy w szprychach odstraszają konnicę i powstrzymują ją od bezpośredniego ataku. Taki szyk pozwoliłby im przetrwać do czasu nadejścia posiłków.

Nie przewidzieli tylko, że kurzawa okaże się tak gęsta, iż skutecznie zasłoni ich przed wzrokiem karawany, oraz tego, że koczownicy zmienią nie tylko strategię w bitwie, ale i taktykę ataków.

Sucze syny strzelali do koni. Ale nie, jak dotychczas, z daleka, mierząc w cały rydwan, tylko wstrzymywali się z wypuszczeniem strzał do ostatniej chwili, nie odpowiadając nawet na pociski Verdanno, po czym dopadali poszczególne Strugi i zasypywali je strzałami, mierząc nisko, w końskie nogi. Mały cel, ale jak dziesięciu łuczników pośle po kilka pocisków w nogi jednego konia, to biedne zwierzę musi zostać trafione. Wydawałoby się, że bok, nawet chroniony pikowanym pancerzem, będzie lepszym celem, ale koczownicy nauczyli się już, że jedna strzała w nodze zatrzyma konia skuteczniej niż nawet tuzin w boku.

Była to taktyka, która pozbawiała ich zdobyczy, bo większość tak poranionych zwierząt nie nadawała się do niczego, ale za to taktyka wyjątkowo skuteczna. Tym bardziej że przy każdym ataku koczownicy koncentrowali się tylko na kilku rydwanach. Czwarta Struga straciła w pierwszym starciu trzy załogi, w drugim cztery, w trzecim kolejne trzy, a w czwartym już pięć, bo trzy rydwany zderzyły się w pełnym pędzie, tworząc kłębowisko końskich i ludzkich ciał, połamanego i zakrwawionego drewna i metalu. Se-kohlandczycy łuskali Młyn z Brązu warstwa po warstwie, jakby zdejmo-

wali łupiny z cebuli, wyskakiwali z tumanów kurzu w pozorowanych atakach, by nagle skręcić i zniknąć, nie oddając jednego strzału, a wtedy kolejny a’keer uderzał z innego miejsca i wyrywał z szyku następne rydwany. Tym razem szybkość i zwrotność dawały przewagę koczownikom, a na dodatek sucze syny zachowywali się tak, jakby własne straty nie miały dla nich znaczenia.

Ktokolwiek nimi dowodził, musiał być naprawdę zdesperowany.

Tyczka podszedł do koni, ten z prawej strony zaprzęgu miał dwie strzały w przedniej nodze i trzy w tylnej. Groty koczowniczych strzał były szerokie, liściaste, zakończone zadziorami, a wystrzelone z bliska zadawały równie szerokie i paskudne obrażenia, jak noże z zębatymi ostrzami. Z jednej z ran wystawały kawałki kości. Koń patrzył na niego, nie odwracając łba, dysząc ciężko i drżąc. Wiedział.

— Tak, Koral. — Tyczka podszedł do zwierzęcia, przecinając po drodze uprząż, i delikatnie pogładził go po miękkich chrapach. — Ty i ja dziś jeszcze staniemy przed obliczem Klaczy o Białej Sierści. Powiedz jej, że Gyr’konwes, Drugi z rodu Damehortów, nazywany przez wszystkich Tyczką, idzie twoim śladem, by ucałować jej Kopyto.

Dźgnął nożem pod pikowany pancerz, tuż za przednią nogą, a koń stęknął, parsknął żałośnie i upadł. Drugie zwierzę, ranione tylko w jedną z przednich nóg, miało jeszcze szansę. Jeżeli można tak nazwać niewolę u koczowników. Ale jego los był w rękach Pani Stepów, Verdanno skracali męki tylko tym koniom, których nie dało się uratować.

Raz-dwa odciął go od rydwanu i pogonił klepnięciem w zad.

— Skończyłeś?

Ver’san nie ruszył się z miejsca, co było dość oczywiste, zważywszy, że strzała przebiła mu udo i przyszpiliła do burty. Gdy oba konie odcięto, kosz przechylił się mocno do przodu i łucznik miał kłopot z utrzymaniem równowagi. Rana tętniła jaskrawą czerwienią, mimo opaski założonej powyżej.

— Tak. Oba są wolne.

— Dobrze. — Twarz Ver’sana była blada, wargi zacisnął w wąską kreskę. Potem się uśmiechnął. — Pamiętasz Eso’nę?

— Widziałem ją dziś rano, głupcze.

Gyr’konwes szybko sprawdził kosz. Został im jeden dziryt, kilka strzał w kołczanie, miecz i toporek. No i *kavayo*, oczywiście. Wystarczy.

Gdzieś w tumanie kurzu mignęli konni.

— Byłem z nią… wczoraj. Prezent dla dzielnego łucznika. Może… może nie cały umrę.

— No tak, to, że za dziewięć miesięcy na świat przyjdzie jakieś strasznie brzydkie dziecko, ma mnie pocieszyć?

Tyczka szybko podniósł łuk i wbił przed sobą kilka strzał w ziemię. Obejrzał się, przewrócony kosz powinien częściowo osłonić mu plecy. Jego towarzysz półklęczał, trzymając oburącz drzewce wystające mu z uda. Szarpnął nagle, wyrywając grot z burty i krzycząc chrapliwie. Usiadł od razu na ziemi, opierając się o koło rydwanu.

— Zazdroś… cisz…

— Nie. Ale chyba masz rację, wizja niewinnego dziecka z twoją gębą sprawia, że człowiek woli umrzeć tu i teraz.

— He… he… hhhh…

Gyr’konwes obejrzał się, łucznik siedział na ziemi, plama szkarłatu rozlewała się wokół niego jak jedwabna peleryna w kolorze cesarskiej purpury.

„Żegnaj, przyjacielu”.

Rozejrzał się, kurz ograniczał widoczność do trzydziestu jardów. Może zdoła ze dwa razy wystrzelić.

Zobaczył, jak wiatr czesze trawę, a po chwili w jego polu widzenia znalazło się kilkudziesięciu jeźdźców.

Powinniśmy walczyć w siodłach, jak te sucze syny, pomyślał. Nałożyłaś na nas ciężkie brzemię, Pani Wszystkich Koni.

I napiął łuk.

* * *

Rogi zabrzmiały: krótko, długo, krótko, krótko, długo. „Pomocy!”.

To było wezwanie dla każdej Fali, Strumienia i Strugi, by bronić karawany. Cokolwiek robiłeś, jakiekolwiek zwycięstwo znajdowało się tuż przed twoim nosem, miałeś je porzucić i pędzić do obozu, bo obóz był w niebezpieczeństwie.

Albo w obozie dostrzeżono, że ty pakujesz się w kłopoty, z których nie wyniesiesz cało skóry.

Der’eko już po przejechaniu trzystu jardów widział, że prowadzi swoich ludzi do ataku na pięć tysięcy konnych. Pył i kurz wzbijane przez konie, jeśli były podarunkiem Pani Stepów, to podarunkiem dla obu stron: koczownicy nie mieli szans na skryte obejście karawany, lecz jednocześnie, gdy walka już rozgorzała, karawana stawała się ślepa na to, co działo się na polu bitwy.

Zawrócili. Z bólem serca, bo mniej niż pół mili przed nimi szarobury koczowniczy potwór pożerał właśnie resztki Pierwszej Fali, a oni nie pragnęli niczego więcej, niż utoczyć mu krwi. Kilka a’keerów wyrwało się w ich stronę, jakby prowokując do ataku, ale dalsza walka byłaby szaleństwem. Nawet gdyby *Lamerei* rzucił do bitwy wszystko, co miał, dzięki czemu być może wyrównałby szanse i rozbił te pięć Skrzydeł, to Fale poniosłyby zbyt wielkie straty, a przecież rolą rydwanów nie było zwycięstwo w polu, tylko osłona ciężkich wozów, zdobycie czasu dla karawany, by ta mogła zamienić się w niezdobyty obóz. Być może trzydzieści lat temu, gdy do bitew stawały hordy dzikich wojowników, dla których nie liczyło się nic prócz wojennej chwały, załogi nie posłuchałyby rozkazu i runęły na wroga. Ale teraz Verdanno nie szli po chwałę, tylko po własną ziemię i należną im zemstę, a mieli dość czasu, by zrozumieć, że zemstą należy cieszyć się jak dobrze schłodzonym piwem, spokojnie i bez emocji. Pomknęli więc w stronę pancernych wozów, ostrzeliwując się tylko zawzięcie, choć Se-kohlandczycy nie naciskali ich zbyt gorliwie. Najwyraźniej zadowolili się zniszczeniem jednej Fali lub też, co równie prawdopodobne, kończyły im się strzały.

Tak czy inaczej w zaledwie kwadrans obóz New’harr stracił szóstą część swoich rydwanów.

Trzecia Fala zajęła pozycję na jego czele, rozciągnęła się szeroko, by uzupełnić lukę po Pierwszej. Der’eko zgrzytnął zębami w bezsilnej złości, obserwując pobojowisko, do którego się zbliżali. Pamiętał – choć nie powinien tego wspominać – jakie to uczucie, siedzieć w siodle, czuć pod sobą żywego konia, jego ciało, pracę mięśni, każde uderzenie kopyta o ziemię, każdy oddech. Czuć, jak wali mu serce i jak twoje własne dostosowuje się do tego rytmu, aż stajecie się jednością. Być może to ostatnie wspomnienie stanowiło tylko część snów, które go czasem nawiedzały, lecz były to sny wyjątkowo wyraźne i niosące jeden przekaz, krwawo teraz potwierdzony. Koła są gorsze od kopyt, a gdyby Wozacy zamiast trzech tysięcy rydwanów mieli sześć tysięcy jazdy, to starcie wyglądałoby inaczej.

Gwizdki przekazały rozkazy wzdłuż linii rydwanów.

„Równaj!”. „Czekać!”.

Koczownicy wycofywali się w kierunku własnego obozowiska, gdzie widać było kolejne oddziały szykujące się do walki. Jechali spokojnie, powoli, z arogancją tych, którzy opuszczają pole zwycięskiego starcia. Gorzki policzek dla dumy Verdanno.

Za jego rydwanem zatrzymał się kolejny pojazd, *Lamerei* skinął dłonią.

„Przeskakuj”.

Der’eko oddał lejce swojemu łucznikowi i zeskoczył na ziemię. Gdy tylko zamienili się z łucznikiem dowódcy, Awe’aweroh Mantoru zwolnił nieco, aż znaleźli się kilkadziesiąt kroków za Trzecią.

— Jakie straty?

Lamerei używał *anaho*, cedząc słowa półgębkiem. Oczywisty wybór, pozostałe języki dały się czytać oczami, a jasne było, że teraz wszystkie oczy wlepione są w ich rydwan.

— Trochę rannych. Wszystkie wozy przyprowadziłem z powrotem.

— Szczęście Pani Stepów było z tobą. Z Pierwszej wróciło trzydzieści załóg.

Trzydzieści! Było gorzej, niż się spodziewał.

— Okaleczają konie — głos starszego mężczyzny obniżył się jeszcze. — Strzelają w nogi, oczy, chrapy, czasem rzucają oszczepy w koła. Atakują ze wszystkich stron naraz, wybierają po kilka załóg, rozbijają szyk. Młyn rozwalili w mniej niż kwadrans.

— W poprzedniej wojnie…

— W poprzedniej wojnie nie było takich wielkich obozów, a my nie mieliśmy skrzydeł ani tak dobrze chronionych zaprzęgów. Ale wtedy oni starali się raczej zdobywać konie, niż je zabijać. Potrzebowali zwierząt i niewolników.

Tak. To się zmieniło. To oraz fakt, że jak na razie nie próbowali uderzać na karawanę. Der’eko obejrzał się, było coś uspokajającego w niewzruszonej pewności, z jaką ściana pancernych wozów sunęła przed siebie.

— Nie patrz tak na nie. — Awe’aweroh zdawał się czytać jego myśli. — Na razie przejechaliśmy ledwo milę, a siła wędrującego obozu jest złudna. Bez rydwanów oni rozbiją karawanę po kilku godzinach, ciężkie

wozy są sto razy więcej warte, gdy tworzą zwartą ścianę, niż gdy wędrują. Dlatego zaczęli od oskrobania obozu z Fal. Jak nie będzie rydwanów, tysiąc konnych zmusi nas do zatrzymania się. Widzisz? Już idą następni.

Der'eko spojrzał we wskazanym kierunku. Od strony obozu koczowników zbliżała się kolejna szara horda. Nie, nie horda, poprawił się w myślach. Armia. Jadą zbyt równo, za spokojnie, bez problemu dzielą się na Skrzydła i a'keery, a wszystko w ruchu, kłusem. To jest cholerna armia konna, wyrosła na tysiącu potyczek i setkach bitew. Zlekceważyliśmy ich w poprzednim starciu, sądząc, że skoro mamy lepsze pancerze i większe konie, to po prostu po nich przejedziemy. Rozbiliśmy ich u podnóża gór, więc wydawało się nam, że już zawsze będą uciekać, gdy zobaczą nasze rydwany. Jak wiele innych ludów przed nami, pozwoliliśmy sobie na chwilę pogardy, widząc gromadę kurdupli w skórzanych pancerzach, wojłokowych kaftanach albo baranicach, dosiadających małych koników i władających małymi, śmiesznymi łukami. Nawet Imperium potrzebowało kilku lat i musiało wykorzystać wszystkie siły, by ich powstrzymać.

To były gorzkie myśli, zabarwione odrobiną ponurego rozbawienia, którego źródło tkwiło w świadomości, że Se-kohlandczycy kłaniali się Gallegowi, Panu Burz, a ludy, dla których ważniejsza była Pani Stepów, musiały zginać przed nimi kark. Władczyni Koni została upokorzona przez konną armię.

— Powinniśmy siedzieć w siodłach.

Wyrwało mu się to bezwiednie, jako zwieńczenie myśli tłukących się od dłuższego czasu po głowie. I zaraz rzucił okiem na dowódcę, spodziewając się potępiającego wzroku i oburzonej miny. Ale *Lamerei* nie odrywał spojrzenia od zajmujących pozycję koczowników.

— Są jakieś dwie mile od nas, ale nie dadzą nam spokoju… O, widzisz, ruszyli. Macie zakaz atakowania, choćby wjeżdżali wam między konie. Możecie strzelać, ale nie oddalajcie się dalej niż sto jardów od wozów. Na wszystkich są dodatkowi kusznicy, będą nas wspierać.

Taka taktyka nazywała się Atłasowa Koszula. Rydwany trzymały się karawany blisko, jak koszula ciała, i ostrzeliwały wroga wraz z załogami wozów bojowych. Traciły jednak w ten sposób swój główny atut, ruchliwość i szybkość. A przecież cały czas wbijano im do głowy, że wolny rydwan to martwy rydwan.

— Wiatr ustał. — Starszy mężczyzna mamrotał, nie patrząc na Der’eka. — Nie pozwolę wam znikać w tumanach kurzu, bo już z nich nie wyjedziecie. Modlę się do Szarowłosej, by te chmury, które mamy nad głowami, pokropiły choć odrobinę, tyle, by pył przykleił się do ziemi, ale na razie nie raczyła mnie wysłuchać. Więc macie się trzymać blisko, nawet jeśli będziemy ponosić większe straty.

Zamilkł na chwilę, ruszając szczęką, jakby żuł kawał surowego mięsa.

— Jeżdżę rydwanem, odkąd skończyłem sześć lat i wyrosłem na tyle, by zobaczyć coś nad krawędzią kosza. Nigdy nie złamię Przysięgi. Ale dwadzieścia lat w Imperium, między jeźdźcami różnych ludów… gdyby Pani Stepów dała mi jakiś znak… wsadziłbym was wszystkich na konie… Gdyby dała znak. No… biegnij już. Trzecia czeka.

* * *

Kyh Danu Kredo zatrzymał spienionego konia przed namiotem Yawenyra. Kopuła z żółtego jedwabiu wyrastała kilka łokci ponad inne, będąc i tak – mimo swych rozmiarów – ledwo namiastką prawdziwego Złotego Namiotu. Ten prawdziwy stał w Koh Dalen, pośrodku Wielkich Stepów, w centrum królestwa Wolnych Plemion, miał trzysta jardów średnicy i składał się z wielu połączonych ze sobą namiotów, obleczonych milami najdroższych tkanin w kolorach od bladej żółci lipowego miodu, do ciemnego, agresywnego oranżu noszonego na głowie przez żmije stepowe. Konstrukcja tutaj wyglądała przy nim jak namiot niewolników.

Mimo to serce se-kohlandzkich plemion biło obecnie właśnie w tym miejscu.

Zeskoczył z siodła, zatrzymując się przed rozciągniętym na ziemi czerwonym sznurem.

— Kyh Danu Kredo prosi o posłuchanie u Ojca Wojny, Prawej Dłoni Gallega, Pana Burz.

Upokorzenie miało gorzki smak. On, jeden z pięciu najpotężniejszych ludzi Stepów, musi opowiadać się jak byle sługa i czekać, aż jeden z ponurych strażników wejdzie do środka i powiadomi Yawenyra o jego obecności. I wszystko to na oczach setek Jeźdźców Burzy, szykujących się wokół do bitwy. Żaden z nich nie spoglądał na niego otwarcie – zerkali szybko, kątem oka, ale i tak uśmiechali się lekko, jakby do własnych myśli, i osten-

tacyjnie przechodzili obok, rozmawiając półgłosem. Jeźdźcy wiedzieli, że łaska Ojca nie spowija już jego Syna, a że byli dumą Wolnych Plemion, pozwalali sobie na więcej niż inni.

Tak. Gorzki smak. Czuł go na języku i podniebieniu, zupełnie jakby ktoś poczęstował go nalewką z gorczycy.

Kula żółci podjechała mu do gardła, gdy z namiotu wyszła jasnowłosa niewolnica.

— Ile? — zapytała lekko, a on w pierwszej chwili nie zrozumiał, o co chodzi, zajęty rozmyślaniem, jak wielu spośród otaczających go wojowników zauważyło, że Yawenyr wysłał do niego niewolnicę.

— Ile…? — I przypomniał sobie ostatnie polecenie starego pryka. — Jakieś pięćset. Stracili pięćset rydwanów.

Przez chwilę wyglądała, jakby się zastanawiała, jakby – na Garść Piorunów! – to od niej zależało, czy ta odpowiedź jest zadawalająca.

— Ojciec wysłucha twojej relacji. — Odsunęła się na bok.

Yawenyr poświęcił mu kilka minut, siedząc na wilczej skórze rzuconej wprost na ziemię. Co oznaczało, że on, Kyh Danu Kredo, musiał przed nim klęczeć, półzgięty, gdyż w czasie posłuchania głowa Syna nie może znajdować się wyżej niż głowa Ojca.

Istnieją setki sposobów, by zgiąć niepokorny kark, a on miał wrażenie, że żaden nie zostanie mu oszczędzony.

— Dobrze. Ale drugi raz nie uda ci się tak łatwo odciągnąć rydwanów od karawany. Teraz będziesz musiał stoczyć bitwę przy ścianie pancernych wozów, pod gradem strzał i bełtów. Posłałeś już ludzi do ataku?

— Tak, Ojcze. Następne pięć Skrzydeł.

— Dobrze. Jak szybko idzie obóz?

— Nie szybciej niż maszerujący człowiek.

— Dużo ich, prawda? To dobrze. Zbyt wiele wozów, za mało doświadczonych woźniców. Nie mogą jechać szybciej, bo tak wielką karawanę trudno kontrolować i chronić jednocześnie. Gdy jeden bok zwolni, drugi pójdzie naprzód i szyk się rozerwie.

— Rozumiem, Ojcze.

— To dobrze. — Wódz Wolnych Plemion skinął z namysłem głową. — Moi Źrebiarze mówią, że dziś nie spadnie deszcz. Kurz cały czas będzie

zasłaniał pole bitwy.

— Tak, Ojcze. Wydam rozkazy.

Yawenyr pokiwał głową.

— Dobrze. Do zachodu słońca zostały ci jakieś trzy godziny. Masz do zniszczenia jeszcze pięćset rydwanów — powiedział cicho, uśmiechając się ze zwodniczą łagodnością. — Spiesz się, mój Synu.

* * *

Boliboliboli…

Oddychanie staje się męką ponad siły, haki zmieniają się w rozpalone do białości kły dzikich bestii, wczepionych w pierś i plecy, próbujących rozerwać ją na strzępy. Każdy oddech jeszcze je rozdrażnia, prowokuje do kolejnych ataków. Każde drgnienie mięśni, spazmatyczny, czasem bezwiedny ruch, odzywa się ogniem w ranach, szarpie trzewia, wbija rozpalone ostrza między połamane żebra.

Key’la ma zamknięte oczy, zagryzione z całej siły zęby, dłonie zaciśnięte w pięści tak mocno, że paznokcie chyba przebiły skórę.

Nie będzie krzyczeć.

Nie będzie patrzeć.

Nie na te kilkanaście okrągłych kształtów, rozrzuconych wokół jej trójnogu jak piłki zostawione przez niesforne dzieci.

Mimo zaciśniętych powiek wciąż miała przed oczami jeźdźców wracających z pierwszej bitwy. Zwycięskich, uśmiechających się, żartujących. Nawet ci z nich, którzy brocząc krwią, chwiali się w siodłach, mieli zadowolone miny. Za nimi, na przedpolu karawany zostało kilkaset rydwanów, rozbitych, połamanych, pozbawionych zaprzęgów. Fala, która próbowała kontratakować, zawróciła nagle i pomknęła w stronę pancernych wozów, jakby szukając ochrony w ich cieniu. Na ten widok w obozie za jej plecami wybuchły krzyki i śmiechy, które paliły jej duszę niczym krople wrzącej smoły. Plemiona Kyh Danu Kreda brały odwet za nocną bitwę przy rampie, a gdy zaskoczenie nie stało po stronie Verdanno, konnica zwyciężała ich z łatwością.

Ostatnia grupa konnych zatrzymała się i cisnęła w jej stronę jakieś okrągłe rzeczy. Wiedziała, co to jest, oczywiście że wiedziała, lecz świadomość wzbraniała się przed nazwaniem ich, jakby nadanie tym kształtom nazwy

mogło jeszcze coś zmienić. Wyłowiła wśród jeźdźców swojego „właściciela”, tego, który ją tu powiesił. Uśmiechnął się tylko i rzucił jej pod nogi jeszcze jedną głowę. Nie spojrzała w dół, choć warkocz musnął jej kostki. I tak wiedziała, że do końca życia nie zapomni wyrazu cierpienia, który zastygł na twarzy widzianej w ruchu, przez mgnienie oka.

Do końca życia, czyli do wieczora.

Może do świtu.

Może on wreszcie przyjdzie i… i da jej odpocząć.

Widziała coraz gorzej, krawędzie przedmiotów rozmywały się, zasnuwały czerwoną mgiełką, uciekały w szarość.

Dlatego zamknęła oczy.

Niczego nie pragnęła bardziej niż tego, by odpłynąć w ciemność.

Krzyknęła, krótko, zaraz zagryzając wargi. Uderzenie trafiło ją w splot słoneczny, zmuszając do nagłego szarpnięcia, wypuszczenia powietrza i próby gwałtownego nabrania tchu.

Starszy ze strażników wpatrywał się w nią, marszcząc czoło w zabawnym grymasie. Widząc, że otworzyła oczy, warknął coś i szturchnął ją raz jeszcze, trafiając precyzyjnie w jeden z haków, aż ogień rozszedł się po całym ciele. Krzyknęła, niech Pani o Szarych Włosach jej wybaczy, krzyknęła, bo to było tak, jakby rozpalony pręt przebił jej serce. A strażnik pokiwał głową i wskazał nieckę, wypluwając kilka słów w swoim języku. Nie potrzebowała tłumacza, gest był jasny. „Patrz!”. Masz patrzeć, bo inaczej znów uderzę.

Więc uniosła głowę i spojrzała.

Wnętrze niecki tonęło w kurzu. O ile wcześniejsze starcie wznieciło tuman pyłu o średnicy może mili, o tyle teraz miało się wrażenie, że burzowa chmura opadła nad ziemię, by poczochrać swój brzuch o trawy. Nie było widać nic dalej niż na kilkadziesiąt kroków, na jej oczach kolumna może dwudziestu konnych wjechała w kurzawę i nim zanurzył się w niej ostatni jeździec, pierwszy już znikł. Wyglądało na to, że koczownicy postanowili stoczyć bitwę na ślepo, tylko oni raczej nie musieli się martwić, iż zgubią wroga, nie można przecież zgubić czegoś wielkości miasta.

Och, nigdy tak naprawdę nie wędrowała taką karawaną, ale łatwo mogła sobie wyobrazić, co dzieje się wewnątrz. Konie się boczą, woźnice próbują utrzymać szyk, widząc tylko trzy wozy przed i trzy za sobą, załogi wozów

bojowych wpatrują się w szarą ścianę, usiłując dostrzec koczowników, nim ci wyskoczą nagle przed nimi, zasypią strzałami i znikną. Największa przewaga, jaką mieli kusznicy – zdolność do rażenia wroga z dużej odległości, nim zdoła on podjechać na tyle blisko, by ranić konie – przepadła. Rydwany… Obserwowała kilka razy ćwiczenia Strumieni i Fal, tuż przed tym, zanim wyruszyli na północ, i wiedziała, jak wiele miejsca potrzebuje duży oddział rydwanów, by skutecznie walczyć. O wiele więcej niż podobnej liczebności oddział jazdy. Jako dziecko wyrosłe w przygranicznym miasteczku, pełnym konnych zabijaków, potrafiła łatwo dostrzec różnicę. Żadna Fala nie zdoła też walczyć, nie widząc wroga, Der’eko powiedział jej kiedyś, że najważniejsze dla dowódcy rydwanów są oczy, bo nie ma nic gorszego niż wozy, które zderzają się ze sobą, zamiast wykonywać manewr.

A koczownicy wyłupili im te oczy. I to w najprostszy z możliwych sposobów, o czym przekonała się, gdy z kurzu wyjechała galopem grupka dziesięciu jeźdźców ciągnących za sobą sterty powiązanych gałęzi. Zatoczyli koło, wzniecając chmurę pyłu, i znikli.

Och… Pani Stepów, ześlij im deszcz.

* * *

Karawana krwawiła. Tylko że zamiast wozami bojowymi, krwawiła rydwanami. Tracili konie i ludzi. A najgorsze było to, że nic nie mogli zrobić. Der’eko nie wiedział nawet, ile ma jeszcze załóg, bo Trzecia Fala rozciągnęła się wzdłuż prawego boku Pancernego Węża na długość prawie mili, w trzech kolumnach, mających odgrodzić koczowników od obozu. Zewnętrzną linię wozów bojowych miał jakieś pięćdziesiąt jardów po lewej, a i tak ledwo dostrzegał zarysy potężnych pojazdów. Jego oddział musiał dostosować się do tempa całego obozu, tempa, które coraz bardziej spadało, teraz całość robiła ledwo pół mili na godzinę, szarpanym rytmem, w trakcie którego wozy czasem po prostu stawały, by się nie zderzać, woźnice krzyczeli, a zwierzęta coraz bardziej się denerwowały.

Se-kohlandczycy zdominowali pole bitwy. Atakowali z różnych stron, w różnej liczbie i z różną częstotliwością. Na dodatek znów zmienili taktykę. Tym razem strzelali nie tylko do koni, ale także do ludzi i wielu Wozaków przekonało się, że strzała wypuszczona z trzydziestu kroków całkiem nieźle radzi sobie z kolczugą. Skutek był taki, że załogi zaczęły szyć

z łuków do wszystkiego, co tylko pojawiło się w zasięgu wzroku. Najczęściej do własnych przywidzeń.

A koczownicy nie odpuszczali, pojawiali się po kilkunastu, zasypywali rydwany strzałami i znikali. Czasem zresztą tylko się pojawiali, na mgnienie oka, by po chwili odskoczyć, zniknąć jak duchy. A czasem… tak jak kilka minut temu, rzucali się do frontalnego ataku, wjeżdżając między rydwany, siekąc konie szablami po łbach i dźgając włóczniami po odsłoniętych nogach, ścierając się twarzą w twarz z załogami wozów, zanim łucznicy Verdanno zdążą sięgnąć po inną broń. Tylko dlatego, że Fala tworzyła trzy linie, które mogły się wspierać, nie przedarli się wtedy przez nich, ale to krótkie starcie kosztowało ich prawie całą Strugę. Ten, kto stwierdził, że nieruchomy rydwan to martwy rydwan, miał rację. Jeszcze kilka takich bezpośrednich ataków, a koczownicy dobiorą się do wozów bojowych i karawana nie zyska nic, poza utratą większości rydwanów.

Długo, długo, krótko.

Dźwięk rogów brzmiał jak łkanie, jak przyznanie się do klęski. Długo, długo, krótko. „Stajemy!”.

Pancerne wozy zatrzymują się, załogi wyskakują i wyprzęgają konie, te z wewnętrznych linii wjeżdżają w luki po zaprzęgach, na ostatnim odcinku przepychając swoje wozy ręcznie. W kilka minut powstaje linia niemal całkowicie szczelna, bo dobry *En’leyd* nie zapomni przecież o swoich rydwanach. Co kilkanaście wozów jest szczelina, blokowana na razie przez pawężników. Trzecia Fala czeka na sygnał, wzywający do powrotu, schronienia się wewnątrz obozu, ale ustawienie Pancernego Muru trwa dłużej niż w czasie spokojnej wędrówki. Ludzie i zwierzęta są nerwowi, w niektórych miejscach linia rozciąga się za bardzo, w innych jest za szeroka. To dlatego karawan nigdy nie prowadzi się nocą, ślepota wprowadza większy chaos niż atak całej wrogiej armii.

Wreszcie jest – krótko, krótko, krótko – „Rydwany do obozu!”.

Koczownicy tylko w dwóch miejscach zaatakowali wycofujące się Strugi, ale przyjąwszy salwę z wozów bojowych, znikli od razu z pola widzenia i Der’eko nie mógł się pozbyć wrażenia, że po prostu pozwolili im się schować wewnątrz karawany. W końcu osiągnęli sukces, zatrzymali największego Pancernego Węża na świecie i to nie stalą czy ogniem, lecz stepowym pyłem.

Laal musiała się uśmiechać wyjątkowo kwaśno.

— Dowódcy Fal do *En’leyd*! — Wzdłuż linii wozów przegalopował rydwan posłańca. — Dowódcy Fal do *En’leyd*!

Der’eko skierował się ku centralnej części obozu.

Przed wozem And’ewersa było dość tłoczno. Gdy przybył, stali tam już dowódcy pozostałych Fal, *Lamerei*, Has, Ome, Dem i Kaa, czwórka najpotężniejszych czarowników Obozu New’harr, i Vam’owez Bawerah, dowodzący całą piechotą, jaką mieli.

I to on właśnie odezwał się pierwszy.

— Czy to nie *Boutanu* powinien teraz przemawiać?

Kowal zmierzył go spojrzeniem z góry na dół.

— Emn’klewes sprawdza północną ścianę. Rozciągnęła się za bardzo. Jak nie widzimy, gdzie jedziemy, nie sposób utrzymać porządku. Nie zakładamy obozu, tylko szukamy wyjścia z pułapki. Teraz możemy wyrównać wozy, wyprostować ściany, potem wypuścić rydwany na zewnątrz i pod ich osłoną zrobić kolejne ćwierć, może pół mili. A potem znów zatrzymać się, by poprawić szyki. Ile ujedziemy, zanim stracimy wszystkie Fale? Dem mówi, że dziś nie spadnie deszcz, jutro i pojutrze też nie.

Ubrany na czarno czarownik pokiwał głową.

Gdzieś z lewej dobiegły ich odgłosy bitwy, krzyki, szczęk broni, świst strzał. Po kilku chwilach wszystko ucichło.

— Sprawdzają nas — skwitował to krótko And’ewers. — Już wiedzą, że stoimy, ale nie wiedzą, na jak długo. Będą potrzebowali godziny, by podjąć decyzję, co dalej: pozwolić nam ruszyć, by szarpać konnicą, czy zacząć oblężenie.

— Nie możemy dać się zamknąć w oblężeniu. — *Lamerei* poruszył się niespokojnie, dla dowódcy rydwanów oblężenie oznaczało koniec walki. Mógłby co najwyżej spieszyć załogi i używać ich do łatania dziur w obronie.

— I nie zamierzamy. Za dzień będziemy tu zdychać z pragnienia, za dwa zaczniemy pić własne szczyny. My w ten sposób pociągniemy jeszcze trochę, ale konie nie. Musimy dotrzeć do rzeki. To jakieś pięć mil.

Nikt się nie odezwał, nikt nie parsknął kpiąco. Pięć mil. W tym tempie to dziesięć godzin, pod warunkiem, że koczownicy nie zaczną bardziej naciskać. Der’eko chrząknął.

— A wy, czarownicy, co powiecie? Dacie radę ściągnąć deszcz? Przywołać wiatr? Zrobić cokolwiek?

Has, wciąż blady i słaby, wymienił spojrzenie z siostrą. Byli najstarszymi i najpotężniejszymi szamanami, jakich miał obóz New'harr, jednymi z najbardziej doświadczonych wśród Verdanno. Należeli do tych nielicznych, którzy przeżyli masakrę, jaką Ojciec Wojny zgotował wozackim czarownikom po podboju Wyżyny Lytherańskiej. Reszta szamanów wywodziła się z młodzieży kształconej potajemnie w obozach na pograniczu Imperium. Teraz jednak rodzeństwo pokręciło głowami.

— Żeby wywołać deszcz z nieba, które nie chce płakać, musiałbyś mieć dziesięciu albo dwudziestu takich jak ja. A i tak większość pewnie zapłaciłaby za tę próbę życiem. Poza tym… — Stary czarownik wyglądał na zakłopotanego. — Nasze umiejętności… nasze duchy, będą jeszcze potrzebne. Tam — machnął ręką w stronę obozowiska koczowników — gromadzi się Moc.

— Źrebiarze — prychnął dowódca piechoty. — Wiemy, że ich mają.

— To nie Źrebiarze. Oni potrafią wyrwać ducha z ciała i okiełznać przez niego Moc, ale sami nie są zbyt wrażliwi na duchy, które są wokół. Natomiast tam… Sahrendey — Has splunął na ziemię — ciągną za sobą duchy przodków, tych, którzy nie odeszli do Domu Snu, i budują z nich kordon ochronny wokół swojego obozowiska. Tylko że coś się zmieniło, coś się zbiera… Och, na Białe Kopyto, jakbym rozmawiał z dżdżownicą o kolorach!

— Wystarczy.

En'leyd – gdy And'ewers robił taką minę, Der'eko miał kłopoty, by nawet w myślach nazywać go ojcem – chrząknął i założył ręce na piersi. Wszyscy znali już tę postawę, zaraz padną rozkazy.

— Na razie atakują nas tylko konni Kyh Danu Kreda. Te zawszone bękarty Amanewe Czerwonego nawet się nie pokazały. Nie wiemy dlaczego, ale tym lepiej. Koczownicy zrobili błąd, lekceważąc nas, ale to się zemści. Cały czas odbijaliśmy w lewo i jesteśmy już jakąś milę od tego wzniesienia, które trzymają nasze rydwany. Ich dowódca przysłał mi wieść, że wyżej wiatr rozwiewa całkowicie kurzawę i wszystko widać na setki jardów. Skręcamy. Obrócimy się w lewo i idziemy naprzód, by zająć to wzniesienie.

Zapadła cisza. Obrócić się w lewo. Tak po prostu, cały cholerny, liczący kilka tysięcy wozów obóz. Ćwiczyli to kiedyś, w Meekhanie, na dany rozkaz wozy stają i obracają się w tę samą stronę, a karawana może zmienić trasę wędrówki albo nawet zawrócić, nie ruszając się z miejsca. Ale kilka tysięcy wozów, w tej przeklętej kurzawie i z koczownikami na karku?

Lamerei pierwszy zrozumiał, co to znaczy.

— Kiedy uderzamy?

Kowal spojrzał na niego, wykrzywił usta w dziwnym grymasie.

— Nie uderzacie. Nie stracę tysiąca rydwanów, by dać nam kwadrans albo i mniej. Osłoni nas piechota.

Vam’owez Bawerah poprawił hełm, uśmiechnął się, jakby zakłopotany.

— Tak jak rozmawialiśmy?

— Tak. Wydałeś rozkazy?

— Oczywiście. Kompanie są gotowe.

Awe’aweroh Mantoru wodził wzrokiem od jednego do drugiego z taką miną, jakby nie do końca rozumiał język, którym się posługiwali.

— O czym wy…?

— Zostawimy za sobą piechotę, dwa czworoboki po tysiąc dwustu ludzi. Opancerzone tarczami, najeżone pikami i szyjące z kusz. Tak jak robią to Meekhańczycy.

Lamerei sapnął, pochylił głowę i przez chwilę wyglądał jak byk szykujący się do szarży.

— Zapytaj ich lepiej, ilu żołnierzy stracili, nim zrozumieli, że konnica robi z takiej piechoty tarcze dla swoich strzał.

— Tylko wtedy, gdy próbuje się piechotą wygrać całą bitwę. A my przecież chcemy tylko trochę spowolnić wroga, tak, żebyśmy zdążyli wykonać zwrot i wyrównać szyk. Potem zabierzemy ich z powrotem. Jak będziemy wyżej, spuszczę ze smyczy twoje rydwany. Dlatego Fale mają być w pogotowiu. I wy, czarownicy, również. Zaczynamy na cztery krótkie. Zrobili błąd, że nas zlekceważyli.

* * *

— Lekceważenie. To najgorszy grzech na polu bitwy. Zmusiłeś ich do zatrzymania się, mój Synu, lecz najwyraźniej nadal nas lekceważą.

Siwowłosy starzec rozsiadł się na rzeźbionym z ciemnego drewna krześle i spod zmrużonych powiek patrzył na wypełniającą dno doliny chmurę kurzu. Minę miał taką, jakby był zdolny przeniknąć wzrokiem mglisty tuman, który nadal przesłaniał okolicę, mimo że oddziały jeźdźców „czeszących” wyschniętą trawę przerwały pracę. Kilka ataków, które rozbiły się na ścianie pancernych wozów, wystarczyło, by ostudzić zapał co gorętszych głów. Teraz wojownicy Wolnych Plemion potrzebowali zmiany taktyki.

— Nie zdobędziemy obozu lekką jazdą, Ojcze. Strzały i oszczepy nie wy… starczą…

Kyh Danu Kredo zająknął się, bo Yawenyr, Ojciec Wojny, niech sparszywiałe sępy pożrą jego cuchnące ścierwo, wpatrywał się w niego z tym swoim dziwacznym uśmieszkiem, jakby wysłuchiwał rewelacji irytującego pięciolatka.

— Ile rydwanów im zabrałeś?

To było dobre pytanie, na które sam próbował sobie odpowiedzieć. Siedem? Osiem setek? Yawenyr nie łamał danego słowa. Jeśli powiedział „daj mi to, albo zabiorę ci tamto”, należało zrobić wszystko, by „to” zdobyć.

— Jakieś siedem i pół setki.

— Więc jesteś już blisko. Jak sądzisz, co teraz zrobią?

— Pojadą dalej naprzód. Odkąd wyruszyli spod Olekadów, nie trafili na żadne źródło, rzeczkę czy studnię. Muszą dotrzeć do wody.

— Tak, Synu. Lecz do wody prowadzi niejeden szlak. Dlaczego kazałem ci odebrać im wzrok?

Odpowiedź na to pytanie spłynęła na niego niczym objawienie.

— By poszli inną drogą?

— Właśnie. W miejscu, gdzie są teraz, można wykopać studnie. Wiele studni, które szybko się wypełnią, bo dno tej niecki jest poniżej dna rzeki. Może o tym nie wiedzą, bo nigdy nie byli zmuszeni do kopania studni dla takiej ilości koni i ludzi, a może są zbyt pewni siebie i wierzą, że dotrą do rzeki bez względu na wszystko. To bez znaczenia, ważne jest tylko to, że teraz skierują się na lewo i my im w tym nie przeszkodzimy. Niech zajmą pozycję na wzgórzu, gdzie choćby wykopali tysiąc studni, nie dotrą do kropli wody.

Przez chwilę patrzył na starca, Ojca Wojny, serce i duszę Wolnych Plemion. Nienawiść i pogarda, którą czuł, gdy Yawenyr kazał mu raz za razem

rzucać do ataku swoich najlepszych ludzi, znikła. Ten suczy syn… Niech lepiej zdechnie ze starości i niech wszyscy bogowie, z samym Gallegiem na czele, bronią mnie, bym miał kiedyś stanąć przeciw niemu na polu bitwy.

— Co teraz, Ojcze? Pozwolimy im się wycofać?

— O tak, choć nie bezkarnie. Spójrz. — Kurz już powoli opadał, a pierwsze, co się z niego wyłoniło, to były szerokie na dwieście jardów czworoboki piechoty. — Osłaniają plecy tarczami piechurów.

Starzec uśmiechnął się niemal dobrotliwie.

— Zabij tylu, ilu zdołasz.

* * *

Wokół trójnoga zaczął się gromadzić tłumek. Koczownicy podchodzili, oglądali leżące w pyle głowy, śmiali się i żartowali. Nikt nie próbował się do niej zbliżać, kilku najbardziej ciekawskich przepędziło krótkie warknięcie jednego ze strażników. Miała żyć tak długo, by nasycić żądzę zemsty swojego właściciela. Czerwona mgła, zasnuwająca krawędzie jej pola widzenia, rozrosła się, owinęła ją kokonem obojętności.

Liczyło się tylko jedno.

Powolny wdech.

Powolny wydech.

Ból.

Nie oddychać, nie płakać, nie skarżyć się.

I pamiętać, by co jakiś czas unieść nieco głowę i spojrzeć w stronę niecki, tam, gdzie z chmury pyłu wyłania się właśnie potężne, ruchome miasto, wędrujące mozolnie pod górkę. Bo jeśli zbyt długo wisiała z głową opuszczoną na piersi, starszy ze strażników trącał ją trzonkiem włóczni, aż zaczynała się kołysać jak zakrwawione wahadło, a tłumek wokół wybuchał krótkim rechotem. Hak, w który trafił poprzednio, rozerwał ciało i niemal wypadł z rany, gorąca krew spływała po skórze i tworzyła u jej stóp czarną kałużę.

Nawet gdyby chciała, nie miałaby już chyba sił, by zapłakać.

Kilku wyrostków biegało wokół trójnoga, pokrzykując i kopiąc jedną z głów, która straciła już jakiekolwiek podobieństwo do części ludzkiego ciała. Reszta – głównie kobiety i starsi mężczyźni – gapiła się na nieckę,

wspinający się pod górę obóz i kłęby kurzu wznoszące się za jego plecami. Trudno było cokolwiek dostrzec, czasem przemknął jakiś oddział jazdy, czasem błysnęło żelazo. Najwyraźniej jednak Se-kohlandczycy nie mogli się zbliżyć do karawany.

Bolibolibolib

cały czworobok, cofający się powoli, krok za krokiem w ślad za karawaną. Wyglądało na to, że żadna ze stron nie uzyska przewagi – ani piechota nie zmusi jazdy do ucieczki, ani jazda nie złamie jej szyku i nie wyrżnie uciekających bezładnie Wozaków.

Tylko że koczownicy nie pierwszy raz walczyli z taką piechotą.

Zobaczyła, co szykowane jest nieco z boku, tam, gdzie niedawno zmasakrowano rydwany, i mimowolnie uśmiechnęła się gorzko.

Nie powinniśmy tu wracać.

Wdech…

Boli…

Zastanawiała się, czy Ruk'hert i Det'mon są wśród tych piechurów i czy ich duchy zaczekają na nią na drodze do Domu Snu. Bardzo nie chciałaby iść tam sama.

Opuściła wzrok, próbując nie patrzeć na to, co nadejdzie. Krew ściekająca po jej nodze skapywała wprost na obciętą głowę.

Otwarte oko mrugnęło powoli.

* * *

Tarcza robiła się coraz cięższa, dziesiątki wbitych w nią strzał miało swoją wagę. *Den'kaw* biegał truchtem wzdłuż linii i wrzeszczał:

— Trzymać! Równaj! I…!

Zaprzeć się nogami, oburącz złapać uchwyty.

— … teraz!!!

Szarpnąć w górę, aż w oczach pociemnieje, bo ostrogi wbiły się głębiej, niż Ruk'hert sądził, i podnieść to cholerstwo.

— Dobra! I trzy kroki w tył! Raz! Dwa! Trzy! Równaj!!!

Tarcze opadły, żelazne zęby wgryzły się w ziemię. Kusznicy doskoczyli szczelin, przymierzyli, posłali koczownikom garść bełtów. Wiatr ustał, więc kurz znów gęstniał, za kilka chwil widoczność spadnie tak, że ledwo będą mogli dojrzeć cofającą się karawanę. Niech Pani Stepów pod postacią Białej Klaczy stanie nad nimi i nasra na ich głowy! Mieli nas już zabrać! Gdzie sygnał „Piechota do domu"?!

Ruk'hert zaparł się mocniej, czując drżenie gruntu pod stopami. Idą! Oddział jazdy wyłonił się z kurzu i przemknął wzdłuż ściany tarcz, szyjąc

z łuków w takim tempie, jakby im za to płacili. Część pocisków leciała wysoko, by spaść na Wozaków w głębi formacji, resztę wystrzeliwano na wprost. Pawęż zatrzęsła się od kilku uderzeń, jakaś strzała śmignęła przez szczelinę strzelniczą i ktoś za jego plecami zakrztusił się urwanym krzykiem.

Dowódca oddziału piechoty rozdarł się znów:

— Równaj! Trzymaj! Teraz!

Zaprzeć się, unieść to cholerstwo, trzy kroki w tył, opuścić.

Cofali się skokami, po trzy kroki, na chwilę tylko rozluźniając szyk i odpłacając koczownikom salwami z kusz. Czworobok rozciągnął się w prostokąt – szeroki na dwustu pięćdziesięciu ludzi, głęboki na zaledwie czterdziestu – by osłaniać jak największy fragment karawany, lecz chyba było to zbędne, bo koczownicy z jakichś powodów nie próbowali przedostać się do wozów. Zamiast tego skupili się tylko na nich, powolutku wykrwawiając oddział. Verdanno mieli dobre kolczugi i hełmy, ale dobre nie znaczyło, że nie do przebicia.

Dlaczego, do przeklętej, ciężkiej, zawszonej, parszywej jak zdechły sęp cholery, nie ma jeszcze sygnału „Piechota do domu”?!

Wystarczyłoby, że wozy zatrzymają się na chwilę, pancerne czworoboki przytulą do nich i piechota wsiąknie do środka, osłaniana przez łuczników i kuszników.

Gdzie sygnał?

Ruk’hert miał nadzieję, że walczący w sąsiednim oddziale Det’mon trafił lepiej. Po krótkiej naradzie postanowili, że się rozdzielą, bliźniacy mogą sobie walczyć wspólnie, i tak nie sposób ich rozdzielić, ale nie byłoby dobrze, gdyby ród stracił dwóch starszych synów od jednego ciosu lancy.

Drżenie ziemi. Zaprzeć się, pochylić, wyrównać tarczę, by poza szczeliną strzelniczą nie było innej szpary.

Uderzenie, raz, drugi, trzeci… I kolejne. Kusznicy dopadają do tarcz, posyłają koczownikom salwę, rżenie koni miesza się z gardłowymi krzykami ludzi, ale nawała pocisków nie ustaje.

Kilka kroków po prawej jeden ze strzelców padł na ziemię, z twarzy sterczało mu ciemne drzewce, a Ruk’hertowi wydało się nagle, że po drugiej stronie rozszalał się grad, miotający o pawęż lodowe kule wielkości pięści.

Co się dzieje?

Wyjrzał przez szczelinę. Konnica stała ledwo czterdzieści kroków od nich i wypuszczała w ich kierunku strzałę za strzałą, przygotowując się, żeby…?

Zobaczył to w chwili, gdy szereg jeźdźców pękł, tworząc szeroką na kilka jardów szczelinę. W szczelinie pokazało się… W pierwszej chwili Ruk'hert nie wiedział, co to, a gdy zrozumiał, wrzasnął na całe gardło:

— Łańcuch!!!

Uniósł prawą krawędź tarczy, tę zachodzącą na pawęż wojownika stojącego obok, i zaczepił stalowy pierścień zamocowany do tarczy o hak wystający z tarczy towarzysza. To był wozacki koncept wywodzący się wprost z idei łączenia wozów bojowych łańcuchami. Stalowy pierścień z prawej i hak z lewej strony pawęży pozwalał w mgnieniu oka wzmocnić linię tarcz, utrudniając jej rozerwanie bezpośrednim atakiem. Takim jak ten, który właśnie nadchodził.

A właściwie nadjeżdżał, turkocząc kołami po suchej ziemi. Se-kohlandczycy użyli kilku zdobycznych rydwanów. Na każdy załadowali trupy, po kilka, kilkanaście, aż osie wyginały się w łuk, i pchali je przed sobą, trzymając za dyszle. Taka masa, nawet jeśli nie pędzi z prędkością cwałującego konia, potrafi rozbić każdy szyk.

Najbliższy rydwan, wypełniony makabryczną zawartością, pędził wprost na niego.

— Trzymać!!!

Towarzyszący mu kusznik doskoczył, wsparł tarczę ramieniem, zaraz za nim poszło kolejnych kilku ludzi, reszta cofnęła się i pochyliła piki.

— Uwaga!!!

Rąbnęło; linia tarcz wygięła się w kilku miejscach, haki i pierścienie szczęknęły metalicznie, ale wytrzymały. Po jego stronie tarczy uderzenie przypominało spotkanie z rozpędzonym wozem, wewnętrzna część pawęży uderzyła go w głowę, hełm przechylił się na bok i zasłonił oko, ale plecy natychmiast podparli mu ci z tyłu. Cała ściana przez chwilę siłowała się w milczeniu, kilka szeregów mężczyzn z jednej strony przeciw masie prącej z drugiej.

Za bardzo się rozciągnęliśmy, pomyślał, zaciskając zęby i zapierając się mocniej.

A potem wszystko się załamało.

W środek formacji uderzyły najpierw dwa rydwany, a później, gdy wydawało się już, że utrzymają szyk – jeszcze trzy albo cztery, jeden przy drugim, i nagle linia połączonych ze sobą pawęży pękła, szereg podtrzymujących ją piechurów przewrócił się, niektóre haki wyskoczyły z pierścieni, inne wytrzymały, pociągając w dół sąsiednie tarcze, i powstała wyrwa.

Natychmiast wpadli w nią jeźdźcy z szablami w dłoniach, tratując leżących na ziemi Wozaków i rzucając się od razu na ostatnią linię obrony.

Błąd. Gdyby do ataku szli noszący kolczugi i dosiadający opancerzonych wierzchowców Jeźdźcy Burzy albo gdyby ta piechota była inną piechotą, mniej zdeterminowaną, czworobok rozsypałby się na wszystkie strony, a konni wyrżnęliby uciekających w kilka chwil.

Ale to byli lekkozbrojni łucznicy, chronieni przez pikowane kaftany albo co najwyżej lekkie skórzane pancerze i hełmy, a naprzeciw nich wciąż stała ściana żelaza i stali. Kilkaset pik, rohatyn i gizarm pochyliło się i potworny, opancerzony jeż ruszył do ataku, kłując, dźgając, ściągając jeźdźców z siodeł. Przez moment ledwo kilku najzuchwalszych koczowników dotrzymało Wozakom pola, siekąc szablami po drzewcach, ale nim człowiek zdążyłby przebiec sto kroków, uciekli albo zostali zabici.

Odsłaniając szeroką na trzydzieści jardów wyrwę w linii.

I trzystu konnych łuczników, stojących karnie ze strzałami na cięciwach ledwo sto stóp od Verdanno.

Strzelili. Od razu, jak tylko ostatni ze szturmujących uciekł w bok, wypuścili trzysta strzał, które leciały bardzo płasko i bardzo szybko. Z takiej odległości nawet dobra kolczuga wzmocniona nałożonym na nią pikowanym kaftanem nie zawsze pomoże, tym bardziej że strzały leciały jedna za drugą, co uderzenie, dwa uderzenia serca, nieustającym, morderczym gradem.

Gdzieś z boku dowódca piechoty darł się wściekle:

— Tarcze! Podnosić tarcze! Ruszać się, bękarty!

Ruk’hert patrzył, jak pawężnicy zaczynają się podnosić, tak, jak ich nauczono: „Jeśli konnica rozerwie wasz szyk i cię przewróci, skul się pod tarczą i czekaj, aż reszta załatwi sprawę, a potem wstawaj i twórz linię”. Ale wszystko to trwało za wolno, jakby oszołomieni ludzie poruszali się w gęstym syropie, a może to jemu tak się wydawało, bo strzały dalej wpa-

dały w wyrwę szumiącą, potężną chmurą, a wszystko wokół zdawało się zamierać. Szereg pikinierów niechronionych tarczami słaniał się i padał, i zanim odtworzono linię, zanim kusznicy doskoczyli do szczelin i odwdzięczyli się koczownikom gradem własnych pocisków, prawie pod połową Wozaków ugięły się nogi i upuścili broń.

W dziesięć, dwanaście uderzeń serca czworobok miał stu zabitych i ciężko rannych, a jego linia chwiała się i drżała. Na dodatek zatrzymali się na dłuższą chwilę i wozy znikły już w kurzawie.

Zostali sami.

Ziemia zaczęła drżeć.

— Koło! Koło! Posrańcy! Szybciej!!! Ranni do środka!

Linia tarcz zaczęła się wyginać, tworząc olbrzymie koło.

— Skracać! Podwójne! Dwie linie mówię! Usypiecie sobie kurhan z ich trupów!!! Łańcuch!

Dwie linie pawęży na zewnątrz i wyposażona w długie drzewce piechota pośrodku. Twierdza, której złamanie może kosztować mnóstwo czasu i krwi. Twierdza, która nie może się ruszyć z miejsca.

Rzeczywiście, usypanie kurhanu z se-kohlandzkich trupów było jedyną rzeczą, jaka im pozostała.

Łoskot kopyt narastał i nagle z kurzawy za nimi wyłoniły się rydwany gnające pełnym cwałem z rozwianymi kolorowymi wstęgami mocowanymi do burt. Najbliższy skręcił i zatrzymał się tuż przy towarzyszach Ruk’herta.

— Zabierać się stąd! Damy wam czas!

* * *

— Ile?

— Tysiąc, Ojcze…

Cisza. Kyh Danu Kredo przykląkł z pochyloną głową przed Yawenyrem. Nie podnosił twarzy, wystarczył mu widok siwowłosego starca siedzącego niedbale na rzeźbionym krześle i jasnowłosej niewolnicy stojącej obok, z dłonią położoną w poufałym geście na jego ramieniu. Było w tym coś niewłaściwego. Niewolnicy powinni pełzać u stóp władcy Wolnych Plemion.

Danu Kredo wpatrywał się uparcie w swoje kolano, droga skóra spodni była brudna i zachlapana krwią. Musiał osobiście dowodzić, musiał na

czele przybocznych pędzić od a’keeru do a’keeru, wykrzykiwać rozkazy, podnosić na duchu, wspierać wahających się. Nie potrafił ocenić, ilu zabitych i rannych kosztowało go to trzygodzinne starcie, szaleńcze ataki na rydwany i opancerzone niczym jakaś mityczna bestia czworoboki piechoty. Dwa, trzy tysiące? Może za kilka godzin dowie się tego dokładnie. W obozie miał już dziesiątki namiotów pełnych rannych i konających wojowników, a ostatnie, trwające niespełna dwa kwadranse starcie z kontratakującymi rydwanami, wypełniło kolejne. Nie spodziewał się, że Wozacy wyprowadzą je poza karawanę i że będą tak wściekle zawzięci. Przez chwilę wśród walczących zapanował kompletny chaos i wydawało się, że rydwany zepchną ich o milę w tył, rozbiją i popędzą ku obozowisku.

Gdyby osobiście nie interweniował, mogłoby się tak stać.

Ale Verdanno nie zależało na szaleńczej szarży, zadowolili się ocaleniem własnej piechoty, choć kosztowało ich to kolejne dwieście albo trzysta załóg.

Mógł przynajmniej pochwalić się, że wykonał rozkaz. Te śmierdzące, ciemnoskóre bękarty straciły tysiąc rydwanów, nim zaszło słońce.

— Dobrze. Bardzo dobrze, mój Synu. Ja też sądzę, że stracili tysiąc rydwanów, i to tylko w starciu z lekką jazdą. Ale oczywiście wiesz, że to nie jest ich główna siła?

— Tak, Ojcze. — Uniósł głowę, spojrzeniem starannie omijając niewolnicę. — Ich siła to wozy bojowe.

— Tak. Rydwany mają tylko zatrzymać nas do czasu, aż wozy bojowe staną w szyku. Więc zmusimy ich do zatrzymania się tam, gdzie ja tego chcę. Na szczycie tamtego wzniesienia.

— Będziemy atakować pod górkę — wyrwało mu się.

— To nieduża górka, pierwszy z rodu Danu Kredo. Niewielka. A oni nie będą mieli tam kropli wody, łagodny wiatr zaś roznieci każdą iskrę w pożar. Będą musieli zużywać resztki swoich zapasów do gaszenia ognia, a ognia im nie pożałujemy. Usmażę ich w płomieniach własnych wozów.

Przez chwilę Ojciec Wojny wszystkich Wolnych Plemion uśmiechał się lekko. Jakby mówił o jakiejś drobnostce, opowiadał żart.

— Spójrz tam. — Wskazał przeciwległy kraniec niecki, gdzie karawana rozsiadła się wreszcie na szczycie wzniesienia. — Tam mają zostać i umrzeć.

Kyh Danu Kredo obejrzał się; mimo że od Verdanno dzieliły ich jakieś trzy mile, obóz sprawiał imponujące wrażenie. Szeroka na dwa tysiące kroków ściana wozów kryła – teraz widział dobrze – niezliczone szeregi pojazdów. Zobaczyli, jak całość robi zwrot na prawo, by powędrować szczytem wzniesienia ku rzece. Przed wozami krążyły rydwany, wyżej wiatr rozwiewał kurz i potęga Wozaków ujawniła się jak na dłoni.

Nagle dotarło do niego, że nie udało im się wyrwać z tej ściany ani jednego pancernego wozu, a w jego plemionach zostało już tylko z dziesięć tysięcy wojowników. Dwa razy tyle, jeśli posadzi na konie kobiety i wyrostków.

— Jak… — Przełknął ślinę. — Jak zmusimy ich, żeby tam zostali?

Uśmiech starca poszerzył się nieco.

— To proste, mój Synu. Przerazimy ich na śmierć.

Uniósł kościstą dłoń i gdzieś za jego plecami w górę wystrzelił kłąb żółtego dymu.

Rozdział 9

Zatrzymali się na wybrzuszeniu terenu flankującym nieckę z lewej strony. Zupełnie nie tak, jak planowali; droga środkiem była krótsza, wygodniejsza i szybsza. Tutaj, gdy wozy obsiadły grzbiet wzniesienia, trudno było utrzymać szyk, bo woźnice z jednej strony wzgórza nie widzieli tych z drugiej, na dodatek teren cały pokryty był kamieniami i nierównościami.

Ale nie było tu tyle kurzu. Wiatr niemal nieustannie przewiewał okolicę, pozwalając im widzieć wszystko w promieniu ponad pół mili, dziesięciokrotnie dalej niż w dole. Istniała szansa, że będą mogli skutecznie używać rydwanów, a kusznicy i łucznicy wykorzystają zasięg swojej broni. No i nie stracą tak głupio pozostałej im piechoty.

And’ewers stał na środku linii wozów bojowych i obserwował przedpole. Wnętrze niecki wciąż wypełniała kurzawa, przeklęta przez wszystkich bogów kurzawa, która odebrała im oczy. Przez to zwrot i uporządkowanie szyku zajęły karawanie znacznie więcej czasu, niż sądził, mowa niska, język gestów, którymi woźnice przekazywali sobie polecenia, wędrowała od wozu do wozu wolniej i ulegała przekłamaniom. Po zwrocie kilka kolumn wozów mieszkalnych prawie się ze sobą zderzyło, jeden z tabunów luzaków rozpierzchł się, a w lewej ścianie, która jeszcze przed chwilą tworzyła plecy karawany, powstała wyrwa mogąca pomieścić całą armię. Porządkowali wszystko w czasie marszu, licząc na to, że piechota da radę cofać się za nimi. Nie było sensu powiększać chaosu wewnątrz obozu, wpuszczając ją do środka, tym bardziej że skutecznie trzymała koczowników na dystans.

A potem nagle przyszła wieść, że tylne wozy nie widzą czworoboków oraz że na zewnątrz słychać odgłosy wściekłej walki. Ledwo zdążył posłać trzy Fale do kontrataku. Udało się przepędzić lekką jazdę z pola, choć stracili kolejny Strumień i ponad trzystu pikinierów i pawężników. W tym pyle nie dało się walczyć, nie można było wykorzystywać ich największej przewagi, jaką było lepsze opancerzenie i uzbrojenie oraz wsparcie, jakiego

mogłyby udzielić walczącym na zewnątrz karawany załogi wozów bojowych.

Zaklął i zacisnął pięści w bezsilnej złości. Nigdy nie był zbyt religijny. Laal Szarowłosa to dla niego odległa bogini, której jego lud złożył kiedyś przysięgę, że nigdy nie będzie jeździć na końskim grzbiecie. I przez niezliczone pokolenia dotrzymywał jej, nawet jeśli Pani Stepów jakoś specjalnie nie okazywała mu swojej miłości. Była surowa, odległa i obojętna. Ale teraz… Mogłaby się postarać choć o maleńki deszczyk. W końcu, do ciężkiej cholery, wracali tu w jej imieniu.

Westchnął… Kłamstewko było pierwszym krokiem do szukania winnych. Najpierw winna będzie Pani Stepów, a potem ci, których grzechy odwróciły jej łaskę od Verdanno. A potem *kavayo* spłyną krwią. Nie wracali w jej imieniu. Jej imię nie miało tu nic do rzeczy. Wracali, by odzyskać co swoje oraz pomścić zdradę i przeniewierstwo sprzed lat. Wracali, by utopić Sahrendey we krwi i zapłacić Se-kohlandczykom za upokorzenia i klęski. Wracali, bo dochowali się licznego i dumnego potomstwa, które nie chciało żyć na cudzej ziemi. Bo piękno opowieści o własnym kraju skradło tym młodym sny i pchnęło ich na drogę, której koniec wiedzie wprost między Białe Kopyta.

Det’mon. Przynieśli jego ciało na odwróconej pawęży. Twarz miał spokojną, jakby spał, a w miejscu gardła szeroką ranę, zadaną najpewniej szablą. Pikowany kaftan zrudział już od krwi. Zamknął mu powieki i kazał odesłać na wozy transportujące innych zabitych.

Tak się płaci za głupie, romantyczne marzenia.

Key’la, a teraz on… Zdumiał się, jak spokojnie to przyjął. *Boutanu* miał rację, nie można być Okiem Węża i ojcem jednocześnie. *En’leyd* jest ojcem wszystkich wewnątrz karawany, więc jeszcze jedna śmierć nie może robić na nim wrażenia. Przyjął wieść o niej jak informację o jeszcze jednej stracie poniesionej przez Pancernego Węża i odesłał w głąb pamięci. Później przyjdzie czas na żałobę.

Rozejrzał się. Wozy zewnętrznej linii wyrównały szyk, rydwany śmigały wzdłuż nich nie dalej niż sto jardów od karawany. Stracili już jedną trzecią załóg i co najgorsze, zaczynało im brakować woźniców i łuczników. Niektóre Strugi wracały z załogami tak poranionymi, że nie były już w stanie walczyć; mogli wymienić konie, wyrwać strzały z burt, ale nawet najlepsi uzdrowiciele nie postawią w kilka chwil na nogi kogoś, kto dostał postrzał

w brzuch. Już dwieście pustych rydwanów ciągnęli za wozami. Byłby głupcem, gdyby posłał w nich na zewnątrz ludzi, którzy przez co najmniej kilka miesięcy nie ćwiczyli jazdy, utrzymywania szyku i komend.

Nieważne. Przebyli prawie połowę drogi do rzeki. Jak nie dziś, to jutro rano dotrą do wody i zamienią się w prawdziwą twierdzę. Zatrzymają koczowników wystarczająco długo, by dołączyła do nich reszta. Obóz Aw'lerr powinien już ruszać spod rampy, jak dołączą do niego kolejne, to nie trzy i pół, ale dwadzieścia tysięcy rydwanów stanie do bitwy. A wtedy, z łaską Laal czy bez niej, zmienią całą wyżynę w cmentarzysko Se-kohlandczyków.

Zabrzmiały rogi, meldując gotowość do wyruszenia.

Uśmiechnął się znużonym grymasem. Takie aroganckie myśli pasowały bardziej do jakiegoś gorącogłowego młokosa, choć teraz, po trzech godzinach walki, nawet wśród nich znalazłby pewnie niewielu takich, którzy wywrzeszczeliby je na trzeźwo. Prawda wyglądała tak, że potrzebowali jazdy. Laskolnyk był im niezbędny – on i wszyscy ludzie, których zdołał zebrać. Jeśli ich straceńczy marsz w głąb wyżyny ma mieć jakikolwiek sens, to kolejna karawana oprócz rydwanów musi mieć także eskortę konnicy. I to był sens ich poświęcenia: zatrzymać koczowników tak długo, by dać szansę Laskolnykowi na połączenie się z jakimkolwiek innym obozem. Wtedy, i tylko wtedy, mogą jeszcze wygrać tę wojnę.

Oczywiście pod warunkiem – ta myśl drążyła jego serce od jakiegoś czasu – że Imperium ich nie oszukało. To byłoby świetne posunięcie, pozbyć się znad granicy krnąbrnych przybyszów, rzucić ich do walki z wrogą potęgą, ale tak, żeby samemu pozostać w cieniu. W najlepszym razie obie siły wykrwawią się wzajemnie, a niebezpieczeństwo na Wschodzie zostanie oddalone. Każdy koczownik zabity wozacką strzałą był pyłkiem ścielącym się u stóp meekhańskiego sprytu.

And'ewers odetchnął głęboko i rozluźnił dłonie. Imperium mogło tak postąpić, ale Genno Laskolnyk nie. Nie on…

Nawrót został ukończony, przed sobą mieli jakieś trzy i pół, cztery mile wędrówki, na końcu której czekał ich szturm na obóz Sahrendey. Jeśli będzie trzeba go zaatakować po zmierzchu, nie zawaha się, noc jest lepszą porą dla piechoty i pancernych wozów niż dla konnicy.

I wtedy usłyszał szum. Dźwięk rósł, potężniał, aż przerodził się w gardłowy ryk dziesiątek tysięcy ludzi wrzeszczących w niebo w dzikim, wyzy-

wającym rytmie. Z tej odległości nie mógł ich zrozumieć, ale przecież słyszał ten okrzyk już nie raz. Rytm był prosty: raz–dwa, raz–dwa, raz–dwa–trzy, a on bez problemu podłożył pod niego słowa.

— *Ag saye!!! Ag saye!!! Ag saye waraaaa!!!*

Bitewny zaśpiew prowadzący koczowników do walki.

A potem spojrzał na ich obozowiska i poczuł, jak serce zamiera mu w piersi.

W obozie przeklętych przez bogów Sahrendey widać było wysuwające się spomiędzy namiotów karne szeregi jazdy. Dziesięć, piętnaście, dwadzieścia tysięcy? Może nawet więcej. Jeszcze nie widział, gdzie stoi ich elita, Wilki, ale to nie miało znaczenia, bo w tej samej chwili – daleko po lewej od Sahrendey – z obozowiska Kyh Danu Kreda zaczęły się wyłaniać kolejne zastępy jeźdźców. Równe Skrzydła, dzielące się od razu na a'keery, jakby koczownicy chcieli powiedzieć: „No dalej, policzcie nas sobie". Piętnaście tysięcy? Jeśli tak, to trwające kilka godzin starcia nie uszczupliły zbytnio ich sił. Lecz najbardziej przerażający widok ukazał się po prawej stronie. Zza południowego wzniesienia, za siłami Danu Kredo, pojawiła się fala złota. To słońce, chylące się już ku zachodowi, oświetlało wychodzącą na przedpole armię.

Lśniące kolczugi, las długich lanc, wysokie hełmy. Błyskawice, oczywiście, koczownicy musieli je mieć, ale żeby aż tyle…? Jego umysł odmawiał przyjęcia do wiadomości tego, o czym dobitnie świadczyła wychodząca właśnie szerokim na pół mili frontem armia. Odmawiał do chwili, gdy nad ostatnim szeregiem pojawiła się wielka, łopocząca chorągiew w kolorze bliźniaczo podobnym do zachodzącego słońca. Jej środek szpecił czarny ptak z jedną nogą.

Yawenyr. Yawenyr tu był. Być może od samego początku. To tłumaczyłoby zawziętość wojowników Danu Kreda, spokój Sahrendey i niewzruszoną konsekwencję, z jaką spychano ich w to miejsce. Ten stary sukinsyn miał konać setki mil na południe stąd, a w jakiś niezrozumiały sposób znalazł się tutaj. Czekali na nich… Mieliśmy walczyć z jednym, potem z dwoma plemionami, z dwudziestoma pięcioma, trzydziestoma tysiącami konnych. Siły byłyby wyrównane. Ale teraz…? Jest ich dwa razy tyle i mają ile?, dwanaście?, piętnaście tysięcy Jeźdźców Burzy? I z pewnością najpotężniejszych Źrebiarzy, których Ojciec Wojny zawsze trzyma przy

sobie. Czterech naszych czarowników z garścią uczniów będzie musiało zmierzyć się z tuzinem albo i więcej szamanów.

Mimo wszystko te myśli były jak kawałki lodu pływające w topniejącej rzece. Unosiły się leniwie, ledwo je zauważał, bo były niczym wobec kierunku, w jakim zmierzała całość. Koczownicy wiedzieli o ich planach i czekali na nich. Nie tylko tych dwóch Synów Wojny, ale cała reszta. Jeśli Yawenyr tu jest, to znaczy, że inni także.

No i trudno.

Trzeba ich zatrzymać jak najdłużej, żeby reszta mogła zejść z gór, i walczyć wspólnie, bo tylko wszystkie obozy razem będą miały szansę.

Lekki rydwan zatrzymał się obok. *Boutanu* stanął przy nim, z obojętną miną spojrzał na wrogą armię.

— Zaraz wszyscy będą wiedzieć — mruknął.

And'ewers uśmiechnął się. Za ich plecami już szła fala, wieść przekazywana przez szybkie dłonie biegła od wozu do wozu. *Anaho'la* było czasem przekleństwem.

Ale w obozie trwała cisza. Nie było okrzyków strachu, jęków rozpaczy, ponurego zawodzenia przerażonych ludzi.

Nigdy nie był z nich tak dumny.

— Łodyga gubi kwiat, który opada — zacytował stare powiedzenie.

— … i umiera tam, gdzie dotknie ziemi — dokończył Emn'klewes. — Zróbmy to. Teraz, bo za godzinę nam nie pozwolą.

— Obóz w twoje ręce, przyjacielu. — Kowal odwrócił się i uniósł prawą dłoń.

„Martwy Kwiat".

* * *

— Strach ma siłę tysiąca włóczni, mój Synu. Odbiera oddech, osłabia dłonie i mąci umysł. To najlepsza broń na polu bitwy.

Kyh Danu Kredo pokłonił się niżej. Słowa nie były tu potrzebne. W czasie, gdy on walczył z karawaną, Yawenyr wydawał rozkazy. Sahrendey wsadzili na konie wszystkich, których mogli, w jego obozie pięć tysięcy kobiet dosiadło luzaków i zajęło pozycje wśród wojowników. Drugie tyle ubrało jasne stroje i dołączyło do Błyskawic, powiększając ich liczbę. Jed-

nym prostym rozkazem Ojciec Wojny pomnożył swoje siły w oczach wroga, który teraz rozpaczliwie zmieniał ustawienie wozów, okopując się na wzniesieniu.

— Może… uderzyć teraz?

— Może. — Uśmiech starca ciął chłodem. — A może lepiej stoczyć bitwę nocą, gdy ich oczy znów będą ślepe, a każdy płomień widać na dziesięć mil? Gdy ich serca skruszeją bardziej, a nasi Źrebiarze lepiej przygotują swoje zaklęcia? Poza tym twoi wojownicy muszą zdążyć przygotować sprzęt do szturmu. Moja łaska nadal cię dotyka, Synu. Będziesz miał zaszczyt poprowadzić pierwszy atak.

Przez chwilę, przez mniej niż mgnienie oka, panowała cisza. Kyh Danu Kredo wiedział już, dlaczego nadal każą mu stawać przed Yawenyrem bez broni. Gdyby miał choć sztylet…

— Tak, Ojcze. Jestem zaszczycony.

— Wiem. Idź i szykuj się do walki.

* * *

Nie. Tylko nie to. Nie róbcie tego!

Formujcie Kamienną Ścianę albo Zwiniętego Węża, albo nawet Rogaty Gród, ale nie Kwiat, nie Martwy Kwiat!

Szarpnęła się, aż trójnóg zatrzeszczał, a ból przeszył ją od góry do dołu. Krzyknęła krótko, ale nikt – nawet jej strażnicy, zajęci przyglądaniem się potędze koczowników – nie zwrócił na to uwagi. Nie potrafiła ocenić, ilu konnych wyszło w pole, wydawało jej się, że samych Sahrendey jest pięćdziesiąt tysięcy. Wylegli przed swoje obozowiska linią szeroką na dwie albo trzy mile, obsiedli oba wzgórza, między którymi znajdowało się podejście do rzeki. Po lewej miała koczowników Danu Kreda, a daleko za nimi srebrzystozłotą ścianę Jeźdźców Burzy. Takiej siły Se-kohlandczycy nie wystawili w jednym miejscu od czasu wielkiej wojny z Imperium. Ale i tak… Nie Martwy Kwiat!

Powietrze wypełniał nieustanny ryk:

— *Ag saye!!! Ag saye!!! Ag saye waraaaa!!!*

Nawet Sahrendey podjęli wyzwanie w nie swoim języku i wydawało się, że sama kopuła nieba, przykryta bladoszarą zasłoną wysokich chmur, trzęsie się i kołysze w rytmie bitewnego wrzasku:

— *Ag saye!!! Ag saye!!! Ag saye waraaaa!!!*

Opuściła twarz i gdyby mogła, zatkałaby uszy. Ale nie mogła. Bolało. Bolało tak bardzo, że miała wrażenie, iż poprzednie godziny były ledwo pieszczotą. Teraz już nie pomagało wolne oddychanie, rany rwały na zmianę tępym i ostrym bólem, w brzuchu coś ciążyło, ciągnęło w dół, jakby chciało się wydostać na zewnątrz.

Spojrzała najpierw na swoje stopy, potem na czarną kałużę poniżej, a dopiero później na leżącą w niej głowę. Czerep mrugnął do niej już dwa razy, zresztą, może tylko tak się jej wydawało? To były szybkie mrugnięcia, a co ona może wiedzieć o obciętych głowach? Może mrugają sobie z nudów? W końcu trudno cokolwiek innego zrobić, jak się nie ma ciała, rąk ani nóg, nie można się podrapać ani odejść, trzeba leżeć tam, gdzie cię kopnięto, i mrugać. Spuchnięty język wypełnia usta, więc nie można też mlaskać ani się uśmiechać, ani nawet zagadać, choć to mogłoby być trudne, bez płuc i krtani. I…

— Popadasz w szaleństwo?

Starszy ze strażników obrócił się nagle, zasyczał coś ostro i wysunął przed siebie włócznię. Kobieta, która powiedziała te słowa, nie zareagowała niczym więcej niż spojrzeniem, jakie rezerwuje się dla ujadającego kundelka, a gdy wyraźnie skonsternowany opuścił broń, rzuciła kilka słów w gardłowym języku. Odwarknął coś krótko i odwrócił się.

— Gapisz się na tę głowę i uśmiechasz do niej, to znamiona obłędu.

Key’la uniosła twarz i spojrzała w czarne oczy. Saonra Womreys, *ueneya*… żona tego czarnobrodego mordercy. Siedziała na jabłkowitej klaczy ledwo kilka kroków od trójnoga i patrzyła na nią z obojętną miną.

— Mor… dercy… zdrajcy… — ledwo udało jej się to wyszeptać i chyba tamta nie zrozumiała, bo nawet nie mrugnęła.

— Jesteśmy gotowi do bitwy. Nie chcemy jej, ale pójdziemy, by walczyć dla chwały Ojca Wojny, bo wy, tchórzliwe, rozmiłowane w koniach, śmierdzące brudasy wróciliście, choć nigdy nie powinniście tego robić. Moi bracia i siostry będą ginąć, a ja nie czuję nic poza znużeniem i odległym smutkiem. Jestem Rozmawiająca z Duchami, lecz te jeszcze do nas nie dotarły, rzeźbione słupy są martwe, więc nie wiem, skąd to uczucie. Powinnam was nienawidzić i wami gardzić, lecz wierz mi, nie potrafię. Jutro was zabijemy, potem, gdy przybędzie reszta, zmiażdżymy jeden po drugim kolejne obozy,

a nasze namioty zapełnią się łupami. Powinnam się tym cieszyć, ale też nie potrafię. Sądzisz, że łupy będą należytą odpłatą?

Odpłatą? Odpłatą?!

Szarpnęła się, aż zatrzeszczały rzemienie, obróciła głowę i z całej siły splunęła pod kopyta jabłkowitej klaczy.

— Mordercy!

Starszy strażnik, obserwujący je kątem oka, parsknął krótkim śmiechem, urwanym zaraz, gdy kobieta zeskoczyła z siodła i w kilku krokach znalazła się tuż przed Key'lą. Otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, ale zrezygnował.

— Mordercy? Gdybyście tu nie przyjechali, nie musielibyśmy was zabijać — zasyczała. — Spluń jeszcze raz, a osobiście dopilnuję, żebyś nie umarła przez dziesięć dni. No już! Pluj!

Dziesięć dni… dziesięć…

Ślina, którą miała w ustach, wyschła.

— Mieliście tu nie wracać! Przez was… Nie, przez ciebie… On się waha. Może zginąć. Inni też. Sądzisz, że nie widzimy, że jesteśmy ślepi…? Powiesili cię tak, żeby wszyscy widzieli. Mała dziewczynka na hakach. Nie płacze, nie łka, nie szlocha. Jest taka dzielna, że nawet urodzeni Sahrendey, choć wiedzą, z jakiego plemienia się wywodzi, pytają nas, dlaczego nie wyświadczymy jej łaski. Zasłużyła, mówią. Wyświadczcie jej łaskę, mówią. Ludzie się łamią… przypominają sobie… Odbierasz nam siłę!

Kobieta przerwała, dysząc jak po ciężkim biegu. Górną wargę pokrywały jej kropelki potu.

— Łaskę… Mój mąż przysłał mnie, żebym ci ją ofiarowała. Grupa jeźdźców może przejechać obok ciebie. Kilka strzał… dobrze mierzymy, nie będzie bolało bardziej niż teraz. Nie będą szukać winnych przed bitwą, a po okaże się, że strzelcy zginęli w walce. Ale musisz się zgodzić, inaczej będzie to zwykłe morderstwo. Przyjmiesz łaskę? Może wtedy duchy przyjdą do drewnianych słupów, jeszcze ich nie ma… Jakby się od nas odwróciły! Może o to im chodzi… Zgodzisz się? Przyjmiesz?!

Łaska… Dobrzy ludzie wyświadczają łaskę strzałą z ostrym grotem. Mordercy dzieci.

— Po bitwie — wyszeptała. — Zanim bitwa się skończy… w ogóle niewielu was zostanie… tam czeka…

— … Martwy Kwiat.

Spojrzała kobiecie w oczy, czarne i spokojne. Ona naprawdę wiedziała, znała szyk, którego Verdanno używali tylko wtedy, gdy zamierzali bić się do końca. Szyk, który trudno ustawić i z którego praktycznie nie daje się podnieść karawany prędzej niż po wielu godzinach żmudnej pracy. Najpierw budowano z wozów bojowych olbrzymie koło, w którym umieszczano wszystkie konie, potem umacniano przylegające do niego półokręgi, i kolejne przylegające do tych pierwszych. Jakby dziecko rysowało patykiem na śniegu kwiatek: kółko i płatki. Te zewnętrzne budowano z wozów mieszkalnych i transportowych, najdelikatniejsze płatki najdalej od serca. A wokół Kwiatu, w kilkunastu miejscach, Liście. Okręgi po kilkadziesiąt wozów, znajdujące się co najmniej trzysta jardów za najdalszym płatkiem. Mające spowolnić atak i zmusić wroga do rozproszenia sił.

Wozy ustawiano pod różnymi kątami, z niektórych zdejmowano koła, by nie dało ich się przeciągnąć po ziemi, inne przewracano na bok i mocowano do powbijanych pali. Niektóre półokręgi nie przylegały ściśle do sąsiadów, by dało się wypuścić z nich rydwany. To wszystko zajmowało dużo czasu, lecz tworzyło labirynt, który trzeba było szturmować linia po linii. Za każdym razem, gdy wróg zdobył jedną ścianę, stawał przed kolejną, jeszcze potężniejszą. Jego oddziały nie widziały się nawzajem, nie wiedziały, czy atak innych się powiódł, czy mają iść naprzód, czy się cofać. Żeby zdobyć serce obozu, trzeba było pokonać nawet dziesięć półokręgów. Czasem więcej. Dziesięć linii śmierci.

Co nie zmieniało faktu, że Martwy Kwiat tylko mógł się bić do samego końca. Albo wróg uznawał się za pokonanego i rezygnował, albo wszyscy ginęli. Nie dało się go podnieść i ruszyć w drogę, nim przeciwnik nie uciekł, a ten z pewnością nie ucieknie.

— Tak, wiem, co to oznacza. Będziecie się bić do końca, żeby dać czas reszcie. Ale to nie ma znaczenia, bo najgorszy wróg już jest w waszym obozie. — Saonra patrzyła jej w oczy, jakby szukała śladu rozpaczy. — Pragnienie. Konie, które zdobyto w czasie walki z waszymi rydwanami, piły, jakby od dwóch dni szczędzono im wody. Czym ugasicie zapalone strzały? Co powstrzyma czary niosące płomień? Jutro Martwy Kwiat zwiędnie.

Oblizała usta szybkim, nerwowym ruchem.

— A ty? Przyjmiesz łaskę?

— Łaskę? Żebym nie mogła patrzeć, jak będziecie ginąć?

Spojrzenie podmalowanych oczu stwardniało.

— Jak sobie życzysz, *sawenjo*.

Odeszła.

Ból pozostał.

* * *

Zmrok nadchodził szybko, lecz ukradkiem. Chmury zasłaniały słońce, więc niebo po prostu zaczęło ciemnieć, malując się coraz brudniejszymi szarościami, by wreszcie przykryć całą nieckę czarną płachtą. Nie było nic widać dalej niż na trzydzieści kroków.

Obozowiska były gotowe do walki. Demonstracja siły zrobiła swoje, Verdanno zatrzymali się i zamienili karawanę w opancerzoną twierdzę. Lecz twierdzę opancerzoną jedynie drewnem i ziemią, a Wolne Plemiona zdobywały już i takie z kamieni i skał.

Yawenyr stał na przedpolu, obserwując szykujących się do walki wojowników Danu Kreda. Och, widział gniew i wściekłość młodego wodza, lecz go to nie obchodziło. Ten Syn Wojny zbytnio urósł w siłę, za bardzo wysforował się w wyścigu po tytuł Ojca. Byłby jednym z pierwszych, którzy spróbowaliby sięgnąć po władzę, gdy tylko nad Złotym Namiotem zawisłaby Złamana Strzała. Jego straty nie były aż tak wielkie, w sumie ze dwa, może trzy tysiące wojowników, reszta to ranni, których uzdrowiciele postawią na nogi, lecz miną lata, nim Kyh Danu Kredo odbuduje swój autorytet wystarczająco, by starszyzna plemion pozwoliła mu poprowadzić się do buntu. Nie trzeba go nawet zmieniać, od dziś Synowski Pas będzie bardziej krępował mu ruchy, niż dodawał sił.

No i będzie to piękna nauczka dla innych. Nie próbujcie ściągnąć Czarnego Jastrzębia znad głowy, moi Synowie. Może i ma jedną nogę, lecz szpony w niej są ostrzejsze niż kiedykolwiek.

Yawenyr spojrzał na stojącą obok niewolnicę. Nie, nie niewolnicę, nie myślał o niej tak od wielu miesięcy. Od czasu, kiedy jej cudowny, uzdrowicielski dotyk rozwiał w jego umyśle mgłę starczego zobojętnienia, a mięśniom przywrócił wigor, jakiego nie znały od lat. Gdyby nie ona, tym wozackim psom być może rzeczywiście udałoby się ich zaskoczyć.

Krew przelaną dzisiejszej nocy ofiaruje jej, podobnie jak zwycięstwo z dnia jutrzejszego. Zasłużyła.

Wojownicy, którzy mieli iść do pierwszego ataku, przygotowali się starannie. Trzymali wielkie, wiklinowe tarcze obłożone świeżo zdartą skórą, lekkie drabiny, liny z hakami, które mieli zarzucać na wozy, żeby je rozsunąć; wiązki faszyny i chrustu, bukłaki i dzbany. Większość zostawiła łuki, mało przydatne w ciemnościach, zabierając zamiast tego szable, topory, ciężkie noże, oszczepy i włócznie. Na pikowane kaftany zarzucili pancerze z prażonej skóry.

Ojciec Wojny uśmiechnął się. Jego ludzie potrafili szybko zamienić się z lotnej konnicy w zażartą, bitną piechotę. Może nie tak dobrze uzbrojoną i wyszkoloną jak imperialna, lecz nieustępującą jej odwagą ani zaciekłością.

Machnął ręką i w ciemnościach rozległy się dźwięki piszczałek. Ruszyli.

Obóz Verdanno był widoczny z daleka, bo na wozach paliły się pochodnie. Wyglądał jak kwiat i chyba tak się właśnie nazywał, a jemu tylko raz przyszło walczyć z karawaną ustawioną w podobny sposób. To było w czasie pierwszej wojny z Wozakami i skończyło się wyrżnięciem do nogi wszystkich, którzy znajdowali się w środku. Tylko że tamta karawana liczyła jakieś sześćset wozów, a ta dziesięć razy tyle.

Dziesięć razy więcej spragnionych gardeł.

Machnął ręką drugi raz, piszczałki poniosły wieść w noc i idący na przedzie oddziałów szturmowych wojownicy zapalili pochodnie. Po jednej na grupę.

Wokół karawany pojawiały się kolejne ognie. Dziesiątki i setki. Nie wszystkie nieśli koczownicy z oddziałów szturmowych, ale to też był element gry na strachu wroga. Niech wiedzą, że idziemy. Niech widzą setki płomyków i zastanawiają się, za którym stoi śmierć, a który jest niesiony przez pojedynczego człowieka. Niech rozproszą swoje siły wzdłuż całej linii obrony. Gdy zajmiemy pozycje, wszystkie pochodnie zgasną, pozostawiając naszych wrogów z sercami ściśniętymi lękiem.

Ogień, uśmiechnął się, oto prawdziwy sprzymierzeniec zdobywców. Niepowstrzymana siła, która prze naprzód, karmiąc się wszystkim, co zdoła strawić. Widywał już, jak jego Źrebiarze rozniecali płomienie, które topiły kamień. Tu nie będzie potrzeba aż takiego wysiłku, drewno, nawet specjalnie zabezpieczone, wciąż pozostaje drewnem.

Ocenił odległości, jakie przebyły jego oddziały. Wystarczy.

Machnął ręką po raz trzeci i piszczałki po raz trzeci poniosły rozkazy w ciemność. W mgnieniu oka wszystkie pochodnie zgasły.

Zapadła cisza. Całkowita, jakby nawet wiatr skulił się w jakiejś kryjówce, przerażony tym, co zaraz się zacznie.

Pierwszy atak miał pójść na te mniejsze obozy, rozrzucone wokół głównego obozowiska. Każdy składał się z kilkudziesięciu wozów ustawionych w zwykły okrąg, z załogą zapewne nie liczniejszą niż dwustu ludzi. Verdanno mieli za mało czasu, by je okopać jak należy, nie zdążyli wbić w przedpole zaostrzonych pali ani wykopać rowów, które spowolniłyby atak, a on nie zamierzał im dać szansy na dokonanie poprawek. Tym bardziej że za dnia szturm na te obozy byłby trudniejszy, każdy z nich znajdował się w zasięgu strzału dwóch innych i w zasięgu pocisków z balist, które Wozacy mieli w głównym obozie. Ale nocą… Jeśli cię nie widzą, nie mogą cię trafić. Poza tym wydał rozkazy, by pomniejsi plemienni szamani, którzy nie zasłużyli sobie na tytuł Źrebiarzy, robili zamęt w świecie duchów. Czarownicy Verdanno też się jeszcze nie ujawnili, lecz z pewnością będą teraz czuwać. Całą noc. A zmęczony czarownik to słaby czarownik.

Zaklaskał trzy razy i w niebo pomknęła zapalona strzała.

— *Ag saye!!! Ag saye!!! Ag saye waraaaa!!!*

Spieszeni koczownicy zaatakowali. W ciemnościach, bez żadnych pochodni i bez wcześniejszego ostrzeliwania wroga. Widział to już wiele razy, nagły ryk tysięcy gardeł, tupot stóp, stukot drabin opieranych o burty i…

Jest! Szczęk stali i jęki ludzi. Słyszalne nawet z tej odległości. I odgłos desek rąbanych toporami. Zgodnie z planem.

I zgodnie z planem, po mniej niż stu uderzeniach serca jego wojownicy odskoczyli. Wsiąkli w ciemność, zostawiając obrońców zdumionych i zmieszanych. Jak to? Już? Odparliśmy ich?

W kilkunastu miejscach zapłonęły pojedyncze ogniki, szybko mnożąc się i tworząc spore grupki. Ukryci za tarczami łucznicy napięli broń i posłali płonące strzały w stronę wozów: tam, gdzie chwilę wcześniej podłożono wiązki wikliny i suszu i gdzie na burtach wozów zawieszono bukłaki wypełnione olejem i stopionym bydlęcym łojem.

Ogień, rodzony brat matki wojny.

W kilkudziesięciu miejscach burty zapłonęły. Z początku niechętnie, zwłaszcza tam, gdzie okręgi tworzyły wozy bojowe, ale w końcu to nie one miały się palić. Głównym celem były kręgi z wozów mieszkalnych. Chrust i susz podłożony pod nie, polany olejem, miał swoją chwilę. Zgodnie z planem podpalali każdy krąg w trzech, czterech miejscach naraz, by rozproszyć siły obrońców. Po kilku chwilach płomienie strzelały na kilkanaście stóp w górę, zmuszając Wozaków do chowania się i rozświetlając pole bitwy złotym blaskiem.

Z tuzina okręgów aż siedem postawiono ze zwykłych wozów mieszkalnych i transportowych, Verdanno nie mieli dość pojazdów bojowych, by zabezpieczyć się jak należy. Tam ogień szalał najbardziej, przerzucając się z deski na deskę i rosnąc w oczach. Obrońcy próbowali go gasić, lali wodę, sypali ziemię, zarzucali na burty jakieś szmaty. Daremnie. Podpałki koczowników, gdy się już zajęła, nie dało się ugasić byle czym, zresztą teraz wozy były doskonale oświetlone i każdy obrońca, który choć na mgnienie oka wystawił głowę poza burtę, musiał się liczyć z tym, że dostanie strzałę.

Starzec uśmiechnął się lekko. Prawie znów to poczuł, ten dreszcz zwycięstwa muskanego końcem palców, to uczucie, gdy siedzisz w siodle na czele stutysięcznej armii, a wróg – już prawie rozbity – czeka tylko na ostateczny cios. Choć na razie była to tylko namiastka triumfu, prawdziwe zwycięstwo nadejdzie jutro, gdy zapłoną wszystkie wozy, a łupy zostaną usypane w sterty wysokie na trzydzieści stóp. A przed tym nastąpi ta chwila, tuż przed atakiem na serce obozu, gdy już nic i nikt nie odbierze mu zwycięstwa, chwila słodsza nawet niż późniejszy widok stosu wrogich głów przed sobą.

Na razie jednak musiał się zadowolić tym, garścią dopalających się wozów i przerażeniem, z jakim ich załogi czekały na nieuniknione.

A nieuniknione nadeszło w chwili, gdy większość płomieni zaczęła przygasać. Se-kohlandczycy poderwali się do szturmu na osłabione konstrukcje. Uderzali tylko tam, gdzie ogień poczynił największe szkody, szturm szedł na kręgi zbudowane z wozów mieszkalnych, gdzie płomienie wygryzły w drewnie wielkie dziury. Yawenyr nie potrzebował oczu, żeby to zobaczyć, tysiące stóp uderzających o ziemię, liny z hakami zarzucone na dopalające się resztki, wyrwy w linii obrony. I garść przerażonych wozackich

buntowników, stających do ostatniej, beznadziejnej walki. W ciemnościach pochłonęła ich fala jego wojowników.

Wnętrza atakowanych obozów wypełniły się szczękiem broni i wrzaskami ludzi.

* * *

Ogień. Tego należało się spodziewać. Emn’klewes Wergoreth patrzył na płonące wozy.

Mieli za mało czasu, by przygotować je do walki jak należy. Na Grzywę Laal! Nawet zwykły wóz mieszkalny mógł się stać częścią niezdobytej twierdzy, jeśli jego załoga miała dość czasu. Zewnętrzne ściany i dach obkładano świeżo zdartą skórą bydlęcą lub mokrymi pikowanymi pancerzami ściągniętymi z końskich grzbietów, podsypywano pod ich spód ziemię, a przed frontem wbijano zaostrzone pale. Tylko że koczownicy nie dali im na to czasu. Ledwo zdążyli ustawić formację. Zresztą nie mieli ani dość bydła, by pokryć wszystkie wozy skórami, ani dość wody, by chronić je namoczonymi kapami. Liczyli na to, że noc pozwoli im wykopać rowy, powbijać pale i przygotować się do obrony.

Podobne prace trwały przed głównym obozowiskiem, więc w pewnym sensie poświęcenie obrońców zewnętrznych obozów nie poszło na marne. Mimo wszystko, jak już policzył, w pierwszym ataku stracili cztery Liście, w drugim kolejne trzy. W pasie śmierci, który miały tworzyć wokół Martwego Kwiatu, powstały szerokie wyrwy. Emn’klewes wyraźnie widział miejsca, gdzie wróg będzie mógł przypuścić szturm na główny obóz, nie obawiając się ostrzału z flanki.

Świt – tego był już pewien. Uderzą o świcie.

— Pamiętaj, z kim się mierzysz.

And’ewers wyrósł obok niego tak nagle, jakby zrodziła go ciemność.

— Pamiętam. Mimo wszystko liczyłem, że Liście utrzymają się do świtu. Za dnia moglibyśmy spróbować wycofać z nich część ludzi.

— Zostali tam sami ochotnicy. Sądzisz, że nie wiedzieli, co ich czeka?

— Wiedzieli. A jednak…

— Teraz wiemy, że on tam na pewno jest. Poznaję tę śmiałość… Jednonogi Ptak, Lis Stepów, Piorun Gallega. I jest sobą. Nie zniedołężniałym starcem chowającym się w jedwabnych ścianach Złotego Namiotu, ale tym

samym sukinsynem, który podbił Stepy, nas i prawie rzucił Imperium na kolana.

— Mówisz to, żeby złamać we mnie ducha?

Było ciemno i jeden nie patrzył na drugiego, więc posługiwali się zwykłym *anaho*. Takim, w którym znaczenia słów trzeba się czasem domyślać z intonacji i kontekstu.

— Przyjacielu — to było dziwne „przyjacielu”, prawie rzewne, cholernie niepasujące do kowala — twój duch jest wielki jak zad Białej Klaczy i twardy jak Jej Kopyta. Nie da się go złamać. Rozmawiałem z ludźmi, cieszą się, że to ty dowodzisz. Są gotowi na walkę z Yawenyrem i wiedzą, że pod twoim dowództwem zatrzymamy go tu dzień, dwa, a nawet trzy dni, jeśli będzie trzeba. Będziemy racjonować wodę dla koni, a sami pić własne szczyny. A potem, kto wie, może przybędą następne obozy, a może i sam Laskolnyk na czele dwudziestu tysięcy konnych. Łaska Pani Stepów jest kapryśna.

— Łaska Pani Stepów nic mnie nie obchodzi. Jeśli chce pomóc, niech sprowadzi nam deszcz, najlepiej taki dziesięciodniowy, żeby musieli atakować tylko pieszo, a ogień nie mógł spopielić nawet źdźbła trawy. Albo niech da nam te dwadzieścia tysięcy konnych. A jeśli nie chce pomóc, to niech się stąd zabiera, żebym umierając, nie słyszał tętentu Jej kopyt.

Nie patrzył na And’ewersa, więc usłyszał tylko ciche parsknięcie.

— Odważne słowa. Znam takich, którzy mieliby ci je za złe.

— A ja takich, którzy by mi przytaknęli.

Zapadło milczenie. Formalnie kowal stał już w hierarchii niżej od Emn’klewesa, powinien trzymać się z dala od pierwszej linii, by móc objąć dowodzenie, gdy karawana znów ruszy. Co tak naprawdę znaczyło, że nie miał już żadnej roli do odegrania w życiu obozu New’harr. Ale tylko głupiec zlekceważyłby jego doświadczenie.

— To nie ma znaczenia — *Boutanu* przerwał ciszę. — A jutro dowiemy się, jak daleko są nasi.

— Hm… A w jaki sposób?

— Jeśli te kozojebne brudasy zaatakują szybko i z pełną siłą, to znaczy, że są blisko. Jeśli nie będą się spieszyć, wtedy pozostałe obozy są wciąż daleko albo już je rozbito. Pamiętaj, że nie wiemy, gdzie jest jeszcze trzech Synów Wojny.

— Daleko.

— Skąd wiesz?

— Bo gdyby Yawenyr ufał, że sobie poradzą, nie zjawiłby się tu osobiście. Nie. Będzie chciał dowodzić każdą bitwą sam, żeby sława spłynęła tylko na niego. A zaatakuje szybko, żeby nas złamać już jutro, i użyje do tego Sahrendey.

Sahrendey. Cały dzień stali na uboczu i teraz wiadomo już było dlaczego. Ojciec Wojny trzymał ich do głównego szturmu. W którym nikt nie będzie brał jeńców.

— Znam takich, którzy już się nie mogą doczekać spotkania z nimi.

Kowal pokazał mu dłoń zaciśniętą w pięść. Najprostszy ze znaków *anaho'la*. „Stoimy". Tak, stoimy i czekamy, bo po tę walkę tu przyjechaliśmy. Nie ma co więcej gadać.

— Co mówią czarownicy? — zapytał zamiast tego.

— Jak to czarownicy. — And'ewers wzruszył ramionami. — Bełkoczą coś bez sensu. Wiedzą, że szamani Yawenyra gdzieś tam się szykują do boju, ale jak na razie ponoć nie wygląda to zbyt groźnie. Sądzę, że prawdziwi Źrebiarze uderzą jutro, gdy się wyśpią. Poza tym Has i Ome bez przerwy krążą przy południowym krańcu obozu. Mówią coś o zgromadzeniu duchów, które nie powinno mieć miejsca, albo odbywa się w złym miejscu. Wyglądają jak para wychudzonych chartów, które złapały dziwny trop i nie wiedzą, rzucić się naprzód czy uciekać.

— Każ im iść spać. Jesteś chyba jedynym człowiekiem, którego słuchają.

— Dobrze.

Kowal odwrócił się i zrobił kilka szybkich kroków w noc.

— Przykro mi z powodu Fer'boneha — dobiegło jeszcze z mroku.

Tak. Fer'boneh. Oczy po matce, sylwetka po ojcu. Sam zgłosił się do jednego z Liści i nic nie mogło go powstrzymać. A teraz resztki wozów dopalały się w miejscu, gdzie służył.

Emn'klewes miał ochotę coś odwarknąć, lecz w ustach kogoś, kogo dwaj synowie walczyli właśnie w jednym z zewnętrznych obozów, to „Przykro mi" brzmiało szczerze.

W ciemnościach niecki zapalały się ogniki. Koczownicy szykowali następny atak.

* * *

— Pros… poszę, poszę, possss…

To był pisk, cichutki jak mysie konanie. Więcej nie mogła z siebie wydobyć. Bolało, lecz już nie tak jak wcześniej, ból wypełniał ją całą i w pewnym sensie tak było lepiej, bez ognisk cierpienia, walki o każdy oddech. Lecz była tak słaba, że nawet mrugnięcie okiem stawało się nie lada wyczynem.

Kołysała się łagodnie, podnosząc jeszcze czasem głowę, choć starszy ze strażników już ją ignorował. Właściwie nie widziała zbyt wiele, Martwy Kwiat otaczały przez pewien czas kręgi płonących wozów, potem jednak zgasły, koczownicy przystępowali jeszcze kilka razy do ataku, ale najwyraźniej udało im się zdobyć jeszcze tylko jeden Liść, pozostałe oparły się szturmom. To wszystko działo się setki mil od niej, gdzieś na drugim końcu świata, w miejscu, gdzie nie było haków, powolnego kołysania się i nocy, która już wkrótce zamierza zawładnąć całym czasem Wszechrzeczy.

To było najgorsze, co ją czekało. Ciemność. Do tej pory nie wiedziała, skąd czerpie siłę, teraz okazało się, że czerpie ją z cudzych spojrzeń, z tego, że inni oczekują, iż zacznie płakać i błagać o litość, więc nie wolno jej tego zrobić. Tak naprawdę nawet przez moment nie opuściła kręgu wyrostków z kijami, otaczali ją cały czas, w namiocie wodza Wilków, gdy rozmawiała z jego uzdrowicielką, żoną czy z nim samym, gdy towarzyszyła konającemu łucznikowi, i gdy zawisła na rzemieniach, wtedy zwłaszcza. Musiała być dzielna i odważna. Bo chcieli zobaczyć jej strach.

Lecz teraz, w ciemności, gdy nikt na nią nie patrzył, chłopcy z kijami znikli, rozpłynęli się w mroku, a wraz z nimi odeszła determinacja. Została rozpacz, czarniejsza niż gardło najnędzniejszego demona Mroku, tłumiąca oddech skuteczniej niż haki wbite w skórę.

Nie, nie, nie… nie chcę już… już żyć… ja… Key’la z rodu Kalevenhów… chcę umrzeć… nie widzieć śmierci… nie patrzeć na płonące… wozy… nie chcę patrzeć… Proszę… proszę, proszę… Przyjdź, bracie, i zabierz mnie stąd… Bo to byłeś ty… prawda? Ty zabiłeś tych chłopców… przyjdź po mnie… Proszę, proszę, proszę.

Z całej tej modlitwy na zewnątrz wydostawało się tylko mizerne „pros… pprosz… pos…”, które dałoby się może usłyszeć, gdyby ktoś przyłożył ucho do jej twarzy. Ale to nie miało znaczenia, liczyło się tylko to, że ciem-

ność wreszcie obnażyła jej prawdziwe oblicze, małego tchórza potrafiącego tylko skomleć o litość. I właściwie to też nie miało znaczenia. Liczył się tylko ból, który usadowił się w jej ciele już na dobre, i to dławiące wolę uczucie, że powinna już nie żyć. Powinna umrzeć wiele razy, tak jak tysiące jej rodaków, bo to było wręcz nieprzyzwoite, że jeszcze oddycha, gdy tylu dzielnych ludzi zginęło.

Głowa, która leżała pod jej nogami, zmieniła się w mroku w bezkształtny tobół, lecz Key'la była pewna, że uśmiecha się aprobująco do każdej takiej myśli.

— Pros… poszę, poszę, posss…

Odpowiedź na prośby nadeszła w całkowitej ciszy. Jeden z jej strażników zwalił się na ziemię. Po prostu przewrócił się i już nie wstał. To ten starszy, rozpoznała, bo młodszy jakiś czas temu usiadł, opierając się o jedną z żerdzi trójnogu, i wyglądało na to, że zasnął. Hałas wywołany upadkiem towarzysza powinien go obudzić. Ale nie, nawet nie drgnął, mimo że jego kompan zachowywał się dziwnie. Najpierw przez chwilę leżał nieruchomo, po czym nagle w całkowitej ciszy rozdzielił się na dwie części. Jedna została na ziemi, plama czerni w ciemnościach, druga ruszyła przed siebie. Trochę chaotycznie, zataczając się lekko i wykonując dziwaczne, nieskoordynowane ruchy. Jakby walczyła z szalonym prądem dzikiej rzeki.

A potem nagle przed Key'lą, nieco poniżej, wyrosła blada twarz okolona czarnymi włosami i dwie zimne latarenki oczu, rozjaśniające ciemności.

W pierwszej chwili go nie rozpoznała, był tak chudy, jakby głodzono go od wielu miesięcy. Tłuste włosy lepiły się do jasnego czoła, oczy świeciły gorączką.

— … esteś, bra… ciszku… już my… ślałam, że… że… że zapomniałeś…

Nie odpowiedział. Dotykał jej ruchami szybkimi i delikatnymi jak muśnięcie języka jaszczurki. Jego palce parzyły lodowatym ogniem, zwłaszcza gdy dotykał miejsc, gdzie wbito haki.

— Za… bierzesz mnie stąd? Da…le…ko…

Nie odpowiedział, zresztą nie spodziewała się tego, nie zmienił nawet wyrazu twarzy. Spojrzał w dół, na leżącą między nimi głowę, pochylił się i obwąchał ją. Po chwili obrócił się i znikł w mroku.

Zacisnęła z całych sił powieki, ale łzy i tak popłynęły.

* * *

Zaatakowano ich, gdy Kenneth zaczął wątpić w sens swojego planu. Laiwa chyba nie była tak dobrą przynętą, jak mu się wydawało, może zresztą napastnicy gotowi byli zadowolić się jej głodową śmiercią? Wszystkie wątpliwości rozwiały się pewnego „ranka”, choć nadal nie mieli pojęcia, dlaczego ktoś ściga arystokratkę i skąd się wziął.

I kto, na litość wszystkich bogów, pokonał napastników.

To było tuż przed pobudką, gdy większość ludzi spała, a wartownicy lekko już się rozluźnili. Kenneth znał te objawy i jakoś nie miał do nich pretensji. Tu było inaczej, świat nie zmieniał się w rytmie dzień–noc, nie było żadnych wskazówek co do upływu czasu, warta równie dobrze mogła trwać pół godziny, jak i pół nocy. W takich warunkach, gdy od wielu dni wędruje się pod tym samym niebem, czujność przysypia.

Uderzyło na nich sześciu, szaleńców lub desperatów, i nie było wątpliwości, kto jest celem. Minęli wartowników, nawet nie próbując ich zdjąć, nie zwracali uwagi na podnoszących się z ziemi strażników, tylko ciągnąc za sobą szare smugi, od razu pędzili w stronę Laiwy. A Kenneth, zrywając się na nogi z mieczem już na wpół wyciągniętym z pochwy, czuł druzgocącą pewność, że w chwili, gdy do niej dotrą, znikną i ona, i porywacze.

Dla kompanii byłby to koniec nadziei na ocalenie.

Rzucił się naprzód z dzikim rykiem, budząc resztę ludzi i próbując przyciągnąć uwagę szarych zabójców, ale ci zignorowali go całkowicie. Dziewczyny jednak spały nieco na uboczu, jak zwykle położyły Laiwę między sobą, i w chwili, gdy ryknął, zerwały się na równe nogi z bronią w ręku. Były cholernie dobre, ale w żaden sposób nie mogły sprostać sześciu napastnikom naraz.

Kailean śmignęła szablą, najpierw normalnie, a po trzecim złożeniu przechodząc w tę swoją niesamowitą szybkość, ale zatrzymała tylko jednego atakującego. Daghenę otoczył rój wirujących w powietrzu kamyków i muszelek. Pierwszy szary, który w nie wpadł, zakręcił się wokół własnej osi i przewrócił, drugi rzucił się na dziewczynę, zmuszając ją do uskakiwania i cofania się. Jej krótka włócznia wirowała, przechwytując dziesiątki ciosów.

Trzech ostatnich było już przy Laiwie. Siedziała na ziemi, jasne włosy zasłaniały jej twarz, a gdy złapali ją za ramiona, krzyknęła raz, krótko,

i osunęła się, jakby zemdlona.

Zaczęli znikać. Ona i otaczająca ją trójka zabójców. Nie robili się coraz bardziej przejrzyści, lecz jakby zapadali w głąb, oddalali od pozostałych.

A potem ten posągowy układ, dziewczyna i trzech stojących nad nią mężczyzn, wybuchł od środka. Szarowłosa głowa pofrunęła w powietrze, ciągnąc za sobą krople krwi, które w ruchu zmieniały się w czarny pył. Jeden z porywaczy odleciał kilka kroków od szlachcianki, jakby pociągnięto go w tył liną przywiązaną do galopującego konia, drugi cofał się przed niską postacią, która pchała go przed sobą dłonią opartą na piersi.

Gubili karminowe krople, które zmieniały się w czerń i rozpadały, gdy uderzały o ziemię.

Porucznik biegł, patrząc na tę dwójkę, mężczyznę w szarościach i półnagiego, ciemnowłosego dzieciaka o jasnej skórze, który opierał… który nie miał dłoni… którego lewa dłoń znikała… pogrążała się po nadgarstek… Pani Miłosierna… on… wbił mu dłoń w pierś.

A potem szarpnął gwałtownie, jakby był niedźwiedziem próbującym wyrzucić rybę ze strumienia, i wyrwał mężczyźnie serce. Wyrwał mu serce! Kenneth poczuł, jak nierealność tej sceny wali go obuchem w głowę. Dzieciak wyglądał niczym zagłodzone chłopskie dziecko, a wyrywał ludziom serca. I patroszył ich jak rzeźnik tusze. Trzeci z szarych nawet nie próbował stawić mu czoła, tylko rzucił się ku Laiwie, lecz mały zabójca przemknął obok niego, a mężczyzna zacharczał i upadł, zaplątując się we własne jelita.

Kenneth zatrzymał się, świadomy, że już po wszystkim. Kailean właśnie kopniakiem zrzucała swojego przeciwnika z szabli, napastnik Dagheny zamarł, otoczony przez kilku żołnierzy, chłopak zatrzymał się przed Laiwą.

Na chwilę, krótszą niż mgnienie oka, wszyscy zastygli. Ona i on, szlachcianka… nie osoba udająca szlachciankę i dzieciak z zakrwawionym ostrzem w jednej ręce i pazurami na drugiej dłoni. Porucznik nie widział twarzy dziewczyny, ale twarz chłopaka była aż nazbyt wyraźna. Jakby milion emocji naraz próbowało wyrwać się z jego oblicza. W całkowitej ciszy wyciągnął rękę, tę, której pazury lepiły się od czarnej krwi, i lekko, niemal pieszczotliwie, dotknął jej policzka. Laiwa wzdrygnęła się, jakby ktoś splunął jej w oczy, i wyszeptała słowo, którego Kenneth nie usłyszał.

Chłopak znikł.

Porucznik odwrócił się ku ostatniemu żywemu zabójcy.

— Brać go!

Za późno. Mężczyzna wykonał dziwny gest, jakby wkładał sobie rękę w gardło i coś odrzucał. A potem upadł, wstrząsany drgawkami.

Pierwsza była przy nim Daghena.

— Trzymajcie go! — wrzasnęła, siadając na nim okrakiem.

Kilku żołnierzy skoczyło do pomocy. Złapali szarego za ręce i nogi, przytrzymali, a czarnowłosa dziewczyna zrywała z szyi swoje paciorki, układała mu je na piersi i szeptała coś, coraz szybciej, coraz bardziej gorączkowo, jej dłonie płynęły w skomplikowanym tańcu. Nic z tego, mężczyzna szarpał się coraz mocniej, jego kończyny zdawały się mieć własną wolę, głowa odchylała się w tył, potylica uderzała o ziemię. Czterech silnych strażników ledwo zdołało go utrzymać.

— Fenlo! Zrób coś!

Kenneth nie zauważył, który krzyknął, ale to musiał być ktoś z Piątej. Nur, stojący do tej pory nieco z boku, zacisnął pięści, sapnął.

— On umiera! Nie pozwól mu!

Nie pozwól? Kim niby był ten dziesiętnik?

Wszyscy patrzyli na podoficera, który wyraźnie zbierał się w sobie. Wreszcie wzruszył ramionami, podszedł do Dagheny i stanowczym ruchem odsunął ją na bok. Uklęknął obok niedoszłego porywacza i położył mu ręce na piersi.

To było… wyglądało, jakby Nur wykrwawiał się na śmierć. Pobladł, obnażył zęby, oczy podbiegły ciemnymi sińcami. Warknął, niecierpliwym ruchem rozerwał leżącemu koszulę i wbił palce w bladą skórę. Mężczyzna przestawał drgać.

— Nic… Ten chędożony bękart nie ma tu nic… ani śladu…

Klął tak, że powietrze zdawało się krzepnąć.

— Gdzie on ma… musi tu być…

Śmiech z boku kazał wszystkim obrócić się ku Laiwie. Dziewczyna zanosiła się szaleńczym chichotem, aż łzy pociekły jej po twarzy.

— Czego szukasz, żołnierzu? Duszy u bezdusznego? Chcesz zatrzymać coś, czego on nigdy nie miał. Gdyby miał duszę, nie mógłby przejść na drugą stronę. — Nagle załkała upiornie. — Nie znajdziesz jej śladu w czymś zrodzonym z *vamiiyo*.

Kenneth nie odrywał wzroku od młodszego dziesiętnika. Nur dyszał przez zaciśnięte zęby, sapał i przeklinał. Lecz wreszcie, po trwających dłuższą chwilę zmaganiach, oderwał dłonie od bladego ciała, wstał i z rozmachem kopnął trupa w bok.

— Gdzie ona jest, suczy synu! — wrzasnął. — Nie mogła już odejść!

— Nigdy jej nie miał. — Daghena stała z boku z miną chmurną jak zapowiedź burzy. — Od urodzenia.

— To niemożliwe!

— Naprawdę? Żaden z nich nie ma duszy. To jest to dziwaczne wrażenie, które miałam, gdy z nimi walczyłam. Jakbym patrzyła na ludzi wyciętych z pergaminu. Teraz wiem dlaczego.

— To niemożliwe! — Nur najwyraźniej musiał na kimś wyładować złość, a skoro to Dag się pierwsza odezwała, tym gorzej dla niej.

— Też tak sądziłam. — Czarnowłosa uśmiechnęła się lekko i stanęła w rozkroku, zakładając ręce na piersi. — Masz wielki dar.

Dziesiętnik ruszył ku niej, zaciskając wielkie pięści.

— Nur!

Kenneth osadził go jednym słowem, choć przez chwilę wydawało się, że podoficer zerwie łańcuch dyscypliny i rzuci się na dziewczynę.

— Wszyscy widzieli, co próbowałeś zrobić, Fenlo.

Porucznik ruszył naprzód, wskazując wzrokiem Velergorfowi i Andanowi ludzi z Piątej. Dyscyplina dyscypliną, ale kilku wyglądało, jakby byli gotowi poprzeć Nura w ewentualnym starciu.

— Chciałeś utrzymać go po tej stronie, zatrzymując duszę w ciele. To jedna z najcięższych zbrodni w świetle Wielkiego Kodeksu. Dusze mają wędrować do Domu Snu swobodnie. Ale tu Kodeks nie działa, jesteśmy poza terenem Imperium, więc nie będę tego drążył. Co odkryłeś?

Dziesiętnik zasapał, jakby się dławił, ale ani drgnął.

— On — wskazał trupa — nie miał duszy. Nawet śladu. Nawet takiej… linki, sznura łączącego ducha z ciałem, który można wyczuć długo po śmierci. Był pusty jak skorupa…

— Po co ktoś miałby tworzyć takich… — Kennethowi zabrakło słów.

Odpowiedziała Daghena:

— By swobodnie wędrować między różnymi miejscami. Dusza i ciało czepiają się świata, swojego rejonu Wszechrzeczy, są z nim połączone bardzo silnie. Moc, która pozwalałaby przenosić je między różnymi królestwami, przebić się przez Mrok, jest niewyobrażalna. Ale sama dusza, albo puste ciało, skorupa ożywiana intelektem… jest jak wydmuszka, lekkie i nieważkie. — Wskazała Laiwę. — Ona i jej ludzie zabili ponad dwieście osób, wymieniając się dusza za duszę, ale to trudne czary i zwracające uwagę.

Szlachcianka znów zachichotała tak, że ciarki przebiegły wszystkim po grzbiecie.

— Jest jeszcze jeden sposób… Jeden niezawodny, nowy… Ale on mnie dotknął… widzieliście… zranił… — Obróciła twarz, prezentując policzek, na którym pojawiła się mała szrama, nie dłuższa niż pół cala. — Powinien klęknąć i oddać hołd, a mnie dotknął… zranił… bez… pozwolenia…

Mówiła coraz wolniej, jakby słowa były jakimiś obcymi konstruktami, których znaczenie jej umykało. Kenneth miał dość.

— Nur! Ty i Piąta do mnie. Pogadamy. Reszta rozstawić się wokół i pilnować!

Velergorf chrząknął i uniósł rękę, sygnalizując odwiecznym gestem, że chce coś powiedzieć.

— Nie, dziesiętniku. Dostałeś rozkaz. Wykonać!

Porucznik odszedł kilkadziesiąt kroków, stanął przodem do wyraźnie podenerwowanej dziesiątki. Dokładniej piątki. Czterech żołnierzy zostało pod kopcami ziemi w górach. Powiódł wzrokiem po ich twarzach i co go nieco zaskoczyło, wszyscy opuścili wzrok. Nawet Fenlo Nur.

— Ty coś umiesz, dziesiętniku. Wykorzystałeś tę umiejętność na swoim poprzednim dowódcy, tym, który zaginął, mam rację?

Wszyscy pokiwali głowami. A więc słusznie się domyślał, że cała dziesiątka siedziała w tym po uszy.

— Co dokładnie potrafisz?

Nur rzucił mu lodowate spojrzenie.

— Umiem sprowadzić z powrotem duszę, która dopiero co opuściła ciało. Mogę… Nie wiem, jak to powiedzieć… Ciało jest martwe, ale może się ruszać, mówić i działać, bo ja dzielę się z nim własnymi siłami. To

trudne… wyczerpujące. W ciągu tych dwunastu dni schudłem trzydzieści funtów.

— Dwunastu dni?

— Tyle musieliśmy utrzymać Alentha na nogach — wtrącił Kaher Venk, najmłodszy z żołnierzy.

— Waszego zaginionego dziesiętnika, tak? Dlaczego?

Milczeli. Sprawa była taka, że i Szczurza Nora, i wszyscy kapłani, Łowczy czy Inkwizytorzy każdej Świątyni w Meekhanie rzuciliby się na nią jak głodny niedźwiedź na zepsutego łososia.

— Jesteśmy poza Imperium, przypominam. I cokolwiek powiecie tu, nie musi być tam powtórzone. Ale, do ciężkiej cholery, dość gierek i tajemnic. Dlaczego chcieliście go, jak to ładnie Kaher ujął, utrzymać na nogach? To wy go zabiliście?

Ruszył ich, widać to było po sposobie, w jaki wymienili między sobą zdumione spojrzenia. Nie, to zdecydowanie nie był typ żołnierzy mordujących przełożonych. Potwierdzało się, że Piąta uwielbiała swojego dziesiętnika.

— On… — Nur zaciął się, ale najwyraźniej wreszcie podjął decyzję. — On miał żonę. Viyę. I dziecko. Kochali się i to było widać. Wszyscy ich lubiliśmy, ją i małego. Ale regulamin to regulamin. Wdowa po podoficerze dostaje trzecią część żołdu, póki dziecko nie skończy szesnastu lat, tylko wtedy gdy on polegnie w czasie służby.

Kenneth poczuł, że coś mu zaskakuje.

— Jak zginął?

— Mieliśmy wolne, czas poza patrolem. W pułku wszyscy szykowali się do wysłania kompanii Czarnemu, ale my mieliśmy zostać. Alenth nie chciał opuszczać żony. Poszliśmy napić się za chłopaków, którzy mieli iść w Olekady, wracaliśmy późno… nocą. Nad rzeczką był przerzucony pień, z którego korzystaliśmy, żeby skrócić sobie drogę.

— I on spadł, panie poruczniku. Po prostu poślizgnął się i spadł — Kaher Venk rzucił to, jakby składał zeznania przed sądem. — Nikt go nie popchnął ani…

— Zamknij się, młody. — Nur pokręcił głową. — To nie ma teraz znaczenia. Tam często ktoś spada do wody i wszyscy się z tego śmieją.

Mówimy o tym miejscu „trzeźwiący mostek”, bo jak się skąpiesz, to zaraz… Wie pan.

— Mów dalej.

— On spadł i wszyscy, cała dziesiątka, śmiała się przez chwilę, aż nagle okazało się, że dziesiętnik nie wstaje. Rzeczka była płytka, w najgłębszym miejscu ledwo do pasa, wskoczyłem i wyciągnąłem go, i wiedziałem… ledwo go dotknąłem… wiedziałem… zawsze wiedziałem, gdy ktoś przy mnie umiera…

Przez kilka chwil Nur stał w miejscu, zamykając i otwierając dłonie.

— Uderzył się w głowę. Czaszka pękła, zginął na miejscu. Naradzaliśmy się tam, nad brzegiem rzeki, w nocy. Nie chodziło o nas, ale jego żona i dziecko… nie tylko nie dostaliby pieniędzy, ale też zostaliby wyrzuceni z koszar. Regulamin. Więc zrobiłem to… ściągnąłem jego duszę w pół drogi do Domu Snu i umieściłem na powrót w ciele. Nigdy nie zapomnę, jak na mnie spojrzał… jakbym zrobił mu największą krzywdę. Ale przyjął to jak mężczyzna. Rankiem zgłosiliśmy się na ochotnika do kompanii wędrującej na wschód. Ale nigdy nie robiłem tego tak długo i nigdy z człowiekiem… to… wysysa życie jak pijawka. Po dwunastu dniach nie miałem już sił. Więc poszliśmy niby na zwiad, znaleźliśmy małą jaskinię i zostawiliśmy go tam, i zamaskowaliśmy ślady, a jak oddaliłem się kilkaset kroków, poczułem, że odchodzi. Potem powędrowaliśmy kilkanaście mil dalej, poczekaliśmy dzień, zawiadomiliśmy kompanię. I to tyle.

— Widujesz duchy?

Dziesiętnik pokręcił głową i zaraz wzruszył ramionami.

— Czasem mam takie wrażenie. Coś mnie ciągnie do miejsc, gdzie ludzie zginęli.

— Jak na Hewen?

— Tak, panie poruczniku.

Gdzieś znikł arogancki podoficer, gotów na każdym kroku okazywać lekceważenie, zawsze o włos od niesubordynacji. Kenneth zrozumiał, że to, co zrobił, co wszyscy zrobili, ciążyło mu jak wór mokrego piachu. Teraz, gdy go zrzucił z ramion, Fenlo Nur mógł odetchnąć.

Porucznik nie wytrzymał i parsknął ironicznie.

— Niech to szlag, ale trafiła mi się kompania. Czarny jest mi winien beczkę dobrego wina. — Zignorował zdumione spojrzenia Piątej.

— W porządku. Ta sprawa zostaje tutaj, a wdowa po waszym dziesiętniku dalej będzie pobierać część jego żołdu. Imperium nie zbiednieje od tego. Wy milczycie, reszta kompanii też będzie trzymać gęby zamknięte.

Widział, jak uchodzi z nich napięcie.

— Nur. Jeśli jeszcze raz będą z tobą kłopoty, osobiście nakopię ci do dupy. Mówię poważnie. Chcę mieć podoficera, który wykonuje rozkazy i nie okazuje mi każdym gestem, że wie lepiej. Chyba że rzeczywiście wie lepiej, wtedy może delikatnie coś zasugerować. Ucz się tego od Velergorfa. I zamknij usta, nadal masz brąz na płaszczu. Czy twój talent mówi ci coś więcej o tym miejscu? Badałeś tego czwororękiego trupa?

Dziesiętnik pokiwał głową.

— Tak. Ale on umarł dawno temu. Nawet jeśli miał duszę, to już odeszła.

— Coś jeszcze? Czym ta kraina różni się od naszego świata?

— Ona… — Nur zagryzł wargi. — Ona jest pusta, panie poruczniku. Nie ma szumu, śladów…

— To znaczy?

— Eeee… tego nie da się opowiedzieć, bo sam nie wiedziałem, o co chodzi, póki tu nie trafiłem. Jakbym całe życie mieszkał nad rzeką i słyszał jej śpiew, a potem nagle przeniósł się na pustynię, w ciszę. Nic tu nie ma, jakby całe miejsce zostało wytarte do czysta. Jakby było martwe.

— Dobrze. Tyle to już sam wiem. Ktoś tu jednak mieszkał, walczył i zabijał. I to niedawno. Has mówił tak o tym Bękarcie, który spadł na Hewen. Że walczył i zabijał w tym miejscu. Więc zapewniam cię, że okolica nie jest tak martwa, jakbyśmy chcieli.

Nur rzucił okiem za jego plecy i uśmiechnął się dziwacznie.

— Wierzę panu, panie poruczniku — powiedział powoli, sięgając ręką po sztylet. — Jak nigdy dotąd, wierzę.

Kenneth odwrócił się i spojrzał prosto w parę jasnoniebieskich oczu. Chłopak stał ledwo dwa kroki za nim, a pytanie, jak na bogów go podszedł, było na wagę życia, bo prawa dłoń dzieciaka ściskała mordercze szare ostrze z taką nieświadomą swobodą, z jaką lew nosi pazury. Potem chłopiec ruszył między nich, jakby czegoś szukał, a porucznik zdołał tylko wysyczeć.

— Niech nikt się nie rusza.

Nie drgnęli nawet, a on chodził między żołnierzami, ignorując trupy, jakby były kawałkami kamienia, aż wreszcie zatrzymał się przy dziewczynach. Daghenie poświęcił chwilę, a trzeba przyznać, że czarnowłosa nerwy miała chyba ze stali, bo gdy przybliżył się i zaczął obwąchiwać ją na wysokości piersi, nawet nie mrugnęła.

Za to przy Kailean… Podszedł, powąchał, cofnął się i zmarszczył zabawnie nos. Powąchał jeszcze raz.

A potem przełożył broń do szponiastej ręki i wykonał jakieś dwa gesty.

Dziewczyna pobladła, a on odwrócił się i pobiegł przed siebie lekkim truchtem.

Rozdział 10

Eso’bar zaklął i splunął. Rana bolała jak cholera. Koczownicy dwa razy w ciągu nocy wdarli się na ich wóz. Pierwszy raz ledwo dwóch głupców, którzy zaraz dali gardła, drugi aż pięciu. I bili się dobrze, sucze syny, zażarcie i dziko. Ten drugi raz kosztował załogę ich wozu jednego zabitego i dwóch rannych, do których zaliczał się on sam. Ostrze se-kohlandzkiego sztyletu przebiło jego kolczugę i gdyby nie zrobił uniku, jego wątroba popieściłaby się ze stalą. A tak zarobił tylko szeroką i piekielnie bolącą ranę, ciągnącą się wzdłuż prawego boku niemal pod pachę. Zasrany mańkut!

Ich Liść tworzyły cztery *sawo’leyd* – Małe Węże, osiemdziesiąt ciężkich wozów bojowych ustawionych w podwójny krąg. Pięćdziesiąt na zewnątrz, trzydzieści w środku. Tylko dlatego przetrwali całonocne ataki, gdy koczownikom udało się wreszcie, po kilku próbach, rozpalić ogień na tyle duży, że poddały mu się nawet burty wozów bojowych, i gdy z dzikim rykiem wdarli się przez wyłomy po dwóch spalonych pojazdach, przywitała ich skoncentrowana salwa z drugiej linii i wściekły kontratak, po którym obrońcy ścigali ich całkiem długo na zewnątrz umocnień.

Potem podstawili na miejsce spalonych wozów nowe pojazdy i czekali na ruch wroga. Z tego, co się zorientował, tylko Liście, których dowódcy zastosowali taktykę podwójnego kręgu, jeszcze się utrzymywały, reszta padła i teraz, po trwających większość nocy szturmach, zostało ich chyba zaledwie trzy albo cztery. Tam, gdzie zbudowano je z wozów mieszkalnych, nie przetrwały pierwszych ataków, ale jakie to właściwie miało znaczenie? Wszyscy, którzy zgłosili się do zewnętrznych obozów, wiedzieli, że w tej walce nie będzie zwycięstwa.

Tylko że te czające się w mroku śmierdziele zmieniły taktykę. Nie żeby zrezygnowali z prób podpalenia wozów, lecz teraz najwyraźniej chcieli, by ogień zajął wszystkie z zewnętrznej linii. I wydawali się mieć niekończące się zapasy drewna i oleju. W pewnej chwili burta ich wozu zaczęła przepuszczać dym do środka i zrobiła się gorąca jak piec. Eso’bar przestał już

liczyć, ile razy fala koczowników rzucała się do ataku, zostawiając przy wozie sterty chrustu. Nawet sztuka ochrony drewna przed ogniem, którą Verdanno rozwijali wiekami, miała swoje ograniczenia. Jeszcze kilka takich szturmów, a będą musieli przenieść się na drugą linię – a potem? Do piekła, oczywiście.

Atakujący nie zrezygnowali także z prób pokonania obrońców w bezpośredniej walce. Dwa ataki, kiedy zamiast wiązek drewna o burty zastukały drabiny i liny zakończone hakami, prawie ich zaskoczyły. Wiklinowe płotki ochronne pierwsze poddały się ogniowi, więc wóz zatrząsł się, szarpnięty, górne deski zatrzeszczały, ledwo zdążyli odciąć liny. A zaraz potem do środka zaczęli wskakiwać koczownicy.

Eso’bar zaklął jeszcze raz. Mer’danar nie certolił się ani przez chwilę, kazał mu zdjąć kolczugę, pikowaną przeszywanicę, przemył ranę octem i właśnie bezceremonialnie zakładał kilka grubych szwów. Gdyby drań chciał się utrzymywać z opatrywania ran, umarłby z głodu.

Mer’danar, jego młodszy brat, Czwarty, niewiele starszy od bliźniaków, zabił dziś trzech ludzi w sposób budzący niemal nabożną grozę. W rodzinie wszyscy pokpiwali sobie z jego postury i wrodzonej flegmatyczności, a choć siłą nie ustępował ojcu ani Pierwszemu, nigdy nie próbował wykorzystać jej do uzyskania jakiejkolwiek przewagi. Dziewczyny, zwłaszcza Key’la, owijały go sobie wokół paluszków. Po jej śmierci z twarzy Mer’danara znikł zwykły spokojny uśmieszek, sposępniał, zdawał się lekko nieobecny. A potem, kwadrans temu, wybuchł. Gdy koczownicy wdarli się po raz drugi do wozu, złapał najbliższego za szyję i zdusił jednym ruchem tak, jak rozzłoszczone dziecko dusi gołębia, następnie ruszył naprzód, pochylony, z głową wciągniętą między potężne ramiona
i z wciąż gołymi rękami. Kolejnego napastnika trafił uderzeniem pięści, a Se-kohlandczyk jakby się zapadł w sobie, zwinął wokół miejsca trafienia, jakby uszło z niego powietrze, i zaraz dostał drugi cios, w głowę, aż coś chrupnęło mu w karku i upadł. Ostatni rzucił się na Wozaka z nożem i lekkim toporkiem. Mer’danar zrobił unik, niewiarygodny przy jego masie i w ciasnocie wozu, złapał atakującego za ramię, szarpnął, trzasnął o burtę i przygwoździł do ściany nie wiedzieć kiedy wyciągniętym sztyletem.

Eso’bar zerknął w lewo, trup wciąż wisiał w tym samym miejscu, nikt poza jego młodszym bratem nie miał dość siły, żeby wyrwać broń z drewna.

— Musimy go wyrzucić — mruknął, wskazując ciało. Mer’danar tylko skinął głową i szybkim ruchem odciął kawałek dratwy.

— Załóż pancerz, zanim spuchniesz — odburknął. — Będziesz miał problem z prawą ręką.

— Powiedz mi coś, czego nie wiem. — Eso’bar ubierał się, krzywiąc się i przeklinając. — Daleko do świtu?

— Ze dwie godziny. Nie wiem dokładnie, niebo ciągle zachmurzone. Ale robi się coraz jaśniej.

Właśnie wymienili więcej słów niż przez ostatnie trzy dni.

Nadal nie wymieniali spojrzeń i Eso’bar był z tego powodu bardzo wdzięczny. Wiedział, co mogło się czaić na dnie oczu brata. „To ty ją tam przyprowadziłeś!”. Lepiej było nie patrzeć.

Walczyli całą noc i powoli ich Małe Węże wykrwawiały się. W zewnętrznym kręgu połowa wozów miała już tak nadpalone burty, że wystarczyło lekko kopnąć, by się rozleciały. A i tak powinni uważać się za szczęściarzy, że atakowano ich tylko za pomocą zwykłego ognia.

— Nadchoooodziii!!!

Rzeczywiście, nadchodziło. Gdzieś po północy, gdy koczownicy zdobyli większość Liści, pojawili się pierwsi Źrebiarze. Wozacy nie widzieli ich, nie wiedzieli dokładnie, gdzie się znajdują, noc była za ciemna, ale nagle w ciemnościach rozległo się dzikie rżenie, dźwięk, który wydaje zwierzę cierpiące straszliwe męki, i potem obok ich małego obozu przemknęła fala gorąca.

Nie dało się jej zobaczyć, to nie była ściana ognia, której utworzenie zdradziłoby pozycję Źrebiarza i naraziło go na kontratak. Szaman miotał po prostu strumień, rzekę gorącego powietrza, dla synów kowala coś równie naturalnego, jak żar paleniska. Poczuli go ledwo ledwo, gdy część tego żaru przelała się górą do ich wozu, a za nimi, na pierwszych płatkach Kwiatu, rozległy się krzyki i rumor. Eso’bar wiedział, co zaszło, fala gorąca uderzyła bezpośrednio na drewniane burty, rozbiła się o nie, po czym pomknęła na boki i w głąb umocnionych pozycji. W pierwszej chwili wydawało się, że to nic groźnego, że jeśli człowiek nie wystawił twarzy bezpośrednio na ten żar, nic mu się nie mogło stać, a zresztą zaczerwieniona od gorąca gęba nikogo jeszcze nie zabiła. Tylko że to nie była pierwsza fala żaru tej nocy, ani druga czy piąta. Źrebiarze atakowali tak karawanę od kilku godzin, trudno mu było sobie wyobrazić, jak teraz wyglądała sytuacja na zewnętrz-

nych liniach obrony. Powietrze suchsze niż pył z wyżarzonego upałem stepu, burty wozów dymią i wypaczają się, ludzie nie mają czym oddychać i mdleją z gorąca.

To była dobra taktyka, taka, której nie bardzo mogli się przeciwstawić. Nie mieli dość wody, by ugasić rodzące się z powodu gorąca pragnienie, ani dość czarowników, by ochronić cały Martwy Kwiat. Zresztą, atakiem zwykłym czy magicznym trudno trafić kogoś, kogo się nie widzi i kto co chwilę zmienia pozycję. Tak jak teraz. Ledwo czar zaczął wygasać, rozległ się tętent kopyt i niewidoczny oddział jazdy pomknął dalej w ciemność. Zapewne Źrebiarz ze swoimi strażnikami. Sądząc po dźwięku, byli nie dalej niż dwieście jardów od nich. W dzień nie mogliby sobie pozwolić na taką bezczelność, jak rzucanie czarów w zasięgu strzału z kuszy. Ale teraz – teraz wciąż trwała noc.

Na zewnątrz zagrały piszczałki.

— Idą. — Eso’bar powiedział to prawie z ulgą.

— Idą — potwierdził Mer i bez słowa wrócił na swoje miejsce.

Nim Eso’bar zdążył wcisnąć się w kolczugę, na sąsiednim wozie wybuchło zamieszanie, a potem wzdłuż linii pomknęła wieść:

— Idą Sahrendey!

Wstał.

Nareszcie.

* * *

Starzec się uśmiechnął. Lekko, leciusieńko, ktoś stojący z boku mógłby wręcz uznać ten uśmiech za tik wykrzywiający kącik ust. Ale Yawenyr wiedział, że się uśmiecha i już, choć jak na razie był to bardziej wyraz znużenia niż triumfu.

Wszystko szło tak, jak zaplanował. Koczownicy uderzyli, zanim mniejsze obozy zdążyły się porządnie okopać; przedpole obozu głównego zdobiły teraz już tylko dopalające się kręgi. Kilka Liści oparło się atakom, ale to nie miało znaczenia, zostaną zniszczone w odpowiednim czasie. Teraz czekał ich szturm na główny obóz, szereg ataków na poszczególne półokręgi, i tylko głupiec uznałby, że to będzie łatwa robota.

Yawenyr znał już raporty od Kyh Danu Kreda. Wozacy nie poddawali się i nie prosili o litość. W ośmiu zdobytych obozach znajdowało się jakieś

dwa tysiące ludzi, a wzięto tylko trzech jeńców i wszyscy chwilę później zmarli od ran. Jego Źrebiarze wysyłali na obóz Verdanno strumienie żaru, ale byli już zmęczeni, choć pięciu najpotężniejszych wciąż trzymał w odwodzie. Gdy dojdzie do właściwego ataku, wozy zapłoną jak smolne szczapy.

Spojrzał na prawo – godzinę temu uznał, że Danu Kredo, jego niepokorny syn, chyba już dostał odpowiednią nauczkę – i wydał rozkazy.

Od strony obozowiska Amanewe Czerwonego nadjeżdżały ciężkie kolumny oświetlone setkami pochodni. Do świtu zostały dwie godziny. Nim wzejdzie słońce, a raczej nim pokrywa chmur przybierze odcień stalowej szarości, powinny paść zewnętrzne półokręgi obozu Wozaków.

Uśmiech wykrzywił drugi kącik ust starego wodza. Wtedy wydał takie rozkazy, jakie musiał wydać, i zaraz okaże się, czy nienawiść, jaką Verdanno żywią do plemion Amanewe Czerwonego, jest tak wielka, jak mówią. Po tym, co zrobili Sahrendey, musiała być.

Jasnowłosa niewolnica poruszyła się już trzeci raz w ciągu ostatniego kwadransa. Zazwyczaj, co w niej podziwiał, potrafiła stawać się częścią otoczenia równie skutecznie jak krzesło, na którym siedział.

— Coś cię martwi, najdroższa?

Nawet na niego nie spojrzała, co każdego innego, mężczyznę, kobietę czy dziecko, kosztowałoby utratę oczu. Ale nie ją, kobietę, której dotyk przywrócił mu młodość i która ostrzegła go, by uważał na północny zachód swego państwa.

Patrzyła w ciemność z takim napięciem, jakby potrafiła ją przebić wzrokiem. Jej dłoń poruszała się lekko.

— Węzeł… — wyszeptała. — Tworzy się węzeł. Cała bitwa owinięta wokół jednego punktu…

Zaśmiał się łagodnie. Kobiety.

— Nie najdroższa, bitwy nie są tkaniną, nie zwijają się i nie rozwijają wokół jakichś węzłów. To sprawdzian siły woli i doświadczenia wodzów oraz męstwa wojowników.

Odwróciła się wreszcie w jego stronę, twarz miała bledszą niż zwykle i dziwnie ściągniętą.

— Nie jestem jednym z twoich pieśniarzy, mój panie, nie zapiszę tych słów, by były świadectwem twej mądrości. — Używała mowy Wolnych

Plemion, formalnej i nieco zbyt uroczystej. — Lecz gdy bitwa jest przegrana, armia pierzcha, prawda? A gdy pierzcha armia, najpierw pierzcha jedno Skrzydło, mam rację? A gdy pierzcha jedno Skrzydło, najpierw rzuca się do ucieczki jeden a'keer. A żeby on uciekł, musi się w nim znajdować jeden wojownik, którego serce pierwsze struchleje ze strachu i który pierwszy zawróci konia. Mam rację, mój panie?

Nie podobał mu się jej ton, ale w sumie, jak na kobietę, mówiła mądrze.

— Masz, *maii*.

Nazwał ją przezwiskiem, które samo w sobie było łagodnym napomnieniem. *Maii* – pieszczoch, rzecz, własność. Zrozumiała i spokorniała natychmiast.

— Wybacz, panie. — Ukłoniła się, lecz kontynuowała — ale gdyby znalazł się sztylet, który wbiłby się w serce tego wojownika tuż przed ucieczką, to może a'keer, Skrzydło i cała armia dotrzymałyby pola chwilę dłużej, i może to wróg by przegrał? Gdyby teraz z ciemności nadleciała strzała i wbiła się w twoje serce, czyż bitwa nie owinęłaby się wokół tego miejsca? Chaos i panika popłynęłyby stąd na wszystkie strony i ogarnęły wszystkich twoich wojowników. Tu byłby węzeł.

Rzadko tak dużo mówiła, ale pozwolił jej, bo byli sami, najbliżsi strażnicy stali dobre trzydzieści kroków od nich, więc nikt jej nie słyszał. Komuś innemu za samą sugestię, że on, Ojciec Wojny, Syn Gallega, może zginąć od zwykłej strzały, kazałby wyrwać język i rzucić go psom na pożarcie. Pewnych słów nie należy wypowiadać.

— Chaos, mój panie, działa przez węzły, przez punkty, z których szerzy się zniszczenie. Tam — machnęła ręką — tworzy się węzeł, zbierają się duchy, pełzną przez ziemię… Czekają. To zły znak. Twoi szamani tego nie czują? Tak są… za… zajęci walką? Trzeba przeciąć ten węzeł.

Zaczęła się zacinać, co nie zdarzało jej się od chwili, gdy weszła do jego namiotu kilka miesięcy temu. Musiała być bardzo zdenerwowana.

— Czekaj — przerwał jej krótko. — Najpierw oni.

Sahrendey właśnie ruszyli do próbnego ataku. Część jazdy zsiadła z koni, zmieniając się w solidny oddział piechoty, reszta zajęła miejsca po jego bokach. Jazda ruszyła pierwsza, zasypując zewnętrze linie obrony deszczem płonących strzał. Łucznicy cwałowali w stronę wozów, wypuszczali pociski i zawracali po okręgu, którego zewnętrzną część tworzyli wojownicy trzymający pochodnie. Konni podjeżdżali do nich, zapalali

groty i pędzili naprzód. W nocy wyglądało to szczególnie efektownie, dwa wielkie, obracające się w przeciwnych kierunkach i plujące ogniem kręgi konnych i sunąca między nimi, oskorupiona tarczami masa piechoty.

Która najwyraźniej nie będzie miała wiele do zrobienia.

Po kilkugodzinnych atakach falami gorąca zewnętrzne ściany wozów były tak nagrzane, że zapalały się od pojedynczej strzały. Obrońcy nawet nie próbowali ich gasić. Starzec uśmiechnął się, tym razem szeroko, jego domysły na temat wozackich problemów z wodą potwierdziły się całkowicie. Półokrąg wozów, który zaatakowali Sahrendey, zajął się jak sterta słomy, płomienie sięgały na wysokość trzydziestu stóp, złoty blask oświetlał wszystko w promieniu setek jardów. Yawenyr zmrużył oczy, nad linią piechoty w blasku migoczącego ognia widać było chorągiew z wilczym pyskiem przeciętym kilkoma białymi smugami. Wilki. Tak jak się spodziewał, Amanewe wysłał do szturmu swoje najlepsze, najciężej uzbrojone oddziały. Nie więcej niż tysiąc ludzi, ale do zdobycia jednej czy dwóch linii obrony nie trzeba ich więcej.

Spojrzał dalej na prawo: spomiędzy namiotów za plecami atakujących zaczęły właśnie wyjeżdżać kolejne szeregi jazdy. Było ich dużo, nawet nie licząc tych, którzy teraz atakowali Verdanno; co najmniej piętnaście tysięcy. Gdy ostatnimi laty z wolna pogrążał się w starczym otępieniu, Sahrendey urośli w siłę. Dobrze byłoby, gdyby po tej wojnie musieli długo lizać rany, bo za siłą idzie arogancja, a ta jest strzemieniem u siodła, na którym jeździ bunt.

Ojciec Wojny uśmiechnął się całkiem otwarcie. Po tym, co zrobili, nie musiał się martwić o ich straty.

Atakowane przez pół nocy magicznym żarem drewno paliło się szybko, zresztą były to wozy mieszkalne i transportowe, mniejsze i o słabszych burtach. Po kwadransie, w czasie którego jego niewolnica nie przestawała się wiercić i posapywać, ogień zaczął przygasać i piechota natychmiast poderwała się do szturmu. Niewiele już było widać, dopalające się resztki zostały raz-dwa zadeptane przez ciężkie stopy i oddział bez problemu wdarł się za pierwszą linię obrony.

Właśnie: bez problemu, i to był problem. Ojciec Wojny westchnął i potarł zmęczone czoło. Już po pierwszych salwach, gdy obrońcy nie odpowiedzieli własnymi pociskami, stało się jasne, że tę linię wozów porzucono. Dowodzący atakiem koczowników powinien zatem przerwać podpalanie

i rzucić piechotę od razu do szturmu, dobrze byłoby zdobyć te wozy w jak najlepszym stanie, sam Galleg wie, co można zrobić z dużą liczbą sprawnych wozów. No cóż, to tylko potyczka, po to w końcu są takie potyczki, żeby młodzi wodzowie uczyli się na własnych błędach.

Piechota, na podobieństwo ognia, przelała się przez pogorzelisko i jak łatwo mógł sobie to wyobrazić, stanęła przed dwoma kolejnymi liniami obrony. Nagle jęknęło, aż się instynktownie wzdrygnął – jakby wystrzeliła gigantyczna kusza. Sahrendey dostali salwę z dwóch stron, zakłębili się, ryknęli. Było ciemno, lecz on widział zbyt wiele bitew i wiedział dokładnie, co tam się teraz dzieje. Zabici i ranni padają na ziemię, brocząc krwią, w zewnętrznej ścianie tarcz robią się dziury, a strzały i bełty nurkują w nie, szukając kolejnych ciał, oddział chwieje się i cofa. A potem ryk, usłyszał go aż tu, w ciemnościach nocy każdy dźwięk niesie się daleko, a bitwa toczy się teraz tylko w tym jednym miejscu, ryk dziki, podszyty gniewem. I nagle szeregi atakujących rzucają się na linię wozów. O burty uderzają drabiny, to wciąż są wozy mieszkalne, niższe i lżejsze niż bojowe, ciężkie topory rąbią drewno, po drabinach wspinają się pierwsi ochotnicy, zmiatają obrońców z dachów, wściekle rąbią stropy, by dostać się do środka, czyżby zapomnieli, jaki jest plan?

W chwilę potem ryk rozległ się z drugiej strony i ruszył kontratak. Verdanno walczyli dziko, porzuciwszy szable, włócznie i topory, w takich warunkach, na śliskim od krwi dachu, walczy się na noże, pięści i zęby, ciała kłębią się i spadają na dół, a strona, na którą się spadnie, decyduje o życiu lub śmierci. Po chwili dowódca Sahrendey zrozumiał, że to jeszcze nie ten moment, że Wozaków jest jeszcze zbyt wielu, więc podał sygnał i atakujący odskoczyli, ścigani pociskami.

Yawenyr widział te wszystkie obrazy pod przymkniętymi powiekami. Znów malowały mu się sceny z czasów pierwszej wojny, gdy musiał zdobywać plemienne obozy jeden po drugim. W gruncie rzeczy nic się nie zmieniło, minęło trzydzieści lat, a ludzie nadal walczyli i ginęli na tej parszywej wyżynie.

Po chwili odgłosy walki ucichły, poharatany oddział piechoty wycofał się biegiem, osłaniany przez konnych łuczników. Ojciec Wojny był pewien, że Amanewe przyśle mu za chwilę raport o tym, jakie mają straty, jak przebiegał atak, co nowego wymyślili Verdanno. Ale i bez tego wiedział, że następnym razem trzeba będzie atakować w dziesięciu miejscach naraz, by

spalić wszystkie zewnętrzne kręgi, a potem następne i następne, aż te wozackie ścierwa w końcu nie będą miały gdzie się cofnąć.

Niewolnica poruszyła się.

— Węzeł się zaciska, mój panie.

Węzeł i węzeł! Mimo wszystko po nieprzespanej nocy był już lekko poirytowany. Nie lubił, gdy się od niego oddalała, bo wtedy czuł starość wbijającą mu spróchniałe kły w kark, ale skoro nie może usiedzieć cicho…

— To idź i go rozwiąż, kobieto. Weź tylu ludzi, ilu potrzebujesz, i idź.

Ukłoniła się lekko i znikła bez słowa.

Gdy wróci, każe jej zapłacić za tę bezczelność.

* * *

Ciemność napierała ze wszystkich stron, a wraz z nią obrazy każdej chwili, gdy opuszczała ją odwaga. Gdy kuliła się jak zwierzę pod razami, gdy była miła dla tych morderców Sahrendey, gdy zawahała się i nie splunęła tej kobiecie drugi raz pod nogi. Pewnie dlatego on ją opuścił. Nie po to biegł dziesiątki mil po spalonej słońcem wyżynie, by spotkać małego, wiszącego na hakach tchórza. Więc gdy zabił strażników, to sobie poszedł.

Key’la otworzyła z wysiłkiem oczy. Niebo jaśniało stopniowo, wokół obozu Wozaków biły w niebo słupy dymu nieróżniące się kolorem od chmur. Martwy Kwiat skurczył się wyraźnie. Przez ostatnią godzinę koczownicy przeprowadzili kilka ataków na jego zewnętrzne płatki, żelazem, magią i ogniem zdobywając co najmniej dwie linie obrony. Ostatni atak załamał się po desperackiej szarży Fali rydwanów, która jednak wkrótce uległa kilku tysiącom konnych łuczników. Wątpiła, czy trzecia część załóg wróciła za mur z wozów.

Przestało ją boleć, co stwierdziła z pewnym zdumieniem. To znaczy bolało, oczywiście, ale tak, jakby ktoś napoił ją wywarem z ziół uśmierzających ból. Ciało było oddzielone od głowy, ktoś przymocował ją do obcego korpusu, zawieszonego dla zabawy nad ziemią. Coś się działo, z nią, z powietrzem, z drągami, na których wisiała. Drewno wibrowało, wyginało się i pulsowało.

Majaki, miała przynajmniej na tyle przytomności umysłu, by to zrozumieć. Właśnie majaczy.

Pół godziny temu przejeżdżała w pobliżu grupa jeźdźców. Konie na widok trójnoga zaczęły się boczyć i nie chciały jechać, więc ominęli go szerokim łukiem, wydawało się, że jeden z przewieszonych przez siodło trupów ma twarz jej dręczyciela. Trudno było rozpoznać, bo uderzenie jakąś ciężką bronią zmiażdżyło mu głowę, ale skądś wiedziała, że to on. I nie czuła nic, radości, ulgi, mściwej satysfakcji. Był martwy, a martwi w tej okolicy stanowili dziś zwykły widok.

Wtedy zrozumiała, że w nocy jej braciszek jednak jeszcze wrócił, bo teraz obaj strażnicy siedzieli oparci o drewno, jakby drzemali. Wrócił, oparł ich o trójnóg i znów odszedł.

Przymknęła powieki, by nie zapłakać.

Tchórze umierają samotnie.

Obóz koczowników Danu Kreda na zamianę wybuchał bojowymi okrzykami i lamentem rozpaczy.

Wojna – matka dwóch pieśni.

Lecz wśród Sahrendey panowała cisza. Ci mordercy walczyli od jakiegoś czasu, atakowali wozy, podpalali je, szturmowali, zdobywali lub byli odpierani, ale nie krzyczeli radośnie ani nie skarżyli się obojętnemu niebu. Szli do walki, potem wracali, część o własnych siłach, część wspierana przez towarzyszy, po czym zastępowały ich inne oddziały. Martwy Kwiat to zwarty obóz, nie było sensu rzucać do ataku na niego całej armii. Poza tym większość roboty odwalał za nich ogień, wątpliwe, czy w walkach stracili więcej niż pięć setek ludzi.

Wspomnienie o tym, jak bardzo chciała widzieć ich namioty obalane przez pędzące rydwany, a ich samych z wyciem i łkaniem uciekających w stronę rzeki, wydawało jej się teraz niedorzeczną mrzonką. To nigdy nie miało szansy się udać – rydwany i wozy przeciw jeździe. Ale nawet teraz, gdy wszystko, od aroganckich marzeń po butne plany, okazało się śmiechu warte, jej rodacy nawet nie pomyśleli o tym, by wsiąść na konie! Co z tego, że nie umieli – Eso’bar też nie umiał, a pojechał…! Drewno zawibrowało mocniej, jakby któryś z martwych strażników zaniósł się bezdźwięcznym rechotem.

Głupcy! Głupcy! Głupcy!

Zdumiałaby się tym swoim wybuchem, gdyby zachowała dość sił na zdumienie. Jakby w chwili, gdy traciła kontakt z własnym ciałem, coś się

w niej otworzyło, jakaś głębia, z której wpatrywały się w nią głodne ślepia wstrętnych potworów, a ich emocje mieszały jej w głowie.

Key’la otworzyła oczy, gdy wiatr cisnął jej w twarz lepki zapach spalonego drewna i skóry, doprawiony mdlącym smrodkiem zwęglonego mięsa i włosów.

Obóz New’harr był niszczony spokojnie i metodycznie, jakby to nie była walka, lecz zaplanowana robota. Źrebiarze nie ustawali w rzucaniu na niego swoich czarów, tym razem z większej, bezpieczniejszej odległości i pod osłoną silnych oddziałów jazdy. I cóż z tego, że gdzieniegdzie wozaccy czarownicy stawiali im opór? Widziała ziemię poruszoną zaklęciem, jak wspina się i osłabia czary se-kohlandzkiego szamana, widziała gromadę widmowych stworzeń, jakby duchów zrodzonych z mroźnego oddechu samej Pani Lodu, jak rzucają się i ścierają z falą żaru. Czarowników było za mało, mogli powstrzymać ledwo co czwarty albo co piąty magiczny atak. Tym bardziej że Źrebiarze poczynali sobie coraz śmielej.

Jakieś pół mili od niej zatrzymał się jeden z nich. Przeszło stu jeźdźców otaczało drobnego mężczyznę w szarym ubraniu, dosiadającego na oklep gniadego ogiera. Człowiek ten wykonał kilka gestów, powietrze wokół niego zafalowało, a potem pomknęło przed siebie, kładąc falą gorąca wyschnięte trawy. Czarny pas o żarzących się brzegach pędził w stronę wozów, rozszerzając się stopniowo, uderzył w drewniane burty, które w jednej chwili zadymiły i pociemniały. Ogier czarownika stał jak skamieniały, nie drgnął nawet, gdy ten lekko zeskoczył na ziemię i podbiegł do innego konia. Dopiero wtedy przewrócił się do przodu, na chrapy, brzuch puchł mu jak miech pełen powietrza, skóra dymiła, próbował zarżeć, ale żałosna skarga utonęła w wylatującym pyskiem strumieniu czarnej krwi. Jeden z jeźdźców zarzucił arkan na tylną nogę nieszczęsnego zwierzęcia i pociągnął je, wciąż drgające, ku obozowi Danu Kreda.

U koczowników nic się nie marnowało.

W jednej chwili zrozumiała, dlaczego jej rodacy tak nienawidzą Źrebiarzy. Gdyby miała wolne ręce, gdyby miała łuk, kuszę, nóż…!

Emocje były dzikie, jakby nie jej, łamały obojętność, w bezsilnej furii wyciągnęła ręce ku oddalającemu się oddziałowi, nie czując bólu rozrywanego ciała, i wrzasnęła.

To było szalone wycie, krzyczała nie swoim głosem, głosem tysiąca ludzi, mężczyzn i kobiet, drewniane drągi tworzące trójnóg pulsowały

w rytm tego krzyku, rodząc twarze, coraz to nowsze, zachodzące jedna na drugą, oczy przechodziły w usta, usta zamykały się i puchły w nosy, które nagle błyskały gładkimi źrenicami. Wyciągnięte w przód dłonie też zaczęły puchnąć, palce poczerniały, spod paznokci popłynęła krew.

Nic się nie stało.

Źrebiarz nie zajął się ogniem, nie eksplodował deszczem krwi i ciała, nawet nie obejrzał się za siebie. Jej głos utonął we wrzawie bitwy, stał się jeszcze jednym akordem wojennej pieśni wypełniającej okolicę.

Opuściła ręce, ból powrócił, schwycił ją w szpony, szarpnął. Na wpół zaschnięte rany, rozerwane nagłym ruchem, zapłakały czerwienią i leżąca na ziemi głowa napiła się świeżej krwi.

Usłyszała nadjeżdżającego konia. Saonra Womreys w biegu zeskoczyła z siodła i szła ku niej, włosy w nieładzie, obłęd w spojrzeniu, nóż w ręku.

Kobieta nawet nie spojrzała na martwych strażników, interesowała ją tylko Key’la. Podeszła bliżej, stając z nią prawie twarzą w twarz.

— Walczymy — wydyszała — idziemy do szturmów, krwawimy i umieramy. Zostawiamy tam naszych braci… Przysięgaliśmy, że spalimy wasze wozy… że…

Nagłym ruchem złapała Key’lę za koszulę na piersi i przyciągnęła do siebie.

— Oni patrzą na ciebie. Idący do walki… Przysięgaliśmy… za złamane serca… zdradę… A teraz nie ma w nas gniewu ani bojowej furii, która wstrząsnęłaby niebem… Gdy powiedziałam im, że nie chcesz łaski, niektórzy… niektórzy prosili cię o wybaczenie… Ciebie! A na dodatek… duchy odwróciły się od nas… słupy są martwe… nie mamy od kogo wziąć błogosławieństwa…

Odepchnęła ją gwałtownie, machnęła nożem przed twarzą.

— Przeproś! Za to, co zrobili… Że miałaś ojca i matkę… że wybrali ciebie zamiast… zamiast…

Błysnęło, nóż poleciał w bok. Kobieta upadła na ziemię, na plecy, oczy szeroko otwarte, usta wykrzywione zdumieniem. On! Skąd się tu wziął?! Jak? Ale był, był, jej braciszek, dopadł ją jednym skokiem, pochylił się nad leżącą kobietą, wąskie ostrze oparło się o jej policzek, pazury na lewej dłoni lekko drżały.

Cisza.

Zabij ją! Coś w Key’li wyło i wrzeszczało. Zabij! Zabij! Zabij!

Chłopak trząsł się, czekał, blizna na plecach pociemniała. Odwrócił się i popatrzył na nią tak jakoś dziwnie. Wykonał ruch ręką, ostrze znikło, potem chwycił pazurzastą dłonią za najbliższy drąg, który zaczął się wić i tętnić pod tym dotykiem, drugą dłoń położył na głowie kobiety.

Cisza.

A potem *ueneya* krzyczy. Łapie się za głowę, jakby próbowała oderwać jego rękę, i wrzeszczy. Wyrywa się wreszcie, na czworakach dopada najbliższego drąga i wczepia się w niego oburącz. Drewno pulsuje twarzami.

— Nie… nie… nie… nie… NIE!!!!

Ten krzyk jest inny, rozpaczliwy, słowa są wydyszane, wyrzucone w niebo, tną powietrze jak lecące strzały. Kobieta patrzy na nią dzikim wzrokiem. I płacze.

— Nie… dziecko, nie! To nie jest prawda! To… duchy tutaj. Nie przy słupach… tylko tutaj… One… ty… ja zaraz…

Wstaje. Rozgląda się i sięga po leżący na ziemi nóż.

Błysk. Nóż leci na ziemię, a on staje między nimi.

Z obozu Sahrendey słychać odgłosy szykujących się do kolejnego ataku oddziałów.

Wtedy w lewy bark trafia chłopaka strzała.

I słychać tętent, ziemia drży, Key’la kątem oka widzi jeźdźców, dziesięciu, może więcej, srebrne kolczugi, wysokie hełmy, jeszcze dwóch strzela z łuku, ale tym razem jej „brat” jest przygotowany, robi unik, potem dwa szybkie kroki ku Key’li. Kładzie jej jedną rękę na głowę, drugą dłonią chwyta drewniany drąg trójnogu. Kobieta na ziemi otwiera szerzej oczy.

Jeźdźcy pędzą, pochylają lance, za nimi na jabłkowitej klaczy siedzi jakaś postać, ciemna i jasna jednocześnie, powietrze wypełnia łoskot i zawodzenie. Duchy krzyczą, a konie zaczynają się płoszyć, zatrzymują się i stają dęba. A w niej… coś się zapada, jakby wewnątrz miała olbrzymią dziurę, która połyka wszystko wokół. Usiłuje się od niej odsunąć, ale jak odsunąć się od czegoś, co masz pod sercem? Otwiera usta w niemym krzyku: „Nie, nie, nie, nie, nie!”.

Najbliższy konny zatrzymuje się jakieś trzydzieści kroków od nich, jego wierzchowiec tkwi w miejscu na sztywnych nogach, toczy pianę z pyska; inne konie też nie chcą szarżować. Wojowników ponagla krzyk, wreszcie

zeskakują z siodeł i ruszają naprzód z szablami w ręku. Tuzin mężczyzn przeciw kobiecie i dwójce dzieci. Wszystko toczy się wolno, jak we śnie, niebo robi się coraz bledsze, coraz jaśniejsze, trawa ciemnieje, znikąd pojawia się wiatr.

Dla Key'li nie ma to znaczenia. Duchy tętnią w jej krwi. Duchy Sahrendey, duchy poległych Wozaków, dziwnie zjednoczone, snują historie, które zwalają się na nią niczym śnieżna lawina. Nie można stawić im oporu, zaprzeczyć, wywrzeszczeć niezgody, bo ich historie są prawdą wlewaną wprost w duszę.

Patrzy na leżącą na ziemi kobietę i zaczyna płakać.

Nadbiegający wojownicy są już całkiem blisko, piętnaście kroków, już unoszą szable do cięcia, na chwilę świat robi się czarno-biały.

I nagle niebo błyska, a znikąd pojawia się demon z toporem, ostrze kreśli szeroki łuk i rozrąbuje bok pierwszego koczownika, a potem, nie zwalniając, uderza w następnego. Nisko, na wysokości kolan, i noga mężczyzny oddziela się od ciała.

Otwierają się bramy chaosu. Świat wypluwa kolejne demony. Całe z czerni i cieni, otoczone tumanami pyłu, cuchnące zgniłymi jajami. A ten pierwszy walczy nadal, jego topór tnie powietrze, szukając kolejnych ciał. Demon wpada między dwóch Se-kohlandczyków, potężnym ciosem odrąbuje pierwszemu ramię, robi unik przed niezdarnym sztychem i uderza od dołu, obuchem. Twarz wojownika zmienia się w miazgę.

Koczownicy są dzielni, następni rzucają się na potwora, który odgradza się od nich szerokim, płaskim cięciem, wiruje przez chwilę w kilku szalonych piruetach, a długość drzewca nie pozwala im podejść, i wtedy śpiewają kusze. Raz, dwa, trzy… jasne kolczugi wybuchają krwawymi gejzerami, ludzie tańczą taniec śmierci, podrygują i padają na ziemię. Ostatnich dwóch Se-kohlandczyków próbuje uciec, ale pociski ścigają ich i powalają.

Koniec.

Czarny pył opadał powoli, a ona, Key'la z rodu Kalevenhów, wisiała na hakach między demonami, które spadły z nieba. Na mgnienie oka wszystko zamarło w bezruchu.

Wtedy ta jasna-ciemna postać zawróciła konia i pocwałowała w kierunku obozu Jeźdźców Burzy. W tej samej chwili Key'la usłyszała pokasływania, przekleństwa, jakiś dziwny, na wpół szalony śmiech. A demon, który

pierwszy przelał krew, odwrócił się ku towarzyszom i uśmiechnął, jego czarno-niebieska twarz zmarszczyła się w dzikim grymasie.

— Psiakrew, mam nadzieję, że zarąbałem tych, co trzeba. Ale pojawili się tak nagle, eeech… — Machnął ręką, rozsiewając w powietrzu kilka garści czarnego pyłu.

Meekh. Mówili w meekhu, zrozumiała, co więcej, chyba ich znała.

To oni prowadzili nas przez góry.

Jedna z postaci, mniejsza niż inne, podeszła bliżej. Przyjrzała jej się uważnie wzrokiem kogoś, kto przestał ufać własnym oczom. Wyciągnęła dłoń i ostrożnie dotknęła jej policzka.

— Key? Key’la?

Uśmiechnęła się tylko i pokazała w *anaho’la* „Witaj, kuzynko”. Ale Kailean nie widziała tego, patrząc na nią jak na jakieś dziwo, zbyt zdumiewające, by mogło być prawdziwe. Key’la miała wrażenie, jakby na jej spojrzenie nałożyło się spojrzenie jeszcze kogoś, coś dzikiego i obcego, i nagle dziewczyna obróciła się na pięcie i skoczyła, szabla zamieniła się w lśniący półokrąg i zamarła tuż przed twarzą Saonry Womreys.

— Co jej zrobiłaś, suko?!

Key’la spróbowała przyciągnąć wzrok chłopaka, jej braciszka, który stał między zbrojnymi spokojnie, jakby to wszystko było tylko jakimś przedstawieniem. Wydawał się ignorować strzałę, która przeszyła mu ciało tuż nad obojczykiem. On zrozumiał ją bez słów, zrobił dwa kroki i stanął między Kailean a *ueneyą*.

Na uderzenie serca wokół trójnoga zapadła całkowita cisza.

Którą przerywał szept. Tak niespodziewany, że zwracający uwagę niczym krzyk.

— Panie poruczniku, my to chyba nie jesteśmy w górach.

* * *

Jest galop na końskim grzbiecie wzdłuż wyprężonych, gotowych do walki szeregów. Jest krzyk i gwar. Jest płacz, dziwny, łamiący się płacz i ręce, które jej dotykają. Jest ziemia pod stopami, tętniąca od zgromadzonych wokół duchów, i psy, śmieszne, wielkie, czarno-szare psy kulące ogony pod siebie i posikujące ze strachu. Jest ciepło piersi, o którą się

opiera, jest krzyk i machanie rękami. Jest bieg w stronę czworobocznych namiotów, okrzyki strażników obozu, łuki napinające się na widok uzbrojonych obcych. Jest dotyk, delikatny, prawie czuły i jest nóż odcinający rzemienie. Jest ruch rodzący się między szeregami zbrojnych, które najpierw stoją jak skamieniałe, a potem chwieją się i marszczą, jakby ten krzyk był kamieniem rzuconym do stojącej wody. Konni łamią szyk, jedni wyjeżdżają naprzód, inni cofają się, niektórzy zeskakują na ziemię i pędzą do najbliższych namiotów. Jest wiszenie na hakach, czerwona mgła zasnuwająca spojrzenie i śmiech gawiedzi. Jest dłoń wyciągająca haki z ciała i dłoń wbijająca je pod skórę. Jest widok twarzy, pełnych zawziętości i gniewu. Jest krótki gest, gorączkowy rozkaz i strzały kierujące się ku ziemi. Jest zamieszanie i wieść biegnąca od namiotu do namiotu. Jest koń, klacz, piękna jak marzenie, biała jak śnieg. Jest Kailean, która wrzeszczy coś i klnie, i wyrywa się z uścisku żołnierzy. Jest farba na końskim czole i krzyk, i znów gniew i rozpacz, i pragnienie i ból, i szarpanie i koński grzbiet.

To wszystko jest naraz, jednocześnie, każda chwila, każdy obraz, nie sposób odróżnić tego, co teraz, od tego, co było, i tego, co zaraz będzie. Jedyną rzeczą stałą jest on, czarna czupryna, blade ręce, zawsze po jej lewej, otoczony kilkustopową wolną przestrzenią, jakby każdy, kto znajdzie się w pobliżu, wiedział, że nie należy się za bardzo zbliżać.

A potem jest galop przez zasnutą dymami ziemię.

* * *

Ziemia cuchnie. Do tej pory Emn’klewes Wergoreth nie wyobrażał sobie, że może cuchnąć aż tak, ale Has wywarczał tylko, że jak mu się nie podoba, to może iść w cholerę. I nikt, nawet *Boutanu* całego obozu, nie miał odwagi, by odpowiedzieć na taką impertynencję. Nie komuś, kto wyglądał jak na wpół zamarznięty trup, siny i blady, z zapadniętymi oczami i włosami obłażącymi z czaszki razem ze skórą, i z dłońmi, których palce łamały się pod byle dotknięciem.

Czarownik nie spał całą noc, podobnie jak pozostała czwórka i wszyscy ich uczniowie. Nie mogli bezpośrednio odpierać ataków Źrebiarzy, trudno kontrować kogoś, kogo się nie widzi i kto rzuca zaklęcia w ruchu. Ale mimo to próbowali. Has kładł zasłony z zimna, zamrażał burty wozów, ochładzał miejsca, które od pożaru dzieliła tylko iskra. Przepuszczał przez swoje ciało tyle Mocy, że wreszcie zaczęło się poddawać.

Ale dali im czas, on i inni czarownicy, dzięki czemu przygotowali się na ostatnią bitwę.

Emn'klewes rozejrzał się po linii umocnień. Robił obchód razem z And'ewersem, którego wszyscy uważali za jego zastępcę. Nocą kowal dowodził na odcinkach atakowanych przez Sahrendey i ludzie już opowiadali sobie o zimnej furii And'ewersa i stertach trupów, które padły pod ostrzem jego topora. Oraz o tym, jak osobiście poprowadził sześć kontrataków. Zazdrościł mu tych przywilejów. *Boutanu* miał prawo stanąć osobiście do walki dopiero na ostatniej linii obrony. Wcześniej powinien trzymać się z daleka od bezpośrednich starć.

Zrezygnował z aktywnej obrony trzech zewnętrznych linii. Za każdym razem, gdy przychodził na nie atak, cofali się, pozwalając, by wróg je spalił, a potem walczyli na następnej. Gdy koczownicy wycofywali się i czekali, aż żar na powrót rozgrzeje burty, by łatwo było je podpalić, także kazał się cofać. Taka była rola płatków Martwego Kwiatu, spowolnić wroga, zmęczyć jego szamanów, zmusić do tracenia czasu. A raczej dać czas obrońcom.

Od czwartej linii umacniali wozy ziemią. Kopali przed nimi rowy, narzucając urobek na burty, aż tworzyła się rampa, ponad którą wystawała tylko górna część pojazdów. Żeby suchy pył, zwany w tej okolicy ziemią, nie spadał w dół pod byle podmuchem wiatru, należało go jednak zwilżyć.

Jaką wilgoć może ofiarować trzydzieści tysięcy ludzi, którzy liczą każdy łyk wody?

Przez całą noc kazał się wszystkim wypróżniać do specjalnie przeznaczonych na ten cel beczek. Kazał też zbierać koński nawóz. Wysuszony, palił się doskonale, ale świeżego ogień nie chciał się imać.

Chronione w ten sposób linie obrony cuchnęły niemiłosiernie.

Ale istniała szansa, że wozaccy czarownicy będą mogli odpocząć, bo strumienie gorąca słane przez Źrebiarzy nie szkodziły ziemi.

Jeśli można to było nazwać ziemią.

Lecz patrząc na Hasa, wiedziało się, że jeśli stary czarownik położy się spać, to już nie wstanie. Na nogach trzymała go tylko wściekłość, złośliwość i upór. Oraz chęć zabicia jak największej liczby Sahrendey.

A zabili ich już trochę. Obie strony walczyły odważnie i dziko, choć po tych przeklętych mordercach spodziewał się większej zaciętości. Ale

dopiero dzień miał przynieść prawdziwą walkę.

Boutanu nie liczył na zwycięstwo, które odnieśliby tylko wtedy, gdyby wykrwawił Se-kohlandczyków tak mocno, że ci zrezygnowaliby z oblężenia. Jeśli jednak udałoby mu się utrzymać obóz do nocy, mieliby szansę na pomoc. Obóz Aw'lerr powinien już się oderwać od gór i wędrować w ich stronę. Jeśli…

Przerwał te jałowe rozważania i prawie się roześmiał. Jego ludzie wędrowali pół dnia, a drugie pół i całą noc walczyli. A szczerze wątpił, by koczownicy zaangażowali w ataki więcej niż piątą część swoich sił. Błyskawice nie błysnęły nawet szablami, Sahrendey rzucali do ataków oddziały po tysiąc ludzi, nawet Danu Kredo zachował pewnie jeszcze z dziesięć tysięcy konnych. To nie będzie równa walka. A odsiecz? Czy Yawenyr jest głupcem? I gdzie są inni Synowie Wojny? I ilu jeźdźców potrzeba, by zmusić karawanę do okopania się?

Nie będzie odsieczy.

To były dziwne, gorzkie i cyniczne myśli, lepkie jak smoła i podobnie spowalniające. Uśmiechnął się do nich i splunął, żeby nie marnować wilgoci, prosto do jednej ze specjalnych beczek. Jeśli tak, jeśli nie będzie odsieczy, to trudno. Koczownicy będą płakać przez następne sto lat, wspominając bitwę przed brodem Lassy. A Sahrendey na samą myśl o niej będą szczać po nogach.

Wskoczył na barykadę, obserwując przedpole. Dym z dopalających się wozów zasnuwał okolicę, siny tuman ograniczał widoczność do kilkudziesięciu jardów. Na szczęście czarownicy twierdzili, że za kwadrans albo dwa powietrze się ruszy.

I wtedy powinno się zacząć.

Ten płatek składający się z kilkudziesięciu pojazdów ustawionych w półokrąg był najbliżej obozowiska Sahrendey. Odparł już jeden atak i *Boutanu* spodziewał się, że właśnie tu pójdą następne. Już poważniejsze. Sam właśnie tu przeprowadziłby pierwszy szturm, bo wystawali trochę za bardzo na zewnątrz. A oni nie będą się już cofać.

Zobaczył ruch przed sobą.

Dwóch wysłanych na zwiad Wozaków ciągnęło właśnie po ziemi jeńca.

Z jego piersi sterczały drzewca dwóch strzał, ułamane tuż przy ciele, ale ranny dawał jeszcze oznaki życia. Zwiadowcy dotarli do barykady, na

pomoc wyskoczyło im kilku innych wojowników i raz-dwa przerzucono koczownika górą w krąg wozów. Nawet nie jęknął.

— Mów — Emn’klewes zwrócił się do starszego ze zwiadowców.

— Tamte dwa Liście jeszcze stoją. Stracili część wozów i zawęzili krąg, ale się trzymają. Od północy rzadko ich atakowano.

— A moje rozkazy?

Mężczyzna uśmiechnął się lekko, zmęczonym gestem przecierając oczy.

— Dowódca Liścia kazał mi je sobie wsadzić w rzyć. Nie po to, mówi, bronił się tyle czasu, żeby teraz oddać im wozy za nic. Zostali.

— Wszyscy?

— Żaden nie chciał wrócić.

Właściwie mógł się tego spodziewać. Załogi wozów bojowych niechętnie opuszczały swoje pojazdy.

— Powiedział jeszcze, że osłoni nas, jak długo się da. Mają na widoku obóz Sahrendey, sucze syny od świtu szykują się do głównego ataku.

— Widziałeś to?

— Tak. Chyba wszyscy wyleźli na przedpole. Ze dwadzieścia tysięcy.

— A on? — Wskazał rannego.

— Znaleźliśmy go jakieś sto jardów stąd. Jeszcze dychał.

— Powie nam coś więcej niż ty?

— Chyba nie.

Boutanu popatrzył na jeńca. Młody, dwadzieścia parę lat, czarna broda, wysoko podgolone włosy, skórzany pancerz z charakterystycznymi tłoczeniami. Glyndoi, rodzinne plemię Amanewe Czerwonego.

Ciekawe, czy patrzył, jak mordowali wozackie dzieci?

— Zajmijcie się nim — powiedział głośno.

Nie musiał ich zachęcać. Najpierw dwóch, potem trzech, aż wreszcie kilkunastu ludzi otoczyło leżącego, a potem wzniosło broń. Uderzyli jednocześnie.

Emn’klewes Wergoreth powiódł spojrzeniem po twarzach. Kamienne miny, beznamiętne spojrzenia. Taka jest nasza zemsta, pomyślał. Gdy idziemy do bitwy, płonie w nas ogień, ale gdy mamy wroga przed sobą, jesteśmy jak odlane z brązu posągi. Zimni i obojętni. Tradycja: nie mów

o uczuciach, nie pokazuj ich, twarz to maska na duszę, zwłaszcza gdy patrzą inni. Gdyby nie *av'anaho*, nasze kobiety nigdy nie usłyszałyby…

Tętent. Jeden koń. W ciszy, jaka zaległa nad polem bitwy, odgłos kopyt niósł się daleko. Konny jechał najpierw galopem, potem kłusem, wreszcie stępa, i ciągle się zbliżał. Kilku najbliższych Wozaków oparło kusze o burty, mierząc w niewyraźną sylwetkę.

Z dymu wyłoniła się Bogini.

Boutanu otworzył usta i zamarł. W ich stronę jechała śnieżnobiała klacz ze złotą gwiazdką na czole. Jechała spokojnie, bez lęku, a dosiadający ją jeździec nie miał siodła ani wędzidła.

Laal.

Usłyszał zamieszanie za plecami, krótki gwar, skrzekliwy głos Hasa, przypominający odgłos kruszącego się lodu. Nieważne. Przez chwilę, na kilka uderzeń serca, Emn'klewes znalazł się między Białymi Kopytami, w cieniu Jej Chrap.

Zwątpiłem… Wybacz mi Pani.

A potem było tak, jakby ktoś wylał mu na głowę całą beczkę zimnej wody.

Boutanu dostrzegł, że jeźdźców na grzbiecie jest dwóch, a obok konia, zwykłej siwej klaczy, biegnie jeszcze ktoś, że boki zwierzęcia plami zwykła krew, jego grzywa wcale nie jest taka biała, jak powinna, a gwiazda na czole rozmazuje się w niekształtny kleks. Że to parszywy, cholerny, przeklęty podstęp, by podjechać blisko wozów, drwina z ich wiary i wystawienie jej na pośmiewisko.

Złapał najbliższego kusznika za rękę, wyrwał mu broń, widziany znad krawędzi bełtu jeździec był tylko zwykłym śmiertelnikiem.

Jakaś siła poderwała mu kuszę w górę, pocisk pomknął w powietrze.

And'ewers. Stał i patrzył, a usta poruszały mu się dziwnie.

— Key'la — szepnął.

* * *

Jest galop przez dym, są siwe tumany układające się w dziwne kształty ludzi, zwierząt, bestii. Jest kopyto, wielkie jak góra, siwa klacz objeżdża je po łuku, choć jej jeździec zdaje się tego nie zauważać. Jest gigantyczny

miecz wbity w ziemię i grupa czwororękich stworzeń, które stoją i patrzą. Macha im ręką.

Jest smród. Zapach kupy i moczu, jest linia wozów na wpół zasypanych jakimś błockiem i setki gapiących się na nią twarzy.

Jest spokój. Jest wypalenie. Jest cisza.

Stoją. Ich trójka, kobieta, której kiedyś nienawidziła, chłopak, który nie mówi, i ona, Key'la Kalevenh, która ma coś do zrobienia.

Duchy tańczą wokół i pokazują jej obrazy.

Obóz Sahrendey ogarnięty chaosem.

Setki, tysiące ludzi tulących się do rzeźbionych słupów.

Amureh Womreys siedzi na koniu z toporem w ręku, twarz mu drży.

Jasnowłosa niewolnica klęczy na ziemi i wznosi dłonie w niemej modlitwie do swojej bogini. Płacze.

Krzyk. Coraz głośniejszy. Wrzeszczy jeden człowiek, mężczyzna walący głową o słup namiotu, aż krew zaczyna plamić drewno. Ten krzyk niesie się, podchwytują go inni, ktoś wyciąga nóż i tnie się szeroko przez policzek, krew tryska na ziemię.

Duchy są zadowolone. Taka rozpacz wygina obręcz świata. Nad obozem Sahrendey niebo wydaje się zapadać.

Jest krzyk od strony wozów. Jeden z nich zostaje wyrwany z linii. Wjeżdżają do środka.

Twarze. Mężczyźni i kobiety. Twarze smagłe, piękne dziką urodą, poważne i groźne. Jest broń w wielu dłoniach.

Jest cisza.

I ruch, który przyciąga uwagę, twarz ojca, wychudzona i dziwna, nie pamięta, żeby miał aż tyle siwych włosów.

Nie pamięta, żeby kiedykolwiek płakał.

Jest nagłe drżenie przebiegające przez tłum i dziesiątki wyciągających się ku niej dłoni. Nie, nie ku niej, tylko ku jadącej z nimi kobiecie. Ktoś łapie ją za nogę, ktoś ciągnie z drugiej strony, próbując zrzucić z konia, miecze i topory zaczynają swój taniec, niektóre ostrza wciąż plami krew.

Jest w końcu nabieranie tchu i ból.

— Nieeeeeeee!!!

Wrzask jak nie z jej gardła, potężny i szalony, klacz parska i obraca się, odpychając ludzi i tworząc wolną przestrzeń.

Jest nagły bezruch, gdy wszystko zastyga.

Jest szept, ledwo wydyszany, ale skądś wie, że słyszą ją wszyscy wokół.

— Powiedz im… powiedz, jak się nazywasz.

Jest cisza i odpowiedź, która łamie w niej wszystko.

— Nie.

Jest zdumienie i ból. Spojrzenie w tył, na twarz kobiety, i spojrzenie w miejsce, na które ona patrzy.

Jest smutek i jęki duchów, które ten smutek wyczuwają. Jest ciało leżące na ziemi, zmasakrowane dziesiątkami ciosów, jest młoda, brodata twarz zastygła w bólu.

Jest głos Saonry Womreys.

— Nie. Nie powiem. Nie teraz. Powiem, jak on się nazywał. Garwen Mowers z klanu Zielonego Orła. Miał dwadzieścia siedem lat. Był dobrym mężem i ojcem, doskonałym wojownikiem.

Jest cisza, jeszcze większa niż poprzednio, cisza absolutna.

— Gdy był chłopcem, lubił biegać za źrebakami i jeść placki owsiane. Matka nazwała go Der’koners, po dziadku. Der’koners z rodu Manelehów.

Jest coś, jakby wiatr, który zrywa się z tego miejsca i pędzi we wszystkie strony. Jest pytanie, czy wiedza może łamać ludzi? Czy może zginać ich wpół, odbierać oddech, rozwierać dłonie zaciśnięte na rękojeściach broni, uginać kolana, malować twarze bielą?

Jest świadomość, że kilku Wozaków wskakuje na barykadę i używając *anaho’la*, przekazuje wieść dalej.

Jest wiedza, że na kolejnych Liściach pojawiają się następni Verdanno, a wieść mknie dalej i nic już jej nie powstrzyma.

Kobieta nabiera tchu i zaczyna mówić:

— Gos’maner z rodu Cedewarów, zabity strzałą, Kan’dsar z Velenihów, toporem, Zaf’eroh z Bolunów, mieczem, Jow’li…

Imiona płyną nieprzerwanie, a każde jest kamieniem przygniatającym barki otaczających ją ludzi. Rozchodzą się falą gestów mowy niskiej, a razem z nimi, jak pożar na stepie, rozchodzi się świadomość. Tam, gdzie imię trafia w odpowiednie miejsce, kolana stykają się z ziemią, a z piersi

wyrywa jęk. Bo *anaho'la* w swojej oszczędności zawsze mówi więcej, niż wydaje się na pierwszy rzut oka.

„Nasze dzieci".

„Zabijamy nasze dzieci".

Jest cisza i głos, który wymienia imiona wszystkich Wilków poległych w atakach na Martwy Kwiat. Pierwsze imiona.

Jest też twarz ojca, boleśnie bliska i daleka jednocześnie. Jakby Key'la patrzyła na dwóch ludzi, potężnego kowala, łamiącego podkowy w ręku, i starca z oczami pełnymi łez. Widzi prośbę w tych oczach i wie, że musi ją odrzucić.

— To prawda. Nazywaliście ich Brodaczami, pamiętasz? — Key'la szepcze. — Sahrendey. Gdy jeszcze uważaliście ich za przyjaciół. Wymienialiśmy z nimi krew, konie, stada. Wymienialiśmy opowieści i żarty. Mówiliście Brodacze, a oni mówili Młokosy. Nasi mężczyźni noszą długie włosy, zawsze gładko się golą, Oni noszą krótkie włosy i brody. Nasze kobiety ścinają włosy i prawie się nie malują. Nie wypada. Ich zapuszczają włosy przez całe życie i od dziecka używają barwiczek do twarzy. Noszą kolczyki w uszach. Widziałam to na hakach, gdy przyszły do mnie duchy.

Wydaje się, że imiona płyną niekończącym się strumieniem. Jest wiedza, że to nieprawda.

— Ogól go — wskazuje ojcu martwego jeńca — i dodaj dłuższe włosy. Umyj jej twarz i obetnij włosy do ramion. Zobaczysz mojego brata i moją siostrę.

Imiona się kończą, było ich ponad dwieście, może trzysta, reszta to ranni, których los w ręku Laal.

Jest cisza. Kolejna cisza, kolejny stopień.

I pytanie, które musi paść.

— Dlaczego? Dlaczego z nami walczycie?

— Powiedzieli im… — Key'la uśmiecha się i wie, że tak naprawdę to duchy uśmiechają się przez nią. — Powiedzieli Sahrendey, że Ojciec Wojny kazał wam oddać większość koni, bo potrzebował wierzchowców w miejsce straconych w Imperium. A wy odmówiliście, zamordowaliście posłów i uciekliście na zachód.

— Żeby chronić swoje konie… — szepcze Saonra Womreys i jest w tym szepcie takie poczucie zadawnionej krzywdy, że niebo zdaje się pękać. —

Powiedzieli, że zostawiliście nas i uciekliście, by chronić swe konie.

— Nam powiedzieli — wyrywa się ktoś z boku, a Key'la, choć zna tę historię, bo duchy wciąż śpiewają w jej żyłach, wie, że to musi zostać powiedziane — że Yawenyr zaczął podejrzewać sojusz między Sahrendey i nami, więc kazał im zabić nasze dzieci, by udowodnili lojalność. A oni… je zabili.

Jej siostra pochyla twarz. Szepcze.

— Bo kazał… Sahrendey… naradzali się przez trzy dni i trzy noce. Żyliśmy między nimi przez kilka lat, jako goście, a nie zakładnicy. Sami stracili większość młodzieży w czasie wojny, traktowali nas jak własne dzieci. Ale nie mieli dość sił, by nas obronić… Lecz jak ukryć osiem tysięcy dzieci, które nie jeżdżą konno? Jak oszukać szpiegów Ojca Wojny? Zaryzykowali wszystkim, co mieli. Gdyby Yawenyr się dowiedział…

Unosi głowę i uśmiecha się szaleńczo.

— Potem przyszedł do nas Amanewe Czerwony i zapytał, co postanowiliśmy. Zapytał dzieci, z których najstarsze miało dwanaście lat, czy ma zaryzykować istnieniem swojego ludu, by je ocalić. Dzieci, które czuły się zdradzone i oszukane, które nienawidziły swoich rodziców jak nikogo na świecie. Och, byłam przy tym. Jako dziecko byłam przy tym, jak mój przyszły mąż przeklął własnego ojca, wyrzekł się imienia i wskoczył na koński grzbiet, by przybrać nowe. Gdy przyszli se-kohlandzcy posłańcy, zobaczyli świeżo skopaną ziemię przesiąkniętą krwią i wszystkich w obozach jeżdżących konno. To wystarczyło.

Opowieść rozchodzi się po obozie krótkimi zdaniami mowy niskiej. *Anaho'la* nie jest przeznaczone do takich historii, to język komend albo plotek przekazywanych sobie w czasie wędrówki, gdy nie warto zdzierać gardła. Ale działa. A jej siostra znów szepcze:

— Nienawidziliśmy was jak zarazy. Całe lata. Marzyliśmy, że gdy przyjedziecie, to spalimy wasze wozy, zabijemy konie i stojąc nad ich truchłami, wykrzyczymy własne imiona. Ale czas mijał, a wy nie wracaliście. Nienawiść stygnie, niewielu jest takich, którzy potrafią ją pielęgnować bez końca. Dorastaliśmy, zakładaliśmy rodziny, walczyliśmy i zabijaliśmy w ich obronie. Rodziły się nam dzieci, których śmiech wytapiał z serc żal. Pozostała pustka. Nawet gdy wróciliście… gdy wjechaliście na wyżynę… nienawiść i złość powróciły, lecz na krótko. Gdybyście zawrócili i znów uciekli, nie ścigalibyśmy was. Walczyliśmy z wami, ale bez tego gniewu,

jaki spodziewaliśmy się znaleźć. Ale jak… jak mieliśmy powiedzieć, że to my? I komu mieliśmy to powiedzieć? Tym, którzy wybrali własne konie zamiast własnych dzieci? Nawet jak nie ma gniewu, pozostaje duma.

Key'la czuje dotyk na karku. Saonra kryje twarz w jej włosach.

— A ona tam wisiała… Mój mąż zabrał ją z obozu Danu Kreda, taką małą i taką dzielną, walczyła, nawet jak miała związane ręce… A potem próbowała uciec, pewnie by was ostrzec, i złapali ją, i powiesili na hakach. Powiedzieliśmy, trudno, nie nasza sprawa, i tak zaraz zacznie szlochać i błagać o strzałę… Sama jest sobie winna.

Coś gorącego spływa jej po karku.

— Wisiała tam tak długo, aż rodowe duchy Sahrendey przyszły do niej. Były ciekawe, kogo wychowało Imperium. Ciekawe, czy płacze nad grzechami swoich przodków. Chciały zobaczyć jej ból. A potem… zaczęła się walka i przyszły wasze duchy, poległych wojowników, i coś się zamieniło. Nie wszystkie odchodzą do Domu Snu, te, które mają coś ważnego do zrobienia, zostają… I po raz pierwszy, odkąd opuściliście wyżynę, duchy Sahrendey i Verdanno spotkały się w jednym miejscu. Pod trójnogiem, na którym umierało dziecko. A my patrzyliśmy i dziwiliśmy się, czemu jeszcze nie błaga o łaskę. Ale też patrzyliśmy i widzieliśmy siebie sprzed lat, opuszczonych i skazanych na śmierć. Więc nawet zaproponowaliśmy jej pomoc… żelazny grot na długim drzewcu. A rodowe duchy nie przychodziły do rzeźbionych słupów, choć czekaliśmy. I znów rodził się w nas gniew. A ja pojechałam pod ten trójnóg, by dać jej odpocząć. Przepraszam… przepraszam… przepraszam…

Więc po to był jej wtedy nóż, Key'la uśmiecha się i porusza ręką. „Nic się nie stało".

— Dotknęłam jednej z żerdzi i one do mnie przyszły. Duchy. I pokazały mi prawdę.

Prawdę? Tłum dookoła gęstnieje. Ludzie ciągną z sąsiednich płatków, przeskakują przez wozy, idą chwiejnie, jak w pijackim oszołomieniu, mężczyźni i kobiety, głównie ci, którzy pamiętają Krwawy Marsz. Jest w nich jakaś kruchość i bezradność, oczy mają puste, twarze bezbronne.

— Kto…? — dobiega z boku ochrypły głos. — Kto nam to zrobił?

Jest śmiech. Dziwny śmiech, trochę dziki, trochę szalony, i słysząc ten śmiech Key'la wie, że nie tylko przez nią przemawiają duchy. *Ueneya* jest prawdziwą Rozmawiającą z Przodkami.

— Kto nosi przydomek Lisa Stepów? Komu Złoty Namiot chwiał się nad głową po klęsce pod Meekhanem? Kto bał się, że Ojciec Pokoju zażąda zwołania Wielkiego Wiecu? Komu wodzowie plemion skakali do gardła i grozili rozerwaniem końmi? Kto poniósł klęskę i zostawił pięćdziesiąt tysięcy trupów gnijących pod miastem. Nie było łupów, niewolników, bydła ani koni, a skąd je wziąć? On nie miał pewności, czy Verdanno i Sahrendey tak naprawdę spiskują przeciw niemu, ale co z tego? Przez kilka lat odbudowaliście swój majątek, a on potrzebował waszych stad i tabunów, złota i srebra, uprzęży, broni, dobytku… Potrzebował zwycięskiej wojny, która odwróci uwagę od klęski w Imperium. Ale nawet on nie mógł po prostu uderzyć na wyżynę bez powodu. Co innego, gdyby Verdanno podnieśli bunt…

Głos cichnie.

— Jednym rozkazem, jednym kłamstwem ocalił władzę, dał zwycięską wojnę swoim Synom, zdobył wasze bydło i konie, a co najważniejsze, zdobył też ziemię. Mógł obdzielić niezadowolone plemiona żyznymi pastwiskami, mógł przesunąć Sahrendey na północ, dalej od siebie, mógł wbić klin między przyjaciół. Czy wiecie… że nawet teraz nasze duchy czują dla niego podziw?

Jest ruch. Ktoś przepycha się przez tłum. Kobieta. Stara, z włosami w nieładzie, z twarzą poznaczoną świeżymi pręgami po paznokciach drapiących do żywego mięsa. Jest spojrzenie pełne obłędu.

Kobieta idzie chwiejnie, zatacza się, a wszyscy usuwają jej się z drogi. Dociera na miejsce i klęka. Przez chwilę starcze dłonie gładzą twarz martwego jeńca.

Odwraca się wreszcie i przesuwa spojrzeniem wokół, a ci, których broń znaczy świeża krew, bledną. Staruszka podchodzi do najbliższego i pewną dłonią sięga po jego *kavayo*.

Jest zdziwienie, gdzie szmer potępienia?

Uzbrojona w nóż, którego nie ma prawa dotykać, odwraca się i wychodzi przez dziurę w barykadzie.

Znika w dymie.

Jest cisza.

I chrząknięcie.

— Sama wszystkich nie zabije — mówi *Boutanu* stłumionym głosem.

— Wiem. — Jej ojciec nie mówi, tylko sapie i patrzy jakoś tak dziwnie, zaciskając dłonie w pięści. — Gdzie *Lamerei*?

— Tu.

Awe’aweroh Mantoru pojawia się w polu widzenia, skurczony, mniejszy niż zwykle.

— Ile mamy rydwanów?

— Z tysiąc. Może mniej. Ale woźniców nie więcej niż na połowę. Traciliśmy więcej ludzi niż koni.

— Nee’wa!

Jest starsza siostra w skórzanym pancerzu i hełmie, z łukiem w dłoni. Z ich trzech najlepiej radziła sobie z tą bronią. Jest nieśmiałe dotknięcie i drżenie warg.

— Ile z was potrafi powozić rydwanem?

— Czterysta.

Jest zrozumienie i cichy śmiech w duchu. To robiła Druga, gdy znikała na postojach. Uczyła się z innymi dziewczętami zakazanych wojennych sztuk. Jest podszyta rozbawieniem ciekawość. Czy nosi też *kavayo*?

— Pojedziecie?

Jest spojrzenie w oczy siostry i zdumienie, że tak można się zmienić w ciągu kilku tylko dni.

— Gdzie rydwany?

Jest ruch wokół, ale ludzie nie wracają na swoje miejsca, tylko wychodzą przed Martwy Kwiat. Coraz więcej i więcej, płatki pustoszeją i wydaje się, że ta ludzka rzeka nigdy się nie skończy. Jest wiedza, że wieść o starej kobiecie idącej z nożem pomścić syna rozeszła się już po obozie i ludzie ruszyli jej śladem. Jest wiedza, że nikt i nic ich teraz nie powstrzyma.

— Podziw, mówisz…

Jest zdziwienie, że ojciec może mieć taki głos. Czarny, czarny głos.

Jest dotknięcie i zdejmowanie jej z konia. Jest przytulenie do szerokiej piersi.

— Położę ją w bezpiecznym miejscu, a potem pokażemy ci, dziecko, co znaczy nasz podziw. Powiesz mi, jak nazwali cię rodzice?

— Sae’wa Maweronh.

— Znałem twoją matkę. Masz jej oczy. Czy zaczekasz tu na mnie, bym mógł z tobą pojechać do waszego obozu?

— Tak.

A potem ojciec odnosi ją na rękach.

Obok nich jest on, na którego prawie nikt nie zwraca uwagi, jej brat, opiekun, strzecha ciemnych włosów i chude ramiona.

Jest wóz mieszkalny i wąskie łóżko.

Jest dotknięcie twarzy.

Uśmiech, jak skrzywienie warg po wyrwaniu zęba.

Szept.

— Przepraszam, córeczko.

Jest rozbawienie, że dziś wszyscy dorośli chcą ją przepraszać.

— Będziesz tu bezpieczna, dopóki nie zakończymy… tego. Zostawię ci lampkę.

Jest trzaśnięcie drzwiami i małe światełko rozjaśniające mrok wozu.

Są duchy.

Rozdział 11

W obozie koczowników panowało zamieszanie. Kenneth miał wrażenie, że jego żołnierze są jedynymi ludźmi, którzy nie biegają w koło, nie krzyczą, nie modlą się i nie przeklinają. Stali na skraju potężnego miasta namiotów, grupka zmęczonych żołnierzy i psów, wysepka spokoju w morzu chaosu. Najwyraźniej ta dziwna kobieta, która zabrała ranną dziewczynkę, miała sporą władzę, bo kilka jej słów wystarczyło, by nikt nie próbował naszpikować ich strzałami.

Przed nimi rozciągało się pole bitwy. Zryta kopytami ziemia, kręgi po spalonych wozach, olbrzymi obóz na wzniesieniu.

Wozacy.

Porucznik przestał się już czemukolwiek dziwić.

Spojrzał na Kailean. Mogli już ją puścić, choć nadal nie dostała broni. Daghena stała obok z miną sugerującą, że nie jest jeszcze do końca pewna, kogo trzeba lać, ale lepiej nie wchodzić jej w drogę. Ich jasnowłosa towarzyszka wyglądała jak trup.

Szósta Kompania trzymała się trochę lepiej. To byli wessyrscy górale, których trudno złamać i którzy służąc w Górskiej Straży, widzieli już na oczy naprawdę różne rzeczy.

Znaleźliśmy się w miejscu, gdzie słońce nigdy nie wschodzi ani nie zachodzi? Trudno, to był po prostu bardzo długi dzień.

Widzieliśmy rzeczy, które zwykłych ludzi wpędziły w obłęd? Bez przesady. Zobaczyłbyś, co potrafią zrobić aherscy szamani, kiedy się wkurzą.

Wyszliśmy stamtąd wprost na pole bitwy między Wozakami a Se-kohlandczykami, bogowie wiedzą jak daleko od gór?

No to co? Jeszcze mamy broń w ręku, prawda?

Jeśli bogowie kiedykolwiek będą szukać czegoś twardszego niż diament, niech użyją wessyrskiego ducha.

Tylko Fenlo Nur miał taką minę, jakby nie wiedział, czy spróbować uciekać, czy udawać, że nic się nie stało. Postanowił na razie go zostawić. Dziesiętnik będzie musiał sam sobie poradzić z tym, co zrobili, oraz podjąć decyzję, czy zostaje z kompanią. Gdyby znikł, wpisanie go na listę strat będzie drobnostką.

Rozejrzał się. To nie był zwykły chaos. W miarę jak się przyglądał, z bezwładnego ruchu w obozie wyłaniał się pewien porządek. Z głębokich szeregów jazdy, stojących przodem do pola bitwy, wypadali koczownicy, czasem pojedynczo, częściej w całych grupach, i znikali między namiotami. Widział, jak wchodzą do środka i po chwili wychodzą. Już inni, odmienieni, z twarzami bladymi jak płótno, pokrytymi potem, niektórzy z dłońmi trzymającymi broń tak, jakby nie wiedzieli, co z nią zrobić. Podchodzili chwiejnie do swoich koni i zajmowali miejsce w szyku. W pewnej chwili przed frontem przejechał oddział kawalerii pod barwionym na czerwono buńczukiem. Jego dowódca wrzeszczał coś i wymachiwał rękami, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

— Coś się tam dzieje, panie poruczniku. — Velergorf wskazał obóz Verdanno.

Rzeczywiście, działo się. Spomiędzy wozów wyłaniała się armia, jeśli można to tak nazwać, bo na pierwszy rzut oka Wozacy wyglądali jak zwykła tłuszcza, przemieszana bez ładu i składu. Szli linią szeroką na jakieś ćwierć mili, coraz głębszą i głębszą, w miarę jak kolejne grupy opuszczały swoje pozycje. Nie, Kenneth musiał oddać im sprawiedliwość, jednak był w tym jakiś ład, z zewnętrznych linii obrony wyciągano wozy i ustawiano je na flankach, tym razem najwyraźniej ludzie mieli je pchać, przód obrósł murem tarcz, najwyraźniej ktoś tam jednak dowodził.

Ale to i tak było głupie. Rezygnować z obrony za wieloma barykadami i wychodzić w pole przeciw jeździe?

Na spotkanie Wozaków stawała armia konna. Prawdziwa armia, podzielona na wyraźne oddziały, w kilku głębokich liniach, z centrum błyszczącym stalą i bokami chronionymi przez masę szaroburej lekkiej jazdy.

— Błyskawice. — Starszy dziesiętnik prawie wypluł to słowo.

Tak. Wozacy wychodzili przeciw jeździe w tym, do cholery, przeciwko co najmniej dziesięciu tysiącom Jeźdźców Burzy. Czy oni całkiem oszaleli?

* * *

Siedzący w siodle starzec uśmiechnął się szeroko.

To było to! Tego właśnie szukał w czasie bitwy. Jeszcze godzinę temu spodziewał się, że czeka go mozolne zdobywanie jednej linii wozów za drugą, krwawe szturmy, czary wstrząsające niebem, a wszystko równie ekscytujące, jak próba zapłodnienia brzydkiej i niekochanej żony. Zamykasz oczy i robisz swoje, bo tak trzeba. Nie było w tym piękna ani lekkości, tylko ciężka robota, jak rozwalanie kamiennego muru dwudziestofuntowym młotem. Ale teraz? Te wozackie kundle opuszczały swój obóz i, na Pana Burz, szykowały się do ataku!

Gdzieś z boku ich olbrzymiej formacji turkotały rydwany – nic więcej niż kielich wina na zakończenie wspaniałej uczty. Na to czekał: coś, co złamie rutynę przewidywalnych poczynań na polu bitwy, co zamieni ją w szybki, pełen finezji pojedynek, jak taniec dwóch uzbrojonych w szable wojowników w Kręgu Młodych. Yawenyr czuł się prawie jak sześćdziesiąt lat temu, gdy na czele tysiąca jeźdźców stawiał czoła trzy-, czterokrotnie liczniejszym oddziałom. Już szukał wzrokiem słabych punktów w formacji wroga, szerokiej na ćwierć mili i przez to podatnej na frontalny atak. Boki chroniły wozy toczone przez ludzi, ale jeśli zdołają zarzucić na nie liny i wyrwać je z szyku, wnętrze wrogiej armii otworzy się na szarże Jeźdźców Burzy jak rozbity ul na atak głodnych szerszeni. Rydwany na prawym skrzydle zostaną zatrzymane przez konnych łuczników, którzy właśnie szykowali się do walki. Wojownicy Danu Kreda będą mogli zdobyć jeszcze więcej sławy.

Sahrendey stali do tej pory spokojnie, Verdanno kierowali się wyraźnie na wojska Yawenyra. Dobrze. Wysłał już gońców do Amanewe, by gdy tylko pojawi się luka między wrogą armią a opustoszałym obozem, wjechał w nią i zaatakował Wozaków od tyłu.

A dowódcy Verdanno za ten pokaz głupiej odwagi da, czego chce. Oceniał jego siły na dwadzieścia, może dwadzieścia dwa tysiące ludzi, z czego zapewne połowę stanowiły kobiety. To będzie krótka bitwa, wspaniałe preludium do zwycięskiej wojny. Skrzydła Jeźdźców Burzy stały już gotowe na przedpolu.

Teren między obiema armiami był w miarę równy, dwa kręgi po spalonych mniejszych obozach nie będą przeszkodą dla konnicy. Źrebiarze wciąż rzucali czary, jeden z nich właśnie zatrzymał się kilkaset jardów przed Wozakami i spalając końskiego ducha, zaczerpnął Mocy. Trawa wokół

niego zaczęła się marszczyć od gorąca, lecz nagle z ziemi wyskoczyły mroźne wstęgi, które rosnąc spiralnie, owinęły się wokół szamana i zamknęły go w półprzezroczystej klatce. Uwolniony czar musiał zmieścić się w zamkniętej przestrzeni, gorąco naparło na lód, stopiło go w najsłabszym miejscu i wyrwało się w górę, przez kilka chwil tworząc dziwaczny gejzer, połączenie pary i lodu. Wreszcie całość rozpadła się, nie wytrzymując wewnętrznego ciśnienia, kawałki lodu rozprysły się na wszystkie strony, odsłaniając jeźdźca i konia ugotowanych żywcem.

Starzec uśmiechnął się kwaśno. Czary, cenił je jako środek do osiągnięcia celu, i jednocześnie pogardzał nimi, za bezduszne okrucieństwo. Tak czy inaczej po całonocnych atakach wozaccy czarownicy powinni być zmęczeni, choć jak widać, potrafili jeszcze kąsać. Postanowił nie ryzykować utraty kolejnych szamanów, tym bardziej że gdy dojdzie do walki wręcz, używanie czarów stanie się bezużyteczne. A wojownicy zawsze wyżej cenili bitwy wygrane stalą niż Mocą.

— Wycofać Źrebiarzy, niech się skupią na obronie przed wozackimi czarownikami — rozkazał, a goniec pomknął na przedpole.

Verdanno ruszyli, spokojnie i równo.

Doskonale, niech zacznie się taniec.

Jego niewolnica ciągle nie wracała. Miała w sumie trochę racji z tym węzłem, w ciągu godziny wszystko się zmieniło, ale kara za to, że zwlekała z powrotem, nie ominie jej.

Lecz to już po bitwie.

* * *

Jest ciemność i cisza. Jest poczucie spokoju. Jest ciało leżące obok i uzbrojona w pazury dłoń wędrująca po twarzy.

Nie ma bólu. Nawet śladu.

Są obrazy rozbłyskujące pod powiekami.

* * *

Atak Błyskawic wyglądał imponująco. Jechali niepowstrzymaną falą żelaza i stali, powiewając proporcami, na świetnych koniach okrytych skó-

rzanymi pancerzami. I choć w pierwszym ataku szło nie więcej niż tysiąc konnych, to drżenie ziemi docierało aż do obozu Sahrendey.

Na prawym skrzydle Verdanno lekka jazda pędziła już w stronę rydwanów, szyła z łuków, zawracała i znów atakowała, próbując najwyraźniej sprowokować je do szarży. Rydwany osłaniały bok maszerującej kolumny, ale nawet ktoś, dla kogo bitwa kawalerii była nowością, wiedział, że jeśli dadzą się odciągnąć od sił głównych, to raz-dwa zostaną otoczone i wystrzelane. Na razie ich załogi odpowiadały tylko równymi salwami i trzymały pozycję. Kurz wznosił się coraz wyżej, ale regularne podmuchy wiatru zganiały go z pola bitwy.

Kenneth stał na skraju obozu i patrzył. Wyglądało na to, że dowódca koczowników zrezygnował z próby rozstrzelania wolno poruszającego się czworoboku. Co prawda na flankach szaleli konni łucznicy, ale główne uderzenie szło na centrum. I na Mroźny Pocałunek Anday'yi, to było takie oczywiste. Rozciągnięty na kilkaset jardów, równy jak imperialna droga front składał się z jednego tylko szeregu pawężników. Za nimi, w odległości co najmniej stu kroków, poruszała się zbita masa pieszych, ledwo utrzymująca pozór jakiegokolwiek szyku. Gdy Błyskawice rozerwą pierwszą linię i wpadną w tłum, zacznie się największa masakra, jaką widziała ta wyżyna.

A Jeźdźcy Burzy właśnie zaczynali szarżę.

* * *

Są duchy, czuje je, choć nie ma pojęcia, dlaczego jeszcze jej nie opuściły. Przecież zrobiła, co trzeba. Jest chwila ciszy. Drżenie gruntu i świadomość, że to skarga ziemi katowanej tysiącami kopyt.

Są obrazy.

Eso'bar i Mer'danar stoją za ciężką tarczą.

Nee'wa trzyma lejce, lekkim ruchem koryguje położenie rydwanu w szyku.

Bliźniacy – jeden z opatrunkiem na pół twarzy – patrzą na Drugą i szczerzą się głupio.

Der'eko wkłada gwizdek w usta i wydaje komendy.

Ruk'hert odwraca się przez ramię i patrzy na dziewczynę za sobą. Ta dziewczyna to Ana'we, zawsze taka poważna i przejęta, stoi obok chłopaka

w trochę za dużej kolczudze. Trzyma łuk, a za pasem ma kilka długich noży. Pancerz z szerokich, przeplatanych pasów wołowej skóry pasuje do niej jak siodło do kozy, ale to nic.

Ojciec jedzie rydwanem za białą klaczą, wprost do obozu Sahrendey.

Jest pytanie.

Czy dlatego jeszcze mnie nie zostawiłyście?

Żebym patrzyła, jak umierają?

Jest rozbawienie.

Nie jej.

Ich.

Jest obraz.

Szarża konnicy dosięga tarczowników.

Tarcze kładą się na ziemię jak łan zboża przyciśnięty dłonią wiatru, a konie, które już zwalniały i którym nagle otwiera się wolna przestrzeń, przeskakują nad nimi, łomoczą kopytami po drewnie i pędzą naprzód. Tysiąc pancernych jeźdźców przeciw masie pieszych.

Jest uderzenie. Konie w ostatniej chwili zwalniają, niechętne wjeżdżaniu galopem w zbity tłum, ale nie zatrzymują się całkowicie. Groty lanc toną w piersiach, albo – podbite sprytnie przez piechurów – przelatują nad głowami. Kopyta próbują miażdżyć leżących, końskie zęby szczerzą się ku twarzom. Jeźdźcy sięgają po szable i topory, uderzają z góry i…

Ryk.

Tłum rusza naprzód jak kierowany jednym umysłem, setki włóczni, gizarm i rohatyn sięgają ku koczownikom, kłują, dźgają, ściągają z siodeł. Jest szabla, która pogrąża się w czyjejś piersi i której nie można wyrwać, bo dłonie rannego zatrzaskują się na nadgarstku z siłą kowalskich kleszczy. Jest cios mieczem, który odcina rękę, i kikut tryskający krwią. Jest pchnięcie włócznią, uderzenie toporem, czyjeś ręce ściągające z siodła, strzała wylatująca z dalszych szeregów i przebijająca szyję, nóż tnący ścięgna pod kolanem, szukający tętnicy, młot miażdżący koński łeb. Są tysiące i tysiące rąk niosących śmierć. Jest zdumienie i niezrozumienie, dlaczego nie uciekają? Dlaczego nie odwracają się i nie umykają, osłaniając rękami głowy? Co w nich wstąpiło? Jest sygnał do odwrotu i koń, który potyka się i pada na przednie nogi. Mężczyzna patrzy za siebie i widzi mur tarcz odgradzający drogę ucieczki. Jest jakiś szaleniec z toporem, wyrąbujący sobie

krwawą ścieżkę między jeźdźcami, potężnymi ciosami odwalający ręce, nogi i końskie łby. Jest…

Nie… Nie chcę na to patrzeć. Nie każcie mi patrzeć, jak zabijają i umierają.

Jest świadomość.

Musisz.

Ktoś musi opowiedzieć.

Jest ojciec, jadący rydwanem przed szeregami brodatych jeźdźców.

Jest ojciec, zatrzymujący się przed starszym mężczyzną w ciężkiej kolczudze, stojącym pod szkarłatnym buńczukiem.

Jest ojciec na ziemi.

Ojciec klęczący z pochyloną głową.

I cisza w szeregach, i jedno słowo w *anaho-la*, jakby przemocą wyrwane z zaciśniętej pięści.

„Wybaczcie”.

Jest ojciec galopujący w stronę bitwy i stojący za nim jak kamienna armia jeźdźcy.

Jest ruch, kolejne oddziały wysrebrzonych stalą konnych wojowników odrywają się od koczowniczej armii, tym razem trzy, jeden pędzi środkiem, by zmiażdżyć wątłą linię tarczowników i przyjść z pomocą uwięzionym wewnątrz towarzyszom, dwa pozostałe zataczają łuk na skrzydła, jednemu wyskakują na spotkanie rydwany, desperacka szarża tysiąca załóg przeciw co najmniej dwóm tysiącom Błyskawic wspieranych przez łuczników. Rydwany jadą luźno, w ostatniej chwili używając tyrkaczy, fala metalicznego łoskotu rozrywa powietrze, niektóre konie koczowników płoszą się, zwalniają, szyk pęka i w ten chaos wpadają Wozacy.

Jest Nee’wa, wrzeszcząca dziko i ściągająca lejce.

Są ludzie, zeskakujący z rydwanów i pośrodku chaosu bitwy tworzący pancerny czworobok. Są kusze szyjące z bliska, tarcze wyrastające murem tam, gdzie jeszcze przed chwilą otwierało się wolne przejście.

Rydwany ruszają do walki, dając czas piechocie na ustawienie się i połączenie tarcz łańcuchami.

Jest zamieszanie i bolesna jak świeża rana świadomość, że to za mało.

Jest widok z drugiego końca bitwy i haki zarzucane na burty. Mimo strat koczownicy zawracają konie i rozrywają linię wozów.

Jest pancerny klin zmierzający ku tej wyrwie i Ana’we strzelająca raz za razem w stronę jeźdźców.

Jest linia pawęży obalona na ziemię, tym razem naprawdę, i setki konnych uciekających na zewnątrz.

Jest dźwięk koczowniczych piszczałek i srebrna fala jeźdźców odskakująca od Verdanno.

Jest widok stosów trupów ludzkich i końskich, wypełniających wnętrze chronionej wozami formacji.

Jest prośba.

Obojętna odmowa.

Nie.

Musisz patrzeć.

* * *

— Następnego ataku nie przetrzymają.

Velergorf mówił spokojnie, obojętnym tonem. Tylko dłoń oparta na trzonku topora drżała wyraźnie.

— Chciałbyś tam być?

— Jestem tu, panie poruczniku, i tylko to się liczy. Nie będę się zastanawiał jak byle dureń, co by było gdyby.

— Ja też bym chciał. Chłopcy wiedzą, co robić?

— Tak.

Tak.

Gdyby wszystko poszło źle, nie dać się wziąć żywcem. Proste.

Kailean i Daghena stały nieco z boku i patrzyły na pole bitwy. Twarze miały kamienne, ale Kenneth nie dał się nabrać.

— Nie dotrzecie do nich. Ale jest jeszcze szansa, że walka nas nie minie.

Kailean spojrzała na niego i zdumiał się, widząc, że oczy ma pełne łez.

— Ty nie rozumiesz, poruczniku. — Uśmiech dziewczyny przypomina pękającą ranę. — Zapytaj jego, o czym śpiewają duchy.

Fenlo Nur oparł się o najbliższy wóz i wyglądał, jakby miał zwymiotować.

— Jadą — wystękał.

Do obozu koczowników galopem zbliżało się trzech jeźdźców pod sztandarem z czarnym ptakiem.

* * *

Verdanno szli naprzód. Olbrzymi ruchomy tabor podniósł się z ziemi i zostawiając za sobą tysiące trupów, parł przed siebie. W jego stronę.

Yawenyr siedział spokojnie w siodle, a każdy, kto spojrzałby na niego z boku, zobaczyłby tylko lekkie skrzywienie warg i dziki błysk w oku. Prawdziwy Ojciec Wojny, stalową wolą miażdżący wrogów Wolnych Plemion.

Musiał zacisnąć dłonie na łęku siodła, by ukryć ich drżenie. Gdzie ona jest? Gdzie jest?! Uświadomił sobie, że opuściła go na tak długo po raz pierwszy od co najmniej kilku lat. Czuł, jak słabnie, jak umysł zasnuwa mu mgła, początkowe podniecenie bitwą zmieniło się w rodzaj podszytego lękiem zdumienia. Dlaczego oni wciąż idą? Każda inna armia na świecie próbowałaby się wycofać w głąb okopanego obozu. Każda inna armia, która doświadczyła na własnej skórze potęgi Jeźdźców Burzy, drżałaby na sam dźwięk kopyt łomoczących o ziemię. Oni nie. Szli naprzód, z prawej strony osłaniani przez mniejszy czworobok piechoty, z lewej przez rydwany, które właśnie zmieniły pozycję.

Skrzywił się i splunął na ziemię, przyciągając kilka zgorszonych spojrzeń. Niedobrze jest kalać śliną grunt, w który wsiąka krew bohaterów. Ich duchy mogą się poczuć obrażone.

Nieważne. Wysłał już rozkazy do Sahrendey, niech Amanewe udowodni, jak bardzo jego ludzie gardzą wozackim ścierwem. Tamten rozkaz, sprzed lat, był dobry, potem wystarczyło kilka słów, by jego wrogowie nigdy nie stanęli razem do walki. A teraz nadszedł czas kończyć tę zabawę.

Wskazał dłonią, Skrzydła Jeźdźców Burzy z pierwszej i drugiej linii ruszyły naprzód. Zmiażdżą piechotę na prawym skrzydle Wozaków, wbiją się klinem w ich centrum i rozerwą linię wojska. Nic nie powstrzyma ośmiu tysięcy pancernych jeźdźców.

Z drugiej strony – tam, gdzie teraz jadą rydwany – uderzą Sahrendey. Niech ich Wilki pokażą, czy zasłużyli na swoją sławę.

Tył zostawił nieatakowany. Niech wróg ma gdzie uciekać… Nie ma piękniejszego widoku niż lekka jazda w pościgu.

* * *

Jest płacz i bezgłośna prośba.

Jest stalowy pazur, nieruchomo spoczywający na wysokości serca.

Jest wahanie brata, jego oczy naprawdę wydają się świecić w ciemnościach.

Jest obóz Sahrendey.

Jest mężczyzna pod czerwonym buńczukiem, który mówi coś do Amureha Womreysa, po czym obejmuje go i poklepuje po plecach.

Jest obraz kilkunastu tysięcy lekkozbrojnych konnych zawracających i znikających między namiotami.

Jest obraz ciężkich koni wyrównujących szyk, sześć, siedem tysięcy Wilków stających w karnych oddziałach. Jest myśl – oto my, gdybyśmy jeździli w siodłach.

Jest trzech posłańców, nad nimi chorągiew z czarnym ptakiem, jest pokrzykiwanie i są rzucane szybkim głosem rozkazy.

Jest skinięcie głową wodza Wilków, który z pętli przy siodle wyjmuje topór. Jest wzrok błądzący po szeregach i ogień w oczach, które jeszcze przed chwilą wypełniały łzy i szaleństwo.

Jest cios, zadany z góry, wzmocniony całym ciężarem ciała, i hełm pękający jak arbuz.

Jest ruch.

Wilki jadą do bitwy.

* * *

Kenneth – chociaż, do cholery, nic z tego nie rozumie – szczerzy się do Velergorfa, gdy posłańcy Yawenyra giną, a jazda rusza. A dziewczyny śmieją się i krzyczą. Tulą się i płaczą. Jak to dziewczyny.

* * *

Niewolnica pojawia się przy nim w chwili, gdy Jeźdźcy Burzy uderzają na Wozaków.

— Musimy uciekać, panie.

Uciekać? Teraz? Gdy zwycięstwo ma już w ręku? Gdy wozaccy pawężnicy położyli się pokotem, a piechota przyjęła na piersi setki lanc? Gdy Sahrendey ruszyli do ataku?

Uderza ją w twarz. Lekko, żeby nie rozciąć skóry, ale żeby przypomnieć, gdzie jest jej miejsce.

* * *

Jest obraz – pancerny klin wgryza się w żywe ciało wozackiej armii.

Jest obraz – czworobok piechoty otoczony szczelnie, chwiejący się i ginący pod setką ciosów.

Jest obraz – dowódca Skrzydła Błyskawic rozpędzający się do ataku obraca głowę w prawo i wytrzeszcza oczy.

Jest obraz.

Tysiąc, może więcej jeźdźców na wielkich jak góry wierzchowcach w pełnym cwale wpada na rozciągnięty oddział Błyskawic i tratuje go, przewraca konie, kłuje i rąbie, bez litości. W kilka chwil doborowe Skrzydło zamienia się w rozproszoną gromadę wojowników walczących o życie.

Nie mają szans.

Jest obraz – na wdzierających między piechotę koczowników spada atak od tyłu, i nagle wszystko się zmienia. Tarcze, hełmy, ciała, miecze, topory, szable, noże, wszystko miesza się ze sobą, tworząc jeden wielki, zabójczy wir, młyn mielący na strzępy schwytanych w pułapkę Se-kohlandczyków. Jest ściąganie z siodeł, podrzynanie gardeł, palce wbijane w oczy, jest szał i gniew.

Jest obraz – starzec na wzgórzu. Ma otwarte oczy i roztrzęsione dłonie.

Jest obraz – duży oddział Wilków szarżuje w jego stronę, wpada na Skrzydło Błyskawic, rozbija je, pędzi przed sobą i wpada na jego straż przyboczną.

Jest rzeź.

Ostatnie Skrzydła Jeźdźców Burzy stoją, nie wiedząc, co robić.

Lekka jazda idzie w rozsypkę i ucieka.

Jest obraz – między namioty koczowników Kyh Danu Kredo wpadają konni łucznicy. Pochodnie obdarowują tkaniny i drewno pocałunkami ognia, łuki napinają się raz po raz, opróżniając kołczany wprost w plecy uciekających kobiet i starców. Szable tną ręce osłaniające w daremnych gestach głowy, włócznie kłują plecy. Mężczyzna pod czerwonym bańczukiem uśmiecha się, zadowolony.

Krwawa rąbanina pośrodku wozackiej armii ustaje. Wilki zawracają konie i pędzą w stronę obozu koczowników, w którym szaleje już lekka jazda Sahrendey. A za nimi biegnie reszta, mężczyźni i kobiety, wywijający bronią, wrzeszczący coś chrapliwie, ich nienawiść zdaje się podpalać niebo.

Jest obraz – rydwany szarżują na lekką jazdę przyciśniętą z drugiej strony przez Wilki.

Nie.

Jest obraz – jakiś Źrebiarz zatrzymuje się i próbuje rzucić czar. Arkan opada mu na szyję i ściąga z końskiego grzbietu z takim impetem, że mężczyzna jest martwy, nim upadnie na ziemię.

Nie.

Jest obraz – młody Jeździec Burzy półleży oparty o koński grzbiet, złamana noga wygina się pod dziwnym kątem. Ściąga hełm i odrzuca go na znak poddania. Pierzasta strzała roztrzaskuje mu skroń i wychodzi z drugiej strony czaszki.

Nie.

Strumień lodowych odłamków roznosi na strzępy grupę ludzi. Has – jeżeli ten stąpający na szczudłowatych odnóżach szkielet to on – odwraca się, wysyła kolejną oszronioną chmurę czarów. Potem pada i umiera.

Nie.

Kobieta leży, osłaniając niemowlę. Wypuszczona z góry strzała przyszpila je do ziemi.

Mężczyzna, któremu cios jakąś tępą bronią zmiażdżył twarz, błąka się po omacku. Szlocha.

Z płonącego namiotu wybiegają płonące dzieci.

Nie! Nie! Nie!!!

Key’la podnosi się i siada, nagle czując całe ciało. Macha rękami, trafiając małą lampkę. Olej rozlewa się na stertę jakichś paczek i zapala.

Nie!!!

Płomienie sięgają wyżej, przeskakują na zgromadzone pod ścianą wiązki strzał, wybuchają gwałtowniej.

Nie chcę tego oglądać, nie chcę patrzeć!

Idźcie stąd!

Duchy cichną, jakby zdumione. I wreszcie odchodzą, a wraz z nimi obrazy.

Opada na posłanie, znów czując każdą ranę, złamanie i siniak. Pojawia się świadomość, jeszcze mglista, że za kilka chwil zacznie jęczeć i płakać, i błagać je, by wróciły. By zabrały ból.

Wóz wypełnia się dymem. Płomienie zaczynają lizać strop.

Sięga dłonią po rękę chłopaka, tę z pazurami, i kładzie ją sobie na mostku.

— Nadal nie wiem, jak masz na imię, braciszku — szepcze, a on uśmiecha się tymi swoimi oczami i nic nie mówi.

Oczywiście.

— Zabierz mnie… zabierz mnie stąd — szepcze.

I jest chłód w sercu.

I ciemność.

Rozdział 12

Laskolnyk przybył późnym rankiem po bitwie, prowadząc piętnaście tysięcy konnych oraz dwa tysiące rydwanów z obozu Aw'lerr. Jego armia przebyła dziewięćdziesiąt mil w ciągu doby, wpisując się złotymi zgłoskami w księgi kawaleryjskich rajdów tylko po to, by się spóźnić.

Gdyby miała dość sił, Kailean zaśmiałaby się na taką ironię losu.

Yawenyr umknął z jedną trzecią Błyskawic i niedobitkami plemion Danu Kreda. Sahrendey, Wilki i te rydwany, których załogi zdołały walczyć, spychali go na południe przez wiele godzin, potem jednak zrezygnowano z pościgu. W ciemnościach Verdanno nie potrafili ocenić, na kogo szarżują, zresztą Ojciec Wojny pędził tak szybko, że ledwo za nim nadążali. Zwiadowcy, którym przypadło zadanie śledzenia sił Se-kohlandczyków, donosili, że ci maszerują w kierunku Stepów i za dzień, najdalej dwa opuszczą Wyżynę. Nawet to, że Yawenyr zagarnął po drodze siły Kaileo Hynu Lawyo, nie wpłynęło na zmianę kierunku ich wędrówki. Przynajmniej na razie koczownicy uciekali.

Obóz New'harr wyglądał jak miasto umarłych. Nie było wozu, na którym nie wisiałyby żałobne wstęgi, większość mieszkańców wędrowała jak lunatycy, omiatając okolicę obojętnymi spojrzeniami, próbując uporządkować swoje życie po wydarzeniach poprzedniego dnia. Śmierć, gniew, bitewny szał, szaleńcza furia, która zmiotła armię Ojca Wojny, odzyskanie utraconych dzieci… to zbyt wiele dla zwykłych ludzi. Niemal jedna trzecia karawany zginęła, a rannych liczono w tysiące. Przechodząc między wciąż ustawionymi w Martwy Kwiat wozami, Kailean widywała Wozaków o twarzach szarych ze zmęczenia i oczach przygaszonych popiołem bólu. Miała nadzieję, że na tym popiele wyrośnie coś nowego.

Siedziała na uboczu, przed szarym namiotem, obserwując starszą kobietę, która wędrowała za jednym z Wilków. W jej gestach i spojrzeniu nie było nic poza wielką prośbą, ale on podszedł spokojnie do swojego konia i z oszałamiającą lekkością wskoczył na siodło. Zatrzymała się i opu-

ściła głowę, nie mając najwyraźniej dość sił, by spojrzeć na swojego – syna? bratanka? siostrzeńca? – i zaakceptować to, kim się stał. Wszyscy potrzebowali czasu, bo nic już nie mogło być takie jak wcześniej. Wysłano gońców do innych obozów z wieścią, że odzyskano dzieci, które uważano za martwe. Co mogli zrobić Verdanno? Porzucić je jeszcze raz? Odwrócić się plecami i stwierdzić, że Wilki nie są z ich krwi, bo jeżdżą konno? Za coś takiego sama podpaliłaby im wozy.

Mimo wszystko była dobrej myśli. Po pierwsze niektórzy już twierdzili, że Laal dała im znak, pozwalając odzyskać dzieci, i pokazała Verdanno nową drogę. Po drugie w spojrzeniach, jakimi młodzi Wozacy obrzucali swoich cudem odzyskanych braci i kuzynów, była nieskrywana zazdrość. Nie będzie łatwo, lecz wkrótce verdańskie konie poznają ciężar siodeł na grzbietach.

Poła namiotu rozchyliła się i Kocimiętka wyszedł na zewnątrz. Odkąd się spotkali, minę miał taką, jakby ktoś ukradł mu najlepszego wierzchowca spod tyłka, i to w biały dzień. And’ewers odesłał go z resztką czaardanu w stronę gór, na poszukiwanie Laskolnyka. Lecz nie dość, że to Laskolnyk znalazł ich mały oddział, to jeszcze ominęła go bitwa, o której wkrótce na całych Stepach będzie głośno. Yawenyr został pobity przez Wozaków i ich nowych sprzymierzeńców, a Sardena Waedronyka przy tym nie było.

Życie jest wredne i niesprawiedliwe.

Usiadł koło niej, wsunął wyschnięte źdźbło trawy między zęby i zaklął.

— Ciągle się kłócą?

Skinął tylko głową, obserwując odjeżdżającego Wilka.

— Wszystko przez nich.

— Nie rozumiem, Sarden.

— Zastanawiałaś się kiedyś, co by było, gdyby Verdanno chcieli zamienić się w kawalerię? Jakieś ćwierć miliona nowych jeźdźców w okolicy Stepów?

— Nie — odparła szczerze. — Nigdy. A ty?

— Ja też nie. — Uśmiechnął się dziwnie i wypluł trawę. — Ale niektórzy tak, i najwyraźniej ich to przeraża. Kha-dar odmawia ruszenia na Yawenyra, mimo buntu Sowynenna Dyrniha — dodał, jakby to wszystko wyjaśniało.

Kailean już o tym słyszała. Ostatni z Synów Wojny, ten, który podobnie jak Amanewe Czerwony nie pochodził z prawdziwych Se-kohlandczyków, poderwał swoich ludzi do walki, uderzając na ziemie Zawyra Heru Loma. Plotki w czaardanie głosiły, że miało to coś w wspólnego z małym tabunem koni i gromadką jeńców, których przekazał w jego ręce imperialny wywiad. Zdarzenia z poprzedniego lata, rozpaczliwa gonitwa między wzgórzami w charakterze przynęty, wydały owoce.

Heru Lom zawrócił na południe, usiłując ocalić, co się da. Dwóch Synów Wojny walczyło między sobą, jeden został prawie całkowicie zniszczony, drugi przeszedł na stronę Wozaków. Ojcu Wojny został tylko Kaileo Hynu Lawyo i własna gwardia. Nigdy nie był słabszy.

Wieści w obozie rozchodziły się szybko, a ta należała do ważniejszych. Ruszajmy – mówiła, obozy wciąż schodzą z gór, świeże siły, ludzie rwący się do walki; mamy teraz po swojej stronie i Sahrendey, i Wilki, i Laskolnyka, zbierze się ze czterdzieści tysięcy jazdy, piętnaście tysięcy rydwanów i tyle wozów, ile jeszcze świat nie widział. Ruszajmy! Zmiażdżmy węża czającego się na Stepach! Dokończmy dzieła!

Lecz Laskolnyk powiedział – nie. Wozacy mają się umocnić na Wyżynie i nie ruszać się z niej, taka jest wola Imperium.

Na pytanie, dlaczego wola Imperium ma być dla nich wiążąca, kha-dar odpowiedział, zginając trzy palce.

Po pierwsze – wciąż mamy całe wasze bydło i większość koni.

Po drugie – ja i moi ludzie nie pojedziemy.

Po trzecie – pomogliśmy wam, dawaliśmy schronienie przez ćwierć wieku i pozwoliliśmy przejść przez góry.

Wasza kolej się odwdzięczyć.

— Nie rozumiem tego — powtórzyła Kailean. — Powinniśmy go dobić.

Kocimiętka zaśmiał się krótko, bez śladu wesołości.

— Polityka — bardziej wypluł to słowo, niż je powiedział. — Zapewne niektórzy sądzą, że lepiej mieć w okolicy kilka mniejszych band, które walczą między sobą, niż jedną dużą. Ja tak myślę przynajmniej. Lepiej, by na Wschodzie, na Stepach i Wyżynie, było kilku hersztów. Jeśli Wozacy i Dyrnih zmiażdżyliby Se-kohlandczyków, kto objąłby władzę? Verdanno jeżdżący wozami i walczący na rydwanach są bitni i silni, ale siłą wołu. Powolną i spokojną. Verdanno na koniach mogą zmienić się w… — szukał

lepszego określenia — … w wilki. Prawdziwe. Nową potęgę, której nic nie powstrzyma.

Zrozumiała.

— Chyba że na południu będzie inna siła?

— Właśnie. A nawet dwie. Zbuntowanego Sowynenna, który będzie się musiał łasić do Imperium, bo bez wsparcia i handlu z nim nie utrzyma się nawet miesiąc, i Yawenyra, a pewnie wkrótce jego następcę, żądnego zemsty, lecz zbyt słabego na otwartą wojnę. Trójnóg to stabilne siedzisko. Pokój może się na nim rozgościć na dłużej.

— Piłeś, że zamieniasz się w kiepskiego poetę?

— Nie. Widziałem And'ewersa. Posiwiał. Całkiem posiwiał, jakby mu ktoś wiek podwoił. Nie odzywa się słowem.

— Tak. Wiem.

Widziała wuja tylko raz. To było po tym, jak ponoć przez godzinę przekopywał gołymi rękami zgliszcza. Sądziła, że to popiół nadał taki kolor jego włosom. Objął ją wtedy bez słowa i podał żałobne wstęgi. Przybiła do wozów trzy. Det'mon, Ruk'hert i Key'la. Pierwszy zginął, osłaniając odwrót karawany, drugiego lanca Jeźdźca Burzy trafiła w plecy w zamęcie, który powstał w czasie ostatniego krwawego starcia. A Key'la… Wóz, na którym leżała po cudownym ocaleniu, spłonął doszczętnie. W całym obozie do burt wozów przypinano wstęgi z jej imieniem.

Z namiotu wyjrzała Daghena.

— Kailean, wejdź. Ty też, Sarden.

Wstała powoli, otrzepała portki i schylając się przy wejściu, zniknęła w półmroku. Kocimiętka wszedł za nią. W namiocie siedział Laskolnyk, rudowłosy porucznik, Dag, Laiwa i dwóch ludzi, których Kailean widziała pierwszy raz na oczy. Oficer, nie przerywając mówienia, skinął jej głową.

— … szliśmy za tym chłopakiem przez cały dzień. Czasem znikał, jakby wchodził w skałę, niekiedy wysuwał się z cienia, lecz przez cały czas prowadził nas w jednym kierunku. A potem pobiegł przed siebie, wprost na jakieś wzgórze, gdzie powietrze jakby krzepło, jakby czarny pył unosił się w zwartych kolumnach. Zatrzymał się, pokazał te swoje gesty, które miały znaczyć „chodź", i znikł wewnątrz tych kolumn. Poszliśmy za nim i to było… jakby oddech Pani Lodu przewiał nas na wylot. Rozpadanie i mróz. A potem wyskoczyliśmy tu, na polu bitwy.

Kenneth odwrócił się w stronę tych dwóch obcych i uśmiechnął zimno.

— Czwarty raz nie będę tego powtarzał.

Jeden z mężczyzn, szczupły i szpakowaty, oddał uśmiech.

— Zapewniam pana, poruczniku, że jeśli zajdzie potrzeba, powtórzy to pan tysiąc razy.

— Naprawdę?

Zderzyli się spojrzeniami, lecz zanim doszło do ostrzejszej wymiany zdań, Laskolnyk chrząknął.

— Tyle wystarczy, zgadza się to co do joty z tym, co mówili moi ludzie.

Strażnik wykonał taki ruch, jakby chciał wstać.

— Niech pan siedzi. To, co tu będzie powiedziane, dotyczy pańskiej kompanii bardziej, niż bym chciał, i możliwe, że bez tej wiedzy nie przeżyjecie miesiąca. — Ton kha-dara był lekki, lecz Kailean znała go zbyt dobrze, by wiedzieć, że nie żartuje.

Przez chwilę panowała całkowita cisza.

— Powinienem tak to zorganizować, żebyście znikli. — Lekki ton pozostał, ale towarzyszył mu dziwny, ponury grymas, sugerujący, że sprawa należy do śmiertelnie poważnych. — Najlepiej by było, gdyby twoja kompania przepadła gdzieś w górach. Poszliście szukać porwanej hrabianki w dzikich rejonach Olekadów i wymordowali was zbóje albo przepadliście jak te inne oddziały Straży. Byliście tam, gdzie nikt nie powinien przebywać, i widzieliście rzeczy, których nikt nie powinien oglądać.

Kenneth przechylił głowę na bok i zrobił uprzejmą minę, drań miał nerwy ze stali.

— Jest kilka powodów, dla których tak się nie stanie. Generał Monel jaki jest, taki jest, ale wygryzłby mi dziurę w tyłku, gdybym coś takiego zrobił. Da się zabić za swoich ludzi, a nie sądzę, bym zdołał utrzymać taką sprawę w sekrecie. Na dodatek Verdanno wiedzą, że ocaliliście tę dziewczynkę, więc przed Czarnym miałbym do czynienia z And’ewersem. Poza tym wasze zniknięcie mogłoby jednak przyciągnąć czyjąś uwagę, a tego nie chcę. I to, co zrobiliście… — Laskolnyk pokręcił głową. — Nieważne. Wrócicie w Olekady. Wozacy podwiozą was rydwanami, więc szykujcie się na szybką jazdę. Przejdziecie na drugą stronę i udacie się do Kehloren. Oficjalnie nie zdołaliście pochwycić dziewczyn ani odbić szlachcianki. Ich ślady urwały się nagle albo na nie w ogóle nie natrafiliście. Po wielodnio-

wych poszukiwaniach postanowił pan przerwać misję i wrócić do zamku. Nie będziecie jedyną kompanią, której nie udało się wykonać zadania. Do tego teraz, gdy niebezpieczeństwo od Wschodu zmalało, Czarny zacznie odsyłać inne oddziały do domów. Za dwa miesiące będziecie w Belenden. Daleko od okolic, którym wszystkie bractwa czarowników i świątynie będą się uważnie przyglądać.

Porucznik uniósł brwi z tą samą nonszalancją, z jaką wysłuchiwał o planach wybicia swojej kompanii. Kailean posłała Dag rozbawione spojrzenie. Ci górale byli twardzi.

— Przyglądać? — zapytał spokojnie.

— Zamieszanie w Olekadach już ściąga uwagę, dziwne zaburzenia w aspektach, ludzie pojawiający się znikąd i zabijający bez litości, jedna ze starych, hrabiowskich rodzin wymordowana niemal do szczętu we własnym zamku, zgromadzenie plemiennych duchów, o jakim nie słyszano od lat. Jeśli sądzisz, że nikt się tym nie zainteresuje, jesteś głupcem niewartym czerwieni na płaszczu, poruczniku. Jeśli jednak, wraz z innymi kompaniami wrócicie do rodzinnych garnizonów, być może nikt nie skojarzy was z tutejszym zamętem. Nie muszę pytać, czy twoi ludzie potrafią trzymać gęby zamknięte.

Kenneth wzruszył ramionami.

— O czym niby mieliby opowiadać?

— Dobrze.

— A ja mogę mieć pytanie?

— Możesz, poruczniku.

Rudy oficer skrzywił się nieznacznie.

— Dlaczego mam słuchać generała, który nie służy już w armii i wynajmuje się Wozakom za garść złota, oraz ludzi, którzy podają się za Szczury, choć Wywiad Wewnętrzny nie ma prawa działać poza Imperium?

Kocimiętka syknął, robiąc pół kroku do przodu, ale Kailean złapała go za ramię i przytrzymała. Laskolnyk nie wyglądał na obrażonego ani nawet poirytowanego bezczelnością młodego oficera. Przyglądał mu się za to uważnie z miną, jakby coś ważył w myślach.

— Czy wie pan, poruczniku, co się dzieje, gdy nasi czarownicy sięgają w głąb Źródeł Mocy, gdy czerpią z własnych aspektów tak głęboko, jak tylko zdołają sięgnąć? — zapytał wreszcie cicho.

— Zęby im wypadają?

— To też. Ale nie mówiłem o nieudolnych magikach, próbujących przełknąć więcej, niż pomieści ich gardło, tylko o prawdziwych mistrzach, stąpających Ścieżkami Mocy. Co oni czują w takich chwilach?

Kha-dar przeniósł spojrzenie na szpakowatego. Ten przez chwilę mierzył się z nim beznamiętnym spojrzeniem, wreszcie westchnął, wzruszył ramionami i zaczął mówić:

— Jest ściana… nie, nie ściana. Głębia. Jakbyś, pływając w morzu nad płyzizną, nagle minął podwodny próg i zorientował się, że pod tobą nie ma dna, tylko otchłań, czarna i mroczna. Można w nią spojrzeć, ale nie można jej przeniknąć. Ci, którzy próbowali…

— Kończą jako Pomiotnicy, szaleńcy lub giną. Tyle wiem jako żołnierz. — Laskolnyk podziękował mężczyźnie skinieniem głowy. — I do tej pory mnie to nie obchodziło. Mistrzowie magii, kapłani, potężni szamani i inni, władający Mocą na różne sposoby, mówią to samo. Pod źródłami aspektowanej Mocy, pod światem duchów, jest coś. Mrok. Nazywają to tak prawie we wszystkich językach. Mówi się, że dusze zmarłych odchodzą poza Mrok, do Domu Snu. Mówi się, że ci, którzy przywołują demony, muszą je tutaj ściągać z miejsc tak odległych, że znajdują się poza Mrokiem. Że Pomiotnicy czerpią zza niego swoje Moce. Że Uroczyska to miejsca, w których Mrok dotyka naszego świata. Nasi czarodzieje unikają Uroczysk, nie mogą w ich pobliżu skutecznie używać własnych talentów, nie potrafią zasnąć, czują się, jakby coś ich dusiło, wysysało siły. Mówi się dużo, ale nie wiemy prawie nic. Czarodziej, który zbyt zbliży się do Mroku, popada w szaleństwo lub ginie, dusza, która odejdzie poza Mrok, nie wraca…

Laskolnyk zawahał się, najwyraźniej tak długa przemowa jak zwykle go męczyła.

— Kilka lat temu wydarzyło się coś, co uświadomiło pewnym ludziom, że Mrok to nie tylko bezdenna otchłań, ale miejsce, w którym – albo za którym – mieszkają potwory. I nie tylko potwory… Ktoś podjął działania, konsekwentne i logiczne, jakich potwory nie podejmują. Ale jak zbadać miejsce, do którego samo zbliżenie się eliminuje naszych najlepszych bitewnych magów…?

Spojrzał przelotnie na ich trojkę, Daghenę, Kocimiętkę i Kailean.

— Na prośbę Szczurzej Nory udałem się na Wschód, w miejsce najbardziej… jak by to powiedzieć… nasycone nieaspektowanymi talentami.

Zatrzymałem się w Lithrew i szukałem ludzi, którzy miesiącami zniosą bliskość Uroczyska, dzięki czemu można mieć nadzieję, że ich talenty są odporne na szaleństwo powodowane przez Mrok. Szukałem oddziału, który będzie skutecznie działał wewnątrz niego.

Laskolnyk uśmiechnął się dziwnie.

— Nie mieliśmy pojęcia, czym jest Mrok. Nie wiedzieliśmy, że to czarna równina i czarne wzgórza pod siwym niebem. Nie wiedzieliśmy, że są tacy, którzy opanowali sztukę przechodzenia do nas skądś, z innego miejsca. Nie wiedziałem, wysyłając dziewczyny do Szczurów, że trafią tam, gdzie miał trafić nasz czaardan.

Przerwał, przypatrując się uważnie Kennethowi, który wyglądał na zbyt przytłoczonego wieściami, by się odezwać.

— Rozumie pan, poruczniku lyw-Darawyt? Przeszliście kawał drogi wewnątrz Mroku. Oddychaliście tamtejszym powietrzem i piliście tamtejszą wodę. Jako jedyni ludzie od… nie wiem od kiedy, wróciliście z drugiej strony. Co się stanie, jeśli te wieści się rozejdą?

Kailean i Dag wymieniły spojrzenia. Każda Świątynia, każde bractwo magów, wszyscy szpiedzy świata rzucą się na nich jak głodne sępy na padlinę. Oficer Straży też to rozumiał, bo choć kilka razy otworzył usta, pozostał przy rozsądnym milczeniu.

— Szczurza Nora może wam zapewnić… nie, nie bezpieczeństwo, ale przynajmniej częściową ochronę. Zatarcie śladów, podrzucenie kilku dokumentów sugerujących, że byliście tam, gdzie was nie było. W zamian będziecie do ich dyspozycji. Nie rób takiej miny, synu… Nie tak, jak myślisz, nie szpiegując innych żołnierzy ani nie donosząc na nieprawidłowości przy wydawaniu sucharów. Być może czasem ktoś wam coś pokaże, opowie, zabierze w jakieś miejsce, żebyście rozpoznali jakąś rzecz, no i oczywiście dobrze byłoby, gdybyście uważali na wszystko. Na Północy też robi się dziwnie… Wasza wiedza i doświadczenie stały się bezcenne. Oczywiście mapę, którą narysowaliście, wędrując po drugiej stronie, zatrzymamy. Coś jeszcze?

No. Wreszcie Kenneth wyglądał na należycie wstrząśniętego. Jak człowiek przechodzący kładką, który odkrywa, że dołem płynie strumień lawy, a deski zaczynają trzeszczeć i dymić.

— Wyruszycie jeszcze dziś. Może pan odejść.

Oficer wstał, przez mgnienie oka wydawało się, że zasalutuje, ale skinął tylko sztywno głową i wyszedł.

Laskolnyk odprowadził go wzrokiem.

— Uparty sukinsyn — mruknął z uznaniem i odwrócił się do Kailean. — Wiesz już, dlaczego cię wezwałem? Żeby nie powtarzać wszystkiego raz po raz. Wędrowałyście z Dag przez Mrok. Sprawdziliśmy to dokładnie. Tylko Mrok zostawia taki… osad na człowieku. Przez najbliższy miesiąc macie się trzymać z dala od Mistrzów Magii i Wielkich Kapłanów. Dlatego też wysyłam strażników na zachód, zanim dotrą do Belenden, też będą czyści. Wróciłyście. Masz coś jeszcze do dodania?

— Poza tym że to miejsce było kiedyś zamieszkane? Że trwała tam wojna, która zniszczyła wszystko? Że tamtejsze skały płaczą?

— Płaczą?

— Gdy się dziś rano zdrzemnęłam, słyszałam ten płacz. Jakby… nie wiem, obudziłam się i też płakałam. I że z tego miejsca wyciągnął nas chłopiec, który zabijał ludzi jak ryś króliki? Że ona ma z tym coś wspólnego? — Kailean wskazała na blondynkę. — Że z jej powodu wyrżnięto setki ludzi w górach? Poza tym nie mam nic do dodania. Co się dzieje, kha-dar?

Laskolnyk przez chwilę wyglądał, jakby żuł coś paskudnego.

— Sześć lat temu wydarzyło się coś… coś przeszło przez Mrok do nas, coś potężnego i dzikiego. I zaraz znikło. Nie potrafimy tego odnaleźć.

Laiwa podniosła głowę, jeden z siedzących obok niej mężczyzn chrząknął i wskazując więźnia, powiedział:

— Ona przeszła zaraz po tych wydarzeniach. Razem z garścią sług albo przyjaciół. Twierdzi, że chciała uciec od matki. Żeby przeskoczyć Mrok, przebyć go bezpiecznie, użyli potężnych czarów, dusza za duszę… zabili ponad dwustu ludzi i zostali tutaj, w Olekadach. Ktoś z zewnątrz ich wyśledził i zaczął polowanie. Wiesz, że czasem na miejscu masakry znajdowano żywych ludzi, którzy potem popełniali samobójstwo? Niedawno to sprawdzono i zawsze tą ostatnią żywą osobą był ktoś, kogo historia w Olekadach liczy mniej niż sześć lat. To było… jak kara. Zabijano rodziny i przyjaciół tych ludzi, na ich oczach, a potem okaleczano ich i wypuszczano. Wiemy, że nie da się przejść na drugą stronę Mroku, próbowaliśmy. Ciało i dusza zostają rozdzielone. Czary, których ona użyła, są dla nas niedostępne. Ale ktoś odkrył sposób, jak przechodzić, by nie stracić duszy.

— My też przeszliśmy — zaoponowała Daghena.

— Nie. Weszliście w Mrok, wędrowaliście w nim i wyszliście po tej samej stronie. Gdybyście spróbowali wyjść po drugiej, tam, skąd ona pochodzi, najpewniej wasze dusze zostałyby wyrwane z ciał. O ile wiemy, ci szarzy zabójcy są jedynymi, którzy to potrafią.

Jasnowłosa dziewczyna poruszyła się mocniej, potrząsnęła głową, jej spojrzenie uciekło w dal.

— *Ewelunrech* nie mają duszy. Nie ma dla nich bramy… zrodzeni z martwych ciał, mogą wędrować między królestwami… znienawidzeni… robią, co chcą… malują świat w biel i czerwień… bo mogą. Dla nich słodycz i gorycz smakuje tak samo…

Uwagę Kailean przyciągnął towarzysz szpakowatego, niski i chudy. Gdy dziewczyna mówiła, siedział z przymkniętymi oczyma i bezgłośnie powtarzał jej słowa. Wśród ludzi krążyły legendy o Żywych Księgach Szczurzej Nory, czarownikach, których aspekty były tak nietypowe, że nie nadawały się do niczego konkretnego – poza zapamiętywaniem różnych rzeczy. Jeśli legendy mówiły prawdę, to nawet na łożu śmierci mężczyzna zdoła dokładnie powtórzyć słowa Laiwy, łącznie z akcentem i przerwami na zaczerpnięcie oddechu. Spojrzała na „hrabiankę”, dziewczyna wciąż miała nieobecny wzrok. Trzeba było to wykorzystać.

— Ten chłopak nie był szarym.

— *Kanaloo*? Och, *kanaloo*… Mój brat… zrodzony z tego samego łona… powinnam powiedzieć: z tej samej matki, ale… Gdy się urodził, nim przecięto pępowinę, założono mu *a'sanwerh*… potem zasłonili mu usta i nos, i czekali, aż umrze… złapali duszę… zamknęli ją w pajęczynie… i ożywili noworodka. Można zmienić ciało… które duszy nie ma, bardziej niż takie zamieszkane. Dusza nie pozwala na zmiany… Rósł… ciało i dusza razem, lecz osobno, dusza, która nie poznała dotyku matki, smaku jej mleka, pocałunku… dusza czysta i niewinna, jak nowo narodzony. Mógł przejść, bo nie można duszy wyrwać z ciała, które jej nie ma. Miał być moją dłonią… uczyli go walczyć i zabijać, a przecież…

Szpakowaty otworzył usta, Kailean uniosła ostrzegawczo dłoń.

— A ty go spróbowałaś zabić?

— Prowadził ich do mnie! Nie zabraliśmy go tu… był zbyt inny… ale on nie umarł, jak powiedziała Sainha… Przeżył… a potem…

— Szukał cię, prowadził pościg od uciekiniera do uciekiniera… Coraz bliżej…

— Tak… więc zwabiłyśmy go na wieżę i tam go zabiłam. Widziałam, jak spadał.

— Ale on przeżył i znalazł sobie nową panią… nową siostrę… Bo gdy ci szarzy chcieli zabić Key'lę i Nee'wę, coś w nim się złamało. Wychowano go, by chronił dziewczynę… A ona zaopiekowała się nim… nakarmiła i napoiła, gdy był ranny. Stała się jego nową panią.

— To niemożliwe! — Laiwa szarpnęła głową i nagle wyraz oszołomienia znikł z jej twarzy. — Rozumiesz?! Niemożliwe! Ja jestem jego panią! Tylko ja! Nie mógł tego zrobić! *A'sanwerh* nie pozwoliłby mu tego zrobić!

— Dotknął cię, pamiętasz? Zranił. Już nie jesteś jego panią. Bo Key'la opatrzyła go, nakarmiła i napoiła. I nigdy nie żądała niczego w zamian. Nie doceniasz siły takich gestów. I zaprowadził nas do niej, bo potrzebowała pomocy.

— I co z tego?!

Kailean poczuła smak popiołu w ustach. Właśnie. I co z tego? Kilka spalonych wozów i wuj z włosami pokrytymi siwizną.

— Czeka nas wojna z twoimi ludźmi?

Chichot „hrabianki" zabrzmiał upiornie.

— Nie będzie wojny… Dobrzy Panowie nigdy nie walczą. Matka brzydzi się przemocą… co innego w rodzinie. Zamiast tego…

— Tak, zamiast tego — przerwał jej Laskolnyk. — Jeńcy mówili o jasnowłosej niewolnicy, która od kilku lat nie odstępowała Yawenyra na krok. Pokazałem jednemu z nich naszego gościa — wskazał Laiwę — i zapytał od razu, czy schwytaliśmy też Yawenyra. Był przekonany, że obie są tą samą osobą. Ktoś zadał sobie trud, by ta wyżyna spłynęła krwią, by koczownicy wyrżnęli tu Wozaków, a Wozacy koczowników. Nim Ojciec Wojny by z nimi skończył, sto, może dwieście tysięcy ludzi karmiłoby kruki. Więc zamiast tego jej matka – zaakcentował ostatnie słowo – robi tak, by inni sami oszczędzili jej kłopotów. Po co? Po co jej spustoszona Wyżyna Lytherańska i na wpół wyludnione Stepy?

„Hrabianka" opuściła głowę.

— Nie wiem. Myśli matki są dla mnie zakryte.

— Dla mnie na razie też. — Kha-dar uśmiechnął się drapieżnie. — Ale nie dołożę do tego swojej ręki. I dlatego, Sarden, nie ruszymy na Stepy przeciw Se-kohlandczykom. Nie zamienię ich w krwawe pobojowisko. Co więcej, wkrótce, gdy tylko reszta Verdanno zjedzie na Wyżynę i się umocni, a Dyrnih odbierze hołd od większości przygranicznych plemion i stworzy to swoje księstewko, wyślę posłów do Yawenyra z propozycją rozejmu.

Kocimiętka chrząknął.

— Nie zgodzi się.

— Może nie. Ale po takiej klęsce Ojciec Pokoju zacznie odzyskiwać wpływy. A perspektywa tego, że Meekhan wesprze Wozaków, Dyrniha i Amanewe Czerwonego całą swoją potęgą, na pewno przemówi też do wyobraźni innym wodzom.

— To nie na moją głowę, kha-dar.

— Ależ tak, poruczniku. — Laskolnyk użył starego stopnia Kocimiętki, a ten odruchowo zasalutował. — Bo nim nadejdzie lato, musimy zaprowadzić tu porządek.

— A potem co, kha-dar? Mrok?

— A pojedziesz tam ze mną? Dobrze. — Uśmiech Laskolnyka poszerzył się. — Lecz nie. Coś się dzieje i na Północy, i na Południu. Więc potem pojedziemy nad morze, przepłyniemy je i wylądujemy na Małych Stepach. Mam tam kilku przyjaciół jeszcze z czasów wojny. Za Małymi Stepami są góry, a za nimi pustynia. Chcę się tam rozejrzeć. Coś jeszcze, Sarden?

Kocimiętka opuścił głowę, a gdy ją uniósł, minę miał dziwną.

— Znajdziemy ich? Tych, którzy zabijają nowo narodzone dzieci, żeby zrobić z nich broń? – zapytał cicho.

— Na pewno będziemy szukać. Jeśli to wszystko, możesz odejść, poruczniku. Zbierz resztę, później wydam rozkazy. Wy zostańcie — zwrócił się do dziewczyn. — Mam dla was wieści.

Gdy Kocimiętka opuścił namiot, Laskolnyk zmierzył je wzrokiem.

— Godzinę temu trafił tu szczurzy posłaniec z listami. Jeden adresowano osobiście do mnie, jako do waszego kha-dara. Niejaka Besara pisze, że bardzo chciałaby się z wami spotkać, żeby zapytać, czego nie zrozumiałyście z jej lekcji o obowiązkach, rozsądku i – jak to ładnie ujęła – „niezachowywaniu się jak kurczak z odcięta głową”.

Wymieniły spojrzenia. Laskolnyk kontynuował:

— No. Nareszcie wyglądacie na przestraszone. I dobrze. Wreszcie wiem, jaką groźbą zmusić was do słuchania rozkazów. Naprawdę jest taka straszna, jak mówią?

— Gorzej, kha-dar. Gorzej. Co teraz?

Potarł policzek, nagle wyglądając na potwornie zmęczonego.

— Sprzątamy. A potem pojedziemy sprzątać gdzie indziej. Będziecie ze mną?

— Oczywiście, kha-dar — mruknęła Kailean.

— Oczywiście — dodała Daghena. — Sprzątanie całego świata to lepsze niż spotkanie z pewną służącą.

INDEKS

Ważniejsi bogowie, postacie, miejsca i pojęcia

Panteon

Baelta’Mathran – pramatka bogów
Reagwyr – Pan Bitew
Setren Byk
Laal Szarowłosa
Dress – Pani Wiatrów
Kan’na
Vennisa od Włóczni
Agar Czerwony
Kay’ll – córka Reagwyra, zginęła w czasie Wojen Bogów
Eyfra – Pani Przeznaczenia, Pani Losu
Anday’ya – Pani Lodu
Maycha – Pani Wojny
Galleg – Pan Burz
Ganr i Aelurdi – Bliźnięta Mórz

Imperium

Osoby

Szósta Kompania, m.in. :

Kenneth-lyw-Darawyt, Varhenn Velergorf, Andan-key-Treffer, Bergh Maws, Cerwes Fenl, Versen-hon-Lawons, Omne Wenk, Fenlo Nur, Azger Laweghz, Bland, Tenh-kea-Dynsah, Malawe Gryncel, Kaher Venk, Lanwe, Alenth Fansoh, Sewres, Patyk, Wilk, Bryhle, Pazur, Szpak.

Zedyr – przewodnik psów (samiec alfa)

Kenwa – jeden z psów kompanii

Armia:

Kawer Monel – generał – dowódca Regimentu Wschodniego tworzonego przez Pierwszy, Dziewiąty i Dwudziesty Szósty Pułk Górskiej Straży

– tzw. Bękarty Czarnego

Alenth Fansoh – zaginiony dziesiętnik Trzeciej Dziesiątki Ósmej Kompanii Jedenastego Pułku Górskiej Straży

Salenw-leh-Mohenn – porucznik – dowódca Ósmej Kompanii Jedenastego Pułku Górskiej Straży

Lenwan Omnel – młodszy pułkownik – Główny Kwatermistrz Regimentu Wschodniego

Gwenre Kohr – kapitan – Trzecia Kompania Pierwszego Pułku Górskiej Straży

porucznik Gewsun – oficer Kwatermistrzostwa

Wywiad Wewnętrzny:

Ekkenhard – Szczur – pełniący obowiązki dowódcy Szczurzej Nory w Olekadach

Pani Beasara – Biała Róża Imperium

Semner-loa-Wajes – czarodziej, posłaniec Szczurów

Arystokracja:

Cywras-der-Maleg – hrabia

Euheria-der-Maleg – jego druga żona

Ewens, Aeryh i Ywron – synowie hrabiego

Laiwa-son-Baren – narzeczona Aeryha, drugiego syna

Sainha Gemhel – służąca Laiwy

Czaardan:

Genno Laskolnyk, Faylen, Niiar, Landeh, Sarden Waedronyk – Kocimiętka, Daghena, Lea, Veria, Janne Newaryw

Miejsca

Olekady – góry na północnym wschodzie Imperium

Wyżyna Lytherańska (Wielka Północna Wyżyna) – położona na wschód od Olekadów, ojczyzna Verdanno

Dolina Amersen – dolina w pobliżu zamku Kehloren

Law-Onee – prowincja

Kehloren – zamek

Klendoan – siedziba hrabiego

Verdanno (Wozacy)

Osoby

Kalevenhowie – przybrana rodzina Kailean

And’ewers – ojciec, *En’leyd* obozu New’harr

Synowie: Fen’doryn i Gen’doryn – bliźniaki, Der’eko, Ruk’hert, Det’mon, Eso’bar, Mer’danar

Córki: Ana’we, Nee’wa, Key’la

Inni Wozacy:

Emn’klewes Wergoreth – *Boutanu* obozu New’harr

Awe’aweroh Mantoru – *Lamerei* obozu New’harr

Has i Ome, Dem i Kaa – czarownicy

Gyr’konwes Damehort (Tyczka) – woźnica rydwanu

Ver’san – łucznik

Sel’harr, Mol’hress, Klw’mer, Gew’lant – załoga wozu bojowego

Pojęcia i terminy z języka Wozaków

Anaho’la, *anaho* i *av’anaho* – mowa niska, mowa, wysoka mowa

En’leyd – Oko Węża, dowódca obozu-karawany w czasie bitewnego marszu

Boutanu – Twarda Skóra, dowódca obozu-karawany w czasie oblężenia

Lamerei – Szybki Ząb, dowódca wszystkich rydwanów karawany

Aweero – dowódca Strugi, ok. 20 rydwanów

Felano – dowódca Strumienia, ok. 200 rydwanów

Kanewey – dowódca Fali, ok. 500–600 rydwanów

Sanyeo – dowódcy ścian, odpowiedzialni za obronę poszczególnych fragmentów w czasie marszu i oblężenia

sawo’leyd – Mały Wąż, oddział 20 wozów bojowych

Hawereh – dowódca grupy 20 wozów bojowych, tworzących Małego Węża

Den’kaw – dowódcy oddziałów piechoty nieprzypisanych do wozów, rezerwy

Tyrkacz – metalowa listwa wetknięta między szprychy koła rydwanu

Kamendeeth – biała klacz ze złotą gwiazdą na czole, najczęstszy symbol kultu Laal Szarowłosej wśród Verdanno

vilore’de – dzieci słońca, endemiczny gatunek kwiatów rosnący tylko na Wyżynie Lytherańskiej

Rada Obozów – najwyższy organ władzy Verdanno

Obozy Verdanno: New’harr, Aw’lerr, Saro’deh, Masa’wer, Kle’a

Krwawy Marsz – szlak ucieczki Wozaków z wyżyny po klęsce powstania

Wyżyna i Wielkie Stepy

Osoby

Yawenyr – Ojciec Wojny

Saonra Womreys – żona Amureha Womreysa

Amureh Womreys – przywódca Wilków

Tsaeran-kor-Lamery – uzdrowicielka

Synowie Wojny – Amanewe Czerwony, Kaileo Hynu Lawyo, Kyh Danu Kredo, Zawyr Heru Lom z Klahhyrów i Sowynenn Dyrnih

Plemiona Sahrendey – plemiona podległe Amanewe Czerwonemu

Glyndoi – jedno z plemion Sahrendey, rodzinne plemię Amanewe Czerwonego

Pojęcia i terminy

Amenray – sahr. wódz rodu

Ueneya – sahr. żona wodza rodu, obecnie Saonra Womreys

Maneya – sahr. niewolnica

Sawenja – se-koh. zwierzę schwytane w walce, łup

Maii – se-koh. pieszczoch, rzecz, własność

Amneyho – se-koh. koński nawóz

Gabealeo – se-koh. parszywy kozioł

*Rozmawiająca z Przodkami (*Saonra Womreys) – wśród plemion Sahrendey tytuł osoby potrafiącej nawiązać kontakt z duchami opiekuńczymi rodu poprzez rzeźbiony słup podtrzymujący namiot

Maleyh – grupa około trzydziestu wojowników, podstawowy oddział plemion Sanderey

Miejsca

Amertha – rzeeka Graniczna między Imperium a Stepami

Sanawami – wzgórza na Wyżynie Lytherańskiej

Lassa – rzeka za wzgórzami Kalero

Dotychczas w cyklu ukazały się:

1.Opowieści z meekhańskiego pogranicza. Północ – Południe

2.Opowieści z meekhańskiego pogranicza. Wschód – Zachód

3.Niebo ze stali. Opowieści z meekhańskiego pogranicza